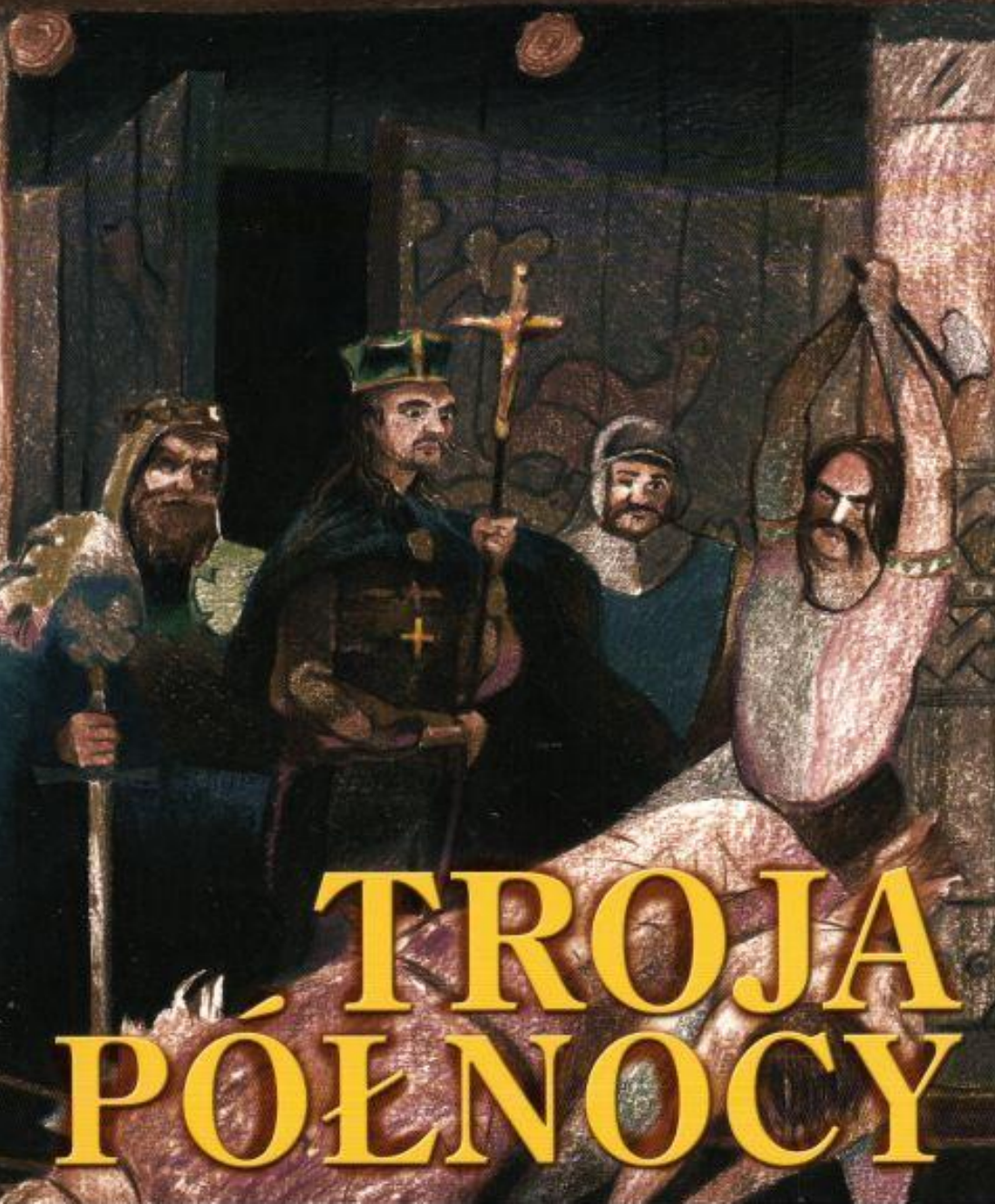


Zofia Kossak  
Zygmunt Szatkowski



TROJA  
POŁNOCY



Zofia Kossak  
Zygmunt Szatkowski

# TROJA PÓŁNOCY

Lublin

© Copyright by Anna Magdalena Fenby Taylor, Wojciech Patrick Szatkowski, Ewa Maria McSperrin, Marek Stanisław Szatkowski, Maria-Anna Bruggisser, Jan Rosset, Michel Rosset, François Rosset  
© Copyright for the Polish edition by Instytut Wydawniczy Pax  
© Copyright for the Polish edition by Fundacja *Servire Veritati* Instytut Edukacji Narodowej, Lublin 2017

### **Opracowanie redakcyjne**

Aneta Maślach  
Katarzyna Stępień  
Anna Zalewska

### **Skład i łamanie**

Hanna Fijolek

### **Projekt okładki**

Marcin Pieczyrak

### **Rysunki na okładce**

Bartłomiej Grudzień

### **Mapy według koncepcji Zygmunta Szatkowskiego**

Bartłomiej Grudzień

ISBN 978-83-88162-91-6

**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

### **Wydawca**

Fundacja *Servire Veritati* Instytut Edukacji Narodowej  
ul. 3 Maja 22/9; 20-078 Lublin  
tel./fax (81) 743 75 15  
e-mail: ien@ien.pl; www.ien.pl; www.praweksiążki.pl

### **Druk i oprawa**

Poligrafia Salezjańska  
ul. Michała Bałuckiego 8  
30-318 Kraków  
tel. (12) 252 85 13

Wstęp

## ŚLADEM KRONIKARZY

Książka niniejsza powstała z inicjatywy zasłużonego i aktywnego Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich. Początkowo miała dotyczyć tylko Pomorza Zachodniego. Bliższe zapoznanie się z tematem wykazało jednak, że nie można tej dzielnicy traktować odrębnie, nie uwzględniając, chociażby w krótkim zarysie, historii związanych z nią organicznie Słowian Połabskich i ludów serbskich. Ci pobratymcy nasi należeli do tej samej co my grupy językowej, zwanej przez uczonych lechicką, bliscy nam byli kulturą, obyczajem i charakterem, a dzieje ich wiązały się z dziejami Pomorza i Polski. Chcąc dać zrozumiały obraz przeszłości pomorskiej, wypadło zatem sięgnąć do ziem połabskich i cofnąć się w czasie do IX wieku. W ten sposób, wbrew początkowym zamierzeniom, książka z projektowanego zarysu dziejów Pomorza Zachodniego zmieniała się w *Troję Północy*.

Tytuł ten nadany jednemu z dwudziestu ośmiu rozdziałów książki przystoi również całości. Boje toczone w ciągu stuleci na tej ziemi zasługują na miano bojów homeryckich. Lecz żaden Eneasza nie wyniósł swych bóstw plemiennych z płonącego grodu, a rozbitkom zabrakło ziemi pod stopami, by móc wznieść nowe siedziby, i możliwości przekazania potomnym wieści o sobie.

Słowianie nie znali, jak się zdaje, pisma, a starannie przechowywana tradycja ustna spoczęła z nimi w mogile. Jedy- nym świadectwem ich wielkości i upadku są stare kroniki, przeważnie niemieckie, a także czeskie, polskie, ruskie, oraz sagi skandynawskie.

Książka niniejsza nie rości sobie pretensji do pracy odkrywczej. O Słowiańszczyźnie Zachodniej istnieje wiele gruntownych opracowań w różnych językach. Kroniki, ów

przedmiot badań historyków, bywały często wydawane i komentowane, są więc zasadniczo dostępne każdemu. Pomimo to pozostają polskiemu ogółowi mało znane. Toteż pragnieniem autorów *Troi Północy* jest zbliżyć do czytelnika ten materiał cenny, bo autentyczny, a przez zbliżenie jednego odcinka zachęcić do poznawania całości swych dziejów.

W obecnych czasach propaganda stała się potężnym narzędziem walki o wpływy. Propagowane są jednakowo prawda i fałsz, miłość i nienawiść, słuszność i bezprawie. Książka niniejsza odrzeka się propagandy. Nie zamierza szerzyć wrogości rasowej lub nacjonalizmu, ani wytaczać procesu po wiekach. Przedstawia fakty widziane oczami współczesnych im, obcych kronikarzy, tym wiarygodniejszych, że więcej było wśród nich niechętnych „pogańskim barbarzyńcom”, tj. Słowianom, niż życzliwych.

Do niektórych rozdziałów *Troi Północy* dołączono szkice sytuacyjne, mające czytelnikowi ułatwić zapoznanie się z treścią danego opowiadania.

Nie ukrywajmy bowiem, że czytelnik będzie poddany próbie cierpliwości. Musi on przyswoić sobie i zapamiętać rozmieszczenie oraz nazwy licznych plemion połabskich i nadodrzańskich. Siedziby niektórych z nich nie przekraczały rozmiarów jednego dzisiejszego powiatu, inne równały się województwu, lecz wszystkie, małe i większe, brały świadomy udział w obronie swego kraju i przeświadczone były o własnym znaczeniu. Każde z nich stanowiło źródło prądów twórczych lub niszczących, decydując nieraz o przyszłości związków państwowych, jakie w ciągu wieków wytworzyły.

Właściwa Słowiańszczyzna Zachodnia sięgała poza linię Łaby i Solawy, lecz *Troja Północy* zajmuje się jedynie dziejami paru zasadniczych słowiańskich twórców państwowych, rozłożonych pomiędzy Łabą a Odrą. Były nimi:

Wielkie Księstwo Obodrzyckie, złożone z plemion Wagrów, Obodrzyców, Połabian i Warnów oraz paru pomniejszych.



Święty Związek Wielecki, do którego należały plemiona Redarów, Doleńców, Czrepienian, Chyżan, oraz przejściowo Stodoran i Sprewian.

Ranowie na wyspie Ranie, dziś Rugii (niem. Rügen).





Pomorze z plemionami: Pomorzan, Pyrzyczan, Wolinian, Kaszubów, oraz późniejszymi Słowianami.

### Rozmieszczenie plemion Wielkiego Księstwa Obodrzyckiego i Świętego Związku Wieleckiego



-  Wielkie Księstwo Obodrzyckie
-  Święty Związek Wielecki

Granice między :

-  W. Ks. Obodrzyckim a Św. Zs. Wieleckim
-  Szezwikiem a Nordalbingią
-  Nordalbingią a W. Ks. Obodrzyckim
-  Wschodnia i pld. granica Św. Zs. Wieleckiego

*Opis grodów i terytoriów z ptn. strony Dunaju, czyli tzw. Geograf Bawarski (IX wiek) wylicza plemiona słowiańskie siedzące na wschód od Łaby:*

...którzy najbliżej siedzą granic Duńczyków, zwą się Północnymi Obodrycami. Ziemia, w której jest grodów 53, podzielona między ich książąt. Wieleci, u których 95 grodów i 4 ziemie (plemiona). Glinianie jest to lud, który ma 7 grodów. Obok nich siedzą ci, których zowią Bytyńcami, Smolinianami i Morzyczanami, którzy mają 11 grodów... Obok nich są ci, których zowią Hawelanami... Mają 14 grodów. Pырzycanie mają 70 grodów i Wolinianie 70 grodów...

Zatem w czasie, gdy zaczyna się nasza opowieść, ziemie słowiańskie nie były pustkowiec. Były krajem warownym i ludnym. Dopiero na wschód od Wioletów rozciągały się puszcze nadodrzańskie, za którymi powstawała Polska.

Wielkie spławne rzeki, jak Wisła, Odra, Łaba, płynące z południa na północ, sprzyjały nawiązaniu sąsiedzkich stosunków i wymianie handlowej. Tylko Noteć, sunąca leniwie ze wschodu na zachód, skroś bagien i moczarów, była nieprzyjazną rzeką, która dzieliła miast łączyć, utrudniała kontakt między Pomorzanami a Polanami. Nielicznych suchych brodów Noteci strzegły grody: Santok i Czarnków ze strony polskiej, z przeciwnej Nakło pomorskie.

Od południa sąsiadami Słowian Połabskich byli Serbowie, Milczanie i Łużycanie. Od północy granicę Słowian Połabskich stanowił Bałtyk, na jego przeciwnym brzegu leżały dziedziny ludów skandynawskich: Duńczyków, Norwegów, Szwedów. Surowa przyroda, uboga gleba, wyrobiły w nich cnoty wojowników: męstwo, sprawność, pogardę śmierci, solidarność. Dzięki tym zaletom Skandynawowie docierają wszędzie, dokąd można dopłynąć wodą. Zakładają swoje księstwa na wyspach brytyjskich, w północnej Francji i południowej Italii. Ciągąc statkami w górę rzeki Dźwiny, przedostają się na Dniepr i na Morze Czarne.

Dla tych Wikingów urodzajne wybrzeża południowego Bałtyku stanowią nieodpartą pokusę. Rzadkie lata mijają dla



Słowian spokojnie, bez duńskiego najazdu na ziemie węgryjskie, wieleckie albo pomorskie. Najazdy te są krwawo i skutecznie odpierane. Przyjdzie czas, że Duńczycy osiągną swój cel, ale to jeszcze nieprędko nastąpi. Na razie siły są równe, przeciwnicy szanują się wzajem. Gdy książęta słowiańscy zawrą rozejm z królem duńskim, wczorajsi antagoniści spotykają się jak przyjaciele na targach wolińskich.

Granicą wiecznie płonąca, nie znającą zawieszenia broni, rozejmu ani pardonu, pozostaje granica zachodnia.

Wśród cytatów gęsto rozmieszczonych w tekście książki, obok bezosobowych wzmianek annalistów, zapisujących w księgach klasztornych zaszłe w danym roku wojny, powodzie, zmiany na stanowisku księcia lub opata, czytelnik znajdzie obszerne fragmenty kronik włączonych w dosłownym brzmieniu w tok opowiadania. Nazwiska ich autorów będą się często powtarzać, wypada zatem powiedzieć o każdym z nich parę słów, wymieniając w porządku chronologicznym:

Widukind (zm. w 1004 roku), mnich niemiecki z benedyktyńskiego klasztoru w Korbei (Saksonia), sumienny i bezkrytyczny. Pisząc swą kronikę *Dzieje Saskie* nie zdawał sobie pewno sprawy, że brzmi ona jak zeznanie świadka oskarżenia.

Biskup merseburski Thietmar (zm. w 1018 roku) z rodu saskich wielmożów, typowy przedstawiciel swojej kasty i swojej rasy, zarówno w dobrym, jak w złym. Nie cierpi Słowian, uznaje współczesnego mu Mieszka, szczególną zaś nienawiścią darzy Bolesława Chrobrego. Nie ukrywa jednak faktów przykrych dla cesarstwa. Bez tego wroga nie znalibyśmy szeregu ważnych szczegółów z panowania pierwszych Piastów. Thietmar jest świetnym pisarzem, o stylu plastycznym, zapalczywym jak jego charakter.

Kanonik Adam z Bremy (zm. ok. 1085 roku), autor *Dziejów kościoła Hammburskiego* (Hamburskiego), pracy ścisłej i bezstronnej. Wielu późniejszych kronikarzy, na przykład Helmold, czerpało z niej wiadomości.

Helmold (zm. po 1177 roku), proboszcz z Bożowa w Wagrii, zostawił obszerną *Kronikę Słowiańską*, niezastąpione źródło wiadomości dotyczących XII wieku na ziemiach obodrzyckich i wieleckich. Helmold jest człowiekiem dobrodusznym, drobiazgowym. Podobnie do Widukinda nie posiada własnego zdania, wielbi swych książąt, choćby okrutników jak Henryk Lew czy Albrecht Niedźwiedź, pochwała politykę eksterminacji Słowian. Czasami pisarz ten zdaje się żywić utajone zastrzeżenia, rzadkie to są jednak przebłyski. Bóg, na którego wciąż się powołuje, stoi zawsze po stronie niemieckiej.

Sakso Gramatyk (ok. 1150 roku – ok. 1206 roku), historyk duński. Jego *Gesta Danorum* (Czyny Danów) rażą stronniczością w stosunku do Słowian. Słowianie według niego nie mają pojęcia o walce, Danowie nad nimi górują, nawet wtedy kiedy statki duńskie zmuszane są do ucieczki. Poza tym brakiem obiektywizmu, dzieło Saksa Gramatyka jest zajmujące i cenne.

Anonim tzw. Gall (XI/XII wiek). Pierwsza zachowana kronika polska. Szczególnie wartościowy jest w niej opis wczesnych lat panowania Bolesława Krzywoustego, współczesnego autorowi. Styl Anonima żywy, bogaty w porównania i antynomie, w niektórych rozdziałach porywający. W przeciwieństwie do Helmolda lub zakonnika z Korbei, Anonim ma własny sąd o wypadkach i nie ukrywa go. Z kroniki Anonima dowiadujemy się wielu ciekawych szczegółów techniczno-obyczajowych.

Herbord. Żywotopisarz św. Ottona z XII wieku, dał nam drobiazgowy opis dwukrotnej podróży misyjnej Apostoła Pomorza. Wprawdzie Herbord osobiście do misji nie należał, ale dzieło swe spisał później na podstawie relacji zakonników Sefrida i Thieme, towarzyszy św. Ottona. Pracy swej autor dał formę dialogu pomiędzy tymi dwoma braćmi. Pióro Herborda wiernie i żywo przedstawia piękną postać biskupa z Bambergu. Czytając te księgi, wolne od obowiązującego w średniowieczu schematu, czuje się, że żywotopisarz czerpał informacje od naocznych świadków.

Bł. Wincenty Kadłubek (ok. 1160–1223 roku), pierwszy w tym szeregu intelektualista, miłośnik literatury starożytnej, której znajomością chwali się przy każdej okazji. Poprzez ozdobność literacką stylu przebija szlachetne serce, kultura umysłowa i... słaby kontakt z rzeczywistością. Mistrz Wincenty wzrusza czytelnika, lecz materiału faktycznego daje bardzo mało.

Tomasz Kantzow, ostatni z tej listy, był pisarzem na dworze książąt pomorskich w początkach XVI wieku. Szczególne przywiązanie żywił do Bogusława X pomorskiego. Bo też ten zięć Kazimierza Jagiellończyka to wyjątkowo bujna, renesansowa postać. Żal bierze, że odnośne rozdziały Kantzowa wybiegają chronologicznie daleko poza ramy *Troi*.

Wymienieni poprzednio Thietmar, Helmold, Herbord byli rodowitymi Niemcami. Kantzow jest z pochodzenia Słowianinem, zniemczonym, lecz zachowującym podświadomy sentyment do swojej rasy. To wprowadza odrębną nutę do jego narracji.

Jakkolwiek ważne są źródła, źle by postąpił autor ograniczający się wyłącznie do nich. Ślad kronikarzy nieraz się urywa. W opowiadaniu są przerwy lub bałamutne przedstawienie faktów, a troska o ścisłość chronologiczną jest z reguły rzadka. „Pozostawał tam przez wiele dni czy lat” – bywa częstym określeniem. Utrzymanie właściwego toku, a więc i właściwego sensu wypadków, byłoby trudne bez przewodnictwa Historii. Zdając sobie z tego sprawę, autorzy niniejszego przy każdej wątpliwości sięgali do dzieł polskich historyków, zarówno dawniejszych, jak dzisiejszych i najmłodszych, odkrywających śmiało nie zauważone dotychczas aspekty przeszłości. Jeżeli nazwiska ich nie zostają tutaj wymienione, to z obawy, by nie przeciążyć książki wielostronicową bibliografią. Wszak do historyków dołączyć by należało wszystkich pomocnych przyjaciół, kolegów-pisarzy, bibliotekarzy, archeologów, językoznawców, udzielających z braterską gotowością wskazówek lub danych. Wszystkim im autorzy składają na tym miejscu

gorące podziękowanie, pomni, że jak każde dzieło umysłu ludzkiego, tak i *Troja Północy* stanowi pracę zbiorową, utkaną wspólnym wysiłkiem umarłych i żywych.

Wstęp do wydania z 1960 r.

*Autorzy*

## SPUŚCIZNA KAROLA WIELKIEGO

Syn Pepina, wnuk Karola Młota, pogromcy Saracenów, Karol Wielki zapoczątkował nowy rozdział dziejów. Słabo czytał, do końca życia nie nauczył się pisać, lecz okres jego panowania historia nazywa Pierwszym Odrodzeniem.

...próbował i pisać. W tym celu miał zawsze pod poduszką tabliczki i książeczki, żeby w wolnej chwili przyzwyczajając rękę do kreślenia liter. Lecz nie na wiele przydał się ten trud niewczesny i tak późno zaczęty” (Einhard, *Życie Karola Wielkiego*).

Dziedzictwo, jakie objął po ojcu i bracie, powiększył znacznie, scalając w jedno plemiona, mrowiące się na trupie rzymskiego Imperium. Poddał swej władzy prawie całą Europę Zachodnią i Środkową, doszedłszy na wschodzie do Łaby. Zamierzył w chrześcijańskim kształcie wskrzesić zdruzgotaną przeszłość jako święte cesarstwo rzymskie. Olbrzymim tym obszarem rządził sam, nie mając faworytów ani doradców, tylko wykonawców.

Panował długo, szczęśliwie. Przyjaciół legendarnego Harun al-Raszyda, stał się sam jeszcze za życia legendą. W pamięci wieków pozostaje majestatyczny, sprawiedliwy, mądry. Na wyobraźnię ludów działał tak silnie, że polskie słowo król, czeskie kral, ruskie korol, z jego powstały imienia.

Lecz losy Słowian zetknęły się nie tylko z legendą potężnego władcy.

U wschodniej granicy państwa karolińskiego siedzieli wojowniczy Sasi. Ilekroć wielki król zajęty jest walką, bądź z Longobardami w Italii, bądź z Maurami w Hiszpanii, Sasi przekraczają granicę, czyniąc wypady w głąb ziem frankońskich. Jak dokuczliwe gzy drażnią królewskiego rumaka. Na

koniec cierpliwość Karola się wyczerpuje. W roku 772 wyowiada wojnę eksterminacyjną Sasom.

Majestatyczny, legendarny władca potrafi być dziko okrutny. Złamawszy powstanie Widukinda, żąda od wodzów plemiennych cztery i pół tysiąca zakładników. Otrzymuje ich i tegoż dnia wszyscy zostają ścięci. Powstanie wybucha na nowo. Karol po trupach idzie dalej. Podbija i... chrzci.

Ród Karola jest chrześcijański od paru pokoleń. On sam jest gorącym chrześcijaninem. Kronikarze współcześni nazywają go „najpobożniejszym” lub „arcypobożnym”. Funduje klasztory, wznosi przepiękne katedry, obdarza Kościół dobrami, broni papieża przed napaściami Longobardów. Raduje się, że rozszerza wiarę, chrzcząc pod groźą miecza pozostałych przy życiu Sasów w krwią spływających osadach.

Przyjaciel Karola, wychowawca jego synów, mądry mnich Alkuin karci cesarza:

Jak można zmusić człowieka, aby uwierzył, jeżeli nie wierzy? Można przymusić do chrztu, ale nie do wiary.

Lecz dla Karola, jak i dla większości jego współczesnych, to rozróżnienie nie istnieje. Pogan trzeba ochrzcić lub wytępić. Nieubłagana walka trwać będzie z krótkimi przerwami trzydzieści trzy lata.

...dawali [Sasi] zakładników, jakich od nich żądano, i przyjmowali namiestników królewskich... Niekiedy byli już tak zgnębieni i skołatani, że obiecywali nawet porzucić kult demonów i przyjąć wiarę chrześcijańską. Lecz zawsze istniała w nich gotowość, by zburzyć te wszystkie zamiary... Od początku wojny nie było chyba roku bez jakiegś tego rodzaju nagłej przemiany... (jw.).

Gdy przeto żaden rok bez wojny się nie obył, zostali Sasi na koniec zwyciężeni, a dziesięć tysięcy mężów z żonami i dziećmi przesiedlono do Galii (Helmold, *Kronika Słowian*).

Przesiedlenia, jedna z bolesnych form podboju, stosowane były już w starożytności (Babilon!). Na tych ziemiach jednak mają miejsce po raz pierwszy.

Rządy Karola Wielkiego w podbitym kraju są nam znane dzięki zachowanym słynnym jego *Kapitularzom* (*Capitulare de partibus Saxoniae*). Według nich zarówno ciężkie przewinienie, jak przejście samowolne z osady do osady lub złamanie postu, karane są śmiercią.

Mimo przydomku „Najpobożniejszy” Karol zawiera sojusz z pogańskimi Obodrzycami, jako wrogami Sasów. Liczy, że dzięki temu przymierzu uparte plemię saskie będzie wzięte w dwa ognie.

Okrucieństwa stosowane wobec Sasów dają rezultat niezamierzony. Powstanie wybucha za powstaniem, wywołując coraz krwawsze represje. I dopiero w roku 804 Karol podbija ostatnie, broniące się dotąd przed inwazją Franków, północne dzielnice saskie.

Następuje teraz bezpośrednie spotkanie mocarza ze światem słowiańskim.

...na wybrzeżu [morza] mieszkają różne narody. Duńczycy i Szwedzi, których my nazywamy Normanami, zajmują brzeg północny i wszystkie wyspy. Wschodni [południowi] zaś brzeg należy do Słowian... Wśród nich najważniejsi są Welatabowie [Wieleci]... (Einhard, *Żywot Karola Wielkiego*).

Zdobywca ze zdumieniem stwierdza ilość i zasięg tych ludów. Czy zdają sobie sprawę ze swej siły? Mogłyby stworzyć potęgę groźną dla Zachodu...

Liczne są plemiona słowiańskie. Od zachodu... Wagrowie. Dalej idą Obodrzyce... Bliżej nas Połabianie, których grodem Racibórz... Blisko nich mieszkają Chyżanie i Czeczpienie, których od Doleńców i Redarów oddziela rzeka Piana... Te ludy z powodu męstwa zwane są Lucicami.

Powiadają, że [Słowiańszczyzna] jest dziesięć razy większa niż Saksonia, szczególnie jeśli się dorzuciło jako część Słowiańszczyzny Czechów i Polaków, którzy są za Odrą, ponieważ ani obyczajem, ani mową nie różnią się między sobą. Kraj ten jest nadzwyczajnie bogaty w broń, ludy i płody rolne, tudzież zewsząd wzmocniony przez góry i rzeki pograniczne...





Roczniki Einharda podają więcej szczegółów:

...jest lud słowiański, siedzący nad brzegami Oceanu [Bałtyku], który w swoim języku Welatabami [Wioletami] się zowie. Ten zawsze był nieprzyjazny Frankom, a sąsiadów swoich, poddanych albo sojuszników frankońskich, zwykł był ścigać nienawiścią i nękać wojną. Król, nie mogąc dłużej znieść tej pychy, postanowił nawiedzić ich ziemie. Zebrawszy wielkie wojsko, przeszedł Ren w pobliżu Kolonii. Stąd, kierując pochód przez Saksonię, doszedł do Łaby. Sam po przejściu rzeki poprowadził wojsko i najechawszy ziemie Welatabów, spustoszył wszystko mieczem i ogniem. A lud ów, chociaż wojowniczy i dufny w swą mnogość, nie zdołał długo wytrzymać naporu wojska królewskiego.

Działo się to w 789 roku.

Tyle *Roczniki Einharda*. Późniejsi historycy sądzą, iż ta wyprawa nie była całkowicie zwycięska, skoro Karol cofnął się do Saksonii bez żadnych zdobyczy terytorialnych.

Teraz mocarz zabezpiecza starannie swe państwo od wschodu, czyli od Słowian. Buduje linię obronną, umocnioną rozmieszczonymi gęsto strażnicami i gródkami o stałej załodze. Owa linia Maginota IX wieku, przecinając kontynent europejski, oddziela leżące na wschód od niej obszary słowiańskie od ludów mieszkających na zachodzie. Linia ta zwana serbską, *Limes Sorabicus*, brała początek u wybrzeży Adriatyku, przechodziła w okolicy dzisiejszego Linzu brzegiem Dunaju, zdążając do Ratzbony, stąd do Norymbergi. Od Norymbergi na Bamberg, Erfurt i Magdeburg, a dalej wzdłuż biegu Sali i Łaby. Od ujścia Łaby do brzegów Bałtyku stanowiła granicę leżących po jej zachodniej stronie północnych Sasów (po łacinie zwanych Nordalbingami) i na tym odcinku nazywano ją *Limes Saxonicus*. Linia ta wyłączała z calizny słowiańskiej plemiona mieszkające na zachód od niej, nad rzekami Fuldą i Menem.

Istnienie tych ludów stwierdza dokument wydany w roku 826 przez Ludwika Pobożnego, syna Karola Wielkiego, w którym między innymi czytamy:

Pan nasz i rodzic, Karol, cesarz najświetlejszy, polecił, aby w ziemi Słowian, którzy siedzą między Menem a Radęcą, biskupi wraz z komesami, którzy nad tymi Słowianami byli przełożeni, zadbali o to, aby tam, jak w innych miejscach pobytu chrześcijan, zostały wybudowane kościoły w ilości, jakiej ów lud świeżo nawrócony mógłby potrzebować...

*Limes Sorabicus* okazała się podobna do linii Maginota również w tym, że nie stanowiła dostatecznej osłony granicy. Już w roku 805 Karol Wielki wydaje surowy zakaz sprzedawania przez nadreńskich płatnerzy zbroi i mieczów Słowianom.

Syt chwały i potęgi Karol Wielki zmarł w siedemdziesiątym roku życia, a czterdziestym siódmym panowania, w styczniu 814 roku. Wraz z nim zgasła idea świętego, uniwersalnego cesarstwa rzymskiego. Echo jej odezwie się po latach w poczynaniach Ottona III, lecz z bezpośrednich spadkobierców Karola żaden nie był zdolny do jej podźwignięcia i zrozumienia. Podobnie jak niegdyś dziedzictwo Aleksandra, olbrzymie państwo Karola rozpadło się na części. Wśród nich powstał nowy twór: królestwo, potem cesarstwo niemieckie. Sasi weszli w jego skład.

Plemię saskie należy do wielkiej rodziny germańskiej. Germanie wcześniej od Słowian osiedli na zajmowanych przez siebie ziemiach. Przez kilka wieków sąsadowali z rzymskim imperium i to nie z próchniejącą ruiną, jaką oglądali Słowianie południowi, lecz pełnym jeszcze potęgą i mocy państwem Juliusza Cezara. Kilka pokoleń trwające zacięte walki Rzymian z barbarzyńcami wpoły Germanom podziw dla świetnej rzymskiej organizacji cywilnej i wojskowej, nauczyły ich naśladować ją. Zetknięcie, acz przymusowe, z rzymską cywilizacją dało im rzecz jeszcze ważniejszą, mianowicie: zmysł państwowy. Pojęcie, że siła rodzi się ze wspólnego działania.

Tej zasadniczej prawdy Słowianie nie znają.

Państwo niemieckie jest chrześcijańskie, przeto Sasi zachowując wiarę narzuconą im przemocą, poddają się hierarchii kościelnej i wkrótce widzimy ich występujących naj-

gorliwiej przeciw poganom-sąsiadom. Dawna nienawiść do Słowian uzyskuje najwyższą sankcję, staje się zasługą. Pogan ochrzcić lub wytepić! Zapamiętają to hasło. Nie tylko to. U progu nowego życia chrześcijańskiego prostolinijni barbarzyńcy spotkali się ze sfalszowaniem nauki Kościoła. Karol, który przymuszał ich do przyjęcia chrztu, brzydząc się rzekomo pogaństwem, sprzymierzył się z poganami, by łącznie opornych pokonać. Zatem korzyść polityczna ważniejsza jest niż religia. Tej lekcji też nie zapomną.

Odległa przestrzeń dzieli wyznawców Wotana, czcicieli bóstw pysznych i mściwych, od uznania Boga, który jest cichy i pokornego serca, nakazuje miłować nieprzyjaciół i dobrze czynić swoim prześladowcom. Dymy pożarów i kat z obnażonym mieczem nie sprzyjały przebyciu tej drogi. Nauka Chrystusa, przyjęta z odrazą, nie mogła wyrugować z serc ukochanej Walhalli pradziadów. Darmo powstaną niebawem wśród Niemców wielcy święci, co będą usiłowali zrównoważyć zbrodnie słowianobójców; darmo działać poczną ludzie dobrej woli, zatruty nurt będzie się przewijał podskórnie i niezniszczalnie. Kłątwa wiary, narzuconej przemocą, odezwie się w nieludzkości Henryka Ptasznika, grafa Gerona, Henryka Lwa, margrabiego Albrechta i długiego szeregu innych, aż do Adolfa Hitlera, który powiedział otwarcie:

Chrześcijaństwo jest orientalną trucizną w germańskiej krwi. ...nic mi nie zdoła przeszkodzić w wykarczowaniu chrześcijaństwa z Niemiec aż do ostatniego korzenia.

Niemiecka hierarchia kościelna odegrała ważną rolę w dziele podboju Słowian, toteż należy poświęcić nieco uwagi owym biskupom, dla których krzyż był głowicą miecza. Co prawda, czyż mogli być inni? Wśród duchowieństwa co światlejsze jednostki chroniły się do zakonów, unikając godności kościelnych. Poziom duchowieństwa świeckiego był w owych czasach zawstydzająco niski. Od biskupa wymagano, by znał Kanon Mszy Św., Ojcze nasz, Credo, formuły do udzielania sakramentów. Jeżeli jeszcze potrafił cytować *Ho-*

*milie* św. Grzegorza Wielkiego, uchodził za wybitnego. Nie zominajmy również, że biskupów germańskich mianował nie papież, lecz król albo cesarz niemiecki. Ale i papież nie byli wolni od tej supremacji. Według *Constitutio romana* cesarza Lotara (IX wiek) konsekracja nowo obranego papieża mogła nastąpić dopiero po złożeniu przezeń przysięgi na wierność cesarzowi. Gdy Grzegorz IV chciał się od tego uchylić, zebrani w Wormacji biskupi frankońscy i niemieccy zagrozili mu ekskomuniką. Powszechnie mniemanie przyznawało panującym niemieckim stanowisko nadrzędne.

Albowiem tylko nasi królowie i cesarze, jako docześni zastępcy Najwyższego Władcy, mają prawo mianowania oraz przysługujące im z mocy prawa zwierzchnictwo nad wszystkimi swoimi pasterzami... (Thietmar, *Kronika*).

„Docześni zastępcy samego Boga” mogli swobodnie dobrać na ważne stanowiska kościelne ludzi, odpowiadających ich politycznym zamiarom. Choć papież udzielał sakry biskupom, cesarz uzupełniał ceremonię, nadając biskupstwo. Świeżo mianowani przez papieża biskupi przyjmowali na klęczkach od cesarza nadanie i ślubowali mu wierność, jako wasale. Że zaś bezżenność wyższego duchowieństwa usuwała obawę powstawania nowych rodów magnackich, wszyscy panujący chętnie przeciwstawiali książętom i grafom dostojników kościelnych, bezpieczną podporę tronu. W ustawicznej trosce o ograniczenie potęgi wielmożów wzmacniali wpływy Kościoła przez hojne nadania. Duchowieństwo otrzymywało prawa targowe, prawa cła i bicia monety, przywileje sędziowskie i wojskowe. Posiadłości kościelne nie podlegały władzy komesów, były nietykalne. W zamian za to biskupi i opaci pełnili funkcje kanclerzy, dyplomatów, nieraz wodzów, składali daniiny w naturze, podejmowali dwór królewski w razie przyjazdu w okolice, a wojska królewskie składały się w znacznej części z wasali Kościoła. Stąd wynikało, że dostojnicy duchowni byli przede wszystkim dygnitarzami świeckimi, a stanowisko zawdzięczali cesarzowi. Cesarz miał prawo odebrać biskupstwo nieodpowiedniemu jego zdaniem człowiekowi, odsyłając go na

dożywotnią pokutę do oddalonego klasztoru. Cesarz rozporządzał sankcjami, jakich nie posiadał Lateran. Zresztą nawet u wartościowych jednostek ogrom obowiązków cywilnych czy wojskowych nie dopuszczał przykładania należytej uwagi służbie Bożej.

Powszechne mniemanie, że zmuszenie pogan do przyjęcia chrztu jest samo w sobie dziełem apostołskim i świętym, uśmierzało ewentualny niepokój sumienia. Biskupi niemieccy poczytywali pogańskie ziemie Słowian za własną winnicę, przez Boga im powierzoną dla karczowania obrzydłych błędów pogańskich i ściągania z niej daniny. Tej własności strzec będą drapieżnie, gdziekolwiek się znajdą, czy to na pograniczu Bawarii, czy Saksonii.

## ROZDZIAŁ II

# KARKU UGIĄĆ MUSZA...

Od łągów nadodrzańskich, od puszczy połabskich, od bursztynowego wybrzeża Bałtyku, przenieśmy się na przeciwległy kraniec siedzib słowiańskich, nad Morze Egejskie. Odległość znaczna, lecz pokrewność bliska.

W ruchliwym portowym mieście greckim Tessaloniki (po słowiańsku Saluna), dziś Saloniki, mieszkała wdowa po dygnitarzu bizantyjskim, zastępcy stratigosa (namiestnika prowincji) z dwoma synami, Metodym i Konstantym. Metody, natura kontemplacyjna, zamknięta, był stworzony dla życia zakonnego; młodszy posiadał niepospolite zdolności, cechowała go żywość, ruchliwość i przedsiębiorczość.

Ówczesne życie międzynarodowe ocierało się o Tessaloniki, lecz właściwe tło stanowiła rdzenna ludność miejscowa – Słowianie. Miasta były greckie, wsie słowiańskie. Grecy stykali się ze Słowianami nieustannie, na targu, na ulicy, w polu czy w podróży, toteż obaj bracia znali biegle mowę słowiańską, bogatą, świegotliwą, daleką od oszczędnej logiki łaciny lub klasycznej greki.

Uspodobienie braci zdecydowało o ich dalszych losach. Metody został mnichem w czcigodnym klasztorze Athos, założonym według tradycji przez Apostołów. Oblany morzem, zaledwie wąskim pasmem ziemi połączony z lądem, klasztor stał na wysokiej górze, wypełniony modlitwą i medytacją. Z okna celi młody Grek widział tylko błękit nieba, zawieszony nad błękitem morza, i mógł wyobrazić sobie, że przebywa w niebie.

Konstanty osiadł w Bizancjum, stolicy pełnej wiedzy, bibliotek, uczonych, i chłonał naukę z rozkoszą. Niebawem mimo młodych lat otrzymał zaszczytny tytuł Filozofa (ówczesny rodzaj doktoratu) i stanowisko bibliotekarza Patriarchy. Opinia o jego bystrości dotarła również na dwór cesarski.

Mimo odpowiedzialnych zajęć nowego zawodu Konstanty nie zaniedbywał rozpoczętej wcześniej pracy, która go tak pochłaniała: układania alfabetu, którym można by pisać po słowiańsku. Wielodźwiękowa bowiem ojczysta mowa niezliczonych ludów nie posiadała dotychczas możliwości utrwalenia się w piśmie. Alfabet: łaciński, grecki, hebrajski lub arabski, nie mogły oddać jej brzmień. Po kilku latach Konstanty osiągnął cel, ustalił odpowiednie znaki, przepisał posługując się nowym alfabetem niektóre modlitwy przełożone przezeń na słowiański i uznał swe dzieło za dobre. Powodzenie zachęciło go do dalszych tłumaczeń. Czy wersety Pisma Świętego, po raz pierwszy od czasów istnienia Kościoła przekładane na słowiański język, przydadzą się na cokolwiek – Konstanty jeszcze nie wiedział.

W roku 855 dwudziestosiedmioletni Filozof porzucił dotychczasowe zajęcie.

Chazarowie, lud pochodzenia fińsko-uralskiego, posiadali bogate stacje handlowe nad Wołgą, Morzem Kaspijskim i Czarnym. Pozostawali w dobrych stosunkach z Bizancjum. Ówczesny kagan, czyli książę Chazarów, budując nową stolicę, Sarkal nad Donem, zapragnął wznieść ją w stylu nowoczesnym, z łaźniami, teatrem, amfiteatrem. W tym celu zwrócił się do cesarza greckiego, Michała III, z prośbą o udzielenie mu uczonych, artystów, krasomówców „nie lękających się niebezpieczeństwa”, inżynierów i budowniczych. Basileus przyjął poselstwo z zadowoleniem, bo gród budowany przez Greków zwiększył wpływy greckie. W liczbie specjalistów, mających spędzić rok czy dłużej u Chazarów, znalazł się Konstanty.

Pełnemu inicjatywy Grekowi nie wystarczała rola doradcy kagana. Wolny czas zużywał na poznawanie kraju i ludzi. Próbował szerzyć chrześcijaństwo między Chazarami, ale bezskutecznie. Chazarowie byli wyznawcami religii mojżeszowej, niechętnie usposobionymi do wyznawców Chrystusa. Filozof zwrócił się zatem do Słowian znajdujących się tu w służbie greckiej. Jego usiłowania apostołatu znalazły nadspodziewanie życzliwy oddźwięk. Nauki podawane prostaczkom w ich

własnej mowie przyjmowane były z dziecięcą ufnością, niemal z zachwytem. Uderzony tym Konstanty przerwał pracę, by odwiedzić Metodego.

– Bracie! – wołał do zatopionego w kontemplacji mnicha. – Dość spokojnego dumania! Chodź, będziemy razem siewcami Słowa Bożego!

Nieśmiały odludek nie chce zrazu o tym słyszeć. Konstanty nalega:

– Lękasz się utracić celę, do której możesz, gdy zechcesz, powrócić? Spokój ulubiony będzie tu czekał na ciebie... Ja rzucam świetną przyszłość przy dworze, by stracić ją bezpowrotnie.

To było prawdą. Metody, przekonany, żegna klasztor, by towarzyszyć młodszemu bratu. W roku 858 są znów w otoczeniu kagana, tym razem na Taurydzie (Krymie). Metody posiada święcenia, może chrzczyć pogan zjednanych przez Konstantego. Niechęć Chazarów utrudnia działalność braci wśród wschodnich Słowian. Te obszary pozostaną dla nich niedostępne.

W roku 861 w Chersonesie taurydzkim Konstanty, urodzony szperacz i badacz, znalazł na małej wysepce przybrzeżnej starożytny, zrujnowany kościółek; w opuszczonym wnętrzu wsparta o płytę grobową, stała pokryta śnieżką odwieczna rzymska kotwica. Na płycie widniały na wpół zatarte słowa greckie. Konstanty z zapalem odczytywał je z pyłu i mchu, a odczytawszy napis, padł dziękczynnie na kolana.

By pojąć jego wzruszenie, trzeba się cofnąć siedem wieków wstecz:

Bezpośrednio po Piotrze Rybaku biskupem rzymskim był Linus, po Linusie Klet. Dwaj pierwsi papieże chrześcijańskiego Kościoła zginęli śmiercią męczeńską, po czym wierni obrali Klemensa.

Od śmierci Apostołów nikt wśród chrześcijan nie cieszył się taką miłością i autorytetem jak Klemens. Ten Sługa Pański, szaszczycany niegdyś przyjaźnią Piotra i Pawła, był pełen mądrości i miłosierdzia. Świadczą o tym jego pisma, szczegól-



nie piękny, w pierwszych wiekach powszechnie znany i często odpisywany, list do Koryntian.

Za panowania cesarza Trajana, w okresie nowej fali prześladowań chrześcijan, papież Klemens został zesłany na dożywotnie ciężkie roboty w kopalniach Chersonesu. Gdy pracujący tam zbrodniarze, bestie w kajdanach, cyniczne i wściekłe, przemienili się po pewnym czasie w baranków, odmawiających przy pracy modlitwy, przerażony nadzorca kopalni, węsząc czary, kazał rzucić Klemensa do morza. Uwiązano mu w przód do szyi kotwicę, by uniemożliwić wypłynięcie zwłok.

Zgon ukochanego papieża poruszył ówczesny światek chrześcijański. Śmierć za wiarę była sprawą chwalebnie radosną, nikt nie ośmieliłby się opłakiwać męczenników, lecz gorzkim żalem przejmowała myśl, że świątobliwe szczątki leżą na dnie morza, zamiast jako relikwie stanowić źródło siły i wytrwania. Krążyły niejasne pogłoski, jakoby znaleziono ciało, lecz zapytywany w tej kwestii Konstantynopol milczał. W Rzymie na murach domu, zamieszkiwanego niegdyś przez Klemensa, wzniesiono kościół pod jego wezwaniem, ale relikwii patrona w nim brakło.

Teraz rozumiemy, co czuł Konstanty Filozof, odkrywszy pochodzący sprzed siedmiuset laty grób świętego papieża, Klemensa I.

Młody uczoney roił wielkie plany, do realizowania których niezbędne było przyzwolenie Rzymu. Nieraz myślał z niepokojem, jak Stolica Apostolska przyjmie nieznanego Greka, przynoszącego dziwaczne pomysły. Czy Ojciec Święty zechce go wysłuchać? Teraz, dostawszy w ręce skarb zagubionych relikwii, nie wątpił, że zostanie przyjęty.

Biskup grecki w Taurydzie, zawstydzony opuszczeniem, w jakim znaleziono grobowiec, zgodził się przekazać braciom prochy świętego papieża. Przełożono je do okutej skrzyni orzechowej, a znalazca przysiągł, że odda depozyt do własnych rąk papieżowi. Kotwica z racji ciężaru została.

Kagan nie potrzebował więcej usług Konstantego. Bracia wrócili do Bizancjum. Mieli przed sobą dwa ważne zadania:

nawracanie Słowian, potem pielgrzymkę do Rzymu. Taką kolejność ustalili Konstanty. Na razie musi on jeszcze przełożyć Ewangelie i księgi liturgiczne na język słowiański. Metody w tym czasie zostaje archimandrytą monasteru Polichron nad Morzem Marmara.

Czy Filozof w tym okresie nawiązał stosunki z książętami słowiańskimi? Być może, skoro w roku 863 przybyło do Bizancjum poselstwo księcia morawskiego Roścysława, syna Mojmira, prosząc o kapłanów, którzy by uczyli jego lud wiary chrześcijańskiej w języku słowiańskim. Basileus Michał III wysłał braci Tessaloniczan, jako jedynych, którzy się tej misji podjąć mogą.

Godzi się, bracie – rzekł starszy – byśmy przed odejściem pożegnali matkę naszą. Poszli zatem do Tessalonik, prosić o błogosławieństwo tej, która ich urodziła... Stara kobieta płakała, żegnając synów. – Obiecujcie mi synkowie, że jeśli jeden z was umrze, drugi przyniesie do mnie zwłoki swego brata... – Przynękali jej, co chciała, acz obaj myśleli: Cóż, jeśli żaden nie wróci?... (*Żywot św. Metodego*).

Zabrawszy skrzynię z relikwiami św. Klemensa oraz świeżo ukończone tłumaczenie Świętych Ksiąg, bracia odpływają do dalekiej Słowiańszczyzny. Po drodze Konstanty wypytuje posłów o ich kraj. Ze zdziwieniem poznaje, jak wielki obszar zajmują ludy słowiańskie. Sądził, że Panonia, Morawy to kraniec ich dziedzin, a dowiadywał się, że słowiańskie ludy zamieszkują znacznie dalej. Czesi, Chrobaci, Ślężanie, Wiślanie, Polanie, Pomorzanie i jeszcze inne plemiona słowiańskie aż do bursztynowego morza zwanego Bałtykiem... Czy są między nimi ludy już ochrzczone? Odpowiedź wahająca... Są.

Z półwyspu Istria, wozem zaprzężonym w woły, Konstanty i Metody jechali na północ przez kraj piękny, urodzajny, gdzie ludność im była życzliwa. W Panonii, nad Jeziorem Błatnym (Balaton), w stolicy swej Błatno książę słowiański Kocel chciał ich zatrzymać u siebie. Musieli odmówić, śpiesząc do Wielehradu, gdzie czekał już książę Rościsław.

Bracia z radością widzieli, że tutejsi książęta garną się do chrześcijaństwa. Metody w prostocie ducha składał za to dzięki Bogu. Konstancy, praktyką w cesarskiej kancelarii obznajmiony z tokiem myśli panujących, cieszył się, lecz szukał przyczyny zbawiennej gorliwości.

Rozmowy z księciem Rościsławem ujawniły przed nim dwa powody. Pierwszy, że pogaństwo, czcząc lokalne bóstwa obsługiwane przez rywalizujących ze sobą kapłanów, nie sprzyjało jednoczeniu, raczej przeciwnie, potęgowało rozbitcie na poszczególne plemiona. Budowniczo wiec państw w rodzaju Rościsława z rodu Mojmira, czy Kocela, syna Przybiny, zazdrościli władcom chrześcijańskim podpory, jaką dla tronu stanowiły jedna wiara i jedno kapłaństwo.

Drugi powód wymieniali już posłowie w czasie podróży: powszechna niechęć Słowian do wiary narzucanej przez Niemców.

Przed sześćdziesięciu laty Karol Wielki uznał ziemie słowiańskie, leżące na wschód od granicy nad Dunajem, za przyszły teren misyjny pogranicznych diecezji bawarskich: salzburskiej, passawskiej i ratyzbońskiej. Tej darowizny Stolica Apostolska nie uznała. Przed paru wiekami kwitło na tych ziemiach chrześcijaństwo idące z Bizancjum, sięgało na północy aż do plemion Chorwatów i Słoweńców. Tworzyło biskupstwo panońskie, ze stolicą w Syrmium (Śremie) nad dolną Sawą, wchodząc w skład wielkiej metropolii zwanej scytyjską. Unicestwił je najazd Awarów w VI wieku, lecz Kościół nie tracił nadziei, że pola spustoszone obsieje i dawną diecezję wskrzesi.

Obdarowane przez Karola Wielkiego biskupstwa nie liczyły się z tymi poglądami wcale. Panonię i Morawy uważały za własne dziedzictwo. Zgodnie z opinią konfratrów saskich, że Słowianie są niezdolni do pojmowania wzniosłych prawd wiary, biskupi bawarscy mniej zabiegali o nawracanie pogan, lecz z pomocą pogranicznych grafów gorliwie ściągali daniny.

Trzy lata bracia Saluńscy, jak ich tu powszechnie zwa, przemierzają krainy morawskie od Dunaju po Karpaty

i Sudety. Mają już gromadę uczniów i obfite plony. Nie omijają żadnej osady, chociażby najmniejszej. Wchodząc w obejście, mówili, że przynoszą mir, więc mirem ich wzajem witano, bo piękne są nogi zwiastujących pokój. Gorące serca, inteligencja, kultura, składały się na urok osobisty braci, jednający otoczenie i budzący zaufanie. Gdziekolwiek przyszli, zastawali serca gotowe do przyjęcia wiary. Ze wzruszeniem patrzyli, jak na ich drodze odżywa dawne chrześcijaństwo wytepione przed dwustu laty przez Awarów. Spotykali otaczane dotychczas czciami ułamki świątyń z IV i V wieku Odnajdywali żywe wspomnienia Boga Prawdziwego w potocznej mowie ludu, jego uczuciach, podaniach i pieśniach. Tych źródeł zasypanych nie mogli odkopać księża niemieccy, oddzieleni od Słowian poczuciem wyższości i nieznajomością języka. Pozornie wyschły nurt występował na jaw dopiero teraz, pod dotknięciem dłoni obu braci.

Szczęśliwe to były lata, lecz minęły szybko. Ambitny patriarcha konstantynopolitański Focjusz rozpocznie niedługo spór z papieżem, otwarcie dążąc do uniezależnienia się od Rzymu. Będą to pierwsze złowrogie sygnały rozłamu, który w dwieście lat później miał przeciąć Kościół Chrystusa na dwoje. Wzajemna wrogość zapanowała między Wschodem a Zachodem. W oczach łacinników wszystko, co greckie, zaczęło trącić herezją.

Zagubieni w dąbrowach słowiańskich, pochłonięci swoją pracą Metody i Konstanty mało co o buncie Focjusza wiedzieli. Lecz biskupi bawarscy, gniewnie śledzący ich poczynania, skorzystali z panujących nastrojów, by oskarżyć braci przed Stolicą Apostolską, że usiłują Słowian oderwać od prawdziwej wiary. Zaniepokojony papież wezwał apostołów, by się stawili przed jego oblicze.

Nadszedł więc czas pielgrzymki do Rzymu dla dopełnienia przysięgi i złożenia u stóp Ojca Świętego okutej skrzyni z drzewa orzechowego, którą niejednokrotnie podczas przeprawy bezdrożnej dźwigali na własnych barkach. Do Rzymu,

dla uzyskania papieskiego przyzwolenia na dotychczasową pracę.

Po drodze, w Wenecji, zakonnicy podmówieni przez biskupa salzburskiego rzucili się na Tessaloniczan „niby kruki na sokołów”.

...urągając im i grożąc, wołali: – Cóż to za księgi daliście Słowianom i nauczacie z nich?! Czyż nie wiecie, że mowy barbarzyńskiej nie obrali ani Apostołowie, ani papież rzymski, ani Hieronim, ani Augustyn, ani teolog Grzegorz? Bóg upodobał sobie tylko trzy języki: hebrajski, łaciński i grecki (*Żywot św. Metodego*).

Konstanty śmiało odpierał zarzuty. W Rzymie wiedziano już, jak cenne i święte wędrowcy niosą relikwie, przeto papież Adrian II:

...wyszedł z bram miasta w uroczystym stroju, otoczony duchowieństwem i mnóstwem ludu niosącego zapalone świece. Przy pobożnych śpiewach złożono relikwie na ołtarzu w kościele Św. Klemensa i cały Rzym radował się bardzo (*Legenda Italica*).

Wdzięczność za dar skłoniła papieża oraz kardynałów do uważnego wysłuchania braci. Jak zwykle przemawiał Konstanty, starszy przytakiwał milcząc.

Filozof mówił, że kołysała go niańka Słowianka, którą do dziś dnia serdecznie wspomina, że zna naturę tych pogan, czuła i wrażliwa, mogącą stać się ozdobą ludów chrześcijańskich. Jeszcze wyrostkiem będąc, bolał nad tym, że pozostają w pogaństwie, odcięci od Kościoła i cywilizacji. Niezrozumiała dla nich mowa grecka lub łacińska była przeszkodą, przed którą cofał się głosiciel Ducha Świętego. Była dachem, którego nie przenika Łaska. Jakże pouczać bez Ducha Świętego i Łaski? Jak dać poznać miłość Bożą? Niepowodzenie misji niemieckich nie leży, jak to się głosi, w zatwardziałości pogańskiej, lecz w braku wzajemnego zrozumienia. On, Konstanty, odważył się ułożyć alfabet słowiański i wraz z bratem przełożyli na pogański język niektóre Święte Księgi, które tu

składamy. Przynosimy ci, Ojcze Święty – mówił – plon ostatnich trzech lat pośród Słowian spędzonych. Jak szeroka rzeka rozlewa się Słowo Boże po tej ziemi. Nie ma w tym zasługi naszej, niegodnych sług twoich, lecz tego, że po raz pierwszy Dobra Nowina przysłała do tych ludów w zrozumiałej dla nich postaci... Racz, Ojcze Święty, rzucić okiem na te księgi, wezwij uczonych, którzy ich zgodność ze świętym wzorcem ocenią. Zaprawdę, Ojcze Święty, nie ma ludu skłonniejszego do przyjęcia chrześcijaństwa nad Słowian...

Nie jeden dzień, nie dwa, toczono na ten temat dyskusje. Na koniec Adrian II pobłogosławił słowiański przekład Świętych Ksiąg i złożył je na ołtarzu św. Piotra. Biskupom Formozusowi i Gauderikowi polecił wyświęcić przybyłych z braćmi uczniów na prezbiterów, diakonów, lektorów, Metodemu zaś i Konstantemu postanowił nadać godność biskupią. Pierwszymi prezbiterami rzymsko-słowiańskiego Kościoła zostali: Gorazd, Morawianin; Klemens, Naum, Angelar i Sabba – zapewne Słoweńcy, Czesi, Bułgarzy.

Trzy dni trwało nabożeństwo i śpiewy słowiańskie. Najpierw w kościele Św. Piotra, potem kolejno w kościołach Św. Petroneli, Św. Andrzeja i u grobu Św. Pawła... Uczestniczyli w uroczystościach Arseniusz i bibliotekarz rzymski Anastazy (*Żywot św. Metodego*)<sup>1</sup>.

---

<sup>1</sup> Do połowy XIX wieku korespondencja Stolicy Apostolskiej z biskupami bawarskimi, dotycząca apostołstwa Metodego oraz utworzenia metropolii słowiańskiej, znana była jedynie z *Żywota św. Metodego* czyli tzw. *Legendy Panońskiej*. To dawało podstawę historykom niemieckim do negowania wiarogodności opisu. „Pełna niedorzeczności” pobożna hagiografia nie mogła, ich zdaniem, być traktowana jako źródło historyczne. Lecz w latach 1875–1880 naukowiec angielski, Edmund Bishop, odnalazł w British Museum kodeks *in quarto* z końca XII wieku zawierający listy papieskie od V do XI wieku, w tej liczbie Jana VIII, Stefana VI, oraz Aleksandra II. Z listów tych wynika, że relacja *Żywota św. Metodego* o barbarzyńskim traktowaniu apostoła słowiańskiego przez rozjątrzonych biskupów bawarskich, groźba Jana VIII rzucenia na nich klątwy

Tak u prochów Rybaka i Apostoła Narodów dokonało się zrównanie ludów chrześcijańskich różnej narodowości i mowy. W dniu, w którym papież Adrian II złożył na ołtarzu w świątyni Piotrowej księgi pisane słowiańską głagolicą, stało się możliwe, że Ewangelia opowiadana będzie po całym świecie we wszystkich językach. Zarazem dzień ten określił prawo każdego narodu do używania swojej własnej mowy, podniósł ją w czci i powadze, jako zasługującą, by Bóg nią przemawiał. Tego wszystkiego Adrian II, obaj Grecy ani kardynałowie nie mogli przewidzieć, lecz czuli wszyscy, że Kościół rozszerzył ramiona.

Prócz błogosławieństwa papież dał braciom pismo upoważniające do odprawiania Mszy Św. w języku słowiańskim, zaznaczając również, że Morawia i Panonia są nieprzedawnioną własnością Stolicy Apostolskiej. Upadły zatem roszczenia biskupów niemieckich. Zwycięstwo braci Saluńskich здавало się całkowite.

Pozostawała jeszcze jedna trudność: z woli papieża Metody miał być metropolitą rzymsko-słowiańskiej diecezji, Konstanty jego koadiutorem. Lecz Konstanty nie posiada święceń. By temu zaradzić, Filozof wstąpił do rzymskiego klasztoru, przyjął imię zakonne Cyryla (pod którym to imieniem jest powszechnie znany) i pobożnie odbywał nowicjat. W tym czasie zasłabł na niszczącą słabość (prawdopodobnie malarię). Stan chorego pogarszał się z każdym tygodniem. Do zrozpaczonego brata Konstanty-Cyryl rzekł:

Byliśmy, bracie mój, sprzężajem orzącym tę samą bruzdę. Ja padam na leszy [skibie] i kończę dni moje, a ty, choć miłujesz bardzo twoją cełę, nie chcesz rzucić apostołstwa, bo przez nie będziesz zbawiony... (jw.).

---

pokrywa się z rzeczywistością. Rzekome „niedorzeczności” autorów *Żywota* odpowiadają prawdzie. W świetle zadziwiającego odkrycia *Żywot św. Metodego*, niesprawiedliwie nazwany „Legenda”, okazuje się źródłem historycznym, niejednokrotnie wierniejszym od annalistów, na których zazwyczaj powołują się uczeni.

Po pięćdziesięciu dniach choroby Konstanty-Cyryl, zwany dotychczas Filozofem, odtąd Świętym, zmarł dnia 14 lutego 869 roku, mając lat czterdzieści dwa.

Dopraszał się Metody, by ciało mógł odwieźć matce, jak to jej odchodząc obiecali, lecz papież Adrian II orzekł, iż cenne zwłoki winny zostać w Rzymie... Pochowano Konstantego-Cyryla w kościele św. Klemensa przy licznym udziale tłumów, duchowieństwa łacińskiego, greckiego i świeżo mianowanego słowiańskiego.

Metropolita Metody miał wracać sam na Morawy, ciągnąć dalej wspólną bruzdę. Konstanty trafnie przewidział przed śmiercią pokusę, jaką dla brata byłby powrót do monasteru, i udaremnił tę myśl. Metody czuje się niedołączony i samotny. Młodszy brat był inicjatorem wszelkich jego poczynań; on wyrwał starszego z klasztoru, on posiadał wymowę i wiedzę. Z nim, słynącym z nauki, liczyli się zazdrośni biskupi bawarscy. Nie nastawiali na Saluńczyków wręcz, wiedząc, że Konstanty zaczepiony poruszy Rzym, Konstantynopol, potrafi odeprzeć kłamliwe argumenty... Konstantego nie ma... Metody, nieśmiały mnich, co teraz sam pocznie?...

Wróciwszy do Wielehradu, metropolita słowiański podejmuje przerwana pracę. Nie trwa ona długo, gdyż grafowie bawarscy, Engelszalk i Wilhelm, wpadli do Morawii, porwali zdradziecko księcia Rościława i uwięzili. Równocześnie arcybiskup salzburski Adalwin, biskupi passawski Hermanryk, i fryzyngeski Annon, złożyli królowi niemieckiemu Ludwikowi skargę na „niejakiego Greka Metodego”. Król zwołuje synod biskupów. Metody ufny w swą słuszność i autorytet papieski zgadza się stanąć przed nim. Lecz listu Adriana II nikt nie chce brać pod uwagę, ani Metodego wysłuchać. Uznany winnym herezji i bezprawnego naruszenia granic diecezji bawarskich, metropolita słowiański zostaje uwięziony.

...i był zesłan w Szwaby, gdzie go więziono półtrzecia roku (jw.).



Nie ma na razie nikogo, kto by bronił apostoła. Książę Rościsław dogorywa w więzieniu. Zawierucha wzniecona przez Focjusza rośnie, pochłania całą uwagę Stolicy Apostolskiej. Wielkie dni zrównania poszły w niepamięć wobec grożącego rozłamu. Morawy ogarnięte są powstaniem ludowym wywołanym przez porwanie ich księcia. Niemcy wysyłają przeciw powstańcom Świętopełka z rodu Mojmira, swojego stronnika. W krwawym zamęcie ktoś może pamiętać o starym uwięzionym człowieku? Nie w ulubionej celi, z której oglądał błękit nieba i morza, lecz w smrodliwym zimnym lochu pozostaje cierpliwy Metody.

Biskupi bawarscy, chcąc odrobić zaniedbania, przysyłają na Morawy swoich zakonników. Ludność odnosi się do nich wrogo. Co do Świętopełka, to wbrew oczekiwaniom niemieckim przechodzi na stronę powstańców. Wspólnie zadają drużogocą klęskę wojskom bawarskim.

...mało zostało rodzin w Bawarii, Rakuzach, Karyntii, które by nie opłakiwały swych synów. Radość Bawarów z powodu poprzednich zwycięstw w zgryzotę i smutek się zamieniła... (*Annales Fuldenses*, 871 rok).

Kobiety słowiańskie ożogami ściągaly z koni Bawarów i tłukły ich pałkami... (*Żywot św. Metodego*).

Świętopełk obejmuje rządy. Będzie najpotężniejszym władcą Słowiańszczyzny.

Zagrzani zwycięstwem Słowianie:

...wygnali wszystkich księży niemieckich i posławszy do papieża mówili: – Zwróć nam Metodego na arcybiskupa i nauczyciela...” (jw.).

Po Adrianie II, który zmarł w 872 roku, na tron papieski wstąpił jego archidiakon, Jan VIII. Wnet po swym obiorze papież zażądał od salzburskiego Adalwina zwolnienia Metodego i zwrócenia Stolicy Apostolskiej słowiańskiej metropolii. Arcybiskup pomija wezwanie milczeniem, przeto w roku 873 Jan VIII posyła swego legata, Pawła, biskupa Ankony, do kró-

la niemieckiego Ludwika, do Świętopelka księcia morawskiego, oraz do opornych biskupów bawarskich.

Jan VIII do biskupa passawskiego Hermanryka:

Jesteśmy przekonani, że dla oplakania twojej nieprawości nie wystarczyłoby źródła łez, jak [powiadał] prorok Jeremiasz. Czyż bowiem zuchwałość twoja nie przekroczyła srogości już nie biskupa, lecz zwierzęcej dzikości jakiegoś świeckiego tyra-  
rana, skoroś brata i współbiskupa naszego Metodego karał więzieniem, przez długi czas trzymał pod gołym niebem podczas najsroźszej zimy i oderwałś go od zarządu powierzane-  
go mu Kościoła? Doszedłś nawet do tego stopnia zapamiętania, że zawleczonemu na synod biskupi byłbyś uderzył biczem końskim, gdyby cię nie powstrzymano!

Jan VIII do Annona, biskupa fryzyngińskiego:

Zuchwałość twoja i śmiałość nie tylko chmury, lecz i same niebiosa przekracza. ...brata twego Metodego, z ramienia Sto-  
licy Apostolskiej pełniącego u pogan funkcję arcybiskupa, bardziej po tyrańsku niż kanonicznie traktując, osądziłś bez zgody kapłanów, którzy się przy tobie znajdowali. ...wyda-  
łś pseudowyrok na niego i wtrąciłś do więzienia, odciągając go od pełnienia służby Bożej. Ponadto, mimo że się podajesz za człowieka podległego św. Piotrowi i zawiadujesz sprawa-  
mi jego dziedzictwa w Germanii, nie tylko nie doniosłś, jak przystoi wiernemu, o prześladowaniu i uwięzieniu swego bra-  
ta i współbiskupa (co więcej wysłannik to nasz, o którego się bardzo troszczymy), lecz w Rzymie, gdy byleś o niego przez naszych pytany, kłamliwie powiedziałś, że los jego jest ci nieznany, chociaż wszystkich zadanych mu przez was udrę-  
czeń tyś był podżegaczem, tyś wzburzyicielem, co więcej, tyś sam był sprawcą!

Metody powraca do Wielehradu, witany z uniesieniem przez zebrane tłumy. Przyjmuje wiarę świętą księżę czeski Bożywój i jego żona Ludmiła, oraz czeskie rycerstwo. Metro-  
polita niestrudzenie kształci, wyświęca kapłanów, przyszłych swych następców, wraz z uczniami obchodzi najdalsze krań-  
ce ogromnego państwa Świętopelka. Zachowała się trady-

cja, że nauczał w okolicy Zgorzelca, że był na górze zwanej Królewskim Gajem i na Jaworniku, gdzie zwaliwszy świątynię pogańską, wznosił kościół. Tradycja tak żywa, że przez wiele wieków w dniu św. Wacława (wnuka Bożywoja i Ludmiły, ochrzczonych przez Metodego), tłumne procesje szły do krzyża, stojącego na szczycie Jawornika, śpiewając prastarą pieśń: „Hospodynie, pomyśl ny...”. Po Reformacji przyłączyli się do procesji nawet protestanci.

Czy stary apostoł dokończy żywota w spokoju? Bynajmniej. Niemcy nie dają za wygraną. Biskupi bawarscy ponownie oskarżają Metodego o herezję. Skarga za skargą posyłane są do Rzymu. Równocześnie podkopują przyjaźń między księciem Świętopełkiem a metropolitą. Książe wzorem wielu władców mniema, że potęga rozgrzesza z niemoralności. Metody, surowy mnich z góry Athos, karci bez ogródek wybryki książece. Władcy tego nie lubią. Świętopełk dołącza swe żale do chóru biskupów bawarskich i w roku 879 Metody zostaje powtórnie wezwany do Rzymu przed papieża Jana VIII. Towarzyszy mu zausznik książece, imieniem Szyszman.

Lecz Stolica Apostolska ponownie usprawiedliwia metropolitę słowiańskiego, pisząc do Świętopełka:

...odsyłamy go wam znowu dla rządzenia powierzonym mu Kościołem Bożym. Jako pasterza właściwego każemy go wam przyjąć z przynależną czcią, uszanowaniem i radosną myślą, ponieważ władzą naszą apostolską potwierdziliśmy jego przywilej arcybiskupi i postanawiamy, aby tak z pomocą Boską pozostało... Aby on sam, według tradycji kanonicznych, miał pieczę nad wszystkimi sprawami kościelnymi i nimi zarządzał według Bożego zamysłu, bo lud Pański jemu jest powierzony i za dusze jego on będzie zdawał rachunek.

...pismo słowiańskie wynalezione przez zmarłego Cyryla-Filozofa, w którym by wierne hołdy Bogu się odzywały, pochwalamy wedle słuszności i rozkazujemy, aby w tymże języku sławę i dzieła Pana naszego opowiadano... Nic bowiem nie przeszkadza zdrowej wierze i nauce, Msze czy Ewangelie święte, czy lekcje Nowego albo Starego Zakonu dobrze wyłożone i przetłumaczone czytać, lub wszystkie oficja godzinne

śpiewać w języku słowiańskim. Bo Ten, który trzy główne języki stworzył: hebrajski, łaciński i grecki, stworzył i wszystkie inne ku chwale swojej.

Niemcy uzyskali jedynie drobne ustępstwa: Na życzenie wiernych mogła być odprawiana msza łacińska. Ewangelię należało czytać po łacinie i po słowiańsku. Protégowany arcybiskupa salzburskiego, Wiching, został mianowany biskupem Nitry, koadiutorem i zastępcą Metodego.

Plugawa postać ów Wiching. Intryguje, jątrzy, podburza Świętopełka przeciw Metodemu, przejmując listy papieskie, podstawił fałszyfikaty. Stwierdziwszy haniebne oszustwo, metropolita wyklina i wypędza swojego zastępcę. Wiching ucieka do Rzymu, gdzie usiłuje nadal prowadzić krecią robotę. Jan VIII ujawnia te machinacje i potępia je surowo. W krótki czas później, w roku 882, papież ginie, zamordowany przez nieznaną sprawców... Komu najbardziej mogło zależeć na śmierci papieża?

Świętopełk jest w tym czasie u szczytu potęgi. Zawarłszy zwycięski pokój z cesarzem Karolem Grubym, uderza na księcia Wiślicy, Wiśława. Zdarzenie, mające posłużyć za temat wielu dziełom literackim, tak się przedstawia w opisie współczesnych:

Pogański książę bardzo silny, siedzący w Wiśle, urągał chrześcijanom i czynił im wstręty. Posławszy do niego [Metody] rzecze: – Po dobroci ochrzczij się, synu, z własnej chęci, na swojej ziemi, bo jeśli nie, w niewoli na cudzej ziemi przymusem ochrzczony będziesz i wspomniesz mnie [moje słowa]. I stało się tak (*Żywot św. Metodego*).

W oryginale:

Pogański książę silen wielmi, siedia w Wislje rugaszesia krystianom i pakosti diejasze. Posław że k'niemu, riecze: do broti sia kresti synu, woleju swojeju na swojej ziemi, da nie, plenien nudimi kreszczen budziesz na tiużej ziemi i pomjaniesz mia. Jeże i bysi.

...z nie chrzczonego plemienia mieszkającego nad Wisłą... przybyło i osiadło nad rzeką Zahlumną pokolenie Wiśława

zwanego Wyszewitą, którego syn Michał był prokonsulem i patrycjuszem... (Konstanty Porfirogeneta, rok 950).

Porównując daty i oba przekazy, historycy dochodzą do wniosku, że wymieniony przez Porfirogenetę ochrzczony Michał Zahlumski mógł być synem wziętego do niewoli księcia Wiślan Wisława Wyszewity. „Pod przymusem, na cudzej ziemi ochrzczony będziesz” – przepowiedział temu ostatniemu Metody.

I jeszcze jedna wzmianka o Wiślawie, budząca zresztą meytoryczne zastrzeżenia niektórych uczonych:

...było w owych czasach najślawniejsze miasto w kraju Lechitów, wysokimi murami otoczone, zwane Wiślicą, które-  
go w czasach pogańskich księciem był Wisław Udały (Baszko, *Kronika wielkopolska*, XIII–XIV wiek).

Księstwo Wiślan weszło w skład państwa Świętopelka morawskiego, sięgającego na północy do górnej Odry i Wisły, na zachodzie do Lasu Czeskiego i środkowej Łaby, na wschodzie do Bugu i Styru, na południu do Drawy. Cudzoziemcy z podziwem patrzyli na wzrost potęgi słowiańskiej, zwanej teraz Wielką Morawią, mogącą co do obszaru mierzyć się z cesarstwem niemieckim.

Metody zmarł 6 kwietnia 885 roku. Następcą swoim nazaczył Gorazda, mówiąc przed śmiercią do zebranych:





Oto wasz ziomek, mąż wolny, prawowierny, niech z nim będzie wola Boża i miłość wasza, tak jak jest moja.

Nabożeństwo żałobne odprawiono w trzech językach: słowiańskim, greckim i łacińskim. Niezliczone tłumy odprowadzały z płaczem zwłoki swojego ojca i pasterza. Pochowano je w sobornej cerkwi, po lewej stronie, w ścianie za ołtarzem Bogarodzicy, w mieście Wielehradzie nad rzeką Morawą (*Żywot św. Metodego*).

Laskawa śmierć oszczędziła apostołowi bolesnego ciosu. Tuż po pogrzebie nadjechał legat papieski wysłany przez papieża Stefana VI, wioząc nowe rozporządzenia, tzw. *commonitorium*, przekreślające wszystko, co w dziedzinie obrządku słowiańskiego zostało poprzednio ustalone.

## Państwo Wielkomorawskie księcia Świętopełka (870-894)



-  → Biskupstwo ratybońskie i kierunek zasięgu (Czechy do r. 973)
-  → Biskupstwo passawskie i kierunek zasięgu (Morawia)
-  → Biskupstwo salburskie i kierunek zasięgu (Panonia i Nitra)
-  Obszar Ks. Wielkomorawskiego (882-894) – w przybliżeniu

Przenajświętsze służby Boże, które Metody w języku słowiańskim upiera się celebrować – chociaż były w swoim czasie przez poprzedniego papieża Jana VIII dozwolone – nadal, pod władzą apostolską, dopuszczone być nie mogą i zabronione są... Jedyne, co się dopuszcza i pozwala, to po odczytaniu przenajświętszej Ewangelii w języku łacińskim, objaśnienie jej [po słowiańsku] tym, którzy łaciny nie rozumieją... Następca, którego sobie Metody wbrew prawidłom Ojców św. ustanowił, nie będzie urzędu biskupa sprawował, dopóki przed nami nie stanie i zezwolenia nie otrzyma...

Saraceni następują coraz groźniej. Rzym zginie, jeśli cesarz niemiecki nie przyjdzie z pomocą. Stefan VI nie posiada odwagi Jana VIII. Poświęcił bezpieczeństwu obrządek słowiański.

...rzekli więc Niemcy: – Pozbądźmy się Gorazda, aby w nim Metody nie ożył (*Vita St. Clementis*).

Notorycznego fałszerza Wichinga przywrócono do czci i mianowano arcybiskupem morawskim.

Kiedy księża słowiańscy przejść na obrządek łaciński nie chcieli, książe Świętopełk, jako rozjemca, a obalamucony przez Niemców, rzekł: – Kto by nie wierzył według nauki Franków [Niemców], niechaj im będzie wydany, by z nim postąpili według swojej woli (jw.).

Wydawszy ten wyrok, Świętopełk odjechał, zaś Niemcy rozpoczęli okrutne prześladowania księży słowiańskich. Bito ich, młodszych zaprzędawano w niewolę, biskupa Gorazda oraz prezbiterów Klemensa, Laurentego, Nauma, Angelara i wielu innych obciążonych kajdanami wtrącano do więzienia, nad pozostałymi znęcali się knechci, „ponieważ byli także Niemcami z natury swej skłonnyymi do zwierzęcości” (*Vita St. Clementis*), na koniec wygnali ich precz z kraju... Obdarci, głodni, załamani duchowo, rozproszeni z obawy pościgu, synowie Metodego poszli w świat, daleko od swoich stron. Jedni udali się na południe, do Bułgarii, Macedonii i tych dzieje są nam znane z żywota św. Nauma. Inni poszli do Czech lub za Karpaty, rozchodząc się po ziemiach krakowskiej, śląskiej, wiślickiej i dalej szlakami, które niegdyś schodził ich ojciec i mistrz, Metody. Podanie, że dwóch z nich odwiedziło kołodzieja Piasta pod Kruszwicą, w czasie postrzyżyn jego syna Ziemowita, nie zawiera w sobie nic nieprawdopodobnego.

Smutną pociechą wygnańcom była sprawiedliwość wymierzona Wichingowi. Intrygant krótko zasiadał na osiągniętym arcybiskupstwie. Dostojnicy bawarscy nie po to obalili Metodego, by otrzymać nowego konkurenta. Nie życząc sobie

w ogóle istnienia metropolii słowiańskiej, wygnali Wicinga z diecezji.

Przez dziesięć lat na ziemiach morawskich panowało duchowieństwo niemieckie. Dopiero w roku 898 na prośbę księcia Mojmira, syna nieżyjącego już Świętopelka, papież Jan IX przysłał do Morawii trzech biskupów delegatów, mianowicie: Jana z Wenecji dla Wielehradu, Benedykta dla Nitry i Daniela dla Krakowa (może Wiślicy). Językiem kościelnym jest łacina, lecz są to biskupi niezależnej metropolii słowiańskiej.

Postępek papieża budzi oburzenie hierarchii bawarskiej. Na zjeździe odbytym w roku 899 biskupi: salzburski Teotmar, fryzyngijski Waldo, eichstadzki Erchenbald, sebeński (tyrolski) Zachariasz, regensburski (ratyzboński) Tuto, passawski Richard, „w imieniu duchowieństwa i ludu całej Bawarii” ślą do papieża Jana IX memoriał. Rozdrażnienie każe im zapomnieć o szacunku należnym Głowie Kościoła:

...przybyli tu, jakoby z polecenia Waszego, Jan arcybiskup, Benedykt i Daniel biskupi, do ziemi Słowian zwanych Morawami, podległej ze wszystkimi ich mieszkańcami królom naszym i narodowi naszemu, tak we względzie kościelnym jak pod względem podatków świeckich... Stało się u nich to, czego nigdy od Stolicy Apostolskiej nie słyszano i czego żadne kanoniczne ustawy nie znają: dopuszczona została schizma... Oskarżają nas [Słowianie], że w stosunku do nich jesteśmy nieprzejednani, czego nie odrzucamy, lecz w tym nie nasza wina, ale ich własne zepsucie. Przestali płacić podatki, za oręż chwycili... Nasi książęta zwyciężyli ich i ujarzmili, tedy według prawa wojennego są oni ich poddanymi i państwu naszemu podlegać muszą... Przeto Wam [Papieżowi] wypada postępować ostrożnie, podejmować kroki umiarkowane, by gorsza strona [słowiańska] nie wzmagala się, a strona lepsza [niemiecka] krzywdy nie poniosła... Przodkowie najjaśniejszego Monarchy naszego [Ludwika Dziecięcia] imperatorowie i króle pochodzą z najbardziej chrześcijańskiego ludu Franków, Mojmirowi zaś Słowianie pochodzą z poganów nিকczemnych...

Arcybiskup moguncki Hatto podziela rozdrażnienie bawarskich konfratrów, pisząc w liście do Jana IX w roku 900:



...buntownicy morawscy nigdy własnych metropolitów i biskupów nie mieli [?!]... wprowadzenie tej nowości zachęci ich do większego zuchwalstwa, daremnego, gdyż, chcą czy nie chcą, przed ksiądzętami niemieckimi karku ugiąć muszą (Erben, *Regesta*).

Dla cesarza Arnulfa państwo wielkomorawskie jest solą w oku, kamieniem obrazy. Usłużny szatan podsuwa mu łatwy sposób obalenia przeciwnika. Plemiona Madziarów, koczujące w południowej Panonii, umiejętnie podżegane porzucają dotychczasowe obozy nad Cisą i Dunajem, by ruszyć na północ. Budzi się w nich uśpiona dzikość i chęć niszczycielska. Fala wojowników o golonych głowach, dowodzona przez Arpada, na niewielkich zwinnych koniach, wali przez ziemie morawskie niby wał miażdżący. Burzy grody, pali wsie, rozwała do fundamentów Błatnę, Nitrę, Wielehrad... kościoły, strażnice. Doszli do Karpat, skręcili na zachód, zalali cesarstwo niemieckie.

Madziarowie nie czują wrogości do Słowian. Niszczą ich dziedziny, palą, chełpią się jak niegdyś Atylla, że trawa nie porośnie tam, gdzie przeszli, ale nie popełniają masowych mordów. Pozostawiają w spokoju północną stronę Karpat, oszczędzają Czechów i Łużyczan. Furia mongolska wylewa się głównie na ludność niemiecką. Pustoszą Bawarię, Saksonię, Szwabię, Frankonię. Nie przepuszczają nikomu.

Przerażony skutkami swego czynu, usiłuje Arnulf skierować pochód Madziarów na Italię. Ślady tych starań znajdujemy w następującym urywku cytowanego poprzednio memoriału biskupów bawarskich do Jana IX z 900 roku:

...co się tyczy oskarżenia nas przez Słowian, jakobyśmy z Hungarami zawarli przymierze, klnąc się na psa, wilka i inne obrzydliwości pogańskie, i jakobyśmy dali Hungarom pieniądze, ażeby na Italię uderzyli, jawność tego kłamstwa wnet by się wykryła, a niewinność nasza dowiedziona była, gdyby sprawa rozważana została przed obliczem Wszechwiedzącego Boga... Gdy oni [Madziarzy] ciemnęli chrześcijan prześladowaniem srogim, to myśmy dali im niepieniężne po-

darki, lecz naszą odzież lnianą, aby cokolwiek dzikość ich zmiękczyć... Wszystko, co wyżej, wymyślili Słowianie ze złości serca swego i biskupów Waszych podniecili do niesprawiedliwego z nami postępowania... Tak to na sprawiedliwym ciężu wina zbrodniarza... Gdy dowiedzieliśmy się o wtargnięciu Hungarów do Italii, to – Bóg świadkiem – chcieliśmy ze Słowianami pojednać się, przebaczyć im, cokolwiek złego nam uczynili, zwrócić im wszystko, co by się mogło u nas z ich majątku okazać... abyśmy mogli bezpiecznie odbyć wyprawę do Lombardii, bronić posiadłości św. Piotra... lecz oni pozostają fałszywymi oskarżycielami...

Madziarowie obracają w perzynę Lombardię, lecz nie zaprzestają corocznych najazdów na cesarstwo. Ludność niemiecka szaleje z trwogi. We wszystkich kościołach rozlega się błagalne wołanie: „...*a furore Hungarorum libera nos, Domine!*”

Pięćdziesiąt lat cesarstwo niemieckie będzie żyło pod terrorem nieustannych napaści. Madziarowie wdarli się w serce Słowiańszczyzny i w zmienionej postaci pozostaną tutaj na stałe.

Dwóch braci w mieście greckim pożegnało przed laty starą matkę, by iść w świat, nawracać Słowian. Daleka była droga Krym – Rzym, jeszcze dalsza z Tessalonik do Zgorzelca czy Wiślicy. Nie używali oręża i nie słyszano, by kiedykolwiek podnieśli głos przeciw komu. Ci dwaj pozostawili niezatarte piętno na dziejach narodów słowiańskich.

## NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

Zimą 928 roku, w ostre mrozy i zawieje śnieżne, Henryk I, król niemiecki o przydomku Ptasznik, z domu saskiego, uderzył z wielką siłą na niespodziewający się napaści gród Brenna w ziemi Stodoran. Spalił miasto, ludność wytracił i spiesznie pociągnął na ziemie Głomaczów. Ich stolica, Gana, uprzedzona o najeździe, przygotowała zawziętą obronę i wojska królewskie poniosły znaczne straty. Z tym większą wściekłością knechty niemieckie darły się na wały zalewane przez obrońców wodą, więc pokryte lodem. Głomacze spychali napastników drągami, praskali kamieniami w podłazących, ciskali zapalone żagwie na głowy. Gdy kamieni brakło, rozbierali domy i miotali belki, rozhuśtawszy je uprzednio. Zza częstokołu szyli strzałami, a żaden nie chybiał. Mimo przewagi niemieckiej w liczbie i uzbrojeniu, oblężenie ciągnęło się przez trzy tygodnie. Dokuczyło to mocno Niemcom, obozującym na mrozie i śniegu, toteż kiedy przełamawszy opór wpadli do grodu, furia teutońska nie miała granic. Mordowali, podpalali, rabując i niszcząc. Niedobitki mieszkańców uszłe rzezi wygnano z grodu na pole, niech tam czekają wyroku królewskiego. Gród płonął jak wielki stos.

Henryk I stanął na wzgórzu, na wielkim ciężkim koniu, sam ciężki i wielki, o nieruchomej twarzy. Patrzył obojętnie na płonący gród, łazisko, które trzeba wypalić, nim się nowinę zaorze. Z tą samą obojętnością wzrok jego mijał czerniejącą na śniegu ciźbę struchlałych mieszkańców grodu. Nosił przydomek Ptasznik, i ci ludzie nie znaczyli dlań więcej niż ptactwo pojmane w sidła lub snopy leżące na polu. On realizował program. Program powzięty i utwierdzony, któremu nie miał chybić żaden panujący niemiecki: ziemia słowiań-

ska musi być ziemią niemiecką. Słowianie się opierają, przeto trzeba ich wytępić.

Mnich zakonu benedyktyńskiego, Widukind z Korbei, spisujący czyny Henryka I w księdze *Dzieje Saskie*, zanotował:

Król Henryk zniemacka napadł na Słowian, którzy nazywają się Haweli [właściwa nazwa Stodoranie] podczas twardej zimy. Rozłożywszy się obozem na lodzie, wziął głodem, żelazem i mrozem gród zwany Brennaburg [dziś Brandenburg]. I gdy razem z tym grodem zawładnął całą ziemią, zwrócił swe szeregi na Głomaczów. Oblegając gród, który zowią Gana [dziś Jahna koło Miśni] zdobył go wreszcie w dwudziestym dniu. Przydzieliwszy łupy z grodu wojsku, pozabijał wszystkich dorosłych, biorąc do niewoli chłopców i dziewczęta.

Do wykonania planu trzeba odpowiednich ludzi. Henryk I i następca jego Otton I takich posiadają. Komes Herman Billing, graf Gero. Sprawne, niezastąpione narzędzia. Świetni wodzowie. Obce są im uczucia litości lub strachu. O Geronie pisze Widukind:

...Gero... zgładził trzydziestu księząt słowiańskich, spojonych podczas uczty i uspionych winem. Ponieważ nie mógł on sam poradzić przeciw wszystkim plemionom, w tym czasie bowiem podnieśli się Obodrzyce i wyciąwszy nasze wojsko, zabili samego wodza imieniem Haiko, gromiło ich częstokroć wojsko prowadzone przez króla... Prawie do ostatecznej przywiodło ich zguby. Oni jednak woleli wojnę niż pokój, wyżej stawiając drogą wolność od zupełnej nędzy. Jest to bowiem rodzaj ludzi twardy, wytrwały w trudzie, nawykły do chudej stawy... Minęło zaiste wiele dni, jak wzajemnie walczyli: nasi o sławę, o wielkie i szerokie państwo, owi o wolność lub podłą zależność...

W nagrodę zasług Gero będzie zarządcą saskiej Marchii Wschodniej.

Słowo „marchia”, które pojawi się nieraz na tych kartach, znaczyło okręg wojskowy, bazę wypadową, obwarowaną, założoną w niecałkowicie jeszcze podbitym kraju. Dowódcy otrzymują od cesarza nadania ziem, leżących wokoło bazy.

Od ich energii zależy, czy szybko obejmą swą nową własność w posiadanie, usuwając dotychczasowych właścicieli. To samo zadanie dotyczy żołnierzy kolonizatorów, dobieranych w sposób szczególny.

Cytowany poprzednio Widukind pisze:

Król Henryk, chociaż surowy dla cudzoziemców, we wszystkim okazywał się łaskawy dla swoich obywateli. Dlatego, jakiego tylko widział złodziejaska lub zbója, mocnego ramienia, zdolnego do wojaczki, uwalniał go od należnej mu kary. Osadziwszy go na podgrodziu Merserburga, wyposażywszy w rolę i broń, przykazywał swoich oszczędzać, a swoje łotrostwa wywierać na barbarzyńcach, wiele starczy odwagi. W ten sposób, zgromadziwszy duży zastęp ludzi, wystawił na wyprawę pełny legion...

W ciągu X wieku powstają dwie marchie: nadbałtycka na ziemi Wagrów pod zarządem komesa Hermana Billinga, wschodnia, którą włada Gero. Pierwsza to pięść wzniesiona nad Obodrycami, druga zagraża Serbom i Wioletom, a po ich upadku – Polsce.

Marchie to zbrojne ramię cesarstwa. Drugim ramieniem nie mniejszej wagi jest Krzyż. Chrystianizacja będąca germanizacją. Biskupstwa (raczej misje), zakładane w krajach dotychczas pogańskich, stanowią odpowiednik marchii. Tkwią wśród wrogów, jako załączki przyszłej sieci, która ma całą tę ziemię ogarnąć. Każde powstanie Słowian zmiata je z powierzchni ziemi. Wracają nieulekłe znowu. Już zostały zatwierdzone biskupstwa hawelberskie i brandenburskie. W 968 roku powstanie najważniejsza placówka: arcybiskupstwo magdeburskie. To ostatnie będzie zamierzone jako metropolia wszystkich diecezji, mogących powstać w przyszłości na ziemiach słowiańskich, do Odry.

Adam z Bremy w *Dziejach kościoła hamburskiego* pisze na ten temat:

Słyszałem także, jak bardzo prawdopodobny król duński [Sven Estrysden] powiadał, że ludy słowiańskie już dawno z największą łatwością stałyby się chrześcijańskimi, gdyby

na przeszkodzie nie stała chciwość Sasów. Umysł ich, powiadał, bardziej skłania się do pobierania danin niż do nawracania pogan. Nieszczęśnicy nie spodziewają się, jak ciężko zapłacą za swą pożądlivość. Oni, którzy pierwsi zakłócili drogę chrześcijaństwa w Słowiańszczyźnie, a następnie przez okrucieństwo zmusili swych poddanych do buntu, teraz gwoili zdobycia pieniędzy pogardzają zbawieniem dusz, tych, którzy chcieli uwierzyć.

Mszcząc się za najazd Henryka, zaraz następnego roku Wieleci porwali za broń. Pod przewodnictwem zawsze skorych do boju Redarów poszli za Łabę, pałac miasta saskie.

...zebrawszy się w mnogości, dokonali napadu na gród, który zwie się Walsleben, zajęli go i pozabijali tam wszystkich mieszkańców. Po tym wydarzeniu wszystkie barbarzyńskie ludy podniesione na duchu ponownie ośmieliły się podnieść bunt. Dla złamania ich wściekłości oddano wojsko księciu Bernardowi, któremu podlegał kraj Redarów, powierzając mu dowództwo. Jego legat [dowódca wojsk pogranicza] miał za towarzysza Thietmara z Turynгии i kazano im otoczyć miasto, które się zwie Łączyn [dzisiejsze Lenzen nad rzeką Löcknitz, koło Wittenberge] (Widukind, *Dzieje Saskie*).

Na wiadomość o oblężeniu stolicy Glinian, Łączyna, wszystkie plemiona wieleckie ruszyły miastu na odsiecz. Czrezipianie i Doleńcy, Redarowie i Chyżanie. Ćma ludzi. Spływają czółnami, suną borami tak licznie, iż rzekłbyś: drzewa ożyły. Prawie wyłącznie piechota, dobrze uzbrojona w łuki, oszczepy, topory. Z radością witają oddział konny Obodrzyców, co niepomni zwykłych z Wioletami zatargów dołączyli, aby walczyć.

Puszcza wielka, nieobeszła, kończy się tu klinem. Gdy wodzowie staną na skraju lasu, mają przed sobą gród Łączyn. Między nimi a grodem rozłożony szeroko obóz niemiecki. Na lewo rozległe niskie łągi, za którymi bieje jezioro, na prawo gościniec wiodący od grodu przez puszcę. Za tym wąskim szlakiem znów podmokłe smugi.

Pod wielkim dębem, świętym drzewem dziadów i pradziadów, w którego rozłożystych konarach zamieszkał bóg Prowe,

wodzowie składają naradę. Zapowiedzieli swoje przyjście Morzycanie, ale dotąd nie nadeszli. Ostatnio padały deszcze. Może nie mają brodu. Chodzi o to, czy czekać na nich, czy uderzać od razu, póki Sasi nic o nadciągnięciu wojsk słowiańskich nie wiedzą. Zdania są różne, jak zwykle wśród Słowian. Obodrzyce głosują za uderzeniem natychmiast, Wieleci woleliby poczekać Morzyczanów. Na koniec staje na tym, że czekają do jutra. Dobrze są w puszczy ukryci, nikt ich nie wypatrzy.

Czekają zatem. Pora jest upalna, przedburzowa. Konie w gąszczu tupią i łomocą, kłusane przez bąki. Od grodu dolatuje chwilami aż tutaj zgiełk szturmujących wały i odpie-rających szturmy. Wiatr to cichnie, to porywa się i szamoce wierzchołkami drzew. Wtedy na jeziorze ciemnieją zagony fal. Wojom przykrzy się czekanie; dla skrócenia czasu wspominają dawne dzieje. Obodrzyce opowiadają o swoich wodzach. O księciu Wilczanie, sprzymierzeńcu Karola Wielkiego, zabitym przez Sasów. O tym, jak syn jego, Drożko, mszcząc zgon ojcowy, gromił Sasów pod Święcianą. Potem o Sławomirze, co walczył z Ludwikiem Pobożnym, synem Karolowym, zaś księżęta Gostomysł i Dobromysł znaleźli śmierć w boju z królem Ludwikiem Niemieckim...

Teraz Wieleci zabierają głos. Wymieniają żyjące u nich w sławie imiona książąt: Drogowita, Miłogosta, Luba, Całodroga, mężów walecznych, co nie z prawa dziedzictwa, jak u Obodrzyców, lecz z wolnego obioru wszystkich czterech plemion, rządili Związkiem Wieleckim. Tym wspomnianiem spodziewają się, zarówno jedni jak drudzy, przywołać z nawii cienie zmarłych ku pomocy. Od wspomniania krótka droga do wypominania. Jak to kiedyś Wieleci wsparli króla duńskiego Godofryda, gdy ten najechał ziemie Obodrzyców, a znów księżę obodrzycki Drożko z pomocą Franków rozgromił Wieleców... Przygadują sobie, rychło patrzeć, jak zaczną się spory. Bo najłatwiej o nieprzyjaźń między braćmi.

Morzycanie nie nadchodzą, natomiast niebo ciemnieje, przedwczesny mrok zalega puszcę. Na tle czarnosinych

chmur, co już zajęły pół nieba, oświecony słońcem gród zdaje się jaskrawo biały.

Ej, lepiej radzili Obodrzyce nacierać od razu! Sasi już się dowiedzieli, że Słowianie są tuż. Pisze o tym Widukind:

W piątym dniu oblężenia nadeszli strażnicy z doniesieniem, że wojsko barbarzyńców jest w pobliżu i że najbliższej nocy Słowianie dokonają napadu. I gdy więcej ludzi to potwierdziło, dano wiarę tym słowom... dowódca natychmiast zarządził pogotowie bojowe przez całą noc, ażeby przypadkiem nie nastąpił napad barbarzyńców na obóz...

Jeszcze kury nie piałły na północ, kiedy nadciągnęła burza, zbierająca się cały odwieczarz. Ciężkie obłoki stanęły nad okolicą, wypuszczając z siebie wszystek zapas wody. Takiej ulewy najstarsi nie pamiętali. Ani wichru, ani gromów, tylko strugi cieką z nieba nieprzerwanie, godzinę, dwie, trzy... Już ciemność nocna bieleje, a z górnych upustów sika nieustanna ulewa. Łąki zmieniają się w moczary, gościniec w strumień rwący, jezioro wylało z brzegów. Morzyczanie teraz już nie przyjdą. Daremne było czekanie. Widukind dalej powiada:

...noc zapadła z ogromnym deszczem, ciemniejsza niż zwykle. Zgodnie z rozkazem Sasi całą noc stali pod bronią i dopiero o brzasku dnia... podniósłszy znaki bojowe wyszli z obozu. Legat dokonał wypadu na samym czele. Lecz ponieważ w małej liczbie nie mógł przemóc niezliczonych, powrócił... z wiadomością, że barbarzyńcy niewiele mają jazdy, natomiast nieprzebrane mnóstwo piechoty i że ta wskutek nocnej ulewy do tego stopnia straciła zdolność ruchów, iż z trudnością przysposabia się do walki...

Bodajby przepadł ten świat, bodajby przepadł ten dzień i radcy, co źle radzili! Przemokli do szpiku woje ociekają wodą jak utopce. Przytroczone do lewego boku łuby z kory lipowej chroniące łuki nie wytrzymały ulewy, ciężki zamokły. Podobnie strzały ukryte na grzbiecie w torbie, zwanej tui. Słomiane albo wiklinowe szczyty stały się obwisłe i ciężkie. Tylko Obodrzyce na koniach trzymają się tego. Niedoczekanie ich,



by zobaczyli ucieczkę Wioletów! Wszystko zawiodło, dziady i bogowie – topór w garści, druh wierny, nie zawiedzie. Za-grzęzłe po kolana w rozmokłym gruncie szeregi nie ruszą się z miejsca. Gdzie stoją, tam padną. Nim padną, rąbią, a rąbią...

Widukind ciągnie:

Gdy promienie słońca padły na mokre szaty barbarzyńców, wzniosły się opary aż pod niebo, napełniając otuchą lud Boży [Sasów]... oddziały z wielkim krzykiem rzuciły się na nieprzyjaciela i gdy z powodu zbytnej gęstwy nie mogły sobie utorować drogi przez szeregi nieprzyjaciela, z prawa i lewa wyrabując żelazem, kogokolwiek dało się oddzielić z szeregów, zabijały.

Żywy wał cofa się wstecz, bo przed nim rośnie wał trupów. Nacierający słabną, żądają posiłków.

Widukind kończy:

I gdy już walka stała się ciężka... a oddziały nieprzyjacielskie do tej pory trzymały się w szyku, legat zażądał od swego kolegi [Thietmara], by pośpieszył z pomocą. Ten skierował w bok nieprzyjaciela... oddział pięćdziesięciu zbrojnych i pomieszał jego szyki. Od tej chwili nieprzyjaciel wydany był... na rzeź i popłoch. Na całym polu pobity próbował uciec do miasta [Łączyna]. Gdy [Thietmar] zapobiegł temu, weszli na pobliskie moczary. I stało się, że całe te wielkie tłumy albo poginęły od miecza, albo utonęły w jeziorze. I nie ocalał nikt z pieszych, a z konnych mało kto. I skończyła się ta walka śmiercią wszystkich przeciwników... Następnego zaś dnia ruszono znaki bojowe pod miasto. Znajdujący się w mieście złożyli broń, prosząc tylko o darowanie życia, co otrzymali. Rozkazano, by bez broni wyszli z grodu, zdając się w niewolę. Cały dobytek z żonami i dziećmi, wszystek sprzęt barbarzyńców popadł w ręce królewskie... Twierdzono, że padło wtedy dwieście tysięcy barbarzyńców. Wszyscy jeńcy dnia następnego zostali ścięci, bo tak postanowiono.

Kłeskę pod Łączynem w kraju Glinian spowodował gniew bogów albo czary chrześcijańskie. Podobno mnisi niemiec-

cy opowiadali ludziom o potopie, jaki ich Bóg spuścił na ziemię, chcąc wytracić rodzaj ludzki... Musieli teraz uprosić go znowu, by zesłał potop na zgubę Wioletów. Tak czy inaczej, śmierć tylu najlepszych mężów potopionych w błocie była niezawiniona. Inaczej rzecz się miała w ćwierć wieku później, gdy Słowianie odnieśli porażkę nad rzeką Raksą w kraju Czrezipienian. Henryk Ptasznik już nie żył. Na tronie niemieckim zasiadał Otton I zwany Wielkim. Temu, gdy wkroczył na ziemię wieleckie, przeciwstawili się Wieleci i Obodrzyce, złączeni razem, przeto w znacznej sile. Dowodził nimi wielki książę Obodrzyców, Stojgniew, wojownik doświadczony i mężny, mający przy sobie młodszego brata Nakona. Szczęście sprzyjało Słowianom. Zmyślnie pozorowaną ucieczką wciągnęli Ottona w bagniste lasy. Tam przecięła drogę cesarskiemu wojsku owa rzeka Raksa (dzisiaj Recknitz), z powodu grząskich brzegów możliwa do przebycia jedynie zimą po mrozie. Podczas, gdy cesarscy daremnie szukali brodu, Wieleci walili drzewa w borze, budując zasieki, zamykając drogi odwrotu. Przy zasiekach i za rzeką stróżowali pilnie łucznicy i oszczepnicy. Cesarz wraz ze swymi margrafami, rycerzami, knechtami znalazł się w potrzasku. Wieleci i Obodrzyce gotowali się radośnie do ostatecznej rozprawy, ani się spodziewając, że pomoc uwieczonemu nadchodzi.

Skąd pomoc? Oto graf Gero, truciciel podstępny, krętacz, co znając mowę słowiańską umiał jak nikt wzniecać waśnie między plemionami, widząc smutne położenie cesarza, pognął do najbliższych sąsiadów Czrezipienian, Ranów z wyspy Rany (Rugii). Czym ich skusił stary szatan, nie wiadomo, dość że Ranowie, pobratymcy, ruszyli ratować Ottona, wroga Słowiańszczyzny. Przebywszy cieśninę, ciągnęli w górę rzeki Raksy. Część zatrzymała się, gdzie brzegi rzeki były suchsze i budowała mosty, reszta płynęła dalej, by zniecka uderzyć na swojaków. Nikt się ich nadejścia nie spodziewał, więc wrzask wrogów rańskich wywołał nie lada zamęt. Wywiązała się bitwa zaciekła, w której poległ książę Stojgniew i najprzedniejsi rycerze z jego drużyny, tylko młody Nakon

przedarł się i doma wrócił. Cesarz Otton zaś wraz ze swoim wojskiem zdołał przejść rzekę poniżej, po mostach zbudowanych przez Ranów...

## DATA, KTÓRĄ ŻYJEMY

W latach 958–964 Redarzy, przodujący wśród plemion wieleckich, gościli u siebie Niemca Wichmana, banitę i awanturnika. Był ów Wichman pociotem cesarskim, biegłym w wojennym rzemiośle, świetnym dowódcą, gotowym mierzyć się z diabłem, lecz wyzutym ze czci i sumienia. Skazany przez Ottona I na wygnanie, płonął nienawiścią do własnych rodaków i siedząc u Redarów podburzał ich przeciwko Niemcom, czego najchętniej słuchali. Zaniepokojony tymi namowami margraf Gero, powinowaty Wichmana, przedkładał banicie, by powiódł Redarów raczej przeciw polańskiemu Mieszce niż przeciwko własnemu cesarzowi. Mieszko – to wróg niebezpieczny. Pobiwszy go Wichman i sławę uzyska, i przebaczenie cesarskie otrzyma. Tak powiadał margraf Gero, nieprzyjaciel i znawca całej Słowiańszczyzny Północnej.

Księstwo polańskie, a jak w mowie potocznej coraz częściej powiadano: polskie, ograniczała od północy rzeka Noteć, od wschodu Prusowie i Jadźwingi, od południa kraj Wiślan i Śląsk, od zachodu Wieleci i Łużycanie. Na tym obszarze leżały ziemie Polan (właściwa kolebka państwa, zwana później Wielkopolską), Kujawian, Łęczycan, Mazowszan. Rządzili tym państwem od wieku księżęta mówiący o sobie, że pochodzą z rodu kołodzieja Piasta. Obecnie panował tam Mieszko, rozumny, przewidujący i zachłanny książę. Posiadał świetną drużynę bojową, trzy tysiące wojów. Żupy i grody dostarczały naznaczonej liczby tarczowników i czeladzi. Z taką siłą nie obawiał się nikogo. Budował warowne grody. Kupcy arabscy i greccy, wędrujący dawnym rzymskim szlakiem przez Bramę Morawską na Kalisz, po bursztyn, płaty lniane, miód lub na północ po futra, opowiadali z uznaniem o potędze Mieszka i nazywali go „królem północy”. Żyd hiszpański z Tortosy,

Ibrahim ibn Jakub pozostawił opis zamożnej Polski Mieszkowej, w którym między innymi czytamy:

Słowianie są skorzy do zaczepki i gwałtowni, i gdyby nie ich niezgoda wywołana mnogością szczepów, żaden lud nie zdołałby im sprostać w sile. Zamieszkują oni krainy najbogatsze w plony i najzasobniejsze w środki żywności. Oddają się ze szczególną gorliwością rolnictwu... w czym przewyższają wszystkie ludy Północy. Handel ich dociera łądem i morzem do Rusów i do Konstantynopola...

We wszystkich krajach Północy głód nie powstaje wskutek braku opadów i długotrwałej suszy, lecz z powodu częstych deszczów i nagromadzenia wody gruntowej. Suszy nie boją się wcale, a to z powodu wilgotności ich krajów i wielkiego zimna. Sieją w dwóch porach roku, późnym latem i na wiosnę, i zbierają dwa zbiory [więc trójpolówka?]. Najwięcej sieją prosa. Zimno jest dla nich zdrowe, nawet gdy jest bardzo wielkie, a gorąco zgubne... Unikają spożywania kurcząt... jedzą natomiast mięso krowie i gęsie, bo im to służy. Ubiegają się w szaty przestronne, tylko przy napiętku obcisłe...

Większość ich sadów to jabłonie, grusze i brzoskwinie. W nich żyje dziwny ptak o ciemnozielonawym odcieniu, który powtarza głosy ludzi i nazywa się po słowiańsku sb'a [szpak]. I żyje w nich kura dzika, która się zowie po słowiańsku tietra [cietrzew] o smacznym mięsie... Ich wino i napoje upajające to miód... Kraje Słowian są najzimniejsze ze wszystkich krajów. Najtęższy mróz bywa u nich, gdy noce są księżycowe, a dni pogodne. Ziemia wtedy kamienieje i marzną wszelkie płyny.

Cesarz niemiecki Otton I, szczęśliwy pogromca Madziarów, zwrócił w tymże czasie uwagę na gród, niegdyś słowiański, Dziewin, przechrzczony przez Karola Wielkiego na Magdeburg, i przeniósł doń swoją stolicę wschodnią ze zbyt odległego Merseburga. Łączyło się to z dalekimi zamiarami.

...wyjawił obecnym ślub, jaki uczynił [w razie zwycięstwa nad Madziarami]. Wobec tego, że wszyscy przyklasnęli zbożnemu zamiarowi... cesarz... wzniosł [w Magdeburgu] okazałą katedrę na miejscu gdzie spoczywała [jego małżonka], świątobliwa Edyta, i gdzie sam pragnął leżeć po śmierci. Kiedy

jednak starał się o założenie tam arcybiskupstwa, napotkał w tym względzie sprzeciw siódmego biskupa halberstadzkiego Bernarda, w którego diecezji leżało wspomniane miasto [Magdeburg] i nic nie mógł uczynić, póki żył ten pasterz... (Thietmar, *Kronika*).

Opór biskupa Bernarda, chciwego zatrzymania ziem halberstadzkiej diecezji, drażnił cesarza, opóźniając jego plany. Metropolia magdeburska ma stanowić pierwszy krok do ustalenia władzy niemieckiej na ziemiach słowiańskich. Podboje zasłużonego margrabiego Gerona mogą przepaść, jeśli zdobytych terenów nie obejmie natychmiast kościelna hierarchia niemiecka. Biskup halberstadzki dba tylko o swoją korzyść, a tymczasem polski Mieszko stanął już nad Odrą!

Mieszko istotnie zajął ziemię Lubuszan (przez kronikarzy niemieckich zwaną krajem Licikawików) w widłach Odry, Warty i Noteci z dogodnym brodem na Odrze. Opanowanie przezeń tej ważnej przeprawy poruszyło zarówno cesarza, jak Wioletów. Tym ostatnim nie miły był Mieszko dla paru powodów; przewidywali, że chciwy, zawzięty Piastowiec nie zaspokoi się zajęciem ziemi Lubuszan. Raz ruszywszy, zapagnie pójść dalej, sięgnie po ujście Odry, po Kamień, Kołobrzeg... Polskie władztwo narodziło się nad Wartą i z tą rzeką jest związane. Warta płynie ku Odrze, Odra wpada do morza. Przyrodzonym prawem ludzie nadwarciańscy pójdą szlakiem swojej wody. Najbliżsi sąsiedzi Mieszka, Pomorzanie, od dłuższego już czasu patrzą nieufnie na poczynania polskiego księcia.

Niezyczliwi byli również Mieszce bogaci kupcy wolińscy, handlujący z szerokim światem, kupcy szczecińscy dzierżący w rękę spływ zboża, wełny, miodu i chmielu z całego kraju, kupcy kołobrzescy, zaopatrujący w sól ziemie pomorskie, wieleckie, obodrzyckie, nawet saskie. Wszyscy oni lękali się, że w razie podboju książę polski zwaliłby na nich ciężar utrzymania jego drużyny bojowej. Rycerstwo Mieszka, urządzone według czeskiego wzoru, jest bardzo liczne i świetne, wszystko zaś, co do utrzymania potrzebne, dostaje z ręki księcia, nie śmiąc dopuszczać się żadnej swawoli. A książę skąd

bierze? Jużci z danin grodzkich. Tych kosztów ogromnych lękali się kupcy, siedzący na workach ze złotem i jak mogli, umysły ludzkie przeciw Mieszce poduszczali. Drugim powodem niechęci były uparte pogłoski, jakoby Mieszko sprzyjał chrześcijaństwu. To wystarczało dla obudzenia w Wieletach nienawiści i pogardy.

Otton I nie chciał na razie wszczynać wojny z Polską, zajęty będąc w Italii. Zgodził się z Geronem, że banita Wichman, działający z Redarami jako dywersant, skutecznie poskromi zuchwałego księcia polskiego. Jakoż w roku 963:

...Wichman napadł na władcę Licikawików, Mieszka, dwa razy przemógł go w boju i łupy wielkie uwiódł... (Widukind, *Dzieje Saskie*).

Niezanego imienia młodszy brat Mieszki poległ w tych walkach. Redarowie wrócili do domów zwycięscy. Lecz Wichmanowi na krótko starczyło odniesione powodzenie. Mógł był zabiegać o przebaczenie cesarza, nie dbał o to. Znudzony pobyt u Redarów opuścił ich, łotrował to tu, to tam, grasował w Saksonii, na koniec, zagrożony ponownie gniewem cesarskim, schronił się do Wolinian.

W tym czasie ubył mu cenny protektor i powinowaty, margrabia Gero. W czasie walk toczonych nieustannie z Wielecami poległ jedyny syn margrabiego Zygfryd, i osiwały bojownik porzucił godność i władzę. Trudził się całe życie nie tylko dla cesarstwa, ale i dla swego rodu. Syn, Zygfryd, miał być księciem dziedzicznym i władać od Łaby po Odrę. Być margrafem – zdawało się mało dla pychy ojcowskiej. Zygfryd będzie księciem Rzeszy. Te wieloletnie marzenia przeciął topór Słowianina.

...Gero, ojczyzny obrońca, ciężko doświadczony śmiercią jedynego syna, sławnego Zygfryda, podążył do Rzymu i tu... złożył broń zwycięską... na grobie św. Piotra. Otrzymawszy od Stolicy Apostolskiej ramię św. Cyriaka [w klasztorze św. Gallusa] oddał się w służbę Bogu... Po powrocie do kraju wybudował klasztor w Gaju noszącym nazwę od jego imienia [Gernrode w Harzu] i ustanowił jego księżną wdowę po swoim

synu, Jadwige, która poprzednio przywdziała welon zakonny... (Thietmar, *Kronika*).

Czy wróg Słowian, truciiciel zaproszonych na ucztę książąt słowiańskich, modląc się w klasztorze, robi przegląd swego życia, żałuje zdradzieckich czynów? Prawdopodobnie – nie. Prawdopodobnie wierzy, iż działał, jak przystało niemieckiemu rycerzowi. Tępił wszelkimi środkami ludy zajmujące ziemie potrzebne jego ojczyźnie. Tak czynić należało.

Drażniące Wioletów pogłoski, że Mieszko skłonny jest przyjąć chrześcijaństwo, odpowiadają prawdzie. Nie są jednak wynikiem małoduszności, jak sądzą poganie, lecz owocem długiego namysłu.

Byłoby błędem wyobrażać sobie polańskiego księcia Mieszkę jako dzikusa, kierującego się przebiegłością, właściwą prostakom albo tropionej zwierzynie. Zarówno ten dynasta, jak jego rodzina, byli to ludzie na swe czasy światli, orientujący się w zawikłaniach międzynarodowych. Świadczą o tym ich czyny i opinie współczesnych. Czyż mogła być nieokrzesaną dziewczą z lasu piękna córka Mieszki, Świętosława, królowa szwedzka o przydomku Dumna, z drugim mężem królowa duńska, matka Kanuta Wielkiego? Albo Mieszkowa siostra, Adelajda, żona madziarskiego księcia Gejzy? W chwili wkroczenia na arenę dziejów Mieszko posiada już organizację państwową, wyćwiczoną drużynę i umiejętność rządzenia. Tych rzeczy nie osiąga się z dnia na dzień. Narastają one w ciągu pokoleń. Może zbyt szybko odrzucono jako bajki, dane oparte na ustnej tradycji przytoczone przez kronikarza Anonima Galla. Tradycja jest cennym przekazem i nie ma powodu wątpić w autentyczność przodków Mieszki, Ziemowita (według Brücknera: Siemowita, co znaczy Pomyślność Rodu), Lestka, Siemomysła, syna, wnuka i prawnuka kołodzieja.

Młodszy brat apostoła Słowian, Metodego, Konstanty Filozof, późniejszy św. Cyryl, słusznie dopatrywał się pobudek politycznych w religijnej gorliwości książąt zbyt pochłoniętych sprawami swego stanowiska, by zagłębiać się w myśli o zba-



wieniu duszy. Książęta cenią to, co ułatwia rządy i zabezpiecza naród przed upadkiem. Jak niegdyś Rościśław morawski lub Kocel panoński, tak i Mieszko rozumiał, że chrześcijaństwo jednoczy ludy i wiąże plemiona. Obecnie wzmogło się w sile, napiera zewsząd; wdziera się do każdego kraju. Kupcy przyplływający do Gdańska powiadali, że niebawem innych ludów niż chrześcijańskie nie będzie na świecie. Słuchacze wzruszali na to ramionami, lecz następnego roku nowi kupcy powtarzali to samo co pierwsi, i gadka, acz nieprawdopodobna, okazywała się wierna. Pogańskich ludów z każdym rokiem ubywało... Powiadano, że w Bizancjum ochrzczono księżną ruską, Olgę. Powiadano, że nawet Madziarzy, stanowiący do niedawna postrach całego cesarstwa, skłaniają się ku przyjęciu wiary chrześcijańskiej, którą sami niegdyś na Morawach wytępilli. Co chrześcijańskie – rozkwita, mając poparcie innych chrześcijan, pogańskie schodzi w cień. Trzeba tak upartych pogan jak Wieleci czy Ranowie, by upierać się, że stara wiara jest lepsza...

Tak myślał książę, na którego głowie ciąży odpowiedzialność za los podległych mu ludów, książę, który czuł w sobie siłę mnóstwa poddanych, jak soki krążące w drzewie. On był koroną drzewa szumiącego liśćmi. Do niego należało ten gąszcz ubezpieczyć. Wyrosnąć nad nieprzyjaciół. Dlaczego sokół, orzeł, to ptaki książęce? Bo wzbijają się wysoko. Wyżej a wyżej. Piękna rzecz taki lot, byleś w dół nie zleciał. Samo męstwo nie ochroni przed upadkiem, trzeba jeszcze wiele rozważ, rozumnego sądu.

Chrześcijaństwo jest siłą, ale tylko wtedy, jeśli dobrowolnie przyjęte, nie za rozkazem niczym. – „Lepiej ci, synu, ochrzcić się z woli własnej, niż na cudzej ziemi, przymuszony” – pisał kiedyś apostoł Metody do księcia Wisława. Słusznie pisał. Jeśli czekać, aż przymuszą, nigdy się człowiek nie wyrwie z podłej zależności. Niech bogi strzegą przed zależnością od Niemców! Wszystko wskazywało, że lepiej zawczasu się ochrzcić.

To zasadnicze postanowienie nie rozcinało jeszcze wątpliwości. Mówiono, że Kościół chrześcijański jest jeden, ale to

nie była prawda. Bóg jeden, a dwa Kościoły. Wiara rzymska i wiara carogrodzka. Obie koso na siebie patrzyły. Którą wybrać?

Gadają starzy, że apostoł Metody do Rzymu chodził, papieża się radził, a papież go błogosławił i przed biskupami niemieckimi bronił... Teraz pono Rzym chrześcijaństwo słowiańskie potępia... E, kto by się w tym wyrozumiał? Trzeba brać sprawy rozsądnie. Rzym bliżej niż Carogród. Chcesz, by cię Niemcy uważali za równego, musisz przyjąć rzymski obyczaj, bo oni tylko łacinę mają w poważaniu.

Jużci, gdyby księżę zapytał poddanych o zdanie, rzekliby prawdopodobnie, że chcą chrześcijaństwa „wedle Metodego”. Bo swoje, bo zrozumiały. Lecz któż by pytał poddanych? Rzeczą księcia rozstrzygać samemu.

Już po całej ziemi polańskiej mówiono o zamiarach władcy. Pojawili się w grodach księcia czescy, pouczający lud o nowej wierze. Żercy wołali, żeby precz pędzić tych przybłędów, grozili straszną pomstą bogów, ale ludzie słuchali ciekawie przybyszów. Gadali po słowiańsku, więc każdy rozumiał, a pamiętano, co starki prawily, że kiedyś, podobnie jak dzisiaj te mnichy czeskie, tak wówczas chodzili po dziedzinach apostołowie słowiańscy, którym żywina przychodziła do rąk, a zwierzę przed nimi nie uciekało. Z tych wspomnień o uczniach Metodego powstaną w przyszłości legendy powiadające, jak sam Jezus Krystus z Pieterpawłem wędrował po ziemi, bo każda legenda jest echem rzeczywistości.

Księża czescy kroczą utworowaną przed stu laty drogą. Zachwycają proste dusze powieścią o Niebie pełnym ozdoby anielskiej i chwały, budzą tęsknotę za bytem lepszym, za dźwignięciem samego siebie z poniżenia. Uczą, czego Bóg nie pozwala czynić: ani kłamać, ani cudzego ruszyć, ani cudzołożyć, ani mężobójstwa popełniać... Odpowiadają słuchacze, że stare bogi także tego bronią, na co księża wyliczają dalsze obostrzenia: nie wolno wynosić niemowląt żeńskich do boru wilkom na pożarcie, ani kłąć, ani pogańskich obrzędów odprawiać, ani jeść mięsa w dniu przez Kościół naznaczone...

Pan Bóg żąda, żeby człowiek był prędki ku słuchaniu Jego woli, a leniwy ku gniewowi...

Książę polański Mieszko układał się z księciem czeskim Bolesławem I, swoim sprzymierzeńcem. Czesi przyjęli dawno chrześcijaństwo, najpierw w obrządku słowiańskim, potem za naciskiem Niemców przeszli na łaciński. Bolesław I ubolewał przed polskim sojusznikiem, że jego poprzednik Spitygniew zmuszony był poddać Czechy biskupowi ratyzbońskiemu. Diecezja ratyzbońska sięga teraz daleko na wschód, obejmując ziemie czeskie i wiślańskie. Wbrew jego, Bolesława, woli, naślano tu zakonników niemieckich urągających miejscowym duchownym. Dlatego księża czescy, nieboracy, kwapią się do Polski, gdzie im nikt nie czyni wstrętów.

W trakcie tych rozmów książę czeski z księciem polskim ułożyli, że Mieszko pojmie za żonę córkę Bolesława, Dąbrówkę (Dubrawkę), niezbyt już młodą, lecz krzepką i nadającą się do macierzyństwa. Przyszły teść obiecał zięciowi pięciuset konnych rycerzy. Układ i małżeństwo zostały zawarte w roku 965, zaś w roku następnym miał miejsce Chrzest Polski.

Mało wiemy o tej najważniejszej dacie. Żadnego opisu, żadnego szczegółu. Nie wiemy nawet, gdzie odbył się chrzest książęcy; istnieją tylko domysły, że uroczystość miała miejsce w Ratyzbonie w Wielką Sobotę 14 kwietnia 966 roku, że ojcem chrzestnym był teść Mieszki, lub szwagier, książę czeski Bolesław Pobożny i że imię Dagobert lub Lambert nadane mu było na chrzcie.

Nie wiemy również, czy książę polski i Dąbrówka (o której wzmiankuje Thietmar, że pracując nad nawróceniem małżonka, została w tym wysłuchana przez dobrotliwego Stwórcę) rozumieli, że swym czynem przesądzą bieg dziejów polskich na tysiąclecia? Czy pojmowali, że Woda Żywota zapłodni naród wielką siłą ducha, posieje bohaterów i świętych, że dają ludowi polskiemu wyjście na szeroki świat, wprowadzając do kraju pismo? Pierwsza przyniesiona księga stanie się załącznikiem przyszłego uczestnictwa Polski w skarbcu wiedzy ludz-

kiej: zarodkiem bibliotek, szkół, polskich uczonych, pisarzy i myślicieli. Czy wiedzą Mieszko i Dąbrówka, że dali wzrok niewidomym, uszy głuchym i że potomność, chcąc to upamiętnić, użyje symbolu, jakoby Mieszko do dnia postrzyżyn był ślepy? (Anonim Gall).

Nie należy sądzić, jakoby cały naród przyjął chrzest w błogosławionym roku 966. Prawdopodobnie większość ludności mieszkającej w lasach, na odgrodzonym rzekami i borami Mazowszu, w zapadłych nadnoteckich moczarach, pozostawała nadal pogańska. Zgodnie z ówczesnym układem sił i warunkami komunikacyjnymi chrześcijaństwo przyjął wpiery książę wraz z dworem, znaczniejsi mieszczanie grodzcy, wielmoże, rycerstwo, ich rodziny, ich czeladź, i dopiero z tych ośrodków wiara przedostawała się pomału w obejścia kmiece. Ten proces zapewne trwał długo, lecz to nie miało znaczenia. Skoro panujący był chrześcijaninem, a w kraju istniała hierarchia duchowna, państwo uznawano już powszechnie jako chrześcijańskie.

Natychmiast po swoim chrzcie Mieszko wysłał posłów do papieża Jana XIII z obediencją i wyrazami miłości synowskiej. Zarazem prosił usilnie o mianowanie biskupa dla Polski. Siostra Dąbrówki, księżniczka Mlada, w przyszłości opatka klasztoru benedyktynek w Pradze, podjęła się poprzez prośbę dziewierza w Rzymie, gdzie przebywała. Co wpłynęło na postanowienie papieża? Wstawiennictwo Mlady (czyli zakonu benedyktyńskiego) lub niewygasła uraza do hierarchii niemieckiej za rokosz wzniesiony z okazji nominacji biskupów dla metropolii słowiańskiej na Morawach? W każdym razie Jan XIII przyjął życzliwie prośbę Mieszka, posyłając do Polski Giordano (Jordana), prawdopodobnie Italczyka, jako biskupa misyjnego, zależnego bezpośrednio od Rzymu.

Wagę tego zwycięstwa trudno dzisiaj pojąć. Można bez obawy przesady powiedzieć, że gdyby wówczas Jan XIII zdecydował inaczej, przed Polską stała jedynie wielecka nienawiść do chrześcijaństwa podawanego w wersji niemieckiej, a zatem los wielecki: śmierć albo uległość i nieuchronna ger-

manizacja. Toteż jeszcze dziś po dziesięciu wiekach wolno z wdzięczną czułością wspominać Ojca Świętego, co śmiało zdecydował o polskiej przyszłości.

Miarą powodzenia jest gniew przeciwników. Otton I szaleje ze złości. Wypadki nastąpiły po sobie zbyt szybko, by mógł im przeszkodzić. Tępy upór biskupa halberstadzkiego Bernarda opóźnił uznanie metropolii magdeburskiej. Tymczasem szczwany lis, Mieszko, przyjął cichaczem chrzest i otrzymał biskupa misyjnego. Można się wściec.

Otoczenie Ottona I uspokaja monarchę, że nic straconego. Biskupstwo misyjne w samym założeniu nie jest przewidziane na stałe. Gdy teren misyjny, czyli pogański, staje się chrześcijańskim, Stolica Apostolska zamienia go na normalną diecezję, poddaną najbliższej metropolii, zatem magdeburskiej. Należy cierpliwie czekać.

W rok później niespokojny Wichman, przesiadujący obecnie u Wolinian, podmówił ich do uderzenia na Mieszkę. Tym razem spotkał się z innym przyjęciem. Mieszko, wsparty konnicą czeską, rozbił napastników. Wichman śmiertelnie ranny zmarł na polu bitwy. Wolin wraz z ujściem Odry przypadł Polsce. Wolin! Drugiego takiego miasta nie ma na południowym wybrzeżu Bałtyku. Posiadanie Wolina to rękojmia potęgi i bogactwa. Oto, co Adam Bremeński pisze o Wolinie, zwanym z duńska Jumme:

U ujścia rzeki Odry... przesławne miasto Jumme zapowiada nader uczęszczany punkt postoju dla barbarzyńców i Greków<sup>2</sup>, którzy mieszkają naokoło. Ponieważ na chwałę tego miasta wypowiada się rzeczy wielkie i zaledwie godne wiary, chętnie dorzucę kilka słów godnych opowiedzenia. Jest to rzeczywiście największe z miast, jakie są w Europie. Zamieszkują je Słowianie łącznie z innymi narodami... tak-

---

<sup>2</sup> Grekami biskup z Bremy nazywał kupców ruskich, prowadzących ożywiony handel z Bizancjum, zaopatrujących miasta północne w cenne wyroby greckie.

że i sascy przybysze otrzymują prawo zamieszkania, byleby tylko, przebywając tam, nie występowali z oznakami swego chrześcijaństwa. Wszyscy bowiem [mieszkańcy] jeszcze dotąd podlegają błędom pogaństwa. Zresztą, pod względem obyczajów i uczciwości, nie znajdzie się lud bardziej uczciwy i przychylny... Jest tam latarnia morska, którą mieszkańcy nazywają ogniem greckim... (Adam z Bremy, *Dzieje kościoła hamburskiego*).

Nie tylko sprawy religijne powodują niechęć Wioletów do Mieszka. I nie tylko zazdrość o to, że się wzbogacił Wolinem. (Wiedzą, że Wolinianie sami go napadli, zaufawszy Wichmanowi). Główną przyczyną urazy są Czesi. Dotychczas chrześcijańscy książęta czescy, mając za sąsiadów pogańską Polskę i pogańskich Wioletów, wybierali sojusz z tymi ostatnimi. Obecnie skoro Polska przyjęła chrześcijaństwo, Czesi związali się z nią, odstępując starych sprzymierzeńców. Swój do swego. Chrześcijanin do chrześcijanina. Tego mu Wieleci nigdy nie wybaczą.

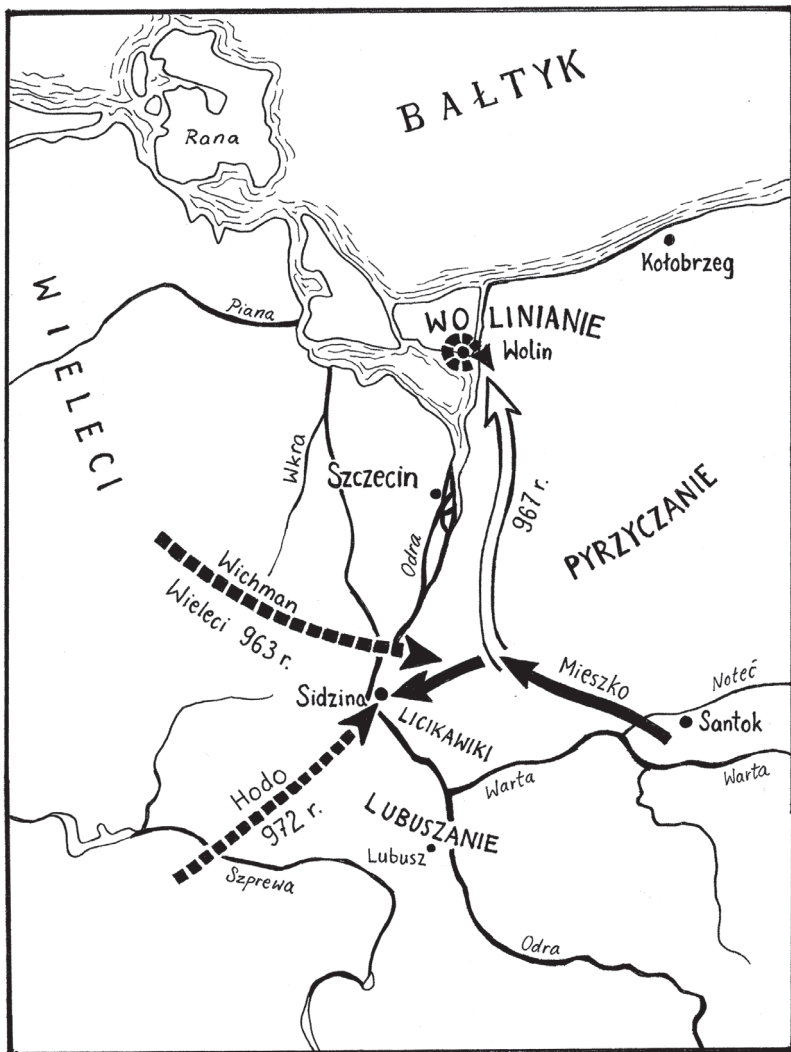
...na zachód jest szczep należący do Słowian zwany ludem Wieltaba (Wieleci)... Wojują z Mieszkiem, a ich siła bojowa jest wielka (Ibrahim ibn Jakub, *Relacja z podróży do krajów słowiańskich*).

W tymże czasie ulega zmianie stosunek cesarza do księcia polskiego. Otton pokonał Madziarów, lecz nie może się uporać z zawziętymi i wojowniczymi Wioletami. Przymierze z Polską przeciw tym poganom staje się nagłą potrzebą.

W wyniku rokowań Mieszko dobrowolnym aktem zawiera z Ottonem sojusz „szukając oparcia w jego potędze przeciwko Wioletom”. Sojusz pociąga za sobą stosunek trybutarny z zajętych ziem: Lubuskiej (Licikawików) i Pomorza *usque in Vurta fluvium* (aż do rzeki Warty) nie naruszając w niczym suwerenności księcia polskiego na pozostałych ziemiach. Przysługuje mu tytuł „Przyjaciela cesarza”, którego to wyróżnienia książę czeski, dawniejszy wasal, nie posiadał.

Osieroconą przez Gerona marchię Otton podzielił na kilka części. Wschodnią (Żytyce, Serbiszcze i cały kraj aż do Warty)

**Kierunki ekspansji Mieszka I na Pomorze Zachodnie  
i przeciwdziałanie Wieleców, Wolinian i Niemców  
w latach 963-972**



otrzymał w zarząd margrabia Hodo. Ambitny wojownik pło- nie chęcią zaćmienia sławy Geron. Pobije Mieszka, wyprze go z powrotem w nadnoteckie puszcze. W zapale zapomina o doświadczeniu, jakie posiadał Geron, a którego jemu brak. Gero doceniał przeciwnika. Hodo mniema, że skoro Wichman na czele barbarzyńców uzbrojonych w oszczepy i topory dwu- krotnie rozbił Mieszka, tym bardziej on go zmiażdży pancerną konnicą.

Nie opowiadając się cesarzowi, margraf wiezie magde- burskim gościńcem swoje wojsko na wschód ku przeprawie. Prawy brzeg Odry jest niski, podmokły. Równolegle doń cią- gnie się stare koryto rzeki, wyschłe, zarosnięte krzakami. Środkiem smugu biegnie grobla wiodąca do grodu zwanego Cedzyna<sup>3</sup>.

Jazda i piechota Mieszki bronią walecznie przeprawy, lecz czerwiec wypił wodę, bród jest szeroki, dogodny. Mimo zaciętej obrony Hodo przedostaje się na brzeg polański. Po gwałtownej rąbaninie wojsko Mieszka, nie mogąc sprostać wściekłemu natarciu, poczyna się chwiać. Zrazu wolno, po- tem coraz prędzej, pobite szyki polskie cofają się groblą w kie- runku Cedzyny.

Tymczasem dostojny margraf Hodo, zebrawszy wojsko, wpadł z nim na Mieszka, który był wierny cesarzowi i płacił trybut aż po rzekę Wartę. Na pomoc margrabiemu pośpieszył ze swoimi tylko mój [Thietmar] ojciec, graf Zygfryd, podów- czas młodzieniec i jeszcze nieżonaty. Kiedy w dzień św. Jana Chrzyciela starli się z Mieszkiem, odnieśli zrazu zwycię- stwo... (Thietmar, *Kronika*).

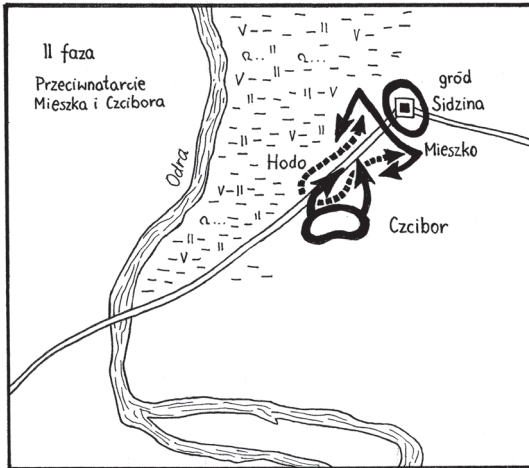
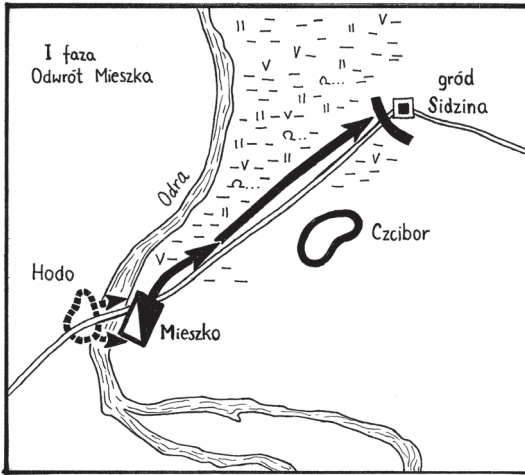
Upojony łatwym zwycięstwem, Hodo rzuca się w pościg za uciekającymi. Dopaść ich, nim zamkną się w grodzie! W za- pale mieszają się niemieckie szyki, wojownicy wyprzedza- ją jedni drugich, rozciągają się na wąskiej drodze w długą beładną kolumnę. Gdy ostatni tarczownicy goniąc za kon-

---

<sup>3</sup> Pierwotne brzmienie tej nazwy nieustalone: Cedydna, Cedynia, najprawdopodobniej Sidzina.



## Bitwa pod Cedzyną (Sidziną) w roku 972 (wg W. Filipowiaka)



nymi przebiegną, pokrzykując ochoczo, szum nagły powstaje w krzakach. Czyżby wiatr się zerwał? To nie wiatr, to zaczone w wądole starego koryta wojsko Czcibora, Mieszkowego brata, wynurza się z chaszczy. Z rykiem bojowym uderzają na tyły oddziałów niemieckich, zbyt pewnych wygranej, wywo-

lując bezprzykładne zamieszanie. Margrabia słyszy za sobą wrzaski przerażenia, usiłuje zawrócić, sformować szeregi. Daremnie! Oddziały zdjęte paniką tłoczą się w miejscu bezładnie. Na lewo bagna i rzeka, na prawo zdradziecki wąwóz... Równocześnie z bram grodu wypadają wojska Mieszka, pozornie tylko rozbite, wzmocnione załogą zamku. Spychają zaskoczonych Niemców w tył na Czyciborowych...

...w miejscowości zwanej Cedzyna brat Mieszka Czycibor zadał im porażkę, kładąc trupem wszystkich najlepszych rycerzy z wyjątkiem obu wspomnianych grafów [Hodona i Zygfrida], Cesarz poruszony do żywego wieścią o tej klęsce wysłał czym prędzej gońców, nakazując Hodonowi i Mieszkowi pod rygorem utraty jego łaski, zachować pokój do czasu, aż on sam przybędzie i osobiście zbada sprawę... (Thietmar, *Kronika*).

...stoczono bitwę z Polanami, a ich książe Mieszko sztuką [wojenną] odniósł zwycięstwo. Upokorzona pycha niemiecka na ziemię runęła. Waleczny graf Hodo uciekł z nielicznym oddziałem (Bruno z Querfurtu, *Vita St. Adalberti*).

Zatem bezpośrednie spotkanie orężne księcia polskiego z siłą niemiecką okazało się dla strony słowiańskiej zwycięskie. Po raz pierwszy żelazne szeregi saskie napotkały na wschodzie siłę równą swojej i musiały pogodzić się z jej istnieniem. Skwapliwość, z jaką po śmierci Dąbrówki cesarz podsunie Mieszce córkę margrabiego Teodoryka, Odę, na żonę, świadczy wymownie o chęci Ottona II utrzymania przyjaznych stosunków z księciem, którego podróżnik arabski nazywał „królem Północy”.

Chrześcijaństwo ukształtowało dzieje Europy, i Polska dopiero z chwilą przyjęcia chrztu, otwierając wrota dla swojej z górą tysiącletniej historii i kultury, uzyskuje właściwe oblicze. Polska...

...kraj, gdzie powietrze zdrowe, rola żyzna, las miodopłynny, wody rybne, rycerze dzielni, wieśniacy pracowici, konie wytrzymałe, woły do orki pilne, krowy mleczne, a owce wełniste... (Anonim Gall, *Kronika*).

## SŁOWIAŃSKA KSIENI

Książę Nakon, brat Stojgniewa, poległego nad Raksą, zasłynął jako zjednoczyciel plemion obodrzyckich, czym znacznie wzmocnił swe państwo. Jednym z jego następców był Billug, o którym wypada szerzej opowiedzieć.

Książę ten tym się różnił od reszty Połabian, że miał nie-nawidzić chrześcijaństwa, ciekawił się tą nauką, jak gdyby nie wiedząc, że to przynęta niemiecka. Słuchał chętnie zakonników ze starogardzkiego klasztoru, odwiedzających nie-raz jego dworzec. Byli to ludzie cisi, bezorężni, podobniejsi do uczniów św. Metodego niż do wojowniczych biskupów. Nigdy na dworcu książęcym nie słyszano równie pięknych opowieści jak te, które oni snuli opowiadając o swoim Bogu, aniołach i świętych. Dodawali również (szczerze prawili, wierząc, że tak jest istotnie), iż przyjęcie chrześcijaństwa przyniosłoby księciu i jego krajowi ogromne korzyści. Wszyscy chrześcijanie są braćmi, dziećmi jednego Ojca Przedwiecznego, więc z momentem chrztu znika różnica między Słowianinem a Sasem. Pokój, wzajemna życzliwość zajmują miejsce dotychczasowej wrogości. Wiara prawdziwa to błogosławieństwo dla całego kraju.

Póty mówili, aż wielki książę (choć nie dziecko przecie!) uwierzył ich słowom i został chrześcijaninem. Nie wiemy, jak go wołały ojce słowiańskie. Obce imię Billuga otrzymał dopiero na chrzcie. Nadał mu je biskup na pamiątkę pogromcy Słowian, komesa Hermanna Billinga. A tak, już na progu nowej wiary, naznaczono nowochrzczeńca piętnem służebnictwa.

Szemrali, burzyli się poddani na postępek książęcy, na to imię niemieckie, na odstępstwo starych bogów. Gdyby Billug był księciem wieleckim obieranym przez wiecowników, wiec pozbawiłby go tronu, lecz u Obodrzyców władza książęca była

dziedziczna i nietykalna. Szemrali tym więcej, że nie sprawdziło się nic z pięknych zapowiedzi mnichów, ciężar zaś dziesięcin, jakie książę musiał płacić Kościołowi, okazał się ponad siły poddanych.

Składano biskupowi z całej ziemi Wagrów albo Obodrzyców roczną daninę, która miejsce dziesięciny zastępowała, a mianowicie od każdego pługa miarę zboża, zwaną po słowiańsku *kuritze* [korzec], czterdzieści motków lnu i dwanaście sztuk pieniędzy czystego srebra. Prócz tego jeden pieniądz dla tego, który daninę wybierał. Słowiański zaś pług oznaczał to samo, co para wołów lub jeden koń (Helmold, *Kronika Słowian*).

Były to wielkie i niegodziwe ciężary. Niezależnie od nich lud płacił przecież wysokie daniny na utrzymanie książęcego dworu i wojska. A teraz biskupia danina: któryż rolnik mógł dać dwanaście sztuk srebra od pługa? Któryż rolnik posiadał srebro w ogóle? W braku pieniędzy poborca biskupi przeliczał należną sumę na zboże, płótno, skóry, miód, wosk albo trzodę. Przeliczał dowolnie i kończyło się zazwyczaj tym, że poborca odchodząc, zabierał wszystko dobytek rolnika.

Nie mieliż ludzie narzekać, przeklinać książęcego odstęstwa? Ileż łaskawsze były stare bogi i źerce w lnianym odzieniu zadowolające się tym, co ludzie przynieśli! Udręczeni rolnicy chodzili skarżyć się do świętego gaju. Opis gaju zostawił kronikarz:

...obaczyliśmy między drzewami potężne dęby poświęcone bogu ziemi starogardzkiej [wagryjskiej] Prowemu, otoczone dziedzińcem. Dziedziniec opasywał parkan starannie z drzewa zbudowany, posiadający dwie bramy. ...to miejsce było świętością... Tam... lud tego kraju z kapłanem i księciem zbierali się zwykle na sądy. Wejście na dziedziniec było wszystkim zabronione, wyjąwszy kapłana i przynoszących ofiary lub tych, co byli w niebezpieczeństwie śmierci. Takim nigdy schronienia nie odmawiano. Taką zaś wielką cześć mają Słowianie dla swych bogów, że obręb świętyń nawet w czasie wojny krwią kalać nie pozwalają. Na przysięgę

z trudnością się godzą w obawie, by przez krzywoprzysięstwo nie ściągnąć na siebie gniewu bogów... Słowianie... pomiedzy różnokształtnymi bogami, którym poświęcają pola, lasy, smutki swe i radości, wyznają także, że jest jeden Bóg, który w niebie innymi bogami rządzi... że inni wykonują tylko poruczone im obowiązki, że z jego krwi pochodzą i że każdy tym jest wyższy, im jest bliżej owego boga bogów (jw.).

Gdy bezlitosny poborca niemiecki opróżnił chlewy i gumna, po czym obrabowanym kazał ucałować krzyż, burzyła się w nich krew, zaciskały pięści. To nie byli barankowie zastrachani. Ten sam kronikarz pisał o tym ludzie:

Aldenburg, który w języku słowiańskim Starogard, czyli stary gród, się nazywa, leży w ziemi Wagrów... To miasto, czyli kraj, był zamieszkały przez najdzielniejszych mężów słowiańskich... Miał za sąsiadów saskie i duńskie ludy i wszystkie wzajemne napady bądź sam naprzód czynił, bądź na sobie je przyjmował.

Najdzielniejsi mężowie w gaju Prowego przykładali palące dłonie do kory pokrywającej pokracznie skręcone pnie i przysięgali zemstę.

Przyjęcie chrześcijaństwa przez wspomnianego księcia Obodryców Billuga łączyło się dla niego ze świetnym ożenkiem. Biskup Wagon ze Starogardu dał mu swą siostrę za żonę.

...przyjaciele biskupa źle tę wiadomość przyjęli, mówiąc, iż nie godzi się tak pięknej panny wydawać za człowieka nieokrzesanego i dzikiego... lecz biskup, bojąc się, by dla nowego Kościoła jaka szkoda nie wynikła... pobłogosławił zamęcie siostry swojej... (jw.).

Ubodzy, cisi zakonnicy, którym zawierzył Billug, przestali odwiedzać dworzec książęcy. Za to pełno w nim było sług biskupich, podglądających, czy książę nie składa bogom obiaty albo nie jada końskiego mięsa, o co oskarżała go żona. (Spożywanie koniny, należące do rytuału uroczystości pogańskich,

było przez Kościół surowo zabronione i karane na równi z łamaniem postu). Plemienni rodowcy i dawni druhowie Billuga odsunęli się od niego. Żona nim pomiatała. Syn buntował się przeciw ojcu.

Miał Billug dwóch synów z pierwszego małżeństwa. Siostra Wagona urodziła mu córkę Hodykę. Synów kronikarz Helmold nazywa Mściwój i Mizzudrag. (To cudacznie przekręcone imię znawca starosłowiańszczyzny Szafarzyk tłumaczy na Mieczysława, choć przypomina ono raczej Mściudruga).

Mieczysław... pobudzany nienawiścią, aczkolwiek tajemną, ku religii chrześcijańskiej, przy tym powodowany obawą, by obyczaj obcy w owych stronach się nie zagnieździł, ojca swego często obwiniał, że w swym zaślepieniu, za próżnymi nowostkami się ugania i od ojczystych praw odstępuje... (jw.).

Połowiczny, chwiejny Billug mścił się za kłopoty domowe na swoim szwagrze biskupie. Udręczał go najdotkliwiej, bo finansowo. Włości biskupa zbrojnie najeżdżał i hupił, udając później, że napasci dokonali zbójce rańscy lub wieleccy.

Prócz tego, wszystkim osadnikom, którzy w dobrach biskupa pozostawali, śmiercią zagroził, jeżeliby jak najprędzej tychże nie opuścili. Takim sposobem, posiadłości te w krótkim czasie w pustynię się zamieniły... (jw.).

Otton I, zwany Wielkim, wówczas już nie żył. Jego następcą, młody dwudziestokilkuletni Otto II, toczył w Italii przewlekłą wojnę z Saracenami. Znany z chciwości Bernard księżę saski nadzorował Obodrzyców. Król duński Harald Sinozęby wylądował na wyspie Wolin, mimo zaciętej obrony spustoszył miasto, a na położonej na północ Srebrnej Górze założył morską warownię, dowód swej władzy nad wyspą i grodem. Wolin w języku skandynawskim zwał się Jumme, albo Jomme, przeto warownia otrzymała nazwę Jomsborg. Harald osadził tam swoich Wikingów, złączonych w bezżenne bractwo pirackie, postrach wszystkich portów i grodów nadmorskich od Szwecji do Wielkiej Brytanii.

Książę Billug był ofiarą swego braku charakteru, jego syn Mściwój stanie się ofiarą swojej ambicji. Wyniosły książę Bernard saski zwrócił się do młodego księcia, ofiarowując mu udział w chwalebnej walce, jaką najświetniejszy cesarz toczy przeciw muzułmanom. Wszak Mściwój jest chrześcijaninem, ma prawo uczestniczyć w tym wspaniałym boju, będącym raczej triumfalnym pochodem. Jako pierwszy z książąt słowiańskich dostąpi takiego zaszczytu. Pierwszy obaczy Rzym, cudne południowe kraje, a po powrocie nie lada go spotka nagroda... On, Bernard, nie zawaha się oddać walczącemu obrońcy chrześcijaństwa swej urodziwej synowicy za żonę...

Nie znający podstępny młodzik słucha oszołomiony, olśniony. Nie wierzy uszom. Bernard staje się wymowny, gdyż cesarz śle gońca za gońcem z Italii, nagląc o posiłki. Położenie jego wojsk w Kalabrii jest z każdym tygodniem trudniejsze.

Jednako oczarowani, ojciec i syn, Billug i Mściwój, przygotowują gorączkowo wyprawę. Mściwój powiedzie do Italii tysiąc zbrojnych wojów. Tysiąc! Dwieście, trzystu konnych, przeważa nieraz los wielkiej bitwy, więc tysiąc to wsparcie nie lada. Bernard wieszkuje sobie pomysł, zwłaszcza, że Słowianie słyną z męstwa. Ponawia szczerze obietnice. Biskup Wagon błogosławi odjeżdżających.

Po odjeździe syna, który go rozumiał, Billug zostaje osamotniony, młodszy syn mu dogryza, co gorsza, żona za namową brata, biskupa, postanawia Hodykę, jedyną jego pociechę, oddać do klasztoru. Powiada, że miłując córkę, chce dla niej lepszego losu niż ten, jaki jej samej przypadł w udziale. Co czeka dziewczynę? Małżeństwo z barbarzyńcą. Wszak żaden niemiecki rycerz nie weźmie za żonę Słowianki, choćby księżniczki i ochrzczonej. Na nałożnicę – owszem, na małżonkę – nie. Do klasztoru Hodykę przyjmą ze względu na wuja.

Próbował przypominać Billug obiecane świetne małżeństwo Mściwoja, które podniesie znaczenie Hodyki. Żona wzruszała na to pogardliwie ramionami. Znała swoich.

Co do dziewczki, nikt się jej o zdanie nie pytał i córka Billuga poszła do zakonu słynących z uczoności Panien w Mikilinsburgu (dzisiejszy Meklemburg).

Zrazu było jej ciężko, jak w więzieniu. Siostry schlebially w oczy z powodu biskupa, za oczami szydziły z dzikuski, nie mającej pojęcia ani o świecie, ani o wierze świętej. Lecz, patrzcie: po niewielu latach dziczka jęła doganiać uczone siostry. Układała w słowa litery wycięte z bukszpanu, śpiewała na chórze. Na koniec posiadała szczyt umiejętności: czytanie psalterza. Wuj biskup był szczerze zachwycony.

...gdy w Piśmie św. się wyćwiczyła, uczynił ją ksienią w klasztorze Panien w Mikilinsburgu, chociaż lat jeszcze potrzebnych nie miała... (jw.).

Pierwsza słowiańska ksieni, Hodyka. Imienia jej zakonnego nie znamy. Mając w żyłach krew władców zwyczajnych rządzenia, kieruje roztropnie zakonem, zawiaduje mądrze klasztornymi włościami. Zanim jednak zdąży zadomowić się należycie w swoich przywilejach i obowiązkach, zachodzi w jej losie nowa, gwałtowna przemiana.

Umiera Billug, nieszczerzy chrześcijanin, nieszczerzy poganin, człowiek na rozdrożu. Powraca Mściwój na czele kilkudziesięciu zaledwie wojów. To wszystko, co po wyprawie italskiej zostało z jego świetnej tysięcznej konnicy. Klęska, poniesiona w wąwozach Kalabrii, zakończyła „triumfalny pochód wojsk cesarskich”. Saraceni umocnili się w południowej Italii.

Mściwój udaje się do księcia opowiedzieć przebieg wypadków i przypomnieć obietnicę małżeństwa. Przyjęty jest pogardliwie. Książę Bernard już wie o porażce cesarza, a co do roszczeń Obodrzyca... Głupi prostak! Obiecano mu, obiecano, licząc, że żywy z Italii nie wróci... Trzeba z tym skończyć. Cedzi zimno, że krewniaczka księcia za psa wydana być nie może. Mściwój odjeżdża bez słowa.

Według Helmolda, Bernard spostrzega, iż nie w porę obraził słowiańskiego włodykę. Wysłał w ślad za nim posłów: Wracaj, otrzymasz rękę synowicy księcia.



Billug może by wrócił. Jego syn nie wraca.

...doznaliśmy wdzięczności za nasze usługi – powiada posłom – że nas z psem równają. Lecz pies jest silny i gryźć potrafi boleśnie (jw.).

Obrażony książę Mściwój wzywa starszyznę. Mówi o doznanej zniewadze. To zniewaga całego plemienia. Żąda, by mu pomogli ją pomścić. Lecz słuchacze pozostają obojętni.

Sam tego chciałeś – powiadają – ulubieś sobie ród Sasów wiarołomny i chciwy. Słusznie teraz cierpisz (jw.).

Nie znajdzie książę posłuchu wśród swoich, a zniewaga piecze. Co czynić? Wieleci nie cierpią Sasów. Wprawdzie między Wioletami a Obodrzycami częściej panuje nieprzyjaźń niż dobre stosunki, szczególnie obecnie, po przyjęciu chrześcijaństwa przez Billuga, lecz Mściwój na to nie zważa. Udaje się do Redarów, choć przejmuje go lęk. Został chrześcijaninem, a świątynia Swaróżyca to nie gaj Prowego, gdzie wiatr szumi wśród gałęzi, zaś świętego obrębu krwią kalać nie wolno... To Radogoszcz...

Jest w kraju Redarów gród o trójkątnym kształcie i trzech bramach doń wiodących... Otacza go zewsząd puszcza, ręką ludzką nietknięta i za świętość uważana. Dwie bramy tego grodu stoją otworem dla wszystkich, trzecia od strony wschodniej jest najmniejsza i wychodzi na ścieżkę wiodącą do bliskiego i strasznego jeziora [Doleńskiego]. W grodzie stoi jedna świątynia zbudowana misternie z drzewa i spoczywająca na fundamencie z rogów dzikich zwierząt. Jej ściany zewnętrzne zdobią wizerunki bogów i bogiń w przedziwny rzeźbione sposób... Pierwszy spośród nich Swaróżyć [zwany też Radogostem] wielkiej czci doznaje u wszystkich pogan. W świątyni przechowuje się znaki bojowe zabierane wyłącznie na wyprawę wojenną...

Wróżby sprawiają kapłani, zakopując losy w ziemię pod darnią, po czym wbijają w to miejsce dwie włócznie na krzyż i skłaniając się pokornie, przeprowadzają przez nie konia uważanego za własność boga Swaróżyca...

Jeżeli obie wróżby, losy oraz przeskoczenie włóczy przez zrebca, wypadną pomyślnie, plemiona podejmują z zapalem zamierzone działania. Jeżeli wynik jest zły, odstępują przedsięwzięcia. Powiadają też poganie, że ilekroć grożą im jakoś klęski, ze wspomnianego wyżej jeziora wychodzi olbrzymi odyniec o spienionych kłach i na oczach wszystkich tarza się w bagnie wśród straszliwych wstrząsów... (Thietmar, *Kronika*).

U Wioletów o wszystkim postanawia wiec. W obliczu zwołanego wiecu książę obodrzycki opowiada swoją sprawę, wzywa do walki z Niemcami. Przypomina krzywdy i łupiestwo, przedstawia korzystne okoliczności, klęskę cesarza w Italii. Był tam, widział uchodzące, przerażone niedobitki! Jeżeli kiedy uderzyć, to teraz.

Wiecownicy, kapłani, słuchają w milczeniu. O, ich nie trzeba zagrzewać do boju! Dla Redarów, Doleńców, Czrezipian, Chyżan, nie masz piękniejszej pobudki nad zawołanie: Bij Niemców! Rozumieją korzyści obecnego położenia. Lecz milczą, bo nie ufają Mściwojowi. Niech wpiery zaprzysięgnie, że do chrześcijaństwa nigdy nie powróci.

Bez wahania książę czyni, czego żądają. Wypiera się Chrystusa i Bogarodzicy, składa ofiarę przed posągami Swarozycy. Przysięga na świętą ziemię, święty ogień, świętą wodę. Wtedy dopiero Redarowie wśród radosnej wrzawy wynoszą znaki bojowe z ciemnego wnętrza świątyni.

Odstępca oddycha z ulgą. Pies ugryźć potrafi.

– Precz z Niemcami! Wyżenać Niemców! Precz z chrześcijaństwem! To hasło leci lotem błyskawicy nad krajem. Nie ma radia, nie ma prasy, więc jak się rozchodzi? Wiatr je powtarza? Drzewa powtarzają, że Chrystus obalon, wróć stare bogi? Jakby pękły tamy wstrzymujące powódź, jakby pożar ogarnął wysuszony bór – cały kraj staje na nogi. Dość, za dość ucisku, zdzierstwa, krzywdy, pomiatania! Dostyc przemocą narzuconej wiary! Wyżenać Sasów! Szaleństwo ogarnia głowy. W każdym grodzie rzwą rogi bojowe, z każdego siola wychodzą mężowie zbrojni w topory i maczugi. We wspólnym

froncie łączą się wszystkie plemiona. Nawet Czesi rzucają się przeciw Niemcom, zdobywając Żytyce (dzisiejsze Zeitz). Ze wszystkich ludów połabskich tylko Łużyczanie i Serbowie nie biorą w powstaniu udziału. Reszta jak wezbrana rzeka wali na zachód, mordując po drodze wszystko co niemieckie. Zabijają Bogu ducha winnych księży i braci zakonnych. Palą kościoły, burzą klasztory, obalają biskupstwa, w grodach dzierzonych przez Sasów nie zostawiają przy życiu nikogo z załogi. Darmo przerażeni Teodoryk i Bernard usiłują stawić lawinie czoło, ściągają zewsząd oddziały. Próżne zabiegi. Sasów ogarnia panika. Pierzchają, a dowódcy z nimi.

Zaczęła się ta zbrodnia 29 czerwca 983 r. od wyrżnięcia załogi w Hobolinie i zniszczenia tamtejszej katedry. W trzy dni potem, w chwili gdy dzwoniono na jutrznię, zjednoczone siły Słowian napadły na katedrę brenneńską... Jej... pasterz Folkmar uratował się na czas ucieczką, jej zaś obrońca Teodoryk wraz z rycerstwem ledwie uszli tegoż dnia przed wrogiem... Cały skarb kościelny został rozgrabiony i wiele krwi się polało w sposób pożałowania godny. Zamiast Chrystusowi i jego zacnemu rybakowi Piotrowi zaczęto oddawać cześć różnym bożkom z diabelskiej herezji poczętym i tę żalną zmianę pochwalali nie tylko poganie, lecz także chrześcijanie... (jw.).

Świadkiem powyższych zdarzeń jest Awiko, dawny kapelan Billuga, którego Mściwój zostawił przy życiu, potrzebując czasami człowieka piśmiennego. Z poniższej wzmianki Thietmara wnosić można, że Awiko znalazłszy się za Łabą zbiegł od Słowian:

Opowiadał mi o tym Awiko, który podówczas był jego kapelanem, a potem moim bratem duchownym.

Na drodze powstańców leży Mikilinburg. Furta rozbita, klasztor w ogniu. Książę Mściwój zastaje ksienię pośród przerażonych zakonnic.

Nie należy, jak się zdaje, przemilczać, że książę Obodrzców porwał swą siostrę, Bogu poświęconą Hodykę, z klasz-

toru Panien w Mikilinburgu i tę wszetecznym związkiem z niejakim Bolesławem połączył. Inne dziewice, które tam zostały, albo za żołnierzy swoich powydawał, albo też do ziemi Luciców lub Ranów rozesłał... Takim sposobem klasztor ten stał się pustynią. Tak to z dopuszczenia Bożego, za grzechy ludzkie, spokojność Słowian zakłóconą została i nad pięknymi zarodkami Boskiej religii nieprzyjacieli nasiał kąkol... (Helmold, *Kronika*).

Nie zapisali kronikarze uczuć, z jakimi córka Billuga szła przed laty do klasztoru. Nie wiadomo również, co myślała, gdy brat wyrwał jej z ręki pastorał, zdarł z głowy mniszy welon i cisnął ją w objęcia „niejakiego Bolesława”. Kim był ów Bolko? Może była niegdyś jemu przyrzeczoną? Może się miłowali? Więc śmiała się czy płakała? Możemy się tylko domyślać, że lata klasztorne rozszerzyły jej horyzont, ukazały nie podejrzewane przedtem, prawdziwe oblicze Wiary, że stając się znowu niewiastką słowiańską, zapracowaną, bezgłosą, powolną sługą mężczyzny, żałowała nabytej wiedzy, władzy, psalterza, którego już nigdy w dłonie nie weźmie, uczonością się nie pochwali, gdyż tę pięknie zdobioną księgę brat własnoręcznie rzucił w płomień.

Po tych wypadkach Słowianie zniszczyli klasztor Św. Wawrzyńca w grodzie Kalbe, a następnie ścigali naszych, uciekających jak pierzchliwe jelenie. Nasze bowiem grzechy przydawały nam strachu, a im męstwa. Książę Obodryców Mściwój spalił i spustoszył Hamburg... (Thietmar, *Kronika*).

Zdobyty Hamburg płonie, jak płonęły niegdyś Brenna, Gana, Łączyn i tyle innych grodów słowiańskich. Wojna przenosi się na lewy, zachodni, brzeg Łaby.

Gdy już wszystkie miasta i wsie, aż do rzeki zwanej Tongerą, padły ofiarą niszczycielskiego ognia i rabunku, nadciągnęło od strony Słowian więcej niż trzydzieści pieszych i konnych oddziałów, które z pomocą swoich bożków, przy dźwięku poprzedzających je rogów, nie zawahały się przed spustoszeniem reszty, same nie ponosząc żadnej straty... (jw.).

Z innych źródeł wiemy, że każdy oddział słowiański, podobnie jak niemiecki, liczył około tysiąca ludzi. Cyfra zatem podana przez kronikarza jest ogromna, świadcząca o tym, że prawie wszystkie plemiona słowiańskie brały udział w walce.

W dalszym ciągu dowiadujemy się z kroniki Thietmara, że biskupi Gizyler, Hildiward, margrabia Teodoryk i grabia Waldecku Zygfyrd, zebrawszy co mogli wojska, stawili czoło Słowianom w rejonie Białoziemi, między rzekami Tongerą i Muldą. Tam wywiązała się bitwa krwawa i nie rozstrzygnięta. Po całodziennych zmaganiach, korzystając z nadejścia nocy, Słowianie opuścili obóz, cofając się na wschód. Thietmar nazywa to uciezką, lecz Sasi nie poszli za odchodzącymi, nie usiłowali przeciąć im odwrotu. Przeciwnie, całkowicie wyczerpani rozeszli się do domów.

Cesarz Otton II nie może przyjść do siebie po pogromie kalabryjskim. Wytracił rycerstwo, uciekł samotrzeć z pola bitwy, dzięki pomocy Żyda Kalonymosa dosięgnął wpływ łodzi greckiej, przez co uratował życie. Co mu po życiu? Sławy nie odzyska.

Goniec z północnej granicy przynosi złe wiadomości. Nie masz już Niemców na ziemiach obodrzyckich, wieleckich! Zniesione arcybiskupstwa hamburskie, magdeburskie! Zniesione biskupstwa starogardzkie, hawelberskie, brandenburskie! Który z biskupów nie zdążył w czas uciec, nagłą śmiercią zginął. Krew sług Bożych rozlała się po ziemi szeroko. Nawet czcigodne zwłoki nieżyjących biskupów barbarzyńcy wyrzucali z trumien! Spalone kościoły, rozbite grody. Zdruzgotane dzieło Henryka Ptasznika, Ottona I, Gerona, Billinga...

Cesarz Otton II doznaje wstrząsu i umiera.

Mniej by się może przejął, gdyby gruntowniej znał Słowian. Zwycięstwo ich jest całkowite, lecz nie będzie długotrwałe. Osiągnęli cel, wyparli Niemców za Łabę za *Limes Sorabicus*, naznaczoną niegdyś przez Karola Wielkiego. Cóż zdawałoby się ważniejszego teraz, jak nie dopuścić, by nieprzyjaciel tę linię przekroczył znowu? Gdybyż w upojonym powodzeniu tłumie znalazł się jeden mąż na miarę polańskiego Mieszka!

Jeden wódz, co by umiał przewidywać! Gdyby wtedy w roku 983 zwycięskie plemiona słowiańskie przyjęły chrzest od Czech lub Polski, a brzegi Łaby zmieniły w obóz warowny! Jakże inaczej potoczyłyby się dzieje! Lecz to nie przychodzi im do głowy. Wypędzili wroga i zadowoleni wracają do domów, by tam podejmować zwyczajne swe sąsiedzkie spory. Tak kończy się pierwsze wielkie powstanie pogańskich Słowian.

## WIELKIE ZAMYSŁY

Na przełomie X i XI stulecia w środkowej Europie dokonują się doniosłe przemiany. W tym procesie Polska odgrywa poważną rolę. Choć dopiero od wczoraj chrześcijańska, zdołała już wejść w orbitę Zachodu.

Mieszkańcy Italii, Francji, południowych Niemiec przeżywają w tym czasie okres trwogi, związanej z nadchodzącą datą tysiąclecia, przez liczne proroctwa wskazywaną jako kres istnienia świata. Trwoga budzi w sercach ludzkich różne reakcje. Jedni czynią pokutę, zapisują swoje dobra klasztorom, inni, przeciwnie, nurzają się w zbytku i grzechach, pragnąc użyć póki czas rozkoszy, jakie dają majątki i władza. Koniec wieku X jest pełen zamętu i zbrodni, nie omijających nawet papieskiego tronu.

Wrażliwsze jednostki uciekają na pustkowia, łączą się w zgromadzenia zakonne o surowej regule, powszechnemu rozpasaniu instynktów przeciwstawiając osobistą ascezę i modlitwę.

Sasi, Skandynawowie, Słowianie nie biorą udziału w tych katastroficznych nastrojach. Dla nich świat nie kończy się, ale zaczyna.

W roku 985 umarł król duński Harald Sinozęby. Książę polański Mieszko, wydawszy w tym czasie córkę za króla szwedzkiego Eryka, zawarł przymierze z zięciem i wsparły jego posiłkami wypędził Duńczyków z Jomsborga. Piracki Związek Wikingów stał się jego lennikiem, a Polska mocno stanęła na Odrze.

Ostatnia to była zdobycz mądrego Mieszki. Zmarł syt lat w roku 992. Wielka postać. Niegdyś lennik cesarski, władający nie znanym nikomu krajem, zostawił synom nie lada dziedzictwo. Synów miał czterech, lecz liczyć się będzie tylko

najstarszy, z matki Czeszki, jedyny z braci Słowianin pełnej krwi.

Natomiast Wieleci dumni ze zwycięstwa odniesionego w 983 roku przędą złe nici. Państwo Wieleckie stanowi teraz Święty Związek Czterech Plemion (Czeczpienie, Doleńcy, Chyżanie, Redarzy, ze stolicą w Radogoszczy). Rządzi nimi wiec, władza to raczej pozorna. W rzeczywistości decydują kapłani Swaróżyca. Nie jest to jeszcze zupełna teokracja, jak później u Ranów, ale prawie.

Nie wiemy, jak często zbierały się wiece. Prawdopodobnie, ilekroć zaszła potrzeba podjęcia jakiejś decyzji, zwoływano lud przez wici. Wówczas pośrodku świątynnego dziedzińca zasiadali na ławach kapłani, starszyzna, a za ich plecami stali bartnicy, rybacy i inne zawody. Najstarszy z kapłanów powiadał mężów zebranych o przedmiocie obrad, po czym sprawiano wróżby za pomocą zakopanych losów i przestąpienia włóczni przez świętego żrebca. Proroctwa wypadały zazwyczaj po myśli kapłanów, zatem narady były już w zasadzie rozstrzygnięte. Któż by śmiał sprzeciwić się woli bogów? Potem obierano dowódcę zamierzonej wyprawy, bądź obrony. Szczęśliwy wybraniec mógł przez pewien czas czuć się księciem i wodzem, jak niegdyś jego przodkowie.

Po pomyślnym czy niepomyślnym zakończeniu walki składał chwilową godność w ręce wiecu.

Uczestnictwo szerokich rzesz w obradach było nie tylko wyrazem tradycji: służyło do zapewnienia uchwałom jednomyślności.

Swoje ważne sprawy roztrząsają na zgromadzeniu drogą wspólną narady i aby doprowadzić jakąś rzecz do skutku, muszą wszyscy wyrazić na to zgodę. Jeżeli któryś z obecnych sprzeciwia się powziętemu postanowieniu okładają go kijami... Gdyby stawiał opór poza zgromadzeniem, wówczas albo pozbawiają go majątku, zabierając go lub podpalając, albo też płaci... należną wedle stanu sumę pieniędzy (Thietmar, *Kronika*).

Dziwaczny ten ustrój, oscylujący pomiędzy rządami kapłanów a gminowładztwem, posiadał wielką siłę atrakcyjną



w stosunku do sąsiednich plemion. Niektóre z nich, na przykład Glinianie, przez jakiś czas Stodoranie, przyłączali się do Związku Wioletów-Luciców. Nie spostrzegali jego słabych stron, braku myśli politycznej. Dyktujący uchwały wiecowe kapłani kierowali się głównie zasadniczą troską: nie dopuścić żadnych wpływów zewnętrznych, bo wszelkie „nowe” było przeciw bogom. Stąd pochodziła ich wrogość do chrześcijańskiej Polski, większa niż do Sasów.

Przyjazne stosunki łączyły Wioletów z Czechami. Wprawdzie Czechy wcześniej niż Polska były chrześcijańskie, nie przejawiały jednak w praktykowaniu nowej wiary zbytnej żarliwości.

...w drodze powrotnej książę [czeski, Bolesław Pobożny] wziął w swoje ręce gród wraz z dowódcą Słopanem, którego wydał na śmierć Lucicom [Wioletom]. Ci bezzwłocznie złożyli z niego pod grodem ofiarę swoim bogom, po czym uchwalili powracać do domu... (jw.).

Szczerą niechęć żywili Wieleci do Obodrzyców. Mściwój, syn Billuga, inicjator powstania z 983 roku, który na starość, wbrew przysiędze złożonej niegdyś przed Swarozycem, pojednał się z Kościołem i umarł jako chrześcijanin, był w ich oczach nikczemnikiem godnym nienawiści i pogardy. Krzywoprzysięcą! Nie znali nic gorszego nad to słowo.

I tak ten wspaniały lud zastęgał w niechęci do wszystkiego, co go otaczało, sztywniał w przeżytych bezsilnym ustroju, w przeżytej naiwnej wierze.

Jak poprzednio tak i nadal Obodrzyce pozostają państwem jedynowładczym i militarnym. Bezpośrednie sąsiedztwo z Sasami skłania do zachowywania silnej władzy, zarówno przez przykład, jak przez stałe zagrożenie. Wiec miał niegdyś u nich znaczenie, jak u każdej społeczności słowiańskiej, lecz dawno je utracił. Brak też silnego ośrodka religijnego, jakim dla Świętego Związku jest Radogoszcz. Mocna władza książęca ograniczyła rozwój wpływów kapłańskich. Książęta z reguły mniej są wrażliwi na opinie wróżów niż tłum.

W ciągu minionych dwustu lat zdarzało się nieraz, że lud zbuntowany obalał księcia, głosił upadek dynastii. Zawsze jednak monarchia wracała, bunt był krótkotrwały. Groźny rozłam pomiędzy książętami a ludem zarysowuje się dopiero teraz, na tle religijnym i narodowym.

Mściwój, syn Billuga (poza okresem krwawej pomsty z 983 roku), Mścisław, syn Mściwoja, są chrześcijanami wbrew opinii ludu, który pozostaje pogański. Chrześcijańscy książęta podlegają niemieckiej zwierzchności kościelnej i utrzymują stosunki z książętami saskimi. Naród nienawidzi Niemców i książęta pomалу stają się dlań obcymi. Czując rosnące niezadowolenie, Mścisław tym silniej zabiega o przyjaźń Sasów, mogącą mu dać poparcie.

Zrażone do swego księcia, niechętne Wioletom, plemiona obodrzyckie pragnęłyby porozumienia z Bolesławem, synem Mieszka, którego chwałę wszyscy wszędzie głoszą, lecz nie mają wspólnej granicy z Polską. Na drodze leżą Wieleci. Tłumiąc w sobie gniew, czekają, aż Polska zbliży się ku nim.

W chwili gdy Otton II padł rażony wiadomością o klęsce zadanej Niemcom przez Słowian w 983 roku, syn jego i następca, Otton III, miał trzy lata. Niemniej koronowano go natychmiast. Wychowywała dziecko i rządziła w jego imieniu matka, księżniczka bizantyjska, Teofano. Musiała być nieprzeciętną kobietą, gdyż wszyscy historycy współcześni i późniejsi określają ją słowami: „piękna i mądra Teofano”. Otton otrzymał staranne wykształcenie, wyrósł na pół Greka, pół Rzymianina, rozmiłowanego w starożytnej wielkości. Wspomniany poprzednio kryzys millenium pchnął młodzieńca ku ludziom, co modlitwą i wyrzeczeniem chcieli powstrzymać gniew Boży. W tym gronie zetknął się i zaprzyjaźnił ze św. Nilem oraz późniejszymi męczennikami, Brunonem i Wojciechem. W pustelni, gdzie roztrząsano wspólnie sprawy świata, słyszał, że okrutne są czasy obecne. Chrystusa wiodą na Golgotę – chrześcijanie. Wiara prawdziwa stała się narzędziem zdobycia bogactwa i władzy. Świętości są wystawione na

sprzedaż – nakazy istnieją dla ubogich, nie znają ich możni... Jak potępiać chciwość i lubieżność duchowieństwa, gdy sami nawet papieże postępują niegodnie?... Pontyfikat za pontyfikatem mija bez blasku cnót, wśród drwin i wymysłów tłumy... Świat musi zginąć, nie od tysiąclecia, lecz z nadmiaru własnych zbrodni...

Wrażliwy chłopiec słucha z przerażeniem; targany niepokojem nie wie, co czynić? Rzucić świat, zostać w pustelni, czy raczej, będąc cesarzem i pomazańcem, władać, lecz władać inaczej? Zaprowadzić sprawiedliwość w miejsce samowoli? W długich rozmowach nocnych powstaje zamiysł wskrzeszenia świętego cesarstwa w kształcie doskonalszym, niż to czynił Karol Wielki. Najwyższa władza złożona w ręce papieża i cesarza działających razem w niezmaconej harmonii. Berło cesarskie sięgnie tak daleko, jak daleko dotrze Słowo Ewangelii. Wszystkie ludy nawrócone będą korzystać jednakowo z ojcowskiej opieki cesarza. Jedna wiara... Jedno państwo... To państwo ogarnie całą Europę od Atlantyku do Bizancjum. Złożą się nań cztery wielkie człony: Roma, Galia, Germania, Sclavonia...

Młodzieniec pochłonięty takimi planami różni się wielce od swych poprzedników, odbiega daleko od pojęć swoich poddanych. Niemieccy biskupi słuchają Ottonowych wypowiedzi z przerażeniem. Nie takiego pragną władcy! Niepoczytalny słowianofil, Grek na tronie niemieckim to groźba dla cesarstwa! Nie rozumieją się nigdy.

Jakież zresztą może być porozumienie między cesarzem, pragnącym realizować ideał chrześcijański w myśl zaleceń świętych, a dostojnikami duchownymi, odznaczającymi się męstwem w bitwie, srogością względem poddanych i obojętnością na stan dusz swoich wiernych? Nawet jeżeli który z nich jest bardziej ludzki, pragnący naprawdę oświecić pogan, wzajemna obcość stanowi nieprzekraczalną granicę.

Aby łatwiej nauczyć powierzone swej pieczy owieczki, biskup [merseburski] Bozo spisał słowo Boże w języku słowiańskim i polecił im śpiewać *Kyrie elejson*, wskazując na wielki

stąd pożytek. Ci bezrozumni Słowianie przekręcili jednak te słowa gwoli szyderstwa na pozbawione sensu: *u kri wolsa*, co w naszym języku znaczy: w krzu stoi olsza. Dodawali przy tym: Tak powiedział Bozo (Thietmar, *Kronika*).

„Szyderstwo?” Kronikarz się myli. Raczej obawa, jaką wzbudzało niezrozumiałe zaklęcie. By zaś osłonić siebie przed gniewem własnych obrażonych bogów, dodawano zapewnienie: Tak powiedział Bozo. Bozo – nie ja.

Nie ma porozumienia między Ottonem III a biskupami i opatami. Tym bardziej nie ma go, gdy chodzi o niemieckie rycerstwo. Wojownicy nie pozbawieni posępnego wielkości, pyszni i gwałtowni, dziko odważni, wierni swoim wodzom, nie znający odruchu litości, gestu miłosierdzia, wierzący, że Bóg chce tego, co im się podoba, poczytujący łupiestwo za atrybut zwycięzcy, nie uważający za hańbę sprzedawanie dziewcząt i chłopców słowiańskich Saracenom, cóż mają wspólnego z przyjacielem Nila, Brunona, Wojciecha? Dwa odległe światy.

Toteż zaledwie siedemnastolatek objął władzę, już zarysowują się plany pozbawienia go korony.

Bolesław, syn Mieszka, o przydomku Chrobry, należy do postaci, jakich niewiele zapisały dzieje. Najwyższej miary. Dalekowzroczny polityk, genialny wojownik, mądry administrator kraju, urabiający podległe mu plemiona niby glinę. Jeszcze za życia otoczy go legenda niezwykłości. U początku naszej historii stoi jak kolumna. Nie dorównał mu żaden z władców, rządzących Polską w ciągu następnych tysiąca lat.

Najwięcej szczegółów o Bolesławie daje współczesny mu kronikarz Thietmar, zawzięty wróg króla polskiego, a świadectwo wrogów bywa najpewniejsze. Epicki, namaszczony biskup merseburski traci panowanie nad sobą, gdy mówi o Bolesławie. Pióro jego zgrzyta złością i tryska jadem, źle maskującymi utajony podziw.

Dwaj historycy, jeden nienawidzący, drugi pełen uwielbienia, zgodnie porównują Bolesława do lwa.

...lew ryczący z wlokącym się za nim chwostem... (Thietmar).

Jak lew smaganiem ogona podniecający swój gniew... (Anonim Gall).

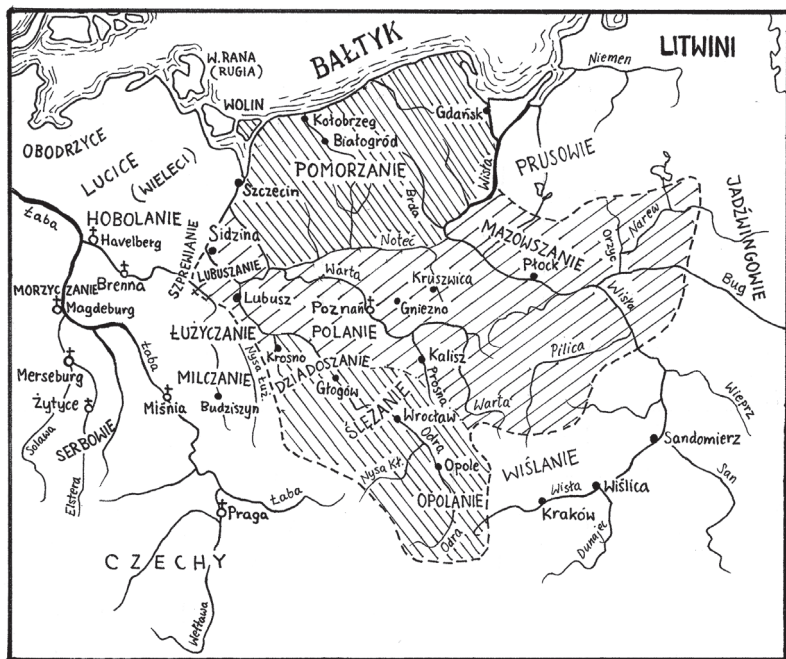
Dzieło Karola Wielkiego runęło natychmiast po śmierci twórcy i nie powstało więcej. Dzieło Chrobrego, mimo katastrofy 1034 roku i pozornej ruiny, dzwignęło się, przetrwało burze dziejowe, istnieje dotychczas, trwa w granicach prawie identycznych z tymi, jakie on zakreślił.

Pierwsze osobiste spotkanie Bolesława Chrobrego z Ottonem III miało miejsce w 995 roku z okazji wyprawy cesarza do Obodryców, w której posiłkował go Bolesław jako sprzymierzeniec. Potężna indywidualność polskiego księcia wywarła na Ottonie silne wrażenie. Płowy, barczysty Piast promieniował krzepką pogodą, i młodziutki władca, udręczony przepaścią, dzielącą jego pragnienia od rzeczywistości, Ignął do niego całą duszą. Odważył się mówić z nim o swoich wielkich zamysłach.

Zbliżała ich również ku sobie miłość i podziw, jaką obaj czuli do biskupa praskiego Wojciecha, który wygnany z ojczyzny przebywał obecnie w Polsce, gotując się na misję wśród pogańskich Prusów.

Rychle jego męczeństwo, cichego, świętego człowieka, co czynem, nie słowami, ukochał Chrystusa i śmiercią miłość swą przypieczętował, zaskoczyło cały świat. Głęboko odczuli tę śmierć obaj przyjaciele, choć każdy w inny sposób. U Ottona mistyczna egzaltacja, podziw, chęć naśladowania, u Bolesława wściekłość na morderców, zawiedzione, wiązane ze zmarłym, nadzieje, poczucie klęski i żal jak po stracie najbliższego druha. Ten cios mógł zachwiać jego wiarą. Lecz hojność, z jaką wykupił od Prusów zwłoki męczennika, płacąc wagę ciała srebrem, wpoila w umysły Polan i Pomorzan przekonanie, że zmarły był istic wysłannikiem najwyższego Boga, jak to sam o sobie głosił, i wpływ, który Wojciech uzyskał po śmierci, przeniósł o wiele powagę, jaką posiadał za życia. Klęska zmieniała się w triumf.

## Polska za czasów Mieszka I (wg St. Arnolda)



Polska w r. 963
  Zdobytcze Mieszka I w r. 967-992

--- Granica Polska Mieszka I w r. 992

Epizod gnieźnieński 1000 roku znamy z relacji historyków i licznych dzieł literackich. Mroźna zima i sukno szkarłatne, ścielące się długą strugą na śniegu. Boso po tym suknie krocząca samotnie wątła, pochylona postać. To Otton idzie niby Chrystus na Kalwarię. Za nim w oddaleniu wspaniały orszak Bolesława. Po obu stronach gościńca stoją nieruchomo woje, a za ich żywym parkanem zwarty tłum mężów i kobiet. W mieście biją wszystkie dzwony, huczy śpiew: *Kyrie elejson!* Otwarte wnętrze katedry jarzy się tysiącem świec. Buchają dymy kadzideł. W ich obłoku bosy cesarz, największy pan ówczesnego świata, pada krzyżem przed srebrną trumną przyjaciela. Uniża się z dobrowoli, niby w surowej pokucie, stwier-

dzając tym gestem, że wszystko marnina, a wielki jest tylko Bóg.

Wrażliwy, uczuciowy lud polski, patrząc na to, przeżywa pierwsze, być może, uniesienie religijne. Nie lęk, jak w dobie chrztu, lecz poczucie siły, skrzydlatej i błogiej.

Z orszakiem cesarza wrócił, wysłany poprzedniego roku do Rzymu, brat umęczonego Wojciecha, Radzim-Gaudenty. Przywozi akt erekcyjny arcybiskupstwa gnieźnieńskiego i nominację dla siebie jako arcybiskupa świeżo utworzonej archidiecezji. Nie misyjnej placówki przejściowej, nie poddanej Magdeburga, lecz samodzielnej polskiej metropolii, macierzy polskich kościołów. To dar pośmiertny Wojciecha, to wielkie zwycięstwo.

Wielkie jest też oburzenie Niemców.

...cesarz zaraz utworzył arcybiskupstwo, zgodnie z prawem, jak przypuszczam, lecz bez zgody... biskupa [Ungera], którego diecezja obejmowała cały kraj... (Thietmar, *Kronika*).

Niechęć skłania kronikarza do przeinaczania faktów; *Roczniki Hildesheimskie* roku 1000 piszą inaczej:

...cesarz prawnie mianował arcybiskupa [gnieźnieńskiego] za spowodowanym prośbą Bolesława zezwoleniem rzymskiego arcybiskupa.

Zatem nie samowolna decyzja cesarza, której legalność mogła być kwestionowana – jak to insynuuje Thietmar – lecz postanowienie Stolicy Apostolskiej, wywołane prośbą Bolesława, popartą przez Ottona III. Do tej prośby musiała być dołączona zgoda biskupa.

Prawdopodobnie Unger, o którym św. Bruno pisze jako o człowieku „dobrotliwym i spokojnym”, przystał, nie chcąc drażnić księcia, a w pozytywny skutek poselstwa nie wierząc. Wszak Rzym nie mógł udzielić zezwolenia wbrew woli cesarza, a cesarz nie postąpił przeciw zasadniczym interesom Niemiec. Toteż niespodzianka musiała być dotkliwa. Biskup misyjny, dotychczas równy w znaczeniu arcybiskupom, zależny bezpośrednio od Rzymu, schodził do rzędu podwładnego. Dla

osłodzenia zawodu biskupstwa poznańskiego nie poddano władzy Gaudentego, a Unger pozostał biskupem misyjnym.

Arcybiskupstwo to powierzył... Radzimowi i podporządkował mu z wyjątkiem biskupa poznańskiego Ungera następujących biskupów: kołobrzeskiego Reinberna, krakowskiego Poppona i wrocławskiego Jana (Thietmar, *Kronika*).

Nie dowiemy się nigdy, o czym wiedli rozmowy Bolesław z cesarzem w czasie pamiętnych dni gnieźnieńskich. Może, rozważając chwalebłą śmierć Wojciechową, Otton wspominał słowa pustelników o konieczności odnowienia chrześcijaństwa, rozszerzenia wiary świętej, nie mieczem ni gwałtem, lecz przez sprawiedliwe rządy. Kto mu pomoże to dzieło wykonać? Zali nie Słowianie, których serca zdają się prostsze, mniej przerosłe pychą, niż umysły starych narodów Zachodu?

Wnet wylaniała się ukochana Ottonowa wizja wielkiego chrześcijańskiego imperium. Roma, Galia, Germania, Sclavonia... W skład Sclavonii wejdzie Ruś, przez co imperium zetknie się z cesarstwem greckim... Bolesław słuchał z przejęciem, targał konopiaste wąsy, przytakiwał lub wtrącał rzeczowe uwagi, i młody cesarz utwierdzał się w przekonaniu, że książe polski jest pierwszym człowiekiem, jakiego spotkał na miarę swoich zamierzeń.

W czasie uczty pożegnalnej ma miejsce sławny epizod, gdy Otton III zdejmuje złotą opaskę z głowy i wieńczy nią skronie Bolesława. W dłoń polskiego księcia wkłada Włócznię św. Maurycego, godło swojej władzy.

Polacy przyjmują ten nieoczekiwany gest z uniesieniem, germańska świta Ottona z wściekłością. Thietmar, zazwyczaj pedantycznie dokładny, pomija zdarzenie milczeniem, rzucając tylko, niby od niechcienia, uwagę:

Cesarz chcąc wskrzesić w naszych czasach dawny rzymski obyczaj, który prawie zupełnie wyszedł z użycia, czynił wiele takich rzeczy, które różni różnie oceniali.

Dopiero po paru latach biskup merseburski wybucha:



Niechaj Bóg wybaczy cesarzowi, że czyniąc trybutariusza panem, wyniósł go tak wysoko, że ten zapominając, jak postępował jego rodzic, ośmielał się wciągać pomału w poddaństwo wyżej od niego stojących i nęcąc ich czężą przynętą znikomych pieniędzy, doprowadzać do niewoli i utraty wolności.

Relacja Anonima Galla brzmi następująco:

...owego dnia tak wielką złączyli się miłością, że cesarz mianował go bratem i współpracownikiem cesarstwa i nazwał go przyjacielem i sprzymierzeńcem narodu rzymskiego... Ponadto też odstąpił jego władzy wszystko to, co w zakresie zaszczytów kościelnych należało do cesarstwa w państwie polskim, a także w innych podbitych już przez Bolesława krajach pogańskich, oraz w tych, które podbije w przyszłości. Układ ten zatwierdził papież Sylwester przywilejem rzymskiego Świętego Kościoła.

Wprawdzie Anonim Gall pisał swą kronikę w sto lat po zjeździe gnieźnieńskim, powołuje się jednak na źródło współczesne opisywanym wypadkom, mianowicie *Żywot św. Wojciecha*, dziś zaginiony. Istnieją dane, że autorem tego *Żywota* był św. Bruno z Querfurtu.

Niektórzy dawni historycy poczytywali postępek Ottona za równoznaczny z koronacją Chrobrego, co nie było prawdą. Koronę uzyskał Bolesław dopiero w ćwierć wieku później po wielu trudnościach. Według ostatnich badań historycznych, Otton wskrzesił na rzecz Bolesława stary rzymski tytuł Patrycjusza Cesarstwa, co odpowiadało pojęciu namiestnika, zastępcy cesarza. „Trybutariusza panem uczynił”. Bolesław płacił cesarzowi daninę z Pomorza, *usque in Vurta fluvium*. Gest Ottona zwalniał go z niej, jako też z wszelkiej zależności, stwierdzał całkowitą suwerenność polskiego władcy. „Pan”, *Dominus*. „Wyniósł go tak wysoko...” Jak wysoko? Powyżej książąt? Margrabiów? Komu przy nominacji wręczano Włócznię św. Maurycego? Najwyższym po cesarzu świeckim dostojnikiem imperium...

Na tym tle zrozumiałe się staje oburzenie Thietmara i jego współziomków.

W dwa lata po wyżej opisanych wypadkach dwudziestodwuletni cesarz Otton III zmarł w Italii po krótkiej, dość tajemniczej chorobie.

Jego zbliżający się zgon poprzedziły zamieszki rozliczne. Albowiem nasi książęta i grafowie, nie bez wiedzy biskupów, uknuli wielki spisek przeciw niemu... Cesarz, który się o tym rychło dowiedział, przyjął wszystko ze spokojem. Nagle zachorował na zamku Paterno... Z pogodnym obliczem rozstał się z tym światem dnia 24 stycznia [1002 roku]. ...nie było w tych czasach życzliwszego odeń i łagodniejszego człowieka... (Thietmar, *Kronika*).

Wielkie zamysły nie zostały zrealizowane. Wraz z Ottonem III, marzycielem zbłąkanym między cesarzy niemieckich, zgasła na wieki idea świętego imperium rzymskiego. Roma, Galia, Germania, Sclavonia...

## Rozdział VII

# ZŁY WYBÓR

Zawieruchę, jaką rozpętała bezpotomna śmierć Ottona III, wszczęło zamordowanie margrabiego Miśni, Ekkeharda, poważnego kandydata do tronu cesarskiego. Ekkehard, nazywany przez Thietmara „najznakomitszym z wasali, ozdobą korony”, pogromca rzymskiego buntownika Krescencjusza, zaprzyjaźniony z Bolesławem, wskazujący stale na konieczność sojuszu z Polską ze względu na grożące cesarstwu niebezpieczeństwo wieleckie, padł zabity skrytobójczo, gdy z poczem paru rycerzy dążył do Duisburga dla narady ze swymi stronnikami. Relacja Thietmara o zdarzeniu brzmi niby trzeci akt szekspirowskiego dramatu:

Kiedy przybył [Ekkehard] do dworu Northeim, należącego do grafa Zygryda, spotkał się tam z bardzo życzliwym przyjęciem i prośbą, by zechciał przenocować. Atoli grafini Etelinda uwiadomiła go w tajemnicy, że synowie jej męża, Zygryd i Benno, oraz bracia męża, Henryk i Udo... przygotowali zasadzkę, aby go zgładzić. Błagała przeto usilnie... aby się udał gdzie indziej. Margrabia, przyjmując z wdzięcznością przestrożę, odparł, że nie przerwie zamierzonej podróży z powodu tych ludzi...

Niemniej ma się na bacności.

Kiedy nieprzyjaciele zauważyli to... odłożyli wykonanie planu... do następnej nocy. Margrabia przybył tymczasem do miejsca swego przeznaczenia – Pöhlde... Kiedy sen zmorzył zmęczonych, wtargnęli znienacka spiskowcy... Margrabia zerwał się z łoża, podsylił ogień, rzucając weń szaty i co tylko miał pod ręką... Padł zaraz trupem przed drzwiami rycerz Herman i spieszący na pomoc swemu panu Adolf, obaj waleczni i wierni aż do śmierci. Raniony też został komornik cesarski Erminold. Walczył jeszcze sam Ekkehard, mąż chwałą

okryty w pokoju i na wojnie, gdy nagle Zygfryd silnym uderzeniem włóczni złamał mu kręgi u szyi i zwałił go na ziemię. Na widok padającego zbiegli się szybko napastnicy, odcięli mu głowę i – co haniebne – obrabowali trupa. Stało się to 30 kwietnia... [1002 r.].

Nieoczekiwany zgon margrabiego Miśni był ciosem dla Bolesława, oznaczał koniec porozumienia polsko-niemieckiego, groził przekreśleniem uchwał gnieźnieńskich. Natomiast otwierał drogę do tronu innym.

Pretendentów pozostawało trzech: Henryk, książe bawarski, bliski krewny zmarłego cesarza, niepopularny wśród ksiąząt, mający poparcie większości biskupów jako znany z pobożności.

Drugim był Herman II, potężny książe Alzacji i Niemczech, zwanej Szwabią. Kandydaturze jego sprzyjał arcybiskup Magdeburga, Gizylar, najwybitniejsza postać ówczesnej niemieckiej hierarchii, zwolennik polityki Ottona III.

Trzecim Bolesław, książe polski, na podstawie otrzymanej w Gnieźnie godności patrycjuszowskiej. Ważniejszymi jego stronnikami w Niemczech są synowie zamordowanego skrytobójczo Ekkeharda (jeden z nich będzie niebawem zięciem Bolesława, w przyszłości zaś obaj jego dziewczynami) oraz Henryk ze Schweinfurtu, z bocznej linii Babenbergów, margrabia Górnej Turyngii. Przyjaźni się z Bolesławem od dawna. Państwo margrabiego obejmuje obszary nad Menem, o których dokument wydany przez Ludwika Pobożnego w 826 roku mówi:

...pan nasz i rodzic, Karol, najświatlejszy cesarz, polecił, aby w ziemi Słowian siedzących między Menem a Radęcą...

Czy nie w owej „ziemi Słowian” szukać należy załążku sympatii, jaka łączy księcia polskiego z margrabią turyngskim? Przy tym ich dziedziny nie są zbyt od siebie oddalone. Turyngię od Polski dzieli tylko Czechy i ziemie serbskie...

Mimo tych sojuszników nic nam nie wiadomo, by Bolesław zamierzał stawać do walki o koronę cesarską. Spór o nią ro-

zegrał się między Henrykiem bawarskim a Hermanem szwab-  
skim. Mimo uporu tego ostatniego, królem, następnie cesa-  
rzem, został syn Kłótnika, znany w historii jako Henryk II.

Człowiek mściwy, który nie przebaczył nigdy nikomu. Po-  
łowę swego życia spędza na modlitwie (zapewne szczerzej. Tyle  
sprzeczności kryją dusze ludzkie!), resztę poświęca intrygom,  
mającym na celu pogwałcenie przeciwników. Przede wszyst-  
kim Bolesława polskiego. Henryk II boi się go i nienawidzi.  
Trudno zataić, że ma ku temu przyczyny: po śmierci margra-  
biego Ekkeharda Bolesław

zajął natychmiast całą marchię Gerona z tej strony Łaby  
oraz gród Budziszyn wraz z przyległościami, dokąd wysłał  
naprzód oblężników. Następnie wtargnął do Strzały i próbo-  
wał pozyskać Miśnian. Ci zawsze żądni zmiany, dowiedziaw-  
szy się, że większa część załogi poszła po paszę dla koni,  
wdarli się... przez wschodnią bramę, gdzie mieszkali ludzie  
służebni, zwani po słowiańsku wietnikami... Następnie przy-  
zwali przez posłów Bolesława i przyjęli go, otwarłszy na oścież  
bramy. I spełniło się, co napisano w Piśmie Świętym: Wesela  
się, źle uczyniwszy, i radują w rzeczach najgorszych... Boles-  
ław uniesiony tym powodzeniem zajął i obsadził wojskami  
cały ów kraj aż po rzekę Elsterę... (Thietmar, *Kronika*).

Szczęśliwi Łużyczanie, szczęśliwi Serbowie! Doczekali się  
oswobodziciela. Otwarli przed nim na oścież bramy i serca,  
radują się, czego nie próbuje ukrywać zgorszony kronikarz.

Pobożny król niemiecki spędza noc na modlitwie, lecz  
modlitwa nie chroni go przed pokusą. Strach i nienawiść pod-  
suwają myśl o zbrodni. Usunąć Bolesława, jak się usunęło  
Ekkeharda! Dopiero wtedy on, Henryk, mógłby nareszcie być  
wolny od strachu, mógłby czuć się władcą, rządzić wielko-  
dusznie, wspianale...

Do Merseburga zjeżdżają wszyscy książęta niemieccy i bi-  
skupi dla złożenia przysięgi lenniczej nowemu królowi. Książę  
Bernard saski, zgodnie z tradycją, wręcza Henrykowi Świętą  
Włócznię, powierzając mu w imieniu wszystkich władzę nad  
krajem.

Na zjeździe merseburskim obecny był również Bolesław.

Wszyscy... złożyli hołd królowi... tymczasem Bolesław zabiegał usilnie o nabycie grodu Miśni, choćby za największą sumę pieniędzy... To tylko uzyskał, że... zostawiono mu Łużyce i Milsko... Mój krewniak, margrabia Henryk [ze Schweinfurtu], sprzyjał bardzo Bolesławowi i popierał go, darząc wielką przyjaźnią. Towarzyszył mu również, kiedy ten po odprawie królewskiej odjeżdżał z bogatymi darami. Wówczas też zauważył nacierający na niego – Bogiem się świadczę, że bez wiedzy i zgody króla – tłum zbrojnych ludzi... Ledwie mu się udało wyprowadzić towarzysza przez wyważoną bramę zewnętrzną...

Bolesław... bardzo to sobie wziął do serca i przypisywał wszystko niesłusznie królowi... (jw.).

Niesłusznie?... Okrzyk kronikarza: Bogiem się świadczę, że bez wiedzy i zgody króla! – brzmi jak wyznanie. Król zarządził i król wiedział.

Czyż nie zamierzał pozbyć się obu przyjaciół? Dalsze słowa kroniki dają dużo do myślenia:

Bolesław... pożegnawszy Henryka i przyrzekłszy mu solennie pomoc, gdyby jej kiedykolwiek potrzebował, szybko podążył do domu... Rozesławszy swoich zaufanych, starał się zbuntować kogo mógł przeciw królowi. Gdy to doszło do uszu króla, prosił usilnie swoich ludzi, by wywieźli się o tajnych spiskach Słowianina...

Margrabia turyngski przewidywał zatem, że będzie potrzebował pomocy. Tymczasem Czesi wygnali zniechęconego okrutnika księcia Bolesława Rudego i Bolesław „równy imiennikowi w zbrodniach, nierówny w potęgze” – warczy nienawistnie Thietmar – staje się panem Czech.

...książę polski pośpieszył następnego dnia do Pragi. Jej mieszkańcy, radujący się zawsze z nowego panowania, wprowadzili go tutaj i obwołali jednomyślnie swoim władcą. W miarę jak rosła tam jego doczesna władza, podnosiła się do niebywałych rozmiarów nadęta pycha i zuchwałość jego niepohamowanych zamierzeń (jw.).

A więc podobnie jak na Łużycach i Miśni, ludność ściele się do nóg mocarzowi słowiańskiemu. Nie dziw, że Henryk czuje się zagrożony w samym istnieniu cesarstwa.

Bolesław żywi istotnie wielkie zamierzenia. Układane wspólnie z Ottonem plany uniwersalnego cesarstwa rozwiły się bezpowrotnie. Lecz kto raz rozwinął skrzydła do wielkiego lotu, nierad składać je z powrotem. Już ten Bolko nie zadowolony się pracowitym skupianiem i scalaniem posiadanych plemion, jak to czynił jego ojciec. Trzeba mu szerokiej areny. Otto widział w nim twórcę czwartego członu świętego cesarstwa – Sclavonii. On tego dokona. Stworzy wielkie państwo słowiańskie.

Na tym tle jasna się staje polityka Bolesława. Zajęciem Łużyc i Czech łączy się z margrabią turyngskim, rozłamuje państwo niemieckie, wbija w nie klin, co sięgnie ku przyjaznym Obodrzycom, odetnie Związek Wielecki od Niemców.

Granica Polski stoi na Odrze. Za Odrą leżą ziemie Wkrzanów, ziemie wieleckie. Polacy toczą z nimi sporadyczne boje. Trzeba tych walk zaniechać. Ujednać zawziętych pogan, nakłonić do zgody, do zawarcia sojuszu przeciw wspólnemu wrogowi: Niemcom.

Gdzie panuje książe, wystarcza porozumieć się z księciem. U Wioletów rządzi mnóstwo. Przeto wysłańcy Bolesława penetrują teren Związku, czyniąc to, co dziś nazywamy propagandą, urabianiem opinii.

Czy Bolesław wie, że myśli Henryka II idą równoległym torem?

Henryk boi się Bolesława, boi się również Wioletów. O, Niemcy nie zapomną prędko katastrofy z 983 roku. Przymierze Polski z tymi barbarzyńcami to, w przekonaniu Henryka, koniec cesarstwa. Za żadną cenę nie wolno do tego dopuścić!

W 1004 roku nadchodzi moment, że przed Świętym Związkiem Czterech Plemion stają do wyboru dwie drogi: sojusz z Bolesławem lub sojusz z Henrykiem i wzięcie udziału w wyprawie na Bolesława.

**Polska za czasów Bolesława Chrobrego, 1025 r.**  
(wg prof. St. Arnolda)



Zwołano powszechny wiec. Czy wiecownicy zdają sobie sprawę, na jakim stanęli rozdrożu? Czy pojmują doniosłość uchwał, jakie dziś powezmą?



Radzą Wieleci. Spoglądają wyczekująco na wrota świątyni. Siwy rumak Swarożyca, trzymany w pogotowiu przez młodszych świątników, tupie i parska. Najstarszy kapłan opóźnia swe przyjście. Naradza się jeszcze z towarzyszami.

Ponieważ identyfikują pogaństwo z narodowością, ich tok myślenia jest zapewne w dniu owym następujący: Niemcy nie są groźni Wieletom. (Znów wspomnienie 983 roku!) Groźniejsza od nich jest Polska. Ona wchłonie Święty Związek, ona potrafi nakłonić wyznawców, że sami zwałą posąg Swarożyca przyjmując chrześcijańską wiarę...

Najstarszy kapłan z orszakiem opuszcza świątynię. Pewnie dźrzyży wodze żrebca. Ogier stąpa lekko, przesadza włócznie nie trąciwszy żadnej. Gdy powtórzył to trzy razy, wybucha radosna wrzawa. Bogowie rozstrzygnęli wątpliwości, sojusz należy zawrzeć z Henrykiem.

I ani prostoduszny lud, ani kapłan tak umiejętnie prowadzący konia, nie wiedzą, że w tej chwili przesądziły własne losy.

W Kwedlinburgu Henryk II spędza na modlitwie Dni Krzyżowe. Tam go zastają wysłańcy Świętego Związku, przybyli, by omówić warunki układu.

W tym samym czasie biskup poznański Unger, jadący do Rzymu z polecenia Bolesława, zostaje po drodze schwytany i zawieziony do Magdeburga.

Arcybiskup Gizyler umarł niedawno, do ostatnich chwil życia ścigany gniewem Henryka za popieranie Hermana. Następca jest arcybiskup Tagino, ulubieniec króla.

Strwożonego Ungera przyjmuje jak gościa, przepraszając za zbyt obcesowe zaprosiny. Zapewnia, że biskup poznański, dawny czcigodny opat benedyktynów z Memleben, jest mu bardzo bliski. Przy biesiadzie użala się krzywdzie, jaka go spotkała: nominacja Gaudentego! Nie znany nikomu Sławnikowic arcybiskupem gnieźnieńskim! Wprawdzie brat jego, Adalbert, jest wielkim świętym przed Panem, lecz Gaudenty to prostak jak wszyscy Słowianie. Wiele błędów można było się spodziewać po obłąkanym Ottonie, po dzikim, zuchwałym Bolesławie, lecz tutaj przekroczyli granice!

Dobroduszny Unger potakuje. Tak łatwo uwierzyć, że się zostało pokrzywdzonym i niedocenionym. Gdy się dostatecznie rozrzewnił nad sobą, arcybiskup doradza: – Pisz protest! Protest do Rzymu przeciw nierozsądnej decyzji papieża! – Biskup poznański nie wie, jak skargę sformułować? Nie szkodzi. Tu są uczeni bracia, którzy pismo umiejętnie zredagują. On tylko podpisze.

Unger podpisuje protest, zakończony wyrazami czci dla arcybiskupa magdeburckiego, czyli obediencją. Tagino chowa troskliwie cenny dokument.

Arcybiskupstwo gnieźnieńskie to cierń jątrzący, z którym Niemcy nigdy się nie pogodzą. Wolej utracić prowincję niż dać sobie wyrwać z rąk wschodnie słowiańskie obszary! Hierarchia niemiecka w Polsce to pierwszy krok do niezawodnej germanizacji tego kraju. Henryk II i biskup nie tracą nadziei, że błąd szaleńca da się jeszcze odrobić. Protest Ungera będzie w tym pomocny.

## POD ZNAKAMI JEROWITA

Walki polsko-niemieckie, w których Wieleci biorą udział jako sojusznicy cesarza, wypełniają następne czternaście lat. Mimo prymitywnego uzbrojenia (łuki, oszczepy, topory i miecze) wojny te były dla objętego walką obszaru niemniej okrutne niż użycie nowoczesnej broni. Zasadniczym celem każdej wojny, tak wówczas jak dziś, jest zniszczenie przeciwnika. By to osiągnąć, palono i burzono jego grody, osady, wsie, zabijając lub uprowadzając w niewolę mieszkańców. Jeńcy stanowili cenny łup jako przedmiot zyskownego handlu, a przede wszystkim jako siła robocza. Zaludnienie było wszędzie słabe, nie uprawione obszary czekały na pługi. Brakło rzemieślników. Stąd waga jeńców. Okrutnicy, w rodzaju Henryka Ptasznika czy margrabiego Gerona i innych, mordowali wszystkich Słowian, chcąc te plemiona wytępić, zwykli najeźdźcy zadowalali się dziesiątkowaniem ludności lub ścięciem jednostek najbardziej opornych. Pozostałym strzyżono głowy na znak, że są niewolnikami, i uprowadzano. Każdy najazd zostawiał kraj wypalony, wyludniony, istną pustynię. „Pustoszyć kraj nieprzyjaciela”, to hasło powtarza się ciągle w relacjach kronikarzy.

Bitwy ówczesne były krwawe i zacięte. Widukind, opisując klęskę zadaną Słowianom pod Łączynem, podaje liczbę poległych na dwieście tysięcy. Odrzućmy połowę na rzecz kronikarskiej przesady, liczba pozostała jest i tak przerażająca. Tyłuż prawie poległo w bitwie nad Raksą. Że zaś szlaki wojenne uwarunkowane brodami na rzekach przechodziły stale przez te same okolice, łatwo pojać niedolę zamieszkującej je ludności rolniczej, tej, co nie mogła ani chronić się za mury grodu, ani wzorem łowców, smolarzy, bartników, zaszyć się głęboko w puszcze.

Wielki ciężar stanowiło również przejście własnych wojsk. Armie ówczesne nie znały taborów, intendentury, zaopatrzenia – żywność i paszę ściągając z miejscowej ludności. Te rekwizycje przeprowadzane brutalnie i samowolnie wystarczały, by każdą wojnę uznać za przeklętą, niezależnie od jej ostatecznego wyniku.

Toteż Milczanie czy Łużycanie przeklinali wyprawy Henryka II na Polskę. Zresztą w tym wypadku wyjątkowo zgodni byli również książęta i duchowieństwo niemieckie. Pierwsi, porównując wojenny geniusz Bolesława z nieporadnością Henryka, nie spieszyli się do niewątpliwej porażki. Co do Kościoła, nie mógł on przebaczyć królowi przymierza z poganami.

Pięknym świadectwem opinii uczciwego duchowieństwa niemieckiego, przeciwnego wojnie, jest list skierowany do króla przez św. Brunona z Querfurtu, przebywającego wówczas w Polsce:

...jeśli kto twierdzi, że żywię przyjaźń i wierność dla tego księcia [Bolesława], mówi prawdę. Kocham go jak własną duszę i więcej niż życie. Lecz wzywam naszego wspólnego Boga jako nieomylnego świadka, że nie kocham go wbrew Wam, gdyż wyczerzam wszystkie siły, by zjednać go dla Waszej sprawy. Ośmielę się jednak wyrazić: Czy słuszne jest prześladować naród chrześcijański, a naród pogański [Wieletów] przypuścić do przyjaźni? Jak Chrystus może układać się z Belialem? Jak światłość można porównać z ciemnością? Jak może Swaróżyc lub diabeł łączyć się z Księciem Świętych, Maurycym? Jak może Święta Włócznia być niesiona wspólnie z diabelską chorągwią wojenną? Czy nie uważasz tego za grzech, o królu, że głowa chrześcijanina ma być poświęcona pod sztandarem szatana? Czy nie byłoby dla Was lepiej zasłużyć sobie na wierność człowieka [Bolesława] i z jego radą i pomocą zmienić lud pogański w naród dobry i łagodny? Czy nie lepiej zwalczać pogan dla dobra chrześcijaństwa niż czynić źle chrześcijanom dla doczesnych korzyści?... Jak długo Wieleci i czciciele pogańskich bożków są Waszymi sojusznikami, chrześcijaństwo nie może odnieść korzyści z ich nawrócenia... wielu ludzi prześladowuje chrześcijan, lecz mało ta-

kich, którzy by nawracali pogan... Dlatego, o królu, pozostaw w pokoju chrześcijan [Polskę], daj im czas, aby zdobyli pogan dla wiary świętej, a znajdziesz łaskę na Sądzie Ostatecznym... Pomyślcie o korzyściach, jakie wynikną dla Kościoła z nawrócenia pogan, jeśli Wy, nasz król, nadzieja świata i Bolesław, będziecie żyć ze sobą w zgodzie...

Thietmar, sumienny historyk, zapisuje pod 1004 rokiem przygotowania do wyprawy na Bolesława, znajdującego się w Pradze czeskiej. Są one czynione w tajemnicy.

...by nikt ze swoich, z uwagi na ich niepewną uczciwość, nie zdradził nieprzyjacielowi, że miano go obejść od strony Czech...

Jak wiadomo, wyprawa ta powiodła się Henrykowi o tyle, że Bolesław utracił Czechy. Stanowiło to cios dla jego wielkich planów. Nieświatne jednak było również położenie wojsk cesarskich. Marsz odbywał się – jak podaje Thietmar – „wśród niewymownych trudności”.

Rok 1005 i nowa wyprawa. Kronikarz notuje:

Kiedy wojsko nasze dotarło szczęśliwie do miejscowości Dobry Ług w Łużycach, pośpieszyli mu na pomoc książęta czescy Henryk i Jaromir... Ponieważ przewodnicy zostali przekupieni i o swoją tylko dbali korzyść, wozili wojsko przez pustynie i bagna, narażając je na wielkie uciążliwości. Przez swoją podłą złośliwość opóźnili pochód...

Gdy wojsko dotarło nareszcie nad Sprewę, nieprzyjaciel zaczął się z boku.

Ukryty za gęsto leżącymi drzewami wypuścił mnóstwo strzał, które u niego stanowią główny środek walki... Zabił z tej zasadzki wielu rycerzy, sławnych wasali biskupa Arnulfa, oraz ich towarzyszy... Stało się to 6 września i wielkim bólem napełniło króla... Zanim nasze wojsko dotarło do Odry, połączyli się z nim Wieleci. Kroczyli za niesionymi na ich czele bożkami...

Wojska cesarskie i wieleckie podeszły aż pod Poznań, niszcząc i pustosząc kraj po drodze. Tam je przychwyciła zima. Nękany podjazdową wojną i brakiem żywności, Henryk

zawarł pokój z Bolesławem. W imieniu króla układ podpisał w Poznaniu arcybiskup magdeburgski Tagino.

...z radością tedy nasi wracali do domu, ponieważ niezwykle ciężkie znosili trudy i głód... (Thietmar, *Kronika*).

Nadszedł rok 1007.

...gdy król obchodził Święta Wielkanocne w Ratzbonie, przybyli posłowie od Wioletów... donosząc, że Bolesław knuje różne złośliwe plany przeciw niemu i namawia ich słowem i pieniędzmi, by pomogli do ich wykonania.

Słusznie król oburzony

wypowiedział traktat pokojowy. Bolesław... zebrawszy wojsko, spustoszył kraj zwany Morzyce, leżący obok Magdeburga... Stąd ruszył do grodu zwanego Czerwiszcze i uprowadził ze sobą jego mieszkańców, zniewoliwszy ich bądź strachem, bądź uwodzicielską namową. Nasi... przybyli z opóźnieniem i ścigali go, ale bez zapału... Wiódł ich arcybiskup Tagino... lecz nie umiał temu położeniu zaradzić. Byłem i ja tam z nim również... Rozważniejsi uznali, że nie jest rozsądne ściganie nieprzyjaciela z tak małą siłą, wobec czego powróciliśmy do domu... (jw.).

Biskup merserburski Thietmar jest lojalnym kronikarzem, oddanym swojemu władcy. Pomimo to z każdego zdania widać, jak mało zapału budziła wojna z Bolesławem wśród otoczenia królewskiego i rycerstwa.

W 1009 roku powstał przeciw władzy królewskiej arcybiskup Metz Teodoryk wraz ze swoim bratem, księciem Hermanem. Lotaryngia, Szwabia były zawsze niechętne Henrykowi i bunt Teodoryka mógł się okazać niebezpieczny dla całości państwa.

...starał się król pozyskać chwiejne serca swoich zachodnich poddanych i uspokoić ich o tyle, by jak zwykle nie podnosili buntów (jw.).

Co gorsza, król nie dowierza swemu wojsku. Wzywa zatem przeciw buntownikom Luciców-Wioletów. Pogan przeciw chrześcijanom. Obcych przeciw swoim.

Słowianie ciągną ochoczo, niosąc wizerunki swych bożków na wysokich tykach. Thietmar pisze o bogini wojny. Chyba omyłka, nic bowiem nie wskazuje, by taką znali Słowianie. Ich żeńskie bóstwa były raczej opiekuńcze (Mokosz, Łagoda, Rodzenice), lub złośliwie uwodzące (Wiły, boginki, dziwożony). Brakło Walkirii. Wieleci zapewne nieśli boga wojny zwanego Jerowitem.

Za wizerunkiem gniewnego bożycy ciągnęły konne i piesze drużyny, obcym ubiorem, niezyczliwym wyrazem lic trwożąc mieszkańców. Według starogermańskich wierzeń słońce i miesiąc bywają prześladowane przez złe demony w postaci wilczej, pędzące po niebie. Posepni, nieznanego woje, ciągnący jak wilcy, zdali się być tymiż demonami.

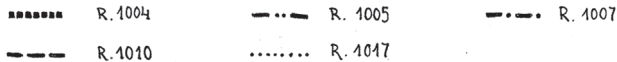
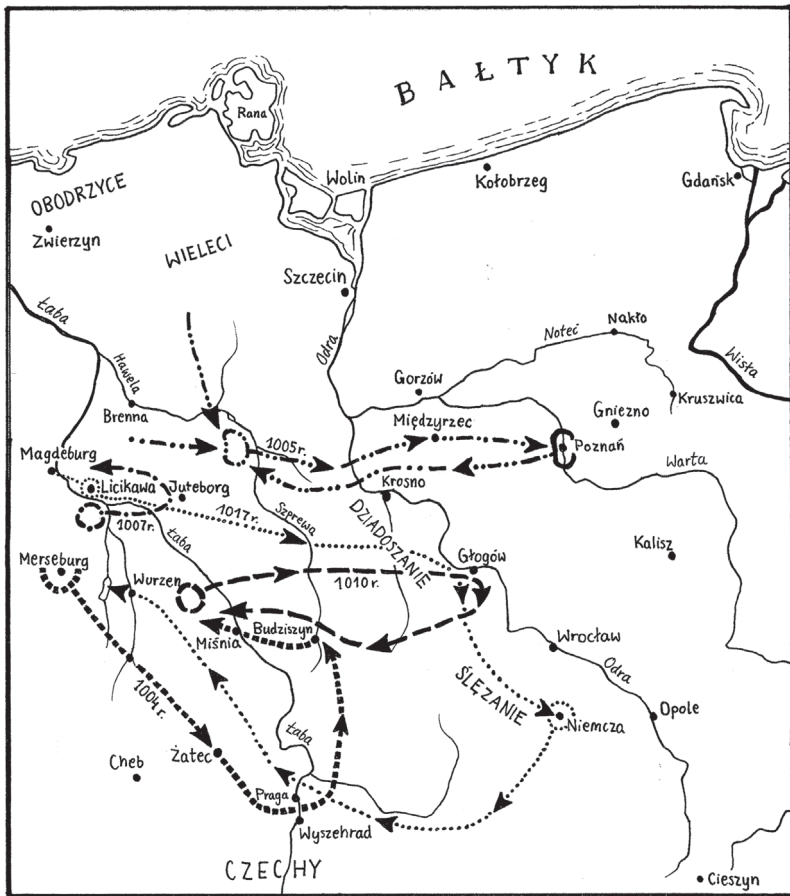
Za Wioletami zdążał z rycerstwem król Henryk. Jechali przez ziemie niemiłego królowi margrabiego ze Schweinfurtu, przyjaciela Bolesława (ogolócili bezlitośnie jego dobra), przez Bród Franków czyli Frankenfurt (dziś Frankfurt nad Menem), przez piękną Nadrenię, kraj winnic i sadów. Czczyciele Swarozycy patrzyli nienawistnie na ten dostatek, na liczne kościoły, klasztory. Tu było jądro potęgi niemieckiej, pychy i bogactwa, kraj ulubieńców Jezu Krysta. Twarde dusze pogan przejmowała radość, że choć Znak Boga chrześcijan złoci się w każdej osadzie, Swarozyc nad nimi góruje, skoro chrześcijański król nie Jego, lecz Jerowita wezwał ku pomocy. Tęsknili do chwili, w której będą mogli nareszcie palić i pustoszyć.

Przeprawili się przez Ren i spadli szarańczą na włości arcybiskupa Teodoryka. Tu już mogli sobie folgować, bo to był główny buntownik. Więc folgują. Niszczą z rozkoszą. Pałady i winnice, rąbią sady. Leżące tuż pod grodem Metz opactwo św. Marcina zostaje złupione, a zakonnicy wymordowani.

Oburzenie na króla, który pogan przyprowadził, rośnie, ogarnia cały kraj. Przerażony Henryk usiłuje powstrzymać zbyt gorliwych sojuszników i przejednać pokrzywdzonych.

W tym czasie biskup Metz Teodoryk, wraz ze swym bratem... i innymi spiskowcami, wielkie sprawił kłopoty królowi

## Wyprawy Henryka II przeciw Bolesławowi Chrobremu (wg Thietmara)



i jego przyjaciółom, niepowetowane czyniąc przez to szkody... Albowiem pogańscy Słowianie zniszczyli opactwo pod Meztzem wraz ze zgromadzeniem mnichów. Król wynagrodził te szkody z własnego majątku i poparł swe zadośćuczynienie



przysięgą. Następnie przykazał całemu wojsku strzec się, by coś podobnego więcej się nie powtórzyło. Spiskowcom atoli spustoszył winnice i spichrze ze zbożem... (jw.).

Zatrzeć upokorzenie, jakim było dla króla pokajanie się przed poddanymi, może tylko zwycięska kampania. W 1010 roku rusza trzecia wyprawa przeciw Bolesławowi. Wieleci w niej udziału nie biorą. Król wyraził im niezadowolenie z powodu zbyt srogich wybryków za Renem. Obrazili się. Niech wojuje sam.

...zaraz po Wielkanocy król zapowiedział surowym rozkazem wyprawę wojenną... Stąd ruszyliśmy do kraju Łużyczan... Schwytano w tym czasie dwóch braci z kraju Hobolan, z grodu warownego Brenna, którzy udali się do Bolesława, by go podburzyć przeciwko królowi i w drodze powrotnej wpadli w sidła, które sami chcieli potajemnie zastawić. Ponieważ przy przesłuchaniu nie chcieli wyznać niczego ze swych sprawek, zostali na jednym wzgórzu powieszani (jw.).

Hobolanie (Stodoranie) szukali porozumienia z Polską. Zginęli, nie wyjawivszy swych układów z księciem polskim.

Tymczasem zachorował król i jego ukochany arcybiskup Tagino. W tym położeniu książęta zastanawiali się z trwogą w sercu, co ma się stać z rozpoczętą wojną. Uchwalili w końcu, że król z kilku biskupami i słabszym oddziałem powróci do domu, biskupi zaś, Arnulf i Meinwerk, wraz z księciem Jaromirem [czeskim], margrabiami Geronem i Hermanem, mają pustoszyć kraj Ślążan i Dziadoszan. Tak się też stało (jw.)

Nieoceniony kronikarz ujawnia otwarcie specyficzny charakter ówczesnej kościelnej hierarchii niemieckiej. Czyż wymieniani arcybiskupi i biskupi są duszpasterzami? Bynajmniej! Wasalami cesarza, dowódcami jego rot.

...spustoszywszy wzdłuż i wszerz całą okolicę, Czesi wrócili do domu, nasi zaś wycofali się szczęśliwie przez Miłsko do Laby... (jw.).

Lepiej byłby Henryk nie zaczepiał Bolesława, albowiem relacja z 1012 roku brzmi, jak następuje:

...Bolesław... zebrał wojsko i ruszył na Lubuszę łużycką. Rozbił obóz korzystając z tego, że z powodu wylewu Łaby nikt z naszej strony nie będzie mógł przyjść na pomoc załodze. Jego żołnierze rzucili się do szturm... obrońcy zaś słaby stawiali opór... Bolesław siedział przy uczcie i przyglądał się z radością, jak jego wojownicy wdzierają się do grodu. Puściła brama, połała się krew wielu wojowników. Wzięci zostali do niewoli znakomici rycerze: Guncelin i Wizo... Wszystkich jeńców przyprowadzono przed oblicze zwycięzcy i na jego rozkaz odprowadzono do więzienia... Rozdzieliwszy nieprzebrane łupy i podpaliwszy gród, zwycięskie wojsko powróciło wraz ze swym wodzem w radosnym nastroju do domu... (jw.).

Niezadowolenie w Niemczech rośnie. Oto charakterystyczne przykłady:

Tymczasem Jaromirowi [księciu czeskiemu] ...przypadło w udziale więzienie... Kara ta spotkała go... z powodu rzezi, jakiej dokonał wśród powierzonych jego dowództwu Bawarów, gdy ci udali się z darami do Bolesława bez jego [Jaromira] i królewskiego pozwolenia... Nasi wrogowie [Polacy] szydzili z nas, kiedy o tym słyszeli... doszło do uszu królewskich, że... Wirinhar udał się wraz z bratem margrabiego Hermana Ekkehardem, bez pozwolenia królewskiego, do Bolesława i wygłaszał tam słowa nie dające się pogodzić z uczciwością wobec swego władcy, oraz że przyjmował u siebie tajemnie posłów Bolesława. Król bardzo dotknięty kazał jednemu i drugiemu stawić się przed swoim obliczem, a gdy im zabrakło ku temu odwagi, zajął wszystkie ich posiadłości i ogłosił winnymi oporu wobec władzy królewskiej... (jw.).

Niepowodzenia ostatnie zmuszają Henryka do ujednania Wioletów, bez pomocy których nie widzi możliwości pokonania przeciwnika.

Opuściwszy Merseburg, król popłynął na okręcie do Arneburga. Tam omawiał rozliczne sprawy ze Słowianami, którzy tłumnie przybyli, i potwierdzili z nim pokój... (jw.).

W 1014 roku Henryk osiąga nareszcie w Rzymie cel dzieśiąciu lat starań: koronę cesarską. Splendor tej godności robi

wrażenie na niezadowolonych książętach. Bunty przycichają na pewien czas. Pozostaje jednak Bolesław.

W przeciwieństwie do poprzedniej, wyprawa w 1017 roku zostaje obmyślona starannie.

Wszyscy wasale otrzymali rozkaz przygotowania się do niej. Równocześnie cesarz wydał ostry zakaz przyjmowania i wysyłania posłów do zuchwałego wroga [Bolesława] oraz polecił wysledzić tych, którzy ośmielali się dotychczas tak postępować (jw.).

Zapewniony jest udział Wioletów i Czech. Niespodziewane natarcie uderzy na Polskę z trzech stron.

Bolesław ma zbyt wielu zwolenników wśród otoczenia cesarza, by nie zostać w czas powiadomionym. Z klęskowej dla Henryka wyprawy cytujemy akt ostatni: oblężenie Niemczy.

Gród ten leży w kraju śląskim, który nazwę otrzymał niegdyś od pewnej bardzo wysokiej góry [Góra Słęża, zwana też Sobótką]. Owa góra wielkiej doznawała czci u wszystkich mieszkańców... jako że odprawiano na niej przekłete pogańskie obrzędy. ...cesarz przybył pod gród z wielkim wojskiem i kazał otoczyć go ze wszystkich stron, w nadziei, że w ten sposób zamknie nieprzyjacielowi dostęp z zewnątrz. Jego mądry plan... mógłby tu wiele osiągnąć, gdyby pomocnicy poparli go z całą gotowością. Tymczasem, korzystając z ciszy nocnej, wielka odsiecz przedarła się przez strażę do grodu. Cesarz nakazał naszym zbudować różnego rodzaju maszyny oblężnicze, wnet atoli ukazały się u przeciwnika także same. Nigdy nie słyszałem o oblężonych, którzy by z większą od nich wytrwałością i bardziej przeczorną zaradnością zabiegali o swoją obronę. Naprzeciw pogan [Wioletów] wystawili Krzyż święty ufając, iż pokonają ich z Jego pomocą. Gdy zdarzyło się im coś pomyślnego, nie wykrzykiwali z radości, niepowodzenia również nie ujawniali przez wylewne skargi.

Tymczasem Morawianie, poddani Bolesława, wtargnąwszy do Czech, zdobyli jeden gród i z wielkim łupem opuścili ten kraj, nie poniósłszy sami żadnej szkody.

...ukończono budowę wszystkich machin, więc cesarz, który siedział już trzy tygodnie pod grodem, nakazał przyspuścić

szturm, lecz wnet zobaczył, jak te maszyny szybko spłonęły od ognia rzuconego z wałów. Następnie Udalryk [czeski] próbował ze swoimi wspinać się na wały, lecz nic nie wskórał. Również strącono z nich Luciców [Wioletów], kiedy podjęli podobną próbę. Cesarz widząc, jak daremne są wysiłki jego chorobą trapiącego wojska, udał się bardzo uciążliwym marszem do Czech...

Kiedy [Bolesław] dowiedział się, że cesarz oszedł, a gród stoi nienaruszony, weselił się w Panu i brał udział w świeckiej radości swoich wojów.

...Wieleci tymczasem... skarżyli się na to, że obrażono ich boginię (?). Albowiem jeden z ludzi margrabiego Hermana cisnął kamieniem w jej wizerunek na sztandarze. Kapłani wieleccy udali się ze skargą do cesarza i otrzymali jako odszkodowanie 12 funtów srebra. Potem, kiedy ich wojsko przeprowało się... przez wezbraną Muldę, utonął drugi wizerunek tej samej bogini oraz oddział pięćdziesięciu wojowników. Pod wpływem tak złej wróżby pozostali chcieli wrócić do domu... rzucając służbę cesarza, lecz przywódcy odwiedli ich od tego zamiaru na wspólnie odbytym zgromadzeniu.

Któż zdoła opisać trudności tego marszu i ogólne straty? Z ogromnymi przykrościami połączone było wkroczenie do Czech, lecz, o wiele gorszy był odwrót z tego kraju. Na zgubę nieprzyjaciół podjęliśmy tę wyprawę, tymczasem... przyniosła ona nam ogromną szkodę... Zapłakać mi wypada również nad zbrodnią, jakiej się dopuścili ludzie Bolesława pomiędzy Łabą a Muldą. Mianowicie 19 września wpadli oni nagle i uprowadzili... z tych stron więcej niż tysiąc niewolników, po czym spalili wiele siół wokoło i powrócili bez przeszkód do domu...

Tyle relacja Thietmara. Porażka cesarza jest dlań tak bolesna, że nie wraca więcej do tego tematu. Rozpisuje się obszernie o swoich sprawach rodzinnych, o upiorze, który straszyl w miejscowości Sulfeld koło Walbeck, o jagnięciu, które urodziło się z pięcioma nogami; rzadko wspomina o „niegodziwym wilkołaku” Bolesławie. Zawarty w Budziszynie pokój z 1018 roku zbywa kilkoma zdaniem:

Następnie, 30 stycznia, na rozkaz cesarza... biskupi Gero i Arnulf oraz grafowie Herman, Teodoryk i komornik cesarski

Fryderyk zaprzysięgli pokój w grodzie zwanym Budziszyn. Był to pokój nie jaki być powinien, lecz jaki dało się zawrzeć w ówczesnej sytuacji.

Pokój budziszynski Historia uznała jako korzystny dla Polski zatrzymującej Łużyce, Milsko, Morawy. Dla Bolesława Chrobrego oznaczał on jednak zatrzymanie się w pół drogi. Nie stworzył i nie stworzy już wielkiego państwa słowiańskiego równego w sile cesarstwu. W osiągnięciu tego celu przeszkodzili mu – Wieleci.

Zawzięci poganie, przez niechęć do chrześcijaństwa, stali się jego wrogami. Zagrożając stale prawemu skrzydłu wojsk polskich, paraliżowali ruchy Bolesława. Zmuszali go do obrony, gdy winien był atakować. Utracił Czechy przez ich współdziałanie z Henrykiem. Głupcy! Ślepi głupcy! Zobaczą rychło, jak im się Niemcy odwiedzczą! Podobnie jak plany zjednoczenia Słowian, pokój budziszynski przekreślał ostatnie nadzieje na wskrzeszenie kiedykolwiek programu Ottona III. Polska i cesarstwo utwierdziły się w postawie nacjonalistycznej. Jeszcze tylko w epizodzie listu Bolesława Chrobrego do cesarza greckiego Bazylego, zwanego Bułgarobójcą, można domyślać się śladu zamierzeń snutych w Gnieźnie w 1000 roku. Z Kijowa Bolesław

wysłał posłów do Grecji, zapewniając tamtejszego cesarza o swojej życzliwości i przyjaźni, jeżeli cesarz dochowa wierności (podkr. nasze – Z. K. i Z. S.). W przeciwnym razie... stanie się jego nieustępliwym wrogiem (Thietmar, *Kronika*).

...jeżeli cesarz dochowa wierności”.

Biskup merseburski nie wydaje się zdziwiony treścią listu. Nie opatruje jej żadnym docinkiem. Jak gdyby znał układy, o których my nie wiemy i nigdy się nie dowiemy.

Pokój. Dla Wioletów to słowo oznacza niepokój. Henryk II, zabezpieczony od strony Polski traktatem pokojowym, nie potrzebuje ich więcej. Owszem, pozbywa się chętnie kompromitujących sprzymierzeńców. Przez nich popsuł sobie opinię, a zwycięstwa nie osiągnął. Rozstają się kwaśno.

Niemniej Wieleci trwają w przekonaniu, że łącząc się z cesarzem, dokonali dobrego wyboru. Narzucili chrześcijanom obecność swoich bogów. Cały świat widział znak Jerowita, wyprzedzający znaki Jezu Krysta. Od chwili sojuszu z Henrykiem biskupi i margrabiowie sascy przestali najeżdżać ich ziemię. Przestali nawracać. Święty Związek Czterech Plemion czuje się potężny. Jest panem w swojej dziedzinie.

Skąd więc niepokój? Czego im nie dostaje? Walki. Widzieli błędące z trwogi twarze bogatych mieszczan allemańskich, ucieczkę przerażonych mnichów, płonące kościoły. Ciasno im teraz w rodzinnej zagrodzie. Praca na roli – rzecz dobra dla starych, dla niedorostków i niewiast. Oni, wojownicy, potrzebują czegoś więcej. W sześć wieków później dowódca Lisowczyków powie do króla Zygmunta III: „Daj nam wrogów, Miłościwy Panie, inaczej sami między sobą bić się będziemy przymuszeni...” Podobnie czują się Wieleci, wcześni pobratymcy tamtych zagończyków. Rwą się do nowej wyprawy. Przeciw komu?

Dwa tylko mają kierunki: Polska albo Obodrzyce.

Polska... W bliskim Kołobrzegu Chrobry założył biskupstwo, którego obecność ich mierzi. Czują, że zostało ufundowane przeciw nim. Z Kołobrzegu biorą sól. Sól jest dobra i potrzebna. Natomiast wiary z Kołobrzegu brać nie będą. Ten biskup się nie osiedzi.

Poddani Bolesławowi Pomorzanie słuchają chętnie przechwałek wieleckich, sami jednak nie zamierzają powstać. Lękają się Chrobrego.

Wieleci lękają się również. Bojuje on gdzieś daleko na wschodzie, lecz byle ruszyć granicę, nadleci chyżo. Przez minione lata napatrzyli się jego zmyślności wojennej, zwrotów szybkich jak myśl. Łajać na wiecu nieobecnego – można. Mierzyć się z nim nie należy. Młodzież pragnie tej wojny, bo głupia. Ze starszych nikt się nie kwapi.

Pozostają Obodrzyce. Obrzydłe nasienie! Niby wierni starym bogom, a trwają w posłuszeństwie chrześcijańskim książętom, którzy z kolei słuchają pilnie Sasów. Mściwój, ojciec obecnego księcia, obraził Swarozycza złamaniem przysię-

gi. Pamiętają starzy, jak tu, na tym placu, w obliczu wiecu, przysięgał na świętą ziemię, na wodę i ogień, że do chrześcijaństwa nie wróci. A wrócił. Za wiarołomstwo ojca winien odpowiedzieć syn. A Stodoranie znosili się tajemnie z Bolesławem na szkodę cesarza, czyli na szkodę związanych z nim Wioletów...

Stare przysłowie powiada, że kto chce psa uderzyć, kij zawsze znajdzie. Obodrzyce nie wsparli Wioletów, gdy ci z ramienia cesarza walczyli z Bolesławem – oto dostateczny powód do wypowiedzenia wojny. Po jednomyślniej uchwale wiecu wojska wieleckie wkraczają na ziemie obodrzyckie. Ich siły są znaczne, a znakomitą sprawność wojenną nabyli w kilkuletnich bojach z Bolesławem. Zresztą nie spotykają oporu. Podległe wielkiemu księciu obodrzyckiemu plemiona, z dawna wrogie polityce ugodowej wielkiego księcia Mściława, jego przyjaźni z arcybiskupem hamburskim Unwanem, uległości względem cesarza, witają radośnie sąsiadów. Poddają się Wioletom załogi grodów, otwierają bramy miast. Książę Mściław ze szczupłą drużyną zostaje oblężony w swojej stolicy, Zwierzynie. Widząc beznadziejność położenia, ucieka z grodu tajemnym przejściem, uchodzi do Sasów, dokąd wcześniej już wysłał rodzinę. Z tego wygnania nigdy już, nigdy, do ojcowizny nie wróci.

W pościgu za Mściławem złączone siły obodrzycko-wieleckie przekraczają dolną Łabę. Drugie wielkie powstanie słowiańskie 1018 roku. Szlakiem obszarów nadmorskich posuwają się zbrojne gromady, paląc i mordując wszystko, co spotykają na drodze. Łuny pożarów rozświetlają niebo nad grodami. Powtórnie płonie spustoszony Hamburg, padają klasztory i twierdze. Margrabiowie, rycerze, biskupi i mnisi pierzchają, jak pierzcha wszelkie stworzenie przed spiętrzoną falą powodzi. Kto nie uszedł, ginie. Żywiół rozszałatego tłumu ściera na długi czas z ziem nadłabskich ślady chrześcijaństwa. Zawziętość pogan nie ulega zmianie, pewność siebie i zuchwałość wzrosły dzięki polityce Henryka II, jego sojuszu z pogaństwem.

W tym czasie Lucice [Wieleci], zawsze w złych poczynaniach jednomyślni, napadli z wielką potęgą na księcia Mściława... Spustoszywszy większą część jego państwa [obodrzyckiego] zmusili żonę i synową księcia do ucieczki, jego zaś samego do schronienia się z doborowymi wojownikami w warownym grodzie Zwierzyn [dziś Schwerin]. Następnie, wykorzystując ze złośliwą chytrąścią miejscowych ludzi, buntujących się przeciw Chrystusowi i własnemu władcy, doprowadzili do tego, że ksiączę ledwo zdołał uciec z ojczywego kraju. To bezecne zuchwalstwo wydarzyło się w miesiącu lutym... Legły natenczas w gruzach i zgliszczach wszystkie kościoły w tym kraju wzniesione... Ścięto Krzyż i wprowadzono cześć bałwanów... Serce owych ludzi, zwanych Obodrzycami i Wagrami, stało się twarde... jak serce faraona. Przez jawną zdradę odzyskali oni wolność, lecz kark swój... poddali pod jarzmo szatana...

Wymownie brzmi stwierdzenie piórem uczonego kronikarza, że dla Obodrzyców powrót do pogaństwa był odzyskaniem wolności.

Dobiegają końca cytaty, tak licznie czerpane z kroniki Thietmara. Biskup merseburski nie przeżył 1018 roku. Czym został spowodowany zgon człowieka, będącego jeszcze w pełni sił, znanego z energii i zapalczywości – nie wiemy. Można przypuszczać, że już wcześniej dręczyły go złe przeczucia, nurtował niepokój. Jeden z ostatnich ustępów jego *Kroniki* brzmi:

...w owych dniach ludzie widzieli przed zachodem tylko połowę słońca, gdyż druga połowa była niby unurzana we krwi... Okropne nieszczęścia przepowiedział wielki złot ptaków, które przy pomocy dziobów i szponów śmiertelną ze sobą stoczyły walkę...



## I BYŁO U NICH ZABURZENIE...

Bolesław Wielki, zwany Chrobrym, dożywa epopei swego panowania. Mimo niemieckich intryg osiąga wreszcie koronę królewską. Po śmierci posłusznego cesarzowi papieża Benedykta VIII udzielił jej księciu polskiemu papież Jan IX. Sakra monarsza, zapoczątkowana w 1000 roku aktem Ottona III, zostaje dokonana w 1024 roku. Doniosły to moment dziejowy. Książąt w Polsce może być wielu, król jest tylko jeden. Król to naród, a nie plemię albo szczep. Ówcześni wierzą, że na głowie królewskiej spoczywa charyzmat Łaski, Pomazaństwa. Ten stygmat przechodzi w nasienie i krew, udzielając ojcowej godności synowi i potomkom jego.

Im większe znaczenie posiada korona, tym większy jest gniew przeciwników Bolesława. Kiedy, w kilka miesięcy po uroczystej koronacji, król polski umiera (osiągnięcie celu bywa często kresem), a godność królewską przejmuje syn jego, Mieszko II, kronikarz niemiecki Wipon pisze w *Żywocie imperatora Konrada*:

...trucizna pychy zalała duszę Bolesława tak, że po zgonie cesarza Henryka ośmielił się pochwyć koronę królewską na hańbę króla Konrada. Rychło śmierć ukarała to zuchwalstwo. Syn jego Mieszko takież buntownik jak ojciec. Ale cóż tobie korona, ty krwawa bestio?!

Wrażenie prostackiego wybuchu zaciera równoczesny list księżnej lotaryńskiej Matyldy, która, przysyłając Mieszkowi II w darze *Księgą Liturgiczną*, wychwala młodego króla, gdyż:

...sławi Boga w języku łacińskim i greckim, wstępując w ślady ojca pobudował wiele kościołów, opiekuje się religią i nawraca pogan.

A więc Mieszko II znał język grecki? W tym fakcie, jako też w imieniu Karol nadanym młodszemu jego synowi (Kazimierz Karol), zdają się kołatać ślady zjazdu gnieźnińskiego. Ambitna żona Mieszki, z nim razem koronowana Rycheza, siostrzenica Ottona III, musiała znać te tradycje i, być może, wiązała z nimi nieokreślone nadzieje.

Mieszko II to postać tragiczna. Wszystko sprzyjało ojcu, wszystko staje na przekór synowi. Dola, co miłowała wierne Bolesława, odstąpiła Bolesławowica. Los piętrzy przed nim przeszkody, których zwalczenie jest nad miarę ludzką. Skrzywdziła go nawet potomność.

Przez długie wieki historia czyniła młodego króla odpowiedzialnym za katastrofę 1034 roku i jeszcze na początku XX stulecia dzieci polskie deklamowały:

Mieczysław Gnuśny wszystko w Polsce zgubił,  
Bo gdy nieraz szumnym miodem  
Z doradcy swymi zabawiać się lubił,  
Rykxa rządziła narodem

(J. U. Niemcewicz, *Śpiewy historyczne*).

Nie był ani gnuśnym, ani krwawą bestią, ani biesiadnikiem, ten ukochany syn Chrobrego i Emnildy. Był silny, dzielny, bystry, daleko patrzący. Pragnął dorównać ojcu, być godnym korony. Na początku swego panowania osiągnął znaczne sukcesy. Król Konrad II uderza na Budziszyn. Mieszko odpie-ra najazd i w odwecie pustoszy wschodnie granice Niemiec, pałac, niszcząc i uprowadzając tysiączne tłumy jeńców. W tej wyprawie wspomagają go... Wieleci, których zdołał oderwać od sojuszu z cesarzem. Pierwszy krok do jedności słowiańskiej. Jeżeli przyjaźń polsko-wielecka okaże się trwała, urzeczywistni się niespełnione pragnienie Chrobrego.

Nie urzeczywistni się.

Mieszko II był pierworodnym synem Emnildy, lecz Bolesław spłodził wcześniej prawowitego syna, Bezpryma, z księżniczką węgierską, która mu zbrzydła po nocy poślubnej tak, że ją odesłał rodzicom. Bezprym chował się na dworze ojca, który

go nie znosił i nie chciał, by kiedykolwiek panował. W wypadkach podobnych bezwzględni ojcowie uśmiercali ewentualnych przyszłych rywali dziedzica. Bardziej ludzcy zsyłali ich do zakonu. Tak też właśnie uczynił Bolesław. W chwili, gdy Mieszko w całym splendorze królewskim odbywa uroczystą koronację – starszy jego brat w italskim benedyktyńskim klasztorze chyli ogoloną głowę nad księgą i duka niechętnie psalmy. W sercu jego wrą nienawiść i bunt, wystarczające, by wygnaniec Bezprym stał się narzędziem, zagrożonego przez Mieszkę, króla Konrada. Śluby zakonne mogą zostać rozwiązane, gdy zażąda tego panujący...

I oto w 1032 roku, gdy Mieszko współ z Wioletami sięga między Łabą a Salą w granice Turynгии, w Polsce pojawia się Bezprym i wysuwa swoje prawa. Opowiada się za nim najmłodszy brat Mieszka, Otto, i część rycerstwa, podmówiona przez Konrada.

Mieszko wypędza braci, którzy chronią się na Ruś. Niebawem są w Polsce znowu, pod osłoną książąt ruskich, zadowolonych, że mogą królowi polskiemu przysporzyć kłopotu. Mieszko przerywa zwycięską rozprawę z Konradem, zawiera z nim nędzny pokój, zrzeka się Łużyc (cennego bastionu strzegącego granic Polski), by uzyskać wolne ręce dla pokonania braci i ich ruskich sprzymierzeńców. Urażeni takim obrotem sprawy, Wieleci zrywają zawarty z nim sojusz. Nie po to ruszyli na wojnę, by ją przerywać w pełni powodzenia.

Gdyby za młodym królem stało zwarte państwo, jak za Bolesława, drużyny wojskowe oddane na śmierć i życie wodzowi, Mieszko II uporałby się z łatwością ze zbuntowanymi braćmi i książętami ruskimi. Lecz z chwilą śmierci Chrobrego pękła obręcz spajająca całość. Społeczeństwo, wojsko, podzieliły się na wrogie obozy – ci za Mieszkiem, tamci za Bezprymem, owi za Ottonem. W walce powszechnej, jaka stąd wynikła, Bezprym wziął górę. Mieszko widzi się zmuszony do ucieczki z kraju. Porzuca go żona, wracając do Niemiec. Bezprym obejmuje władzę. Wiedząc, komu ją zawdzięcza, odsyła Konradowi za pośrednictwem Ryczezy insygnia królewskie

jako dowód rezygnacji z korony, którą: „...ojciec i brat przyjęli ku hańbie cesarstwa”.

Nie wiemy nic o Bezprymie poza tym jednym postępkim wystarczającym, by czuć dla niego pogardę.

Po kilku miesiącach rządów, wśród rosnącego nieładu, Bezprym umiera, przebity skrytobójczo. Mieszko powraca. Nie ma już dlań innego wyjścia jak złożyć hołd cesarzowi. O koronie nie będzie więcej mowy. Konrad II przyjmuje lennika pod warunkiem, że podzieli władzę z Ottonem i stryjecznym Dytrychem. Mieszko obiecuje, lecz natychmiast zrywa się do walki z braćmi, którzy w niejasny sposób giną obaj. Zwycięzca usiłuje opanować zanarchizowany kraj, łączy znów w jedność rozprysłe dzielnice, lecz w 1034 roku zostaje z kolei zamordowany przez swego miecznika, jednego z dawniejszych książąt.

Czy starszy jego syn, Bolesław, którego historycy nazywają Zapomnianym, objął panowanie po ojcu? Nic pewnego o tym nie wiemy i, po prawdzie, to nie ma znaczenia. Tak czy owak, nie mógł wpłynąć na tok ówczesnych wypadków. Bolesław Zapomniany znika szybko z widowni, zapewne zamordowany. Te czasy są pełne krwi.

Gdyby Thietmar, biskup merseburski, żył, miałby prawo powtórzyć swój okrzyk goryczy: „Wszystko, cokolwiek ludzie czynią, jest grzechem!”

Śmierć Mieszka II staje się hasłem do wybuchu rewolucji, zwanej przez historyków „reakcją pogańską”, a będącej równocześnie przewrotem społecznym. Przewrót ten kłuł się od dawna, od chwili śmierci Chrobrego. Wszystkie elementy, które jego silna dłoń trzymała razem, po woli czy po niewoli, zerwały łączące je więzy, podnosząc gwałtowny sprzeciw. Przede wszystkim książęta plemienni, co jeszcze za Mieszki I rządili jako władcy udzielni na swoich obszarach, zmuszeni potem do posłuszeństwa królowi. Wprawdzie Bolesław, by im osłodzić nowy stan, rozdzielał między nich godności cześnika, komornika, miecznika, wojewody, lecz tytuł nie zastąpi niezależności. Za ich przykładem buntują się kmiecie, niegdyś

swobodni, ostatecznie obciążeni wielkimi daninami na rzecz króla i dziesięcinami na rzecz Kościoła. Daniny są ciężkie, bo państwo piastowskie, jako państwo zdobywcze, potrzebuje świadczeń od swoich poddanych. Podnoszą krzyk dotychczas cierpiące w milczeniu plemiona osiedlone przy zachodniej granicy Polski. Od dwudziestu kilku lat przez ich grunta przewala się nieustanna wojna. Co ich obchodzi chwalebność króla, sława jego wojów? Chcą żyć w spokoju, jak dawniej bywało. Bodaj zła śmierć zabrała całe to państwo! Nawet ubogie pospólstwo wspomina z żalem minione dobre czasy, gdy nie pędzono nikogo do robót, rąbania zasiaków w borach srogą zimą, okopywania gościńców, czy równania przewłok. Póki żył Bolko, siedzieli cicho, jak trusie, bojąc się okrutnie jego gniewu. Tych młodych, co mordowali się wzajemnie, już się nie bano.

Kielkujące od lat powszechne niezadowolenie wyzyskiwali coraz śmielej żerce, niegdyś szanowani wyraziciele woli bogów, dostatnio żyjący z ofiar, ninie zepchnięci między najlichszą biedotę. Niewiele ich zostawało, boć kupa lat minęła, odkąd Jezus Krystus zapanował w Polsce, dość jednak, aby powiększyć zamęt. Żerce znajdowali sprzymierzeńców w niewolnikach, jeńcach wojennych, zagarniętych przez Bolesława w czasie wojen z cesarzem Henrykiem. Ci pochodzili przeważnie z Pomorza lub ziemi wieleckiej. Byli liczni, czego świadectwem osady: Pomarzany, Pomarzanowice, Pomorzany, Pomorzowice rozsiane pod Poznaniem, Krakowem, Opolem, Kielcami. Przesiedleńcy pracowali dotychczas spokojnie, ciesząc się, że żyją, obecnie rozpowiadają głośno o starej wierze i bogach plemiennych. Wysławiają Swarożyca, czczono go w grodzie Radogoszcz, Trzygława mającego siedzibę w Szczecinie. Opowiadają o wielkiej potędze Świętego Związku Wioletów, do którego sam cesarz o pomoc się zwracał. O tym, że biskupom wara stanąć na ich ziemi, a dziesięciny nikt nie płaci... Rządzi krajem wiec, który mianuje albo składa książąt... Wiec, w którym każdy, co lat dorósł, może uczestniczyć...

Słuchając tych gadek, ludziom rumieńce były na jagody, z wieczora odbiegał sen. Skoro tak jest u Zaodrzan, czemu nie ma być u Polan? Pomarł Bolko – umarła niewola!

Z cienkich strumyków wstaje wielka rzeka, rozmywa nieokrzepłą budowlę. Wstręty plemienne dochodzą do głosu, podkopyją fundamenta. Bucha zadawniona niechęć Wielkopolan do Mazurów, czy Słężan do Wiślan. Bolko im kazał być jednym narodem, a oni nie chcą! Nie pójda razem i – dość! Stary Mieszko i Bolesław kazali słuchać Jezusa Krystusa, a oni Go słuchać nie będą! Precz z książętami, królami! Niech rządzi wiec, jak u Luciców! Precz z biskupami, mnichami! Ze Szczecina i z góry Sobótki na Śląsku spływa na kraj powrotna fala pogaństwa. Nocami ludzie słyszą tętent czarnego ognia Trzygława. To znak, by palić kościoły.

Jeszcze za życia Bolesława Pomorzanie z Wioletami zniszczyli biskupstwo w Kołobrzegu. Przepowiadali Wieleci, że biskup się nie osiedzi. Jakoż Reinbern ledwo zdołał uciec. Głazy ciosowe i filary kamienne świątyni zepchnięto do morza, by ich nikt stamtąd nie dobył. To opowiadali jeńcy. Teraz pora uczynić podobnie w Gnieźnie czy Poznaniu.

...W Polsce nastąpiło wielkie prześladowanie chrześcijan (Kosmas, *Kronika*).

...tegoż czasu umarł Bolesław Wielki w Polsce. I było zaburzenie ogromne w ziemiach polskich... Powstawszy ludzie, pozabijali biskupów i kapłanów i bojarów swoich i było u nich zaburzenie... (*Kronika ruska*).

Cała Europa śledzi z trwogą te zdarzenia. Z początku sąsiedzi radzi widzieli osłabienie Polski. Duńczycy, Sasi, Czesi, dolewali, jak mogli, oliwy do ognia, popierając niezadowolenie ludności. Lecz sprawy przeszły ich oczekiwania. Chcieli tylko ukrócić ekspansję piastowską, ujrzyć Polskę lennem cesarskim, jak niegdyś, a oto czują się sami zagrożeni. Nikt nie przewidywał, że Kościół w Polsce może zostać obalony! Wprawdzie od chrztu Polan minęło zaledwie siedemdziesiąt lat, niemniej w oczach innych ludów Polska zdawała się być gruntowniej,

głębiej chrześcijańska niż na przykład Dania. Polska Mieszki I weszła w koleinę wiary tak naturalnie i spokojnie, jak gdyby jej bogi polne, leśne, wodne, czekały na Suwerena i, ustępując Mu pokornie miejsca, stanęły w Jego orszaku. Potem Chrobry swym geniuszem postawił Polskę w pierwszym rządzie chrześcijańskich państw Europy. Pamiętano powszechnie postępek Ottona III, sny o imperium chrześcijańskim, mającym sięgać od Atlantyku do Bosforu, a w tych planach Polsce przeznaczona była ważna rola. Potem był dwudziestoletni okres zwycięskich dla Polski zmagañ z cesarzem Henrykiem, potem zdobycie przez Bolesława dumnego Kijowa... I oto Polska, ten świetny partner, przyjęty już jako równy, znika, a na jego miejscu powstaje huczący pożar. Nie ogień lokalny, na który sąsiedzi patrzą obojętnie, lecz gorejący wulkan, który może ich również pochłonać. Świeże jeszcze jest wspomnienie 1018 roku, gdy w ogniu stanęła Saksonia!

Na zgliszczach Polski roi się od dawnych albo samozwańczych książąt, rozdzierających między sobą resztki Chrobrego Państwa. Wystarczy, że wśród nich znajdzie się jeden bystrzejszy, śmielszy od reszty, co stanie na czele zbuntowanych gromad, złączy się z Prusami, Pomorzanami, Wieleciami, Obodrzycami, a fala rozwielnionego pogaństwa zaleje całą Europę!

Przede wszystkim zagrożone jest cesarstwo. Dalszy rozwój wypadków napętnia Konrada trwogą. Sam rozpętał zawieruchę, przerzucając Bezpryma do Polski. Teraz musi dołożyć wszystkich sił, by przywrócić na tych obszarach spokój.

Tylko arcybiskup magdeburgski nie traci głowy. Nawrót pogaństwa w Polsce jest ciężką próbą dla Kościoła, kto wie jednak, czy nie wyjdzie cesarstwu na dobre. W zamkniętych skrzyniach kancelarii magdeburgskiej spoczywa cenny dokument: protest biskupa poznańskiego Ungera oraz jego oboediencja, złożone w 1003 roku. Do nich dołączony został fałszyfikat aktu erekcyjnego magdeburgskiej metropolii. Według redakcji tego apokryfu władzy Magdeburga poddane zostają wszystkie diecezje istniejące lub mające powstać na wschód

aż do Wisły. W najbliższym czasie powyższy dokument zostanie wciągnięty do *Liber Privilegium Sancti Maurici*, co walnie ułatwi zatwierdzenie go przez Rzym. Arcybiskup zapytuje cesarza, czy nie należy wszcząć już odpowiednich kroków.

Cesarz uważa, że sprawa jest jeszcze zbyt świeża. Dokument wraca na razie do skrzyni.

Z dynastii pierwszych Piastów, którzy wzniesli państwo polskie, pozostaje tylko jeden odrostek, młodszy syn Mieszki II, Kazimierz Karol. Pełne znaczenia drugie imię dała mu zapewne ambitna matka, ojciec bowiem „oblatował” dziecko wcześniej do zakonu, chcąc by starszy Bolesław (późniejszy Zapomniany) mógł rządzić swobodnie. Kazimierz wychowywał się w Niemczech. Opiekuje się oddanym do klasztoru chłopcem brat jego matki, arcybiskup Kolonii, Herman. W okresie krwawej serii zgonów rodzinnych Kazimierz liczy siedemnaście lat. Nie zna innego życia niż zakonne. Ojcowie chwalą jego zdolności i pilność.

Tego młodzieniaszka cesarz Konrad II odwołuje z celi; podobnie, jak niedawno dla Bezpryma, uzyskuje dlań w Rzymie zwolnienie ze ślubów zakonnych, dodaje przystojny orszak i każe jechać do Polski, by tam jako prawy dziedzic zaprowadził ład. Kazimierz wraca posłusznie do ojczyzny, którą opuścił, będąc małym dzieckiem. Powrót tego mniszka do kipiącego anarchią kraju nasuwa porównanie z młodziankami, zanurzonymi w piecu ognistym.

Dziadowe, ojcowe siedziby Gniezno i Poznań są doszczętnie zniszczone przez najazd czeski. Zresztą zarówno Wielkopolska, jak Śląsk wskutek bliskości Pomorza i Wioletów są najsilniej opanowane przez reakcję. Młody książę kieruje się zatem do Krakowa. Kraków jest oddalony od wpływów wieleckich, chrześcijaństwo zaszczerpione wcześniej w czasach księstwa Wiślan, przez św. Metodego, sięgnęło w dusze głębiej niż w innych dzielnicach. Lecz i tutaj Kazimierz przyjęty jest wrogo. Szydzą zeń, z jego ledwie odrastającej tonsury, nieśmiałego obejścia, nieznamomości języka i obyczaju. A w ogóle



nie chcą mieć żadnego księcia, zwłaszcza Piasta. Nadojedli im Piastowie. Precz z nimi! Niech ten otrok postrzyżony wraca jak najprędzej, skąd przybył!

Zniechęcony, załamany chłopiec opuszcza Polskę, kierując się przez Węgry do Niemiec. Powiadomieni o jego podróży Czesi żądają od króla węgierskiego, Piotra Wenecjanina, by im podróżnika wydał, „o ile chce zachować z nimi przyjaźń odziedziczoną po przodkach”. Piotr odpowiedział: „Jeżeli jakieś stare prawo mówi, że król Węgier ma być sługą księcia czeskiego – uczynię, czego żądacie”. Po czym, mało wagi przywiązując do ich przyjaźni, dał Kazimierzowi sto koni i tyłuż rycerzy.

Kazimierz, podziękowawszy, udał się szybko do ziemi niemieckiej, gdzie pozostawał u matki i u cesarza (Gall, *Kronika*).

Korzystając z zamętu, Brzetysław, książę czeski, lennik cesarski, wielki i silny jak tur, niejednym rysem przypominający Chrobrego, zdobywa Kraków, pustoszy pół Polski. Nie sama chęć rabunku kieruje jego wyprawą. Niegdyś pradziad Brzetysława, Waclaw Świąty, podporządkował swe państwo Henrykowi I Ptasznikowi. To poddaństwo zostało tradycją. Ono spowodowało, że Czechy, dzielny, świadomy naród, z dawna chrześcijański, nie posiadają dotąd własnej kościelnej hierarchii. Biskup praski zależy od arcybiskupa Moguncji. Błyskawicznym pochodem Brzetysław idzie na Gniezno, porywa relikwie św. Wojciecha, by na tej podstawie domagać się własnego arcybiskupstwa. On też nienawidzi Niemców, jemu też marzy się jedność słowiańska. Oprócz szczątków męczennika uwozi niezliczone bogactwa z Gniezna i Poznania. Nic nie zostaje ze wspaniałości Chrobrowej.

Królowie i książęta sąsiedni, każdy od swojej strony, podbił Polskę i do swego władztwa przyłączał grody graniczne, lub zdobywszy, równał je z ziemią. I gdy tak wielkie krzywdy znosiła Polska od obcych, nierozsądnie i sromotnie dręczona była przez własnych mieszkańców. Albowiem niewolnicy powstawali na panów, wyzwolenicy przeciw szlachetnie urodzonym,

sami się do rządów wznosząc, pobrali ich żony i zbrodniczo, w sprośny sposób rozdrapali dostojęstwa. Nadto jeszcze, porzucając wiarę chrześcijańską, czego nie możemy powiedzieć bez płaczu i lamentu, rozpoczęli bunt przeciw biskupom i księżom Bożym. Jednych mieczem zgładzili, drugich ukamienowali... Doprowadzona została Polska do takiego spustoszenia, że zupełnie obrana została z bogactw i ludzi. W owym czasie Czesi zniszczyli Poznań i Gniezno i zabrali ciało św. Wojciecha. Owi zaś, co uszli z rąk wrogów lub uciekali przed własnym buntem, uchodzili poza rzekę Wisłę na Mazowsze. Tak długo zaś wymienione miasta pozostawały w opuszczeniu, że w kościele Św. Wojciecha Męczennika i Św. Piotra Apostoła dzikie zwierzęta założyły swoje legowiska... (Gall, *Kronika*).

Trzy lata trwa pobyt eks-mnicha, niedoszłego księcia, na dworze cesarskim lub w Kolonii u wuja. Co przeżywa w tym czasie, jakie go myśli nurtują? Nic o tym nie wiemy. Ponieważ dalsze życie Kazimierza dowodzi, iż był to człowiek wielkiego charakteru, odwagi, silnej woli – można mniemać, że owe trzy lata były dlań bogate w wewnętrzne przeżycia. Czy żałował zbyt szybkiego zniechęcenia i poniżającego odwrotu? Czy ocknęły się w nim duma rodowa i miłość do nieszczęsnego, spustoszonego kraju, poczucie odpowiedzialności za jego losy? Chyba tak, skoro w 1038 roku dwudziestodwuletni młodzieniec postanawia powrócić do Polski.

Na wykonanie zamiaru nikt nie nalega. Cesarz Konrad II czuje się mniej zagrożony niż poprzednio, gdyż w międzyczasie udało mu się odnowić sojusz z Wioletami. Według Galla zarówno on, jak Rycheza wstrzymują Kazimierza od niebezpiecznej wyprawy. Ten jednak nie ustępuje. Wuj arcybiskup wyprasza dlań u cesarza pięciuset rycerzy. Z tą siłą wnuk Chrobrego rusza po raz wtóry odzyskiwać swe dziedzictwo.

Wbrew przypuszczeniom czas pracował na jego korzyść. Rozkład społeczny i powszechne zdziczenie stały się w Polsce tak wielkie, że większość narodu wzdycha do władzy, jakiegokolwiek, ale władzy! Nie istnieje nic pewnego, wszystko się chwieje, wydane na łup złośliwej przypadkowości. Wyważo-

no z posad nawet święte prawo władzy ojcowskiej, nawet czystość ogniska domowego i obyczajność. Panuje bezrząd, zaprzeczenie ładu, wszelkie zaś stworzenie ludzkie dąży do tego, by żyć w pewnym układzie społecznym, czyli ładzie. Nigdy mieszkańcy bezpieczeństwa kraju nie czuli się tak niewolni jak od chwili, gdy się ogłosili wolnymi. Odrzucili prawego pana i wnet każdemu na karku usiadło dziesięciu, stu panów, ciśnących go z tej tylko racji, że nieco od niego silniejsi. Przed kilku laty wypędzili Piasta, nie chcieli mieć księcia, monarchii – teraz są gotowi przyjąć każdego, byle zaprowadził prawo. Prawo, choćby surowe, staje się marzeniem. Gdy Brzetyśław czeski wracał z wyprawy na Gniezno, mieszkańcy grodu Giecz wyszli przeciw niemu, błagając, by ich raczył na prawie polskim przesiedlić do siebie, bo tu już wytrzymać nie mogą. I uczynił ksiązę, o co go prosili. (Osada Giedzian w Czechach zachowała długi czas język i obyczaj polski).

Jeszcze dotkliwiej i głębiej doskwierało narodowi uczucie, z którego niechętnie zwracali się jeden drugiemu, o którym milczał mąż przed żoną, brat przed bratem. Uczucie odstępstwa od Boga. Zrazu, gdy dali się ponieść namowom żerców czy Wioletów, pamiętali tylko dokuczliwe strony wiary. Utrapione dziesięciny, surowość biskupów, obowiązek postu, pokuty kościelne... Niby tęgim chmielem upoił się radością, że to wszystko odrzucone, że tego już nie ma. W zapaleniu głów burzyli kościoły i mordowali księży. Upojenie minęło, zostało poczucie winy, niewytłumaczonego wstydu i żalu. Bo cóż się okazało? Stare bogi nie umiały już zająć miejsca Boga Ukrzyżowanego. Darmo żerca nakładał czapę z brzoźowej kory, odziewał się końską skórą i sprawiał wróżby z obgryzionej do czysta łopatki baraniej. Ludzie czekali na coś więcej, poznawszy głębsze wzruszenia. Nauczyli się w latach poprzednich pokładać ufność w Bogu Stworzycielu, silniejszym od Swarozycza. Uwierzyli i poznali, że pod Jego opieką można nie znać trwogi. Pomimo tego dali się omamić i sami spod tej opieki umknęli. Bali się teraz, by ich sobie nie przypomniał i surowo nie pokarał...

Te wszystkie uczucia składały się na przychylność wobec wracającego ponownie dziedzica. Stare podanie mówi, że ludność polska wychodziła z majem naprzeciw wracającego księcia Kazimierza, śpiewając: „Witajże nam witaj, miły hospodynie!” A choć z pewnością wielu jeszcze ludzi było zainteresowanych w utrzymaniu panującej anarchii – większość udręczonego ludu opowiedziała się za synem Mieszkowym.

Podobnie jak poprzednio, Kazimierz Mnich obrał za swoją siedzibę Kraków. Tu przywrócił pierwsze po zawierusze biskupstwo. A gdy w surowym, niestrojnym wnętrzu starej świątyni odprawia się nabożeństwo – tłumy niedawnych odstępców klęczą przebłagalnie, biją się w piersi ze szlochem, proszą Jezu Krysta, by im niewierność odpuścił. Są winni, są bardzo winni, lecz nigdy więcej Słów Żywota nie zapomną... *Kyrie elejson!*

Z Krakowa, który ma być odtąd stolicą Polski, Kazimierz cierpliwie, wytrwale, rozszerza zasięg swej władzy. Cierpliwość, wytrwałość, staną się hasłem jego panowania.

Trudne, gorzkie panowanie! W kraju głód i nędza. Bezkarne bandy zbójów grasują, jak chcą. Grody popalone, miasta wyludnione, ani wojska, ani zasobów. Pomorze stracone. Hula po nim bezkarnie pogaństwo. Śląsk, bohaterską dzielnicę, co tyle razy osłaniała Polskę przed najazdem, zagarnęli Czesi. Mazowsze trwa w buncie. Nie chce należeć do Polski. On sam, Kazimierz, pogrobowiec dawnej chwały, jest lennikiem cesarskim, wasalem. Po śmierci Konrada II jedzie do Niemiec złożyć nowo obranemu panu, Henrykowi III, uroczystą przysięgę wierności... Zaprawdę gorzkie to lata.

Najcięższą przeprawę ma Kazimierz z Mazowszem.

...niejaki Masław, cześnik jego ojca, Mieszki... po tegoż śmierci uczynił się własną perswazją księciem mazowieckiego ludu... W tym czasie było Mazowsze – z powodu, że uciekali tam przedtem Polacy tak bardzo ludne, że nie dość przestronne stały się pola dla rolników, pastwiska dla bydła, a ziemia dla mieszkańców... (Gall, *Kronika*).

W okresie rewolucji Mazowsze zachowało względny spokój, dlatego było schronieniem uciekinierów. Przyczyna spokoju leżała w zacofaniu tej prowincji, pokrytej nieprzebytymi puszcami, oddzielonej Wisłą od centralnej Polski. Stosunki społeczne panowały tu te same, co w czasach Mieszka I, a chrześcijaństwo dotychczas się nie przyjęło. Mazowsze, acz ochrzczone, pozostawało pogańskie. Nie było zatem gruntu dla rewolucji. Trudno burzyć tam, gdzie nic nie zostało wzniesione. Tym silniej jednak grał plemienny separatyzm, który miał na Mazowszu przetrwać wieki. Niechętnie Polsce nastroje wykorzystał Masław. Kto zacz? Gall określa go jako samozwańca: „...uczynił się własną perswazją księciem...” Zuchwałym i odważnym był na pewno. W czasie bezkrólewia nie wysunął wprawdzie żadnej szerszej koncepcji, niemniej był dla Kazimierza groźnym przeciwnikiem. Posiadał to, czego księciu brakło: sojusz z Pomorzem, liczne, wyćwiczone wojsko i niezniszczony kraj.

W 1046 roku doszło do walnej rozprawy.

...ów Masław ufny w odwagę swego wojska, a nadto zaślepiony ambicją... do tak hardej wzniosł się pychy... że odmówił posłuszeństwa Kazimierzowi, a bronią i zasadzkami stawiał mu opór... Lecz Kazimierz oburzony zebrał niewielką garść wojowników... starł się z nim zbrojnie i zabiwszy Masława, osiągnął pokój i zajął cały kraj... Dotychczas pokazywane bywa miejsce walki nad przepaścistym brzegiem rzeki... [Wisły]. Tam Kazimierz, osobiście siekąc mieczem, ogromnie się utrudził, ramiona i twarz ubroczywszy rozlaną krwią... W owym starciu mieli Mazowszanie trzydzieści sprawionych szyków, Kazimierz zaś posiadał zaledwie trzy pełne szyki, gdyż, jak powiedziałem, cała Polska pustką zaległa...

...wygrawszy tę walkę Kazimierz ze swą garstką pośpieszył, by zająć drogę wojsku Pomorzanie, które, jak go o tym powiadomiono, przybywało na pomoc Masławowi... Dlatego rozumnie rozłożył sobie zadanie, śpiesząc, by najpierw z osobna pobić Mazowszan, a potem dopiero zetrzeć się z Pomorzanie...

...Pomorzanie prowadzili cztery legiony zbrojnych wojowników, Kazimierzowi zaś żołnierze nie dopełniali nawet po-

łowy legionu... Mimo to rozpoczął walkę i wielkie z pomocą Bożą odniósł zwycięstwo... (jw.).

Dwadzieścia lat (1038–1058) panowania Kazimierza syna Mieszka, zwanego teraz przez poddanych Odnowicielem – zajęło mozolne podnoszenie ruin, łączenie rozbitych ziem, odbudowa społeczeństwa. Kazimierz jest pierwszym z władców polskich, któremu przypadło to najcięższe z zadań. Bo łatwiej wznieść nowy gmach, niżli spsowany naprawić. W ciągu rozpoczętego wówczas tysiąclecia, wiele razy naród polski będzie musiał podejmować trud Odnowiciela, dźwigając Ojczyznę z popiołów!

## NA ŁADZIE I MORZU

Lata między 1018 a 1029 rokiem były dla Wielkiego Księstwa Obodryczyków okresem zamętu. Po wygnaniu księcia Mściśława, odepchnięciu Sasów za Łabę, wypaleniu i wycięciu śladów chrześcijaństwa, rozpoczęły się walki wewnętrzne o władzę. W ciągu niepełnego dziesięciolecia kroniki wymieniają kilku książąt panujących równocześnie nad rozbitym na dwie części państwem. Ostatnim z owych panujących był książę Przybigniew, inaczej Udo. Wbrew nastrojom ludności nawiązał znowu stosunki z Sasami, ochrzcił się, syna swego i dziedzica nazwał dziwacznie Goddescalcus – Sługa Boży, (co upraszczano, nazywając chłopca Godszalk lub Goczałk) i oddał go na naukę do klasztoru w Luneburgu. Że ów Przybigniew był chłop śmiały i przyjąwszy wiarę, odrzucił kierownictwo saskie, Niemcy ogłosili, że jest „złym chrześcijaninem” i zamordowali go. Goczałk opuścił klasztor, wrócił do kraju, usiłował pomścić ojca, lecz rychło pokonany, został więźniem Sasów.

W zamaconym, pozbawionym władzy kraju wrócił prastary obyczaj zwoływania wiecu. Wiec, złożony ze starszyzny obodrzyckiej i węgryjskiej, powołał na tron Racibora, jednego z książąt plemiennych. Był Racibor mężem silnym, walecznym i prawym, starej wierze oddanym, cudzoziemców nienawidzącym. Gdy go obrano, książę saski Bernard syn Bernarda pośpieszył obdarzyć Goczałka wolnością:

Uważając go za silnego i do broni dzielnego męża, w nadziei, że mu użytecznym będzie, zawarł z nim przymierze i uczciwie obdarowawszy, odejść pozwolił (Helmold, *Kronika Słowian*).

Jeżeli użyteczność Goczałka miała polegać na rozpoczęciu przezeń walki z Raciborem, Bernarda spotkał zawód. Mło-

dy dziedzic widząc, że nastroje kraju są przeciwko niemu, nie czuł się na siłach wszczynać wojny.

...na wolność puszczony udał się do króla duńskiego Kanuta i pozostał u niego przez wiele dni, czy lat, zdobywając sobie sławę męstwa w wielu wojennych wyprawach w kraju Normanów i Anglów. Za to i ręką córki królewskiej uczczony został (jw.).

(Goczałk poślubił Sigridę, córkę Swena Estrysena, późniejszego króla Danii, wówczas namiestnika).

Ulubione przez starych kronikarzy wyrażenie „przez wiele dni, czy lat” da się w tym wypadku określić konkretną cyfrą lat czternastu. W tym czasie Racibor zjednoczył na nowo rozbite plemiona, przywrócił godność wielkksiążęcą i zaprowadził w kraju porządek. Przeprowadzenie tego dzieła ułatwiały mu stosunki rodzinne.

...Racibor, wielki książę Słowian, ma ośmiu synów, książąt słowiańskich (Adam z Bremy, *Dzieje kościoła hamburskiego*).

Stary poganin miał istotnie ośmiu synów. Pięciu to chłopcy dojrzałe. Trzej ostatni gołowąsy, lecz nie ustępują starszym w sprawności bojowej. Wszyscy są rośli jak dęby, mają szerokie ramiona, krzepkie dłonie, jasne słowiańskie twarze skore do gniewu lub śmiechu. Z dumą patrzy na nich najszcześniejsza z obodrzyckich matek, niewiasta księcia Racibora.

Pięciu synów Racibor postawił nad pięcioma plemionami Księstwa: Wagrowie, Obodrzyce, Połabianie, Smolińcy, Warnowie. Każde plemię ma swojego księcia Raciborowica, każdy zaś książę słuca poleceń ojcowych. Pobrali za żony córki miejscowych książąt plemiennych. W kraju panuje dawno nie widziany ład. Trzej najmłodszy są przy ojcu.

W czternaście lat po objęciu tronu Racibor z zadowoleniem może patrzeć na swe dzieło. Bezpieczne są granice księstwa. Sasi nie ośmielą się przekroczyć Łaby, ze strony Wioletów pokój. Ustały nawet powtarzające się rokrocznie najazdy duńskie na wybrzeża słowiańskie.



Wiekowe współzawodnictwo z Danią o posiadanie Bałtyku nie gasło, powodując częste wzajemne najazdy. Poza pustoszeniem miast nadbrzeżnych i portów nie dawały one rezultatu. Siły były równe i żadnej ze stron nie udało się stworzyć trwałej bazy na terytorium przeciwnika.

Od pewnego czasu na morzu panuje spokój ten sam co na lądzie. Już dawno w portach obodrzyckich czy wieleckich nie oglądano czerwonych żagli duńskich. (Danowie kochają się w czerwieni. Ulubionego barwnika dostarcza im gród Lund). Co to oznacza? Pragnienie zgody czy chęć uśpienia czujności? W Danii panuje teraz Magnus I, syn Olafa II, króla Norwegii. Podobno Goczałk podmawia go przeciw Słowianom. Lepiej mieć się na baczności.

Król Magnus istotnie zbiera siły, sposobi potężną flotę norwesko-duńską; celem najazdu jednak nie będą porty obodrzyckie ani wieleckie, lecz zuchwały Jomsborg, twierdza zbójów morskich, leżąca na wyspie Wolin.

Założył ją przed niespełna stu laty król duński Harald Sinozęby. Po jego śmierci zdobył warownię Bolesław Chrobry. Potem Jomsborg stał się niezależny. Wolne Bractwo Jomswikingów, raczej zbójów morskich. Silni i groźni, sprzymierzali się, jak popadło, to z Kanutem Wielkim przeciw Anglii, to z Wioletami przeciw Danii lub Norwegii. Grasowali po Bałtyku, rabując okręty kupieckie. Bogaty gród Wolin, tuż obok nich leżący, płacił im stały okup, cenę swego bezpieczeństwa.

Luki w szeregach, spowodowane nieustannymi walkami, zapełniali ochotnicy, miejscowe junaki, żądne przygód i niebezpieczeństwa. Z czasem tylko nazwa twierdzy przypominała jej pierwotny duński charakter. Jomswikingowie stali się Słowianami. Ostatnio, wezwani przez króla Magnusa do posłuszeństwa, odmówili uznania go królem Danii, czym oburzony do żywego postanowił zuchwalców ukarać.

Nie znamy dokładnej liczby statków duńskich użytych do wyprawy w 1043 roku. Sakso Gramatyk pisze tylko o „flocie bardzo wielkiej”. Zapewne kilkaset owych wytrzymałych

korabi, pędzonych przez czterdziestu wioślarzy, a przy pomyslnym wietrze wspomaganych żaglem. Sam król kieruje wyprawą. Goczałk mu towarzyszy. Wypływają w maju, gdy wody wiosenne na Zalewie Szczecińskim opadną i osłabnie przeciwny statkom prąd, idący od rzeki ku morzu.

Z trzech ramion Odry koryto Piany zostało pod Wołogoszczą obwarowane przez Wioletów tak silnie, że zdobywanie przejścia oznaczałoby dotkliwą stratę czasu. Środkowa Świna ma nurt zapiaszczony, dostępny tylko dla mniejszych statków przewozowych. Pozostaje Dziwna, nad którą stróżuje stolica księstwa pomorskiego, Kamień.

Podobnie jak Piana, rzeka Dziwna jest silnie umocniona. Bronią przejazdu zagrody, służące, w czasie pokoju rybakom, pale wbite w dno, ledwo widoczne pod wodą, na koniec most przerzucony z Kamienia na Wyspę Chrząszczewską, a na nim ustawione maszyny miotające głazy na statki nieprzyjacielskie. Niełatwa przeprawa. Połowa floty królewskiej zostaje w ujściu rzeki, zabezpieczając powrót, druga połowa przebija się przez umocnienia i płynie w górę. Część wojska nocą Magnus wysadził na ląd, by zaszła twierdzy od tyłu.

Wiele lat ludzie będą mówić dziwy o tej walce. Zaciekle szturmują, zaciekle obrona trwa przez parę tygodni. Dostaje się przy tym srodze miastu Wolin. Spalone podgrodzia, zrabowane targowe bogactwo, pożar w sercu miasta.

Mimo uporczywej obrony Jomsborg zostaje zdobyty. Zaloga cała poległa. Król nakazuje wojsku zrównać twierdzę z ziemią. Co się da, spalić, mury rozebrać. Jomsborg przestaje istnieć. Nazwa warowni zbójów morskich zabrzmi nieraz w literaturze, historii, lecz tylko jako wspomnienie.

Towarzyszący wyprawie skald Arnórr w sadze *O walce króla Magnusa ze słowiańskimi korsarzami* (*Magnusdrápa*) śpiewa:

W nowej strofie posłyszysz, o królu, jak walecznie zaniósł  
tarczę bojową na ziemię słowiańskie;  
(Fala obmywa okręty)  
Słowianie są strwożeni królewskim natarciem:

Nigdy liczniejsze zastępy nie żeglowały w ich strony.  
Szermierzu! miotałeś ogniem w rozbójników,  
Śmierć z ręki twojej spotkała tam wielu.  
Pogromco zbójów, rozjaśniłeś luną południową stronę Jumy,  
W szerokim wale pogański lud bronił swych siedzib.  
Drżeli ze strachu przed tobą, o królu,  
Potężny tam buchał ogień...

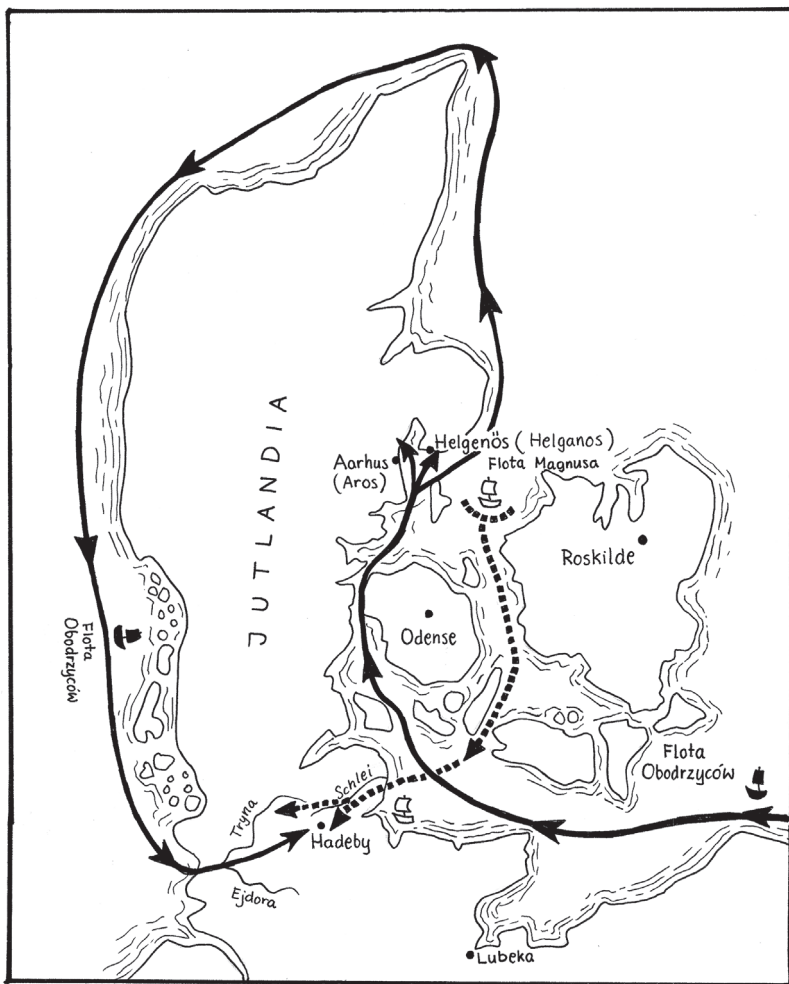
Król Magnus wraz z wielką flotą duńską obległ najbogatszy gród Słowian, Jumę. Klęska była wielka. Magnus rzucił postrach na wszystkich Słowian... (Adam z Bremy, *Dzieje kościoła hamburskiego*).

Wolin, miasto bogate w towary wszystkich narodów, posiadał wszelkie przyjemności i rzadkości... Król duński z ogromną flotą przybywszy to najbogatsze miasto w perzynę obrócił... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Zwycięski król odpływa, nie wiedząc, że czeka go ciężkie zadanie. Zaledwie bowiem z Kamienia dano znać o najeździe, do Wołogoszczy, Strzałowa, Roztoki, Korzenicy (stolicy Rany) ruszyły przeciw Duńczykom siły obodrzyckie, wieleckie i rańskie. Flota króla Magnusa, opędzająca się od atakujących ją z tyłu Pomorzan, wypłynąwszy na pełne morze, widzi przed sobą czekający na nią potrójny łuk statków sprzymierzonych. Okręty duńskie obciążone łupem z targowisk Wolina są mniej zwrotne niż zazwyczaj. Ściśle, lekkie łodzie rańskie osaczają flotę królewską, jak wilcy łosia wpędzonego na lód. Obodrzyckimi i wieleckimi statkami dowodzi sam książę Racibor. Synom kazał zostać doma, strzec granicy zachodniej, by Sasi, posłyszawszy o jego wyjeździe, nie spróbowali najazdu.

Przeciwnicy już się zwarli, bitwa trwa zawzięta. Każda z walczących stron dąży do zaczepienia bosakiem burty statku przeciwnika. Wtedy można podciągnąć się blisko i skoczyć. Nie dopuszczają do tego tarczownicy, stojący rzędem przy burtach. Zza ich osłony łucznicy szyją strzałami. Świszczą w powietrzu oszczepy. Niecierpliwi woje chwytają linę zwisającą z masztu, odbiwszy się mocno piętami od pomostu,

**Wypad floty obodrzyckiej na Aarhus i Helgenös  
w roku 1043 i rejs wokół Jutlandii do przewłoki pod Hadeby**



- Kierunek rejsu floty obodrzyckiej  
 .....→ Kierunek rejsu floty duńskiej na spotkanie z Obodzycami pod Hadeby

niby na huśtawce, usiłują przeskoczyć na statek nieprzyjaciela. Dziesięciu takich spadochroniarzy ginie zarąbanych, jedenastemu uda się powalić sternika i pchnięciem rudła skierować statek ku swoim. Przerażliwy zgiełk bije w ciche morze. Kołaczą statki zderzające się bokami, jęczą od uderzeń wręgi, trzeszczą maszty. Rozbrzmiewają wrzaski i przekleństwa ludzi, kwik przerażonych koni, szczęk mieczy. Krew spływa z pomostów w wodę. Flota duńska, mocno poszarpana, przebijają się z trudem. Królewski statek prze pierwszy. Nagłym zwrotem zajężdża mu drogę potężny Tur księcia Obodrzyców. Czterdzieści wiosł; na wysokim dziobie wyrzeźbiony ogromny łeb tura. Turowi podobny jest również stary Racibor, stojący na przedzie, pochyloną głową zdający się bóść przeciwnika. Pozłocista królewska galera jest tuż, tylko patrzeć, kiedy na nią Słowianie przeskoczą. Już sięgają bosakami! Już czterech chłopów trzyma w pogotowiu mostek! Groźne to chwile dla Danii. Lecz Duńczykom udaje się uprzedzić tamtych. Główna walka przenosi się na Tura. Tu zmagają się, rycząc, twarz przy twarzy, pierś przy piersi. Tu nagle księżę Racibor przebity oszczepem ślania się, pada na deski. Król Magnus krzyczy ze swego pomostu, że to jego jeniec, lecz w zgiełku nikt go nie słyszy. Rozwścieczeni woje duńscy spychają ранnego w morze. Obciążone pancierzem, bezwładne ciało idzie jak kamień w głąb.

Śmierć wodza odbiera Obodrzycom wolę walki. Chcą nurkować, wyłowić zwłoki swego księcia. Statki duńskie korzystają z chwilowego zamieszania, by całą siłą pozostających im wiosł odpłynąć w kierunku północnym. Do sagi o królu Magnusie (*Magnusdrápa*) skald Arnórr dodaje jeszcze jedną, dziewiątą strofę:

Król stoczył bitwę nie opodal brzegów Rugii [Rany]  
Miecz jego opływał krwią koło wielkiego kraju zachodnie-  
go...

Gdy wieść żałobna dojdzie do Zwierzyna, najstarszy z synów księżęcych, Gniewomir, zwołuje wiec plemion obodrzyc-

kich. Wobec zebranych on i jego bracia przysięgają kolejno, że pomśczą śmierć Wielkiego Księcia Racibora, ich rodzica. Nie w tym rzecz, iż poległ, bo to przeznaczenie woja, lecz że ciało jego strącono do morza, pozbawiając je uczciwego pogrzebu.

Wiec przyznaje słuszość młodym, przysięgając w zamian, że do wypełnienia wróżdy utrzymają w dziedzinach porządek i spokój, jakby stary książe żył.

Po czym wiecownicy wracają do domów, a bracia ruszają w drogę.

Lipiec dobiega końca, kiedy mściciele opuszczają przystań wyszomirską. Najlepsze statki, na nich woje co najprzedniejsi, wioślarze co najtężsi. Najstarszy z synów, Gniewomir, płynie na ojcowym Turze. Szpiedzy, wysłani uprzednio, donoszą, że król Magnus po bitwie zatrzymał się w Aros. Tam dążą.

Pilnie baczą, by się nie zdradzić zawczasu. W dzień ukryci w sobie tylko znajomych zatokach, płyną nocami. Nocą przemykają się wąską cieśniną pomiędzy Jutlandią a Fionią. Nocą dopływają do głębokiej zatoki, nad którą leży Aros, a po przeciwnej stronie drugi gród Helganos. W mroku majaczą okręty, to część floty króla Magnusa. Zakotwiczone, bez straży. Załoga śpi lub poszła do grodu.

Niebawem statki duńskie płoną jak tyleż pochodni. W obu grodach dzwony biją na trwogę. Panika wśród mieszkańców. Mściciele już są w grodzie. Krzyczą: – Racibor! Racibor! – Rozdzielili się; jedni podpalają Aros, drudzy Helganos. Spotyka ich zawód, bo króla Magnusa nie ma. Odplłynął przed paru dniami do Roskilde. Tym gorzej dla obu miast. Z mieszkańców kto nie zdążył uciec, płaci głową. Napastnicy jeńców ani łupów nie biorą, bo to nie najazd zwykły, lecz wróżda. Mordują tylko i palą.

..Słowianie, których my w ojczystym języku zwiemy Wenedami, lud pogański, Bogu nieprzyjazny, w lasach żyjący i nieokrzesany, najechał Danię... Z bitew ta była największa: koło Helganos i Aros [dziś Helgenös i Aarhus] (Mnich Teodoryk, *Dzieje królestwa Norwegii*).

Od świtu do zmierzchu dość czasu, by dwie kwitnące osady zamienić w pogorzelisko.

Złe wieści rozchodzą się szybko: król Magnus dowiaduje się, co zaszło. Spieszącemu na odsiecz przyświeca widoczna z daleka szeroka luna. Gniew i wściekłość króla nie dają się wypowiedzieć. Tym bardziej że napastników już nie zastaje. Odpłynęli, zostawiając po sobie zniszczenie.

Straszno jest patrzeć na wypalone, opustoszałe grody, co jeszcze przed dwoma dniami zamożne były, ludne i bezpieczne. W porcie zwęglone kadłuby statków, nad grodami swąd pogorzeli, wzdłuż ulic sterczą okopcone ściany, walające się trupy (tęgo walczyła załoga, chociaż zaskoczona we śnie), płaczące kobiety, snujące się po zgliszczach, niby mary... Taki sam widok w Wolinie budził w patrzącym królu dumę i zadowolenie, tutaj napęłnia jego serce grozą i oburzeniem na sprawców. Dognać ich! Zniszczyć! Zatopić! Gdzie są?

Tego nikt nie wie. Wiadomo, że to byli Słowianie. Krzyczeli bez przerwy: – Racibor! Racibor! – Gdzie popłynęli? Pewnie z powrotem do siebie. Na pierwszą wieść o napaści król kazał obsadzić statkami cieśniny, powinni przeto zostać zatrzymani. Gońce rozesłani, jedni łędem, inni wodą, przepytują, czy nie widziano gdzie przepływających słowiańskich łotrów. Rano przywiedziono przed króla rybaka. Poprzedniej nocy sprawdzał zastawione sieci. Noc była ciemna, bo miesiąca teraz nie ma. Znienacka wypłynęły z mroku tuż koło niego okręty. Pływały cichuśko, ledwo ledwo ruszając wiosłami. Nie gadali nic, raz tylko parsknęły konie. Wiele było tych statków? Nie wiedział. Półżywy ze strachu położył się w czólnie, nie śmiać odetchnąć, aż przeszli...

– Gdzieś zakładał sieci? – pyta chciwie król.

– W zatoce Aalborg...

– Łżesz! cóż by tam robili? Jechaliby na północ, nie na południe, do domu?

Rybak na klęczkach kłął się, że nie kłamie. Gdzieżby śmiał kłamać? Niebawem ktoś drugi potwierdził wiadomość. Napastnicy popłynęli na północ.

– Co to znaczy?! – krzyczał Magnus, waląc z pasją pięścią w stół. – Przecie nie popłynęli do Anglii?! Godescalcus! Znasz swoich pobratymców! Gdzie uciekli?! Mów!

– Znam i domyślam się – odparł Goczałk po namyśle. – Posłuchaj mnie, królu...

Raciborowice powracali frasobliwi, uważając ślub za niewykonany, skoro króla Magnusa nie sięgli. Doświadczeni towarzyszący im woje zapewniali jednak, że wróddę spełniono, gdyż zamiast jednego Magnusa pozbawili żywota z półtora tysiąca jego poddanych. Stary książe nieboszczyk został należycie uczczony. Teraz należy myśleć, by cało wrócić do domu.

Od północnego przylądka Jutlandii skręcili ostro na południe i sunęli pod rozwartymi żaglami, trzymając się w takiej odległości od brzegu, by ich nie spostrzeżono. Plan mieli śmiały. Na wysokości grodu Hadeby (Haithabu) (Dunowie zowią go Szlezwig), blisko granicy duńsko-wagryjskiej, wpłyną w zatokę przy ujściu rzeki Ejdory. Popłyną nią pod prąd aż do miejsca, gdzie wpada do Ejdory Tryna (Treene). Niechając Ejdory udadzą się w górę tej rzeki. Brzegi jej porasta puszcza podmokła, bagna głębokie, osiedli ludzkich nie ma. Spotkasz tam najwyżej bobrowników lub smolarzy. Zimą łowców. Ową Tryną pchać będą statki gęsiego, jeden za drugim, póki się da wiosłami, gdy będzie za wąsko, bosakami, drażami „na pych”. U końca trafią na przewłokę, szmat suchego gruntu dzielącego górny bieg Tryny od krańca zatoki morskiej, którą Duńczycy zwą Schlei. Schlei, wrzynająca się głęboko w ląd, to jezoro Bałtyku, ich własnego morza! Opłynąwszy zachodnie wybrzeże Danii, wypłyną od zachodniej strony na Bałtyk, o pół dnia drogi od swoich przystani! Może ich Magnus szukać po duńskich cieśninach... Od Tryny do dwóch połączonych jezior, którymi kończy się Schlei, będzie pół mili słowiańskiej najwyżej... O przewłoce mało kto wie, oprócz rybaków miejscowych... – No i nas – dodawał z uśmiechem najstarszy z wojów, Miłogost.



Król Magnus z niezadowoleniem mówi do Goczałka:

– Pytałem moich ludzi rodem ze Szlezwigu o przewłokę, którą twoim zdaniem puścili się rozbójnicy. Powiadają, że jest taka, owszem, lecz dostępna tylko dla płaskich łodzi rybackich albo zwykłych czółen... Przeciągnięcie tą drogą okrętów bojowych jest pono niepodobieństwem... Oni to znają, wiedzą... A przecież wasze statki są cięższe od naszych... Choć twoi rodacy to diabły wcielone, tego nie dokonają...

– Diabły wcielone oni są... – przyznaje Goczałk. – Ważą się, na co nikt inny się nie odważy... Jestem pewien, że pójda tamtędy...

– Czyń zatem, co chcesz.

Król jest zmęczony i zły. Nieudana pogoń za nieprzyjacielem, zniszczenie dwóch miast i części floty – oto plon ostatnich dni. Teraz ulegając namowom Goczałka, popłynął na południe, jego zdaniem bezcelowo. Z niechęcią widzi, że skręcają w gardziel zatoki Schlei. A może to podstęp? Może wprowadzono go tutaj umyślnie, aby tamci wrócili bezpiecznie do siebie?

Jedno spojrzenie na zawziętą twarz Goczałka rozprasza te obawy.

Flota królewska zostaje na morzu, pilnując wejścia do zatoki. Król z mniejszymi statkami, wypełnionymi wojskiem, posuwa się wąską długą szyją w głąb łądu. Trudno orzec: zatoka to, rzeka, czy łącha? Leniwa, stojąca woda.

Płyną po niej dość długo. Na koniec koryto rozlewa się w jezioro, krótka szyja, drugie jezioro szersze i – koniec drogi. Porastający brzegi bór ukazuje w jednym miejscu szczyrbę. Znać tam na brzegu zaschłe wyżłobienia, ślady dawnych przeciągań łodzi. Dookoła walają się szerniałe okrągłaki, w wodzie widnieje pomost z grubych bali – to tu!

– Szalenieć tylko próbowałyby ciągnąć tędy wielkie statki – zauważa Magnus. Opinię króla potwierdzają jego woje.

Goczałk uśmiecha się blade. Nieporęcznie mu wyjawiać, co z dziecinnych lat dobrze pamięta, że ojciec jego, Przybigniew-Udo, tędy prowadził kiedyś swoje okręty po udanym napadzie na Danię. Ścigano go zapalczywie po obu stronach

duńskiego półwyspu. Ponieważ znikł bez śladu, a równocześnie trwała burza na Bałtyku, sądzono, że wichur rozegnał, a fala zatopiła statki... Goczałk słuchał nieraz opowiadania wojów o tym, jak ciągnęli korabie po kłodach.

Nagle twarz mu jaśnieje, podnosi dłoń w górę.

– Słyszysz, królu?!

– Nic nie słyszę.

– Ten łoskot?!

– Dziecioły kuja...

– To nie dziecioły na Boga! To topory!

– Topory? – król nie rozumie.

– To oni! Oni! Rąbią drzewa na podkłady! Przyjechaliśmy na czas!

Nadstawiają wszyscy ucha. Istotnie, w głębi lasu, po zachodniej stronie, słyhać dźwięczne, rytmiczne kucie. Zbyt liczne na stado dzieciołów. Król się rozpogadza.

– Znasz, widzę, te strony – mówi do Goczałka – więc zarządz, jak mamy stanąć... Oddaję ci dowodzenie...

Syn Przybigniewa, wygnaniec, gorączkowo wydaje zlecenia. Statki muszą się cofnąć na tylne jezioro, by ich nie dojrzano z przewłoki. Wioślarze i nieco zbrojnych pozostają na okrętach w pogotowiu. Wojownicy wychodzą na ląd. Król z większą częścią sił uda się na wzgórze Osterby po lewej, gdzie przechodzi gościniec wiodący do grodu Hadeby. Tam zapadną, czekając. On, Goczałk, z mniejszym oddziałem uda się na prawo. Obstawi wzniesienie w rejonie Szlezwiagu. W ten sposób panować będą nad przewłoką z obu stron. Las zasłania widok, więc oba oddziały rozstawią dobrze ukryte czujki, które będą zawiadamiać o ruchach nieprzyjaciela... Nie wolno się ujawnić, zanim wszystkie słowiańskie okręty nie będą na przewłoce... Gdyby spostrzegli nas wcześniej, cofną się do statków pozostających na rzece i spłyną w dół Tryny z powrotem... Nigdy ich wtedy nie dognamy...

– Rozumnie prawisz – przyznaje Magnus, zupełnie już przekonany.

W milczeniu Duńczycy zajmują wskazane pozycje. Goczałk ma na licach wypieki, w ruchach niepokój. Wydobywa z zanadru złoty krzyż, całuje go nabożnie. To znów wyjmując z pochwy miecz i chowa go do niej nazad. Król Magnus śledzi spod oka to zachowanie, różne od zwykłego spokoju Przybigniewicza. Pojmuje targające nim uczucia. Oto za chwilę rozstrzygną się może losy wygnańca? Na dobre czy na złe – któż wie? Na razie ustawia obce szyki przeciw swoim ziomkom...

Król duński, którego dusza zachowała jeszcze młodzieńczą szlachetność, dziękuje w myśli Bogu, że nie potrzebuje walczyć z rodakami.

Goczałk trafnie ocenił loskot rozlegający się w puszczy. Synowie Racibora byli na przewłóce. Jedni woje idąc brzegiem rzeki poganiali konie holujące statki, innych Gniewomir posłał przodem z toporami, by ścinałi proste, śmigłe drzewa, mające utworzyć tor, po którym potoczą się poprzeczne okrągłaki. Jeszcze inni równali drogę, by tor gładko leżał. Idąc, brnęli po pas w jeżynach, paprociach, głogach. Miejscami płoszyli z legowiska dziki, zrywające się z fukaniem. Sójki przelatowały, skrzeczając przeraźliwie. Nie zwracali na nie uwagi, pochłonięci czekającym zadaniem. Najcięższy trud przedstawiało wyciągnięcie statków z wody na ląd. Do każdego po pięćdziesięciu ludzi z jednej strony, tyluż z drugiej. Jedni podsadzali drągi i pokrzykiwali rytmicznie: – Eee... Hej! – by wysiłek ich był równy. Za każdym okrzykiem i zgodnym napięciem mięśni ociekających wodą gmach posuwał się w przód parę cali. Inni podtrzymywali kadłub z obu stron bosakami, by się nie przewrócił na bok, reszta ciągnęła wraz z końmi. Konie trzeba było prowadzić przy pysku, bo narowiły się i szarpały. Odetchnęli, wyciągnąwszy Tura na drogę, gdzie podkładane okrągłaki toczyły się, acz opornie, po leżących wzdłuż balach. To było męką, lecz pocieszali się, że Tur jest najcięższy. Przy tym od połowy drogi grunt schodził cokolwiek w dół. Wreszcie ujrzeli przed sobą jezioro. Woda falowała lekko, widocznie w pobliżu były żeremia bobrowe. Wielkie liście łopianów drżały,

snadź przemykał pod nimi wilk lub lis. Dopchnęli statek do zanurzonego w wodzie pomostu i odprowadzili konie. Ubezpieczywszy okręt po bokach, spuścili go na jezioro. Spłynął majestatycznie, z szumem rozcinając wodę. Tur, starego księcia ulubiony statek. Wioślarze i sternik skoczyli na pokład, a pozostali patrzyli z radością z brzegu, rozcierając obolałe ręce i prostując grzbiety. Udało się szczęśliwie z pierwszym – uda się z pozostałymi. Już trzeszcząc i chybcząc nadciągał drugi statek, Żuraw, a za nim trzeci i czwarty. Konie tupały po drzewie podkładów. Ludzie wołali: – Eee... Hej! Niedługo cała przewłoka pełna będzie statków.

Ci, co przeciągnęli Tura, wskoczyli po dwóch na jednego konia i cwałem wracają ku rzece. Reszta dogania ich pieszo. Czują się bezpieczni, jakby już byli na Trawnie lub Warnawie. Książęta i woje, zrzuciwszy pancerze, prześcigają się z wioślarzami w pracy. A praca czeka jeszcze niemała. Już każdy gnāt boli z utrudzenia, dłonie pieką jak od ognia, krew przesłania wzrok, lecz nikt nie ustaje, nie wzywa do odpoczynku. Po mału uczą się sprawniej ciągnąć liny, umiejętniej podsuwać podkłady i dalsze statki zdają się iść łatwiej niż pierwsze.

Na koniec drugiego dnia ostatnie korabie wyważają z rzeki i rozbabraną drogą ciągną ku jezioru.

...Wtedy nagle las ożył, a ze wszystkich stron posypały się oszczepy i strzały...

...Biada! Biada!...

Zaskoczeni wojownicy szukają swojej broni. Każdy ją złożył na statku, by mieć ręce wolne. Są bezsilni jak raki, kiedy zmieniają skorupę. Tyle, że każdy ma topór za pasem, a poniektórzy i oszczep. Wierzyli w swe bezpieczeństwo, nie wystawili nawet straży... Miłogost i inni woje zgrzytają zębami. Nie dziwota, że Raciborowice zaniedbali ostrożności, bo młode to i niedoświadczone, ale oni! Starzy!

Już kilkudziesięciu padło. Myśl goni za myślą. Przebić się do swoich statków na jeziorze! Połowa wojów razem z wioślarzami rzuca się w las, sądząc, że obiegną lukiem, wpływ dostaną się na statki. Żłudne nadzieje! Wzdłuż całej drogi pusz-

cza obsadzona Duńczykami. A więc przerąbać się od czoła przez nieprzyjaciela! Szyki wrogów sprawia konny rycerz w srebrnej zbroi, w hełmie z opuszczoną przyłbicą. Rzucają się w tę stronę z toporami przeciw oszczepom, mieczom i łukom. Zaprawdę, daremny to trud! Bo oto w wąskiej szyi kończącej jezioro ukazują się czerwone żagle statków duńskich. Nacierają na załogi obodrzyckie. Osaczeni widzą z brzegu, jak ich wioślarze walczą bosakami, odpychają nieprzyjaciela wiosłami, wzywają gestami swych wojów na pomoc – a widząc, że pomoc nadejść nie może, poddają się albo giną...

...Więc zepchnijmy z powrotem na rzekę dwa lub trzy statki ostatnio wyciągnięte z wody! Niestety! Duńczycy zdążyli już zwalić drzewa w poprzek przewłoki. Za ich szańcem stoją gęsto łucznicy i oszczepnicy. Żywa dusza nie dojdzie do rzeki!

W pułapkę nie lada zapędziła się wyprawa.

Od Tryny do końca zatoki Schlei bór rozbrzmiewa zgiewaniem walki nierównej, tym bardziej zawziętej. Słowianie czynią twierdzę ze statków stojących na grobli. Duńczycy pną się na ich obłe ściany, zastępując drabiny pękami związanych włóczy. Obrońcy strącają napastników ciosami toporów. Topór – dobra, wierna broń. Miecz, oszczep, włócznia, potrzebują miejsca do rozmachu. Skuteczniej niż one, topór pomaga sprzedać drogo życie.

Straciwszy wielu swoich, Danowie usiłują podłożyć ogień pod okręty. Taszczą pęki słomy, suchego sitowia, przynoszą żar w garncu. Obrońcy kłują z góry podpalaczy bosakami, odrzucają precz zarzewie. Nasiąkła wodą, oblepiona błotem dębina nie ulega (na razie) płomieniom.

Rycerz w srebrnej zbroi pojawia się znowu. W słowiańskiej mowie wzywa Obodrzyków do poddania. Obiecuje im łaskę królewską. W odpowiedzi miotają weń połamanymi wiosłami. Rycerz zniechęcony odjeżdża.

Młodych nie ciekawi, kto zacz. Natomiast starzy nie przestając walczyć snują dociekliwie myśli. W przyłbicy mimo lipcowego skwaru? Po naszymu gadał? Przyłbicy nie podniósł, jakby nie chciał być poznany?

Miłogost spogląda na starego Całodrużę, ów na swojego brata, Sobieborę... Nie czas na rozmowy, lecz każdy na ustach ma jedno imię, każdy odgaduje, kto winien, że wpadli w matnię... Przekleństwo na głowę zdrajcy! Bodaj mu krucy ślepia wydziobali, a wilcy wątpia rozwlekli!...

Danowie uparcie podsycają ogień. Trzeszczy smolny chrust, kłębi się dym. Równocześnie łucznicy duńscy powłazili na pobliskie drzewa, stamtąd szyją strzałami w osaczonych, ginących na swoich statkach jak na stosie.

Jeszcze tylko na Łabędziu broni się garść wojów. Wśród nich Gniewomir, najstarszy syn Wielkiego Księcia Racibora. Najstarszy i jedyny, bo siedmiu jego braci już nie żyje.

Król Magnus przyglądał się dotąd bitwie z oddalenia. Teraz podjeżdża bliżej. Błyszczy złota zębata opaska na hełmie, lśni złocista kapa okrywająca Magnusowego rumaka. Poznaje króla załoga Łabędzia; wstępują w nią nowe siły. Pierwszy Gniewomir zsuwa się na ziemię po rzeźbionej szyi godła, przesadza ogień, rwie się wprzód rycząc ochryple: Racibor! Racibor! Towarzysze za nim. Walą toporami. Zaskoczeni Danowie pozwalają przebić się straceńcom podobniejszym upiorom niż ludziom. Osmalona odzież, lica czarne od sadzy i dymu, wyszczerzone zęby, nieprzytomne oczy...

Te upiory nacierają: Gniewomir ciągle na przedzie. Nim padnie, dopełni ślubu złożonego razem z braćmi.

Król Magnus patrzy oszołomiony. Podjechał, by niedobitkom ogłosić swą łaskę. Mogą odejść, wolni są. A oni drą się ku niemu! Król chwytą miecz, bo może zajdzie potrzeba walczyć w swej własnej obronie?

Lecz Duńczycy już otoczyli zuchwalców, ugnietli ich furie wielokrotną, liczebną przewagą. Ostatni pada Gniewomir, dwa kroki zaledwie od króla.

Bój na przewłóce pod Hadeby skończony.

Pachołcy duńscy szukają w puszczy rozbiegłych koni Słowian. Inni noszą wiadrami wodę z jeziora, by ugasić rozniecony pożar. Szkoda byłoby okrętów. Jeszcze inni zbierają trupy.

Król, nim odjedzie, chce, by swoi i obcy zostali uczeni pogrzebani w dwu wielkich mogiłach.

Chwali Goczałka za sprawne rozegranie boju. Ten, już bez hełmu, ociera pot z twarzy. Pije chciwie podaną mu wodę i nie mówi nic.

Król ciągnie:

– Zginęli twoi rywale, tu masz własne statki. Dajęć wojska, wiele chcesz... Płyn, nie tracąc czasu, objąć dziedzictwo swoje we władanie...

Goczałk kłoni się głęboko z wdzięcznością, lecz milczy nadal. Patrzy na zwłoki pobitych, po czym mówi, jakby składał zobowiązanie:

– Uczynię ten lud chrześcijańskim...

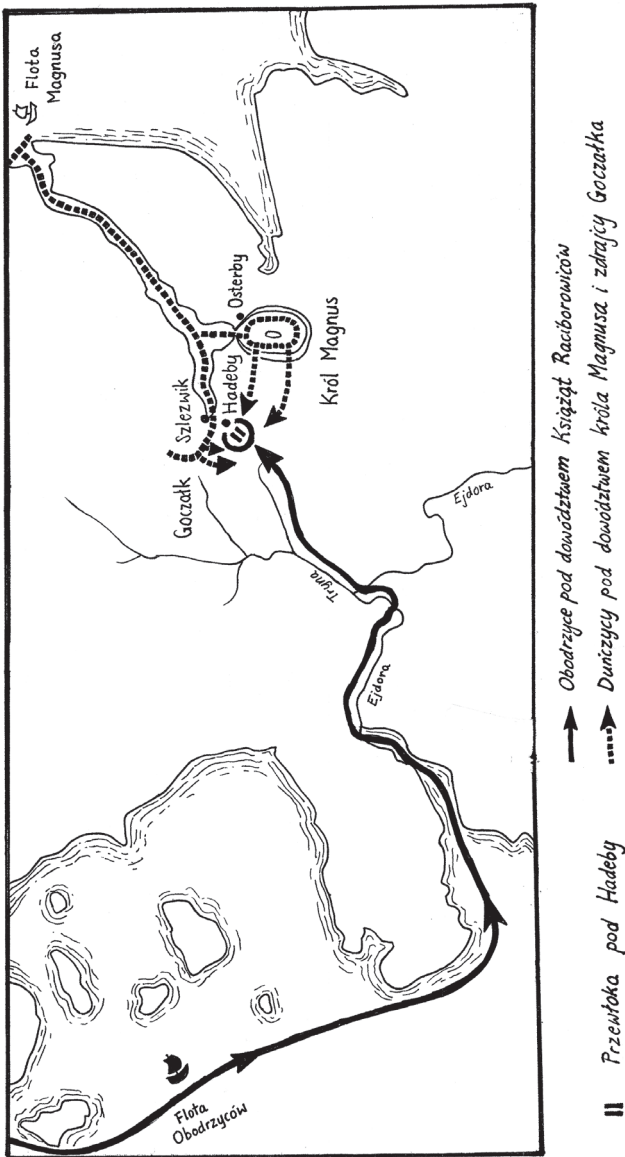
...w wielu źródłach skandynawskich spotykamy wzmianki o bitwie na przewłoce pod Hadeby (lub Haithabu, dziś Szlezwig). Słowianie wracający z odwetowej wyprawy zostali napadnięci przez króla Magnusa, korzystającego z rad znającego te szlaki zdrajcy Godszałka... Duńczycy odnieśli zwycięstwo... Politycznym wynikiem bitwy pod Hadeby było opanowanie tronu obodrzyckiego przez Godszałka...

Sagi skandynawskie, opiewające tę bitwę, mówią o woju słowiańskim, który wdarł się, rąbiąc toporem, głęboko w szeregi nieprzyjacielskie, dążąc do bezpośredniego starcia się z królem Magnusem... (Krystyna Pieradzka, *Walki Słowian na Bałtyku w X-XII wieku*).

Ze strażnicy położonej u samego ujścia Trawny pędzi goniec do Lubeki. Książęta wracają! Nasi wracają! – Dobra nowina porusza całe miasto. Starszyzna grodzka w paradzie schodzi do przystani, by przybywających powitać.

Jakoż niebawem ukazują się maszty sunące między zarośniętymi brzegami rzeki. Już można rozpoznać rzeźbione godła zdobiące wysokie dzioby korabi. Pierwszy Tur wielkoksiążęcy, za nim Żuraw i inne w zwykłej kolejności. Znajome statki, lecz...

**Kłeska Obodrzyców na przewoźce pod Hadeby  
w walce z Duńcami w roku 1043 (schemat bitwy)**





Jak obco błyszczą pancerze wojów stojących gęsto na pokładzie... Nasi to?! Ciż sami?!... Czy ich odmienili bogowie?!...

Jęk przerażenia polatuje nad świątecznie zebranym tłumem jak poszum nad gajem. Stać czy uciekać? Jać miecza czy kryć się pod ziemię?...

To nie nasi! To obcy!

Na zamku w Zwierzynie wdowa po księciu Raciborze oczekuje powrotu swoich ośmiu synów. Świadoma powinności mężów wojennych, nie wstrzymywała ich ani jednym słowem od gromadnego uczestnictwa w wyprawie. Nie przedkładała: puśćcie naprzód starszych, a potem pojedą młodszy... Nie urońiła ani jednej łzy, kiedy wszyscy odpływali. Teraz czeka. By skrócić czekanie, przegląda w pamięci każdego twarz, ruchy, rysy... Czy poniekąd milszy jej od innych? Czy szepcze w duszy: „Byle ten nie zginął?” Niepodobna do niej taka nieuczciwość. Każdego w łonie nosiła jednak.

Niegdyś stara posługaczka zamkowa, pamiętająca czasy księcia Mściwoja, co go Wieleci do spółki z miejscowymi wygnali, opowiadała księżnej o chrześcijańskiej Bogarodzicy, której opieki radziła wzywać przed porodem. Cichcem to mówiła, bojąc się gniewu i kary. Dziwnie brzmiało imię tej bogini: Maryja i dziwne były Jej losy: Jedyne Syna umęczono okrutnie w Jej oczach, a ten Syn to był właśnie Krystus, Bóg potężny i nieśmiertelny... Że był Bogiem, więc zmartwychwstał. Maryja widziała Go żywego i radowała się...

Tak opowiadała stara kobieta, która już dawno nie żyje. Pogańska księżna, zwana „najszcześliwszą z matek obodrzyczych”, targana niejasnymi przecuciami, przypomina sobie teraz jej słowa i w trosce matczynej przyzywa tajemnie na pomoc Maryję, Matkę...

...Goczałk wrócił do ziemi ojców swoich... posiadłości swoje i władzę odzyskał. Natychmiast... zaczął się starać, by ludy słowiańskie, które przyjętą już niegdyś religię chrześcijańską miały w zapomnieniu, znowu do łaski nawrócenia przywieść... Po całym kraju Wagrów, Połabian i Obodrzyców odbudowano

kościół, niegdyś obalone; posłano też do wszystkich krajów po księży... którzy by grube umysły pogan nauką wiary oświecić mogli... Ziemię napełniły się kościołami, kościoły zaś kapłanami... Wszystkie ludy słowiańskie, nad którymi opieka do diecezji aldenburskiej należała, póki żył Goczałk, wiarę chrześcijańską z pobożnością wyznawały. Mąż ten taką miłością ku religii boskiej płonął – że sam w kościele częstokroć miewał nauczające mowy do ludu, chcąc te słowa, które kapłani wymawiali niezrozumiale, oddać jaśniej w mowie słowiańskiej... Gdyby mu dane było dłuższe życie, przyprowadziłby wszystkich pogan do wiary świętej, skoro już nawrócił prawie trzecią część tych, którzy za jego dziada Mściwoja do bałwochwalstwa odpadli (Helmold, *Kronika Słowian*).

Nie ma podstaw wątpić w szczerść usiłowań Goczałka, a jednak siew jego padał na opokę. Ziarno nie kielkowało, nie zapuszczało korzeni, lud pozostawał wrogi i nieufny. Cierpiano panowanie „zdrajcy spod Hadeby”, gdyż stali za nim Sasi i Duńczycy. Wypędzić księcia – znaczyło wszcząć wojnę z dwoma potężnymi sąsiadami naraz. Goczałk, nie ufając swoim, otaczał się cudzoziemcami i to wystarczało, by go znienawidzić... Gdy Kazimierz polski – mówiono – powracał do kraju, wszedł z małym pocztem, niby owca między wilki... I drugi raz był prawie bezbronny, bo kilkuset rycerzy użyczonych przez cesarza nie pomogłoby przeciw całemu ludowi. On nie bał się. Goczałk ciągle o swoim Bogu opowiada, ręczy, że przy Nim włos z głowy nikomu nie spadnie, to po cóż załogę duńską na zamku trzyma, bez duńskich wojów krokiem nie wyjdzie za wały? Ani poddanym nie zawiera, ani swojemu Bogu?

Przy takich nastrojach Goczałkowe pouczania nie mogły znaleźć drogi do serc i umysłów. Lud milczał, nie chcąc rozpuścić wojny, lecz milczał do czasu.

## SAMOBÓJSTWO

Pozostawiając Goczałka jego bezpłodnym usiłowaniam, wróćmy do Wioletów. W 1045 roku wyprawili się swoim zwyczajem na Niemców, lecz cesarz Henryk III zebrał wszystkie siły i pobił napastników. Musieli złożyć daninę. Od tego czasu na tej granicy trwa pokój.

Wiemy już, że pokój nie służy Wioletom. Skoro nie mają z kim walczyć, poczynają wadzić się pomiędzy sobą.

Święty Związek Wielecki to cztery główne, bitne plemiona. Okresowo dołączają się do nich inne, jak to: Morzyczanie, Glinianie, Wkrzanie. Łączą się, odpadają, według tego, co im doraźna korzyść dyktuje, lecz tamte cztery to niewzruszony trzon i siła Związku. Najważniejszymi w tej czwórce są Redary, a to z racji posiadania ośrodka kultu religijnego. W świątyni Swarożyca przechowywane są znaki bojowe Wioletów. Stąd po zasięgnięciu wróżby ruszają wyprawy wojenne. Nie gdzie indziej, lecz w Radogoszczy, z Doleńskiego Jeziora, o wodzie czarnej od cienia obrzeżających ją drzew, w przededniu ważnych wydarzeń, wychodzi wielki odyniec o zapienionych kłach i tarza się w bagnie przy bramie wiodącej na dziedziniec świątynny. Tutaj kapłani odsłaniają przyszłe losy za pośrednictwem białego jak śnieg konia Swarożyca, wszyscy zaś członkowie plemienia obowiązani są do stałych ofiar na rzecz świątyni. Nic więc dziwnego, że Redary poczytują się za pierwszych i najważniejszych w Związku. Związek trwa i zwycięża, ponieważ wsparty jest potęgą Swarożyca. Tak było od wieków i tak pozostanie zawsze, o ile ludzie pozostaną wierni bogom i odmówią posłuchu niepożądanym nowościom. Gdzieś daleko płynie życie, niosące wielkie przemiany, ale puszcza chroni przed nimi skutecznie. W Radogoszczy nie

się nie zmienia. Wszystko idzie porządkiem ustalonym przed wiekami. Nie zmienił się ceremoniał świątynny ani kolejność sprawiania wróżb, ani obyczaj od czasów, gdy na zachodzie panował cesarz Karol Wielki. Jednak szumi puszcza, faluje jezioro i te same prawa rządzą życiem ludzi. Nawet święty biały rumak jest wciąż taki sam, nieśmiertelny jak Swaróżyć. Tylko czasami cienkie źrebięce rzenie, odpowiadające z niewidocznego okólnika na chrapliwy głos ogiera, zdradza, że kapłani hodują tajnie następcę dla starzejącego się wierzchowca Swaróżyca.

Do niedawna nimb duchowy otaczający Redarów wzmacniała ich wartość bojowa. Byli najsilniejszym plemieniem w Związku, w walce najgroźniejszym. Otton I Wielki mawiał do swoich margrabiów: – Zgnieście Redarów, a podbój całej Słowiańszczyzny będzie dokonany. – Ostatnio wyprzedzili ich Czeczpienie.

W przeciwieństwie do odciętych od świata puszcza i pogłdami Redarów – Czeczpienie oraz Chyżanie siedzą na otwartym szlaku. W rzemiośle żeglarskim współzawodniczą z najlepszymi pławcami Bałtyku – Ranami. Stykają się z Duńczykami, Obodrzycami, Pomorzem i Polską. Oczy mają bystre, uszy czujne, umysły otwarte. Nie gardzą z góry wszelką nowością w uzbrojeniu, budowie łodzi, uprawie, o ile dana nowość okazuje się pożyteczna. Nabierają doświadczenia w odmiennych sposobach walki i dzięki temu wybijają się ponad Redarów. Tamtych żre zazdrość i na wspólnych wiecach coraz częściej przychodzi do sporów. Tajni zauszniccy Sasów podsycają je umiejętnie, powtarzając zebrany jadłowite plotki. Słowianie wierzą, gdyż sami kłamstwa nie znają. Toteż niejednokrotnie rozłam zda się już wisieć w powietrzu. Przywrócić zagrożoną jedność mogłaby tylko wojenna wyprawa, do której na razie brakuje okazji. Dlatego to pokój nie służy Wioletom.

W 1055 roku cesarz Henryk III bawi w Rzymie wezwany przez papieża Wiktora II na pomoc przeciw Bizantyjczykom i Normanom. Równocześnie we Florencji zasiada synod ma-

jący na celu ostateczne potępienie symonii, czyli kupowania dostojenstw kościelnych. Cesarz wspomaga zbrojnie papieża, przywraca pokój (chwilowy) w Apulii, bierze czynny udział w naradach synodu. Jest zwolennikiem projektowanej reformy. Przy nim i przy papieżu opowiada się część biskupów. Tylko część. Większość, w skład której wchodzi biskupi niemieccy, nie chce żadnej zmiany w istniejącym stanie rzeczy. Spór zapowiada się długi i zawiły, gdyż w grę wchodzi tutaj autorytet nie tylko papieski, lecz i cesarski. Zawile, trudne, pełne trosk i niebezpieczeństw jest dla władców niemieckich panowanie nad Italią, tym źródłem ciągłych buntów i zamieszek. Italczyki nienawidzą Germanów, uważając ich za barbarzyńców. Germanie gardzą ruchliwym tłumem włoskim, uważając potomków Rzymian za obmierzłych próżniaków. Do tego południowa Italia – istne kłębowisko sprzecznych interesów, papieskich, normańskich, bizantyjskich... Tak, tak, Italia to zaszczytny, ale dokuczliwy ciężar. Niemniej każdy z panujących niemieckich dałby sobie raczej odciąć rękę, niż zrezygnował z Italii. Wszakże z Rzymem związany jest tytuł cesarza, doczesnego zastępcy Boga, protektora i władcy chrześcijaństwa! Za tytułem idzie prawo senioratu nad całą Europą. Według niepisanego, lecz przez Niemców przestrzeganego prawa każdy książę chrześcijański winien być z natury rzeczy wasalem niemieckiego cesarza rzymskiego.

I dlatego Henryk III zaniedbuje sprawy swojego kraju, biorąc udział w naradach i sporach synodu.

Przeciągającą się jego nieobecność wykorzystują Wiełeci, aby uderzyć na Sasów. Powodzenie im sprzyja. Przekroczywszy Łabę, mordują tamtejsze załogi, pustoszą kraj, uprowadzają mnóstwo jeńców i wracają zwycięsko do siebie. Margrabia Marchii Północnej Wilhelm, zarządzający dawnymi ziemiami słowiańskimi na lewym brzegu Łaby, nie posiada się ze złości. Płonie żądzą odwetu. Henryk III, powiadomiony o tym, co zaszło, każe mu czekać na swój powrót z Włoch. Lecz margrabia Wilhelm jest młody i czekanie stanowi dlań trudną sztukę. Cesarz może wróci dopiero za parę miesięcy,

a może... wcale nie wróci? W całych Niemczech od zamku do zamku podają sobie wiadomość, że kontrkandydat do tronu cesarskiego, wróg Henryka III, Konrad książę bawarski porozumiał się z najgorętszym przeciwnikiem florenckich uchwał antysymoniackich, biskupem Gebhardem z Ratyzbony. Wszystkie przełęcze wiodące z Italii już zostały obsadzone spiskowcami, którzy mają zamordować powracającego cesarza. Głupotą byłoby czekać. Henryk zginie, a w zamieszaniu, jakie wywoła jego śmierć, ukaranie Wioletów gotowe pójść w zapomnienie.

Margrabia Wilhelm nie waha się dłużej. Ściąga wszystkie siły saskie, zbiera załogi, zwołuje lenników. Na ochotnika spieszą ku niemu z licznymi drużynami rycerze z Turynii, Bawarii, Szwabii... Każdy jest skory uderzyć na przeklętych pogan słowiańskich. Biada Słowianom! Pod dowództwem Wilhelma zbiera się potężna armia, ufna w niewątpliwe zwycięstwo. Dnia 10 września 1056 roku przekracza Łabę.

W pobliżu grodu Przeclawa (niektórzy uczeni piszą Przeclaw, kronikarze: Prizława) czekają siły Związku. Tu, w widłach Haweli (Hoboli) i Łaby, przychodzi do walki wręcz, śmiertelnego starcia w polu. Męstwo i zaciekłość z obu stron jednakie, liczebność równa – zwycięstwo przypada Słowianom...

Otoczeni, zepchnięci ku rzece, Sasi zostają doszczętnie wybici lub zatopieni. Margrabia Wilhelm poległ, polegli wszyscy towarzyszący mu rycerze. Mało kto uszedł z życiem z pola bitwy. Przeclawa to pogrom. To bój na miarę Grunwaldu, obalającego potęgę krzyżacką – na miarę bitwy pod Azincourt, co oddała pół Francji we władanie Anglii, na miarę boju pod Kałką, gdzie upadło państwo ruskie... To punkt, od którego może nastąpić zasadniczy zwrot historii, zmieniony układ sił...

(Dlaczego zatem o tamtych pobojuwiskach każdy pamięta i wie, a nazwę Przeclawa znają tylko historycy? Odpowiedzi na to pytanie udziela najbliższe karty).

Brak nam szczegółów o przebiegu bitwy przeclawskiej. Kronikarze krótko zbywają ten temat:

Barbarzyńcy, których zważ Lucicami, zadali wielką klęskę chrześcijanom [Niemcom], z których jedni polegli od miecza, inni w ucieczce potonęli. Między nimi zginął Wilhelm, margrabia Marchii Północnej, w pobliżu grodu, który zważ Przeclawa, położonego nad brzegiem Łaby w miejscu, gdzie wpada do niej rzeka Hawela [Hobola]... (*Annales Sax*, rok 1056).

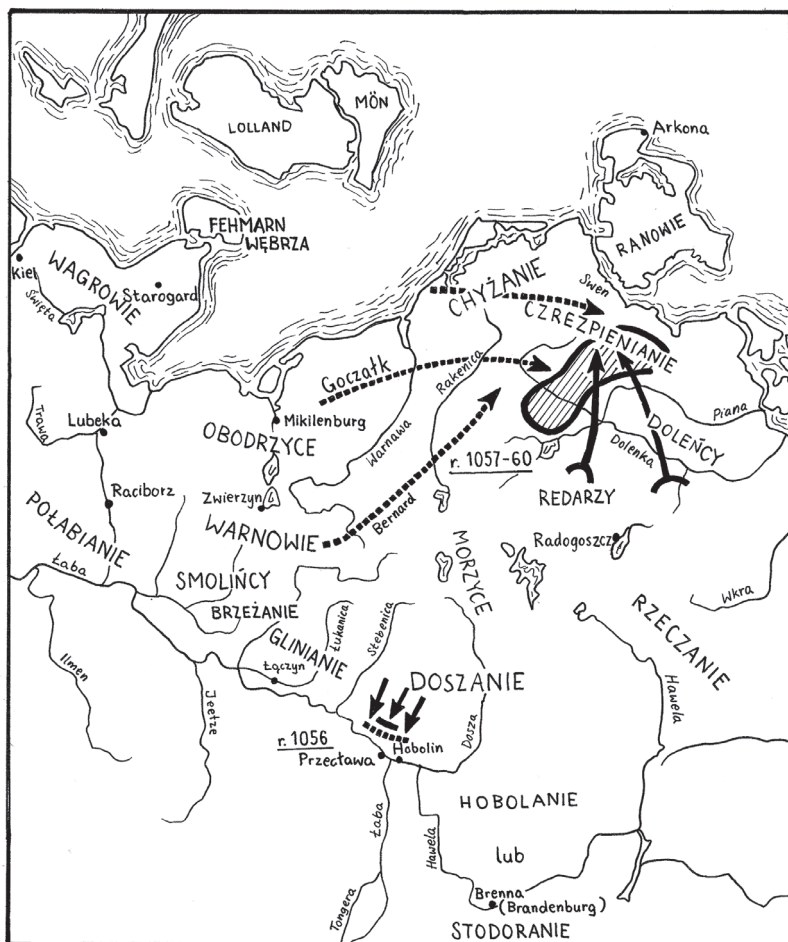
Właściwy rozmiar pogromu daje się poznać po skutkach.

Cesarz Henryk, ostrzeżony w porę, zdołał uniknąć zasadki i uprzedził zamach, uderzając niespodzianie na wojska Konrada bawarskiego i biskupa z Ratyzbony. Po zaciętej walce zlikwidował spisek, wrócił do Niemiec zwycięski, lecz chory z trudów podróży i zgryzoty. Czekająca nań wieść o klęsce przeclawskiej i zaprzepaszczeniu armii saskiej zabija go, jak niegdyś Ottona II wieść o powstaniu Słowian w 983 roku. Henryk III jest drugim cesarzem, który umiera na „chorobę słowiańską”, na Słowian. Porażka Sasów, zgon Henryka III, uznanie królem jego ośmioletniego synka Henryka IV, nieudolna regencja cesarzowej, wdowy Agnieszki, rozpoczynają w cesarstwie niemieckim długotrwały okres zaburzeń. Będą to lata walk Henryka IV ze Stolicą Apostolską, Sasami, z własnym synem Henrykiem V, lata znaczone kolejno klątwami papieskimi, Canossą, ucieczką Grzegorza VII z Rzymu, wojnami z Polską, z Czechami, zmaganiem prawych papieży z antypapieżami, cesarza z samozwańczymi pretendentami, biskupów prawnie wyświęconych z pseudobiskupami. W tych latach nie będzie miejsca na niemiecką agresję w stosunku do Połabian.

Cóż się dzieje w tym czasie w obozie zwycięzców?

Dzięki bitwie przeclawskiej Wieleci stanęli u szczytu potęgi. Otacza ich gloria bojowa dotąd nie znana. Bo co innego przejść niespodziewanie Łabę, spustoszyć kraj, wyrznąć załogi zaskoczonych napaścią grodów i podpalić osiedla, a co innego stawiać czoła w otwartym polu, jak równy z równym, osławionej armii saskiej. Są upojeni zwycięstwem i słusznie. Są bezpieczni, nikt im nie zagraża. Wszystkie drogi leżą przed nimi otwarte. Mogliby teraz zwrócić się bezpośrednio do Rzy-

**Bitwa pod Przecławą w roku 1056.**  
**I wojna domowa Wieleców w latach 1057-1060**  
**przy udziale koalicji sasko-duńsko-obodrzyckiej**



R.1056 schemat bitwy pod Przecławą

- ⋯→ Sasi
- ≡→ Natarcie Słowian
- ⋯→ R. 1057 Samobójcza wojna domowa Wieleców
- ⋯→ Sasi, Duńczycy, Obodrzyce ( Bernard, Swen i Goczałk )
- Wieleci



mu, jak to uczynił niegdyś polski Mieszko, i przyjąć chrzest, omijając biskupów niemieckich, odejmując Sasom raz na zawsze rzekomy powód napaści. Stanąc w jednym rzędzie z państwami chrześcijańskimi. Mogą połączyć się z Obodrycami, zawrzeć sojusz z Czechami, z polskim Kazimierzem, stworzyć nareszcie owo wielkie państwo słowiańskie, niedoszły zamiar Chrobrego. Mogą uderzyć na Danię albo Norwegię, zhołdować te państwa. Mogą ruszyć w głąb bezsilnego chwilowo cesarstwa... Mogą wykorzystać czas pomyślności i spokoju, by powiększyć flotę, wznosić nowe grody zaćmiewające Szczecin albo Wolin... Wszystko to mogą uczynić... Co wybiorą?

Wybierają – wojnę domową.

Nieomal nazajutrz po świetnym zwycięstwie rozpoczynają się gwałtowne spory między plemionami. Zaznaczone poprzednio różnice potęguje obustronna chęć przypisywania sobie zasługi zwycięstwa. Zdaniem Czeczpienian ich uzbrojenie, ich przemyślny manewr przesądziły losy bitwy. Redary to twierdzenie poczytują za bluźnierstwo. Zwyciężył Swaróżyc. Bez niego, boga Redarów, nic by nie zdziałano.

Spór się zaostza, od sporów dochodzi do walki zbrojnej. Czeczpienianie ogłaszają się za równych Redarom. Redarzy i Doleńcy nie mogą znieść podobnej zniewagi. Na początku 1057 roku wybucha zażarta bratobójcza wojna. Wojna o to, kto lepszy, kto walniej przyczynił się do przeclawskiego zwycięstwa. Z jednej strony Redary i Doleńcy. Z drugiej Czeczpienianie i Chyżanie. Pozostałe plemiona nie biorą udziału w tych walkach, jakby się dziś rzekło, prestiżowych, nie pretendują bowiem do pierwszeństwa w Związku. A Duńczycy i Sasi z nie ukrywaną uciechą patrzą, jak się wyrzynają Słowianie.

Swaróżyc uchodził dotąd za boga wszystkich plemion wieleckich. Obowiązkiem zatem kapłanów radogoskich było zapobieżenie wojnie w łonie Związku. Posiadali dostateczną powagę, by przerwać powszechny obłęd i krzyknąć walczącym: Stój! Wróżby stanowią w ich ręku znakomity sposób działania na wyobraźnię wyznawców. Miast jednak powstrzymać

nieszczęście, okazali się tylko zacierzwionymi ministrantami lokalnego boga. Podsycają zapalczywość współplemieńców przeciw bluźniercom i wojna trwa. Trwa morderczy szal. Z obu stron ilość zabitych przenosi o wiele liczbę poległych na polu przeclawskim.

Bywa, że człowiek, który zjadł szaleju, zadaje rany sam sobie. Chyba w owym strasznym roku wiedźmy całej ziemi zbiegły się do puszczy wieleckich, by zbierać i warzyć tojady, a dolewać je wojom do kubków? I od tego dur ogarnał głowy mężów, zapaliły się ich wnętrzości, i poczęli bić się sami między sobą.

Czrepienie, Chyżanie walczą bohatersko. Męstwem, sprawnością przyświadczają swoje prawo do objęcia kierowniczej roli w Związku, Trzykrotnie rozbijają przeciwników. Wtedy wściekłość zaślepia Redarów. Opętani żądzą postawienia na swoim, nie wahają się wezwać na pomoc sąsiednich władców chrześcijańskich, największych wrogów Wioletów.

Ci sami kronikarze, co tylko półgębkiem napomykają o „klęsce Sasów nad Hobolą”, opisują chętnie te haniebne dzieje:

...Gdy więc wzburzenie powoli rosło, przyszło do bitwy, w której Ryadurowie [Redary] i Tolenczanie [Doleńcy] pobici zostali. Po raz drugi i trzeci zaczynało wojnę i zawsze ciż sami od tychże zwyciężeni bywali. Wiele tysięcy ludzi z jednej i drugiej strony zginęło. Cyrcypanie [Czrepienie] i Kicynie [Chyżanie], których konieczność tylko do wojny zmusiła, zostali zwycięzcami. Ryadurowie i Tolenczanie, mocno zasmuceni wstydem swej porażki, przywołali na pomoc najmężniejszego króla duńskiego Swena, księcia saskiego Bernarda i Goczalka, księcia obodrzyckiego, każdego z wojskiem i tłumy tak wielkie własnym kosztem przez sześć miesięcy utrzymywali. Wszczęła się wielka wojna przeciw Cyrcypanom i Kicynom, którzy nie mieli dosyć sił, żeby się oprzeć takiej masie, jaka na nich należała, i wtedy ich mnóstwo zabito, bardzo wielu też w niewolę uprowadzono. Na koniec kupili sobie pokój za 15 tysięcy marek srebra. Książęta pieniądze między

siebie rozdzielili. O chrześcijaństwie żadnej nie było wzmianki i nie oddali też czci Bogu, który im w wojnie dał zwycięstwo. Stąd poznać można nienasyconą chciwość Sasów, którzy mimo to, że siłą wojenną celują pomiędzy wszystkimi ludami przytykającymi do barbarzyńców [Słowian], zawsze bardziej są skłonni do powiększenia daniny niż do jednania dusz Bogu... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Rok nie minął od zwycięstwa odniesionego przez Wioletów pod Przeclawą, a Święty Związek rozpadł się, by nigdy więcej nie powstać w poprzedniej sile. Zdziśiatkowani, zniszczeni ekonomicznie olbrzymią kontrybucją, Czrezipienianie wraz z Chyżanami przechodzą do Obodrzyców pod władzę pronieemieckiego chrześcijanina, Goczałka; wołają to niż pozostawać w łączności ze znienawidzonymi Redarami. A Redary? Czy są zadowoleni ze swego pyrrusowego zwycięstwa? Czy zazdrośni o swego boga kapłani Swarozycza wierzą, iż słusznie postępowali? Nie wiemy. Pojmujemy natomiast, dlaczego historia zapomniała o Przeclawie.

Bitwy, do których przyrównana została powyżej rozprawa Słowian z Sasami, były owocne. Przyniosły zwycięzcom korzystne osiągnięcia. Przeclawa należy do wypadków, gdy olśniewające zwycięstwo staje się początkiem upadku. Dlatego rapsod boju nad Hobolą w 1056 roku zeszedł na margines dziejów, ustępując miejsca upokarzającej dacie wojny domowej 1057 roku. Daty, od której zaczął się koniec Wioletów, a wraz z nimi całej Słowiańszczyzny połabskiej.

W tym twierdzeniu nie ma przesady. Choć ziemie wieleckie, sięgające od zachodnich brzegów Odry do granicy obodrzyckiej, nie były nadto rozległe, znaczenie tego kraju przekraczało o wiele jego zasięg terytorialny. Od początków naszej ery Lucice-Wieleci wyróżniali się z mrowiska słowiańskich plemion, osiadłych pomiędzy Odrą a Łabą, męstwem, fanatycznym umiłowaniem niepodległości, przywiązaniem do swej wiary, samoistnym ustrojem społecznym. Świadectwo temu dają najstarsze zapiski. Ptolemeusz wymienia jedynie „Weltów” (Wioletów) z ogromnego mnóstwa „ludów

Wenedyjskich”. Píše o nich również Wulfstan w przeróbce *Dziejów świata* Orosiusa, sporządzonej dla króla angielskiego Alfreda:

Na północ od Starych Sasów leży kraj Obodryców, a ku północnemu wschodowi Wioletowie.

*Annales Lauresham* pod rokiem 789 notują:

Następnie król Karol ponownie doszedł przez Saksonię aż do Słowian, którzy zwą się Wilti [Wieleci]...

Ibrahim ibn Jakub pisze:

...na zachód [od Odry] jest szczep należący do Słowian zwany ludem Weltaba [Wieleci]... Wojują z Mieszkiem, a ich siła bojowa [jest] wielka...

Obodrzyce z powodu polityki swoich ksiąząt znajdowali się nieraz w zależności od Niemców. Wieleci w ciągu blisko pół tysiąca lat utrzymali niepodległość, opierając się zwycięsko germańskiemu najazdowi. Stanowili jądro słowiańskiego oporu, centrum pogańskiej wolnej Słowiańszczyzny. Nienawidzili chrześcijaństwa, bo znali je tylko w wersji niemieckiej... Dla nich Chrystus nie był Słowianinem, lecz Niemcem, przeto jego wyznawców obowiązywało posłuszeństwo Niemcom. A że byli dumni i wolni, słuchać wrogów nie chcieli.

Jaskrawy dowód znaczenia Wioletów stanowił sojusz zawarty z nimi przez Henryka II. Na pewno niełatwo przyszło pobożnemu cesarzowi uznawać pogan za równych i czynić z nich sprzymierzeńców. Jeżeli tak postąpił, to w słusznej obawie, że Wieleci, połączeni z Bolesławem Chrobrym, rozwalą jego państwo.

Uszczuplony o połowę Związek jeszcze się trzyma po fatalnym 1057 roku. Jeszcze się o nim posłyszysz, jeszcze dotkliwie da się we znaki Niemcom. Będzie to już jednak agonია, po której zatarte zostanie nawet imię Luciców-Wioletów. Nie zniszczyła ich powódź lub pożar, nie pokonał wróg zewnętrzny; upadli ponieważ:

...gdy zajdzie między nimi różnica zdań, nie dojdą do zgody... jako że każdy myśli co innego i żaden nie chce ustąpić drugiemu... (Cesarz grecki Maurycy [582–602], *Taktika*).

...gdyby nie ich niezgoda, żaden lud nie zdołałby im sprostać w sile... (Ibrahim ibn Jakub, *Relacja z podróży do krajów słowiańskich*).

## OKO ZA OKO

Arcybiskupstwo magdeburskie zostało założone przez Ottona I Wielkiego z myślą o podboju Słowian po Odrę i dalej. Odpowiednik Magdeburga stanowiła metropolia hambursko-bremeńska, z tą różnicą, że rządzić miała obszarami leżącymi na północy: Danią, Norwegią i Szwecją. Wpływy cesarzy niemieckich w Rzymie były tak silne, że choć powyższe kraje przyjęły dawno chrześcijaństwo, nie uzyskały dotychczas własnej metropolii, podlegając zwierzchnictwu saskiemu. W czasie, o którym mowa (połowa XI wieku), arcybiskupstwem hambursko-bremeńskim władał Adalbert zwany Wielkim.

Ten mąż wysoki i nader silny w państwie, mając za sobą Henryka cesarza [Henryka III] i papieża Leona, którzy we wszystkim z jego wolą się zgadzali, zażywał w Danii, Szwecji i Norwegii władzy arcybiskupiej... Nie zaspokojony tym, chciał dostąpić zaszczytu patriarchatu [niezależnego od Rzymu] w ten sposób mianowicie, że chciał w granicach swojej diecezji ustanowić 12 biskupstw. Rozpowiadać o tym byłoby rzeczą daremną, ludzie mądrzy uważali to za jakieś niedorzeczności i wariacje... [Dla obsadzenia tych miejsc] zwoływał kapłanów i biskupów... dając jednym pewne, innym niepewne stolice... Arystona jakiegoś, z Jerozolimy przybyłego, mianował biskupem w Racesburgu, Jana przeznaczył do Mikilinburga. Ten Jan z zamiłowania do podróży opuścił Szkocję i przybył do Saksonii (Helmold, *Kronika Słowian*).

„Niedorzeczne i wariackie” pomysły Adalberta Wielkiego wzburzyły książąt i margrabiów saskich, tworzenie bowiem nowych biskupstw godziło bezpośrednio w ich mienie. I bez tego trwały ciągłe spory między duchownymi i świeckimi władcami podbitych krajów o podział dochodów. Czując się

zagrożeni, książęta zażądali od Henryka IV, aby usunął ambitnego Adalberta. Kilkunastoletni król, zgodnie ze zwykłą polityką tronu, opowiedział się za arcybiskupem. Istniejąca już animozja pomiędzy nim a saskimi wielmożami wzrosła, grożąc jawnym buntem.

W roku 1063 umarł stary książę saski, Bernard II, co przez czterdzieści z górą lat trzymał w żelaznej garści słowiańskie pograniczne plemiona. Srogi to był mąż. Inni książęta, Goczałk w tej liczbie, bledli z trwogi, gdy ich zmierzył zimnymi jak stal oczyma. Następcą Bernarda został syn jego Ordułf, tak podobny do ojca jak gapa do sępa, lękliwy i niezaradny. Snadź rodzic zbyt surowo się z nim obchodził i młody z tego otepiał. Cieszą się z tej zmiany terroryzowane dotychczas przez zmarłego ludy. Cieszą się i składają bogom dziękczynne ofiary.

Za to Goczałk nie raduje się wcale. Drżał przed Bernardem, to prawda, lecz czuł się za jego plecami bezpieczny. Bezpieczeństwo to ważna rzecz, a co teraz będzie? Na Ordułfa szkoda liczyć. W Danii panuje wprawdzie teść Goczałka, Swen Estrysen, król silny i władny, lecz tak pochłonięty przygotowaniami do podboju Anglii, że nie wiadomo, czy by ruszył na pomoc zięciowi...

Jak na urągowisko, Goczałk włada obecnie obszarem większym, niż kiedykolwiek posiadali poprzedni książęta. Po włączeniu Czeczpienian i Chyżan państwo obodrzyckie sięga ujścia Odry. Stanowiłoby potęgę, gdyby świeżo przyłączone ludy dały nałożyć sobie uźdzenie.

Ale one ujarzmić się nie dadzą. Mimo rozbicia i upokorzenia Lucice-Wieleci pozostają ludem wolnym, szanującym władzę wiecu, a nie księcia, i to takiego księcia. Na Goczałka patrzą z nie ukrywaną pogardą. Nie cierpią tego padalca za to, że jest chrześcijaninem, że pośpieszył na wezwanie Redarów i przyczynił się do ich, Czeczpienian, ostatecznego powalenia, że na równi z obcymi złupił z nich skórę, ściągając olbrzymi okup. Niewiasty czeczpieniańskich, chyżańskich wojów musiały oddać wszystkie swe klejnoty! Kabłączki skroniowe, sznury monet greckich czy arabskich, naramienniki, szpile... Każ-

dy wie, co znaczy zabrać niewiastom te ukochane błyskotki. Uprzykrzony babski lament nie ustaje dotychczas. Poza tym Wieleci nie znoszą widoku Duńczyków i Sasów. Owi zaś są tutaj w księstwie nie tylko zadomowieni jak u siebie, lecz przewodzą. Oni rządzą, oni mają pierwszy głos, pierwszy krok... Oni otaczają księcia, który przyjaźni się z nimi, im tylko ufa, z nimi tylko gada... I wy możecie to ścierpieć? – pytają z oburzeniem.

Miejscowi rozkładają bezradnie ręce. Cóż poczniemy?

Wieleci wzruszają ramionami. Oni wiedzieliby, co począć! Bogowie dali Obodrzycom kości z ciasta, a wodę w miejsce krwi. Wszak żywią wśród nich potomkowie dawnych książąt; czyż ci także siedzą jak trusie?

Z książąt jeden tylko stary Błus, powinowaty Raciborowiców, nie ochrzcił się i gada każdemu w oczy, co myśli. Wolno mu więcej niż innym, miał bowiem za żonę siostrę Goczałka, przy tym starszy syn księcia, Budziwój, nawidzi wielce swego wuja. Uchodzą więc staremu rzeczy, jakie drugi przypłaciłby głową.

Strach bywa najgorszym doradcą. Opanowany strachem Goczałk widzi niebezpieczeństwo, nim jeszcze ono nastąpi. Wywołuje wilka z lasu, posyłając ukradkiem Budziwoja do Ordulfa z następującym posłaniem: – Stań z silnym wojskiem na granicy w pogotowiu, bo i ty będziesz zagrożony, jeśli bunt wybuchnie.

Budziwój wyjeżdża i nie powraca. Nie daje znaku życia. Przepadł. Goczałk nie może sobie miejsca znaleźć. Posłyszawszy, że Ordulf bawi tuż za Łabą, wymyka się sam do niego. Lecz poddani go wysledzili. Przeklęty zgniłek chce Sasów sprowadzić! Osaczony w Łączynie, Goczałk ginie zamordowany.

Tak poległ mąż pamiętny po wszystkie wieki swą wiernością ku Bogu i książętom [saskim]... Śmierć zaś poniósł ów drugi Machabejczyk w mieście, które Lenzin [Łączyn] się nazywa, dn. 7 czerwca [1066 r.] razem z księdzem Eponem, który u stóp ołtarza zabity został, oraz z innymi świeckimi i duchownymi osobami... (Helmold, *Kronika Słowian*).



Wiadomość o zgonie księcia działa na kraj jak pochodnia przytknięta do węgła domu oblanego smołą. W huku pożarów, jęku mordowanych, wybucha powstanie, ogarniające wszystkie plemiona słowiańskie. Trzecie powstanie, straszliwsze od obu poprzedzających.

Książę Godszalk przywrócił chrześcijaństwo w tym kraju. Słowianie nie mogli tego ścierpieć i udusili swego księcia i wymordowali wszystkich chrześcijan, których Godszalk sprowadził, następnie najechali Holsztyn i inne ziemie chrześcijańskie i dopuścili się wielkiej swawoli... (Kantzow, *Kronika pomorska*).

Takim sposobem wszyscy Słowianie sprzysięgłszy się ze sobą, znów do bałwochwalstwa powrócili, pozabijawszy tych, którzy w wierze wytrwali... Stolica biskupa w Aldenburgu [Starogardzie] przez lat osiemdziesiąt cztery była nie obsadzona... Córka króla duńskiego [Sigrida, żona Goczalka] została nago wypędzona z Mikilinburga, grodu Obodryców... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Oszalała z trwogi kobieta uciekła z małym synkiem Henrykiem. Ktoś litościwy okrył jej nagość opończą. W tym stroju dotarła do Starogardu, gdzie załogą dowodził krewny jej ojca, króla Swena. Ten odesłał spieszenie matkę i dziecko do Danii. Słusznie uczynił, gdyż w parę dni później Starogard został zdobyty, a wszyscy obrońcy razem z dowódcą polegli. Po całym kraju rozlega się zawołanie: – Bij! Ubij!... Wyżenać Sasów! – Po raz trzeci grzmi ten okrzyk na skłonnej do posłuszeństwa ziemi obodrzyckiej, na nieulekłej ziemi wieleckiej. Straszna siła ma taki głos, jeśli mu wtóruje kto żyw z ludzi, a zdają się przytwardzać ziemia, pagóry, obłoki i drzewa. Bij! Ubij! Nim pierwsze chłody jesienne ogołocą z liści drzewa, od Odry do Łaby, od wybrzeża morskiego do południowej granicy, nie masz ani jednego żywego Duńczyka czy Sasa, ani jednego kościoła lub krzyża. Ogarnięci paniką Sasi uciekają tym samym szlakiem, który dwukrotnie przebywali ich ojcowie, szlakiem moszczonym przerażeniem, oświetlonym luną. Po raz trzeci grzywa ognia nad tymi samymi grodami. Bi-

skupstwo starogardzkie spalone. Adalbert Wielki, niedoszły patriarcha, pierzcha wraz ze swym dworem, porzucając arcybiskupią stolicę w Hamburgu. Towarzyszy mu Ordulf wraz z niedobitkami wojska. Nie ochłoną ze strachu, aż w Bremie. W ucieczce, gdy spojrzą za siebie, widzą dopalający się Hamburg. Tłum zbuntowany szaleje. Goczałk wiele nabudował, więc jest co niszczyć. Niszczą i palą z rozkoszą. Nigdy jeszcze ślady chrześcijaństwa nie były zacierane z podobnie zacięłym uporem.

Słowianie zwycięscy cały kraj hammenburski zniszczyli ogniem i mieczem. Sturmarowie i Holzaci [północne plemiona saskiej] prawie wszyscy albo pozabijani, albo w niewolę uprowadzeni zostali. Warownia Hammenburg [Hamburg] zupełnie zniesiona i nawet krzyże na pośmiewisko naszego Zbawiciela połamane zostały (jw.).

W stołecznym Zwierzynie stary Błus, jednomyślnie obwołany wodzem, przypomina wojom, że dotychczas nie została pomszczona śmierć ośmiu synów księcia Racibora, poległych przed dwudziestu trzema laty na przewłoce pod Hadeby. Przyczyną ich klęski był niegodziwy zdrajca Goczałk, który już poniósł karę. Nie ponieśli jej natomiast Duńczycy.

W tymże samym czasie Szlezwig, który inaczej Heidibo się nazywa, miasto Zaelbianów, na granicy królestwa duńskiego leżące, najbogatsze i najludniejsze, znienacka przez barbarzyńców napadnięte, z gruntu zburzone zostało. Spełniły się na nas... proroctwa narzekania nad ruiną Jerozolimy. Sprawcą tego nieszczęścia był, jak powiadają, Blusso [Błus], który siostrę Godszałka miał za żonę... (jw.).

Na złą dolę sprowadził Adalbert, arcybiskup hamburski, Arystona z Jerozolimy i osadził na biskupstwie w Racesburgu. Został on wraz z opatem Answerem i innymi ukamienowany. Okropną śmierć poniósł łagodny starzec, Jan ze Szkocji, który – zdaniem Helmolda – lubił podróżować.

Biskup Jan... w Mikilinburgu zachowany został przy życiu dla tryumfu... Naprzód kijami zbity, potem oprowadzany

był po różnych grodach słowiańskich na urągowisko, a gdy do wyparcia się imienia Chrystusa przyprowadzonym być nie mógł, ciało jego z odciętymi rękami i nogami wyrzucone zostało na ulicę, głowę zaś barbarzyńcy na włócznie zatknawszy, bogu swemu Radygostowi [Swarożycowi] na znak tryumfu poświęcili. To się działo w stolicy słowiańskiej w Retrze [Radogoszcy] 10 października [1066 r.] (jw.).

Nie byle to triumf ofiarować bałwanowi, o wytrzeszczonych ślepiach i wąsach ze złota, głowę umęczonego biskupa, ustrojoną dla szyderstwa w infułę. Zdaje się poganom, że swemu Swarożycowi samego Boga Krystusa rzucili pod nogi. Że Go zniszczyli, zabili! Upojony tłum depcze okrwawiony kadłub bez rąk i nóg, walający się na dziedzińcu świątyni.. Skaczą przezeń, tańczą wokół. Zwyciężyły stare bogi! Litość przerażona opuściła ludzkie serca, zostawiając okrucieństwo.

Radosne wrzaski płoszą wielkiego odyńca-samotnika, co wylegiwał się w bagnie tuż pod częstokołem. Porwał się z groźnym fukiem, strzelając kielcami i pognał w trzciny, aż ziemia zatętniła. Ludzie oniemieli, padli na kolana, zakrywają twarze. Święty Wieprz! Opiekun grodu! Ukazał się Święty Wieprz! Biada! Biada!...

Lecz kapłani uspokajają strwożonych. Wielkie to zdarzenie wróży szczęście i pomyślność. Tłum skwapliwie podejmuje swe tany na nowo.

Wczesna zima skuła bagna, zatrzymała rzeki, otwierając wszystkie drogi. Przestały dawać schronienia ostrowy lub suche kępy na oparzeliskach. Drobne plemiona słowiańskie, siedzące głęboko w lasach, teraz wychynęły z puszczy. Tropią na śniegu ślady ukrywających się zakonników, księży, którzy nie zdołali przedostać się w porę za Łabę. Zabijają ich bez miłosierdzia, bo takie jest hasło: – Jeśli chrześcijanom życie darujesz, powrócą. A tego powrotu nikt nie chce.

Na zamku biskupa halberstadzkiego Burkharda (Halberstad leży około 50 km na zachód od Łaby) radzą dostojnicy kościołowi. Przybyli: arcybiskup magdeburski, biskupi mi-

śnieński i (tytularny) brandenburski. Rozważają położenie, które, nie ma co ukrywać, jest złe. Słowianie zajęli już kraj Tetmarszów, wyrznęli Sturmarów i Holzatów. Już doszli do ujścia Łaby. Gdyby Bernard saski żył – stawiłby opór najazdowi. Niedołęga Ordulf uciekł, a wojsko za nim. Król Henryk nie przyjdzie na pomoc, gdyż uwikłał się w wojnę z Rzymem o samowolne obsadzenie przez papieża arcybiskupstwa w Mediolanie. Zresztą wszyscy wiedzą, że król nienawidzi Sasów i, kto wie, może w duchu raduje się z ich upokorzenia?... Jeżeli Słowianie zdobędą ziemie załabskie, co się stanie z cesarstwem? Co się stanie z Kościołem? Śmierć biskupa Jana woła o pomstę do Boga... Ta śmierć męczeńska to ostrzeżenie. Podobny los może stać się udziałem obecnych... Przekłete diabły pogańskie! Kiedyż ich piekło pochłonie? Tyle lat, tyle wysiłków na marne! Od dwóch wieków krwawią nieustanne misje. Kamień nasiąkły wiarą, przejął słońce Łaski, a te szatany wciąż równie odporne Słowu Bożemu, jak pierwszego dnia. Nic nie skruszy ich przewrotnych umysłów, zatwardziałych serc... Dwieście lat! Nie było od początku świata równie niegodziwego ludu, równie bezpłodnych wysiłków. Czyż czcigodny książę Goczałk nie starał się, nie zabiegał, usiłując pozyskać plugawie dusze poddanych... I oto jak mu odpłacili synowie Beliala, szczep Amorejczyków, nasienie niegodziwości. Wytepić plemię diabelskie to jedyne rozwiązanie...

Co do tego wszyscy obecni są zgodni. Wierzą w słuszność swych poglądów tak mocno, jak gdyby sam Chrystus Pan siedział pośród nich i przytwierdzał wyrażanym opiniom. Poczucie własnej winy nie przychodzi zadufanym w sobie purpuratom do głowy. Natomiast przyganiają książętom. Wierny wyraziciel zapatrywań ówczesnego duchowieństwa niemieckiego, proboszcz z Bożowa, Helmold, napisze:

Słowianie zbrojną ręką zrzucili z siebie jarzmo służebnictwa i z taką zawziętością bronili swej wolności, że raczej woleli umrzeć niż znowu do chrześcijaństwa powrócić i daninę książętom saskim opłacać. Tę hańbę sprowadziła na książąt saskich nieszczęśliwa ich chciwość... Takimi daninami ob-

ciężyli Słowian, których w mocy swej... trzymali, że ci gorzką koniecznością pobudzeni, oprzeć się prawom Boskim i uległości Sasom zmuszeni zostali (jw.).

Zgodność poglądów na charakter Słowian nie daje jednak odpowiedzi na zasadnicze pytanie: co czynić? Czekać biernie, aż poganie wpadną tutaj? Wszak wiadomo, że nikt nie przyjdzie z pomocą...

Za zezwoleniem Jego Wielmożności arcybiskupa gospodarz zabiera głos. Czerwony na twarzy, tęgi, twarde rysy, wielkie pięści. Pięści samym kształtem mówią, że poręczniej im ujmować miecz niż krzyż lub kropidło. I słowami tnie jak mieczem. Krótko, dosadnie. Powiada: – Znam Słowian. Znam ich wojowanie. Pędzą niby żubry, tratujące wszystko po drodze, nie myśląc wcale, co zostawiają za sobą... Jestem pewien, że ściągnęli nad Łabę całe swoje wojsko... Ogołocili kraj... Głowę za to dają. Wystarczy uderzyć na nich od południa, a cofną się szybko z powrotem...

– Uderzyć na tyły Wioletów?... Któż to uczyni? – wzdycha arcybiskup. – Bolesław polski, samozwańczy król, który każe nazywać się Szczodrym? To nasz wróg zawzięty.

– Na Włócznię świętego Maurycego! Nie myślę o żadnym królu, zwłaszcza polskim. Myślę o nas... My, biskupi, mamy obowiązek ratować Kościół niemiecki... My mamy obowiązek pomścić śmierć konfratra Jana... Nikt tego nie zrobi, jeżeli my nie zrobimy.

Patrzają nań jak na szaleńca. On ciągnie z zapalem:

– Wasza Wielmożność! Zwólcie mi tysiąc rycerzy! Tylko tysiąc. Na to, co zamierzam, starczy... Ja powiodę. Ja na tych diabłów uderzę.

– Zginiesz.

– Albo oni zginą.

– Zimą nie przejedziesz.

– Zimą przysposobię ludzi, a ruszę wiosną, zanim grunt rozmarznie.

– Do wiosny Słowianie mogą być nad Renem, a nasze głowy złożone Belialowi na ofiarę...

– Znam Słowian – powtarza Burkhard. – Oni zimą nie wojują. Staną w miejscu i grzać się będą w chatach albo przy ogniskach... Dopiero wiosną ockną się i ruszą... Naprzód albo, jeżeli mój plan się powiedzie, w tył.

W głosie jego brzmi tyle przekonania, że arcybiskup przy- staje, obiecując wszelką pomoc i błogosławieństwo. Kończą zebranie, nieco skrzepieni na duchu.

To prawda, że Słowianie nie lubią zimą wojować. Dzień za krótki, noc za długa, koni nie ma gdzie popaść. Zima to pora odpoczynku. Niedźwiedź, wiadomo, mądry zwierz, a całą zimę śpi. Jak słusznie przewidywał biskup halberstadzki, mrozy wstrzymały impet, z jakim Słowianie druzgotali Sa- sów. Wojska obodrzycko-wieleckie postanawiają zimować na osiągniętych stanowiskach.

Śnieg pada wielkimi płatami, przygina ku ziemi drze- wa, zasypuje drogi, ucisza świat. Każdy rad siedzieć spo- kojnie, a tu książę Błus zwołuje wiec do Lubeki. Wiec o tej porze!? Ważne widać mają się rozstrzygać sprawy. Gońców Błus rozesał do wszystkich plemion. Trudna rada. Zbierają się w drogę, kto wierzchem, kto saniami, kto po zamrażnię- tej rzece na łyżwach kościanych. Zbierają się gromadami. Wprawdzie wilki dopiero w lutym niebezpieczne, ale zawsze kupą raźniej.

Na odmiecionym ze śniegu dziedzińcu zamkowym ułożo- no kołem kłody. Obsiadli je wiecownicy w sutych kozuchach, czapach baranich. Z ust biją obłoki pary, skroplone osiada- ją soplami na wąsach. Pośrodku kręgu płonie ognisko, pa- chołkowie dorzucają do niego karpiny, strzelającej skrami, woniejącej żywicą, i dębiny, która daje długotrwały żar. Dym z ogniska i kominów dworca idzie prostym słupem w górę, za- powiadając na jutro mroźną pogodę. Kawki krzyczą, krążąc wokół wieży strażniczej.

Na kuchennym dziedzińcu służba od świtu do nocy warzy w wielkich kotłach strawę, pieką się cielce i skopy na rożnach. Do niedawna wstęp do tego dworca mieli tylko Duńczycy

i Sasi, gdyż Goczałk nikomu innemu nie ufał. Teraz Słowianie tutaj gospodarzą. Zasiedli w krąg i poradzają statecznie.

Nad czym radzą? Błus gruntownie przemyślał rzecz, nim rozesłał gońców. Przed pół rokiem Obodrzyce okrzyknęli go wodzem powstania. Nie mogą narzekać, dobrze poprowadził sprawę... Wojna jest na ukończeniu, Błus rad by (któż by się dziwił) zatrzymać władzę i rządzić jako Wielki Książę, chce jednak, aby obioru dokonał wiec wszystkich plemion. Żeby mu nikt nie zarzucił, iż samowolnie dorwał się do tronu.

Ledwo zaczęto o tym gadać, wyszła nowa sprawa. Czeziepienie nastają, by księcia nic było w ogóle. Po wieleku, rządy niech sprawuje wiec. Z obecnych jedni są za tym, drudzy nie. Obodrzyce, przyzwyczajeni słuchać swoich książąt, dowodzą, że co innego Wieleci, a co innego tutejszy kraj pograniczny. W razie saskiego napadu nie czas na wzywanie wiecu, trzeba natychmiast iść w pole. Dlatego bez księcia nijako...

Zdanie Obodrzyców dzielają Ranowie, obecni na wiecu przypadkiem. Przyłynęli do Lubeki jesienią, ofiarowując powstańcom sojusz przeciw Duńczykom, co z wdzięcznością zostało przyjęte. Wczesny mróz uwięził im łodzie. Czekają teraz odwilży, żeby przedostać się na pełne, niezamarzłe morze.

Ranowie mają wśród Słowian wielkie poważanie, dzięki swemu męstwu i niezrównanej sprawności żeglarskiej. Trzymają się wyniośle, dumni ze swej wyspiarskiej niezależności. Choć na tę wyspę przejedziesz z łatwością zimą ze Strzałowa po łodzie, Ranowie różnią się obyczajem i sposobem bycia od pobratymców łądowych.

Trwający od kilku dni spokojny tok narad przerywa niespodziewane zdarzenie: stary Błus upoważnił do wejścia na dziedziniec Goczałkowego syna, Budziwoja. Skąd wylał ten wilczek? Gdzie się ukrywał od lata, że go dotąd nie ubito? Po co przyszedł? Po śmierć? Ano, może ją tu spotkać. Błus zasłania siostrzeńca.

– Ja ręczę za niego – powiada. – Bezbronny jest, niechajcie go. Posłuchajmy, co chce rzec, a potem wróci, skąd przyszedł...

Błus jest wodzem, więc obecni przystają, choć niechętnie. Młodzik staje na kłodzie, hardo podnosi głowę. Po co przyszedł? Upomnieć się o swoje prawa. Jest dziedzicem, księstwo do niego należy.

Śmiech rozgłośny bucha, aż kawki się płoszą.

– Uciekaj stąd, wyskrobku, co rychlej, żeby śladu po tobie nie było!

On się upiera. Obiecuje, że chrześcijaństwo odrzuci, z Sasami się nigdy nie zada. Nie słuchają go, nie ufają zapewnieniom. Redary wypominają mu pradziada Mściwoja, co przed Swarozycem podobnie przysięgał, a potem – liszka obmierzła – do Niemców powrócił.

– Dość gadania! – krzyczą inni. – Jeżeli zostanie, będzie się mścił śmierci ojca. – Budziwój zapewnia, że mścić się nie będzie, na co obecni spluwają ze wzgardą. Jeszcze inni wołają:

Cóż by nam pomogło, że... zabiliśmy Godszalka?... Ten by nas gorzej od ojca udręczył. Przychyli się do Sasów i nowe sprowadzi na naród nieszczęścia (Helmold, *Kronika Słowian*).

Wrzawa rośnie. Budziwój podnosi głos po książęcemu. Tego już ludziom za wiele. Nie w porę takie panochy, nie w porę! Precz z łajnem! Ktoś rzucił na ziemię kozuch i sunie do księcia, żeby go wyciepać z dziedzina. Budziwój wyszarpnął z zanadrza saski migocący sztylet. Podła gadzina! Bezbronny był pono. Bij, ubij! Zewleczone kozuchy leżą na śniegu, podnoszą się pięści, maczugi. Zgiełk, kotłowanina. Budziwój się wyrywa, a na ziemię pada Błus trafunkiem uderzony przez łeb pałką jakiegoś gorliwca. Rzucają się wszyscy ku niemu podnosić, cucić, rozcierać. Nic nie pomoże. Ducha od razu wyzionął. Szkoda go, szkoda. Dzielny był, prawy mąż. Przyśłużył mu się pociotek...

...Dawajcie tego odmienia! Oho, już go nie ma. Skorzystał z zamieszania, by zbiec. Szukają go nadaremnie. Zna on dobrze tutejszy dworzec, jego zakamarki, tajemne przejścia, to umknął. Albo przemienił się w gacka, bo chrześcijańskie czary też zna... Niech się powracać nie waży.

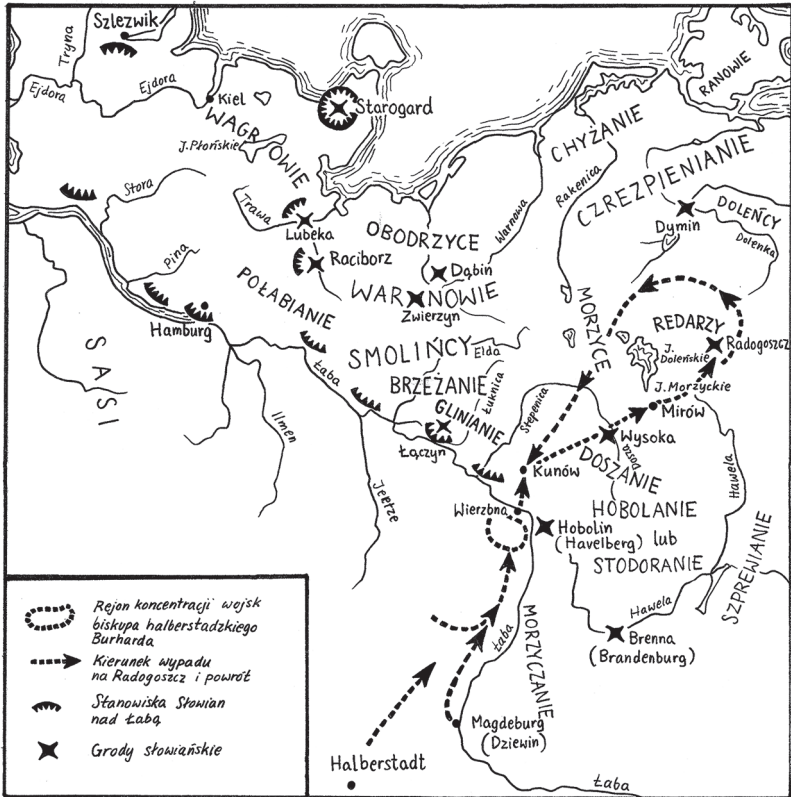


Po wielodniowym, szumnym pogrzebie starego woja podjęto narady. Wiecownicy jednomyślnie uchwalają odsunięcie na wiek wieków krwi Goczałkowej od księstwa obodrzyckiego. Bodaj szczęśliwy ten ród tchórzliwych zaprzaińców, saskich kłamliwych pachółków, bodajby przepadł na zawsze!

Lecz kogo wybrać? Padają różne imiona, a jedno drugie utracą. Ranowie powiadają, że nie masz dzielniejszego władcy nad Kruta syna Gryna, ze sławnego rodu książąt rańskich. Ten ci byłby księciem wedle serca narodu. Polecenie Ranów zasługuje na uwagę, że jednak nikt z obecnych nie słyszał o synu Grynowym, starszyzna postanawia poruczyć tę sprawę bogom. Gdy tylko lody skruszeją, posłańcy wiecowi popłyną do Radogoszczy, zwożąc sute ofiary i prosząc kapłanów o wróżbę. Do ich powrotu, najstarsi spośród wiecowników zostaną tutaj, aby zawiadywać krajem.

Nigdy zaskoczenie nie było pełniejsze, a przebudzenie straszliwsze. O pierwszym brzasku świtu zbrojni napastnicy otoczyli radogoskie wały. Wdzierają się ze wszystkich stron naraz. Już się zmagają z nieliczną załogą. Darmo kapłani grzmią w rogi, obrońcy miotają kamienie, niewiasty niosą cebry z wrzącą wodą, już święty gród pełen zbrojnych. Każdy z Redarów toporem rąbie za dziesięciu, kłuje oszczepem, ranny rzucony na ziemię kąsa zębami, jak wilk. Próżna zaciekłość, nie uzyskają przewagi, nie osłonią Swarożyca! Po raz pierwszy, odkąd Radogoszcz istnieje, nieprzyjacieli dotarli tutaj, do serca Wioletów, do niezdobytego grodu. Którędy przeszedł? Dlaczego nikt go nie wstrzymał po drodze? Gdzie siła Świętego Związku, która służyła za tarczę? Już słowiańscy woje wybici do nogi. Bronią się jeszcze w świątyni kapłani. Nie na długo tej obrony! Bramy wywalone, a częstokół płonie. Na dziedzińcu tłum kobiet i dzieci, jęcząc z rozpacz, wzywa na ratunek bogów. Ogień sięga ścian świątyni jaskrawymi językami. Stare żywiczne drzewo nie stawia oporu. Napastnicy rąbią błagalne gromady, spychają bezbronnych w żar. Płomienie już powiewają niby proporce na dachu, już słupy i belki skracają się trzeszcząc. Już zajął się posąg Swarożyca. Zło-

## Wypad biskupa halberstadzkiego na Radogoszcz w roku 1067



ta zbroja na nim topi się, wzdyma i pęka, odsłaniając nagie drzewo. Kapłani kołem otoczyli boga. Nie ugaszą ognia, ale zginać wspólnie z nim. Chciwe ręce napastników rabują skarbiec świątyni, dary nagromadzone wiekami. Puchary, misy, rogi, miecze, tarcze szczerozłote... Dach świątynny zapada się w głąb. Z zabudowań obok skarbcza najeźdźcy wyprowadzają białego ogiera. Chrapie wietrząc dym, tuli gniewnie uszy. W wypukłych oczach źrebca odbija się pożar. Z dogorywających obrońców jeden, drugi zamachnął się włócznią, aby za-

bić zwierzę, zanim je pohańbią, lecz dłoń opadła. Nie starczyło im sił czy odwagi?... Może odezwała się cicha nadzieja, że bóg dosiadzie swojego wierzchowca i wrogów triumfująco powali? Depcząc trupy, świętokradcy wynoszą ze składów siodło i rząd Swaróżyca, nigdy przez śmiertelnego nie używane. Kielznają, poprzęą rumaka, który wspina się, miota, usiłuje zębami sięgnąć nieprzyjaciół. Biją go. Biją wróżebnego konia! Biją, a grunt się nie zapada, ziemia ich nie pochłania!...

Napastnikami dowodzi mąż tęgi, w połocistym pancerzu na czerwonej sukni. Władczo z siodła wydaje rozkazy, kieruje natarciem, rozgląda się bacznie wokół. Uznawszy dzieło za dokonane, daje hasło do odjazdu. Sam przesiada się na białego ogiera. Koń zbuntowany to staje dęba jak świeca, to kwiczy z gniewu, spuszcza na dół łeb, wierzgając zadem z wściekłością. Lecz mąż w czerwieni jest silny, zdziera wodze, aż wędzidło kaleczy pysk żrebca, długą ostrogą orze jego boki. Krew spływa po białej sierści, którą pokryły już ciemne plamy potu. Nareszcie zwierzę ulega, mąż w czerwieni rusza w skok. Koń przesadza leżące na dziedzińcu trupy i porozrzucane włócznie. Niczyje oczy nie śledzą, którą je nogą przestąpił, bo nie masz, kto by był żywy. Tylko ogień huczy i strzela, obejmując pozostałe budynki świątynne.

To biskup halberstadzki Burkhard uczynił, jak zapowiedział. Za ledwie śnieg nieco zeszedł, ukazując zeszlóroczną rudą trawę i zieleń ozimin, podniósł na nogi hufiec przedniego rycerstwa i ruszył. Bez taboru, bez wozów czy sań, tylko z luzakami, którzy dźwigali nieco żywności i owies. Stogów po drodze nie oszczędzali i na postojach konie stały po kolana w sianie, a ludzie spali przy koniach. Przeprawili się przez Łabę poniżej ujścia Haweli (Hoboli), stamtąd pognali na Kunów i Mirów. Nie napotykali po drodze żadnych sił zbrojnych. Tylko mieszkańcy siół czy grodów wybiegali z domów, patrząc z przestraczem na przejeżdżających. Nie tykano ich, by wieść o wypadzie nie rozeszła się za wcześnie. Okrążyli od południowego wschodu Morzyczańskie Jezioro; (na rozlewiskach

zamróz jeszcze dobrze trzymał). Niecały tydzień jechali od Łaby do Radogoszczy. Powrót potrwa nieco dłużej, będą bowiem pustoszyć i palić po drodze.

Szczęśliwy czuje się Burkhard. Pomścił śmierć biskupa Jana, spalił Swarozycę. Spalił pogańskiego bałwana! Śmieje się w głos i kłując ostrogami zmęczonego źrebca, gna przez pola i łągi, niby biało-purpurowe złowrogie widziadło.

...Burkhard, biskup halberstadzki, wtargnąwszy, spalił i spustoszył ziemie Luciców, a zabrawszy konia, którego czczą w Radogoszczy jako boga, i dosiadłszy go, wrócił na nim do Saksonii... (*Annales Augustenses*, rok 1068).

Gdy wieść okropna dojdzie do sąsiednich grodów i zbrojne gromady nadbiegną z odsieczą, po napastnikach nie będzie już śladu. Są tylko trupy, stada wron i zgliszcza. Grzebiąc w popiołach, można by znaleźć pocięty puchar Swarozycę, stopione blachy zbroi, może złote wąsy skrzycone i szerniałe od żaru... To wszystko, co z boga zostało.

Straszno bywa stać nad grobem swojego rodu, swojego grodu, czy swojego kraju, lecz ileż straszniej zobaczyć popioły miejsca, skąd czerpano moc. Miejsca, co było źródłem wiary, dumy, czci i zaufania... Był bóg – nie ma boga. Tu się narodził obyczaj pradawny, wszelkie działanie stąd brało początek. Tu leżał kamień węgielny ich świata. Pokolenia za pokoleniami kłoniły się na tym progu i odchodziły skrzepione. Co mają obecni czcić, do kogo się modlić? Popiół został, nic tylko popiół... Jak żyć będą teraz Redary?...

## KRUT SYN GRYNA

Obarczeni bogatymi darami posłowie obodrzyccy nie zdążyli jeszcze wyjechać do Radogoszczy, gdy przyszła wiadomość, że świątynia Swarożycy nie istnieje. Wiadomość padła jak grom. Czy ziemia się rozstała, czy jezioro wyszło z brzegów, karząc w ten sposób czyjąś zbrodnię lub bluźnierstwo? Nie, nie, po trzykroć nie! Puszcza rosła jak dawniej, jezioro z trudem uwalniało się od lodu – po prostu Niemcy przyszli, gród spalili, po czym odjechali... Chciało się potraktować niewiarogodną tę wiadomość jako bajkę, oman rzucony na umysły ludzkie, lecz opowiadający wymieniali dzień, w którym zaszło nieszczęście. Podawali szczegóły, opisywali męstwo obrony, uprowadzenie świętego ogiera... Należało uwierzyć. Słuchacze kamienieli ze zgrozy. Każdemu drżało na ustach pytanie: A bóg... Co?... Spuszczali głowy, dowiadując się z toku powieści, że Swarożyc dał się spalić, jakby był zwykłym pnem drzewa, nie bogiem...

Redary i Doleńcy strzegący placówek nad Łabą, posłyszawszy, co się stało, rzucili gromadnie stanowiska, nie opowiadając się nikomu i brnęli przez roztopy do domów, by własnymi oczami ujrzeć prawdę, w którą nie mogli uwierzyć. Na linii obronnej powstawały luki, przez które Sasi mogli łatwo przejść Łabę z powrotem. Obiór nowego księcia stawał się zatem sprawą palącą. Wiec nadal obradował w Lubece, rozpatrywał kandydatów z rodu dawnych książąt plemiennych, ale zbyt wielu ich było. Na każde wymienione imię podnosił się chór sprzeciwu tych, co sami pragnęli zostać wybrani. To skłoniło na koniec wiecowników, by za poradą bawiących tu zimą Ranów ofiarować rządy nad Obodrzycami Krutowi, księciu rańskiemu. Wnet wysłano do niego poselstwo. Posło-

wie popłynęli po wzburzonym wiosennie morzu, nie wiedząc, jakie spotka ich przyjęcie. O Ranach zgodnie mówiono: dobrzy jako sojusznicy, bo pewni i wierni, ale trudno się z nimi przyjaźnić, gdyż nieprzystępni i hardzi.

Wiec czekał na powrót posłów i biadał. Przeklinał Goczałkowica Budziwoja, który uciekwszy z Lubeki w dniu śmierci Błusa, udał się wprost do Ordulfa i tam podzegał niedoleźnego księcia przeciw własnemu narodowi. Szpiedzy słowiańscy śledzący jego poczynania opowiadali, jak mu się kłaniał a korzył:

Wiadomo jest Twojej Jasności, o największy z ludzi, jak wiernie mój ojciec Godszalk poruczone mu rządy w kraju słowiańskim na cześć Boga i ojca twego [Bernarda] sprawował, niczego nie zaniedbując... Ja też chcę naśladować ojca mego pokorę z jego wiernością i oddaniem się, poleceniom saskich książąt będąc posłusznym... Aby mi choć czezy tytuł, a wam owoce pozostać mogły... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Słowa wypowiedziane do Ordulfa można było uważać za stracone. Kto na niego rachował, „opierał się jakoby na kiju ze trzciny i do tego połamanym” (jw.), natomiast dorastający syn Ordulfa, Magnus, podobny był z zaborczości i energii do dziada swego Bernarda, którego imię dotąd jeszcze wspomniano wśród Słowian ze zgrozą. Magnus obiecał wygnać „umysł swój i siły wyteńczyć, aby ujarzmić buntowniczych Słowian” (jw.).

A tu pola obsychały i zbliżał się czas siewów... Bociany chodziły stadami po zieleniejących, zalanych wodą łągach, klekotały na zeszlorocznych gniazdach. Każdego z wiecowników aż rwało do domu, do robót polnych. Z podwójną zatem niecierpliwością oczekiwano powrotu wysłańców.

Nadpłynęli szybciej, niż się spodziewano, i w zwiększonej liczbie łodzi. Książę rański, Krut syn Gryna, z półsetką swych wojów, przybył razem z posłami obejmować władzę. Małomówny, surowy, zgodnie z obyczajem Ranów i własnym imieniem: Krut znaczy tyleż co srogi. Od słowa Krut pochodzi

okrutny, okrucieństwo. Ani jednego zbędnego dnia nie chciał zatrzymać się w Lubece czy Zwierzynie, ruszając natychmiast nad Łabę do wojska.

Obecność jęgo była tam wielce potrzebna. Śmierć Błusa, bezczynność zimowa, a ostatnio grom radogoski, obniżyły wartość bojową słowiańskich szeregów. – Gdyby Magnus dziś nastąpił, tyle byście go zadzierżyli, co wodę rzeszoto! – złościł się Krut. Na psa takie wojowanie! Gniewny objeżdżał stanowiska, sprawdzał uzbrojenie załóg. Tu, na Łabie, rozstrzygną się losy Obodrzców. Ze strony Duńczyków nie groził chwilowo najazd. Historyk Orderyk Vitalis, autor dzieła *Historia Ecclesiastica*, zapisał pod rokiem 1069:

W tym czasie Swen, król Duńczyków... wystawił liczną flotę... i wysłał do Anglii... Rozporządzał wielką potęgą, ściągnął wszystkie siły ze swego królestwa, do których dołączył wielkie posiłki z sąsiednich a zaprzyjaźnionych krajów... Także Lucice przysłali na wyprawę angielską oddziały posiłkowe... W ich kraju mieszkał naród liczny, który spętany błędami pogaństwa nie poznał dotąd Boga prawdziwego... Lud ten był doświadczony w walkach na lądzie i morzu...

Zaiste nie było obawy, aby król duński pozbywał się cennych sprzymierzeńców wieleckich dla obrony praw Goczałkowiców! Co innego Magnus! Ten rad chwycił powód, by wmieszać się w sprawy słowiańskie. Wiedziano, że udzielił Budziwojowi sześciuset wyborowych jezdnych, pozwolił zebrać siły Bardów, Holzatów, Sturmarów oraz Tetmarszów i obiecał osobiście nadciągnąć z odsieczą, gdyby zaszła tego potrzeba.

Toteż w niecały rok później Budziwój na czele wojska przekroczył Łabę, wszedł na ziemię Wagrów i obiegł warownię Płońsk (dziś Plon). Wówczas Krut przemyślnym wybiegiem (Krut znaczy także „kręty”, wykretny – mawiali później z uznaniem jego poddani) wywiódł po kryjomu załogę z twierdzy, pozwalając nieopatrzniemu młodzikowi zająć niebroniony gród. Gdy Budziwój wprowadził do warowni wszystkie swoje siły, Krut błyskawicznym manewrem otoczył wały wojskiem. Oble-

gający stali się obłożonymi. Zapasów w twierdzy nie było. Magnus nie nadciągał z pomocą. Nie mógł nadciągnąć, gdyż równocześnie rozgorzała wojna pomiędzy królem Henrykiem IV a księciem Ottonem bawarskim. Króla wspomagał arcybiskup Adalbert. Przy Ottonie stał syn Ordulfa Magnus. Sprawa obodrzyckiego ksiąźątka zesła na plan dalszy.

Dnia 8 sierpnia 1071 r. zginął Butue [Budziwój] i cały kwiat Bardów przed warownią Plune [Płońsk]. Spotęźniał Krut i dzieło rąk jego... I otrzymał władzę nad całą ziemią słowiańską, a siły Sasów starte zostały. Oni sami pod władzę Kruta przeszli i dań mu płacili, oni, to jest cały kraj Nordalbingów [północna Saksonia] pomiędzy trzy ludy podzielony, pomiędzy Holzatów, Sturmarów i Tetmarszów. Wszystkie te ludy przez cały czas rządów Kruta znosiły najsroźsze jarzmo poddaństwa. ...W owych czasach wiele rodzin holzackich powstało i przebywszy rzekę Elbę, poszło bardzo daleko, szukając sobie dogodnych siedzib, gdzie by zawziętości prześladowania uniknąć mogli (Helmold, *Kronika Słowian*).

Teraz dopiero, pokonawszy natrętnego sługę Sasów, Budziwoja, Krut mógł spokojnie rozejrzeć się po swym władztwie. Nowo zwołany wiec wszystkich plemion obwołał go jednomyślnie Wielkim Księciem. Granice obszernego państwa Goczalkowego powiększyły się jeszcze o kraj północnych Sasów. Słusznie pisał kronikarz, że spotęźniał Krut. Ludy słowiańskie miały nareszcie księcia oddanego starej wierze, równie jak oni nienawidzącego cudzoziemców, księcia, co bił Sasów, miast im się kłaniać. Szczęśliwy obiór władcy należało dopełnić złożeniem bogom ofiary. Każde plemię, każdy gród posiadał własne bóstwo opiekuńcze, lecz ważność zdarzenia wymagała oddania czci najstarszemu z bogów. Do niedawna za takiego uchodził Swarozyc. Niestety, już go nie było. Nie istniała Radogoszcz. Pozostawały dwa ośrodki wiary pogańskiej równe znaczeniu Rzymu dla chrześcijan. Były nimi świątynia Trzygława w Szczecinie i Arkona na wyspie Ranie. Do tej ostatniej Wielki Książę Obodrzycki, Krut, z rodu ksiąźąt rańskich, skierował poselstwo i kosztowne dary.



Położona naprzeciw Strzałowa i Wołoszczy wyspa Rana (dziś Rugia) posiadała w owym czasie większą powierzchnię niż obecnie i mniej poszarpaną. Nieustanna, dziewięćsetletnia działalność morza usiłującego skruszyć skalistą warownię uczyniła dziś z Rany (Rugii) kilka wysp połączonych między sobą wąskimi smugami łądu. Lecz wtedy Rana była urodzajna, gęsto zaludniona, posiadająca liczne grody i przystanie. Zamieszkiwał ją lud zamożny, zuchwały, skory do bitki. Mawiano na łądzie, że jeśli Ran powie: „Tak chcą bóg i miecz” lepiej zważać na jego pięści niż na gębę. Nie czuli braku ziemi, gdyż większą część życia spędzali na morzu. Morze żywiło i rybaków, i korsarzy.

Piękne świadectwo społeczności rańskiej wystawił kronikarz Helmold:

Ranowie... jaśniejają wielu wrodzonymi przymiotami. Odznaczają się gościnnością, a rodzicom okazują winną cześć. Nie ma też u nich ubogich ani żebraków. Skoro bowiem znajdzie się pomiędzy nimi człowiek chory czy zgrzybiały, poruczają go opiece jednego z jego potomków, który jest obowiązany pielęgnować go z całą ludzkością.

Brakło na Ranie borów; niewielkie laski, zwane stubnicami, stanowiły własność kapłanów lub księcia. Były nietykalne, podobnie jak żyjąca w nich zwierzyna. Z braku opału ludzie palili torfem, obficie znajdującym się w niektórych punktach wyspy, i szczątkami rozbitych, wyrzuconych na brzeg łodzi. Tych również nigdy nie brakło. Prawa łowieckie zastrzeżone były dla księcia. W przyszłości, gdy wygasną książęta rańscy, nowi właściciele wyspy ogłoszą, że poddanym wolno posiadać psa tylko o trzech nogach. Przeto każdy, co pragnął mieć stróża zagrody, obcinał szczeniakowi jedną łapę. Za dawnych czasów tego okrutnego zwyczaju nie znano, choć kary za łowiectwo były surowe. Wilki nie trzymały się na wyspie, przechodziły przesmyk zimą po łodzi, lecz nim roztajało, wracały na łąd, przeto zwierzyny była na wyspie obfitość. Jelenie, sarny, zające, wszelki zwierz drobny, i mnogość ptac-

twa. Głuszce, cietrzewie, jarzabki, słonki, żurawie, łabędzie, dzikie gęsi, dzikie kaczki i różne rodzaje mew.

Żadne gęsi nie mogły równać się co do wielkości i gatunku puchu z tymi, które chowały gospodynie rańskie. Co jesień długi sznur łodzi wiózł biały, pierzasty ładunek na targ do Strzałowa. O tym także znana była gadka na łądzie: „Ogląda się, niby rańska gęś na Strzałów”.

Kiedy Subisław, syn Niebora, przedstawiciel starszyny obodrzyckiej, i Raczek, jeden z wojów rańskich, co przybyli razem z Krutem, wprowadzili łodzie poselstwa do zatoki zwanej Bug, pełno już w niej było licznych statków i czółen. Podobnie działo się w każdej przystani. Las masztów chwiał się naokoło wyspy. Raczek wyjaśnił towarzyszom, że zjazd ten ma związek ze świętem jesiennym. O tej porze cała ludność przynosi Świętowitowi dary plonów ziemi i dziesięcinę ze zbiorów. W tych dniach również każdy z Ranów, czy mężczyzna czy niewiasta, wpłaca jeden pieniążek do skarbcza świątyni. Podobnie ze wszelkiego łupu wojennego czy korsarskiego trzecią część składano bogu w dowód wdzięczności za osiągnięte korzyści.

Arkona, gród święty, leżała na północno-zachodnim cyplu półwyspu Witów, a Sakso Gramatyk pozostawił dokładny jej opis:

Pośrodku obszernego placu stała świątynia drewniana o nadzwyczaj misternej budowie... Zewnętrzne jej ściany... pokrywały płaskorzeźby, wyrażające najrozmaitsze postacie... W świątyni stał ogromny posąg [boga Świętowita], wielkością przewyższający kształt ludzki, czterema głowami i tyłuż karkami wzbudzający zadziwienie. Dwie głowy zdawały się zwracać w stronę piersi, dwie w stronę pleców. W obu parach głów jedna spoglądała wprost przed siebie, a druga na lewo. Brody i włosy miały krótko postrzyżone, tak że widoczny był zamiar rzeźbiarza, aby przedstawić sposób, w jaki noszą się Ranowie. W prawej ręce posąg trzymał wielki róg, wykonany z kosztownego kruszcu... w lewej złoty łuk i strzały... Świętowit miał długą szatę sięgającą łydek i stał jak człowiek, stopami na ziemi. Opodal leżało jego uzbrojenie, siodło, rząd

i różny sprzęt. Bogactwem i ozdobą wykonania wyróżniał się spośród nich miecz... (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Wiedziony przez Raczka Subisław razem z towarzyszami i służbą, niosącą przywiezione dary, wspięli się po stromym wzgórzu ku bramie grodu, bronnej wieżą, dzisiaj szeroko otwartej. Za bramą cisnął się nieprzeliczony tłum ludzi, którzy nie mogąc pomieścić się na dziedzińcu, obsiedli wały wkoło gęstym wieńcem. Złożyli już w świątyni dary owoców i zboża; teraz czekali, rychło kapłani ogłoszą rozpoczęcie święta.

Pokryte rzeźbą od zewnątrz, obite złotą blachą od wewnątrz, wrota świątyni, podobnie jak brama, były otwarte. Czekający ludzie widzieli przez nie uwijającego się w gmachu kapłana, zmiatającego pył z podłogi świątyni i rozwieszającego wieńce. Czynność, acz łatwa, zabierała mu wiele czasu, nie śmiał bowiem odetchnąć w obecności boga. Zaciskał więc usta, a gdy już nie mógł wytrzymać, wybiegał przed wrota, by nabrać w płuca powietrza. Z ciągłego wysiłku wstrzymywania tchu był spocony i na wpół zduszony; surowy rytuał jednak mówił, że lepiej trupem paść niż skazić boga nieczystym ludzkim oddechem. Tylko w przytomności najstarszego z kapłanów, sprawującego ofiary, zakaz ten nie obowiązywał.

Nareszcie żerca skończył, odetchnął z radością i zawarł wrota od środka. Znaczyło to, że uroczystość zacznie się na jutro o świcie.

Pogodną sierpniową noc spędził każdy tam, gdzie stał. Noc była chłodna, lecz bliskość wzajemna ciał grzała. Morze połyskiwało w mroku, bielejąc smugami piany. Wiatru nie było i tylko woda chlupotała rytmicznie o skały.

Ledwie gwiazdy pobladyły, a wąskie skrzydła mew jęły ciąć i rozganiać mrok, zagrzmiały rogi niewidzialnych jeszcze żerców. Brzmiały dojmująco, niosły się daleko po morzu. Spoza świątyni wyszły pacholeta w bieli, niosące owoce, jarzyny, kłosa, zboża, leszczynowe orzechy, chmielowe szyszki, kiście prosa, makówki. Za nimi starsi dźwigali półroczne baranki, nieśli drób, prowadzili źróbki, pędzili podświnki i cielęta. Dziedziniec wypełnił się myczeniem, beczeniem, kwikiem,

gdakaniem, rzeniem, zmieszanym z chrapliwym rykiem rogów. Teraz szli żerca. Jeden z nich dzwigał złoty dzban, wypełniony napojem uwarzonym z ziół i miodu. Za nim szedł najstarszy kapłan. Wyróżniały go długie siwe włosy, spływające na ramiona, oraz równie siwa broda.

Kapłani weszli do gmachu i wśród uroczystej ciszy długowłosey żerca wyjął z dłoni posągu drogocenny róg. Ukazał towarzyszom i stojącemu na zewnątrz ludowi, że jest pełen zeszłorocznego napoju, co samo przez się stanowiło dobrą wróżbę. Na powierzchni płynu ciemniała warstewka pyłu, pływały po niej muchy i żdźbła ziół przyniesionych z wiatrem, niemniej kapłan wychylił ten kielich do dna z wyrazem lubości. Podano mu złoty dzban. Strząsnął z niego parę kropel na ziemię, nappełnił róg po brzegi i ostrożnie umieścił z powrotem w prawicy boga. Teraz tłum się poruszył, rozstał się. Przez ciżbę przedierał się korowód mężów, niosących rumiany obły przedmiot, podobny z dala do wysokiej tarczy. Z bliska okazywało się, że to nie jest tarcza, lecz olbrzymich rozmiarów kołacz. Pieczono go w osobnym piecu, jedynie na tę okazję raz do roku używanym, a miesienie ciasta stanowiło przywilej niewiast z paru najprzedniejszych rodów rańskich. Długowłosey żerca odwrócił się od posągu, a ludzie z plackiem stanęli przed nim twarzami zwróceni do tłumy. Kołacz zasłaniał kapłana, który zza ściany ciasta zawołał: – O ludzie, czy mnie widzicie? – Odpowiedzieli chórem: – Nie widzimy ciebie wcale! – Po trzykroć tak pytał i za każdym razem tysiąc głosów odgrzmiewało: – Nie widzimy ciebie wcale! – Za trzecim razem długowłosey opuścił piernikowy szaniec. Był łaskawy, pogodny. Wróżba wypadła pomyślnie. Urodzaj przyszłoroczny zapowiada się bogaty, a ludzie będą piec chleby wielkie, jak ten kołacz.

Słońce padło przez otwarte wrota do wnętrza świątyni, odbijając się złociście w rogu trzymanym przez Świętowita. Jeszcze jedna pomyślna wróżba. Obrzędy religijne były zakończone. Teraz zaczynało się swobodne ucztowanie, śpiewy, płasy, i znów ucztowanie, i tak przez kilka dni.

Poselstwo Wielkiego Księcia Obodrzyców przyjęto z należnym szacunkiem. Długowłosy kapłan pochwalił dary i powiódł gości do skarbcza, gdzie od wieków gromadzono cenneści składane Świętowitowi, nie tylko przez Ranów, lecz również przez inne plemiona słowiańskie, a nawet ludy skandynawskie. Sława Świętowita rozchodziła się bowiem szeroko.

Nie ukrywając zadowolenia kapłani ukazywali posłom te bogactwa. Największego jednak skarbu świątyni nie odsłaniano nigdy przed nikim. Nie wspomniano o nim nawet. Niejasne tylko wieści, krążące między ludem, mówiły o świętym i mocnym Znak zwanym Stanicą.

Sprawiono dla posłów wróżbę za pomocą zakopanych w ziemię losów. Losami nazywano gładkie, małe deszczułki po jednej stronie czyste, po drugiej czernione sadzą. Zakopane, po licznych śpiewach i zaklęciach odkopywano znowu. Długowłosy kapłan rzucał je z rozmachem w górę. Patrzano z biciem serca, którą padną stroną. Stary wróż umiejętnie rzucał. Prawie wszystkie tabliczki świeciły bielą. To wieściło niechybnie panowaniu Kruta długotrwałą pomyślność i pokój.

Nie byle jaką wiedzę mieli arkońscy kapłani, wróżby ich bowiem ziściły się słowo w słowo. Od dnia złożenia Świętowitowi darów przez Subisława, syna Niebora, minęło dwadzieścia lat w niezamaconym pokoju. Błogo brzmi to słowo: pokój. Od dawna nie zaznali go Słowianie! Tym bardziej cenili sobie obecny szczęśliwy czas. Nie pustoszył kraju nieprzyjaciel, nie nękały coroczne najazdy tych czy innych wrogów. Można było chwalić jawnie stare bogi, składać obiady ubożętom czy zmarłym dziadom, nie kryjąc się z tym po lasach. Ziemia uprawiana bez trwożnego pośpiechu dawała obfite plony. Mnożyły się świny, rosło piękne bydło, mleczne krowy, silne woły. Komory były pełne. Rolnicy, rybacy, łowcy, bartnicy, wszyscy żyli dostatnio, niegłodno. Nie obawiając się wroga, staranniej budowano chaty i chlewy. Rozrosły się grody, wzmożł handel. Młodzież tylko z opowiadań znała

grozę wojny. Ludzie cieszyli się życiem, ufali, że tak już na zawsze zostanie. Chwalili bogów i Wielkiego Księcia, któremu zawdzięczają obecną pomyślność. Krut on był, ale tylko Sasom, którzy skwierczeli pod jego żelazną pięścią. Dla swoich był sprawiedliwy, surowy, owszem, nie dopuszczający swawoli, ale sprawiedliwy.

Szanując swego władkę, woleliby może, aby był bardziej ludzki, przyjacielski. Tej cechy jednak Krut syn Gryna nie posiadał. Nikt się z nim nie poufalił, on z nikim się nie przyjaźnił. Uczestniczył, jak przystoi, w ofiarach składanych bogom, lecz nigdy nie brał udziału w świątecznych ucztach czy piasach. Nie zdarzyło się, by przyszedł popatrzeć na Sobótkę, gdy stosy płoną, a junaki skaczą przez płomienie. Albo jak dziewczki puszczają wianki na wodę przy śpiewkach, piskach, wybuchach śmiechu lub płaczu. Kto żyw, przychodził patrzeć na to widowisko, tylko ksiączę pozostawał w swym dworcu. Jedyną jego rozrywkę stanowiły łowy, ostatnio jednak ocieźzał i nie kwapił się już gonić za zwierzem jak dawniej.

Domyślali się poddani, że nie tylko wiek, ale nieznanie im troski powodują ksiączęcą posepię. Pewnie się frasuje, komu dziedzictwo zostawi. Trzecią już ma żonę, a potomka ani śladu. Na to inni powiadali, że wszak ród Kruta jest liczny. Rodzeni bracia księcia mieszkają na wyspie Ranie. Niechby usynowił bratanka i następcą po sobie nazaczył.

Troski omraczające duszę Kruta syna Gryna były liczniejsze i do rozwiązania trudniejsze, niż to sobie wyobrażali poddani. One sprawiały, że nie będąc jeszcze zbytnio pomkły w latach, postarzał ostatnio mocno. Choć po dawnemu modłą rańską golił policzki i brodę, strzygł krótko siwe włosy, to jednak kępki szpakowatej szczeci sterczące z nozdrzy i uszu, a także zjeżone brwi czyniły twarz starego księcia podobną do odyńca. Jakoż i z usposobienia przypominał dzika samotnika, co w pojedynkę depcze gniewnie ściółkę leśną, przetrwając w sobie niechęć ku wszystkiemu stworzeniu. Bardziej niż lata, myśli gorzkie niby piołun przygarbiły jego barczyste plecy i zbrzdziły czoło.

W przeciwieństwie do ludu, który przypisywał księciu zasługę panującego w kraju spokoju, Krut wiedział, iż obecne bezpieczeństwo Obodryczyków wynika mniej z jego siły niż ze słabości sąsiadów. Walki cesarza Henryka IV z papieżem i z własnym narodem nie ustawały, przeciwnie, były coraz zacieklejsze. Cesarstwo nie starało się nawet uwolnić północnej Saksonii spod jego, Kruta, władzy, cóż dopiero myśleć o najeździe na ziemie słowiańskie! Przyjdzie jednak czas, że Niemcy staną się mocne jak dawniej. O tym należy pamiętać. Podobnie z Danią. Na razie pochłonięta jest swoimi wewnętrznymi sprawami, lecz gdy to się zmieni?...

Krut syn Gryna pochodził z rodu władców, budowniczych państw. Umysł miał bystry, patrzący daleko. Pojmował, że udzielonego przez bogów pokoju trzeba użyć dla stworzenia siły zdolnej się oprzeć zakusom niemieckim czy duńskim, czy jednym i drugim razem. Uczynić pokój trwałym, niezależnym od okoliczności. Najprostszą ku temu drogą byłoby zebrać w jedno wszystkie plemiona słowiańskie, wierne starym bogom. Wezwać do wspólnoty Wioletów, co gniją bezsilnie, utraciwszy Swarozycza. Połączyć się w jedno z Ranami i Pomorzanami. Od Wisły po Łabę nie lada byłoby państwo. Potęga, jakiej nikt nie śmiałby zaczepić... Nieraz, gdy o tym myślał, zrywał się z ławy jak młody, gotów natychmiast działać, posłów ślać czy samemu jechać... Niebawem zapał ostygł. Wezwać Wioletów, czyli Luciców?... A już ci! Przyjdą ci oni?... Od spalenia Radogoszczy gniją rzeczywiście, zgoła niepodobni do siebie... Wiece straciły zupełnie szacunek, każdy wiec u nich kończy się powszechną bójką. W jednej tylko sprawie zostali twardzi po dawnemu: nienawiści do Chyżan i Czrezipienian. Poczytują ich winnymi spalenia Radogoszczy. Gdyby nie rzucili Świętego Związku – powiadają – niemiecki biskup nie ośmieliłby się napaść... Że sami na Czrezipienian uderzyli, że wrogów przeciw nim zwołali, nie chcą pamiętać. Znając zawziętość słowiańską, można wnosić, iż żadne namowy nie nakłonią ich do zgody z tamtymi... A Ranowie? Krut znał swych ziomków. Wejdą chętnie do wspólnoty, wnosząc swoje niepospolite

zalety, ale wejdą pod warunkiem, że przewodnictwo będzie do nich należało. Żądanie słuszne, gdyż Ranowie górują nad innymi rozumem i doświadczeniem; lecz żadne z plemion lądowych tej wyższości nie uzna, wypiarzom się nie podporządkuje... Przekłète koło! Depcz, depcz, zabiegaj, wracasz do tego samego rozstaju... Bez Wioletów i Ranów, szkoda sięgać do Pomorza. Chodzą zresztą gadki, że książęta pomorscy są chrześcijanami w tajemnicy przed swoim ludem...

Chrześcijaństwo... Oto była troska najcięższa, ważniejsza nawet niż brak syna i niepewność co do przyszłych losów księstwa. Troska, której nie było z kim dzielić.

Podobne myśli nikogo poza nim nie udręczały. Otaczający go woje i starszyzna uważali jednomyślnie, że ta wiara jest najlepsza, którą wyznawali ojcowie. Co stare to dobre – co nowe to złe. Niemcy mają własną wiarę, nikt im jej nie wzbrania. Słowianie mają swoją. Własna wiara zawsze dobra, a wierność swej wierze stanowi przednią cnotę męską. Przed laty Krut syn Gryna dzielił te poglądy. Obecnie dawne pewniki chwiały się w jego umyśle.

Może dlatego, że był Ranem, Krut spostrzegwał więcej niż jego poddani. Pojmował, że wiara chrześcijańska, choć Niemcy głoszą, że należy do nich, nie jest wiarą niemiecką, ale powszechną. Wyznaje ją wiele narodów, a ich liczba ciągle rośnie.

Czy rzeczywiście wszystko, czego ojcowie nie znali, jest złe i szkodliwe, zasługujące na wzgardę? W narożnej komnacie dworca leżały w kącie na kupie księgi, pozostałość po Goczałku. Oprócz ksiąg, karty pergaminu, jedne zapisane, inne czyste. Zazwyczaj w razie pustoszenia klasztorów lub dworców saskich, książki, o ile się tam znajdowały, były przez Słowian z zawziętością palone. Nie przydawały się na nic, a mogły kryć w sobie czary. Te tutaj ocalały, gdyż stary Błus kazał je zostawić. Błus umarł, o księgach zapomniano i leżały w swoim kącie grubo przysypane pyłem. Nie wiadomo, czy tkwiły w nich czary, w każdym bądź razie sam ich widok nawiewał dziwaczne myśli. Patrząc na drewniane, grube okładziny, na



skórzane grzbiety, Krut uprzytamniał sobie, że w całym jego państwie, wielkim i szerokim, nie znajdziesz ani jednego człowieka, który by znał tajemnicę drobnych czarnych znaków, kreślonych na tych kartach. A jeżeli żyje taki, to nie przyzna się do swej umiejętności w obawie, że będzie posądzony o sprzyjanie chrześcijaństwu. Słowianom wystarczały jak niegdyś zwykle ciosna na drzewach granicznych, te same ciosna ryte w kamieniu, lub klejma do znaczenia barci czy stada. Krut zdawał sobie sprawę z różnicy dzielącej owe pierwotne znaki od pisma. Księża ze swoich czarnych znaczków, zapelniających karty, odczytywali wszystkie sprawy. Umieli, patrząc na nie, powtórzyć, co się działo gdzie indziej, kiedy indziej, jakby tam byli, patrzyli...

Któż może rzec, iż podobna umiejętność jest zła? Jest dobra i pożyteczna. Warto by ją posiąść, ale jak, skąd?... Żaden mnich chrześcijański nie zechce uczyć poganina, ani poganinowi przystoi iść po naukę do mnicha.

Mimo swej rańskiej wyniosłości, Krut raczył nieraz rozmawiać z kupcami, którzy przyjeżdżali do Lubeki czy Roztoki, przywożąc cenne towary do wymiany na bursztyn, skóry i miód. Wielu z tych cudzoziemców rozumiało mowę słowiańską, jeździli bowiem często wzdłuż wybrzeży bałtyckich. Gdzie oni zresztą nie jeździli! Zнали Nowogród, Kijów, grody szwedzkie, norweskie, duńskie, niemieckie, italskie, francuskie... Mieli o czym opowiadać! Z Holandii przyjeżdżali znów łowcy sokołów, które złowione w sieci zawozili do Francji i tam dobrze sprzedawali. Choć przyjeżdżali rokrocznie, za każdym razem otrzymać musieli zezwolenie księcia pana, gdyż sokoły, podobnie jak orły, łabędzie i czaple, zastrzeżone były dla książęcych łowów. Kraju, który zamawiał sokoły, nie nazywali już Galią, jak dawniej, lecz Francją. Przedstawiali ją jako kraj wielki i bogaty. Krut pozwalał sokolnikom holenderskim siedzieć przy kominie w wielkiej sieni zamkowej i wypytywał ich, bacząc, by nie zdradzić ciekawości, uchybiającej godności książęcej. Opowiadali chętnie, zwłaszcza o Paryżu, dawnym rzymskim grodzie, zewsząd rzeką oblanym, słynącym teraz

z wiedzy. – Są tam – powiadali – szkoły, do których zjeżdżają uczeni całego świata...

Krut kiwał głową ze zrozumieniem. Mnisi kształcą młodych mnichów na swoich następców. To samo czynią kapłani arkońscy. Holender zaprzeczał żywo. Nie o takie szkoły chodzi. Wielu świeckich z różnych krajów przybywa do Paryża, tam toczą spory, wykazują, czyja mądrość większa... O czym mówią owe „nauki wyzwolone”, owe „filozofie” nie wiedział, sokolnikiem będąc, a nie uczonym. Słyszał tylko nieraz, że są to sprawy dla człowieka najważniejsze... Krut udawał obojętność, lecz gdy Holender milkł, zachęcał go nowym pytaniem. Potem nocą bezsennie przewracał się na swym legowisku suto wymoszczonym skórami. Nawiedzało go wrażenie, coraz częściej wracające w miarę jak się starzał, że on i jego ludzie wpadli w wilczy dół bez wyjścia, z którego dna ledwo skrawek nieba widać, a na powierzchni życie tętni, bieży, dzieją się przeróżne sprawy, o których siedzący w dole pojęcia nie mają ani mieć mogą... Odcięci są, pogrzebani. To znów widziało mu się, że siedzą nie w dole, a w dziupli drzewnej albo na ostrowie. Nie na ostrowie skalistym wyniosłym, jak Rana, lecz płaskiej mieliźnie. Grzbiet mieliżny stoi w miejscu, a fale mijają go, pędzą w przód... I to porównanie złe. Kra! Stoją na krze, co płynię i kruszy się, i topnieje... Gdy skruszeje, pójdą na dno. Co począć? Nie ma wyjścia z dołu, czyli dziupli, nie ma łodzi, by opuścić ostrów, nie ma gruntu, na którym zatrzymałaby się kra.

Dręczyło uczucie, że była kiedyś stosowna pora włączenia się w nurt, lecz została przeoczona. A teraz?...

On, Krut, ma obowiązek wyprowadzić swój lud ze ślepej zatoki. Gdyby przyjął chrześcijaństwo, jak to uczynił niegdyś polski Mieszko? Jest dość potężny, by móc zwrócić się wprost do papieża, omijając pośrednictwo Niemców. Papież wojuje z cesarzem, więc będzie sprzyjał Krutowi, jak sprzyjał Bolkowi Śmiałemu, zezwalając na jego koronację... Krut mógłby też zostać królem. Pochlebcy już go nieraz tak nazywają. Lecz cóż z imienia, jeżeli nikt go nie uzna. Nie powie do niego: „Wi-

taj, królu bracie” król francuski, król duński, polski, choćby z nim byli złączeni przymierzem. Bo według nich tylko papież w Rzymie władny jest rozdawać korony. Byli niegdyś królowie pogańscy, lecz czas ich się przeżył. Królem dzisiaj może być tylko chrześcijanin...

Więc na co czeka? Zaczynać, zaczynać! Nie tracić czasu! Zimny namysł studził rozbudzoną chęć. Naród nigdy nie przystanie! Od czasów Mieszki minęło więcej niżli sto lat. Przez ten czas narosło tyle krzywdy, żalu, oporu, że darmo marzyć, by pójść jego śladem. Jak nakłonić lud, któremu wpojono nienawiść do chrześcijaństwa? Lud, gdzie matki uczą dzieci: Nie ufaj chrześcijaninowi! Albo: kłamie jak chrześcijanin. Gdyby on, Krut, ksiązę mocny, ogłosił przejście na chrześcijaństwo, wezmą go zrazu za szalonego, a potem okrzyczą zdrajcą. Wszyscy jak jeden mąż staną przeciw niemu. Cóż ma wtedy uczynić zagrożony ksiązę? Wzorem Goczałka czy Budziwoja zwrócić się o pomoc do Sasów, Duńczyków albo Bawarów? Śmiał się sam z tej myśli, ponuro jak puszczyk. Nie było wyjścia z dołu.

Do trosk książęcych dołączył się własny niepokój. Przyczyną jego było również chrześcijaństwo. Zaiste, czegokolwiek człowiek myślą dotknął, natykał się na nie. Można było nienawidzić chrześcijan, a zdumiewać się wiarą, jaką wyznawali.

Inni bogowie lubili mieszkać wśród swoich, nie pragnąc nowych wyznawców. Jezus Krystus, przeciwnie, chciał wszędzie panować. Wokół Niego kłębiło się od sprzeczności. Krystus był niby pokorny, w stajni się pono narodził (kapłani arkońscy parskali śmiechem, słysząc tę gadkę), a zarazem taki pyszny, że innych bogów koło siebie nie mógł ścierpieć.

Im więcej Krut nad tym myślał, tym osobliwsze sprawy ukazywały się jego oczom. Odkąd biskup niemiecki zniszczył przed laty Radogoszcz, Swaróżyca nie ma. Spłonął. Wieleci chodzą do dziś dnia jak bez duszy. Nieliczni żercy ocaleni z pogromu jęli się innej pracy albo służą pomniejszemu bogom. Swaróżyca już nie ma. A ileż razy Obodrzyce czy Wieleci palili świątynie chrześcijańskiego Boga! Ogień trawił wszystko,

ale Bóg uchodził cało. Istniał nadal żywy i wieczny. Jego wyznawcy gadali do Niego, twierdzili, że On wciąż jest przy nich obecny. Co za niepojęte sprawy! Ulatywał z płomieni w powietrze, czy też uciekał chytrze zawczasu, że nie można Go było doścignąć?

Nie dosyć na tym. Sami chrześcijanie czynili, co tylko mogli, by swojego Boga obalić. Acz samotny i milkliwy, Wielki Książę wiedział, co się w świecie dzieje, nie tylko z opowiadań kupców albo holenderskich sokolników. Zdawali mu sprawę z wypadków niemieckich wiernicy, zarządzający w jego imieniu północną Saksonią, rozsyłał swoich zaufanych ludzi do innych dworów, by mu donosili, czy się tam czego przeciw Obodrzycom nie knuje. Od nich wiedział o walkach biskupów niemieckich z papieżem, o gwałtach popełnianych w świętym mieście Rzym, o ustawicznych buntach panów chrześcijańskich przeciw swemu Kościołowi. O co im chodziło, książę obodrzycki nie zawsze pojmował, widział jednak, że siła była zawsze po stronie króla czy książąt, a zwyciężał papież. Nie dziwneż to?

Mocny był Kościół wbrew swoim wyznawcom. (Ogarnąłby cały świat, gdyby chrześcijanie tak go szanowali jak my Świętowita – przemykało Krutowi przez głowę). Bardzo był mocny. W roku według rachuby chrześcijańskiej 1076 papież wyklął cesarza Henryka IV i ten w styczniu w srogą zimę powędrował do Italii przez ogromne góry i śniegi błagać o przebaczenie. Papież był twardy, zamknął się w warowni zwanej Canossą i cesarz niemiecki stał dwa dni boso z odkrytą głową na śniegu i mrozie, aż się papież dał ujednać i cesarzowi przebaczył. Wprawdzie w niecały rok później znów się pogniewali, ale to inna sprawa. Boso na śniegu, jak żebrak... W dumnym księciu rańskim krew się burzyła na samą myśl o podobnym upokorzeniu. Lecz ze słów opowiadających przekonywał się, że ta pokora nie zhańbiła cesarza w oczach poddanych i całego świata. Raczej przeciwnie... Któż by mógł to zrozumieć?...

Przed niewielu laty zaszły wypadki budzące w nim nadzieję, że stara wiara powróci. Sasi rozjątrzeni postępowaniem ce-

sarza Henryka IV rozwalili twierdze, jakie na ich ziemi postawił, zburzyli jego piękny nowy zamek w Harzburgu i spalili tam kościół z grobami przodków cesarskich. Sasi pałacy kościoły – było to zaprawdę piękne widowisko! Sądono po słowiańskiej stronie Łaby, że to sygnał śmiertelnej rozprawy z mnichami i biskupami, ale wypadki potoczyły się inaczej. Sasi zostali pokonani, obłożeni klątwą, przywódcy buntu (wśród nich Magnus, syn Ordulfa) poszli do więzienia, a lud saski musiał pod batem odbudowywać zamki niedawno burzone.

Krut pojął, że chrześcijaństwo przenika wszędzie, czego dowodem był jego własny dwór.

Od pewnego czasu domyślał się, że jego trzecia żona Sławiena (pojął ją dla urody, choć nie pochodziła z książęcego rodu) jest w skrytości chrześcijanką. Zauważył, że są dni, kiedy przy posiłku nie tknie polewki ani mięsiwa, skubie tylko suchy podplomyk i popija wodą. – Cóż nie jesz? – pytał z początku. Odpowiadała ze śmiechem, a to, że się już wprzód objadła, a to, że ją brzuch boli, a to, iż rzepę woli niż barana... Różne takie przyczyny znajdowała. Niewiasta jak łasica, zawsze się wykręci. Nic nie mówił, ale ją dawać baczenie. Każdego tygodnia dwa dni było tego niejedzenia. Oho, to już wiedział. Nie pytał jednak, ani gdzie się tego nauczyła, od kogo, ani po co to czyni, co ją pociągnęło? Sławieny nie było na świecie, gdy krzyże znikły z ziemi obodrzyckiej. Widocznie żyli jeszcze ludzie, co pamiętali...

Nie pytał wiedząc z góry, że prawdy się nie dowie. Skłamię mu cokolwiek i tyle. Udawał przeto, że niczego się nie domyśla. Lecz drażniło go, że głupia białka zna sprawy jemu obce, sprawy, które nocą nie dają mu zasnąć, zbyt trudne dla męskiego, doświadczonego rozumu.

Niezależnie od zgryzot nękających Kruta, w latach tysiąc dziewięćdziesiątych na horyzoncie księstwa obodrzyckiego

pojawiła się sprawa brzemienna w następstwa: możliwość powrotu Henryka Goczałkowica.

Małym dzieckiem uniosła go z płonącego grodu matka, królowna duńska, Sigrida, wypędzona nago przez powstańców. Dotarłszy do Danii, rychło zmarła z przebytej trwogi. Chłopiec pozostał na dworze jako wnuk królewski.

Swen Estrysden miał czterech synów prawego łoża: Swe-na, Kanuta, Olafa (ten ostatni był przepaścisty, wiecznie głodny, więc go przezywano Głód), Eryka i piątego z nałożnicy, Nielsa. Ich krewniak Henryk był szósty, najmłodszy. Chowali się razem. Po śmierci Estrysdena Henryk jał się dopraszać u Kanuta, obecnie króla, pomocy w odzyskaniu dziedzictwa. Takiej pomocy, jaką jego ojcu, Goczałkowi, okazał niegdyś król Magnus o przydomku Dobry. Lecz Kanut, człowiek miłujący zgodę i pokój, (po śmierci uznany został przez Kościół za świętego, pierwszego patrona Danii) nie kwapił się wszczynać wojny z tego uzbrojonym sąsiadem obodrzyckim. Dopiero gdy Kanut w piątym roku swego panowania (1086) został zamordowany w kaplicy św. Albana w Odense za to, iż nakłaniał lud do płacenia dziesięciny Kościołowi, a tron objął Olaf o przydomku Głód, synowi Goczałka zabłysła nadzieja. Olaf udzielił mu statków i ludzi, z którymi Henryk jał nękać wybrzeża wargryjskie, naprzykrzając się Krutowi.

...kiedy Krut, książę słowiański, prześladowca imienia chrześcijańskiego, skutkiem starości upadł na siłach, syn Godszalka, Henryk, opuścił Danię... Krut wszelki przed nim przystęp zamknął, przeto on, zebrawszy u Duńczyków... pewną ilość okrętów, napadł na Aldenburg [Starogard] w ziemi Wagrów i ogromne łupy stamtąd uprowadził. Gdy zaś to po raz drugi i trzeci powtórzył... sam Krut nadspodziewanie ułożył się z Henrykiem i dozwoliwszy mu wstępu, dogodne wsie na mieszkanie mu odstąpił (Helmold, *Kronika Słowian*).

Wspaniałomyślność Kruta w stosunku do rywala, „nadspodziewana” – zdaniem kronikarza – jest i dla nas trudna

do zrozumienia. Dlaczego Wielki Książę Obodrzycki puścił Goczałkowica do kraju? Z poczucia sprawiedliwości, przekonania, że każdy ma prawo wrócić do ziemi swych ojców? Przez lekceważenie niegroźnego przeciwnika? Po to, by go mieć na oku, uprzedzać możliwe zamachy z jego strony? Może, kto wie, chciał poznać bliżej chrześcijanina, otrzymać wyjaśnienie dręczących go wątpliwości? Nie wiemy nic, poza faktem, że nie działał pod przymusem. Któż by śmiał przymuszać Kruta syna Gryna? Był niezależny, potężny, silniejszy niż ówczesna Dania, w której synowie Swena Estrzydse-na kolejno wyrwali sobie panowanie. Niemcy byli bezsilni, grzęznący w wojnie domowej, Sasi nie śmieli odetchnąć. Z własnej woli Krut wydzielił potomkowi znieawidzonej przez lud dynastii wybrzeże węgryjskie ze znajdującymi się tam grodami i portami.

„Nadspodziewany” postępek zaskoczył wszystkich sąsiadów. Nie pojmując przyczyn, znaleźli najprostsza: Krut odstąpił ten obszar synowi Goczałka, by móc zamordować go sposobną porą.

Krut nie zrobił tego w szczerych zamiarach... (jw.).

Krut nie czynił tego z dobroci serca... (Kantow, *Kronika pomorska*).

Wobec powszechnej opinii Henryk uwierzył w to również. Niemniej przez kilka pierwszych lat stosunki sąsiedzkie obu książąt, starego i młodszego, acz dalekie od przyjaźni, układały się poprawnie. Henryk odwiedzał Kruta, nieraz przebywał na jego dworze czas dłuższy. Co go do tego skłaniało, skoro trwał w przekonaniu, że Krut dybie na jego życie?

Bowiem pani Sławiena, żona Kruta, nieraz go ocaliła uwiadamiąjąc o zasadzkach na jego życie (Helmold, *Kronika Słowian*).

Sławiena, żona Kruta, która była utajoną chrześcijanką... przestrzegła Henryka, by miał się na bacności (Kantow, *Kronika pomorska*).

Paru dobrych duńskich wojów nie odstępowało dniem i nocą swego pana. Toteż Henryk nie tyle obawiał się miecza, co trucizny. Przy biesiadach Sławiena podsuwała mu jadło, wskazując wzrokiem, by brał raczej z tej, nie z tamtej misy. Miodu ani wina nie tykał, pił tylko piwo rozlewane przez służbę wszystkim biesiadnikom z tych samych wielkich dzbanów. Stary książe dostrzegał doskonale te zabiegi i szydził z nich w duchu. Szczupłe ramiona Henryka, jego wąski kark, nie-nawykłe trudu dłonie, budziły w Krucie nieprzewycięzoną odrazę. Pieszczoch, królewicz, zatracona jego mać! Boisz się trucizny, chłystku? Trutka – broń tchórzów. Mężowie mordują się mieczami. Gość jesteś! U pogan gości nie trują. Potruł kiedyś graf Gero książąt słowiańskich przy uczcie, ale to był chrześcijanin... He... he...

Czasami drwił okrutnie z żony i Henryka, rzucając przed gościa wybrany przez siebie, odcięty własnym nożem kęs mięsa. – Jedz! To dobre... – zachęcał. Sławiena bladła, ręce jej drżały. Henryk zmieszany bełkotał niewyraźnie, że dziękuje, że już syty... Wzgardliwe politowanie brało górę u starego księcia nad gniewem. Odwracał wzrok, udając, że nie spostrzega, jak wybrany przezeń soczysty płat pieczeni znika pod stołem w psim pysku.

Dziwić się będą teraz, że mój ogar nie zdechl – myślał. Czasem patrząc na Goczalkowica żałował, że nie mogą szczerze ze sobą pogadać. Są wrogami, no więc są. Cóż to ma do rzeczy? Czyż wrogowie muszą sobą wzajemnie pogardzać? Juźci nie gadaliby o sukcesji ani sprawach państwa, lecz o wszystkich owych zagadnieniach, odbierających staremu księciu sen nocą. Henryk urodzony w chrześcijaństwie powinien je chyba znać? Lecz jakże gadać otwarcie z głupcem, który przy stole gospodarza węższy w jedzeniu truciznę?

Henryk wyjeżdżał, przepadał w swoich grodach węgryskich. Prawdopodobnie skarbił sobie przyszłych zwolenników. Krut nie czynił nic, aby temu przeciwdziałać. Sam się sobie dziwił, że taki jest obojętny. Starcem jeszcze się nie czuł. Niechby kto spróbował najechać ziemie księstwa! Doświad-



czyłby miecza rańskiego! Czuł, że najwyższy czas rozpocząć działanie, zapewnić po sobie następstwo swojakowi. Zbierał się, by wezwać z Rany jednego ze swych bratanków, utwierdzić jego obiór przez powszechny wiec i odkładał wykonanie tego zamiaru z dnia na dzień. Jakby mu przeczucie podpowiadało, że próżne to są zachody. Przesądzona dola księstwa.

Tymczasem lata mijały. Król duński Olaf o przydomku Głód umarł w roku 1095. Na tron wstąpił brat jego Eryk, zwany później Ejegod, czyli Dobrotliwy. Jeden z braci pojechał w tym czasie do Francji, gdzie papież zwoływał chrześcijan przeciwko poganom. Henryk Goczałkowic towarzyszył wujowi w podróży. Nie było go blisko rok. Mówiono wszędzie o wielkiej wyprawie wojennej, na którą poszły niezliczone wojska. Może Henryk dołączył się do nich i już nie powróci? Niestety, powrócił. Było to jesienią. Siadywano znów w wielkiej sieni przed kominkiem, na którym płonęły smoliste polana. Po jednej stronie księżna Sławiena i jej dworki przędły gorliwie, wrzeczona cicho furczały. Krut i Henryk po drugiej, wraz z przybocznymi wojami. Oboje księstwo i gość mieli poręczowe krzesła z wysokim oparciem, pozostali siedzieli na zwykłych stołkach lub ławach. Henryk opowiadał o owej wielkiej wyprawie wyruszającej w tym roku z Francji, Italii, Niemiec, na wezwanie papieża Urbana II odbierać Grób Święty poganom. Opisywał miasto Clermont i wielkie tłumy zebrane, wszystkich nacji, wszystkich stanów... Książęta, królowie, baroni, rycerze, proste woje, mieszczany, biskupi i mnisi, zwykli rolnicy, poddani, nawet żebracy i kaleki. Wszyscy razem! Jedna myśl, jeden głos! Jeden zapał... Bóg tak chce! Czerwone krzyże przypięte na lewym ramieniu... Dla grzeszników przebaczenie, dla więźniów wolność, dla morderców łaska... Uczestnictwo w wyprawie krzyżowej gładzi wszystkie winy. Nie rozróżnisz w tym tłumie, kto z jakiego kraju, wystarczy, że chrześcijanin...

Mówił z zapałem, przesuwał się bezwiednie ze swym krzesłem ku stronie niewieściej. Było to wysoce niewłaściwe, odpowiednie dla grajka czy śpiewaka, lecz nie dbał o to. Jego opowiadanie przeznaczone było dla Sławieny, nie dla pogan.

Księżna słuchała, płonącymi oczami wpatrzona w twarz mówiącego. Wrzeczono wypadało z dłoni, nic się urywała. Zmieszana supłała ją śpiesznie, spoglądając spod oka na męża. Nie zwracał na nią uwagi. Zmarszczywszy brwi, zatopiony był w myślach głęboko. I on nie tracił słowa z opowiadania Henryka. Widział pole, wypełnione niezliczonym tłumem, zatarte różnice, jakąś wielką jedność powstającą pomiędzy skłóconymi zazwyczaj narodami, jedność będącą dziełem chrześcijaństwa. Z tej jedności on i jego ludy są wyłączone na zawsze...

Po trzydziestu kilku latach panowania (był już rok 1105) Wielki Książę Krut do reszty zdziwaczał. Nabrał nawet zwyczaju mówić głośno sam do siebie.

Księżna Sławiena wzywa tajemnie Henryka.

– Strzeż się! – szepce. – Słyszałam, jak powtarzał: – Czas z tym skończyć! Czas z tym skończyć! – Subisława posłał do Korenicy... Nie wiem, po co... Boję się...

– Czas z tym skończyć – przytwierdził Henryk i poczuł nieomal ulgę. Dziesięć lat ciągnęło się życie zatrute urojonym niebezpieczeństwem. Dłużej nie mógł tego znieść... I ta niewiasta... Czas z tym skończyć...

Sławiena patrzyła na niego z błagalnym oczekiwaniem.

Zbrzydziwszy sobie na koniec męża jako już starego, zamierzała poślubić Henryka, gdyby to było można (Helmold, *Kronika Słowian*).

Henryk oznajmił Krutowi, że wyjeżdża do Danii. Otrzymał stamtąd wiadomość niedobłą: król Eryk Ejegod w drodze powrotnej z pielgrzymki do Ziemi Świętej zmarł na wyspie Cypr. Towarzysząca mu królowa, jego żona, zmarła wcześniej na Górze Oliwnej i tamże ją pochowano. Po Eryku zostało dwoje pacholąt nieletnich, Kanut i Świętopełk... Nie wiadomo, kto weźmie nad nimi opiekę, skoro i matki nie mają? Zapewne Niels, brat przyrodni poprzednich królów, Kanuta, Olafa, Eryka, ale z nieprawego łoża... Mąż to zuchwały i chciwy, toteż oczekiwać można zamieszania w kraju... On, Henryk, jedzie

do Danii, upomnieć się o należne mu dziedzictwo po matce, Sigridzie, zanim Niels wszystko rozgrabi. Jak długo zabawi, nie wie... Przed wyjazdem z taką oto przyszedł sprawą: nie-mało razy korzystał z gościnności Wielkiego Księcia, rad by się teraz odplacić uczta pożegnalną, na którą szczerym umy-słem zaprasza...

Krut patrzy na niego w milczeniu. „Szczerym umysłem...” Czemuż gęba nieszczerą? Przeklęte niech będzie kłamstwo!

Henryk czeka na odpowiedź.

W przeciwnym końcu świetlicy błysnęło białe zawicie. Księżna, niespokojna o wynik rozmowy, przysła niby szukać czegoś w skrzyni z przyodziewkiem. Krut idzie ku niej.

– Chrześcijankaś czy popaśnica? – pyta obcesowo.

Struchlała, zadygotała, zapłonila się ze strachu i obelgi.

– Nuże! Nie słyszysz? – nacierał.

Pojęła, że chce wiedzieć, czemu ona sprzyja Henrykowi. Widno nie domyśla się niczego. Wybierając zło mniejsze, wy-jąkała:

– Chrześcijankam...

Henryk kręcił się niespokojny. Przeklinał swą nierozwagę. Sami byli w tej izbie we troje... Bał się poruszyć, skrzyknąć swoich wojów.

Stary patrzył uporczywie na żonę.

– Chrześcijankaś... Henryk woła mnie na ucztę... Mamże tam pójść?...

Wszystka krew uciekła z twarzy Sławieny. Głos jej drży, gdy spuszczaając głowę odpowiada:

– Przecz nie mielibyście iść do niego, panie?...

Za poradą Sławieny Henryk zaprosił Kruta na ucztę, a gdy ten ciężki od obfitego jadła i picia, zgarbiony wychodził z domu, pewien Duńczyk na usługach będący siekierą go uderzył i jednym cięciem głowę mu odrąbał. Henryk zaś ożenił się ze Sławieną i otrzymał władzę i kraj (Helmold, *Kronika Słowian*).

## W SŁUŻBIE SASKIEJ

Po objęciu wielkoksiążęcego tronu i poślubieniu wiariomnej Henryk:

...udał się zaraz do księcia Magnusa [saskiego]... i złożył mu przysięgę wierności i poddaństwa... Cieszyli się Sturmarowie i Holzatowie i inni Sasi..., że upadł ich największy nieprzyjaciel... [Krut] (Helmold, *Kronika Słowian*).

W kraju zawrzało. Wszystkie plemiona płoną oburzeniem. Skrytobójstwo, powrót odsądzonej od rządów dynastii, a co najgorsze, Goczałkowic poddał się księciu saskiemu! Postąpił gorzej niż jego ojciec! Tamten, jako lennik, wzywał pomocy protektora, będąc zagrożony, ten z dobrawoli, zawnazasu uznał się poddanym. Odtąd ziemie Obodrzyców, Wagrów, Warnów, Połabian, Chyżan, Czrezipienian, wchodzą w skład państwa saskiego. Któż by to zniósł?! Pędzą gońcy od grodu do grodu, od opola do opola, od osiedla do osiedla, wzywając do broni. Nie ma, kto by pozostał na to zawołanie obojętny. Zbiera się potężna siła.

...gdy ludy... słowiańskie... posłyszały, co się stało i że nastał nowy książę, który każe prawom chrześcijańskim podlegać i książętom saskim daninę opłacać, straszliwie się oburzyli i wszyscy jedną myślą, jedną chęcią kierowani postanowili walczyć z Henrykiem... Doniesiono [Henrykowi], że wojsko słowiańskie wyruszyło, żeby go obalić, więc rozesłał natychmiast gońców o pomoc do księcia saskiego Magnusa i najdzielniejszych z plemion Bardów i Tetmarszów, Holzatów i Sturmarów, którzy wszyscy pośpieszyli prędko i ochoczo. I udali się do ziemi Połabian, na błonie, które się Smitłowskim Polem nazywa... [dziś Schmilau] (jw.).

Kronikarz nie pisze, kto siłami słowiańskimi dowodził. Widocznie dowództwo było podzielone między poszczególne plemiona.

Magnus, widząc, że wojsko słowiańskie jest liczne i dobrze uzbrojone, lękał się potykać [czekając nadejścia posiłków], a tak walka od rana do wieczora przewleczona była... (jw.).

Przekłęte Pole Smiłowskie! Nie ponowiła się Przeclawa. Nie pomogło bohaterstwo wojowników „jedną myślą, jedną chęcią kierowanych”.

Szeregi Słowian zostały złamane i rozproszyły się w ucieczce i śmierć od ostrza miecza poniosły. Sławne się stało i pamięci godne to zwycięstwo Sasów... Ci, których ojcowie w tej bitwie udział brali, powiadają, że blask zachodzącego słońca oślepił oczy Słowian przeciw niemu zwrócone, że przeciw słońcu nic widzieć nie mogli... (jw.).

Trudno w powód powyższy uwierzyć. Słońce zachodzące miałoby oślepić ludzi zwyczajnych żyć na powietrzu, obeznanym z każdym rodzajem pogody? Słońce w oczy? Czyż łuczników nie zasłaniali tarczownicy, jak to było we zwyczaju? Czy oczu wojów nie ocieniały wystające brzegi hełmów? Klęskę spowodował zapewne brak jednolitego dowództwa.

Słowianie powstali przeciw Henrykowi. Cytowany powyżej Helmold stwierdza spokojnie, że sławne się stało to zwycięstwo Sasów. Henryk się nie liczy. Liczą się jego mocodawcy. I dalej gdy Helmold pisze: „Od onego dnia wszystkie ludy owych wschodnich Słowian posłuszne były Henrykowi...” rozumieć trzeba: „Posłuszne być musiały książętom saskim...”

Jaki naprawdę jest ten Henryk Goczałkowic? Sądząc po czynach, to przede wszystkim człowiek zatrwożony i upokarzany. Obląkana z trwogi, odarta z szat matka, uniosła go dzieckiem z płonącego dworu. Przeżytych wówczas uczuć lęku i grozy chłopiec nigdy nie zapomni. Pozostanie mu wstręt do zapamiętanej z owych czasów mowy słowiańskiej, do tutej-

szych ludzi. Potem młodość sieroca spędzona na dworze króla krewniaka. Lata przeżyte pośród pięciu wojowniczych braci nieboszczki matki, pełne upokorzeń. Te lata uczyniły go chciwym na złoto, gdyż nie posiadał nic swojego, żyjąc z łaski. One sprawiły, że nie cofnął się przed zbrodnią, byle odzyskać księstwo, i stać się kimś znacznym, księciem, a nie rezydentem. I te lata są zapewne powodem, że Henryk nie będzie nigdy ani mężny, ani prawy.

Natomiast księciem został. Niegdyś brat jego Budziwój mówił do Ordulfa saskiego: – Bodaj mi czczy tytuł przypadł, a dla was owoce! To pragnienie urzeczywistnił teraz Henryk. Dla Magnusa owoce, dla niego czczy tytuł. Wystarczy.

Posiadł księstwo i co rychlej ukorzył się przed Magnusem. Stary książę Krut nie korzył się przed nikim. Nie lękał się nikogo i nikt nie śmiał go zaczepić, pomimo że był poganinem. Ba, Krut miał za sobą cały swój lud. Henryk pojmował, że bardziej jeszcze niż ojciec, Goczałk, może sam istnieć tylko w oparciu o obcą siłę.

Ilekróć myśli służebnego księcia stawały się zbyt gorzkie, krzepił się wspomnieniem Włodzisława Hermana, zmarłego przed paru laty księcia polskiego. On też, objąwszy tron po wspaniałym bracie, królu Bolesławie Śmiałym, odesłał cesarzowi koronę na znak hołdu i uległości. Starczyło mu siły, by popełnić podwójną zbrodnię (nasłanie zbójców na wygnanego brata i otrucie jego syna, Mieszka), a zabrakło, by dźwignąć ciężar odpowiedzialności za losy kraju. Ułakł się jak Henryk, który też doszedł przez zbrodnię do władzy.

Ówże Włodzisław otrzymał w nagrodę rękę siostry cesarskiej, Marii Judyty, wdowy po Salomonie królu węgierskim. Wprawdzie mówiono, że awanturnicza wdowa przyczyniała wiele kłopotu na cesarskim dworze i Henryk IV z radością oddał starzejącą się piękność księciu polskiemu. Mówiono też, że na dworze męża w Płocku stała się powodem jeszcze gorszych zaburzeń pomiędzy „ociężałym i słabym na nogi księciem” (Gall) a jego palatynem Sieciechem i książęcymi synami. W oczach Goczałkowica te usterki nie zaćmiewały chwały,

wynikającej z powinowactwa z cesarzem. Gdyby jego spotkał podobny zaszczyt, czułby się prawdziwie szczęśliwy... Lecz on musiał poślubić prostą Słowiankę, z którą skuła go dozgonnie popełniona wspólnie zbrodnia.

W tymże samym roku 1106 umarł książę saski Magnus, zwierzchnik Goczałkowica, a na jego miejsce cesarz Henryk V mianował panem Saksonii Lotara, grafa Suppilenburga. Lotar jest przeciwnikiem cesarza, Henryk V sądzi, że wspaniałym wywyższeniem przejedna jego niechęć, w czym się zasadniczo mylił.

Z tą nominacją na widownię Europy środkowej wkracza wybitna indywidualność. Wycisnie ona swe piętno na losach Połabian. W stosunku do Słowian Lotar nawraca zdecydowanie do polityki margrabiego Gerona i komesa Billinga. Pługastwo pogańskie rozwieliło się nadto. Najwyższy czas je ukrócić!

Pośród licznych domowników dworu nowego księcia saskiego znajduje się młodzieniec, królewicz duński, syn Eryka Ejegoda, Kanut, krewniak Henryka Goczałkowica. Opuścił Danię, lękając się zamachu na swe życie ze strony stryja i opiekuna, obecnego króla, Nielsa. Kanut jest zdolnym, męznym, powszechnie lubianym rycerzem. Przyjaźni się z drugim podobnym doń wygnańcem, Pomorzaniec Warcisławem, synem Świętobora, dziedzicem Kołobrzegu, Kamienia, Pyrzyc, Białogardu, pozostającego u Lotara jako zakładnik.

Klęska smiłowska złamała opór Słowian, nie zapewniając jednak pokoju. Jak gospodarz, którego obejście nawiedził pożar, obchodzi pogorzeliśko, zdeptując płomień, strzelające niespodziewanie z pozornie wypalanej głowni – tak Henryk przerzucał się z krańca księstwa w drugi krańec, otoczony wojskami saskimi (swoim nie ufał), tłumiąc nieustanne lokalne bunty. W czasie jednej z takich wypraw odznaczył się jego syn z pierwszego małżeństwa Mściwój. Warto przytoczyć opis, dający wyobrażenie o metodach rządzenia Henryka:

...doniesiono Mściwojowi, że w pobliżu mieszka lud obfitujący w dobro wszelkiego rodzaju, lecz że mieszkańcy są spokojni i o żadną burzliwość nie podejrzani. Słowianie ci nazywają się Glinianie. Wziąwszy ze sobą dwóchset Sasów i trzystu Słowian, wszystkich ludzi doborowych, Mściwój po dwudniowej podróży przez gęste lasy, trudne do przebycia wody i straszliwe bagna, napadł na mieszkańców wcale nie spodziewających się napaści, więc bezpiecznych, i zabrawszy im niezliczoną zdobycz i ludzi wzięwszy do niewoli, odszedł obciążony łupami... (Helmold, *Kronika Słowian*).

W przeciwieństwie do swego ojca, Goczałka, Henryk nie usiłuje krzewić chrześcijaństwa w swoim kraju. Nie sprowadza księży, nie odbudowuje spalonych lub zburzonych kościołów. Ma jednego kapelana obsługującego kaplicę przy zamku w Lubece. Dość mu na tym. Niech ci obmierzli poganie żyją, jak chcą, niech giną w błędach, oddając ciemne dusze szatanowi. Henryk nie ma zamiaru narażać na los ojca lub dziada siebie oraz Bogu ducha winnych biskupów i księży.

Złośliwi podejrzewają, że w tej obojętności obok tchórzostwa jest także i niechęć do dzielenia dochodów z Kościołem. Być może.

Wkrótce po objęciu tronu Henryk przeżył wielką trwogę: flota rańska dowodzona przez Raczka, krewniaka zmarłego Kruta, dokonała zuchwałego napadu na Lubekę:

...wojsko Rugian, czyli Ranów, podpłynawszy okrętami rzeką Trawną, opasało zniemacka miasto. Ci Ranowie... jest to naród okrutny, w środku morza mieszkający... Wodzą oni rej w całej Słowiańszczyźnie, mają... świątynię najsłynniejszą. Z powodu szczególnej czci, jakiej doznaje świątynia... narzucają swoje jarzmo wielu plemionom, sami go od nikogo nie znosząc. Są bezpieczni dzięki nieprzystępności miejsca... Ci więc... przybyli do Lubeki dla owdzielenia całym krajem Wagrów i Nordalbingów [oraz, niewątpliwie, dla dokonania pomsty rodowej za zabicie Kruta]. Henryk, widząc to nagle nieszczęście... uszedłszy w nocy z dwoma mężami przybył do ziemi Holzatów o pomoc... (jw.).



Napad Ranów był doskonale obmyślony i mało brakowało, a Lubeka wpadłaby w ich ręce. Tylko traf, że napastnicy wzięli nadchodzące posiłki saskie za wojsko własne, schodzące z okrętów, sprawił, że Ranowie ponieśli porażkę.

Kłęski doznali w owym dniu Ranowie i wielu z nich zabitych legło przed warownią lubecką, a liczba w wodzie utopionych nie była mniejsza od zabitych mieczem... I usypano wielką mogiłę, w którą złożono ciała poległych, a na pamiątkę zwycięstwa mogiłę tę Raniberg nazwano i aż do dnia dzisiejszego tak się nazywa... (jw.).

Kanut, syn Eryka Ejegoda, postanawia zaufać stryjowi Nielsowi i wrócić do Danii. Dokuczyło mu bytowanie na obcym dworze w charakterze ni to gościa, ni to książęcego sługi. Do licha, jest królewiczem! Za plecami na pewno drwią z niego, że schronił się tu ze strachu.

Henryk Goczałkowic dowiaduje się o zamiarach krewnego z żywym niezadowoleniem. Kanut bystry i życzliwy był mu nie lada pomocą w każdej trudnej sprawie. Jak sobie da radę bez niego?!

Lękliwiec martwiłby się tym bardziej, gdyby przeczuwał, jakie zadanie czeka go w najbliższej przyszłości.

Nie pomszczonej dotychczas najazd Ranów na Lubekę, nie schodzi z myśli Lotara. Cóż stąd, że zakończył się mogiłą napastników. Nie cieszy zwycięstwo odniesione dzięki omyłce nieprzyjaciela. Zuchwałych wyspiarzy należy złamać i ukorzyć. Podbicie Wagrów, Warnów, Czrezipienian niewiele znaczy, póki wolni zostają Ranowie. Wyprawa księcia saskiego na Ranę została postanowiona już przed rokiem.

Ponieważ Lotar nie posiadał floty, uderzenie miało nastąpić zimą, gdy staną cieśniny i można przejść na wyspę po lodzie. Zeszłej jesieni wszystko było gotowe, lecz zima zawiodła. Morze ani na jeden dzień nie zamarzło. W tym roku lód jest mocny, natomiast Lotar zrezygnował z prowadzenia wyprawy, zlecając dowództwo nad wojskiem (zatem i odpowiedzialność!) Henrykowi Goczałkowicowi.

Przyczyny, dla których Pogromca Słowian wolał zostać w domu, są powszechnie znane, choć głośno się o nich nie mówi. Łączą się one z gwałtami, jakich cesarz Henryk V dopuścił się w Rzymie. Pojechał tam orężnie i świetnie dla dokonania aktu koronacji. Tytułowano go już powszechnie cesarzem, bo rzecz była ustalona, brakło jednak najważniejszego: sakry.

Papieżem w tych latach był Paschalis II. Bolejąc nad ówczesnym stanem Kościoła, namawiał cesarza, by odstąpił prawa inwestytury, w zamian za co książęta Kościoła zrzekną się dóbr nadanych im przez państwo. Kościołowi wystarczają dochody z dziesięcin i darowizny, otrzymane od osób prywatnych. Henryk V przyjął układ i zaprzysiął rezygnację ze swych praw. Lecz gdy w czasie uroczystej ceremonii koronacyjnej odczytano tekst układu, obecni biskupi niemieccy podnieśli gwałtowny sprzeciw, oświadczając, że nań nie przystaną i nie wyrzekną się swych posiadłości. Cesarz zażądał wówczas od papieża, by go zwolnił ze złożonej świeżo obietnicy. Paschalis II, sądząc że biskupów przekona – odmówił.

Powstał gwałtowny spór i dzieło koronacji przerwane zostało. Zbrojne wojsko niemieckie wpadło w gniew dziki, rzuciło się na duchowieństwo, zdarło z niego świeżą odzież, pastwiło się jak wilki w owczarni. Gdy to ujrzeli Rzymianie, skoczyli do odparcia wrogów, i wszczęła się taka w domu św. Piotra bitwa, o jakiej od dawnych lat nie słyszano. Wojsko cesarskie przemogło i wytępiło Rzymian straszliwymi mordami i nie było różnicy między duchowną osobą a ludem... Dom święty napełnił się zabójstwem i trupem, a strugi krwi płynęły do Tybru i zacerwieniły się wody tej rzeki... Papież i inni, którzy ocaleli, w niewolę uprowadzeni zostali. Widziałem wtedy kardynałów, jak ich z powrozami na szyi, nagich, ze związanymi w tył rękoma, oraz wielkie tłumy obywateli zakutych w kajdany, pędzono... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Zamiast powstrzymać rozżarte wojsko, Henryk V domaga się od papieża dokończenia aktu koronacji, w przeciwnym razie wszyscy więźniowie zostaną ścięci.

Wtedy Ojciec św. zalany łzami wezwał na świadectwo Boga Wszchemogącego, że wolałby stokroć umrzeć niż ustać, lecz kieruje się litością ku skazańcom. I przyrzekł, że króla poświęci, byle by wszyscy więźniowie przedtem uwolnieni byli... (jw.).

Ceremonii przerwanej dokonano, lecz synod stu dwudziestu biskupów italskich wymógł na papieżu rzucenie klątwy na Henryka. Zagotowało się w państwie niemieckim, gdyż wyklęcie zwierzchnika zwalniało książąt z przysięgi lenniczej, a przeciwnicy cesarza byli bardzo liczni. Wracały czasy Henryka IV, kiedy rodzony syn powstał przeciw ojcu. Pamiętny na to Henryk V pozostał w Italii, usiłując przejednać papieża i uzyskać przebaczenie. Sprawa się przewlekła, cały świat chrześcijański, zgorszony popełnionymi gwałtami, domagał się kary na grzesznika. Książęta sascy z Lotarem na czele oczekiwali niecierpliwie ostatecznej decyzji Stolicy Apostolskiej i synodu. Jeżeli Henryk pozostanie wyklęty, cała Saksonia skorzysta z tego, by mu wypowiedzieć posłuszeństwo. Tajne ambicje Lotara, których nie zwierzał nikomu, sięgały daleko. I dlatego obecnie, miast ruszać na Ranów, pozostawał w kraju, wyglądając wiadomości od bawiaącego w Rzymie biskupa halberstadzkiego, Reingera, markotny zaś Henryk Goczałkowic kopał się sam przez śniegi na czele zbrojnych oddziałów.

...węższy tam pas morza, który okiem przejrzeć się dało, surowość zimy nader mocnym lodem usłała. Wojsko słowiańskie było bardzo liczne... Henryk jednak nie chciał im się powierzać, jako że ich znał... Za danym więc rozkazem Sasi ruszyli przodem, za nimi zaś dopiero wojsko słowiańskie... Idąc przez cały dzień po lodzie i głębokim śniegu, ukazali się na koniec na ziemi Ranów i natychmiast wieś nadbrzeżną podpalili... (jw.).

Póki szli cieśniną (miejscami, gdzie wiatr zwiął śnieg, ciemny, przezroczysty lód dźwięczał pod kopytami jak skała), zasłaniały ich od północy wysokie wzgórza rańskie i mogli

sądzić, że zamieć nieco przycichła. Lecz śnieg nie przestawał padać wielkimi płatami. Śnieg pokrywał całą wyspę, zaścieplając grubą warstwą rzeźbę wzgórz, niezliczone rozpadliny i zatoki. Podpalili pierwszą napotkaną osadę rybacką, bez potrzeby, lecz z ochoty. Zasnute śniegiem pod dach chaty płonęły z trudem, skwiercząc. Przerażeni mieszkańcy wyskakiwali z domów, lecz tylko nielicznych zdołano zarąbać, żadnego zaś żywcem schwytać, bo ginęli w ćmie śnieżnej, nie pozwalającej widzieć dalej niż na dwa sięgnięcia ręki. Kiedy z niskiego wybrzeża wspięli się wyżej, poznali, że zamieć nie przycichła wcale. Wręcz przeciwnie. Na górzystej wyspie srożyła się z gwałtownością większą niż na stałym lądzie. Północny wicher dał, tnąc niby nożem.

Tumany śnieżne przelatywały wokół jadących, świszcząc i wirując. Pozbawieni przewodnika, kierowali się na oślep ku środkowi wyspy, darmo wypatrując śladu gościńca czy drogi. Ludzie zapadali po pas, po pachy, w świeżo spadły puch. Obciążeni rynsztunkiem gramolili się niezdarnie jak muchy w śmietanie. Coraz to któryś z konnych obsuwał się wraz z rumakiem z nawisu śnieżnego w niewidoczne wądoły. Okolica zdawała się pusta. Dalszy pochód nie miał sensu, mógł całe wojsko wprowadzić w zasadzkę. Postanowiono zawrócić, by pod osłoną wybrzeża doczekać zmiany pogody.

Lecz i powrót nie jest łatwy. Ślady świeżego przejścia już zdążył zasypać śnieg. Wiatr nie stanowi wskazówki, dmie bowiem ze wszystkich stron naraz. Woje wloką się ponuro, odgarniając z twarzy śnieg sklejący powieki. Nareszcie nozdrza uderza swąd dymu, a niebawem dostrzegają czerwony pobrzask, mętnie prześwitujący przez biel. Z radością schodzą na wybrzeże, ku wznieconemu przed kilku godzinami pogorzeliisku. Wieś dogasa, czarne płyty gruntu wyzierają spod stopionego śniegu.

Jakże żałuje Henryk nieostrożnego rozkazu! Gdyby tych chat nie spalono, zziębnięte wojsko miałoby zaciszne schronienie. Stojące przy domach stogi zapewniłyby paszę dla koni. Na razie nie pozostaje im nic innego, jak z niedopalo-

nych węglów, z rozmarzniętej ziemi, sklecić osłony od wiatru i czekać.

Spalone chaty ogacone były torfem. Brunatne kupy tego dziwnego opału tłą się, puszczając smrodliwy dym, ale jako tako grzejąc. Zgłodniałe konie przetrząsają wargami kłęby niedopalonego siana, zmoczone śniegiem. Z wojów każdy zjadł już zapasy, jakie miał ze sobą, i dzwoni zębami ze złości. Odmiany nie widać. Śnieg przestał padać, lecz wyspę przykryła gęsta mleczna mgła. Wypadnie chyba powracać do domu? Goczałkowic z rozkoszą nakazałby odwrót, lecz myśl o gniewie Lotara odsuwa te chęci.

Trzeciego dnia z mgły dolatuje głos rogów. Czyżby nieprzyjaciel następował? Nie, to przybywa poselstwo od najstarszego z kapłanów Arkony.

Poselstwo! Ranowie chcą układów?! Nie posiadający się z radości Henryk oblekł lica w wyraz nieprzystępnej dumy i wyraził łaskawie zgodę na rozmowy. Wymienili wzajemnie zakładników, szyki sasko-obodrzyckie stanęły w ordynku, udając gotowość do walki. Znowu rozległy się rogi, nadjechał długowłosey, siwobrody żerca, otoczony orszakiem zbrojnych mężów i kapłanów. Trzeci już następca owego wróża, który poselstwu Kruta zapowiadał przed pół wiekiem długie i szczęśliwe lata.

Od trzech dni radzono w Arkonie, co począć? Bogowie zesłali śnieżycę, lecz lada chwila wiatr rozegna mgłę, a wtedy Rana wydana będzie na łup napastników. Siłą Rany jest oblewające ją wokół morze. Ale morze skamieniało. Tylko od północnej strony grzmoci o skały jak zwykle. Obroną Rany jest flota, szańcami owe cieśniny, zatoki, wrzynające się głęboko w ląd, trudne do przekroczenia, łatwe do obrony. Dziś nie istnieją. Obcy żołdak, kiedy mgła opadnie, przebiegnie chyżo z Jasmundu na Witów. Za wszelką cenę trzeba nakłonić napastników do odejścia!

Biała szadz oblepiła kozuch arcykapłana, wysoką baranią czapę, osiadała na brodzie i kudłach, na krzaczastych

brwiach. Spod brwi źerca patrzył przenikliwie. Ocenił jednym spojrzeniem wygłodzenie ludzi, zapadłe boki koni. Zauważył też, że na wzgórzu mgła, choć wciąż nieprzenikniona, poczynna zbijać się w ciemniejsze kłęby, co wróży rychłe przetarcie. Jako człowiek niezwyčajny marnotrawienia słów, zapytał rzeczowo, wiele książe chce okupu w zamian za opuszczenie wyspy?

Henryk w duszy westchnął dziękczynnie i rozpoczęły się długie i uparte targi. Stańło na sumie 4 400 funtów srebra. Olbrzymia suma, ale mgła wyraźnie rzedła...

Henryk wzięwszy zakładników wrócił do ziemi swojej, rozpuścił wojsko do domów. Posłał zaś do ziemi Ranów gońców po przyrzczone pieniądze. Ranowie monety nie mają i kupując towary pieniędzy nie używają, lecz cokolwiekbyś u nich chciał kupić, nabędziesz za płyty płócienne. Złoto i srebro... jakie gdzie zdobędą, do skarbcza boga swego znoszą. Henryk więc dla ważenia kruszcu wystawił wagę największego ciężaru. Gdy Ranowie wyczerpali i skarb, i wszystko złoto i srebro, jakie u kogo na wyspie znaleźli, wypłacili zaledwie połowę sumy, na wadze bowiem oszukani byli... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Oszukał i wraca zadowolony do domu. Niebo pojaśniało i szczyty obrzydłej wyspy majaczą w opadającej mgłę. Wyprawa się udała. Lotar powinien być zadowolony. Pieniądze zgaranie (nadwyżka wagi zostanie prywatną własnością Henryka), przy tym złożenie okupu przez wyspę świadczy o zależności Ranów od księcia saskiego, a to najważniejszy precedens...

Pogodne rozmyślenia mąci przypomnienie. – Powiniennem był – wyrzuca sobie Henryk – zażądać od nich przyjęcia wiary świętej. Wyszło mi to zupełnie z głowy...

Lotar jest zadowolony, owszem, lecz domaga się reszty okupu i wysyła Henryka na wyspę powtórnie. Śnieg jeszcze leży wszędzie, zamieci nie ma, wiatr wieje potężny, z zachodu. Na przesmyku lód nie dźwięczy skalnie pod nogami, lecz odbrzmiewa tępo, jakby się ugiwał. Przy brzegach woda wybijają się na wierzch, bulgocząc i podbijając niecierpliwie lód od

spodu. Tym razem słońce oświeciło wyraźnie zarysy wyspy, jej zębate wzgórza i ciemniejszą w oddali wieżę Arkony.

Henryk pozostawił na wybrzeżu wozy, mające z powrotem wieźć okup, sam z jazdą ruszając ku stolicy Rany, Korenicy. Zrobili połowę drogi, gdy doleciał ich stłumiony huk, niby grzmotu. Powtórzył się raz i drugi. Mniemali, że to wczesna burza zapowiadająca urodzaj. Niebawem, gdy się wspinali na wzgórze, dognał ich pacholek na spienionym koniu, półprzytomny z przerażenia.

– Lód pęka! – krzyczał. – Lód pęka!

Zawrócili co do ducha. Tabor stał już gotowy do drogi, Ludzie kręcili się przy wozach niespokojnie, nie śmiąc wyruszać bez księcia. Lód pękał istotnie w długie, białe rysy. Ruszyli natychmiast zdjęci trwogą. Tam, gdzie jeszcze o świcie rozciągała się gładka płaszczyna lodowa, teraz widniały garby, wypukłości, jak gdyby woda wzdymała skorupę. Pragnęli pędzić, uciekać co tchu, a rozumieli, że pośpieszając tłumnie, mogą spowodować zarwanie się lodu. Wielu pieszych wyrwało biegiem naprzód, tusząc, że jako pierwsi przejdą bezpiecznie. Henryk kazał słać za nimi strzały, by odjąć reszcie ochotę ucieczki. Gdy kilkanaście ciał legło na lodzie, inni dali spokój i szli z tępą rezygnacją. Konni pierwsi (wiadomo, rycerze muszą być pierwsi! – sarkano), próżne wozy i piesi z tyłu. Z trwogi ulegali złudzeniu, że krucha pokrywa, po której zdążali, chwije się cała i kolebie. Droga zdawała się nie mieć końca. Wiatr wiosenny huczał, a im się zdawało, że to huczą fale. Henryk zlany potem wspominał faraona na Morzu Czerwonym w pościgu za uchodzącym Mojżeszem. Wszyscy przeklinali pogan, których czary sprowadziły za pierwszą wyprawą śnieżycę, a obecnie nagłą odwilż, i modlili się w głos do Boga, błagając o zachowanie im życia. Ostatecznie jednak dotarli do brzegu bez szwanku. Lody na przesmyku ruszyły dopiero nazajutrz.

...a tak nie ukończywszy dzieła, wrócili i zaledwie morskich niebezpieczeństw uniknąć zdołali... (Helmold, *Kronika*).

## DZIECIĘ MARSA I WILCZYCY

Henryk syn Goczałka w ciężkich chwilach znajdował pociechę w przykładzie polskiego księcia, Włodzisława Hermana. Jego poddani, przeciwnie, krzepią się rosnącą sławą młodszego Włodzisławowica, Bolka. Ten szczeniak nie przypomina w niczym potulnego ojca. Jako dziewięciolatek brał udział w wyprawie wojennej na Pomorzan. W trzydziestym roku życia otrzymał pas rycerski i ostrogi. Przyjaciele zowią go synem Marsa, niechętni, synem wilczycy. Twarz ma szpetną, bo wrzody, na które chorował w dzieciństwie, zniekształciły mu wargi (niebawem wąs zasłoni tę nieforemność, lecz przydomek Krzywousty zostanie przy nim na stałe). Wszystkie energia wspaniałego rodu zdaje się skupiać w tym chłopcu. Męstwo i geniusz wojenny Chrobrego, zdolność przewidywania mądrego Mieszki I. Niestety, do tych zalet dołącza się zapalczliwość stryja, Bolesława Śmiałego, owa nieszczęsna skłonność do gniewnego szału, w którym ginie sąd, ludzkość, rozważa. Przez taki gniew można utracić królestwo. Skutki podobnego wybuchu trzeba nieraz opłakiwać całe życie.

Bolesław objął tron książęcy po śmierci ojca, w roku 1102, mając lat szesnaście. Panowanie rozpoczął od walki z bratem Zbigniewem i wyprawy na Pomorzan.

Zbigniew był człowiekiem cichym i niczego innego nie pragnął, jak siedzieć spokojnie na dzielnicy, wyznaczonej mu przedśmiertnie przez Włodzisława. Lecz Bolesław należał do typu władców, którzy nie zniosą podziału. Chciał rządzić całą Polską sam. Sam jeden. Walka z bratem zajęła pierwsze lata panowania Krzywoustego, wciągając w rozprawę społeczeństwo polskie z hierarchią kościelną włącznie.



Sprawa Pomorzan przedstawiała się następująco: cały obszar od Wisły po Odrę, przyłączony do Polski już przez Mieszka I, odpadł po śmierci Mieszki II w czasie tzw. reakcji pogańskiej. Kazimierz Odnowiciel odzyskał zwierzchność, lecz tylko nad Pomorzem Wschodnim (do linii Kołobrzegu). Bolesław Śmiały tuż na początku swego panowania utracił lekkomyślnie to zwierzchnictwo i pochłonięty później sprawami kijowskimi nie zdążył odrobić błędu przed katastrofą, którą sam wywołał. Tak więc Polska była odcięta od morza, a władzą nad Pomorzem dzieliło się kilku niezależnych ksiąząt. Wprawdzie palatyn (wojewoda) Sieciech, mąż dzielny i mądry, prawa ręka i miecz Włodzisława Hermana (zanim stał się jego wrogiem), wyprawiał się na Pomorzanie niemal każdego roku. Wyprawy te jednak, acz nieraz zwycięskie, miały charakter odwetowy, toczyły się według ustalonego schematu: pustoszenie kraju nieprzyjaciela, uprowadzanie jeńców. Pomorzanie odpłacali tym samym, napadając to na Mazowsze, to na Wielkopolskę. Kiedyś zapuścili się aż w Sieradzkie, do Spicymierza, powodując wielkie straty i szerząc zniszczenie.

Wzajemne stosunki były zdecydowanie wrogie. Obok różnic religijnych jątrzyły umysły nieustanne wzajemne najazdy i spory graniczne. Anonim Gall pisząc o Pomorzanie: „...ani mieczem wymowy kaznodziejskiej nie dało się ich oderwać od pogaństwa, ani mieczem zniszczenia nie można było tego pokolenia zmij zupełnie wytępić...” wypowiedział opinię ogółu.

Odmienne odnosili się teraz Słowianie zaodrzańscy do Polski. Śmiertelnie zagrożeni przez Niemców, walcząc nieustannie z bezlitosnym naporem saskim, tęsknili do oparcia się o siłę, jaką w ich oczach uosabiał niegdyś Chrobry. Dlatego krążące między ludźmi opowieści o poczynaniach „nowego Chrobrego” budziły wśród Czeczpienian, Wkrzanów, Obodryców spontaniczny i gorący oddźwięk.

Niby przez wspólnotę pragnień, wszystkie myśli młodzieńczego księcia kierowały się na północ i zachód ku morzu, ku Pomorzu. W 1102 roku, natychmiast po objęciu władzy, śmia-

łym wypadem zdobył Białogard nad Parsętą, stolicę jednego z ksiąząt pomorskich.

...z garstką wybranych wojowników wdarł się w środek ziemi pogan. I gdy przybył do znamienitego... grodu zwanego Białym... gwałtownym szturmem, a w dziwny sposób, zdobył ten gród bogaty i ludny w dniu, w którym przybył. Mówią, że on pierwszy natarł i pierwszy wdarł się na wały grodu... (Gall, *Kronika*).

Od tej chwili nie ustaje w usiłowaniach. Zrywa z systemem bezmyślnych wypraw „pustoszących”. Gród za grodem, zdobywa linię Noteci, rzeki granicznej, za której błotnistymi brzegami siedzą bezpiecznie Pomorzanie. Każdy zdobyty gród, Ujście, Wieleń, Czarnków, umacnia, obsadza załogą, uzyskuje trwałą bazę.

W roku 1106 powtarza wypad białogardzki. Tym razem celem jest Kołobrzeg. Lecz starannie ufortyfikowany gród nie daje się zaskoczyć. Konnicą nie zdobędziesz tych murów, tu trzeba machin oblężniczych. Po paru nieudanych szturmach Bolesław wycofuje się z żalem, spaliwszy tylko i zrabowawszy bogate podgrodzia. Rycerze narzekają, że nie ma gdzie koni poić, gdyż strugami w okolicy płynie słona woda, lecz cięższą się, że ujrzeni morze. Mokre zagony, gościniec otwarty na świat... Patrzą, patrzą, nie mogą się napatrzeć. Bolko w duchu przysięga sobie, że wróci i ten brzeg odzyszcze. Anonim Gall kładzie w usta Bolesławowych rycerzy pieśń, przez siebie zapewne ułożoną:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące,  
my po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające.  
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali,  
a nas burza nie odstrasza, ni szum groźny morskiej fali.  
Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie,  
a my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie!

Ktokolwiek był autorem tych słów, wyrażały one radość i zapał, ożywiający rzeczywiście drużynę Krzywoustego. Powrócą tutaj zwycięsko, powrócą niebawem.

W roku 1109 Zbigniew Włodzisławowic, wygnany ze swej dzielnicy, prześladowany przez brata, ucieka na dwór cesarza Henryka V, prosząc o pomoc w odzyskaniu swoich praw. Nie-szczęśny Zbigniew! Zarówno jego postać, jak tragiczny koniec budzą dłań żywe współczucie, lecz nie można wybaczyć owej (jakże słowiańskiej!) chęci wzywania wroga przeciw bratu. A lepiej by się zrzekł księstwa, osiadł w klasztorze, zamiast sprowadzać na kraj wojnę, a sobie straszny los gotować!

Henryk V przyjmuje mile Włodzisławowica. Stałym naka-  
zem polityki niemieckiej jest popieranie wszelkiego rodzaju  
pretensji juniorów, pretendentów, zagrożonych dziedziców.  
Ujmując się za nimi, można podstawić skutecznie nogę wład-  
cy danego kraju. W tym wypadku Henryk V ze szczególną  
przyjemnością upokorzy pychę Bolesława, którego ojciec był  
przecież posłusznym lennikiem cesarstwa...

Cesarz posyła księciu polskiemu następujące wezwanie:

Byłoby niegodnym cesarza rzymskiego i przeciwnym pra-  
wu, wkraczać z orężem w rękę w kraj... swego wasala, nie  
zapytawszy go wprzód, zali chce pokoju czy wojny, a to, by  
miał czas się przygotować. Dlatego powiadamiam cię: Albo  
brata swego starszego przyjmiesz, oddając mu połowę kró-  
lestwa i zobowiązesz się płacić mi rocznie 300 grzywien da-  
niny, bądź tyłuż rycerzy dać mi na wyprawę, albo... podzielę  
twoje państwo (Gall, *Kronika*).

Treść jak widzimy, majestatyczna i rycerska. Tak przema-  
wia władca pewny swej słuszności, nie chcący słabszego prze-  
ciwnika zaskoczyć.

Odpowiedź Bolesława przychodzi natychmiast, a słowa jej  
brzmiały jak cięcia miecza:

Pieniądzy ani rycerzy polskich nie otrzymasz. Mielibyśmy  
się za niewiasty nie za mężów, wolności swojej nie broniąc. Do  
przyjęcia człowieka butowniczego lub podzielenia z nim pań-  
stwa nie zmusi mnie żadna przemoc... Bacz, komu grozisz!  
Chcesz wojować – znajdziesz wojnę! (jw.).

Kości zostały rzucone.

Cesarz ściąga co najświetniejsze rycerstwo z całego kraju. Wyprawa, acz przygotowana starannie, robi wrażenie raczej wspaniałej demonstracji, mającej samym wyglądem onieśmielić młodego zuchwalca, tytułującego się bezprawnie „*Dux totius Poloniae*”, niż rzeczywistej kampanii. Wszyscy sąsiedzi czekają w napięciu rozwoju wypadków. „Miecz cesarza przetnie Polskę na dwoje” – zapewnia Henryk Goczałkowic. To samo przekonanie żywi Niels, król duński.

Pamiętna wojna 1109 roku! Początek zapowiada się pomyślnie dla cesarza. Przeszedł z wojskiem Odrę w innym miejscu, niż oczekiwano, i stanął pod niespodziewającym się napaści Głogowem, w dzień św. Bartłomieja Apostoła, czyli 24 sierpnia. Wziął licznych zakładników, między nimi syna kasztelana grodowego. Mieszczanie wysyłają poselstwo do Bolesława, zapytując, co im czynić rozkaże. Książę nakazuje bronić się do ostatniego, nie zważając nawet na los zakładników.

Posłyszawszy o tym cesarz

...kazał budować przyrządy oblężnicze, chwycić za oręż, rozdzielić odpowiednio oddziały, chorążym polecił dać w trąby i zdobywać gród ze wszystkich stron naraz, żelazem, ogniem i machinami... Grodzianie ze swej strony rozdzielili się między poszczególne bramy i wieże, umacniając przedmurza, znosząc kamienie i wodę do bram i wież. Wtedy cesarz sądząc, że umysły mieszczan dadzą się ugiąć litością dla swoich synów i krewnych, polecił znaczniejszych pochodzeniem zakładników oraz syna komesa grodowego przywiązać do machin oblężniczych, oczekując, że zmusi tym gród do otwarcia bram... (jw.).

Majestatyczny, rycerski był Henryk V, dopóki sądził, że wyprawa będzie uroczystą, a skuteczną demonstracją. Jednak wobec pierwszych niepowodzeń odrzucił maskę wspaniałomyślności. Nie dziwimy się temu my, co w czasie Powstania Warszawskiego widzieliśmy kobiety polskie i dzieci, przywiązane do hitlerowskich czołgów.

Zakładnicy giną na oczach rodziców. Głogów nie poddaje się.

Ze wszystkich stron przypuszczono szturm do grodu, zewsząd krzyk potężny podnosząc. Niemcy nacierają, Polacy się bronią. Zewsząd maszyny wyrzucają w powietrze kamienie, kusze dźwięczą, pociski i strzały latają w powietrzu, tarcze przedziurawione pękają, pancerze pryskają, szyszaki idą w drzazgi, trupy padają pokotem, ranni ustępują, a na ich miejsce przychodzą nowi wojownicy. Niemcy nakręcali kusze ręczne, Polacy zaś maszyny z kuszami. Niemcy wypuszczali strzały, zataczali proce z kamieniami, a Polacy kamienie młyńskie i silnie zaostrzone pale. Gdy Niemcy osłonięci przykrywkami z desek usiłowali podejść pod wał, Polacy sprawiali im łaźnię wrzącą wodą, zasypując płonącymi głowniami. Niemcy podprowadzali pod wieże żelazne barany [tarany], Polacy zaś staczali na nich z góry koła, zbrojne stalowymi gwiazdami. Niemcy po wzniesionych drabinach pięli się do góry, a Polacy, zaczepiając hakami żelaznymi, porywali ich w powietrze... (jw.).

Miasto broni się nieulekłe, a tymczasem szturmujący poczynają mieć wrażenie, jak gdyby sami byli oblężeni. To Bolesław niewidzialnie otoczył ich kołem, zamknął drogi zasiekami, przecina dowóz żywności, męczy nieustannym szarpaniem podjazdów i straży. Położenie armii niemieckiej poczyną być groźne. Książęta szemrzą. Świetni rycerze lombardzcy, frankońscy, allemańscy nie kryją zawodu. Przyczyna wyprawy, niefortunny Zbigniew, ręczył cesarzowi, że byle przekroczyli granicę, cała ludność polska opowie się za nim... Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Nienawiść do Niemców odwraca od Zbigniewa nawet oddanych mu dawniej stronników. Cesarz przeklina chwilę, w której dał się wciągnąć w tę sprawę i, uprzedzając powszechne niezadowolenie, mogące przemienić się w bunt, przerywa obleganie miasta i rusza na Wrocław. Ufa, że wreszcie dopadną Bolesława i stoczą z nim bitwę decydującą, bitwę w otwartym polu, której domaga się całe rycerstwo.

Lecz Włodzisławowic pozostaje nadal nieuchwytny. W genialny sposób prowadzi swoją akcję nękającą. Oddajmy głos kronikarzowi, naocznemu świadkowi tych zmagania:

Gdziekolwiek się cesarz zwrócił..., postępował za nim Bolesław... Gdy cesarz związał obóz, Bolesław był mu nadal nieodstępny towarzyszem. Ktokolwiek wystąpił z szeregów, nie znalazł powrotnej drogi. Jeżeli większy oddział zaufany w liczbę, w poszukiwaniu żywności lub paszy, oddalił się od obozu, Bolesław wpadał między nich a wojsko cesarskie, odcinając im odwrót i tak ci, którzy wyprawiali się po łupy, stawali się sami łupem Bolesława. W ten sposób wielkie i dobre wojsko [cesarskie] doprowadził do takiego przestradchu, że... nikt nie śmiał wychylić się z obozu. Żaden giermek nie ośmielił się zbierać trawy dla koni, nikt też nie ośmielał się wyjść dla załatwienia swoich naturalnych potrzeb poza linię straży. Obawiano się Bolesława w dzień i w nocy, ostrzegano się wzajem: – Bolesław nie śpi! – Gdy się ukazał gaj albo zarośla, wołano: – Strzeż się, tam czyha Bolesław! – Nie było miejsca, o którym by nie przypuszczano, że może w nim być Bolesław. W ten sposób dręczył ich bez wytchnienia, porywając po kilku, to z czoła pochodu, to z tyłu, innym razem nacierając z boków. Dlatego też wojownicy cesarscy cały dzień szli w pełnym rynsztunku, spodziewając się wszędzie i ciągle napadu Bolesława. W nocy spali wszyscy również w pancerzach lub też stali na stanowiskach, inni odbywali strażę, inni wołali: – Czuwajcie!... Strzeżcie się!...

...Codziennie ginęło niemało szlachetnych mężów, których ciała po wypruciu wnętrza nadziewano solą i aromatami, składając je na wozach, na których miał je cesarz wysłać do Bawarii lub Saksonii, jako jedyny haracz wywożony z Polski...

...cesarz widział, że tak liczne wojsko dłużej utrzymać się nie może, ponieważ Bolesław, jak lwica po zabraniu jej szczeniąt łaknąca krwi, krążył dookoła. Konie z głodu padały, ludzie udęczeni byli ciągłym czuwaniem, niewczasem i postem. Do tego nieprzebyte gąszcze leśne, niewysychające bagna, kłujące muchy, ostre strzały zawziętego chłopstwa – to wszystko nie pozwalało na wykonanie zamiaru... (jw.).

Poturbowany przez Dawida Goliat chciałby się wycofać z honorem. Śle do polskiego księcia nowe poselstwo:

Cesarz Bolesławowi księciu polskiemu oświadcza swą łaskę. Poznawszy twą dzielność, przychyliam się do rad moich książąt i odebrawszy trzysta grzywien, spokojnie stąd odejdę, poczytując to za wystarczający dowód twojej czci... Jeżeli nie podoba ci się na to przystać, możesz mnie rychło oczekiwać w swojej krakowskiej stolicy (jw.).

Odpowiedź nadchodzi równie szybka i stanowcza jak poprzednio:

...Bolesław, książę polski, pragnie pokoju, lecz nie za cenę denarów. Od woli cesarza zależy, czy zawróci już, czy będzie dalej szedł; lecz nie spodziewaj się ode mnie otrzymać ani lichego obola! Wolę stracić państwo, broniąc jego wolności niż zachować je w poddaństwie (jw.).

Podjazdy Bolesławowe ustawicznie napadają wymęczone wojsko cesarskie. Bezsilny wobec zwinnego nieprzyjaciela, pojawiającego się zawsze tam, gdzie go nikt nie oczekuje, Henryk V nakazuje odwrót. Zabalsamowane trupy świetnych urodzeniem i męstwem rycerzy zachodnich stanowią rzeczywistość „jedyny haracz, jaki cesarz wywozi z Polski”.

Przerażony Zbigniew ucieka do Czech.

Wrażenie, wywołane w całej Europie klęską cesarza rzymskiego, jest olbrzymie. Cesarz pokonany przez dwudziestoparoletniego księcia polskiego, syna lennika! Książę saski Lotar powraca z tej wyprawy kipiący złością na swego monarchę. Krytykuje otwarcie jego nieostrożność, zadufanie, nieudolność. O, gdyby on, Lotar, był na jego miejscu, inaczej potoczyłaby się cała sprawa!

Najsilniejsze, acz głośno nie ujawniane reakcje na opisywane poprzednio wypadki występują u Obodrzyców, Polabian, Wioletów. Choć Lotar surowo zapowiedział całemu dworowi, by nie ważono się mówić przy Słowianach o niepowodzeniu wyprawy, któż zamknie gębę pacholkom od koni, woźnicom czy ciurom? Niebawem dzieje porażki cesarskiej znane są w całym kraju.

W roku 1110 wybucha wśród Redarów i Doleńców powstanie. Jeszcze raz odżywa wilcza krew wielecka. Sam Lotar uderza na zbuntowanych. Zdobywa i równa z ziemią dziewięć grodów. Ludność morduje lub uprowadza w niewolę. Pomimo to powstanie rośnie, powiększa swój zasięg. Arcybiskup magdeburgski Adelgoz śle rozpaczliwe wezwania do całego Zachodu:

...o szlachetni panowie chrześcijanie, raczcie pokwapić się na ratunek Niemców udręczonych przez ludy pogańskie... Poganie ci są najgorsi, lecz ziemia ich obfituje w mięso, mąkę, miód... a uprawiona, odwzajemnia się wielką ilością plonu... Te słowa potwierdzi każdy, co ją zna... Przeto wy wszyscy, sławni poskromiciele świata, Sasi, Lotaryńczycy, Frankowie, możecie tutaj i dusze wasze zbawić i... uzyskać najlepszą ziemię na mieszkanie! (*Codex Anhaltinus*).

Dziwią się postronni, co za bies opętał dzicz pogańską? Któż ją ujarzmi, jeśli nawet surowe wyprawy księcia saskiego nie są w stanie zaprowadzić pokoju?

Tylko Lotar rozumie, o co chodzi, lecz nie dzieli się myślami z nikim. To zwycięstwo Bolesława, to nadzieja, że Polska tu przyjdzie, powodują nieustające rozruchy. W tym leży przyczyna, że zgnieciesz Redarów, burzą się Hobolanie, wytłuczysz Hobolan, powstają Brzeżanie, spławisz ich we krwi, już chwytają za miecze Chyżanie... I tak w koło i tak w koło, aż wyginie przeklęty rodzaj słowiański... Obyż zginął jak najprędzej! Do imienia Lotara już przylgnął przydomek Pogromcy Słowian, z czego jest zadowolony.

Żalu i gniewu przeżytych przed trzema laty, gdy odchodził jak niepyszny spod wałów Kołobrzegu, złożonego wówczas ślubowania, że nad brzeg morski powróci, Bolesław Krzywousty nie zapomniał i nie zapomni. Wszystkie jego myśli krążą nadal wokół morza i Pomorza, jak gdyby go po urodzeniu boginka w słonej wodzie wykapała.

Ludzie, którzy się całkowicie jednej myśli w poddaństwo oddadzą, rzadko osiągają zrozumienie ze strony otoczenia, skłonnego poczytywać ich wierne pragnienie za nierozsądny



i zbyteczny upór. Tak było i z Bolesławem. Dla zahukanego Zbigniewa Pomorzanie przedstawiali jedynie siłę, która mogła dać oparcie przeciw groźnemu bratu. W przekonaniu Skarbimira i reszty rycerstwa ci najdokuczliwsi z sąsiadów istnieli po to, by miecze polskie w pochwach nie rdzewiały, a gotowość wojacka nie stygła. W oczach biskupa krakowskiego, Baldwina, obmierzli poganie uosabiali synów Belzebuba, skazanych wyrokiem Bożym na wieczyste potępienie. Znow kupcy i mieszczanie krakowscy, poznańscy, cenili tylko owoce każdej udanej wyprawy: tęgich młodych jeńców, piękne płótna lniane, bursztyń, oreż i inne lupy, zwożone z grodów pomorskich.

Takie były poglądy ogółu. A Bolesław? Dla niego ziemia przymorska i lud ją zamieszkujący byli celem upragnionym, nad wszystko pożądanym, zarazem nienawistnym i ulubionym. Nienawistnym, gdyż Pomorzanie uparcie odwracali się od niego, lubym – bo bystrym umysłem widział w nich rękojmię wielkości Polski, drogę do odzyskania Chrobrowej potęgi. Widział również, że ludy te zginą niechybnie, jeżeli się z Polską nie złączą! Niby nieopatrne dzieci upatrują nadal w pogaństwie swobodę i wolność, gdy w rzeczywistości jest ono ich zgubą śmiertelną. Zaodrzańscy już się o tym przekonali, ślą potajemnie posłów; na dwór krakowski, przyzywają Bolesława... Za późno... za późno... Przeegrali swą sprawę. Tutejsi Pomorzanie, nie zetknąwszy się bezpośrednio dotąd z Niemcami, nie rozumieją tego i rozumieć nie chcą.

O tych sprawach, dlań najbliższych, Bolesław nie miał z kim mówić. Rycerstwo żywiło dla swego wodza ślepe uwielbienie, lecz nie rozumiało jego planów. Biskupi go nie lubili, trzymali stronę Zbigniewa. W ocenie wagi Pomorza był odosobniony. Sam jeden...

Sam jeden?... No nie. Ktoś drugi żywił podobne poglądy, zapatrywał się jednakowo na położenie i równie mocno jak Bolesław postanowił zagarnąć Pomorze. Tym człowiekiem był Lotar z Suppilenburga, książę saski.

Dwaj godni siebie antagoniści. Na szachownicy dziejów tej części Europy oni będą przez najbliższe ćwierćwiecze rozsta-

wiać pionki i przesuwając wieże. Młodszy, zapalczywszy gracz powie kilkakrotnie: Szach!

W roku 1108, poprzedzającym najazd na Polskę cesarza Henryka V i jego niesławny odwrót spod Wrocławia, miała miejsce mordercza bitwa pod Nakłem, potężnym grodem („przepotężnym” mówił Gall) – pośród bagien nadnoteckich położonym, stanowiącym wrota do wschodniego Pomorza. Otoczonej przez wojska Bolesława warowni pośpieszyli na pomoc Pomorzanie oraz sprzymierzeni z nimi Prusowie. Niechając oblężenia, księżę polski ruszył przeciw tej odsieczy.

...zaczął wrogów dookoła okrążać, oni zaś skupili się razem i powbijali włócznie swe w ziemię, ostrzem kierując w napadających, tak że nikt nie byłby w stanie w środek ich się przedostać... Byli oni prawie wszyscy piesi i nie uszykowani do bitwy obyczajem chrześcijańskich wojsk, lecz jak wilki zasadzające się na owce, czaili się, przysiadając na zgiętych kolanach na ziemi. I gdy na niestrudzonego Bolesława... zwrócił wróg całą czujność, wtedy Skarbimir upatrzył miejsce pozwalające skoczyć w środek nieprzyjaciół i wdarł się w ich stłoczone klinowe szyki. Rozbici i otoczeni, barbarzyńcy dzielny stawili opór, lecz wreszcie zmuszeni zostali do ucieczki. Padło tam niemało dzielnych rycerzy spośród chrześcijan, lecz z czterdziestu tysięcy pogan uszło z życiem zaledwie dziesięć tysięcy. Świadcze się Bogiem, za którego sprawą – i św. Wawrzyńcem, za którego prośbami, dokonano tego pogromu... (Gall, *Kronika*).

Potworna rzeź, nawet uwzględniając ewentualną przesadę kronikarską. Tym straszliwsza, że międzysłowiańska. – Bodajeś szczeł! – krzyczeli Polacy miotając oszczepy. – Bodajeś zdechl! – odpowiadali nienawistnie Pomorzanie.

Wnet po zakończeniu wojny z Henrykiem V, w tym samym jeszcze roku 1109, niestrudzony Bolesław wyprawił się na Pomorzanie, by ich ukarać za to, że sprzyjali cesarzowi... Zdobył i spalił trzy grody. W roku 1110 przyszła kolej na Prusów. Po co wsadzają nosa w polsko-pomorskie sprawy?

Bolesław zimową porą bynajmniej nie zażywał gnuśnego wczasu, tylko wkroczył do Prus, krainy północnej, lodem po-

krytej... Po zamarzłych jeziorach i bagnach przechodził jakby przez most, bo nie ma do owego kraju innego dostępu, jak przez bagna i jeziora... (jw.).

Spustoszył nieliczne grody pruskie, nabrał jeńców i łupy – te zwłaszcza w postaci skór kunich i bobrowych, wysoko cenionych.

...Prusowie... obfitują w futra u nas nieznanne, a tych zapach rozlał po naszym świecie jad dymu... Oni je cenią na równi z nawozem, my zaś, na nasze, jak sądzę, potępienie, do odzieży z kun wdychamy niby do jakiej szczęśliwości... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Latem tegoż samego roku Bolesław wyruszył znów na Pomorze. Zajął ponownie zdobyte przed kilku laty, a obecnie zbuntowane grody: Ujście, Wieleń, Czarnków. Pan Czarnkowa, zdradziecki Gniewomir, co kłamliwie przyjął już kiedyś chrzest i nieszczerze przysięgał wierność Bolesławowi, daje głowę pod miecz katowski.

Pora skończyć wreszcie z Nakłem. Jesienią 1112 roku Krzywousty otacza je znowu. Spędzona zewsząd ludność rąbie drzewa pod maszyny oblężnicze, sypie groble na bagnie. Wyrzucona ziemia odsłania kości wojów poległych tutaj przed czterema laty. W Nakle broni się książę Świętopełk syn Świętobora, młodszy brat owego Warcisława, który jako zakładnik zostawał na dworze Lotara.

Oblężenie trwa od św. Michała do końca grudnia. Bolesław zraniony strzałą, gdy sam prowadził do szturm, „zapalił się jeszcze większą zawziętością” (Gall). W dniu Bożego Narodzenia Świętopełk kapituluje. Daje syna jako zakładnika, obiecuje przyjąć chrzest i składa lenną przysięgę księciu polskiemu, który uspokojony powraca do kraju zażyć należytego spoczynku.

Lecz Świętopełk jest wiarołomny. Nie ochrzcił się w oznaczonym terminie. Gromadzi podobno siły przeciwko Bolesławowi. Tego nadto dla syna wilczycy i Marsa.

Następnego roku 1113, zdobywszy w ciągu ośmiu dni warowny gród leżący w widłach Wisły i Brdy, po raz trzeci osacza Świętopełka w Nakle.

Zdobyl je z większym trudem i większą stratą czasu, ponieważ miejsce było obronniejsze, a wojownicy liczni i dzielni. Polacy przygotowali maszyny oblężnicze, a Pomorzanie sporządzili podobnie przyrządy obronne. Polacy wyrównywali doły, znosząc ziemię i drzewo... a Pomorzanie przygotowywali tłuszcz i smołaki, którymi udało im się spalić nagromadzone drzewo. Trzy razy skrycie zeszedłszy z murów spalili grodzianów wszystkie przyrządy oblężnicze i po trzykroć je znowu wystawiali Polacy. Tak blisko grodu stały drewniane wieże Bolesława, że grodzianów z wałów bronili się przed nimi orężem i ogniem. Wielu z Polaków ranili grodzianów strzałami i kamieniami, jeszcze więcej grodzian zabijali codziennie Polacy. Byli bowiem poganie pewni śmierci, gdyby ich orężnie wzięto w niewolę i dlatego woleli bronić się, ginąc ze sławą niż tchórzliwie uchylając karku. Coraz częściej jednak zamysłali zawrzeć układ z Bolesławem i gród poddać. Polacy... także utrudzeni już byli tyłu znojami i strażami, lecz mimo to usiłowali bez wypoczynku i opieszałości gród zdobyć... Na koniec grodzianów powzięli postanowienie dla obu stron odpowiednie i po otrzymaniu od księcia poręki, oddali gród, sami odchodząc, dokąd im się spodobało (jw.).

Anonim Gall nie wspomina o dalszych losach Świętopełka. Inne źródła mówią, że zmarł w polskim więzieniu, a zarząd wschodnim Pomorzem Bolesław zlecił jego bratu, Bogusławowi.

Warcisław, Bogusław, Świętopełk, Racibor, synowie (?) Świętopełka, księżęta pomorscy, byli spokrewnieni z Piastami.

...gród więc Nakło... pozwolił Bolesław zatrzymać Pomorzaninowi Świętopełkowi... z rodu sobie krewnego... – pisał Gall po pierwszym oblężeniu Nakła.

Niektórzy polscy historycy, między innymi Zygmunt Wojciechowski, wyprowadzają dynastię pomorską od Świętopeł-

ka, brata przyrodniego Bolesława Chrobrego. Inni, śladem Balzera (*Genealogia Piastów*), uważają, że pokrewieństwo było „po kądzieli”. Kroniki pomorskie zdają się przyznawać słuszność jednym i drugim:

W owym czasie [r. 1112] zapisano w polskiej kronice, że ród Gryfitów na Pomorzu i tenże ród w Polsce są jednym starym rodem... Świętopełk również wywodził się pierwotnie z tego rodu...

...polska kronika obwinia Świętopełka, że był niestałej natury i niewierny, aczkolwiek, choć rodowity Pomorzanin, pochodzi ze starego polskiego rodu Gryfitów, którzy i teraz Gryfem się pieczętują (Kantzow, *Pomerania*).

Tenże sam kronikarz pisze w innym miejscu:

...od tego czasu królowie polscy podpisywali się zawsze jako królowie Polski i Pomorza, z których rodu pochodzą również obecni książęta pomorscy... (Kantzow, *Anhang vom alten Pommerland*).

Nakło zdobyte. Od ujścia Wisły do Parsęty z Kołobrzegiem włącznie, cały obszar pomorski należy do Bolesława, lecz to go nie zaspokaja. Parsęta... Cóż to za granica? Jakbyś kolek wbił na polu i nieprzyjacielowi rzekł: – Nie mijaj go! – Prawdziwa granica to dopiero ujście Odry, granica, której warto strzec i bronić.

Pojmował to dobrze pradziad, Mieszko I, dzierżyciel całego pomorskiego kraju. Płacił zeń daninę od Odry do Warty, *usque im Vurta fluvium*, lecz tą ziemią mocno władał. Syn jego Chrobry, zwolniony z trybutu przez cesarza Ottona III, poczytywał również Pomorze za nieodłączną część Polski, równie ważną i cenną jak Śląsk. Bez Pomorza i Śląska Polska byłaby wiecznie kaleka...

Poczta w owych czasach jeszcze nie istnieje. Nie ma agencji telegraficznych ani radia. Komunikacja wobec obfitości wód i braku mostów bardzo utrudniona. Pomimo to wszelkie ważne wiadomości rozchodzą się po kraju z zadziwiającą szybkością.

Czrepienie już wiedzą o postępach Bolesława. W roku 1114 znów podnoszą bunt. Prowadzi ich książę Domamir z dawnych książąt plemiennych. Wnet potem nad środkową Łabą i Solawą wybucha powstanie Łużyczan i Serbów. Dołączają do nich Stodoranie.

Burzono zamki, kościoły i grody, niszczone pola, nie przepuszczano nawet żebrakom i pielgrzymom, obyczajem pogańskim obchodząc się z nimi. Mnisi tłumnie uciekając w głąb Niemiec roznosili straszne wieści o wzburzeniu pogan, o czci oddawanej przez nich demonom, o wymordowanych sługach Kościoła i wszelkich nieszczęściach chrześcijan...

Bóstwa pogańskie, odzyskawszy dawną moc rządzenia ludem, podzęgały jego zapamiętałość przeciw panom chrześcijańskim... (*Abbas Ursbergensis*, według Bogusławskiego).

Trzy lata walczą powstańcy.

Pogromca Słowian, Lotar, nie może ich zmiażdżyć, wszystkie jego siły bowiem pochłania walka z cesarzem.

...cesarz Henryk V, czując, że cała Saksonia od niego odpada i jad sprzysiężenia coraz bardziej się rozlewa, straszną temu krajowi klęskę zadał, książąt saskich pozabijał lub uwięził... Wówczas ci z książąt saskich, którzy jeszcze pozostali, mianowicie książę Lotar, biskup halberstadzki Reinger, Fryderyk, grabia na Arnesbergu i paru innych, zabiegli ze swymi wojskami cesarzowi drogę pod Welpesholt i pokonali cesarza...

...za długo byłoby opowiadać zamieszki tej epoki, ani nam przystoi się nad nimi rozwodzić... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Bitwa pod Welpesholt, która miała miejsce 1 lutego 1115 roku, stanowiła początek zacieklej wieloletniej wojny domowej między Lotarem a Henrykiem V. Dzięki niej zbuntowane plemiona Łużyczan i Połabian mogły przez trzy lata z bronią w ręku oczekiwać nadejścia księcia polskiego.

Dlaczego Bolesław tego czasu nie wykorzystał?

Uwięziły go w kraju zatargi międzysłowiańskie. Wojna z Czechami, z Rusią i znowu z Czechami, przede wszystkim zaś popełniona w uniesieniu zbrodnia: oślepienie Zbigniewa, który w następstwie egzekucji umarł.

Szalony w gniewie, Bolesław po ochłonięciu szaleje z rozpaczy. Rozpacz jest szczerą, skruca bezgraniczną, załamaniem całkowite.

...oskarżamy Bolesława, że coś podobnego popełnił, pochwalamy go jednak w tym, że godnej dokonał pokuty i bardzo się upokorzył. Po raz pierwszy widziano takiego męża, tak potężnego księcia, tak lubego młodzieńca, jak poszcząc leżał wytrwale na ziemi w popiele i włosiennicy wśród strumieni łez i łkań, jak wyrzekł się towarzystwa ludzkiego i rozmowy, mając ziemię za stół, trawę za ręcznik, czarny chleb za delikcję, a wodę za nektar!... (Gall, *Kronika*).

Niezależnie od tych zewnętrznych oznak żalu Bolesław obdarowuje kościoły, zamawia liczne Msze Św. na intencję zamordowanego brata, odprawia trzy kolejne pielgrzymki do grobu św. Stefana na Węgrzech, do klasztoru benedyktyńskiego św. Idziego (również na Węgrzech) i do relikwii św. Wojciecha w Gnieźnie. Wszystkie te wędrówki odbywa boso w szacie pokutniczej. Straszne przeżycie zostawi w jego duszy głębokie ślady, które się nieraz ujawnia.

Oto powody, dla których połabscy powstańcy oczekiwali na próżno.

Tragedia bratobójstwa, zdobycie Nakła, zajmują ostatnie strony kroniki Anonima Galla. Kronikarz żył prawdopodobnie dłużej, do końca panowania Krzywoustego, o czym zdawałby się świadczyć *passus* kroniki (ks. I, rozdz. 19), gdzie pisząc o Połowcach, autor dodaje, że „za panowania Bolesława nie ośmielili się więcej zajrzeć do Polski”, relację swoją jednak urywa na roku 1113. Szukając rozwiązań najprostszych, wolno mniemać, że posiadamy tylko połowę jego dzieła. Reszta musiała ulec zagubieniu lub zniszczeniu, do czego w latach następnych okazji nie brakło.

Zahamowanie działań wojennych, zarówno ze strony Lotara, jak księcia polskiego, otwiera nieoczekiwane możliwości przed Henrykiem Goczałkowicem. Posiada on obszerne księstwo sięgające od Łaby do Odry, nie jest obecnie zagrożony

przez nikogo. Mógłby teraz powstać przeciw Sasom, ogłosić się niezależnym. Bezpośrednim lennikiem cesarza, równym w znaczeniu i randze książętom bawarskim, szwabskim i samemu Lotarowi. Mógłby tym krokiem zabezpieczyć raz na zawsze swoje obodrzyckie księstwo przed podbojem saskim. Mógłby. Wszystko temu sprzyja. Skłócony z Lotarem cesarz przyjmie go chętnie pod swoją opiekę. Lecz syn Goczałka to człowiek małego formatu. Nie odważy się na żaden samodzielny krok.

Królewicz Kanut duński odwiedza nieraz krewniaka. Kanut czuje się szczęśliwy, że opuścił dwór Lotara. Stosunki jego ze stryjem Nielsem, królem duńskim, ułożyły się przyjaźnie. Niedawno król Niels zabrał jarlostwo jarłowi Szlezwigu, Eliwie, który okazał się nieudolny, i oddał je Kanutowi, w zamian za co Kanut zrzekł się ogromnej sumy, należnej mu po ojcu. Kanut jest więc teraz panem Szlezwigu, najbogatszym, najsilniejszym wasalem korony duńskiej. Poddani dali mu przydomek Laward (pan). Kanut Laward ze zwykłą energią obwarowuje swe księstwo. Na południe od zatoki Szlaja, pamiętnej bitwą stoczoną niegdyś na przewłoce, wznosił nową potężną warownię, Kiel.

– Przestań służyć Sasom – namawia Henryka. – Zawrzemy sojusz...

Goczałkowicz trzęsie przecząco głową, Kanuta prosi o jedno: aby poparł u Nielsa jego starania o zwrot sum należnych mu po matce, Sigridzie. By wzbudzić w krewniaku żywsze zajęcie się sprawą, powiada, że chętnie widziałby Lawarda dziedzicem księstwa obodrzyckiego. Kanut wybucha śmiechem: – Długo musiałbym czekać! Masz przecie dwóch synów i wnuka! – Niemniej obiecuje zrobić, co się da, aby Henryk spadek otrzymał.

W wyścigu o ziemie pomorskie i zaodrzańskie kilkuletni, nie zamierzony rozejm dobiega końca. Lotar saski przegrał ostatecznie wojnę z cesarzem. Musiał stać boso na dziedzińcu zamku mogunckiego, błagając o przebaczenie, i za cenę tego upokorzenia utrzywał się na swym księstwie.



Bolesław w roku 1115 zawarł pokój z Czechami, a w roku 1120 z Rusią. Nareszcie ma rozwiązane ręce, zdjęte z nóg pęta i może śpieszyć nad Odrę. Obaj przeciwnicy prawie równocześnie powracają na ten sam plac boju.

Dla Krzywoustego ważną przeszkodę stanowi brak floty. Jakże bez statków sięgać po Szczecin czy Wolin? By temu zaradzić, Bolesław zabiega o sojusz z królem duńskim, Nielsem, który chętnie przyjmuje ofertę. Niepokoi go przyjaźń Lotara z Henrykiem Goczałkowicem i rad by postawić przeciw tym dwom sprzymierzone Danię – Polskę.

Układ przypieczętuje małżeństwo syna Nielsa, Magnusa, z córką Bolesława, Ryczezą (po polsku Ryksą). Dziewczyna pochodzi z drugiego małżeństwa księcia polskiego. Po śmierci pierwszej żony, Zbysławy, księżniczki ruskiej, Bolesław pojął Salomeę, córkę hrabiego Bergu.

Wprawdzie Ryczeza jest całkiem jeszcze małą Ryksią, skończyła dopiero sześć lat, lecz w owych czasach wiek nie stanowił przeszkody. Dwu- i trzyletnie dziewczynki wydawano dla celów politycznych za mąż. Po uroczystej ślubnej ceremonii dziecko chowało się na dworze teściów, by, doszedłszy lat piętnastu, wejść w rolę i prawa małżonki.

Rok 1121 będzie rokiem decydującej wyprawy. Niels z silną flotą ruszy na południe, gdy tylko lody spłyną na Zalewie. Nie czekając na to, Bolesław w najsroźsze styczniowe mrozy rzuca się z Ujścia, na przełaj przez Pomorze, ku upragnionemu celowi. Spotkane po drodze grody otwierają przed nim bramy, nie próbując nawet oporu. Do niedawna najważniejszy punkt pomorskiego wybrzeża stanowiło miasto Wolin. Wszystkie inne grody, Szczecin w ich liczbie, były mu podporządkowane. Od czasu najazdu Magnusa Dobrego gród woliński podupadł. Czym więcej podupadał, tym skwapliwiej rozrastał się Szczecin. Już nie Wolin, a Szczecin zwano „macierzą grodów pomorskich”.

Zwielmożniało to miasto od czasów, gdy przeważały w nim liche domostwa, plecione z wikliny obrzucanej gliną. Na górującym nad grodem wzgórzem widnieje wspaniała świątynia

Trzygława. Od spalenia Radogoszczy urosła w znaczeniu. Nie tylko Wkrzanie, Wolinianie, Pyrzycanie przynoszą tutaj ofiary, lecz i te plemiona zachodnie, którym do Szczecina bliżej niżli do Arkony. Zamiast białego ogiera, na którym kiedyś odjechał z Radogoszczy biskup niemiecki, wróżby dla nich sprawuje kary koń Trzygława. Na zboczach wzgórza stoją dwory kapłanów i możnych. Pięknością budowy wyróżnia się dwór Domasława, „bogactwem oraz szlachetnością rodu najwybitniejszego wśród Szczecinian” (Herbord). Poniżej mieszka kupcy, a za nimi rzemieślnicy. Szczecin pośród wód siedzi, z wody żyje, przeto wodne rękodzieło góruje nad innymi. Niektóre działki miejskie wytyczono w kształcie długich, wąskich kieszek, z powodu ciasnoty ciemnych i smrodliwych, ale dogodnych powroźnikom, kręcącym liny okrętowe. Osobne dzielnice nadrzeczne zajmują cieśle, obrabiający spławiane tu z górnej Odry drzewo przeznaczone na kadłuby okrętowe. Opodal gnieźdzą się tkacze robiący płótno na żagle.

Nie tylko spławy drzewa zatrzymywał Szczecin. Miasto skupiało w swym ręku wszystek handel z dorzeczem Odry i Warty. Przekupnie, rybacy, bartnicy, chmielarze, kmiecie wiozący w dół rzeki swoje pożytki, musieli sprzedać je kupcom szczecińskim, bądź płacić wysokie składowe. Naprzeciw grodu na wyspie była Łasztownia. Tam, przy umocnionym palami brzegu, czołna i łodzie czekały, aż panowie rajcowie, nigdy nie spieszni, raczą przyjść i przywiezione dobro oszacować. Czekając, nie szczędzono między sobą narzekań na kupieckie zdzierstwo. Ludzie książeńcy zazdroszczą Szczecinianom, że księcia nad sobą nie mają... Niechby spróbowali. Książę ciężki, wiadomo, ale jest jeden, gdy tu łupiskór mnogość...

Szczecin rzeczywiście nie podlegał władzy książecej. Rządziła nim według własnych praw starszyzna miejska, w skład której wchodzili kapłani i możni.

Miejscem szczególnie strzeżonym była przeprawa promem od bram miejskich na prawy, pomorski brzeg Odry. Wylotu przeprawy od strony wschodniej pilnował warowny gródek Dąb, na południowym krańcu jeziora tejże nazwy położony...

Ani z góry rzeki, ani od Zalewu żaden statek, żadna łódź nie mogły dotrzeć do przeprawy bez wiedzy i zgody strażników grodzkich. Niegdyś wejścia do szczecińskiego portu broniła sławna kłoda pływająca. Istniała ona nadal, lecz wspierały ją teraz skutecznie nowsze urządzenia, jako to liczne, tylko w razie potrzeby otwierane, zapory na rzece i ustawione na brzegach maszyny, miotające ciężkie głazy. Gdzie dostępu nie broniła woda, miasto otaczały wały zbudowane z paru pięter skrzyń drewnianych, do trzydziestu łokci szerokich, wypełnionych ziemią, ziemią obsypanych. Słusznie też Szczecin uchodził za niezdobyty, zarówno od strony rzeki, jak od strony lądu. Weszło nawet w zwyczaj na Pomorzu, gdy się kto chełpił swoim bezpieczeństwem, zapytywać urągliwie: – Miałżebyś wały szczecińskie?

Chwalili się też Szczecinianie, że w całym świecie tylko angielski gród Londyn, także przy ujściu wielkiej rzeki leżącej, może się ze Szczecinem równać w bogactwie i obronności. Ku temu grodowi zadufanemu w swoje siły, w styczniu 1121 roku, pędził na kształt burzy śniegowej, wichrem wschodnim gnanej, Bolesław, księżę polski.

Wyruszył na Pomorze tajnie, tak że Pomorzanie nic o tym nie wiedzieli. Nocą jak wilk podszedł pod Szczecin, gdzie nikt się napadu nie spodziewał. Przeszedł wody i rzekę w miejscu nie chronionym, po mocnym lodzie, który mu służył za most. I wszedł zniemacka do środka miasta, i opanował miasto niezdobyte... Szczecinianie, którzy nie cierpią Polaków, zgromadzili się wokół wzgórza świątynnego i postanowili tam polec, ale się nie poddać... Rzucili wszystko na los. Na twoje albo na moje... (według Kantzow, *Pomerania*).

Nieszczęśni! Nie wiedzą, przeciw komu zamierzają walczyć. To syn Marsa, wódz, który zawsze zwycięża... Znajduje się wewnątrz grodu. Jakaż go siła wyżenie? Raczej wejść od razu w układy, do których zgłasza gotowość.

Szczecinianie, twardy naród, wybierają walkę.

Sami tego chcieli. Bolesław spada jak jastrząb na rzesze mężów i kobiet, gromadzących spieszenie kamienie na szańce,

na łuczników czających się za węglami domów. Wnet bitwa rozszerza się na cały gród. Nie masz uliczki, gdzie by nie walczono. Z obu stron jednakie słowiańskie męstwo i zaciekłość, więc trupy padają gęsto. Wczesny zimowy mrok nadchodzi niepostrzeżenie, nie przerywając zapasów. W ciemni ciasnych podwórek powroźniczych, krętych zaułków, przeciwnicy rąbią się na oślepie. Może bije swój swego? Któż rozpozna lica w mroku, rozróżni głos w zgiełku? Krzyki gniewu lub rozpacz, harkot konających, jęki deptanych, zlewają się w chór nieludzki. W powietrzu czad krwi i dym. Ciemność nocy różowieje. To nie świt, to ogień podłożony w kilku miejscach; ogień stawia tamę walce. Rośnie, huczy, strzela jak tysiące bieży, jaskrawym blaskiem oświeca wąwozy ulic, pożera chciwie miasto.

Zająć gród to nie wszystko. Gród nie może mieć wroga tuż za murami. Bez odpoczynku, błyskawicznym pochodem Bolesław rusza na zachód. Zajmuje całą ziemię Wioletów aż do Piany, obsadza swoimi załogami twierdze wieleckie, dochodzi do Jeziora Morzyckiego!

Równocześnie Lotar ze znacznymi siłami ciągnie na wschód, by dotrzeć do Odry.

Dążący naprzeciw siebie przeciwnicy, czy wiedzą o sobie wzajemnie? Czy dojdzie pomiędzy nimi do śmiertelnego starcia?

Nie dojdzie. Lotar cofa się, zdobywszy Chyżyn, stolicę plemienia Chyżan. Posłyszał o pochodzie Bolesława, a nie jest na razie dość mocny, by się z nim mierzyć. Odkłada rozprawę na później.

Utwierdziwszy swe zdobycze, Krzywousty wraca również. Na wieść o wzięciu Szczecina i ziemi Wioletów Wolin oraz Kamień poddały się zwycięzcy, nie czekając, aż pod mury podejdzie. Tak wielka jest groza jego imienia.

...wymordował tych, którzy się bronili. Młodzież wziął w niewolę. Rozgłosił, że wszystkim tak uczyni, jeżeli nie przyjmą chrześcijaństwa i nie złożą mu okupu... Zabrał osiem tysięcy młodych Pomorzan... aby ich osiedlić w Polsce (Kantzow, Pomerania).

Szczecin uchodzący za niezdojbyty... Wolin, przedmiot tylokrotnego próżnego pożądanja najeżdźców... Kamień, stolica Wielkiego Księcia Pomorskiego... (niegdyś był nią Białogard, potem Kołobrzeg, obecnie Kamień). Tu, za potężnymi wałami rezyduje Warcisław i jego świetna drużyna wojenna.

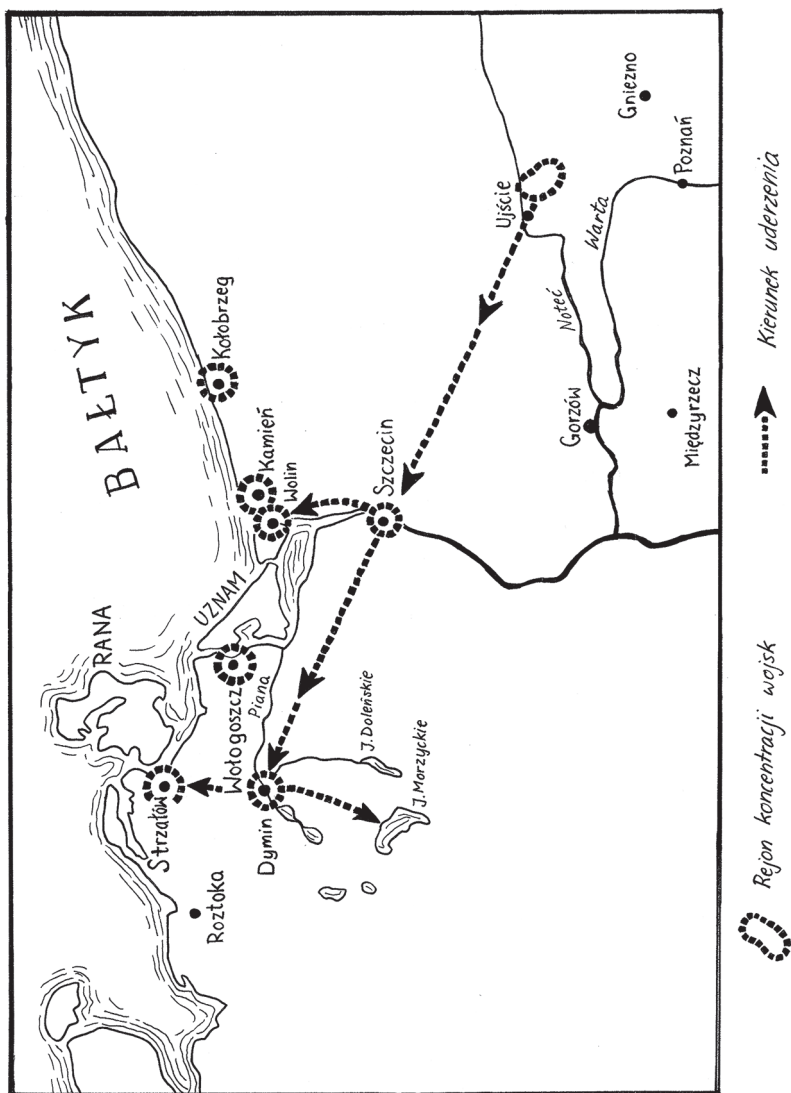
Widząc przewagę Bolesława, księżęta pomorscy, Warcisław i Racibor, poznali, że nie ma dla Pomorzan innego ratunku jak Woda Chrztu świętego i starali się przekonać o tym poddanych swoich, ale daremnie...

Warcisława widzieliśmy na dworze Lotara w roli więźnia, bądź zakładnika, wziętego przed laty w nieznanym nam okolicznościach. Obecnie, po śmierci swego ojca Świętobora, jest Wielkim Księciem Pomorskim. Lotar wrócił mu wolność, licząc, że zyska w ten sposób sprzymierzeńca przeciw Bolesławowi. Spędziwszy lata na dworze saskim, Warcisław powinien być przecież bliższy Niemcom niż Polakom.

Wzięcie Szczecina miało miejsce, zanim księżęta Warcisław i Racibor zebrali swoje wojska. Przekonawszy się, że nie mogą stawić czoła Bolesławowi, wysłali do niego poselstwo, powiadając, jak się rzecz ma, i że lud zawinił przez swoje zacięte pogaństwo, oni zaś włożą całą dobrą wolę, by poddanych do lepszego zrozumienia nakłonić... Wtedy Bolesław odpowiedział, że zadowoli się z ich strony okupem i hołdem, sam zaś przyśle na Pomorze mężów mądrych i uczonych i Bogu oddanych, którzy pouczą lud, czego trzeba. Powiedział też, że zapłaci wszystko, co by ich przybycie kosztowało, wielce bowiem zależy mu na tym, aby lud był chrześcijański... Usłyszawszy to, Warcisław i Racibor przysięgli wierność księciu polskiemu... (według Kantzow, *Pomerania*).

Krzywoustemu szczerze zależało na ochrzczeniu ludów pomorskich. Za najlepszą obronę od Niemców uważał odjęcie im powodu do napaści. Niech przestaną zasłaniać się misją apostołską, wyznając otwarcie, że chcą zabrać cudzą ziemię. Niewiele zostałyby z Polski, gdyby pradziad Mieszko chrztu nie przyjął! Taki czas przyszedł, że być chrześcijaninem – mus. Przeciw czasom działać, to jakbyś rzekę grabiami za-

## Wyprawy Bolesława Krzywoustego na Szczecin i ziemie Wieleń w roku 1121



wracał albo usiłował wiatr zatrzymać drągiem. *Anno Domini* 1121 upierać się przy pogaństwie to istna ślepotą. Chrześcijaństwo jest siłą. Jak zaprawa wapienna wiąże luźne kamienie w mocną ścianę, tak chrześcijaństwo łączy i przytwardza do gruntu samowolne, nieposłuszne plemiona, zamieniając je w stateczny naród... Mądrze myślał, ale nie było komu jego słów przyjmować. Rycerstwo pomorskie podobnie jak lud wierzyło na samo wspomnienie chrztu. Książęta Warcisław i jego bracia kryli się z tym, że byli chrześcijanami.

Zwycięski Bolesław rozłożył obóz nad Dziwną. Król duński Niels już przybył, oblegał gród Uznam. Tylko patrzeć, a przyplynie tutaj. Bolesław czekał niecierpliwie przybycia swej córki, narzeczonej królewicza duńskiego. Mrozy zeliżały. Jeżeli w Krakowie zamarudzono z wyjazdem, a teraz wczesne roztopy nie pozwolą im przejechać, Niels gotów posądzić księcia polskiego o nieszczerłość. Bolesław już wpadał w gniew, na szczęście, zanim król duński uporał się ze zdobyciem Uznamu i ściągnięciem z tego grodu daniny, oczekiwany orszak nadjechał. Setka co najprzedniejszego rycerstwa oraz tabor sań wyładowanych wyprawą księżniczki, darami, zastawą i kosztownościami. Wszak nie byle pacholek wianował swoją córę. Pośrodku, na szerszych, ozdobniejszych saniach, jechała tęga cześnikowa Godziembina, opiekunka księżniczki.

- Gdzież Rycheza? – pytał natarczywie Bolesław.
- Godziembina ukazała zawinięcie leżące w nogach.
- Śpi – objaśniła. – Zmorzyło się niebożątko.
- Nie słaba zaś?
- Uchowaj Boże, zdrowa jak rybka.

Wyciągnięto tłumoczek z sań i wniesiono do izby. Godziembina i dwie dworki rozpowiadały przyszłą oblubienicę z chust i kożuchów, którymi była omotana. Dziecko zaspane, spoczone, przelekle widokiem obcych, ryknęło płaczem, brudnymi piąstkami rozmazując sobie łzy po twarzy.

Krzywousty patrzył na nią chmurnie. Może po raz pierwszy w życiu przyglądał się swojej córce tak uważnie. Drob-

na była, wyglądała na lat pięć najwyżej, przy tym, jak widać, płaksiwa. Król duński gotów powiedzieć: – Kurczę mi tu liche dajecie...

– Rychtyk do was podobna, miłościwy panie – zauważyła niezawodnym kobiecym instynktem wiedziona cześnikowa.

– Do mnie?... To mazgajstwo? – Ano istotnie. Poza tym że usteczka miała proste (choć teraz zgięte w podkówkę), kształt głowy, oczy, czoło, piastowskie były. – Moja krew – przyznał Bolesław i spojrzał nieco przychylniej na zapłakaną Rychezę.

Flota duńska zawinęła do brzegu. Król duński ze swym synem, wyrostkiem o niemilej twarzy, zeszedli na ląd witając sprzymierzeńca. Ryksia, odziana w długą czerwoną sukienkę, w wianku ze złotych wstążek, przyglądała im się bystrymi oczkami bez lęku. Niels nie miał powodu narzekać. Co do Magnusa, widok narzeczonej był mu doskonale obojętny. Prawdziwą radość wzbudziły w nim za to otrzymane od przyszłego teścia dary.

Bolesław przywiózł swą córkę Ryksę i położono ją obok Magnusa w obozie duńskim... (Kantzow, *Pomerania*).

Tzw. „pokładziny” miały w wypadku małżeństw dziecinnych charakter symboliczny. Rzeczywiste zaślubiny Ryksy córki Bolesława z Magnusem synem Nielsa miały miejsce osiem lat później, według jednych kronikarzy w stolicy duńskiej Roskilde, według innych w Ribe.

Magnus syn Mikołaja [Nielsa] poślubił Rikisę, córkę króla polskiego Bolesława... (*Knytlinga Saga*).

...król Niels obległ miasto Uznam, zdobył je i wziął wielki okup. Następnie płynąc ku Wolinowi, spotkał Bolesława, leżącego obozem z potężnymi siłami i popłynął z powrotem do Danii... (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Kiedy król duński odbijał od pomorskiego brzegu... doznał go na łodzi książe Warcisław, by się naradzić, co dalej



czynić?... Nim wszedł na pokład królewskiego statku, otrzymał zapewnienie bezpieczeństwa. Skoro się tam znalazł, król z Magnusem i Kanutem Lawardem naradzali się na osobności... Magnus doradzał uwieźć Warcisława ze sobą do Danii, a wtedy inne grody jak Wołogoszcz, ...snadno się same poddadzą. Kanut Laward sprzeciwił się temu gwałtownie, powiadając, że byłoby to przeciw czci i prawu... O podobnej niewierności, złamaniu słowa królewskiego, nigdy nie słyszano ani nie czytano... To, co Magnus powiada, okryłoby hańbą ród królewski i koronę...

Jego mowa przekonała umysł króla, który postąpił, jak Kanut przedkładał... Ale w sercu Magnusa, którego radę odrzucono, zrodziła się nienawiść do Kanuta... (Kantzow, *Pomerania*).

Na spór rozjątrzonych mężów, gadających w niezrozumiałym dla niej języku, patrzy z trwogą mała polska dziewczynka, okruczeństwa, zagubiony w obcym świecie. Boi się, bo cześnikowa została na drugim końcu pokładu. Jakże przejść do niej, kiedy okręt tak kołysze?... Ryksia boi się poruszyć, a wiosłarze na swych ławach śmieją się z jej przerażenia.

– Idź do niańki! – woła gniewnie Magnus.

Mała nie rozumie, co on mówi. Bliska jest płaczu. Wtedy Kanut Laward podchodzi. – Nie bój się – powiada po słowiańsku (nauczył się tej mowy, przebywając u Goczałkowica) – ja cię zaprowadzę.

Dziecko z ufnością chwyta jego dłoń. Za chwilę jest w objęciach cześnikowej. Kanut wraca na swe miejsce. Paczyny wiosłarzy piórami smagają wodę, statek rozcina fale, wznosi się, opada. W sercu Magnusa nienawiść do Kanuta rośnie.

Zwycięsko powracał do kraju Bolesław na czele swych wojsk. Pchał Polskę dalej, niż to uczynił pradziad Mieszko, dziad Chrobry. Na Pianie stoi granica państwa polskiego.

Książęta pomorscy są jego, Bolesława, lennikami. Młodszy brat Warcisława, Racibor, jedzie z nim jako zakładnik. Nie cofnie się już Polska z tych ziem. To Lotar cofnął się przed Piastowiczem.

Pomimo słusznej dumy Bolesław jest skłopotany. Ma dwa orzechy trudne do zgryzienia. Zdobył... Zdobyć to jeszcze nie wszystko. Równie ważne, a nieraz trudniejsze, utrzymać. Zespolić, wchłonać... Jest panem całego pomorskiego wybrzeża... Od Wisły do Piany. Piękne przystanie, dogodne zatoki, grody nadbrzeżne, bogate porty, to wszystko należy do niego... Stały się polskim piastowskim dziedzictwem... Czy naprawdę? Jeżeli nadpłynie nagle nieprzyjaciel, czym książe polski swoje posiadłości obroni? Co mu ze Szczecina, jeżeli Szczecina nie strzeżę okręty polskie? Co mu ze Szczecina, w mury którego mieszczanie, jeśli zechcą, mogą go nie wpuścić? Biała temu, co posiadając wybrzeże, nie posiada silnej floty! Dziś Polska jest w przymierzu z Danią, ale sojusze bywają kruche. Jeśli na Zalewie pojawią się czerwone żagle, co wtedy? Mosty pod Kamieniem i Wołogoszczą? Wielka mi zaporą! Most można spalić, zapory przerąbać... Ot teraz: król duński wziął Uznam, ściągnął zeń daninę i jeszcze zamyślał o Wołogoszczy... Te grody należeć powinny do Polski... Więc jakim prawem? Ano takim, że Duńczyk ma statki, a książe polski ich nie ma... Statki! Statki!

Towarzyszył mu w drodze Racibor, zakładnik. Jadąc strzeżem w strzeżem, gadali o sprawach morskich. Okazało się, że młodziak urodzonym jest żeglarzem; morze miłuje tak, iż wołałby zostać korsarzem jak ci, co na wyspie Wębrze siedzą, łotrząc po morzu, niż pozostawać na lądzie. Mimo młodych lat rozumiał się na okrętach, ich rozmiarach, wyposażeniu, ściągłości i mocy. Bo inne są statki bojowe, godzące w bok przeciwnika umieszczoną na dziobie ostrogą, a inne, służące do przewożenia wojska czy żywności, a jeszcze inne do dalekich wypraw na zachód albo na północ... Bolesław słuchał chciwie, otrzymane wiadomości w myślach układał, o dalsze wypytywał. Gdzie są najsprawniejsi cieśle? Posłyszawszy, że dobrych szczecińskich cieśli pognął wśród jeńców do Polski, Krzywousty postanowił ich z tłumu wyłuskać, w warsztaty zaopatrzyć i do właściwej roboty zasadzić. Niech pracują, niech się starają, a otrzymają nagrodę... Może nawet kiedyś powrócą do domów...

Udał się Bolesławowi Racibor (niebawem da mu za żonę starszą swoją córkę, Przybysławę). Uczyni go dowódcą nowo powstającej floty, bezpośrednio od niego, Bolesława, zależnym.

Powiedział to chłopcu, który aż pokraśniał z radości. – Ejże! – wykrzyknął. – To ja będę prawdziwie król morski!

Drugi kłopot Bolesława cięższy był do rozwiązania. Obiecał przysłać na Pomorze mężów świątłych, mądrych, Bogu oddanych, co by pouczali lud pogański o prawdziwej wierze. Gdzie takich szukać, jak nakłonić, by do słynących z zawziętości pogan jechać zechcieli?

– Zawzięci oni są bardzo – przyznawał Racibor. – Mój brat Warcisław przepowiedział im złe skutki takiego uporu, ale oni nie dbali o strachy. Dobrze, że go nie przegnali za samą radę.

Kiedy Bolesław pytał, skąd bierze się taka niechęć do wiary prawdziwej, młody Pomorzanie objaśniał, że po klęsce smiłowskiej schroniło się na Pomorze bardzo wielu wojów, nawet i dawnych książąt, wieleckich lub obodrzyckich. Oni to, rozpowiadając o niemieckim nawracaniu na chrześcijaństwo, rozbudzili tę srogą nienawiść. „Byleś dał się wodą polać, już zostałeś sługą” – powiadali...

Przyjechawszy do Gniezna, Bolesław wezwał wszystkich biskupów na radę. Tylko sędziwy arcybiskup Marcin nie stawiał się, chorym będąc. Zebranych dostojnikom książę przedstawił, w czym rzecz: Pomorze czeka na apostołów, którzy wiarę świętą temu ludowi zaniosą...

Słuchali w niechętnym milczeniu, od słów wymowniejszym. Mieli swoje racje, Bolesław je przewidywał. Większość ówczesnych biskupów polskich była pochodzenia cudzoziemskiego. Rozpowiadać im o znaczeniu Pomorza dla Polski – to tyle co głuchym przygrywać... Poza tym szczupła liczba duchownych ledwo wystarczała na potrzeby kraju. – Pójdziemy nawracać kozły – mówili biskupi – a któż ustrzeże wtedy naszych owiec? Najpierwszy nasz obowiązek kierować owczarnią, powierzona nam przez Pana... Do pogan niech idą ci, co tego obowiązku nie mają. – Co miał książę na to odrzec? Gadali słusznie. Istniała jeszcze przyczyna trzecia: biskupi nie lubili Krzywoustego.

Nie lubili, nie ufali mu. Nadto przypominał swojego stryja, Śmiałego. Nie mogli zapomnieć, że swego czasu czcigodnego arcybiskupa Marcina więził za przychyłność okazywaną przezeń Zbigniewowi. Przy tym w kronice pod rokiem 1105 czytamy:

...przybył do Polski legat Stolicy Rzymskiej Walo, biskup Belwaceński, który za poparciem Bolesława, z umiłowania sprawiedliwości, z tak wielkim rygiorem wypełniał przepisy kanoniczne, że dwóch biskupów złożył z godności, przy czym nie pomogła ani prośba żadna, ani zapłata (Gall, *Kronika*).

O co chodziło, czym się narazili złożeni z urzędu dostojnicy – nie wiemy. W każdym bądź razie popieranie przez księcia rygorów legata nie mogło przysporzyć mu popularności pośród biskupów miejscowych.

Zarówno z tej narady, jak z dalszych, jasno wynikało, że w Polsce Krzywousty misjonarza dla Pomorza nie znajdzie. Żlił się zatem bezsilnie. Zamierzał wysłać tam swego kapełana, kanonika Wojciecha, człowieka bardzo bystrego. Temu oczy się śmiały do takiego wywyższenia, ale uczciwie ostrzegął, że niska godność zaszkodzi wyprawie. Niewiele znaczy kanonik. Na czele misji winien stać biskup. Infuła i pastorał muszą być. Takie są zwyczaje od setek lat.

Skąd je wziąć?...

Bolesław przypominał sobie wszystkich kapłanów i zakonników, jakich kiedykolwiek znał. Lecz na myśl przychodził tylko jeden. Ach, gdyby on żył...

Tym człowiekiem był Niemiec, ksiądz i nauczyciel, Otto von Mistelbach z rycerskiego, ale ubogiego rodu pochodzący. Przybył niegdyś do Polski, zapewne z jakimś poselstwem, pozostał tutaj, założył szkołę w Poznaniu i wprędce zasłynął z umiejętności nauczania. Po polsku mówił biegle. Sława jego dotarła do Płocka i nieboszczyk książę Włodzisław powołał go na swój dwór jako nauczyciela synów, a potem na urząd kanclerza. Zbigniew i Bolesław lubili swojego mistrza, jak wszyscy zresztą. Otto pozyskał sobie mir i posłuch powszechny. Mądry był,

dobry, rozsądny. Posiadał wielki wpływ na dworze i na dobre go używał. (Gdyby pozostał – myślał teraz Bolesław – inaczej poszłoby pomiędzy mną a Zbigniewem...). Ówże Otto, wysłany kiedyś przez Włodzisława z poselstwem do Niemiec, nie wrócił, zatrzymany przez cesarza Henryka IV. Co się z nim później stało, Bolesław nie wiedział... Zresztą Otto, jeżeli żyje, jest dzisiaj starym człowiekiem. Za czasów płočkih już był szpakowaty.

Gryźł się tą sprawą pomorską, gdy pewnego dnia zjawił się na dworze nieznany zakonnik. Biskupowi Baldwinowi (jedynemu, z którym mógł się dogadać) powiedział, że przyszedł wprost z Rzymu, by iść nawracać pogan na Pomorzu. Był Hiszpanem, na imię miał Bernardus; chudy, smagły, w podartej opończy, lecz pełen zapału. Dowiedziano się od niego, że poprzednio był pustelnikiem gdzieś w górach italskich. Przyjaciele zapragnęli uczcić go godnością i wezwali Bernardusa z błogiego eremu do Rzymu, gdzie Ojciec Święty udzielił mu sakry biskupiej. Lecz kapituła przeznaczonej dlań diecezji wolała mieć innego ordynariusza, i pustelnik zrzekł się dostojństwa. Równocześnie przez benedyktynów tynieckich przysłała wieść do Rzymu, że książę polski poszukuje męża, który by chętny był pogan nawracać. To usłyszawszy Hiszpan Bernardus wyruszył do Polski, gdyż pragnął męczeństwa. Języka żadnego, poza hiszpańskim i łaciną, nie znał, sądził jednak, że Duch Święty udzieli mu daru mowy. Chciał go Bolesław zapatrzyć w szaty, naczynia liturgiczne i cenności na podarki, ale Bernardus odmówił. Wziął ze sobą księdza polskiego, jako tłumacza, i wyruszył do Wolina.

W Wolinie ludzie zebrali się tłumnie na rynku, posłuchać, co przybyły chce rzec. Bernardus wygłosił kazanie. Słowa jego były z pewnością piękne, lecz nieudolnie przekładane przez tłumacza nie brzmiały przekonująco.

Kiedy Hiszpan oznajmił, że przychodzi jako poseł Boga potężnego, wszyscy zaczęli się śmiać. Wołali: – To wasz Bóg nie ma lepszego posła, jak tego bosego żebraka?! – Inni posądzali Bernardusa, że przyszedł do nich, by jałmużną wypchać sakwy... Zasmucony zakonnik poszedł do świątyni i za-

palili się gniewem na widok bałwana. Chciał go obalić, lecz to jego obalono i sponiewierano. Wypędzili go z bram grodu na brzeg i wsadziwszy razem z tłumaczem do łodzi, odepchnęli na wodę, przykazując, aby nie śmieli powracać, gdyż Wolinia- nie nie mają czasu słuchać takich głupstw (według Kantzow, *Pomerania*).

Hiszpan stracił ochotę do dalszego apostołstwa, a wróciwszy na dwór Bolesława, przyznawał słusność tym, którzy twierdzili, że upartego pogaństwa żadna siła nie przekona. Bolesław słuchał zaszępiiony. Co u licha z tymi Pomorzanami, że trafić im do rozumu nie można? Co prawda – myślał – gdybym był poganinem, a przyszedł do mnie taki cudak i coś po swojemu bełkotał, czybym go posłuchał? Wiera, że nie... Kogo do nich posłać, kogo?

Pytał potem Bernardusa, co teraz zamierza czynić? Hiszpan odparł, że pójdzie stąd wprost do przezacnego swego przyjaciela, biskupa Ottona z Bambergu...

– Kto zacz ów Otto?! – wykrzyknął Bolesław, poruszony do żywego.

## APOSTOŁ POMORZA

...król [Henryk II] ukochał od dziecka swoje miasto we wschodniej Frankonii, Bamberg... Żył w sercu ciche życie, by tam założyć biskupstwo... Ponieważ... kto zaczął, czynu już zdziałał połowę, kazał tam wznieść katedrę o podwójnej krypcie... (Thietmar, *Kronika*).

W jakiś czas później, mimo oporu sąsiada, biskupa wüzburgskiego, któremu nowa fundacja miała uszczuplić tereny, biskupstwo w Bambergu zostało założone i choć Henryk II dawno nie żył, cieszyło się nadal faworami dworu. Otrzymanie tego pastorału było wyróżnieniem, rezerwowanym zazwyczaj dla członków rodziny cesarskiej. Toteż wielkie wrażenie wywołało w całym kraju, gdy po śmierci biskupa Ruperta w 1102 roku stolicę bamberską otrzymał człowiek skromnego rodu, Otton, niegdyś nauczyciel synów księcia polskiego Włodzisława Hermana i tegoż księcia sekretarz, później kanclerz i doradca cesarza Henryka IV. Ci, którzy go znali, twierdzili na przekór księżętom, że godniejszego nie można było wybrać. Obecny biskup Bambergu posiadał rzadkie przymioty, łącząc prawość i żarliwość z bystrym rozumem i chrześcijańską pokorą. Małego mniemania o sobie, bronił się przed wywyższeniem i dopiero rozkaz cesarski skłonił go do przyjęcia ofiarowanej godności. Osiadłszy w Bambergu nie oddawał się wygodnemu spoczynkowi i choć wiekowy, nie zażywał wczasu. Stary cesarz, potem jego syn, posługiwali się nim często jako posłem lub rozjemcą. Biskup Otto usilnie siał zgodę tam, gdzie inni rozsiewali spory, i w sądach swych kierował się zawsze sprawiedliwością. W wieloletnich walkach między cesarzami Henrykiem IV i Henrykiem V a Stolicą Apostolską Otto, niestrudzony pośrednik, faktor dobrej woli, narażał się przez

swą szczerość to jednej, to drugiej stronie, to obydwom naraz. Niemniej jego cierpliwe wysiłki przyniosły uspokojenie. W roku 1121 opracował wraz z innymi biskupami podstawy układu między papieżem a cesarzem i głos jego przyczynił się walcie do zawarcia upragnionego rozejmu. Gdy zapanował pokój w miejsce gorszącego wszystkich chrześcijan sporu, biskup Otto uznał, że dzieła swojego życia dokonał. Czuł się zmęczony i stary. Siódmy krzyżyk obciążał mu barki. Powróciwszy do Bambergu, rzekł do Sefrida, swego sekretarza: – Ostatnia to była moja podróż ziemską. Będę teraz, modląc się, oczekiwał śmierci, którą oby Pan nasz raczył dać szczęśliwą...

Dożywał dni w ciszy i pokoju, otoczony powszechną miłością, odpłacając tym samym uczuciem. Kochał miasto Bamberg, swoją katedrę, jedną z najpiękniejszych w cesarstwie, obszerny dworzec biskupi, mający po jednej stronie wirydarz pełen kwiatów, po drugiej dziedziniec otoczony krytym ganikiem, pod którym bracia zakonnicy rozdawali codziennie ciepłą strawę ubogim... Kochał tutejszych ludzi, uczciwych, spokojnych Bawarów, kochał widok ścielący się z okien dworca na dolinę rzeki Regnicy. Niegdyś, za Karola Wielkiego, ta ziemia aż do Menu była ziemią słowiańską. Nie zostało z tego śladu, oprócz nazw dziwacznie brzmiących dla nie znających języka słowiańskiego.

Ten błogi spokój został raptownie przerwany.

Wczesną wiosną 1124 roku cesarz Henryk V powiadomił Bamberg, że niebawem zjedzie do grodu z księżętami szwabskimi i bawarskimi dla omówienia wyprawy na niepoprawnego buntownika, księcia Lotara saskiego...

O Panie wielki! Zaczyna się znowu! – pomyślał z przerażeniem biskup.

Nim zjazd zapowiedziany nastąpił, przyjechał gość inny, równie nieoczekiwany, ale sercu bliższy. Ojciec Bernardus, Hiszpan, dawny przyjaciel Ottona. Przybywał z Polski i miał list do gospodarza od księcia polskiego Bolesława.

Dawne dzieje... Płock nad wielką rzeką Wisłą... mały Bolko o skrzywionej gębie... orężne czyny, na przemiany chwalebne,



to zbrodnicze, których pogłos dolatywał aż tutaj... Wszystko to stało się biskupowi żywo przed oczyma, kiedy rozrywał pieczęcie.

Swemu Panu i kochającemu Ojcu, Bolesław książę polski... Jeśli to Twojej godności nie uchybi, pragnę odnowić dawną naszą przyjaźń i posłużyć się Twoją pomocą, by chwałę Bożą rozkrzewić... Pogańscy Pomorzanie upokorzeni nie moją, lecz Bożą mocą, gotowi są wejść przez chrzest do wspólnoty Kościoła świętego. Od trzech lat daremnie szukam osoby duchownej, gotowej podjąć się tego dzieła. Twoja świętobliwość, Ojcze, słynie jako niezmordowana do każdego dobrego uczynku, przeto proszę, byś raczył podjąć się tej pracy. Ja sam, jako wierny sługa, zaopatrzę Cię we wszystko, co potrzebne być może. Dam przewodników, tłumaczy, prezbiterów. Pole zbiegało ku żniwu, a żeńców brak. Racz przyjechać, świętobliwy Ojcze! (według Herbord, *Żywot św. Ottona*).

– Ej, gdyby mi ujęto lat – westchnął biskup i odczytał epistołę przyjacielowi. Ten zachnął się oburzony.

– To kłamstwo, że Pomorzanie pragną przyjąć wiarę świętą – zapewniał – to kłamstwo! Książę polski pokonał ich, więc obiecali pod przymusem, ale nie myślą obietnicy dotrzymać... Byłem u nich... wyszydzili mnie... Mało nie zabili...

Opowiedział dzieje swego występu w Wolinie. Otto z trudem wstrzymał uśmiech.

– By iść do pogan, trzeba znać ich mowę – rzekł głośno. I ciszej dodał: – Ja ją znam...

– Wasza Miłość nie myślisz chyba udawać się do tych barbarzyńców! – wykrzyknął przerażony sekretarz.

– Nie myślę, bom niestety za stary – odparł z żalem biskup.

Lecz w ciszy nocnej, gdy wszystko wokoło uśpione, tylko strażę na wałach nawołują się przeciągłym: – Czuwaaasz?... Czuwaaam!... myśli Ottona wzięły inny obrót. Znał istotnie Słowian, ich kłótniwe, niestałe umysły, otwarte głowy i łaskawe serca. Sądził zawsze, że nie ma ludu bardziej od Słowian

skłonnego do przyjęcia Ewangelii. Czyżby się tak zmienili przez ubiegłe lata, czy też nie umiano do nich przemówić?...

Biskup Otto nie lubił potępiać nikogo, nieraz jednak dziwił się postępowaniu swych konfratrów, saskich biskupów. Czy którykolwiek z nich starał się poznać mowę tego ludu? Czy wniknął w ich życie, w ich dusze? Zaprawdę – myślał – gdybym był młodszy, odpowiedziałbym z radością na wezwanie Bolesława... Alem stary... W kościołach mnie łamię na zmianę pogody i męczę się, idąc pod górę... Na konia nie wsiądę bez stołka... Gdyby nie to, poszedłbym... Nie stracham się tym, co opowiada Bernardus. Szlachetny to mąż, ale brakuje mostu między nim a ludźmi... Cóż zresztą mógł uczynić, języka nie znając?

...Czuwaaasz?... Czuwaaam!...

...Czuwam – snuł myśli dalej. – Czuwam, Panie. Czy ukazałeś mi tę drogę po to, bym wszedł na nią?... Czy Opatrzność Twoja poczytuje mnie za zdatnego jeszcze do żniwa?...

W katedrze dzwoniło na prymarię. Biskup się obudził i ze zdziwieniem stwierdził, że już postanowił. Jak gdyby kto inny w czasie jego snu powziął decyzję. Pozostawało tylko obmyślić szczegóły. Zamiaru nie chciał ujawniać nikomu, dopóki nie otrzyma zezwolenia Rzymu i cesarza na podróż misyjną.

Henryk V przybył w oznaczonym czasie. Wyglądał jak człowiek chory, choć nadrabiał miną i usiłował przemawiać z dawną energią. Książęta szeptali między sobą, że cesarz ma raka. Medycy to zdradzili, dlatego Lotar tak zuchwale postępuje...

Henryk V nie miał nic przeciw podróży biskupa Ottona. Pozwolenia udzielił również legat papieski, obecny na zjeździe.

Kościół zezwolił na wszystko, co było z nim zgodne. Zezwolił i dwór [cesarski], życzący powodzenia w zbożnych wysiłkach (Ekkehard, *Chronicon*).

Teraz już Otto mógł odpisać księciu polskiemu i ogłosić zamiar podróży. Dopieroż zawrzało w Bambergu! Wieści szerzone przez Sasów o dzikości i okrucieństwie Pomorzan prze-

chodziły wyobraźnię ludzką... Pamiętano, co tak niedawno pisał opat z Ursbergu o czci oddawanej przez pogan demonom, o pomordowanych sługach Kościoła. Bernardus, świadek naoczny, potwierdził straszne relacje. Wszak sam ledwo z życiem uszedł. Nigdy – zapewniał – nie zapomni okrutnych twarzy szyderców...

Nie dziw, że księża i zakonnicy, którzy mieli towarzyszyć biskupowi, truchleli zawczasu, oglądając już siebie pieczonych na ruszcie jak św. Wawrzyniec, kłutych strzałami jak św. Sebastian, obdzieranych żywcem ze skóry jak św. Bartłomiej Apostoł. Najmniej przełknięony zdawał się sam Otto. Zbyt wiele miał na głowie, by się frasować zawczasu.

Jako Bawarczyk niezbyt lubił Sasów i w wątpliwość podawał ich gadki o wszeteczeństwie i niegodziwości Pomorzanie. Natomiast wierzył temu, co mówili kupcy przejezdni. Pomorzanie – ich zdaniem – to ludy gospodarne i zamożne, ceniące dostatek. Ubóstwo mają w pogardzie, lubią przepych i wspaniałość.

Biskup Otto ufał Panu bezgranicznie, wierzył jednak, iż człowiek kierować się winien rozumem. Bernardus, choć ożywiony najlepszymi chęciami, postępował nierozumnie, przeto niczego nie mógł dokonać. Gdybym – myślał Otto – poszedł tak jak on, boszo, w podartej opończy, nie przysporzę chwały Panu. Niechędogi przyodziewek zakryje przed oczyma pogan wielkość Bożą. Trzeba, przeciwnie, olśnić ich, zachwycić. Trzeba, by Pan nasz objawił im się jak wielmoża, nie żądający niczego, owszem, rozdający dary...

Tak umyśliwszy kazał ładować na wozy swój skarbiec biskupi, ku zgorszonemu przerażeniu całego dworu. – Nie dość żywota narażać, jeszcze skarby wywozić!...

...z właściwą sobie szczodroblewnością polecił zabrać mszały, święte księgi, kielichy, szaty liturgiczne, i wszelkie wyposażenie ołtarzy, wnioskując, że tych przedmiotów nie będzie można otrzymać w pogańskim kraju. Nie chciał, by mówiono, że niedbały robotnik wyszedł na rolę Pana bez odpowiedniego sprzętu... Wziął również cenne szaty, kosztowne

materie i klejnoty na podarki dla tamtejszych dostojników... aby jasne się stało, że nie z ubóstwa głosi Ewangelię i że woli oddać własne dobro nowej roślince, niżli uszczuplić mienie jej przyszyłych wyznawców (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Po odjeździe cesarza biskup pobłogosławił ostatni raz miasto i cały lud, poświęcił dwa nowe kościoły, jeden w Lutzenberg, drugi w Volhendreze, błagając Pana, by mu pozwolił poświęcić trzeci w Szczecinie, i wyruszył w drogę.

Jechali przez Las Czeski i Złotą Pragę ku polskiej granicy. Od granicy na gród Niemcęg, Wrocław, Kalisz do Gniezna. Krzywousty z rycerstwem i duchowieństwem wyszedł pieszo przed miasto witać apostoła i ze czcią wprowadzić do katedry, następnie na zamek. Nie posiadał się z radości, że nareszcie dopełni danej Pomorzanom obietnicy. Z wdzięcznością spoglądał w ujmującą, czerstwą jeszcze, mimo starości, twarz dawnego mistrza. Posłyszawszy, jakie bogactwa wiezie misjonarz, nie chciał się okazać mniej hojny i dołożył drugie tyle. Dodał oprócz tego wozów, ludzi, koni, wołów, zapasowego sprzętu i żywności w nadmiarze. Przydzielił biskupowi do boku kanonika Wojciecha, swego kapelana, a na przewodnika, doradcę i opiekuna wyprawy przeznaczył kasztelana santockiego, Pawła, przezywanego Pauliciusem, znanego z prawości, rozważli i wymowy, świadomego przy tym zwyczajów pomorskich, gdyż od lat w granicznym grodzie Santoku przebywał.

Zanim wszystko zładowano i przysposobiono, biskup Otto spędzał czas, wypytując Bolesława o wszystko, co dotyczyło Pomorzan. Odnawiał też wspomnienia z pobytu swego w Polsce przed trzydziestu blisko laty. Pomnąc, że był bakałarzem pacholał w Poznaniu, dowiadywał się, jakie teraz są w Polsce szkoły. Bolesław objaśniał, że biskupi przy klasztorach przyuczają kleryków, lecz on się do tego nie wtrąca. Dziwił się stary mistrz, powiadając, że do najpilniejszych obowiązków księcia należy opieka nad szkołami. – Gdzie młodzi polscy biskupi? – pyta. – Gdzie światło głowy w naukach ćwiczone, mogące posłować na zachód i z tamtejszymi mądralami jak równy z równym gadać?

Wypytywał też biskup księcia o synów, o to, któremu dziedzictwo przekaże (westchnął, myśląc o nieboszczyku Zbigniewie). Chłopaków Bolesław miał czterech. Młodszy jeszcze dzieci, najstarszy Włodzisław chłop pod wąsem. Wszyscy drżeli przed ojcem, który, po prawdzie, niewiele o nich umiał powiedzieć, poza tym, że Włodzisława uważał za niedołęgę.

Nie podobało się to biskupowi.

– Kiedyż mam czas myśleć o dzieciach czy szkołach, z konia nie schodząc! – wykrzykiwał Bolesław, zniecierpliwiony przyganą (od nikogo innego by jej nie zniósł). – Z jednej wyprawy na drugą! Od tej granicy do tamtej! Co rok wojna, a były lata, żem jednego roku wiódł dwie.

– Za wiele mieczem działacie, a za mało głową – odpowiedział Otto. – Wybaczcie, iż mówię otwarcie: lepszy z was wódz niż polityk... Nieraz więcej dokażesz słowami, naradą, mało ważnym ustępstwem niż mieczem. Lepszy skutek osiągnięty bez krzywdy ludzkiej, jaką niesie każda wojna, sprawiedliwa ona czy niesprawiedliwa...

Mądrze prawił, ale syna Marsa nie przekonał. Dla Krzywoustego miecz stanowił najpewniejsze rozstrzygnięcie, prawdziwie męski argument.

– Ot, patrzcie, Ojczy – dowodził – pogany ochrzczą się, a czemu? Bom im tęgiego strachu napędził...

Gadali nieraz długo o tych sprawach, aż wszystkie luczyna wygasły, a ciemność krótkiej nocy majowej bielą.

Biskup pośpieszał, przeto kasztelan santocki wiódł tabor najkrótszą drogą, szlakiem leśnym skroś puszczy nadnoteckich przerąbanym przed paru laty. Od tego czasu przesieka nie była używana przez nikogo, chyba przez dziki lub żubry idące do wodopoju, toteż szlak zarósł wikliną, cierniem i malinami. Z każdego pnia ściętych niegdyś gładko drzew wybuchał czub młodych pędów. Rzekoma droga przemieniła się w zagajnik, ścięte drzewa, odciągnięte przez drwali na bok, próchniały, porastały mchem i hubą. Gdzie słońce sięgało, wygrzewały się na nich żmije.

Przedzierając się przez te chaszcze, biskup chwalił przeczność księcia, który doradził zaprząć woły w miejsce koni. Konie szły z tyłu luzem, chrupiąc młode pędy, woły cierpliwie ciągnęły skrzypiące przeraźliwie wozy.

Tabor był liczny, bogaty, słabo uzbrojony. Gdyby w tych puszczech grasowali zbóje, łatwo mogli się pokusić o wiezione dobro. Lecz w tej głuszy nawet zbójów nie było. Na kogo mieliby czatować, skoro nikt tędy nie jeździł?

Milczący bór przerażał, wyobraźnia powiększała możliwe niebezpieczeństwa. Sefrid, Thieme i Udalryk, kapelani biskupa, opowiadali po powrocie:

Dotychczas żaden śmiertelnik nie przekroczył tego boru, poza tym, że książę wcześniej, zanim podbił Pomorze, wyrąbał drogę... ścinając i znacząc drzewa. Idąc za tymi znakami, przebyliśmy las z wielkim trudem dopiero po sześciu dniach, a to na skutek spotykanych olbrzymich węzów i dzikich zwierząt oraz gnieźdzących się na szczytach drzew żurawi, które niepokoiły nas swoim krzykiem i łopotem skrzydeł. Także z powodu bagien, utrudniających przejazd wozów ładownych. Na koniec stanęliśmy obozem nad brzegiem rzeki Warty, która oddzielała Polskę od Pomorza... (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Chyża wieść wyprzedziła jadących. Na drugim brzegu granicznej rzeki Warty czekali już woje pomorscy z księciem Warcisławem. Wnet książę i z pół setki wojów przeprawili się łodziami na polską stronę. Książę z biskupem świadczyli sobie grzeczności, po czym wraz z Pauliciusem, kasztelanem, weszli do namiotu. Drużynnicy pomorscy zostali, mierząc ponurym wzrokiem wystraszonych zakonników. Dwóch z nich jęło po niemiecku objaśniać, jakie męki czekają przybyłych. Golone łby złożone będą bogom na ofiarę. Albo zakopani zostaną po szyję, a tonsury wykroją im nożami. Albo skórę z nich żywcem zdzierać będą... Nie wytrzymali braciszkwowie i padli na ziemię, płacząc.

...jeszcze wiele innych rodzajów męczarni zapowiadali, przerażając nas wrzawą i bezwstydnym śmiechem z naszych łez (jw.).

Na koniec z namiotu wyszli biskup i ksiązę, ramionami przyjacielsko objęci. Warcisław trzymał w dłoni cenną łaskę ze słoniowej kości, dar biskupa. Wszyscy woje otrzymali również podarki dla uczczenia szczęśliwego dnia i odpłynęli, obiecując nazajutrz przysłać ludzi, którzy zbiją tratwy i przewiozą tabor biskupi na drugi brzeg.

Dopieroż bracia padli Ottonowi do nóg, opowiadając, jakich złościwości byli ofiarą. Uśmiechał się z ich pobladłych lic, przygadując, że wobec pogan większego męstwa nic okazali. Wyjaśnił też, że Słowianie skłonni są z natury do żartów.

Mówiąc to, zachowywał twarz pogodną, lecz na sercu nie było mu lekko. Rozmowa z księciem pomorskim przykry miała przebieg. Wszedłszy do namiotu, Warcisław ukląkł przed Ottonem, całując jego ręce i wyznając, że jest chrześcijaninem podobnie jak jego żona i dzieci, lecz trzyma to w tajemnicy, z obawy, że poddani pozbawią go tronu. Gorszyła Ottona taka małoduszność, Warcisław tłumaczył, że wszystko, co mówią o zawziętości Pomorzan, to jeszcze mało. Nic tych pogan nie przekona! Ksiązę radził biskupowi powracać szybko, skąd przybył, gdyż spotka go los Bernardusa, Hiszpana.

– Nie daj Boże, bym zawracał – odpowiedział Otto. Usiłował przekonać Pomorzanina, że niemęska i grzeszna rzecz ukrywać swą wiarę. Niech stanie teraz śmiało przy boku misjonarza i jawnie uczci Chrystusa. Wykręcał się Warcisław, że nie chce rozdarcia w swe państwo wprowadzać. Lud pomorski odrzekłby się ochrzczonego księcia.

Wyczerpawszy słowa, biskup wyciągnął z zanadrza list, jaki Bolesław dał mu na odjeźdny, pieczęcie nietknięte księciu pokazał i podał pismo kasztelanowi santockiemu, aby je głośno odczytał. List był krótki, przeznaczony dla księcia Warcisława i starszyny wszystkich grodów pomorskich. Treść brzmiała:

Zła wasza dola, jeśli przysięgi nie dotrzymacie lub uchylać się od niej będziecie... Sam, nie mieszkając przybędę, by z wami pogadać.

Milczenie zaległo w namiocie, Warcisław targał wąsiska i sapał. Biskup modlił się w duchu, ważąc jakby na dłoniach z jednej strony zbawienie dusz pomorskich i bogate dary, z drugiej zapowiedź rychłej i okrutnej wojny. Gorzko mu było, że sprawy Boże, ogromne i niepojęte, od życia i śmierci większe, stanowią przedmiot dyktowanego obawą sporu i że groźba Bolesława większy wywiera skutek niż obietnica zbawienia. Na koniec Warcisław ustąpił. Obiecał pomoc i poparcie biskupowi. Otrzymał kosztowną laskę w podarku. Wspólnie z kasztelanem jęli układać plan dalszej podróży. Radził Warcisław zacząć misję od ziemi Pyrzyczan, jako najbliższej, oporny, twardy Szczecin zostawiając na sam koniec.

Kraj był piękny i bogaty, wzgórzami pofałdowany. Orszak biskupi ciągnął przez lasy bukowe, gdzie pnie drzew łśniły w cieniu niby odlane ze spiżu. Z pagórków dostrzegali na północy bielejący tuman, i kasztelan objaśnił, że to morze. Jadący przed biskupem brat Sefrid trzymał oburącz wysoki złocisty krzyż i po raz pierwszy święty Znak błyszczał nad pomorskimi szlakami. Ludzie wybiegali z siół i stawali z dala, nie rozumiejąc, jak to się dzieje, że śladem tego Znaku nie idzie pozoğa i gdzie jest książę szczeciński, że nie zastępuje onym drogi? Książę polscy z orszaku wołali ku nim, że jadą z Dobrą Nowiną i darami, żeby się niczego nie lękano. Nie wiedzieli ludzie, czy wierzyć tej mowie. W jednym miejscu na polance spotkano gromadę zbieraczy czerwiu, którzy nie zdążyli zbiec. Tych zaraz ochrzczono i obdarowano. Było ich trzydziestu. Radował się Otto, znajdując dobrowróżbną więź między tą liczbą a Trójcą Przenajświętszą i Dziesięciorgiem Przykazań. Także kukułki kukały w lesie na wyścigi, co było pomyślnym znakiem. Warcisław nie towarzyszył jadącym. W ciągu nocy pożałował danego zobowiązania i wczesnym rankiem odjechał pod pozorem rzekomo pilnych spraw państwowych.

Gród Pyrzyce leżał na wzgórzu, otoczonym szeroką polaną, niby szmaragdowe oko pośród borów. Ze źródła na zboczu



spływał potoczek. Podobało się to miejsce biskupowi i postanowił zatrzymać się tutaj.

Rycerze pomorscy zostawieni przez księcia ostrzegali, aby tego nie czyniono. Dzisiaj zaczyna się obchód Sobótki. Na odwieczny przyjdą tu wielkie tłumy z całej ziemi pyrzyckiej. Będą odprawiać całonocne święto, płaszać, ognie palić i ofiary składać. Rokrocznie to czynią. Uchodźcie lepiej co rychlej, gdyż niedobra śmierć może was spotkać, kiedy upoją się śpiwem i chmielem...

– Staniemy ukryci w lesie – postanowił biskup – lecz nie odejdziemy. Skorzystam ze zbiegowiska, by mówić do nich jutro o Panu naszym.

Pozierając z gęstwiny widzieli, jak na polanę schodziły się rzesze. Było ich z parę tysięcy mężów i kobiet. Nieprzystojna wrzawa, śpiewy, pohukiwania były aż pod niebo. Płonące ogniska oświetlały płaszących.

Noc spędziliśmy nie śmiąc palić światła w naszym obozie ani nawet rozmawiać głośno, by nie zwrócić na siebie uwagi rozigranego tłumu. Wczesnym rankiem biskup wysłał kasztelana i rycerzy Warcisławowych do starszych zgromadzenia... (Herbord, *Żywoł św. Ottona*).

Ludzie zmęczeni i senni nie zwracali uwagi na narady starszych z ksiązęcymi wojami. Ich to sprawa. Niebawem jednak starsi weszli w środek tłumu, stanęli na niewielkim kopcu, oznajmiając zebrany, że przybył z Polski biskup, który chce do nich przemawiać. – Wolą księcia pana, żebyście go wysłuchali. – Kasztelan santocki dodał, że mąż, który wnet nadejdzie, jest w swej dziedzinie wielce poważany dla rozumu i dostatku. Niczego od was nie żąda – zapewniał – niczego nie potrzebuje. Przygnała go tu troska o dusze wasze, nie chciwość waszego dorobku.

Na polanie wszczął się ruch, przeto Warcisławowi woje okrzyknęli, że kto zbiegnie z polany, zasłuży na gniew księcia pana i rolę postrada. Złękli się ludzie i przysiedli. Skoro muszą słuchać, cóż, posłuchają. Niechta gada swoje Kyrieeljesony, i tak nie przekona nikogo. Kasztelan wrócił do biskupa z pomyślną wiadomością. Ludzie chcą słuchać, on jednak

zaleca ostrożność, bo z barbarzyńcami nigdy nie wiadomo... Póki co, spokojni, a w każdej chwili war im może uderzyć do głowy. – Wasza Miłość raczy przemawiać z konia, to donośniej i bezpieczniej... Wasza Miłość raczy nie oddalać się od nas, rycerzy, żeby w razie czego była osłona...

Biskup śmiał się z tych przestróg, pachołka prowadzącego podjezdka odprawił i ruszył pieszo. Nakazując wojom dłonią, by zostali w miejscu, wszedł spokojnie między gromady, które zdziwione robiły mu przejście. Wszedł na kopczyk służący już poprzednio za mównicę. Zadyszany z pośpiechu oparł się na kiju i stał tak jak pasterz wśród trzody. Bo też ludzie rozłożeni na trawie, w swoich lnianych przyodziewkach zdali mu się podobni do owiec. Ich liczne szeregi przywiodły też Ottonowi na myśl Górę Ośmiu Błogosławieństw i dziękował w duchu Panu, że raczył go przywieść tutaj.

Wytchnąwszy, przemówił donośnie, zwyczajny kazać do tłumów. Ranek był wczesny, głos szedł po rosie daleko. Mówca pozdrowił zebranych Imieniem Jezusa Chrystusa, a oni zdumieli się, że gada ich mową, słowiańską mową.

Prawił, że słynie tutejszy lud z gościnności i szczerości. Wiek podeszły szanują i gościa szanują. On jest stary, ma już kwiatki cmentarne na głowie, a przyszedł do nich w gości. Niechże mu uczciwość okażą, słuchając...

Zaskoczył ich tymi słowy. Rozdziawiali ze zdziwienia gęby, patrząc w mówiącego. To prawda, że osoba gościa święta jest, ale czy on gość?... Przybysz niemiły... A może gość, skoro tak powiada?

Kiedy biskup zapytał: – Będziecie-li słuchać, z czym do was przyszedłem – odpowiedzieli chórem, aż zaszumiało nad polem: – Będziemy.

Wtedy on usiadł wygodnie na kopcu i wodząc wzrokiem po zebranych, zaczął:

– Najmilsze dzieci moje...

Tu już nikt uszom nie wierzył. Tyle się nasłuchali, że biskupi ino krzyczą po niemiecku i grożą, a ten do nich jak matka do dzieci...

Otto mówił rzeczywiście jak ojciec lub matka. Objaśniał, skąd się w Pырzycach wziął. Od księcia polskiego posłyszał, że tutejszy lud, choć dobry i dzielny, prawdziwego Boga dotąd nie zna. Niemile tu wspominiacie księcia polskiego, wiem. Nieraz kiedy dziecko opiera się z głupoty, rodzice przymuszają je do tego, co zdrowe i konieczne... Przymusił was i on. A teraz słuchajcie. Opowiem wam prawdę o Bogu Najwyższym, z którego łaski żyje wszelkie stworzenie. Wasi bogowie są Jego sługami... Cały świat Jemu podlega. On stwarza, rządzi i sądzi ludzkie uczynki... Przed Jego wzrokiem nie skryjesz się, choćby pod ziemię, i wy Go chwalicie, nie znając. Chwałą go wasze dobre uczynki, wasza ludzkość, uczciwość, wierność, bo to cnoty Boże, cnoty chrześcijańskie. Poznajcież, komu służycie! Królowi Nieba i ziemi... On niczego od was nie chce... niczego nie potrzebuje, jeno tego, by Go znać, Jego przykazań słuchać i miłować Go... A któż by nie miłował dobrodzieja swego?

Mówił, a oni słuchali, zrazu nieufnie, podejrzliwie (nie wiercie, nie wiercie! Omamić nas chce!), potem z zaciekawieniem. Nikt jeszcze nie przemawiał do nich jak ten siwy człowiek, podobniejszy na swym kopcu do wróża lub gędźcy, którego bają gromada chętnie słucha. Chwyтали każde słowo uważnie. Tak zimową porą głodne sarny lub łanie, ukryte w gąszczu, otaczają niewidocznym kręgiem wabiącego je myśliwca, posuwają się o krok, cofają płochliwie i znowu podchodzą, aż znęcone przyjdą jeść z jego ręki... Podobnie dusze tych pogan skupiły się wokół Ottona.

Słońce wzniosło się wyżej, grzejąc jego siwą głowę. Ludzie przysuwali się, by lepiej słyszeć, otaczali kopczyk ciżbą tak gęstą, że zaniepokojeni rycerze nie mogli już dojrzeć biskupa. Jemu zaś dał Pan w tej godzinie dar rozumienia dusz. Czytał w umysłach słuchaczy, uprzedzał ich wątpliwości. I za Łaską Bożą stało się, że tegoż dnia cztery tysiące ludzi zgłosiło wolę przyjęcia chrztu św. powiadając:

– W tego Boga, o którym mówiłeś, wierzymy.

Natenczas biskup z kapłanami i braćmi zakonnymi przez siedem dni pouczał owych pogan o najważniejszych prawach naszej wiary, po czym zarządził trzydniowy post i kąpiel, by neofici przystąpili do Sakramentu, mając czyste ciała i dusze. W tym czasie wielkie kadzie, dość oddalone od siebie, wkopano w ziemię tak, że górna krawędź sięgała prawie do kolan. Korytami doprowadzono do nich wodę ze źródła. Naokoło wbito słupy, na których rozpięte radna, osłaniając każdą kadź, niby namiotem. Miejsce w namiocie przeznaczone dla kapłana było również oddzielone płachtą.

Wszystko to zarządził biskup, pragnąc, by święty obrządek był sprawowany z największą sumiennością, czystością, poszanowaniem wstydlivości i godności ludzkiej, ażeby żadne głupstwo, czy niestosowność nie mogły mieć miejsca lub co by mogło choćby jednemu z pogan mniej się podobać (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

W jednej kadzi sam biskup miał nurzać młodzianków, w drugiej księża chrzcili niewiasty, w trzeciej mężczyzn. Taki był porządek, że poganin wchodził do namiotu pojedynczo w towarzystwie swych rodziców chrzestnych, trzymając świecę woskową i czystą lnianą odzież. Gdy wszedł do kadzi, niewidoczny kapłan wypowiadał święte słowa, nadawał imię, po czym, uchylwszy zasłony, zanurzał trzykrotnie głowę neofity w wodzie, namaszczał ją olejem świętym i cofał się za zasłonę. Opuściwszy kadź, nowochrzczeniec oblekał podane przez chrzestnych odzienie i ze świecą w dłoni opuszczał namiot, czyniąc miejsce następnym. Tak się to odbywało w wielkiej ciszy i powadze.

Obrządek sprawiano bez przerwy, a szeregi czekających zdawały się nie zmniejszać. Noc przerwała pracę, kapłani ślaniali się z utrudzenia. Biskup również zmęczony przysiadł na wale otaczającym gródek. Z lewej strony polany obozowali poganie, czekający jeszcze chrztu. Nie palili ogni, w milczeniu pojadając placki jęczmienne. Po prawej bieleły postacie ochrzczonych. Bracia zakonni uczyli ich śpiewać *Kyrie elej*

son, *Kryste elejson, Kyrie elejson*. Niezrozumiałe zaklęcie przestało być groźne, odkąd biskup wytłumaczył jego sens, i ludzie przykładali się pilnie, by je należycie wymawiać. Dziwił się Otto śpiewaczej zdolności tego ludu, bo głosy, chociaż nieporadne, brzmiały czysto. Wtórował im cicho, sam mając serce pełne radości, wdzięczności i czci. Nagle w ogarniający duszę błogi spokój wpełzło nawiane skądś przeczucie, że postawił ledwo pierwszy krok, a dalsze kroki będą srogie i ciężkie. Dziś Niedziela Palmowa, a Wielki Tydzień nadejdzie niechybnie, boć każdy chrześcijanin odtwarza swoim życiem Kalwarię. Nie pozwolił tej myśli zamącić swojego szczęścia. *Kyrie elejson, Kryste elejson...*

Przeczuciami swymi nie dzielił się z nikim, toteż towarzysze Ottona, Sefrid, Udalryk, Thieme i inni, oczarowani łatwym zwycięstwem, zbywszy poprzednich obaw, oddawali się niezmażonej radości. Podziwiali kraj, widoczną na każdym kroku zamożność i dostatek. Ślady tych wrażeń odczytujemy w relacji żywotopisarza.

Mogłyby tu powstać klasztory, szczególnie świętych nasyłych czasów, co to wolą uprawiać ziemię urodzajną niż suche skały lub zapuszczone pustkowia... Bo jest tu niewiarogodna obfitość ryb, tak z morza, jak z rzek, jezior i stawów... Za denara otrzymasz wóz świeżych śledzi, a gdybym powiedział, co myślę o ich zapachu i tłustości, mógłbym być posądzony o łakomstwo. Jest tu również wielka ilość jeleni, turów, dzikich koni, niedźwiedzi, dzików, wieprzów i wszelkiej dziczyzny. Dla masła z krów i mleka z owiec, tłuszczu jagniąt i skopów, dla obfitości miodu i pszenicy, konopi i maku i wszelkiego rodzaju warzyw i drzew owocowych, gdyby jeszcze posiadała winną jagodę, oliwkę i figę, poczytałbyś tę ziemię za ziemię obiecaną...

Wina owi nie mają ani go nie szukają, gdyż przyrządzone zabiegliwie miodne napoje i piwo przewyższają wino falernijskie... (jw.).

Niemniejsze uznanie budziła w uczestnikach misji słowiańska uczciwość:

...nie znajdziesz między nimi złodziei albo oszustów... Bardzo się dziwili, widząc, że tobołki nasze i skrzynie są pozamykane. Oni odzież swoją, pieniądze i wszelkie cenności trzymają w beczkach lub stągwiach zaledwie przykrytych. Nie obawiają się żadnego podstępu, bo go sami nie uprawiają... (jw.).

Z Pyrzyc droga misyjna wiodła do Kamienia, gdzie zastano księcia Warcisława. Ten ostrożnie pokazał się po raz pierwszy od czasu spotkania nad Wartą. Powodzenie Ottona zaskoczyło go i uradowało, nie dowierzał jednak, by dalej szło równie gładko.

W Kamieniu cała ludność oczekiwała biskupa, a to dzięki staraniu Heili, żony Warcisława, księżniczki saskiej, która w przeciwieństwie do swego małżonka, wiary swej nie kryła, a że miłosierna była i ludziom pomocna, zjednała ich serca dla Boga. Godna ta pani trudne miała życie, Warcisław bowiem trzymał na zamku dla swojej męskiej rozrywki przeszło dwadzieścia popaśnic. Dziewki te fyrtały się po komnatach, zadufałe i krzykliwe. Księżna w dziełach miłosierdzia szukała ukojenia.

Biskup Otto surowo ganił podobny stan rzeczy, wymową swoją uzyskał od Warcisława obietnicę, że popaśnice odprawi (jw.).

Był koniec lipca, lato burzliwe, upalne. Biskup Otto nieustrudzenie chrzczył ludzi tą samą modłą co w Pyrzycach i sam osobiście pouczał katechumenów. Pot ściekał mu z czoła, jego towarzysze niemniej byli wyczerpani. Chciwie łowili w płuca rzeźwy wiatr od morza. Udzieliwszy chrztu św. mieszkańcom Kamienia i wsi okolicznych, w pierwszych dniach września przeprawili się przez Dziwnę, podążając do Wolina.

Warcisław odmówił znów uczestnictwa w wyprawie. – W Wolinie i w Szczecinie – mówił – władzy książęcej nie uznają. Tam rządzą rajcowie miejscy. Moja obecność mogłaby rozdrażnić ten lud nieokrzesany i zuchwały. – W charakterze swego zastępcy przydał biskupowi dzielnego rycerza Domaśława z synem.

Mieszkańcy Wolina słynęli jako barbarzyńcy zatwardziali w nienawiści do chrześcijaństwa, przeto biskup za poradą Domasława zatrzymał się wraz z orszakiem w położonym za murami dworcu książęcym, w obręb którego mieszczanie nie mieli dostępu. Lecz barbarzyńcy, posłyszawszy o przybyciu wyprawy misyjnej, nie zlekli się prawa, wyważyli bramy dworca. Pawło i rycerze pomorscy z narażeniem swego życia zaledwie powstrzymali tłum od zamordowania biskupa i księży. Rozszalała gawiedź zgodziła się darować im życie pod warunkiem, że natychmiast opuszczą wyspę... Biskup Otto w towarzystwie kasztelana santockiego i nielicznej straży szedł na czele smutnego pochodu.

Przed paru dniami spadły pierwsze jesienne deszcze i droga była rozmiękła. Biskup wraz ze swoimi dochodzili już do mostu na rzece, lecz napierający ludzie nie mogli swej złości powstrzymać. Jeden z nich drągiem uderzył biskupa, który upadł twarzą w błoto. Poważnego dobili by niechybnie, gdyby nie Pawło, prawdziwy mąż duchem i ciałem. Przyjmując na siebie pociski przeznaczone dla biskupa, podniósł go z błota, osłonił i wprowadził szczęśliwie na most. Z wielkim trudem udało się orszakowi oderwać od zgrai miotającej kamienie, palice, oszczepy i przejść szczęśliwie mostem na drugi brzeg rzeki (według Herbord, *Żywot św. Ottona*).

– Nie kłopotcie się o mnie – pocieszał biskup przerażonych towarzyszy. – Tylko raz upadłem, gdy Pan nasz upadł pod krzyżem trzy razy... Pawło zabrał należne mi porcje. Co za chciwiec z tego Pawła! – Słuchając go, usiłowali się uśmiechać, ale przychodziło im to z trudem. Thieme był srodze pobity, Sefrid trząsł się jeszcze z przebytej trwogi, Udalryk jęczał, że ma krzyże przetrącone. Ziemia obiecana zmieniała się w ziemię cierniową. Rycerze pomorscy, zawstydzeni tym, co zaszło, tłumaczyli, że kapłani pogańscy podburzali zamieszkującą podgrodzie hołotę bez wiedzy starszyny miejskiej. Pawło z Domasławem powrócili przeto do Wolina, by przedstawić rajcom skutki, jakie dla miasta wynikną z wtargnięcia na obszar książęcy i znieważenia książęcego przyja-

ciela. Biskup powierzył kasztelanowi list Krzywoustego jako ostateczny argument.

Pod wpływem listu i wymowy Pawła starszyzna wolińska orzekła wykrętnie, iż pójdzie za przykładem

najprzedniejszego grodu, macierzy miast pomorskich, Szczecina. Jeżeli Szczecin przyjmie chrześcijaństwo, Wolin uczyni to samo (jw.).

W Szczecinie również napotkano nieufność i opór. Świątynia Trzygława, liczni i możni kapłani, trzymali władzę nad duszami ludu. Jesień owineła kraj mgłami, wczesnym mrokiem, wichrem północnym i szarugą, a w położeniu misji żadna zmiana korzystna nie zachodziła. Uszy zamknięte były na słowa Ottona. Jakże odległe zdawały się cudne dnię pyrzyckie! Ujawniała się różnica między prostym, ufny m ludem wiejskim a miejskim żywiołem, związanym wspólnymi interesami z rzeszą kapłanów i sług świątynnych. Kult Trzygława przynosił miastu dochody, któż by się ich dobrowolnie pozbywał? W ciągu dwu miesięcy spędzonych w Szczecinie Otto ochrzcił za ledwie paru chłopaczków, wkrótce jednak przyprowadzili oni potajemnie rówieśników. Kasztelan sanctocki zniecierpliwiony jechał do Bolesława po wskazówki, co czynić dalej? Dołączyło się do niego kilku ugodowo nastrojonych przedstawicieli miasta.

Bolesław z Bożej łaski książę polski i wróg pogan obiecuje mieszkańcom Szczecina pokój i przyjaźń, jeśli chrześcijaństwo przyjmą, jak się zobowiązali. Ogień, śmierć i wieczną nienawiść w razie oporu. Powiniennem ukarać was zaraz, gdyż nie przyjęliście jak należało mojego Pana i Ojca, biskupa bamberskiego Ottona, godnego najwyższej czci. Nie czynię tego, dając wam czas do namysłu, albowiem on wstawiał się za Wami. Na jego prośbę zgadzam się w razie dotrzymania mi wierności zniżyć o połowę daniny i inne ciężary, jakie ponosić winniście. Rozważcie to sobie, wybierając pokój czy wojnę (według Herbord, *Żywot św. Ottona*).



Taką odpowiedź przywiózł Pawło Szczecinianom. Co do wysłańców grodzkich, Bolesław wcale z nimi mówić nie chciał, ani ich przed swoje oblicze dopuścił. Ta niełaska i treść pisma stały się w grodzie przedmiotem długich i burzliwych narad. Mimo oporu kapłanów i sprawianych w świątyni Trzygława wróżb wieszczących powodzenie, większość starszyny uznała, że lepiej przyjąć chrzest i płacić połowę daniny niż wszczynać okrutną wojnę. Wszak dotąd jeszcze czerniały wypaleniska i nie zarosłe mogiły z czasu poprzedniej bytności polskiego księcia w Szczecinie.

Na początku grudnia miasto oznajmiło biskupowi zgodę na przyjęcie wiary chrześcijańskiej, prosząc zarazem, by natychmiast dano o tym znać Bolesławowi. Większość kapłanów opuściła gród, reszta połączyła się z grodzkimi, szukała sobie innego zawodu i chrzest wraz z powszechnością przyjęła.

Były w mieście Szczecinie cztery kąciny, jedna pomiędzy nimi główna, zbudowana z prawdziwą sztuką, wewnątrz i zewnątrz ozdobiona wypukłymi rzeźbami. Były tam wizerunki ludzi, ptaków i dzikich bestii, tak dokładnie według swych właściwości wyrażone, że zdawały się oddychać i żyć. To zaś uważałbym za nadzwyczajność, że barwy rzeźb zewnętrznych, przez niepogody śnieżne czy deszczowe, szernieć ani zatrzeć się nie dały... Do tej świątyni, podług zwyczaju ojców, zdobyte bogactwa i broń nieprzyjacielską i wszystko, co w walkach morskich lub lądowych zyskali, znosili jako dziesiątą część zdobyczy. Dzbany złote i srebrne do wróżb używane, rogi też wielkie dzikich wołów w złoto oprawiane, rogi do grania, miecze i noże...

Był tam posąg, który na jednym kadłubie trzy głowy mając, nazywał się Trzygławem.

Mieli też żrebca wielkiego wzrostu, maści karej bez odmiany i bardzo dzikiego. Poczytywano go za taką świętość, że żaden człowiek nie był godny na nim jeździć. Miał jednego z czterech kapłanów świątyni jako gorliwego dozorcę. Skoro przeciw nieprzyjacielowi lud tej ziemi wyruszyć zamierzał, pytano ogiera o powodzenie wyprawy. W tym celu rozkładano na ziemi dziewięć włóczni na łokieć jedna od drugiej od-

dalonych, a kapłan, który miał nadzór nad żrebcem, ujawszy za uzdę, po trzykroć go tam i nazad przez włócznie wodził. Jeśli koń przechodząc włóczni nie tracił, ani nie porozrzucił, uważano to za pomyślną wróżbę. W przeciwnym razie odstępowano zamiaru... (jw.).

W posępnym milczeniu przekazywali Szczecinianie biskupowi skarb świątyni, nagromadzony wiekami. Zdumieili się, gdy Otto, obejrzawszy cenne przedmioty, poświęcił je, a potem oddał ludowi.

– Bóg Prawdziwy – rzekł – nie potrzebuje złota. Mnie, Jego służce, niepotrzebne ono również. Wasi ojcowie i dziadowie znosili te dary, niechże je wnukowie biorą. – I prosił, by wszystkich obdarzono sprawiedliwie.

Wielka była mądrość Ottona. Skutecznie osłodził mieszczanom szczecińskim gorycz odstępstwa, a zarazem obalił powszechne mniemanie, że nie masz gorszych chciwców niż biskupi chrześcijańscy. Z całej wspaniałej świątyni jednej tylko rzeczy zażądał.

...posąg zabrał biskup dla siebie i po zniszczeniu tułowia trzy głowy razem osadzone posłał do Rzymu, Ojcu św. w darze... (jw.).

Na miejscu świątyni wzniesiono kościół pod wezwaniem św. Wojciecha, patrona słowiańskiego, i biskup poświęcił go, jak modlił się o to na wyjeździe z Bambergu.

Kanonikowi Wojciechowi i kapelanowi swemu Udalrykowi zlecił Otto dokończenie chrztu Szczecinian (ze względu na porę zimową obrzędu dokonywano w łaźniach), a sam z towarzyszami udał się do Gardźca pełnić dalej swoje dzieło. Misja zatrzymywała się w każdej osadzie. Wszędzie witano przybyszów z gorliwym poddaniem, gdyż wieść o przewrocie, jaki się dokonał w Szczecinie, rozeszła się już szeroko. Nie stawiano więc oporu, rozumiejąc, iż taki czas nadszedł, że stare bogi ustąpić muszą Nowemu. Niezmordowany biskup przemawiał, ośmielał strwożonych i chrzczył.

Uczył nie tylko prawd wiary, lecz i obowiązków chrześcijanina.

Przedstawiał, jak szpetną jest rzeczą trzymać kilka żon, zamiast jednej poślubionej małżonki, i jak straszny sąd Boży grozi tym, którzy niemowlęta, dzieciaczki rodzone, dlatego że córkami są, wynoszą do lasu bestiom dzikim na pożarcie albo na śmierć z chłodu i głodu (Kantzow, *Pomerania*).

– Kto owoc swoich wnętrzności niszczy i życie dane przez Stwórcę uśmierca, równy jest w winie mężobójcy i lotrowi... – groził. – Biada mu, biada po śmierci! – I głos biskupa, zazwyczaj tchnący słodyczą, drżał grozą nad losem zbrodniarzy.

Zima była łaskawa w tym roku. Po ostrych, ale krótkotrwałych mrozach już w styczniu przyszła pogoda, niby przedwiosenna. Lodu na Zalewie nie było i misjonarze przepawili się łodziami do Lubina, niewielkiego grodu nad Świną położonego.

Tam zastali biskupa skruszeni Wolinianie, wysłańcy niepocziwego grodu. Padając mu do nóg, powiadali, że chcą przyjąć chrześcijaństwo, że winni zostali srodze ukarani, że starszyzna błaga, by biskup raczył przyjechać, co Otto chętnie obiecał. Ten sam Wolin, gdzie przedtem haniebnie misjonarza przepędzono, witał go teraz bardzo uroczyście. Ponad dwadzieścia dwa tysiące ludzi zgłosiło wolę przyjęcia wiary chrześcijańskiej.

Gdy Otto szedł przez most, drogą, na której padł wówczas w błoto, objaśniali go rajcy, że niegodziwy sprawca ówczesnego gwałtu został wypędzony z grodu i choć teraz kaja się i błaga o zezwolenie powrotu, nigdy przebaczenia nie uzyska. Obruszył się na to biskup, powiadając, że onemu już przebaczył i żeby go sprowadzili. Opierali się rajcowie, powiadając, że gniew księcia spadnie na całe miasto, na co biskup zaręczył, że książęcy gniew bierze na siebie. A kiedy ów człowiek przyszedł, biskup rozmawiał z nim, pouczał i obiecał go ochrzcić. Wtedy ów poprzedni wróg i gwałtownik podniósł ręce w górę i zawołał: – Bóg dał, iżem cię nie zabił! – Od tych słów Otto dał mu chrzestne imię Bogdał. Stąd pochodzą Bog-

dalowie, których ród dotąd mieszka w Wolinie. Przezywają ich urągliwie „oprawcami św. Ottona” (Kantzow, *Pomerania*).

Opisując powyższy epizod, kronikarz nie zdawał sobie zapewne sprawy, jak cenny dokument nam zostawia. Odnośny ustęp bowiem brzmi w oryginale: „...und wie er ihne taufen wollte, hat er seine Hende aufgehoben, und hat auf wendisch gesagt: – Bog dal yzem zia nye zabel”.

Pisze dalej Kantzow, że w Wolinie znajdował się złoty posąg Trzygława. Przed powtórным przybyciem Ottona żerze pogańscy wywieźli go w skrzyni do Gryfii. Biskup powiadomiony o tym zabronił poszukiwań. Nie chciał, by myśleli, że zależy mu na złocie posągu. Poleciał tylko odjeżdżając, by w razie odnalezienia trójgłowca, stopiono go, przeznaczając kruszec na ozdobę świątyń chrześcijańskich. Kościołów biskup bamberski ufundował w Wolinie dwa. Jeden pod wezwaniem św. Wojciecha, drugi św. Stanisława<sup>1</sup>.

Z Wolina droga misyjna wiodła do Kamienia, gdzie książę Warcisław z małżonką wspaniale przyjęli biskupa. Popaśnice znikły z zamku (przynajmniej na ten czas), a oboje księstwo ze szczerym wzruszeniem dziękowali apostołowi. Dwór książęcy był nareszcie jawnie chrześcijański.

Z radością dowiadywał się Otto od księżnej Heili, że wysłano już rozkazy do wszystkich nawróconych miast,

...aby wznoszono kościoły, a przy kościołach zakładano szkoły, oraz zgodnie z nauką chrześcijańską roztoczona została opieka nad ubogimi, chorymi i kalekami (jw.).

Chwalił biskup księcia, że słusznie uczynił. Tam, gdzie Chrystus wszedł do dusz, zmienić się winien i zewnętrzny obraz życia. Niech powstaną przytułki dla starców i sierot, niemocnice dla chorych. Niech miłość bliźniego znajdzie wszędy zachętę do owocnego działania...

---

<sup>1</sup> Tę ostatnią informację Kantzowa trzeba uznać za pomyłkę albo wyprzedzenie faktu. Kanonizacja św. Stanisława nastąpiła znacznie później, a przed kanonizacją patronem kościoła być nie mógł.

W Kamieniu biskup otrzymał wezwanie z Bambergu od swego zastępcy. Proszono, by wrócił koniecznie przed Wielką nocą, przyczyny naglenia nie podając.

Skrócił więc Otto pobyt w Kamieniu, pożegnał księcia i jego żonę, ruszył jeszcze ze swym orszakiem do Dobrej. Tam chrzczył i nauczał. Pojechał do Kołobrzegu, gdzie czynił to samo. Przystanął nad zwichrzonym, wiosennym morzem, bijącym wściekle o brzegi. Nowochrzeńcy pokazywali mu, gdzie stała świątynia, wzniesiona niegdyś przez Bolesława Chrobrego, i w którym miejscu biskup Reinbern ciskał w morze poświęcone kamienie, aby złośliwość fal uśmierzyć i przychylność ich zjednać.

Z Kołobrzegu pojechali jeszcze do Białogardu, wszędzie po drodze chrzcząc ludzi, którzy garnęli się tłumnie. Skoro ochrzczono Szczecin, Wolin, Kamień, Kołobrzeg, kwapili się i oni. Dopiero za Białogardem misjonarze mogli odpocząć, wjechawszy w kraj chrześcijański.

Darzeni czią, wracaliśmy do domu przez ziemie naszego opiekuna, polskiego księcia. Oby mu Pan Jezus w dniu zapłaty dał samo dobro w nagrodę za wszystko, co dla nas uczynił... Wiele miłości i dobroci okazał nam ten doskonały mąż w czasie naszego zimowego pobytu na Pomorzu. Zaopatrzył biskupa i nas, duchownych, nawet wojskowych i tarczowników, w ciepłą odzież dobraną do wzrostu każdego. Kiedy ukończyliśmy dzieło, do którego nas powołał, przyjął nas w swym domu w drodze powrotnej, niby drogich synów (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Bolesław, oczekujący misjonarzy w Gnieźnie, przyjął ich rzeczywiście z wielką serdecznością. Doceniał wagę dzieła, jakie zostało dokonane, i przejmowała go głęboka wdzięczność. Pomorze chrześcijańskie! Czekał na to Bóg, czekała Polska, czekał ów kraj, nareszcie z Polską zespolony, którego już nic od niej nie dzieli... Nie było rzeczy, której by Krzywousty odmówił Ottonowi. Nie było poświęcenia, przed którym by się zawahał.

...dla czci Bożej ksiązę polski uczynił więcej, niż wymagała konieczność... większą wagę przykładał do chwały Pana niż do własnej korzyści, darowując Szczecinowi połowę dani-ny (Kantzow, *Pomerania*).

Wiele sobie mieli do powiedzenia biskup Otto z dawnym swym uczniem. Nim wszystko obgadali, nadjechał brat zakonny, wysłany przez kapitułę Bambergu.

– Niech Wasza Miłość natychmiast powraca. Pan nasz cesarz Henryk umierający. Wyboru następcy należy oczekiwać niebawem. Obecność Waszej Miłości konieczna.

– Jutro o świcie ruszamy – rzekł biskup z westchnieniem. Thieme i Sefrid zajęli się przybyłym. Otto odszedł do kaplicy na pacierze. Rozumiał, że dygnitarzem będąc, musi zająć należne miejsce wśród biskupów, biorących udział w obiorze nowego władcy. Ten obowiązek wydał mu się nagle bardzo ciężki. Jak szczęśliwy był w ciągu minionego roku, owej drogi pozornie męczącej, trudnej, nawet niebezpiecznej, która okazała się dla niego lekka i cudowna! Nie troszczył się o politykę i ambicje książąt. Nie dochodziły go ich spory, dyktowane nieodmiennie chciwością lub pychą. Był wolny. Miał przed sobą pogan, ubogich braci, których należało dźwignąć i oświecić, a nad sobą Pana i Zbawcę Chrystusa... Nikogo więcej...

...ksiązę polski polecił odprowadzić nas do granicy czeskiej. Z powodu pośpiechu biskup Otto nie zdążył omówić sprawy biskupstwa pomorskiego według swojego życzenia i powierzył tę troskę księciu, ufając jego mądrości...

...zgodnie ze swym zamiarem, powrócił biskup przed Niedzielą Palmową do swojej stolicy w Bambergu (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

## WTÓRA PODRÓŻ BISKUPA OTTONA

Następcą Henryka V miał być wyznaczony przez cesarza jego siostrzeniec, książę Fryderyk szwabski, ożeniony z córką księcia bawarskiego, Judytą. Po śmierci cesarza jednak arcybiskup moguncki, Adalbert, obalił ten wybór. Na równi z Lotarem księciem saskim ganił politykę wygasłej dynastii, a obawiał się, że Fryderyk pójdzie po tej samej linii.

Od czasów Henryka III sprawy rzymskie pochłaniały uwagę cesarzy. Nieustanne walki z papieżem gorszyły całą Europę. Zdaniem arcybiskupa i księcia saskiego nowy władca winien być uległy wobec Kościoła, a zarazem dokonać ostatecznego ujarznienia Słowian. Udało im się przeciągnąć na swoją stronę księcia bawarskiego, teścia przyszłego króla. Lotar obiecał jego synowi rękę swojej córki, z księstwem saskim jako wianem. Wobec takich pokus Bawarczyk porzucił zięcia na rzecz syna. Sprawa Fryderyka szwabskiego była przegrana. Królem obrano Lotara, zwanego Pogromcą Słowian.

Zapiski współczesne wskazują, że ten przydomek odegrał rolę przy obiorze:

...po śmierci cesarza Henryka V zebrani konsule, prefekci, dyktatorzy i książęta przystąpili wspólnie do wyboru nowego władcy... Wtedy arcybiskup moguncki podniósł wielkie zalety Lotara, który od wielu lat zwalcza pogańskich Luciców (Piotr diakon, *Kronika Monte Cassino*).

Biskup bamberski Otto należał do nielicznej grupy, która przeciwstawiała się gwałceniu, uznanej poprzednio przez wszystkich, woli zmarłego cesarza. Po złożeniu obediencji elektowi wrócił do Bambergu i tam w spokoju „pielęgnował swą diecezję, pragnąc uczynić z dusz poddanych miły Bogu ogród” (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Pierwsze lata panowania Lotara były niepomysłne. W zaczepnej wojnie z Czechami został pobity pod Cieplicami i musiał zadowolić się lenną przysięgą, jaką ponowił przed nim książę Subisław. Równocześnie rozgorzała walka pomiędzy królem a niedoszłym następcą, Fryderykiem Hohenstaufem. Lotar zażądał od niego zwrotu posiadłości, jakie siostrzeńcowi podarował zmarły cesarz. Fryderyk odmówił.

Ten spór zapoczątkował wojnę domową Hohenstaufów z Welfami, mającą trwać sto lat. Jedyne, co Lotar mógł uczynić w tym czasie na wschodzie, było zdynamizowanie arcybiskupstwa magdeburgskiego, które według jego opinii spało, zapominając o swym przeznaczeniu. Do tego celu miał służyć nowy, energiczny arcybiskup, którym został Norbert, założyciel zakonu premonstratensów, zwanych też norbertanami.

Norbert pochodził ze szlachtetnej rodziny frankońskiej. Od pacholecia żył na dworze cesarskim, żył hucznie, szumnie, barwnie, świetnie. W trzydziestym piątym roku życia doznał olśnienia, które wywołało przewrót w umyśle i duszy. (Przemiana nierzadka w owych czasach, gdy ludzie nie umieli być letni). Od chwili przelomu Norbert gardzi nie tylko światowością, lecz zwyczajnym pobożnym życiem. Gorszą go klasztorzy, że zaciszne, życie kanoników i opatów, że wygodne, żąda od siebie i drugich umartwień, umartwień! Zło przenikające świat wynika z grzechu. Od grzechu można się uwolnić tylko przez krańcowe wyrzeczenie. Pod wpływem wizji sennej (kapliczka zrujnowana, którą okrąża procesja biało odzianych mnichów) w miejscu, gdzie śnił, wznosi kaplicę i erem. Miejsce to nazywa *Praemonstratum* (przepowiedziane), zbiera towarzyszy, wiąże się z nimi surową regułą. Niebawem jest ich czterdziestu. Za cel biorą podniesienie poziomu duchowego ludzi Kościoła. Norbert wędruje po kraju jako kaznodzieja, zakłada nowe zgromadzenia, jest biczem na ospałych księżych i leniwych zakonników.

Ten żarliwy asceta zostaje w roku 1126 na prośbę Lotara, popartą poleceniem papieża, arcybiskupem magdeburgskim, wnosząc do tej placówki właściwego sobie ducha.



Biskupa Ottona mniej zajmowały walki toczone przez króla niż wszelkie nowiny dochodzące z Pomorza. Dotychczas nie mógł przeboleć, że przynaglony do szybszego, niż zamierzał, przerwania podróży misyjnej, nie dopilnował należycie utwierdzenia w gruncie świeżo zasadzonej latorośli wiary. Czy dobre ziarno nie padło na opokę, nie wydziobały siejby ptaki, nie zagłuszyły jej ciernie? Modlił się codziennie za tamten kraj i jego mieszkańców.

Niepokój okazał się uzasadniony, gdyż wiadomości, jakie otrzymał w 1127 roku, były zasmucające:

Słowianie obchodzili jak co roku na początku lata starodawne święto pogańskie [Sobótki], na które cała ludność zwykła się gromadzić, by jeść, pić, tańczyć i czynić wiele nie stosownych rzeczy. W Wolinie świętowano również... Gdy popili i pojedli i rozochocili się, jakiś człowiek ukazał posązek dawnego boga, przypominając, że stare czasy były dobre, że do chrześcijaństwa trudno przywyknąć. Że jest dziwaczne i nic z niego nie można zrozumieć. Jest surowe i gderliwe. Zabrania ta wiara wszystkiego, na co człowiek ma ochotę, a na co stare bogi pozwalały.

Podobała się ludowi ta mowa, unieśli w górę posąg staro boga i obnieśli wokół grodu... Przegnali księży i kapłanów oraz tych, co pozostawali im wierni, złorzeczyli Chrystusowi i czynili wielkie swawole i psoty... Podczas gdy zajęci byli swym szaleństwem, wybuchł w mieście pożar, mnóstwo domów spłonęło i duża liczba bluźnierców zamroczonych chmielem znalazła śmierć w płomieniach. Poznali ludzie jawną karę Bożą i padła na nich taka trwoga, że wielu uciekło z miasta. Książę nakazywać musiał, by wracali i odbudowywali spalone domostwa...

Sprawozdanie ze Szczecina nie wypadło lepiej:

W Szczecinie wybuchło powietrze morowe. Żercy, nie mogąc przeboleć utraty świątyni i swego poprzedniego stanowiska, przekonali grodzian, że to znieważeni bogowie zesłali zarazę. Mór nie ustanie, dopóki stara wiara nie powróci. Podchwycili te słowa wszyscy, którzy byli złymi chrześcijanami, i nakłonili do swego mniemania ludzi niestałych, obawiają-

cych się moru... Pospólstwo skwapliwie poszło za onych przykładem... Wynieśli z ukrycia posągi starych bogów i wtargnęli do kościoła Św. Wojciecha z bardzo złymi zamiarami... Kiedy tam weszli, ogarnął ich dziwny lęk, że nie ośmielili się niszczyć... Żerca kierujący napadem poradził, by oddawano cześć razem obu bogom, na co wszyscy przystali. Zaraz pod chórem kościoła ustawiono posąg Trzygława i tak pozostało... Cześć Chrystusowi Panu i cześć Trzygławowi oddają równocześnie i ludzie bardzo są zadowoleni... (według Kantzow, *Pomerania*).

– Boże, Boże! – wzdychał biskup słuchając.

W dalszym ciągu posłaniec, którym był jeden z pozostawionych przed trzema laty na Pomorzu kleryków, informował, że ksiązę pomorski Warcisław chciał srogo ukarać oba przენiewiercze miasta, lecz nie starczyło mu czasu, odkąd bowiem Pomorze zostało ochrzczone, Lucice stali się jego wrogami i czynią ciągle napady. Rozgniewany tym ksiązę pociągnął do kraju Wkrzanów, gdzie zbudował twierdzę Przemysław (dziś Prenzlau), następnie pokonał księcia Choćkowa, Mysława, wziął odeń obietnicę przyjęcia chrześcijaństwa, stamtąd ruszył na Dymin i tak go ciemniżył, że mieszkańcy musieli dać okup i obiecać, że staną się chrześcijanami... Niebawem ksiązę zamierza iść za Pianę i bić Wioletów (Czrezipienian)...

Cokolwiek się stanie – pomyślał Otto – muszę tam pojechać...

Zaraz też zaczął układać w głowie plan podróży. Pragnął porozumieć się z Bolesławem, wprzód jednak należało ustalić sprawy miejscowe. Do Rzymu Otto nie potrzebował się zwracać. Pozwolenie otrzymane przed pierwszą podróżą obowiązywało nadal. To samo dotyczyłoby cesarza, gdyby Henryk V żył. Lecz nowy król mógł nie uznać rozporządzeń poprzednika.

Należało również naradzić się z kapitułą, w której nie wszyscy dzielili poglądy biskupa. Część kanoników żywiła dotychczas nietajony żal o wydatki związane z pierwszą po-

dróżą misyjną. Owe bogactwa wywiezione i przepadłe, rozdane plugawym poganom, lub obrócone na upiększenie kościołów, które dzisiaj – jak się słyszy – służą bożkom pogańskim. Czy znów mamy te same błędy popełniać!? Inni pocieszali się, że nowy król na takie marnotrawstwo nie zezwoli. Najwyższy czas, aby poświęcenie tylu ludzi, ich gorliwość i grożące im niebezpieczeństwa, przyniosły kapitule oraz diecezji korzyść, a nie straty...

Lotar niełaskawie przyjął Ottona, pomny, że biskup bamberski głosował przeciw niemu. Zezwolenia na misję udzielił, lecz opatrzył je szeregiem zastrzeżeń. Wykluczona została podróż przez Polskę i zwracanie się do księcia polskiego o jakąkolwiek pomoc czy opiekę. Opieki udziela miejscowi ksiączęta, królowi poddani. Podobnie jak członkowie kapituły, Lotar uważał, że w czasie pierwszej podróży misyjnej popełniono szereg ciężkich błędów i przeoczeń. Największym z nich było pozostawienie jako zastępcy biskupa polskiego kapelana, Wojciecha. Jakim prawem biskup mianował na to stanowisko Polaka?! Obecna misja pojedzie przez Niemcy, pokłoni się po drodze arcybiskupowi magdeburskiemu, prawowitemu panu kościelnemu ziem, do których biskup bamberski zdąży...

– Ziemie te należą do metropolii gnieźnieńskiej – zauważył Otton.

Lotar nic nie odpowiedział. Biskup napomknął jeszcze, że droga wymieniona przez króla wiedzie przez ziemie Hobolan, pozostających w pogaństwie, mimo że ich książę, Wirykind, jest lennikiem cesarstwa... Stamtąd zaś przez kraje wieleckie, nie tylko pogańskie, lecz zajadle wrogie, mogące wzbronić misji przejazdu. Król odparł gniewnie, że Wirykinda uprzedzi, a co do Wioletów, nic misji nie grozi. Jego wojska przejdą tamtędy wcześniej i barbarzyńców uspokoją.

Posłuchanie było skończone. Zaczął się okres przygotowań do podróży. Żaden z żywotopisarzy św. Ottona, ani Ebo, ani Herbord, ani korzystający z relacji tych dwóch, Kantzow, nie zapisali uczuć biskupa w przededniu wyjazdu. Niewątpliwie porównywał obecne okoliczności z poprzednią podróżą

przed czterema laty. Bolesław polski żadnych warunków nie stawiał, niczego nie nakazywał.

– Jedź i chrzcij w Imię Boże! Wszystko, co będzie ci potrzebne, dam.

Bolesław jest panem Pomorza, ksiązę Warcisław jego wasalem. Jakże jechać do czyjegoś kraju nie powiadomiwszy o tym gospodarza? Taka nieobyczajność oburzyć musi księcia, będącego zarazem przyjacielem i dawnym uczniem. Otto wspominał powitanie z Bolesławem w Gnieźnie po szczęśliwie dokonanej misji. Padli sobie wtedy w objęcia obaj wzruszeni do łez i dziękowali Bogu. Jakżeż go teraz obrażać? Lecz rozkazy króla były wyraźne i biskup musiał im się podporządkować. Było jedno wyjście: udać słabość i poniechać podróży w ogóle. Co lepsze, co gorsze? W Szczecinie posąg Trzygława stoi naprzeciw Chrystusa... W Wolinie chrześcijaństwo wygasło... To samo, być może, dzieje się w pomniejszych grodach. Jakże to zostawić, nie usiłować naprawić...? Otton zdecydował się jechać.

Udalryk i Thieme dopytywali, dlaczego nie pojedą przez Polskę (niepokoiła ich myśl o podróży skroś kraju Wioletów). Biskup odpowiadał krótko, że dlatego „by księciu czeskiemu i księciu polskiemu nie zabierać czasu i nie przysparzać wydatków” (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Udali się przez Turyngię do bogatego miasta Halle.

W Halle załadowano na statki żywność, zboże i przeróżne cenne rzeczy odpowiednie na podarki, jak piękne szaty i kosztowne materie... Biskup zakupił to wszystko w mieście Halle i polecił przywieźć statkami wraz ze zbożem do kraju Wioletów, a stamtąd dostarczyć do Dymina, grodu pomorskiego nad Pianą (jw.).

W Halle spotkali wysłańców Hobolan, którzy posłyszawszy od swego księcia Wirykinda o mającym nastąpić przejeździe biskupa, prosili, by się u nich zatrzymał, pouczył ich o wierze i ochrzcił.

Nasi chodzili za Odrę – mówili wysłańcy – i wiele słyszeli tam o was, panie, dobrze. Powiadają, że uczycie inaczej niż saskie biskupy... Z twojej ręki przyjmiemy chrzest, a nie z niczyjej innej... (jw.).

Zakłopotany Otton obiecał Hobolanom, że spełni ich prośbę, jeżeli arcybiskup magdeburski udzieli mu zezwolenia.

Płynęli teraz wygodnie Salą w dół do Łaby. Łabą ku Magdeburgowi.

W chwili gdy biskup Bambergu stanął w magdeburskiej metropolii, Norbert rządził archidiecezją dopiero od dwu lat, niemniej wpływ jego był już widoczny w porządku i bogactwie nabożeństw, w zachowaniu się księży. Tylko pracą misyjną nie zdążył jeszcze się zająć. Opowiadał Ottonowi, że stan religijny księstwa obodrzyckiego po śmierci Henryka, syna Goczalka, zmarłego przed rokiem, przedstawia się opłakanie. Ani kościołów, ani księży, lud po dawnemu czci gaje i składa ofiary bałwanom...

– W mojej archidiecezji nie lepiej – dodawał. – Na tamtej ziemi posiew Boży już kiełkował, rokował piękne nadzieje... Zmarniał z powodu drapieżności książąt. Tutejsza rola pozostawała wciąż dziedziną czarta... Z bólem serca oglądałem w Licykawie, niegdyś włości biskupa Wigona, stada dzikich zwierząt puszczańskich w miejsce kościoła i gmachów... Nie mało znojnego trudu wypadnie włożyć w obsianie tego kraju i, da Bóg, uzyskanie plonu...

– Plon będzie obfity – zapewnił Otto – gdyż lud ten jest chętny i podatny na Słowo Boże. Zaprawdę nie pojmuję, dlaczego pozostawiono go w takim opuszczeniu i cieszę się, że Wasza Dostojność stan ten niebawem odmienisz...

Potem wspomniał o prośbie Hobolan, której spełnienie uzależnił od arcybiskupa.

– Słusznieście rzekli – odparł Norbert – gdyż ja nie zezwolę. To wykręt z ich strony. Słyną z podobnych chytryści... Powiedzą później, że dziesięciny płacić nie potrzebują, bo przez obcego biskupa zostali ochrzczeni... Obawiam się, że podob-

nie będzie z obecną podróżą waszą, której wcale nie pochwalam. Należało z nią zaczekać, aż wkroczylibyśmy tam razem, poprzedzając wojska naszego króla, da Bóg, już wtedy cesarza. Jesteśmy misjonarzami z: ramienia cesarstwa...

– Te ziemie podlegają Gnieznu – zaznaczył uparty Otto. Asceta zmarszczył się gniewnie.

– Usus bezprawny – syknął – usus dopuszczony przez słabość poprzednich cesarzy. Pora z tym skończyć! Znalazłem w tutejszym archiwum starodawne dokumenty, świadczące o prawach Magdeburga aż po rzekę Wisłę. W niedługim czasie przedstawię je Rzymowi...

Powściągliwe, acz pełne szacunku, milczenie Ottona drażniło mówiącego. Norbert, człowiek krańcowy i gwałtowny, innego zdania niż własne nie znosił. Słowian nie cierpiał, gdyż na dworze cesarskim słyszał o nich zawsze źle. Zawierzył tej opinii, nie usiłując jej sprawdzić.

Misja spłynęła Łabą do ujścia Hoboli (Haweli). Wyładowano się przy Hobolinie, stolicy ziemi Hobolan. Tabor misyjny liczył pięćdziesiąt wozów. Książę Wirykind dał silną eskortę, zbędną, gdyż nikt jadących nie zaczepiał. Przeciwnie, ludzie z żalem dowiadywali się, że biskup nauczać nie będzie. Stamtąd wjechali w ziemie wieleckie Morzyczan. Wojska Lotara istotnie przeszły świeżo tędy, pogorzelska dymiły, ludność siedziała ukryta po lasach. Ciągnęli, nie wiedząc o tym, szlakiem, jakim przed sześćdziesięciu z górą laty pędził na Radogoszcz biskup halberstadzki Burkhard. Od Jeziora Morzyckiego poczynał się kraj zdobyty przez Bolesława Krzywoustego i wcielony przezeń do Pomorza. Ludzie Wirykinda zawrócili, a opiekę nad misją przejęła drużyna pomorska. Bez żadnych przeszkód dojechali do Dymina, gdzie rozłożono się w gródku pod miastem. Dowódca grodu objaśnił przybyłych, że poprzedniego dnia książę Warcisław ciągnął tędy z licznym wojskiem na Czrezipienian za Pianą.

...prosił przez wysłannika, aby biskup poczekał jego powrotu. Jakoż koło południa ujrzeliśmy w kraju Wioletów

[Czrepienian] wznoszące się dymy, znak niechybny, że wojsko pali i pustoszy... Wieczorem powrócił książę obładowany bogatym łupem i zadowolony... Na naszych oczach dzielono między swoich zdobycz, pieniądze, odzież, bydło i wiele innych rzeczy, dzielono również jeńców. Nastął płacz i nie kończące się skargi, gdy odłączano żonę od męża, dzieci od rodziców, przyznając ich innym panom.

I chociaż oni wszyscy byli poganami, biskup nie mógł wstrzymać się od łez... Na jego prośby książę ułagodził krzywdy, a biskup wykupił wielu jeńców, po czym ochrzcił ich i odprawił... Potem naładowaliśmy w Dyminie wszystko nasze dobro na statki i popłynęliśmy z biegiem rzeki Piany do miasta Uznam... Podróż zajęła nam trzy dni... W mieście Uznam nie mieliśmy żadnych trudności, gdyż gród ten został już przedtem zroszony deszczem świętej nauki... Kapelan Adalbert [Wojciech], którego nasz świątobliwy Ojciec zostawił jako swego zastępcę w tym narodzie, nawrócił już w większości mieszkańców tego miasta (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Na dzień Zielonych Świątek, 10 czerwca 1128 roku, książę Warcisław zwołał wiec powszechny. Zawczasu rozesłani gońce wezwali księcia Mysława z Choćkowa, starszyznę Dymina, Wołogoszczy, Pazdawilka, Przemysława, Trzebiatowa, Wolina, oraz innych grodów, aby się zeszli w Uznamiu.

Biskup miał szczególne upodobanie do dnia, w którym Duch Święty zstąpił z Nieba na lubych Apostołów i młodzianków. Pragnął wymodlić wraz z całą powszechnością chrześcijańską w Uznamiu ponowne zejście z Niebios Ducha Świętego, który by oświecił i nakłonił pogan do przyjęcia prawdziwej wiary, nie pod nakazem, lecz za powszechną zgodą... (Kantzow, *Pomerania*).

Rzesze przybyły wielotysięczne, pogan i chrześcijan po społu, lecz poganie przeważali. Pierwszych przywiodła obawa przed księciem, a po trochu ciekawość; drugich pragnienie ujrzenia swego apostoła, Ottona. Książę Mysław z Choćkowa zjechał z całą rodziną. Był to poganin zawzięty, lecz księciu musiał być posłuszny. Widziano również w tłumie wielu ka-

planów pogańskich, dawnych sług Trzygława, Swaróżyca, Jerowita i innych bogów, pomniejszych, dzisiaj zrównanych w niełasce.

Książę Warcisław pięknie i długo przemawiał, wyliczając zebranych korzyści płynące z przyjęcia wiary chrześcijańskiej, mianowicie: zbawienie duszy i dobrodziejstwa doczesne. Oto cały świat chrześcijański, rozległy i potężny, jest wrogiem pogan, ma dla nich pogardę i niechęć. Jeśli przyjmą chrześcijaństwo, stanie się ich protektorem i przyjacielem. Będą zażywać spokoju... Będą wzrastać w dobrych obyczajach, nauce i bogactwie. Światli chrześcijanie przyjdą tutaj jak do równych sobie, będziecie z nimi mieniać towary, a oni podzielą się z wami umiejętnościami swoimi... Potem przypominał karę Bożą, jaka w postaci pożaru spotkała mieszkańców Wolina, a nawróconych wezwał, by wpływali na swoich ziomeków, czynami zaś ujawniali wartość chrześcijaństwa... Przeciw temu wnieśli pogańscy żerce wiele sprzeciwów... (jw.).

Wystąpił stary żerca, który niegdyś Swaróżycowi w Radogoszczy służył i świętego konia obrządał. Widział, jak świątynia płonęła, a na żrebcu niemiecki biskup odjechał. Teraz siedział w Dyminie u córki wydanej za powroźnika i zarabiał wiązaniem sieci. Inni kapłani dla niepoznaki przystrzygli włosy, bojąc się prześladowania, lecz on nosił się po dawnemu i długie siwe kudły leżały mu na ramionach.

Zwrócił się do księcia, powiadając śmiało, że nie jest tak, jak on mówi. Chrześcijanie nie poczytają Słowian za równych sobie, choć Słowianie przyjmą chrzest. Owszem, uważać ich będą nadal za niewolniki, za bydło...

– Prawie gada! Prawie gada! – rozległy się głosy Wioletów lub Obodrzców, którzy aż tutaj przed Sasami zbiegli. Stary ciągnął:

– Nie przychodzą oni dzielić się z nami swoją nauką i umem, ale po to, żeby podzielić się naszą ziemią... Mówią o Bogu i zabierają nasz dobytek... Chwalą swoją wiarę i pędzą naszych w niewolę...



– Prawie gada! Prawie gada! – aż huczało w tłumie.

– Dlatego nie chcemy widzieć onych i nie chcemy wiary chrześcijańskiej. Dobrze było w tej dziedzinie, póki rządziły stare bogi... (głos starego łamał się niby łkaniem). Dobrze było. Każdy, co te czasy pamięta, tak powie (tłum gromko przytwierdził). Wszystko złe przyszło z chrześcijaństwem, a wy je nam zachwalacie niby co dobrego!

Ksiązę chciał ostro skarcić starego wróża, lecz biskup go wstrzymał i podniósł się, aby odpowiedzieć. Stali naprzeciw siebie, obaj siwowłosi, kapłani różnych wiar, a tłum słuchał w napięciu ich słów. Biskup tłumaczył, że jeżeli chrześcijanie nie szanują nawróconych pogan jak równych sobie, to dlatego że poganie wiarę przyjęli pod nakazem, ze strachu, nie z dobrowoli. Człowiek nie jest bydlę jarzemne, które idzie, gdzie je pędzą, bo mu Bóg dał wolną wolę. Jeżeli przyjmiecie chrześcijaństwo z własnego wyboru, nie będzie was nikt upokarzał. Patrzcie na Polaków albo Czechów, którzy dawniej wierzyli jak wy, ale wcześniej poznali, gdzie Prawda...

Przerwał mu tumult głosów wołających, że to całkiem inna sprawa. Czyż Chyżan, Hobolan czy Glinian, pytał kto, zali chcą być ochrzczeni? Albo giń, albo cię wodą polejem...

– Bracia – rzekł biskup serdecznie – doznaliście srogich krzywd, wiem! Ludzi o to wińcie, a nie chrześcijaństwo. Bo ludzie są różni, a wszyscyśmy grzeszni... Wiem, że nie brak złych chrześcijan. Ciężką ponoszą winę, bo przez swą zbrodnię zasłaniają jaśniejsze Oblicze Pana naszego. Nie o ludziach mówmy, ale o Bogu...

– Powiadają wszyscy o tobie – podjął stary kudłacz – żeś jest inny niż tamte biskupy... Powiadają, żeś jest Boży człowiek. Sąż dwie wiary chrześcijańskie? Jedna twoja, a druga niemiecka?...

– Jedna jest tylko, święta i prawdziwa – odpowiedział biskup z mocą. – Powiadacie, że dawne czasy były lepsze. Nie ganię starodawności, boć ją także Bóg stworzył, a Jezus Chrystus odkupił, ale ona nie powróci. Jest czas snu i pora obudzenia. Kto o świcie chce noc zatrzymać, chociaż słońce

wstało, i z zamkniętymi ślepiami chodzi, ten się potyka i głowę rozbija... Tak wy chodźcie po omacku, choć wokoło jasny dzień. Nuże, otwórzcie oczy i spójrzcie na świat! Gadali pono Woliniacy, rozruch czyniąc, że chrześcijańska wiara jest niezrozumiała. Prawdę rzekli, bo pełno w niej Tajemnic, jakich żaden śmiertelny nie pojmie. Boże to są tajemnice, do których nic człowiekowi. Pojmiem dopiero je kiedyś, gdy zmartwychwstaniemy...

– Powiadasz nam dziwne sprawy – przerwał stary. – Zali kto widział człowieka zmartwychwstałego, chyba że upióra lub strzygę, a tych nikt zobaczyć nierad. Dlaczego mamy więcej wierzyć tobie niż ojcom i dziadom naszym, a twój Bóg w czym lepszy od bogów słowiańskich?

Książę zmarszczył groźnie brwi, lecz biskup odparł spokojnie.

– Powiadano mi, że Wagrowie, dotychczas czczący boga Prowe w gajach, wierzą, że jest Bóg inny, większy, którego imienia nie znają, a któren nad wszystkimi bogami panuje... Prawdali to czy nie?

– Prawda – przyznał stary z wahaniem.

– Sami więc poganie przyznają, że ich bogi pachółkami są Boga Najwyższego. Bo wszelkie stworzenie czuje swego Pana. Pytasz, w czym lepszy Bóg prawdziwy od waszych bałwanów? Bracie! Kłody to bezduszne, którym tylko wiara wasza dodawała blasku. Bezsilne kłody. Powiadali mi, iż w pewnym grodzie okładano kijami posąg boga za to, że prośby ludu nie wysłuchał, a gdzie indziej przywiązano go łańcuchem do ściany, żeby z świątyni nie wyszedł... Prawda to?

Stary niechętnie przytaknął głową.

– Spróbujcie uczynić podobnie z Bogiem Prawdziwym, Bogiem, który rządzi światem! Ani ziemia Go nie pomieści, ani morze, ani Niebo. On jest wszędzie, przenika wszystko jak dech, wszystkim włada, wszystko zna i przewiduje. Ano, zwiążcie Go łańcuchem lub uderzcie pałką! Kto sądzi, że Jemu szkodzi, samemu sobie rany zadaje. A kto Mu źle służy,

choć wie, czego On żąda od człowieka, węgle żarzące gromadzi na głowę swoją. Słuchajcie, ac o Nim opowiem...

Ucichli, a biskup wspomniawszy, że to dzień Zielonych Świątek, westchnął do Ducha Św., prosząc o dusze tych ludzi. Mówił długo w wielkiej ciszy. A kiedy skończył

...zarówno przyjęli chrześcijaństwo ci, co wcześniej ochrzczeni, odstąpili, jak i poganie. Wszyscy postanowili przyjąć wiarę świętą (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Ochrzczył się tego samego dnia książę choćkowski Mysław, jego żona i synowie. Przyjęli chrzest starsi przedstawiciele Uznamia i pozostałych grodów. Był to dzień wielkiego zwycięstwa.

Lecz biskup nie czuł się tak szczęśliwy, jak niegdyś w Pyrzycach. W myślach stała uparcie postać starego „flamina” (tak kronikarze zwali z łacińska kapłanów pogańskich). Jego zarzuty: „Mówią o Bogu i zabierają nasz dobytek... Chwałą swoją wiarę i pędzą nas w niewolę” – brzmiały mu w uszach. Wiedział Otto, że oskarżenia są prawdziwe. Zdawał sobie też sprawę, że na żadne z pytań starego nie odpowiedział gruntownie. Omijał je, powiadając: Nie mówmy o chrześcijanach, mówmy o Bogu... A czyż ludzie nie sądzą Boga po wyznawcach?

Książę Warcisław po nawróceniu się starszyny pomorskiej w Uznamiu zapewnił biskupa, że cały kraj leży przed nim otworem i że nikt nie ośmieli się przeciwstawić jego działalności. Biskup Otto postanowił udać się do Wołogoszczy... (jw.).

Książę Warcisław miał właściwą wielu władcom skłonność przeceniania swojego autorytetu, gdyż nieco dalej ten sam kronikarz zapisał:

Kiedy wieść o wyniku zebrania rozeszła się po kraju, powstał wielki sprzeciw ludu z pogańskimi kapłanami na czele... Ludność miasta Wołogoszczy uchwaliła, że gdy biskup lub jego wysłańcy przybędą do grodu, zostaną natychmiast zamordowani... (jw.).

Z niemalym łąkiem towarzysze biskupa jechali do miasta, tak źle pono do nich usposobionego.

Trzech duchownych poszło naprzód, a droga im wypadła w pobliżu pięknej i wielkiej świątyni pogańskiej. Stanęli, by ją podziwiać. Tłum przybrał groźną postawę. Dwóch księży wołało wówczas nie kusić Pana Boga i szybko cofnęli się do miejsca, gdzie byli biskupi i książę. Opuścili na pastwę gawiedzi swego towarzysza, stojącego tuż u wrót świątyni. Przerażony kleryk Teodoryk wpadł do gmachu i chwycił wielką złotą tarczę przecudnej roboty, stanowiącą własność boga wojny Jerowita, której żaden poganin nie śmiał dotknąć. Zawiesiwszy ją sobie na szyi, lewą ręką ujął uchwyt i całkowicie zasłonięty, wyskoczył na zewnątrz... Kiedy rozgniewani ludzie zobaczyli tarczę, padli na twarze, kleryk zaś nie tracąc czasu, cisnął puklerz na ziemię i ratował się ucieczką... Książę i biskup weselili się później z apostołów, co uciekali na sam widok tłumu lub osłaniali się tarczą pogańskiego boga... (jw.).

Zwracał też biskup uwagę towarzyszom na cześć, jaką poganie żywią dla swoich bałwanów. – U nas – mówił – w sanktuariach Boga Żywego potrafimy zbiega spod ołtarza wyciągnąć i zabić... Uczmy się od pogan – dodał ze smutkiem, bo stary żerca znów mu stanął w oczach.

...pomału, wymową swoją naklonił biskup Otto mieszkańców Wologoszczy, że przyjęli chrzest, rozebrali świątynię i postawili kościół, który biskup powierzył prezbiterowi Janowi... (jw.).

Następnym etapem misji był Choćków, stolica księcia Myśława. Tu dotarły wozy wysłane z Bambergu ze złotem, srebrem, kosztowną odzieżą i innymi cennieściami. Biskup zażądał ich od kapituły, gdyż hojność, z jaką wykupił jeńców wieleckich w Dyminie, opróżniła mu trzos do cna.

W ślad za tym transportem przybyło nieoczekiwane poselstwo. Silny oddział przedniego rycerstwa saskiego.

...margrabia Albrecht zwany Niedźwiedź przysłał posłów, aby śledzili poczynania Ottona i zobaczyli, czy nie potrzebuje on pomocy, lub czy nie grozi mu niebezpieczeństwo... (jw.).

– Nic mi nie grozi – odpowiedział biskup zaskoczony – a co do pomocy, nie widzę, w czym moglibyście mi jej udzielić?

– Książę troska się, że Wasza Miłość jest sam wśród barbarzyńców.

– Wdzięcznym księciu za troskliwość, ale was nie potrzebuję...

– Książę ciekawi się bardzo pracą Waszej Miłości i dziełem dokonanym...

...Otto pozwolił posłom zostać, by się przyjrzeni jego dziełu (jw.).

Drażnili biskupa ci nieproszeni goście. Butni, arogancy traktowali pogardliwie miejscowych rycerzy, przeszkadzali misji w pracy, rządzi się, jakby u siebie. Obiecywał sobie, że ich jak najprędzej odprawi.

W tym czasie poświęcono w Choćkowie nowo zbudowany kościół. Otto odprawił uroczystość z wielkim przepychem. Potem kazał o znaczeniu, jakie ma Dom Boży. Wzruszył się książę Mysław i gdy biskup skończył przemówienie, zawołał, iż dla uczczenia tego dnia zwraca wolność wszystkim jeńcom, jakich ma w niewoli. Zaraz też posłał ludzi do więzienia, aby ich stamtąd wypuszczono. Radowali się wszyscy, radował się biskup i dziękował Bogu... Zdarzyło się atoli, że klerycy, wysłani po sól do poświęcki, posłyszeli dolatujące z loszku jednego z domów książęcych przenikliwe wołanie o ratunek... Zeszli tam i ujrzeli młodzieńca obciążonego łańcuchami... Powróciwszy do kościoła, oznajmili tę rzecz biskupowi... Książę choćkowski rozgniewał się i krzyknął: – Jakeście go wypatrzyli?! Dobrze go przecież schowałem! – Biskupowi przedstawił, że chodzi o syna duńskiego rycerza, który winien zapłacić za chłopca pięćset funtów srebra okupu... Dlatego ów jeńiec jest bardzo strzeżony... i dopraszał się książę choćkowski, żeby biskup pozwolił mu tego jednego człowieka zatrzymać, inaczej straci tak znaczną sumę... Biskup powiedział surowo: – Zali cię zmuszałem, byś wszystkich jeńców wypuścił? Sam z dobrawoli złożyłeś ofiarę, a teraz chcesz Boga oszukać?... – Zląkł się książę i choć bardzo zasmucony, kazał onego Duńczyka zwolnić. Przywiedziono więźnia skutego do

kościola i tutaj zdjęto z niego łańcuchy i puszczone wolno...  
(jw.).

W kilka dni później, gdy biskup w nowym kościele słu-  
chał Mszy Św., odprawianej przez kapelana Udalryka, wbiegli  
do świątyni przerażeni ludzie, z płaczem, trwogą i lamentem,  
a za nimi tłoczyli się inni. Kazał im biskup zmiłknąć, aż się  
nabożeństwo skończy, potem dopiero wypytywał, o co chodzi.

Bolesław, niezwycięzony ksiązę polski, nadciągnął ze  
swego kraju z wielką siłą i potężnym wojskiem, rozbił obóz  
nad granicą Pomorza, by ruszyć dalej... Dowiedział się, że za-  
równo nawrócone przedtem grody, jak te, które wiary praw-  
dziwej jeszcze nie przyjęły, odmawiają mu – panu swemu –  
daniny, a umocniwszy się, liczą na własne siły... To stało się  
powodem słusznego gniewu Bolesława i zamierzonej wypra-  
wy... (jw.).

Z ciężkim sercem wyjeżdżał Otto do polskiego obozu.  
Przerażenie ludności, rzucającej zawczasu osiedla, by uciekać  
w bory, świadczyło, czym jest najście Bolesława, on zaś, Otto,  
czuł się winny – choć bez winy – gniewu groźnego wojownika.  
To poczucie sprawiło, że postanowił zobaczyć się z księciem  
polskim. Może zdoła nakłonić go do odwrotu. Sam w to, co  
prawda, nie wierzył.

„Miecza wyciągniętego nie chowa się do pochwy bez krwi”.  
Tę popularną maksymę rycerstwa słyszał nieraz Otto z ust  
dawnego ucznia. „Nie chowa się bez krwi”. A jednak trzeba  
próbować. Modlić się i próbować.

Narazi się na niezadowolenie swojego króla Lotara...?  
Trudno. Ważniejsze jest zatrzymać wojnę, wiszącą nad głowa-  
mi świeżo ochrzczonego ludu... Jechał z małym pocztem zale-  
dwie kilku wojów, księży bowiem i kleryków zostawił w Choć-  
kowie, by prowadzili naukę wiary bez przerwy. Towarzyszili  
mu za to przedstawiciele starszyny grodzkiej Szczecina i Wo-  
lina, którzy wprosilili się sami, by z nim jechać. Chcieli zapew-  
nić Bolesława o swojej wierności i gorliwości chrześcijańskiej.

Jeżeli kto księciu powiadał o nich inaczej, szczekał jak pies. Bodaj zdechł! Sami nie odważyliby się na tę podróż, znając gwałtowność Krzywoustego. Z biskupem zawdy bezpieczniej.

Goniec wysłany wprzód do Bolesława powrócił. Książę polski powiedział, że czeka.

Obóz był rozległy, siły wojskowe znaczne i, jak Otto miarkował, gotowe do pochodu. Na spotkanie przyjeżdżających nikt nie wyszedł, nikt gościa nie witał. Goniec wskazywał drogę, bo już ją poznał. Namiot Bolesława stał po drugiej stronie małego strumyka, przez który przerzucona była kładka. Biskup zsiadł z konia, pozostawił tutaj swoich ludzi oraz mieszczan i sam wszedł na mostek. Stąd do namiotu było kilkanaście kroków. Wzdłuż ścieżki stali nieruchomo ramię przy ramieniu rycerze. Gdy biskup ich mijał, schylali głowy w milczącym ukłonie. Otto zobaczył wśród nich kasztelana santockiego i rozradował się. Jakże mu nieraz brakowało Pawła w czasie obecnej wyprawy! Jak tęsknił do jego rozumu, prawości i męstwa. Uśmiechnął się doń, lecz kasztelan nie odwzajemnił mu się uśmiechem, lecz skłonił się tylko sztywno, jak gdyby z przymusem. Ten sam Pawło, który w Wolinie zasłaniał go przed razami! „Chciwiec z tego Pawła” – mówił biskup wtedy... Trudno. Szedł dalej, cierpliwie znosząc upokorzenie. Upokorzony się czuł jako dostojnik Kościoła. Upokorzony jako Niemiec wobec Słowian, upokorzony jako starzec wobec młodych tuzów. Namiot był otwarty, biskup wszedł. Bolesław stał pośrodku sam.

– Witam was, panie i ojczy – rzekł ochryłym głosem.

– Witam was, książę.

Umilkli obaj. Bolesław bez słowa wskazał gościowi siedzisko, sam usiadł naprzeciw. I milczeli nadal, Bolesław, bo pasował się z ogarniającym go gniewem, Otto, gdyż się w duchu modlił. Pierwszy przemówił gospodarz. Słowa płynęły z jego krzywych ust gwałtownie jak potok.

– Wszystkiego – mówił – byłbym się wcześniej spodziewał, niż tego, że od was, od was spotka mnie nieszczerłość! Kto inny za taką sprawkę gardło by dał! Warcisław, ten padalec, co zawsze

na dwóch stołkach siada – czyim jest lennikiem, moim czy cesarskim?... Powiadajcie: Czyim?! Jakim prawem puścił posłów margrabiego na Pomorze, a wy ich gościcie u siebie? Skąd Lotar opiekuje się misją pomorską? Co mu do niej?... Wiem wszystko! Niemcy pomoc chcą dać! „Pomoc”! W moim kraju! Wiem, co to znaczy! Znam myśli tych gadów! Bodaj ich ziemia pochłonęła! Warcisław, kundel przeklęty, wie, gdzie powinien zwracać się o pomoc... Do mnie! Pokażę temu gadowi! Dobrze sobie z Albrechtem ułożyli... Żem słaby po czeskiej wyprawie, że się nie ruszę... Obaczy... Kamienia na kamieniu z jego włości nie zostawię. Spustoszę jak kiedyś. Ano, niech go Lotar broni, a Niedźwiedz osłania... Obaczym... I wy, wy, ojczy, z nimi w zмовie... Śmierci bym się prędzej spodziewał niż tego... Od was!

– Nie byłem z nikim w zмовie, Bóg mi świadkiem. Przyjechałem, bo doszły mnie w Bambergu wieści, że na Pomorzu pogaństwo powraca. Chciałem jechać przez Gniezno, król nie pozwolił. Musiałem go usłuchać albo zostać doma... Prawdą jest, że mogłem zostać doma. Ale żal mi było naszej wspólnej pracy i tego ludu, ludu, który chcecie w złości wytracić...

Bolesław chciał przerwać, lecz biskup ręką dał znak, że teraz on będzie mówił.

– Nie wiem, jakie są przewiny margrabiego i księcia pomorskiego, bom daleki od tych spraw. Kapłanem jestem Chrystusowym, a moje dzieło siać Słowo Boże... nic więcej. Siałem je niegdyś z waszą owocną pomocą, teraz idziecie z wojną. Kogo chcecie karać? Warcisława? Margrabiego? Ujdą za Łabę, zanim ich wasz miecz dosięże. Ukarzecie ten lud prosty, który już umiera z trwogi, a wam w niczym nie przewinił? Powiadacie, i słusznie, że to wasze państwo, wasza ziemia. Samego siebie chcecie niszczyć i pustoszyć?... Zali nie ma innego sposobu dochodzić sprawiedliwości niż wojną? Pomnę, jak radowaliśmy się wspólnie, że Pomorze nareszcie chrześcijańskim się stało. Po tylu latach, po tylu staraniach... Teraz sami chcecie swoje dzieło zniszczyć... Wojna... Ogień i miecz, niedola ludzka, głód, nędza... Kościoły świeżo zbudowane, jeszcze drzewo na nich nie szerniało, z dymem puścić? Własnymi rękoma wszystko



zburzyć?! Zgłuszona święta nauka, wyrwana z serc wiara, bo jakże nie wrócić do pogaństwa, skoro książe chrześcijański takich się gwałtów dopuszcza?! Wolejby nigdy z domu nie wyjeżdżał, wolejby oni poganami zostawali, niż żeby przyjąwszy wiarę, odeszli od niej i Chrystusowi bluźnili!

– Czegóż chcecie ode mnie! – wrzasnął Krzywousty. – Nie ja zaczynałem...

– Chcę, byście nie wszczynali wojny.

– Nawet gdybym przystał, sprzeciwi się moje rycerstwo. Niełatwo mi przyszło z jednej wyprawy ciągnąć ich na drugą. Obiecałem im lupy.

– Ważniejsze u was szemranie rycerstwa czy krzywdą Chrystusa?

– Ja krzywdzę Chrystusa Pana?! Wolejbym świata nie widział! – wykrzyknął książe tak szczerze, że biskupowi serce roztajało.

– Synu, mój synu, daj słowom świadectwo...

– Nie mogę uczynić tego, co żądamie!

Przemagali się tak jeszcze dłuższy czas. Chwilami Bolesława gniew porывał znowu. Tupął nogami, krzyczał, że niech biskup gada, co chce, on rusza na Pomorze, nie mieszkając... Jeszcze dziś! Na koniec ochłonał i jęli ugadywać spokojniej. Biskup pytał, czego by książe chciał w zamian za cofnięcie wojska z granicy.

– Poselstwo margrabiego odprawić natychmiast, precz! – wołał Bolesław.

– Natychmiast – zgadzał się biskup.

– Warcisław, odmieniec plugawy, przyjedzie do Gniezna, powtórzy przede mną hołd i złoży ofiarę na ołtarzu św. Wojciecha...

– Ręczę, że tak uczyni.

– Kanonik Wojciech otrzyma z Rzymu potwierdzenie nominacji na biskupa pomorskiego...

– Zrobię wszystko, co w mej mocy, aby to się stało.

Teraz posłano po grodzian szczecińskich i wolińskich. Od wejścia padli do nóg księciu, przysięgając, że nie uchybili mu

nigdy w wierności. Daninę wypłacał rzetelnie, innego pana nie pragnął. Próbowali zwalić winę za opóźnienie daniny na Warcisława, lecz biskup się temu sprzeciwił.

...chwalił Otto wiarę i uczciwość księcia Warcisława, oraz pomoc, jaką dawał misji w czasie pierwszej oraz obecnej podróży...

Bolesław przychylił się do prośby Ottona i nakazał wojsku, pomimo że głośno protestowało, zwinąć znaki bojowe i wracać do miejsca zwykłego postoju... (Herbord, *Żywot św. Ottona*).

Wojsko protestowało istotnie. Do namiotu dolatywały groźne krzyki męczów i nabrzmiały furia głos Krzywoustego. Teraz biskup wiedział, że księżę nie zmieni postanowienia, by nie sądzono, że ustąpił wobec oporu drużyny. Zarazem żał go zbierał, że ludziom tak zależy na wojaczce, niszczeniu i łupach. Drżał z wyczerpania i przeżytych wrażeń, po raz pierwszy bodaj, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest stary i kruchy. Zapragnął gorąco znaleźć się sam w kościele, paść krzyżem na ziemię i dziękować Bogu za doznaną łaskę.

Kiedy wracał, ludzie wybiegali z niepokojem na drogę. Rzucali im z siodła: – Nie bójcie się, dzieci! Księżę polski obiecał nie najechać tego kraju! – Wybuchali chórem dziękczynnym, całowali jego nogi i strzemiona, choć nie pozwalał. – Ojczy nasz! – wołali, on zaś napominał, aby dziękowali nie jemu, lecz Bogu. Po czym znów dumał o tym, jak srogą rzeczą jest wojowanie, a jak błogą pojednanie. – Bóg nasz jest Bogiem pokoju – myślał. – Czemuż chrześcijanom najmilsza jest wojna?... Wszechmocny Boże pokoju, zgładź ze świata wojnę!

Pierwszą czynnością biskupa po powrocie było odprawienie posłów margrabiego. Przyjęli rozkaz z wyraźnym niezadowolaniem.

– Możemy być Waszej Miłości użyteczni... W razie wojny...

– Wojny nie będzie – odpowiedział Otton stanowczo – a wy odjeżdżajcie bez zwłoki. – Musieli ustąpić. Potem biskup po-

jechał do księcia Warcisława powtórzyć mu warunki Krzywoustego. Warcisław, przestraszony możliwością najazdu, obiecał solennie wypełnić, co żądano. Bolesław mówiąc o nim, że na dwóch stołkach siada rad, nie mylił się: ksiązę pomorski był chwiejnym lennikiem. Żonę miał Saksonkę, młodość spędził na dworze Lotara... Prawdę mówiąc, przy Bolesławie trzymał go tylko strach. Obaj z biskupem przygotowali pismo do Stolicy Apostolskiej, przedstawiając zasługi kanonika Wojciecha, kandydata na biskupstwo pomorskie. Książę wysłał je zaraz i Otton z ulgą wrócił do swej trzódki, pozostającej w Choćkowie.

Nie spodziewał się, że czekają go tu nowe kłopoty. Jego towarzysze, co przed czterema laty i obecnie przeżyli razem tyle trudnych chwil, nie tracąc nigdy pogody ducha i wzajemnej przyjaźni, byli jak gdyby odmienieni. Dawna harmonia przysła. Otton zaraz po przyjeździe spostrzegł, że chodzą naburmuszeni, krzywo patrząc na siebie wzajemnie. Udalryk, Thieme i Sefrid ubolewali głośno nad wyjazdem dobrych rycerzy niemieckich, inni zaś jawnie cieszyli się, że ich odesłano. Bamberczycy trzymali się osobno. Polacy osobno. Co dziwniejsze, Otton spostrzegł, że jedni i drudzy mają do niego urazę. O co? Jego Bawarowie o to, że tak bezwzględnie wyprowadził posłów margrabiego, pozostali – o to chyba, że zażegnał wojnę? Obie grupy zdawały się gruntownie zapominać o właściwym celu misji. Gdy biskup dziwił się, że w czasie jego nieobecności nie pojechali do Wolina, Udalryk, jego wierny oddany Udalryk, odparł z niechęcią, że „Wolinianie nie są godni Ewangelii” (Herbord). Dyspozycjom Ottona opierał się nawet gorliwy dotychczas Wojciech, „któremu to wszystko było nie w smak” (jw.).

Nie rozmawiali między sobą o nawracaniu pogan czy dalszej podróży, lecz wyłącznie o poczynaniach księcia pomorskiego, margrabiego Albrechta, księcia polskiego lub króla Lotara. Klócili się przy tym zawzięcie. Biskup łamał ręce, widząc, jak łatwo posiać między ludźmi kąkol.

W czasie jednej z dyskusji:

...zarzucili Ottonowi, że wysyłając do pogan, naraża ich na pewną śmierć. Biskup na obronę swoją przytoczył słowa Chrystusa Pana, który wysłał uczniów jako „owce między wilki”. Kto posyła jagnięta między wilki, wie, iż zostaną one przez wilki pożarte, tak jak apostołowie zamordowani zostali przez tyranów... Większą część nocy spędził z nimi, pouczając ich i napominając w sposób rozumny i pełen powagi (jw.).

Nauki, napominania nie przekonały słuchaczy.

Nazajutrz uczniowie naradzali się, co robić i dokąd się udać... Nie wahali się długo... Jedni powrócili do Dymina, drudzy wyruszyli nauczać w inne miejsca... (jw.).

Zatem dwie grupy, obie zbuntowane. Podobne rzeczy nie zdarzały się dotychczas. Bywało owszem, że klerycy i księża płakali z lęku, ze zwykłego ludzkiego strachu, i opierali się, widząc niebezpieczeństwo, niemniej zawsze czuli się misjonarzami. Mieli przed sobą wielki i piękny cel: ochrzcić Pomorze. Gdyby ich wtedy zapytano, dla kogo? – odparliby bez wahania, że dla chwały Bożej. Jakże to się zmieniło! Dziś jedni pragnęli ochrzcić Pomorze dla margrabiego, drudzy dla Bolesława. Prawdziwy cel znikł sprzed oczu. Podrażnieni w swych ambicjach, stali się ospali i niechętni, właśnie teraz, kiedy drogę mieli już utorowaną. Przekleństwo polityki weszło w dzieło Boże, zatruwając jego nurt. Im dalej, tym ślady rozłam są wyraźniejsze.

Biskup postanowił udać się ze swymi sługami do Szczecina, aby przez tę odważną decyzję ukarać opornych za ich niegodne odłączenie się od niego. Klerycy, którzy chcieli z nim iść, słyszeli o Szczecinianach jako srogich barbarzyńcach, przeto błagali go, aby tam nie szedł. Kiedy się zbyt naprzykrzali, powiedział: – Widzę, że przyszliśmy tutaj tylko dla przyjemności. Gdy zdarzy się coś ciężkiego, staramy się tego unikać... Niech tak będzie. Proszę, jeśli nie chcecie mnie wspierać, nie przeszkadzajcie mi przynajmniej... Każdy ma prawo rozporządzać swoim życiem. Jesteście wolni, ale i ja też (jw.).

Niezwyczajne słowa w ustach mądrego, łagodnego Ottona.

...odprawił wszystkich i aż do niesporów spędził czas w samotności na modlitwie... Zaufanemu słudze kazał zamknąć drzwi i nie dopuszczać nikogo... (jw.).

Samotność fizyczna była ulgą, samotność duchowa – udętką. Biskup Otton cierpiał w gorzkości serca swego. Wszystko zawiodło. Chciał jak najlepiej, a wyszło opacznie. Chciał sprawiedliwości międzyludzkiej i miłości braterskiej, a wszyscy wokoło są gniewni i poróżnieni. Mniejsza o to, że naraził się królowi i margrabiemu, lecz zawiódł zaufanie Bolesława, Pawła, a co najboleśniej, stał się powodem rozterki duchowej swych towarzyszy, swych najwierniejszych przyjaciół... Gdzie tkwił błąd? W czym zawinił, że go porzucili!? Zgnębiony, chciał wołać: Boże, mój Boże! Czemuś mnie opuścił?...

Ilekoć dusza ludzka rzuci ten okrzyk rozpaczony, Pan nie zwleka z odpowiedzią. Nadpłynęła ona i teraz, nie w formie słodkiej pociechy, lecz groźby: – Bóg cię opuścił?! Szalony! Dla jednej duszy, jednej straconej owieczki kazałem trudzić się, wołać i szukać, a tobie dano pozyskać tysiące dusz, nawrócić rzesze i jeszcze ci mało? Jeszcze śmiesz narzekać?! Żalisz się, że cię uczniowie odbiegli, a czyż mnie nie opuścili? Marnotrawisz czas biadając, miał wracać do żniwa?!

– Wybacz mi, Panie... Nie narzekam więcej. Moją powinność kapłańską wypełnię do końca...

...wdział ubiór podróżny, spakował szaty liturgiczne, księgę i kielich do worka, zarzucił go na plecy i pod osłoną ciemności opuścił miasto, idąc pieszo drogą wiodącą ku przystani... Chwalił Pana za pomyślny początek ucieczki i miał nadzieję przebyć całą drogę w ciągu nocy...

...Gdy pora była na jutrznię, weszli niektórzy księża do izby biskupa, a stwierdziwszy jego nieobecność, przerazili się okropnie... Jedni pieszo, inni konno puścili się w różnych kierunkach na poszukiwanie. Ci, co wybrali drogę wiodącą ku morzu, dopędzili go w chwili, kiedy gotował się wejść na statek, płynący do Szczecina. Ujrawszy nadjeżdżających, Otton

zmarł się i zawołał: – O Jezu, Synu Dziewicy, spraw, aby oni poszli za mną lub nie utrudnili mi wykonania pracy... – Tymczasem przybyli zeskoczyli z koni i padli przed biskupem na kolana, a on ukląkł również. Oni zaczęli płakać, a on płakał również. Smutek, żal, wstyd, ścisnęły im gardła, że nie byli w stanie słowa przemówić (jw.).

Widok sędziwego mistrza, opiekuna, przewodnika, kroczącego samotnie z workiem na plecach ku możliwemu męczeństwu poruszył ich wnętrzości. Kajali się w prochu, szlochając. Wstrząs był silny, lecz zbawienny.

...na razie powrócili wspólnie do domu [na Uznam], gdzie towarzysze biskupa przysięgli być mu posłuszni i nigdy go więcej nie opuścić (jw.).

Wbrew obawom i najgorszym przewidywaniom misja doznała w Szczecinie dobrego przyjęcia, a nakłonienie mieszkańców grodu do usunięcia z kościoła posągu Trzygława przyszło względnie łatwo. Dopomógł w tym jeden ze znakomitych rajców grodzkich Witczak, który wraz z innymi jeździł z biskupem do obozu Bolesława i widział, jak wiele uczynił Otton dla powstrzymania wojny. Niezależnie od tego sam osobiście „za pośrednictwem biskupa doznał wielkich łask Bożych” (Herbord), toteż znaczenia, jakie posiadał w grodzie, użył na poparcie misji. Pod jego wpływem mieszkańcy nie bronili się już przeciw uchwale uznamskiej, przyjęli chrzest i bez oporu patrzyli na usuwanie śladów kultu pogańskiego. Szczecinianie słynęli z praktycznych umysłów, prosili więc Ottona, by w zamian za okazaną przez nich dobrą wolę wyjednał u Warcisława skreślenie długów miejskich, co obiecał i otrzymał.

Przeżycia ostatnich miesięcy zmęczyły starego biskupa. W dalszej relacji Herborda pojawiają się wzmianki, że tu lub tam Otton wysłał księży, a „sam pozostał, nie będąc z powodu wieku skłonny do podróży”. Niemniej, gdy Ranowie, oburzeni przyjęciem przez Szczecinian chrześcijaństwa, zerwali stosunki przyjazne z „macierzą grodów pomorskich” i zadokumentowali zerwanie najazdem, niestrudzony apo-

stoł chce jeszcze udać się na Ranę, próbować nawrócenia tych najtwardszych pogan. Ponieważ wyspa leży w zasięgu metropolii duńskiej w Lund, Otton wysłał prezbitera Iwana do arcybiskupa z prośbą o zezwolenie na misję wśród Ranów. Herbord drobiazgowo opisuje podróż. W Danii zdziwienie Iwana i jego konfratrów wywołują „budowle wyłącznie drewniane, grody otoczone fosą zamiast murów... Mimo widocznego dobrobytu, kraj wygląda z chłopska po słowiańsku... Arcybiskup Adcer, acz uczony, chodzi w prostym kożuchu i mieszka jak chłop, posiada jednak wiele ksiąg... Na zapytanie posłów odpowiada gburowato, że musi naradzić się ze starszyzną, to zaś długo potrwa. Niech zatem posłowie wracają, a on sam przyśle odpowiedź”. Dał im beczkę masła, jako dar dla biskupa.

Wrócili, czekają. Wcześniej niż wiadomość z Lund przychodzą równocześnie prośba od kapituły z Bambergu i rozkaz króla, oba jednobrzmiące: Niech biskup Otto wraca do swojej diecezji!

Tak więc druga wyprawa misyjna na Pomorze była zakończona. Otton z towarzyszami objeżdża ostatni raz wszystkie miejscowości, w których działał, nauczał, chrzczył. Serdecznie żegna wszystkich, wie, że więcej już tutaj nie wróci. Inne, niebieskie czekają nań progi. Jest pełen spokoju, gdyż wiara ludu pomorskiego wydaje się dobrze utwierdzona i zabezpieczona.

Apostoł może uważać dzieło swoje za spełnione. Wbrew woli Lotara i oczekiwaniom towarzyszy obiera drogę powrotu przez Polskę.

...odwiedził księcia Bolesława. Swoją pożądaną przez wszystkich obecnością, swoją postacią pełną dobroci i łaski sprawił wiele radości księciu polskiemu i Polakom, których on kochał i od których był kochany... (jw.).

Pobyt z konieczności był krótki, a pożegnanie odbywało się wśród łez. Już na odjeźdym biskup zagadnął poufnie Bolesława, czy niezależność metropolii gnieźnieńskiej jest prawnie utwierdzona i Magdeburg nie mógłby jej podważyć?

Zaskoczony książę odpowiedział ze śmiechem, że nic jej naruszyć nie może. Gdyby mogli... oho! dawno by podważyli. Dorzucił jeszcze Otto parę słów o potrzebie baczenia na to, co się w świecie, a w szczególności w Rzymie, dzieje, powtórzył zwykle swoje ostrzeżenie, by nie opierać się tylko na mieczu. Po czym, pobłogosławiwszy księcia i wszystkich przytomnych, odjechał.

W wigilię św. Tomasza (20 grudnia 1128 roku) stęsknieni mieszkańcy Bambergu witali radośnie swojego biskupa. Obiecał, że więcej ich nie opuści, a w jakiś czas później tamże świętego żywota dokonał.

    Nie przystoi zamilczeć, że w owych dniach jaśniał mąż świętością znakomity, Otto biskup bamberski. Przywołany przez księcia polskiego Bolesława, z jego pomocą przedsięwziął podróż, podobającą się Bogu, do ludu słowiańskiego, który się zwie Pomorzanami i mieszka między rzeką Odrą a Polską... Cały ten naród z księciem jego Warcisławem nawrócił do Boga i przetrwały tam owoce chwały boskiej aż do dnia dzisiejszego (Helmold, *Kronika Słowian*).



## REX OBODRITORUM

Henryk syn Goczałka, „gorliwy zbieracz daniny dla księcia saskiego”, jak go drwiąco określał Kanut Laward, umarł w roku 1126, po dwudziestoletnim blisko panowaniu. Pozostawił swe księstwo w stanie opłakanym, zarówno pod względem materialnym, jak duchowym. Nie wojny zewnętrzne wyniszczyły ziemie nadłabskie, lecz coroczne wyprawy Henryka skroś swojego kraju dla ściągania z własnych poddanych daniny, którą dzielił się z Lotarem. Chrześcijaństwa nie usiłował krzewić, powiadając, że z tak zatwardziałyymi poganami jak Słowianie wszelki trud jest daremny. Od dwustu lat książęta sascy czynią, co mogą, by ich nawrócić i jakież z tego skutek?

(Biskupowi bamberskiemu, Ottonowi, dla ochrzczenia całego Pomorza wystarczyły niecałe dwa lata...)

Trudno orzec, czy Henryk naprawdę sądził, że podlegające mu ludy nie są skłonne do przyjęcia chrześcijaństwa, czy po prostu nie chciał uszczuplać swoich i księcia saskiego dochodów, dzieląc się nimi z Kościołem? Helmold kronikarz, sumienny i pobożny, lecz pozbawiony własnego zdania i sądu, poczytywał naiwnie Goczałkowica za wzór chrześcijańskiego władcy i przy każdej sposobności nie szczędził mu pochwał. Pod rokiem 1106 pisał:

Wszystkie ludy wschodnich Słowian posłuszne były Henrykowi i dań mu płaciły i stał się on znany u ludów słowiańskich i szlachetną sobie zdobył sławę uczciwością i umocnieniem pokoju. Zalecił on ludowi słowiańskiemu, by każdy mąż swe pole uprawiał i wykonywał pracę użyteczną i właściwą, wytępił też zbójców i włóczęgów z kraju wypędził. Narody Nordalbingów wyszły z twierdz swoich, w których z obawy przed Słowianami były zamknięte, i każdy wrócił do wsi swojej i odbudowały się domy i kościoły... Wszakże w całej

Słowiańszczyźnie nie było jeszcze ani kościoła, ani kapłana, z wyjątkiem miasta, które się starą Lubeką nazywa, a to dlatego że Henryk ze swoją rodziną tam przemieszkiwał.

Ten stan rzeczy nie uległ zmianie, skoro pod datą 1126 czytamy:

...na tych ziemiach panowało nadal bałwochwalstwo...  
Prócz świętych gajów, szczególną cześć odbierał bóg Prowe...

Z czterech synów Henryka Goczałkowica przeżyło ojca dwóch. Wiemy o nich tyle tylko, co zapisał Helmold:

...synowie Henryka zapalili wojnę domową. Świętopełk bowiem, starszy, chcąc sam jeden panować, wyrządził wiele zniewag swemu bratu Kanutowi i z pomocą Holzatów obiegł go w zamku Płońskim... Kanut wkrótce potem został zabity w Lutilenburgu, a Świętopełk całe księstwo zagarnął... Po niedługim czasie Świętopełk także zginął, zamordowany podstępnie przez jednego Holsztyńczyka, Dazona... Świętopełk zostawił syna nieletniego Swenka, lecz i ten zabity został w Erteneburgu, mieście zaelbiańskim...

Na wyludnioną scenę wkracza Kanut Laward, książę Szlezwiugu, „najpotężniejszy z wasali króla duńskiego”. Nie zmienił się przez ubiegłe lata, jest po dawnemu ludzki, wesoły, hojny. Podwładni go miłują, uwielbia żona, księżniczka kijowska. Niegdyś Henryk Goczałkowic proponował mu sukcesję po sobie, co Kanut przyjął ze śmiechem. – Zbyt długo musiałbym czekać... – odparł wtedy. – Masz przecie synów i wnuka... – Nie minęło dziesięć lat od tego czasu a dziedzice wytracili się wzajemnie. Pretendentów do tronu po Henryku nie ma, prócz jakichś mało ważnych miejscowych książąt...

Kanut Laward nie namyśla się długo.

Udał się do cesarza Lotara i za ogromne sumy kupił panowanie nad Obodryzycami, mianowicie taką władzę, jaką posiadał Henryk [Goczałkowic]. Cesarz włożył na jego skronie koronę, co go królem Obodryców czyniło i uznał swoim lennikiem. Odtąd Kanuta zwano *Rex Obodritorum* (Helmold, *Kronika Słowian*).

Mimowolny uśmiech budzi snobizm ludzki, nie ulegający zmianie w ciągu wieków. Tytuł królewski uzyskany przez Lawarda nie posiadał większego znaczenia niż tytuły hrabiowskie, nabywane w Wiedniu w XIX wieku przez galicyjskich półpanków. „Władza, jaką posiadał Henryk”, miała wąski zakres. Niemniej Kanut Laward jest uszczęśliwiony.

Krótki przekaz kronikarski nasuwa dalsze refleksje. Dótychczas korona miała charakter sakralny. Król był Pomazańcem. By zostać koronowanym, potrzebna była zgoda Kościoła i prawa, bodaj urojone. W wypadku Kanuta Lawarda, po raz pierwszy, jawnie, cynicznie, rzecz można, obcy człowiek ogłasza się królem, nie na podstawie zasługi czy rodu, gwałtu wojennego lub swobodnego obioru, lecz siłą wpłaconej „ogromnej sumy”. Księstwo obodrzyckie zostało kupione.

Fakt ten wywołuje burzę. Połabianie, Wagrowie, Obodrzycki, Warnowie, Czrezipienianie, acz wyniszczeni i sponiewierani, kryjący się po lasach ze swoją wiarą i resztkami dobytku, poderwani niby smagnięciem biczu stają się dawnym, nieulekłym ludem. Przebrała się miara upokorzeń. Zostali kupieni niby niewolnicy, niby wół na targowisku. Nigdy, przenigdy nie panował nad Obodrzycami książę, którego jedynym prawem do tronu byłoby złoto, wpłacone niemieckiemu cesarzowi... Lennik składa daninę, jeniec okup, chrześcijanin dziesięciny, lecz narodu opłacić nie można!

Nominacja Kanuta Lawarda na króla ma dla nas znaczenie jeszcze z innego powodu: w akcie koronacyjnym bowiem po raz ostatni została oficjalnie użyta nazwa państwa obodrzyckiego. *Rex Obodritorum*. Ostatni raz. Odtąd nigdy więcej się nie pojawi. Jest ziemia obodrzycka, grody, rzeki, bory... Żyją Obodrzycki... Państwa obodrzyckiego już nie ma.

„Mało ważni, miejscowi książęta” stanowią większą przeszkodę, niż się Kanutowi zdawało. Pierwszy z nich to Przybysław, syn owego Budziwoja, co spowodował śmierć Błusa, a sam poległ w walce z poganinem Krutem. Przybysław, stary, ale czerstwy rycerz, choć dzieckiem ochrzczony, wrócił do po-

gaństwa i w pogaństwie życie spędził. – „Chrześcijaństwo nie mi nie dało – mawiał – mimo chrześcijaństwa musiałem całe życie chować się jak liszka w jamie...” Mieszkał przez te lata w puszczy, w kraju Brzeżan, pochodzeniem książęcym się nie chwalił, jako że ród Goczałka nie cieszył się wzięciem wśród ludu, a uwagi Henryka, swego stryja, Przybysław zwracać na siebie nie chciał. Panujący na ogół nie lubią ubogich krewnych, szczególnie z linii starszej. Dopiero teraz, gdy wymordowali się Henrykowie, Przybysław zgłosił swe niezaprzeczone prawa.

Drugim antagonistą Lawarda jest Niekłót (kronikarze piszą go po łacinie: Niklot), z książąt rańskich, spokrewniony z rodem Kruta syna Gryna. Ten opiera swe pretensje na starych roszczeniach Ranów do spadku po Krucie. Niekłót jest tęgim i śmiałym dowódcą. W porozumieniu z Przybysławem podnosi do boju cały kraj.

Niestety, pomimo męstwa, zebrane naprędce oddziały plemienne nie mogą sprostać ćwiczonym drużynom szlzewickim. Powstańcy zostają rozbici, a przywódcy wzięci do niewoli.

Przybysława, który był krewnym Henryka Goczałkowica, oraz Niekłóta, najstarszego w ziemi Obodrzyców, [Kanut] pojmał i w Szlezwiugu do więzienia wtrącił i tam skutych trzymał, dopóki się nie wykupili, płacąc pieniądze, dając zakładników, i uznając jego zwierzchnictwo (jw.).

Tak więc „król obodrzycki” zwyciężył, przeciwników obezwładnił, niemniej panowanie jego jest wątpliwe. Prawdę mówiąc ogranicza się ono do Wagrii, łatwiejszej dla utrzymania w karchach jako sąsiadującej z Holzatami i Szlezwiugiem. Po zostały obszarom księstwa rządzą zbuntowane plemiona. Wkroczyć tam, znaczyłoby rozpętać uciążliwą podjazdową wojnę leśną, jakiej rycerstwo nie znosi.

Laward się do tego nie kwapi, wierząc, że nowi lennicy, Przybysław i Niekłót, dopomogą mu z czasem uporządkować kraj. Grunt to działać bez pośpiechu. Na razie Kanut cieszy się jak dziecko koroną królewską. Do tytułu *Rex Obodritorum* dodał samozwańcze *et totius Daciae* (i całej Danii), nie dbając, jak przyjmie tę uzurpację król Niels.

Kanut puszy się przed żoną, której rodzona siostra została wydana za Komnena, członka greckiej rodziny cesarskiej. Niech jego Ingeborga wie, że też nie poszła w lada jakie łożo! Tam tylko krewniak cesarski, a tu król koronowany!

Ingeborga uśmiecha się blado. Nie zależy jej na tytule, ma inne zmartwienia: dotychczas nie urodziła syna, tylko córki. Będąc znów w ciąży, ciągle się trapi, że i tym razem urodzi dziewczynę, nie chłopca. Modli się do Bogarodzicy Przczystej, bije pokłony przed Jej złocistą kijowską ikoną. Mimo szczerzej pobożności, gdyby знаła czary, próbowałaby również czarów. Nocami miewa złe sny. Mąż żartobliwie nazywa ją z tego powodu snowidną albo widunką. By rozerwać strapioną, opowiada jej o swym ojcu, królu Eryku Ejegodzie, przez wszystkich kochanym, siłaczem dobrotliwym, co kiedyś, mocując się z czterema swymi rycerzami naraz (a wybrano najmocniejszych), wszystkim krzyże niechcący połamał... Z rozpaczy ślubował pąć do Ziemi Świętej. Pojechał z drużyną i żoną, jego, Kanuta, matką, okrętami o żaglach czerwonych, starą drogą Waregów na Nowogród. Z wielkiego miasta Nowogrodu pchali się w górę jednej, potem drugiej rzeki, potem była przewłoka i podkładali koła pod okręty (bo na każdym statku trzymali osie z kołami na wypadek potrzeby...).

- Tego u nas nie znali – dziwiła się zasłuchana kobieta.

- U was w ogóle okrętów nie mają – śmiał się Laward. – Drużynnicy, co z ojcem jeździli, powiadali, że widzieli same jednodrewnki... Z tej przewłoki zesunęli się na inną rzekę i teraz płynęli aż do końca w dół... Rzeka była bardzo wielka...

- Dniepr... – wyszeptala Ingeborga. – „Put’ iz Warjag w Greki...” Co roku kupcy nowogrodzcy tamtędy do Kijowa przyprawiali...

- Słusznie prawisz, bo i w Kijowie mój ojciec był. Drużyna chwaliła, że piękny gród, a kościoły mają dachy złożone... I znów płynęli, płynęli, rzeka była coraz bystrzejsza, grodziły ją skały, znów trzeba było koła podkładać i brzegiem ciągnąć statki... Aż dopłynęli do morza innego niż nasze...

- Zwą je Czarne – podpowiedziała żona.

– Kraj tam urodzajny, bogaty, ciepły... Morzem dopłynęli do stolicy cesarza greckiego. Największy to gród na świecie, większy od Rzymu, strasznymi murami otoczony... Cesarz Aleksy nie przyjął wdzięcznie mego ojca... Myślał, ujrawszy drużynę, że to znów krzyżowcy, a z krzyżowcami wiele miał pono w poprzednich latach kłopotu... Obraził się król Eryk, mój ojciec. Matkę moją na galerze greckiej posłał do Ziemi Świętej, żeby ślubu za niego dopełniła, a sam z drużyną popłynął na jeszcze inne morze, modre i bardzo ciche. Tam wyładował na wyspie Cypr. Moja matka dojechała do świętego miasta Jerozolimy i przy Grobie Chrystusowym była, ale zachorowała i umarła, na Górze Oliwnej pono...

– Dlaczego twoi Słowianie nie są chrześcijanami? – zapytała nagle Ingeborga.

Pytanie zaskoczyło opowiadającego.

– Bo ja wiem? Pewnie nie chcą...

– Możeli kto nie chceć znać Bogarodzicy i Pana Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego? – wątpiła. – Bez Nich człowiek żyłby jak w lochu.

– Henryk tę sprawę zaniedbał – tłumaczył mąż. – Jużci, trzeba wziąć się do tych pogan... Zabiorę się wnet...

– Powiadaj dalej... Matka umarła, a ojciec?

– Ojciec, nic nie wiedząc, że żona nie żyje, czekał na owej wyspie, a ciepło tam było i lubo, i wina i wszelkich rozkoszy obfitość, że mięśnie w nim zwiotczały, niemoc go ogarnęła i umarł. Tak oboje umarli... Tylko drużyna wróciła i co się zdarzyło, opowiadali. Zostaliśmy sierotami ja i mój brat Eryk. Nie rodzony mój brat, tylko z nałożnicy. Lżej mu było niż mnie, bo go nikt za dziedzica nie uważał. Zła doła sieroca... Nie jaj Bóg, by moje dzieci były sierotami – dodał z westchnieniem, wspomniawszy tułaczą młodość.

– Będiesz długo, długo żył – zapewniała żona, patrząc na męża z zachwytem. Wierzyła w to. Kanut tryskał zdrowiem, siłą, pogodą. Dożyje późnej starości na pewno.

Kanut Laward ma tę słabość, że przepada za ostentacją. Na sejm, zwołany przez swojego stryja, króla Nielsa, wybiera się wspaniale, niby potężny monarcha. Żona, choć w ósmym miesiącu, towarzyszy mu, obawiając się złych przeczuć i dęających snów.

Rycheza, żona Magnusa syna Nielsa, którą jako małą Ryksię przywieziono niegdyś do ojcowego obozu nad Dziwną, wyrosła na hożą, bystrą białogłową. Pożycie ma ciężkie z gburowatym, gwałtownym Magnusem, lecz urodziła mu już syna, co wzmocniło jej pozycję na dworze. Nawet wyniosła świekra, Małgorzata Fridkulla, królowa szwedzka, spogląda na synową łaskawie. Ostatecznie pamiętają tutaj, że największym władcą Danii, zdobywcą Anglii, był Kanut Wielki, syn Polki, siostry Bolesława Chrobrego. To przypomnienie budzi szacunek dla piastowskiej krwi.

Rykse z Ingeborgą wiąże przyjaźń od pierwszego wejrzenia. W izbie niewieściej paplą ze sobą po całych dniach o różnych babskich i dziecinnych sprawach. Może też o ojcowiznach dawno opuszczonych...

Rozpoczęto już narady sejmowe. Zjechali się wszyscy wąsalsie króla duńskiego, ale Kanuta nie ma pośród nich. Odziany w purpurę, w koronie na głowie, siada na tronie przygotowanym naprzeciwko tronu stryja...

...król stryj ujrzał synowca w królewskim stroju i ten nie powstał... by podejść do niego i powitać, jak to było we zwyczaju... lecz stanął pośrodku i takim sposobem postawił się ze stryjem na równi, co do miejsca i godności... Syn Nielsa, Magnus, biorący udział w tym widowisku razem z matką swoją, wpadł w gniew, matka zaś rzekła do niego: – Patrz, twój krewny już panuje! Jeszcze za życia ojca twego śmie przywłaszczyć sobie tytuł królewski! Pamiętaj, jeżeli go nie uprzedzisz, on ciebie i życia i korony pozbawi... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Źle, gdy matka podobne słowa kładzie w ucho synowi. Szatani się wtedy radują.

Po naradach sejmowych Magnus obrzuca Kanuta obelgami, na co ten odpowiada drwiną i wzruszeniem ramion. Staremu Nielsowi nie na rękę są te spory:

...zwołał wszystkich książąt państwa i pracował nad tym, by poróżnionych pojednać. Gdy udało się spór pokojem zakończyć, zgoda przez obie strony zaprzysiężona została. Tej umowy Kanut wiernie dotrzymywał, Magnus zaś o niej zapomniał (jw.).

Snowidną Ingeborgę męczą przywidzenia w miarę, jak jej czas się zbliża. Rada by wracać do domu, lecz Niels chce uroczyście święcić pojednanie. – Jeszcze tylko kilka dni – uspokaja Laward żonę. On czuje się tu doskonale. Właściwym sobie urokiem, wesołością pozyskuje serca. Przy gwarnych ucztach wypytuje Rychezę o jej ojca, przesławnego wojownika Bolesława, to znów przypomina, jak kiedyś na statku bała się przejść przez pokład i trzymała go mocno za rękę. Śmieją się wszyscy, tylko Magnus milczy. Zawsze nienawidził urodziwego krewniaka. Zazdrościł mu... Czego? Wszystkiego! Wszystkiego! Teraz aż spęczniał nienawiścią, nienawiść go rozsadza. Od nienawiści jego ślina stała się trująca, krew zapiekła, pot cuchnący, a myśli wężowe.

Żona Kanuta prosiła męża, żeby nie wychodził, przelękniona snem, jaki zeszłej nocy miała (jw.).

– Och, ty widunko – śmieje się ostrzeżony. – Gdybym wierzył w twoje sny, nie śmiałbym uczynić kroku...

Wesoły jak zawsze Laward udaje się na wezwanie Magnusa, pragnącego pogadać z nim na osobności. Królowi obodrzyckiemu towarzyszy czterech wojów.

Posłaniec Magnusa to muzykant dworski. Wiodąc króla pomiędzy drzewami, brzdąka po strunach swej gęśli.

W pewnej chwili obraca się ku Kanutowi:

– Zaśpiewać wam, miłościwy panie?

– Śpiewaj – przystaje Kanut, który lubi gędzbę.

Grajek silnym głosem śpiewa o Grimhildzie, co zdrażdzeczeko zamordowała braci męża, wprowadziwszy ich w zasadzkę.



– Znacie tę pieśń, miłościwy panie? – pyta, dokończywszy strofy.

– Znam. To powieść o Zygfyrdzie i złym Hagenie. Śpiewaj ją dalej.

Pieśniarz powtarza tę samą zwrotkę co poprzednio.

– Nie umiesz więcej? – dziwi się Laward.

– Od dziecka znam, panie, całą tę opowieść, od pierwszej do ostatniej zwrotki...

– To czemu w miejscu stanąłeś, jak osioł?

Gędziarz nic nie odpowiada, patrzy na króla i znów nuci o zemście Grimhildy.

Niejasne podejrzenie błyska Kanutowi w głowie. Chce pytać, lecz w tej chwili wchodzi na polankę. Naprzeciwko pod drzewem siedzi Magnus, sam jeden, w jedwabnej zielonej szacie. Lica skrzywione czynią go podobnym do złego Hageny. Świta Kanuta zatrzymuje się o parę kroków, by nie przeszkadzać poufnej rozmowie panów.

Zapomniawszy o gędziarzu, Laward podchodzi do krewniaka, obejmuje go powitalnie i cofa się o krok.

– Dlaczego masz pancerz pod suknią? – pyta zaskoczony.

Magnus wyciągnął już sztylet z zanadrza.

– Żeby być pewnym sukcesji! – krzyczy, przebijając pierś Kanuta.

Z zarośli, za nim wynurzają się ukryci zbrojni. Otaczają swego księcia szansem tarcz i włócznie, cofając się z nim w las. Zrozpaczeni, oszołomieni towarzysze zabitego nie mogą uczynić nic więcej, jak podjąć z trawy zwłoki swego króla, prosząc Boga i bogów o zemstę.

Niegodziwe morderstwo poruszyło wybrzeża Bałtyku. Wprawdzie ludzie nie cenili wówczas przesadnie życia swych bliźnich i zwyczajem było załatwianie sporów mieczem, lecz zdradziecka zbrodnia, popełniona w parę dni po uroczystym zaprzysiężeniu pokoju, oburza każdego. Poruszenie kraju jest tak żywe, że Niels uznaje za konieczne wyprzeć się publicznie syna. Nie chce go znać, nie chce go na oczy widzieć. Jeżeli wróci, bo przepadł bez śladu, czeka go surowy sąd.

Rycheza, żona Magnusa, płonie oburzeniem szerszym niż udany gniew Nielsa. Chodzi jak błędna, nie mogąc sobie miejsca znaleźć. Nie śmie zapytywać, co poczyna tragicznie owdowiała Ingeborga. Świekra Małgorzata patrzy wzgardliwie na rozpacz synowej. – Głupia, dopiero teraz będziesz królową – powiada. Rycheza ucieka z izby, bojąc się, że nie zdzierży i ciśnie świekrze w twarz: To ty jesteś winna!! Zresztą wszyscy na dworze wiedzą, że Magnus siedzi ukryty w komnatach matki i tam czeka, aż wrzawa przycichnie.

Wrzawa nie przycichła, przeciwnie rozchodzi się coraz szerzej. Miecz sprawiedliwości podnosi sam król niemiecki, Lotar, obecnie już cesarz rzymski. Opiekun i zwierzchnik zamordowanego króla Obodryców poczuwa się do ukarania zbrodniarza.

Przyszedł król Lotar z wielkim wojskiem pod miasto Szlezwig do wału, który zowią Dannewirke, by pomścić śmierć najlepszego męża Kanuta Lawarda. Przeciwko niemu pociągnął Magnus z wojskiem duńskim, by bronić swoich granic (jw.).

Jak z powyższego widać, król Niels wobec groźby wojny wybaczył synowi i oddał mu dowództwo. Zresztą do walki nie dochodzi, gdyż Magnus:

...otrzymał u cesarza bezkarność, płacąc wielką sumę złota i uznając się jego lennikiem (jw.).

Miecz sprawiedliwości powrócił do pochwy. W tym samym jeszcze roku król Niels za przykładem syna złożył również hołd Lotarowi.

Więc nikt nie pomści śmierci Kanuta Lawarda?

Owszem, cesarz rzymski zadowolili się pieniędzmi, lecz powstaje mściciel dotychczas przez kronikarzy zaledwie zauważany:

Eryk, brat zabitego, z nałożnicy spółdony... zebrał dużą ilość Duńczyków, zlorzeczających bezbożnemu zabójstwu... i zaczął napadami trapić Magnusa, lecz pobity i do ucieczki

zmuszony, przezwany został przez swojego przeciwnika, Hazenvoth – Zajęcza Noga... Wygnany z Danii uciekł do Szlezwi-gu. Mieszkańcy tego grodu pomni na dobro, jakie im świadczył Laward, przyjęli dobrze Eryka, gotowi pójść za nim na śmierć i potępienie (jw.).

Nie lekceważ zbyttnio Zajęczej Nogi, Magnusie! Gorszym on wodzem od ciebie, lecz jego szeregi ożywia głód sprawiedli-wości. Sprawiedliwości, której nie oszukasz złotem, sprawie-dliwości, która do upadłego będzie walczyła o swoje...

Wojna się przewleka. Szczęście sprzyja to jednej, to dru-giej stronie.

...w samych bowiem wojnach domowych celują Duńczy-cy... (jw.).

Na koniec w roku 1134, pod Fodewig, w Skonii (Skanii), ma miejsce decydująca bitwa, zaciepła, krwawa, bogata w żniwo zabitych, zakończona klęską Nielsa i Magnusa. Magnus padł w boju, Niels uciekł do Szlezwigu, gdzie go zamordowali wier-ni zmarłemu Kanutowi mieszkańcy, zaś Eryk Hazenvoth uzy-skał nowe, właściwsze miano: Emmune – Godny Pamięci.

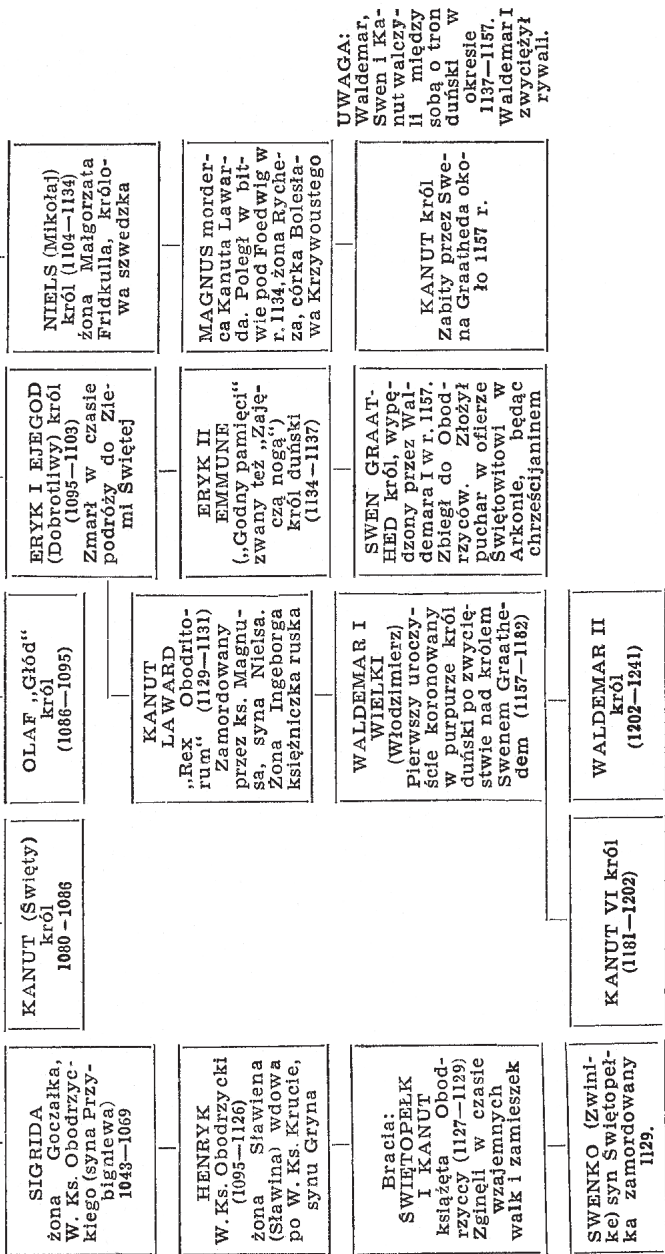
Wśród starych podań islandzko-duńskich przechowała się opowieść, że o zmierzchu w dniu bitwy bratobójczej pod Fodewig pasterze islandzcy widzieli duchy poległych, gnane wichrem jak stada żalobnego ptactwa, i z jękiem rozpaczy pa-dające w ognistą czeluść wulkanu Hekla, który jest wrotami piekiel...

Rycheza, córka Bolesława, została wdową. Dopiero te-raz mogą obie z Ingeborgą objąć się ramionami jak siostry i wspólnie płakać i wspólnie się trwożyć o przyszłość swych dzieci. Ryksa o losy paroletniego Kanuta (znów Kanut!) syna Magnusa, Ingeborga o swego Włodzimierza-Waldemara, syna Kanuta Lawarda, urodzonego w dziesięć dni po śmierci ojca.

...Ach, czemuż wysłuchane zostały ich prośby, ich modły o synów? Bodajby się im były urodziły córki! Córki należą do matek, świat niewiele o nie stoi... Lecz biada synom królew-

# DYNASTIA ULFINGÓW, KRÓLÓW DUŃSKICH (WYKAZ NIEPEŁNY)

SWEN III ESTRIDSON (1047—1076)



skim, gdy zginą ojcowie, zostawiając dziedziców w kołyskach! Jak słabe, bezbronne są te niewinne sierotki, jak ciemna przyszłość przed nimi! Czy zdołają je osłonić dłonie macierzyńskie?...

Na tronie Danii zasiada Eryk Emmune. Zaraz po zwycięstwie złożył Lotarowi hołd, nie czekając na wezwanie. Z krwawej kilkuletniej zawieruchy, co kosztowała wiele tysięcy istnień ludzkich, zawieruchy wywołanej próżnością Lawarda i podżeganiem złej matki Magnusa, Małgorzaty Fridkulli, prawdziwym zwycięzcą wyszedł tylko cesarz Lotar.

Z tragedii duńskiej osiągnął same korzyści, nie ponosząc żadnej straty. Złoto Magnusa zasiliło jego skarb. Dania z potencjalnego, a silnego wroga stała się wasalem cesarstwa. Hołd złożony przez króla duńskiego przekreślił zawarte niegdyś przymierze pomiędzy Danią a Polską. (Lennik nie ma prawa utrzymywać innych sojuszów niż te, jakie dyktuje mu zwierzchnik). W systemie obronnym Krzywoustego zawalił się ważny narożnik.

A księstwo obodrzyckie?

Gdy zginął król Obodrzyców, Laward, miejsce jego zajęli Przybysław i Niekłót... Pierwszy rządził krajem Wagrów i Pólabian, drugi ziemią obodrzycką. Były to dwa straszliwe potwory, okrutni prześladowcy chrześcijaństwa (jw.).

Niech rządzą na razie. Cesarz Lotar nie wątpi, że upora się szybko z tymi książętami. Wystarczy pokłócić ich pomiędzy sobą, a ziemia od Łaby po Odrę stanie nareszcie otworem dla Sasów.

Bolesław Krzywousty ocenia należycie zdobycze Lotara. Zdaje sobie sprawę, że książę pomorski Warcisław jest niepewnym lennikiem, gotowym pójść za silniejszym. Więc w razie wojny na Polskę mogą uderzyć połączone siły niemiecko-duńsko-pomorskie. Oby nie dołączyły się do nich czeskie! Z ciężkim sercem książę polski zaczyna czwarte dziesięciolecie swego panowania.

## DZWONY MAGDEBURSKIE

Okres między 1122 a 1150 zwany bywa w historii Kościoła „czasami Bernarda z Clairvaux”. Wielki ten opat, wielki święty, wycisnął na tych latach swe piętno. Życie duchowe, świeckie, zakonne, umysłowe rozwijało się pod jego wpływem. On kształtował obyczajowość, rozcinał wątpliwości teologiczne, kierował polityką królów. Przez trzydzieści blisko lat był wyrocznią, sumieniem i trybunałem całej Europy zachodniej. Natchniony kaznodzieja miał przydomek *Melifluus* (miodopłynny), przydomek niewłaściwy; raczej należało mówić „żarem tchnący”, gdyż z ust jego sypały się gromy i ogień, nie miód. Żywotność i pracowitość tego niezwykłego męża równe były jego geniuszowi. Nieustannie podróżował, wizytując lub zakładając klasztory, godząc poważnionych księży albo rozstrzygając spory. Po wyczerpującej pracy całodzienniej spędzał noce na modlitwie i pisaniu dzieł teologicznych, których głębia myśli zyskała mu zaszczytną nazwę Doktora Kościoła. Tradycja czyni go autorem jednej z najpiękniejszych modlitw chrześcijańskich: „Pomnij, o Przenajświętsza Panno Maryjo...”

Syn wysokiego rodu zachował temperament bojowy i niektóre pojęcia swej kasty, co go czyniło bliskim i zrozumiałym rycerstwu.

Wpływ, jaki wywierał, stawał się tym bardziej pożądany, że tron papieski był wciąż przedmiotem walki skłóconych stronnictw. Już w roku 1124 nowa schizma wisiała w powietrzu. Z trudem udało się jej uniknąć, nakłaniając jednego z kandydatów, Celestyna II, do ustąpienia na rzecz swego przeciwnika, który objął Stolicę Apostolską pod imieniem Honoriusza II. Zażegnana burza wybuchła sześć lat później, gdy po śmierci Honoriusza wystąpiło równocześnie dwóch pa-

pieży. Jednym z nich był Grzegorz Papareschi, obrany przez szesnastu kardynałów „w największym pośpiechu”, jak pisze kronikarz, i nazwany Innocentym II. Tegoż samego dnia, w parę godzin później, dwudziestu pozostałych kardynałów wyniosło na Stolicę Apostolską syna bogatej bankierskiej rodziny, kardynała Pierleoni, jako Anakleta II.

Anaklet II, głośny „papież z getta”, jest człowiekiem niepospolitych zdolności, co mu przyznają nawet przeciwnicy, wielkich ambicji i potężnych środków materialnych. Te ostatnie czynią go niezależnym od łaski tego czy owego księcia, pozwalają kaptować stronników i uprawiać szeroką propagandę. Sprawa jego wydaje się już wygrana. Innocenty II, aczkolwiek nie rezygnuje ze swych praw, wyjeżdża do Francji nie czując się dość silny, by walczyć. Anaklet obejmuje we władanie Rzym, rozsyła posłańców do najdalszych krańców Kościoła z powiadomieniem o swoim obiorze i błogosławieństwem Następcy Rybaka, Namiestnika Chrystusowego.

Posłańcy docierają do Polski. Arcybiskup gnieźnieński, należy do tych, co jedni z pierwszych zgłaszają nowemu papieżowi swoją obediencję.

Inni, na przykład król Lotar, jeszcze się wstrzymują. Czekają, co dalej nastąpi. Anaklet II posiada wprawdzie Rzym, lecz sprawę Innocentego II wziął w swe ręce sam opat z Clairvaux. Przyznaje, że wyborcy Innocentego popełnili „pewne nieformalności”, lecz przerażają go ambicja i złoto syna Pierleonich. Dokąd ten człowiek poprowadzi Kościół? Czy łodzi Piotrowej nie grozi niebezpieczeństwo pod zbyt zuchwałym sternikiem? Papareschi, spokojny, sumienny kapłan, daje większe gwarancje pokoju dla Kościoła i przeświadczony o tym Bernard cały swój autorytet rzuca na szalę Innocentego II. Anaklet głuchy na perswazje twardo siedzi w Rzymie, mając w ręku niezdobytą twierdzę, Zamek św. Anioła, ale dla całej Francji miarodajnym jest głos Bernarda, za Francją idzie Mediolan, za Mediolanem grody północno-italskie.

Czas, by zdecydował się Lotar, jakie miejsce zająć. Jego doradcą w sprawach polityki kościelnej jest Norbert, arcybi-

skup magdeburski, popierający gorąco Innocentego, z którym przyjaźnił się za dawnych, błogich czasów Premonstratum. Opinia Norberta przeważa. Wiosną 1131 roku zostaje zawarte porozumienie: Lotar obiecuje wprowadzić Innocentego do Rzymu, w zamian za co Innocenty udzieli mu sakry cesarskiej. Grzegorz Papareschi zwyciężył. Synody biskupów francuskich, italskich, niemieckich, uznają Innocentego prawym papieżem, Anakleta uzurpatorem. Na Bogu ducha winną Polskę spada odium opowiedzenia się za antypapieżem.

Anaklet nie ustępuje. Zyskał ostatnio silnego sprzymierzeńca. Na złość Lotarowi, aby przeszkodzić w zamierzonej koronacji, król normandzki Roger II, władca południowej Italii, ogłasza się stronnikiem Anakleta. Normandzkie drużyny powiększają siły antypapieża.

Lotar wieździe Innocentego do Rzymu w dwa lata później. Towarzyszą im Norbert z Xanten, arcybiskup magdeburski, oraz Adalberon arcybiskup hambursko-bremeński. Po drodze obaj dostojnicy mają dość czasu, aby przedstawić Innocentemu sprawę, jakie ich przywiodły.

Arcybiskup magdeburski okazuje dokument, protest i obediencję prostodusznego Ungera, wyłudzone od biskupa poznańskiego w czasie jego przymusowej bytności w Magdeburgu w 1003 roku. Szaleństwo Ottona III, mówi Norbert, zakłóciło na jakiś czas właściwy układ diecezji. Błąd zbyt długo tolerowany należy poprawić.

...Polska... Gniezno, ach, tak... Stronnicy Pierleoniego... Odruchowo Innocenty przychyła się do zdania Norberta. Zresztą ufa przyjacielowi i czuje dlań głęboką wdzięczność za poparcie jego sprawy u Lotara.

Petycja arcybiskupa hambursko-bremeńskiego ma podobną treść: chodzi o przywrócenie metropolii bremeńskiej starodawnego zwierzchnictwa nad kościołami Danii, Szwecji, i Norwegii, które od pewnego czasu „uzurpuje” sobie Lund na podstawie zgody Watykanu, udzielonej swego czasu królowi duńskiemu Erykowi o przydomku Ejegod...



Obie prośby gorąco poleca Lotar, wierny syn Kościoła, Lotar, najpotężniejszy stronnik Innocentego II...

Pod murami Rzymu wojska niemieckie staczają zaciętą walkę z Normanami i oddziałami antypapieża Anakleta. Siły obu stron są równe. Z trudem udaje się Lotarowi opanować zaledwie część Wiecznego Miasta. Anaklet pozostaje panem całej dzielnicy leonińskiej, Zamku św. Anioła i kościoła św. Piotra. Koronacja Lotara ma miejsce na Lateranie.

W tymże samym dniu, 4 czerwca 1133 roku, Innocenty II ogłasza bullę poddającą metropolii magdeburskiej niżej wymienione obszary:

    pomiędzy Łabą i Odrą, Szczecin i Lubusz, na wschód od Odry właściwą diecezję pomorską, Poznań, Gniezno, Kraków, Wrocław, Kruszwicę, Mazowsze i diecezję wrocławską...

Bulla dla arcybiskupa hambursko-bremeńskiego nosi datę o kilka dni wcześniejszą (27 maja 1133 roku). Wskrzesza ona dawne granice metropolii bremeńskiej, obejmujące kraje skandynawskie.

Polska daleka jest od świadomości tych spraw. Prócz Śląska, trapionego częstymi najazdami czeskimi, kraj cieszy się spokojem. Oręż Krzywoustego oddalił wrogów od granic. Na ostrowiu w korycie Warty położonym, biskup Bogumił, prekursor Franciszka z Asyżu, rozmawia ze zwierzętami i błogosławi wszelkiej żywinie. Biskupi pasterzują wiernym, a metropolia gnieźnieńska rozciąga skrzydła opiekuńcze nad tą Bożą ziemią. Życie w wierze wydaje się ludziom proste jak Dziesięcioro Przykazań, a hierarchia idąca od biskupa do arcybiskupa, od arcybiskupa do Ojca Świętego, od Ojca Świętego do Ojca niebieskiego – tak pewna i niezachwiana jak drabina Jakubowa.

Wczesną jesienią 1133 roku w ten spokój i zaufanie pada niby grom posłanie z Magdeburga: odpis wiadomej bulli i wezwanie do biskupów polskich, by przybyli złożyć winny hołd swemu zwierzchnikowi...

Więc Kościół w Polsce ma być Kościołem niemieckim? Więc nie polscy księża, lecz niemieccy obejmą świątynie i będą z ambon głosić słowo Boże? Więc rządzić będzie wrogli Słowianom arcybiskup magdeburgski? Jakim prawem? Kto tak rozkazał? Dlaczego?!...

Gdy sroga wiadomość dojdzie do księcia, Bolesław zrazu nie wierzy. Nie chce wierzyć. Odrzuca z pogardą odpis bulli. – Jakieś łgarstwo – powiada. – Nie nastraszą mnie. Papież nie mógłby czegoś podobnego uczynić...

Zbyte śmiechem ostrzeżenie biskupa Ottona, ostrożne słowa: Zważaj, co się dzieje w Rzymie... stają nagle w pamięci. Otton coś przeczuwał, wiedział... Czyli, że ta brednia może być prawdziwa?... Nie! Niemożliwe!! Bo gdyby to była prawda... Rany Boskie! Gdyby to była prawda...

Na samą myśl ogarnia księcia wściekłość, nie znająca miary. Lata okiełznały dawną popędliwość Włodzisławowica, lecz przypuszczenie, że Magdeburg mógłby zawładnąć Kościołem polskim, budzi w nim furię młodzieńczą. Jeżeli to prawda!?...

Jeżeli to prawda, to żałuje ksiączę, że jest chrześcijaninem, z dziada, pradziada, w piątym już pokoleniu! Bo cóż z tego, że istnieją Bóg Wszechmocny i Nieśmiertelny, Chrystus Odkupiciel i Matka Najświętsza Orędowniczka grzeszników, skoro w Ich Obliczu Niemcy mają zawsze przodek, skoro racja niemiecka będzie zawsze lepsza od racji słowiańskiej, skoro zbój niemiecki uznany zostanie za lepszego chrześcijanina od wiernego, pobożnego Polaka, skoro wbrew wszelkiemu prawu i wbrew uczciwości, metropolia gnieźnieńska po półtora wieku istnienia może być zniesiona, a Polska cała poddana władzy Magdeburga!

Jeżeli to jest prawdą, co należy czynić? Pędzić do Rzymu, tam wykrzyknąć swój żal i gniew?... Ruszyć zbrojnie na Magdeburg, odebrać bullę i zniszczyć? Bolesław sam rozumiał, że są to szalone pomysły i przygnębiony pojechał do arcybiskupa na naradę.

Arcybiskupem gnieźnieńskim był Jakub ze Żnina, mąż wielkiej wiedzy, doktor Św. Teologii, znany z uczonych dzieł

w całej Europie. Bolesław niezbyt go lubił i spotkania unikał, mając wrażenie, że uczony uważa go, księcia, za prostaka. Tym razem jednak szedł tu po ratunek i ucieszył się, widząc twarz arcybiskupa chłodną i stanowczą jak zwykle.

– Bulla jest prawdziwa – objaśnił tenże – ale oparta na fałszywej podstawie. Wymieniono w niej dokument zawierający rzekomą obediencję czcigodnej pamięci biskupa poznańskiego Ungera, złożoną arcybiskupowi magdeburskiemu Tagino w roku 1003, oraz protest tegoż czcigodnej pamięci biskupa Ungera przeciw nominacji arcybiskupa gnieźnieńskiego Gaudentego... Jedno i drugie kłamstwo oczywiste! Czcigodnej pamięci Unger, biskupem misyjnym będąc, nie miał tytułu ani powodu uznawać zwierzchnictwa kościoła magdeburskiego, gdyż bezpośrednio zależał od Rzymu... To samo dotyczy protestu... Znam dobrze prawo – dotknął od niechcenia księgi w drewnianych okładzinach, noszącej tytuł *Excerpta ex Theologia et jure canonico*, której był autorem, i ciągnął:

– Pośpieszyliśmy się zbyt z uznaniem kardynała Pierleoni. Prawnikiem będąc, mniemałem, że wybór jego, dokonany większością głosów kardynalskich, jest ważny... Stało się inaczej. Krzywo na nas za to w Lateranie spoglądają, lecz niech jeno spór z antypapieżem przycichnie, potrafimy słuszności naszej dowieść...

– A zanim to nastąpi? – trwożył się jeszcze Bolesław.

– Uczynimy jak mój uczony konfrater, Asger, arcybiskup z Lund. Jemu też prawa metropolitalne odjęto... Też go wezwano niezwłocznie do Bremy, co więcej: dostał przynaglenie z Rzymu. On odpis bulli schował, pismo schował, siedzi w Lund i łaje, jak to ma we zwyczaju... Pisałem do niego. Odpowiedział: Niech mnie spróbują przymusić, żebym tam pojechał, czy którego z biskupów posłał...

Bolesław odetchnął głęboko.

– Wasza Dostojność uczynisz podobnie? – zapytał, by się upewnić.

– Jużci, co Magdeburga nie uznamy. A gdy pora sposobna nadejdzie, pošemy do Rzymu najpokorniejsze wyjaśnienie.

Nie frasujcie się tyle, książę – dodał miękko. – Nie zaprzepaścimy polskiego Kościoła...

Bieda nie chodzi nigdy w pojedynkę. Jak wilk za wilkiem, tak za troską sunie troska. Zgryzoty Bolesława nie ograniczały się w tym czasie do sprawy bulli papieskiej (Magdeburg na razie nie ponawiał wezwania, prawdopodobnie na skutek choroby arcybiskupa Norberta). Ale cesarz rzymski Lotar pilnie i umiejętnie tkał nadal swoją sieć. Pozbawiony zdolności wojennych Włodzisławowica, był odeń nieporównanie lepszym politykiem. Za jego sprawą nad środkową Łabą wyrosło, nie wiedziałeś kiedy, nowe wrogie państwo Albrechta Niedźwiedzia. Ten ulubieniec Lotara wstępuje w tych latach na widownię jako chorąży niemieckiego pochodzenia na wschód.

Ród książąt saskich, potomków po mieczu Hermanna Billinga, co wraz z Ottonem I i Geronem ustalał plan tego pochodu, wygasł. Istnieją jednak jego potomkowie po kądzieli. Z dwóch wnuczek Hermanna Billinga, Eilika jest matką Albrechta Niedźwiedzia, Wulfildis babką Henryka Lwa, księcia bawarskiego i saskiego. W tych latoroślach gra zaborcza krew saska okrutnych wojowników, co stworzyli wielkość Niemiec na popiołach słowiańskich.

Albrecht Niedźwiedź, niezgrabny osilek, posiadał już znaczne obszary na prawym brzegu Łaby w kraju Hobolan. Ostatnio dołączył do tego dolne Łużyce i konsekwentnie rozszerzył swój zabór wzdłuż Łaby aż pod Magdeburg. Lotar dał Niedźwiedziowi Marchię Północną, wyodrębnioną niegdyś z władztwa Gerona z nieograniczonymi prawami podboju sąsiednich Słowian. Korzystając z tego, Albrecht zagarnął ziemię Brzeżan i zajął gród Hobolin (przezwany Havelberg), mimo że książę Wirykind był lennikiem cesarza. Zbliżył się do granic Polski. Krzywousty nie mógł patrzeć spokojnie na te poczynania, lecz udział w walce o tron węgierski nie pozwalał mu wystąpić czynnie w obronie Słowian zaodrzańskich.

Sprawa węgierska tak się przedstawiała: przed dwudziestu z górą laty, widząc, że książęta czescy w coraz głębszą

popadają zależność od cesarstwa, Bolesław chciał przeciwstawić się spójni niemiecko-czeskiej, zawierając sojusz wieczystej przyjaźni z węgierskim królem Kolomanem. Ten sojusz trwał, mimo że Koloman był okrutnikiem, oślepił swego brata i bratanka (jak ja Zbigniewa... – przemykało nieraz przez głowę Krzywoustemu). Teraz gdy Koloman umarł, a Węgrzy wynieśli na tron owego bratanka, Belę Ślepcę, wierność staremu przymierzu skłoniła Bolesława do zbrojnego poparcia syna Kolomanowego, Borysa. Ze znacznymi siłami ruszył na Węgry, wiodąc protegowanego, lecz w międzyczasie Bela Ślepy uznał się wasalem Lotara i wojska Krzywoustego napotkały w wąwozach karpackich potężną armię węgiersko-niemiecko-czeską (książę czeski Sobiesław był zięciem Beli Ślepego). Krzywousty po raz pierwszy w życiu poniósł klęskę i z dużymi stratami wrócił do domu wraz z niefortunnym pretendentem, którego osadził w Wiślicy. Czeski Sobiesław trzykrotnie najechał Śląsk, po czym on i Bela węgierski padli do nóg Lotarowi, błagając, by cesarz poskromił i ukarał niespokojnego księcia polskiego. Lotar obiecuje im, że tak uczyni, i wiosną 1135 roku wzywa Bolesława, by stawiał się na sąd przed jego majestat.

Łatwo pojąć uczucia, miotające hardym Piastem, co nie zniósł nigdy myśli o jakiej bądź zależności lub trybucie. Nie onże to, osiemnastolatek, odrzucił wezwanie cesarza Henryka V, mówiąc: – Bacz, komu grozisz! Chcesz wojować, znajdziesz wojnę!

A teraz ma być sądzony! Kto śmie go pozywać? Dlaczego teraz nie odpowie pogroźką jak wtedy?

Dlaczego?...

Od dłuższego czasu Bolesław nie mógł się oprzeć wrażeniu, że jest okrażony, spędzany niby łoś przez wilki na lód. Lekcewał to uczucie, dufając w swe siły, a tymczasem zamknęła się matnia... Spojrzawszy wkoło widział, że Bela węgierski, Sobiesław czeski są lennikami niemieckimi. Tuż Albrecht Niedźwiedź, pożeracz nienasycony... Warcisław pomorski niepewny, Dania zhołdowana również przez Lotara.

Polska sama jedna otoczona wieńcem lenników cesarskich, którzy na rozkaz zwierzchnika uderzą. Mimo swej sławy, mimo męstwa druzyn, Bolesław znalazł się w sieci...

Znów spóźnione echo pouczeń Ottona bamberskiego: Nie pokładaj zbytnej ufności w mieczu. Zważaj, co się na świecie dzieje... Rządź więcej rozumem niż siłą... Mówił mu też kiedyś, że jak poszczególne członki ciała są od siebie wzajemnie zależne, co powiedział św. Paweł Apostoł, tak wszystko na świecie pozostaje zrosłe ze sobą. Nawet mała osada puszczańska nie może powiedzieć: Nie dbam, co się gdzie indziej, za przesieką, dzieje... Nic mi do tego... Bo zginie. Cóż dopiero państwo tak wielkie jak Polska...

Otton mówił swoje, on, Bolesław, myślał swoje. Dopiero teraz, poniewczasie, doceniał rady przyjaciela.

Doktor Św. Teologii, uczony Jakub ze Żnina, podzielał na pewno poglądy Ottona. Może i inni biskupi. Lecz Krzywousty trzymał się z daleka, nigdy ich o radę nie pytał...

Arcybiskup Norbert umarł i Magdeburg nie ponawia wezwania. Niemniej bulla papieska wisi nad Polską jak miecz Damoklesa.

Borys, syn Kolomana, rezydujący na zamku wiślickim, posądzony jest o zdradę. Zaufani woje ostrzegają Bolesława, że Borys znosi się tajemnie z książętami ruskimi. Gońcy biegają z Wiślicy na Ruś i z powrotem. Należałoby gada utrupić, nim biedy napyta, ale to syn sprzymierzeńca, z którym zawarta została niegdyś wieczysta przyjaźń...

Teraz to posłanie Lotara... Wzywa Krzywoustego, jakby Piast był jego wasalem! Bolesław nie jest niczym wasalem i nie pojedzie za nic. Wysłał poselstwo do cesarza z bogatymi darami. Lotar ceni złoto. Niech je bierze. Niech się nim udławi. Bolesława u swych kolan nie zobaczy.

Posłowie wracają. Cesarz, nie gadając z nimi, odesłał ich nazad. Książę polski ma stawić się sam, osobiście, bez zwłoki...

Nie pojedę!...

Musisz pojechać, Bolesławie. Masz pętlę na szyi.

15 sierpnia, Wniebowzięcie Bożej Matki. Z najdalszych okolic procesje zdążają do Merseburga. Cesarz Lotar III w pochodzie wspaniałym kroczy z zamku do katedry. Błyszczą złoto, pali się purpura szat, łopocą chorągwie. Słońce mieni się w strojach wielmożów przybyłych z całego cesarstwa. Nie byle jaka to uroczystość.

...Kto niesie miecz przed Lotarem? Stąpa sztywno, patrzy nie widząc. Oczy zapadłe, konopiasty wąs osłania skrzywione wargi, pot perli skronie. Któż to? Kto? Margrafowie i grafy stają na palcach, by widzieć. Patrzcie! Patrzcie! To Bolesław polski, zwany niegdyś synem Marsa i wilczycy. Przyglądajcie się onemu, który był waszym postrachem!

Magnus, królewicz duński, zięć Bolesławowy, niósł podobnie miecz przed cesarzem Lotarem. Ale Magnus był mordercą. Ceną upokorzenia zapłacił bezkarność... Za co cierpi Bolesław? Że był zwycięski w boju i nigdy nie złamał wiary?...

Stąpaj prosto, hołdowniku! Jeszcze tylko kilkadziesiąt kroków. Już gorzej światłem wewnątrz katedry. Dawniej zanurzyłyś się w jej chłodny cień, niby wędrowiec w bezpieczne zacisze. Dziś już nie. Nieszczęsna bulla stanęła pomiędzy księciem polskim i ołtarzem.

Poniżenie Bolesława stanowi szczytowe osiągnięcie cesarza Lotara. Przez trzydzieści lat Krzywousty urągał mocy niemieckiej, aż nareszcie pokonany, musiał ugiąć dumny kark... Osiągnąwszy cel Lotar, zbyt mądry, by przeciągać strunę (z szalonymi Polakami nigdy nie wiadomo), stara się księciu polskiemu osłodzić upokorzenie. Traktuje go jak równego sobie, każe oddawać mu honory monarsze, wyróżnia Bolesława spośród innych lenników. To ostatnie jest uzasadnione, gdyż Krzywousty pozostając suwerennym władcą Polski, złożył hołd tylko z Pomorza i z... wyspy Rany. Rany? Chyba to omyłka kronikarza? Wszak Rana nie należy ani do Bolesława, ani do Lotara? Ostrzą sobie na nią zęby Duńczycy, nękają wyspę ciągłymi najazdami, lecz Ranowie, jak dotąd, odpierają te ataki skutecznie. Otóż to nie jest omyłka. To jedno z mistrzowskich posunięć Lotara: obdarowany książę polski płaci

z otrzymanej wyspy Rugii wysoki trybut wiele lat wstecz (!), a pomiędzy Polską i Danią powstaje zarzewie nieuchronnej wojny...

Z woli Lotara następuje pojednanie między Sobiesławem czeskim a Bolesławem. To piękny widok: cesarz rzymski godzi zwaśnionych książąt słowiańskich. Lotar lubuje się w podobnej roli i promienieje łaskawie.

Przed odjazdem, zgodnie z obyczajem, Bolesław odprawia pielgrzymkę do Hildesheim, do grobu św. Godeharda, benedyktyna. Tam, wewnątrznie odrętwiały, odmawia liczne pacierze, składa bogatą ofiarę i otrzymuje relikwie.

Powrotna droga do Polski wiedzie przez Magdeburg. Bolesław chce bez postoju minąć złowieszczą miejscowość, lecz dostrzeżono go z wież, w grodzie biją wszystkie dzwony, z bramy wychodzi procesja z samym arcybiskupem na czele. Dostojnik wita z szacunkiem książęcego pielgrzyma i wiedzie do zamku.

Czy następca Norberta sądzi, że ucieszy tym Bolesława? Przeciwnie, Krzywousty wie, że jak honory okazywane mu w Merseburgu, tak i tutejsza parada, są dokuczliwym szyderstwem, Lotarową przebiegłością: Patrzcie, jaki to potężny książę! Wiedźcie, że ten potentat niósł miecz przede mną i chylił się do mych kolan.

Dzwony wciąż biją. Magdeburg wspaniale przyjmuje gościa. Takiej uroczystości nie było od stu pięćdziesięciu lat, kiedy to arcybiskup Adalbert witał księcia saskiego Hermanna Billinga. Obruszył się na to wówczas cesarz Otton I powiadając, że podobne hołdy należą się tylko monarchom... Obecnie zaś naiwny kronikarz, świadek uroczystości nie rozumiejący uczuć Bolesława, dodaje z niechęcią:

...a przecież książę saski osobistością swą stał wyżej niż ów Słowianin i cudzoziemiec... (*Annales Magdeburgenses*, rok 1135).

Lotar, dobry psycholog, bał się przeciągnąć strunę, poniżając nad miarę wasala. Podobnie arcybiskup magdeburski,



spojrzawszy w twarz księcia polskiego ostatkiem sił dzierżącego się na wodzy, nie porusza sprawy bulli, z dnia 4 czerwca 1133 roku. Norbert byłby poruszony. Nie bał się niczego i święcie wierzył w słusność swych poczynań. Jego następca, ostrożniejszy, milknie.

Nareszcie powrót, nareszcie Polska. Nareszcie można zrzucić maskę kamienną z twarzy. Poczuć się dawnym sobą, jeśli w mocy ludzkiej jest zapomnieć... Tylko odpocząć, przemyśleć zaszłych wypadków nie można, bo nowa zamieszka dymi na wschodniej granicy. Miast o wytchnieniu, trzeba myśleć o wyprawie.

Ci, co ostrzegali Bolesława przed jego pupilem, Borysem, mieli słusność. Ten kurdupel sprzedał książętom ruskim Wiślicę. Sprzedał za pieniądze ziemię swojego opiekuna i gospodarza! Rusini wpadli w głąb Polski, zajęli Wiślicę i przyległe grody, pustosząc okropnie kraj i mordując ludność.

Podobna zbrodnia nie może ująć bez pomsty. Cały naród domaga się ukarania Borysa i jego współników. Na ochotnika ściągają drużyny kmieci z okolic dotkniętych najazdem (*Kronika Baszka*). Choć wypadki, zachodzące równocześnie na Pomorzu, wymagają całej uwagi, a może i obecności Bolesława, książę polski zbiera swe drużyny, aby uderzyć na wschód.

Już jest rok 1136, bogaty w zdarzenia. Wśród nich jedno szczęśliwe i błogosławione:

Innocenty II odwołał bullę dotyczącą Kościoła polskiego, jaką sam ogłosił przed trzema laty. Poznawszy właściwy stan rzeczy, papież uznał pretensje magdeburskie za oszukańcze i mocą swego urzędu oddalił je raz na zawsze.

Władcy świeccy nie lubią odwoływać swych wyroków. Sądzą, że to uchybia ich powadze. Kościół, przeciwnie, nie waha się nigdy przyznać do błędu.

Zamknięty w izbie zamkowej Bolesław płacze z radości. Łzy spłukują narosłe w ciągu trzech lat gorycz i niewiarę. Bóg jest sprawiedliwy! I Kościół jest sprawiedliwy. Z miłością i skruchą Bolesław myśli o Ojcu Świętym, który pośpieszył naprawić krzywdę mimo woli wyrządzoną... Gniezno, czci-

godna stolico! Nikt ci już nie zaprzeczy opiekuństwa nad polskim narodem!

Po pierwszym uniesieniu nadchodzą refleksje. Skąd powstała krzywda mimo woli wyrządzona? Papież znał sprawę od strony niemieckiej, nie znał jej od strony polskiej... Nie mógł znać, bo nie było w Rzymie ani jednego człowieka, znającego dzieje zmagañ polsko-niemieckich w ciągu minionego półtora wieku... Co by się stało, gdyby zabrakło mądrego prawnika, Jakuba ze Żnina, cieszącego się powagą, umiejącego wywód prawdy przeprowadzić i słuszności niezbitcie dowieść... Strach pomyśleć, co by się stało...

Osobiste doświadczenie Bolesława, nauki Ottona, ostatnie zdarzenia, budzą myśli dawniej Krzywoustemu nie znane, nie przeczuwane... Gdyby miał czas przed sobą (kończy pięćdziesiąt lat, nie taki znowu wiek, ale ostatnio czuje się czegoś bardzo stary), gdyby miał czas, począłby rządzić inaczej...

## FALA OBMYWA OKRĘTY

Chromy (kulał od małego, temu zawdzięczał przydomek) był niegdyś cieślą okrętowym w Szczecinie i dobrze mu się wiodło. Na swe nieszczęście pobił raz starszego cieślę, którego dziewierz był kumem jednego z rajców grodzkich. Że cieśli nie brakło, a rajcowie są wielce czuli na obrazę, Chromego wygnano z grodu. Wzruszył ramionami na taką niesprawiedliwość, wziął za pas topór, do worka włożył skublicę, czyli dłuto, strugałkę, młot ciężki, drewniany, świder i ruszył od Dąbia na wschód, w puszcze bukowe, ciągnące się od Odry do Parsęty. W pobliżu tej rzeki, na pięknej suchej polanie zbudował chatę, wydrążył porządne czółno, pojął córkę bartnika za żonę i żył spokojnie, rad, że mu nikt nie przewodzi. Synów dochował się dwóch; działo się to dawno. W roku 1122 chłopcy były już pod wąsem.

Zdarzyło się wtedy, że stare, dobre czółno Chromego zabrała wiosenna woda. Rzeka podniosła się nagle i porwała je wraz z drzewem, do którego było przywiązane. Chromy kłął, bez czółna człowiek jak bez ręki. Niewiasta od dawna skwierczała, żeby płynął do Kołobrzegu po sól. Miał też co nieco skórek bobrowych i kunich na zbyciu. Czymże je zawiezie? Trudna rada, trzeba pomyśleć o nowym czólnie. Podczas gdy synkowie obsiewali rolę, on chodził po borze, upatrując stosownego drzewa. Ważna rzecz wybór. Od niego zależą przyszłego czółna chyżość, odporność, stateczność. Musi być dębina prosta, ani sękata, ani wichrowata, ani piorunem osmalona.

Drażono czółna nie tylko w dębowym drzewie. Wtedy wybór był łatwiejszy, robota lekka, bo topór sam szedł jak w masło. Ławki, skrzynie na ryby, dulki na paczyny wyrabiano w tym samym pniu. Wszystko z jednego kawałka. Lecz Chro-

my, z młodości przywykły ciosać dębinę, przytaczał szydliwie przysłowie, że lipowym czółnem dziewczkę młodemu wiozą, a jodłowym umarłych na żalnik spławiają. Niby że lekkie to, poręczne, ale tyle ma właśnie mocy, co dziewczka albo umarły. Dębina, choć ciężka, twarda do obróbki, odpłaci czas zmitrężony, bo wszystko wytrzyma, a im łódź starsza, tym lepsza. Jużci co partacz i z dobrego drzewa zrobi czółno chybotliwe, wywrotne, które po wodzie sunie jak świńskie koryto, ale Chromy partaczem nie był.

Natomiast inna pojawiła się przeszkoda. Stary kuśtykał wzdłuż brzegu w górę i w dół, a co który dąb widział mu się samoprawie, nie za gruby, nie za cienki, to na pniu białało ciosno, a na ciośnie klejmo książęce wypalone. Książęce klejmo! Taki dąb ściąć, to lepiej od razu własną głowę na pieńku położyć... Kiedy tyle drzew nacechowano? Widocznie zimą, gdy od Chromych nikt nad rzekę nie zachodził, byli tu ludzie książęcy i wiernik, który wybierał i znać...

Drapał się cieśla markotnie w siwiejące kudły, nie wiedząc co począć. Dalej od rzeki gęstwina była nieprzebyta, a jeszcze dalej, oho... Wszak nie tylko zalety drzewa i dogodne położenie kierowały wyborem. Zachodziły tu sprawy ważniejsze. Chromy, którego nie owionęła jeszcze wiadomość o nowej wierze, oddawał cześć dębom, podobnie jak jego dziady i pradziady. Dęby według pojęć tego ludu bywały siedliskiem bogów. Bogowie ulubili sobie ich wyniosłość i krzepkość, nad które na ziemi nie masz nic trwalszego... Starodawny obyczaj pozwalał ludziom ścinać dęby, rosące na skraju boru, niezbędne na budowę chaty albo czółna. Lecz rosące w głębi puszczy, na polanie zieleniejącej niby oko wśród lasów, pojedyncze dęby – mocarze – są święte. O ich chropawy pień jelonek może do woli trzeć odrostki rogów, kiedy go swędzą na wiosnę. Cietrzew niech sobie tokuje między gałęziami, na konarach niech się czai ryś, niech w dziupli nocuje puchacz, niech dziki wołoko ryją murawę, wyjadając zeszłoroczne żołędzie – bogom to nie wadzi. Lecz człowiek niech się nie waży przychodzić tutaj z toporem.

Wiedział o tym cieśla, tym bardziej złościł się i kłął, napoty­kając nad rzeką ciosna na każdym sposobnym drzewie. To już wszystka dębina do księcia należy, a ubogi siedlak nie ma z czego czółna wypalić?

Złość budzi zuchwałość. Któregoś dnia Chromy powiada do synów: – Ani wszystkich drzew nie zrachowali, ani ubytku spostrzegą. Uwiniem się skoro, a zetniem tego dąbczaka.

Starszy syn, po ojcu zwany Chromik, przywodził ochoczo. Młodszy ślepią wytrzeszczył i milczał. Dzieckiem lał na drzewo do barci, zleciał z wysoka i mózg sobie utrząchnął. Odtąd zwano go Niezgułą. Robotny był, ale gapiowaty.

Natrudzili się do ósmego potu, rąbiąc bez wytchnienia, tuż przy samej ziemi. Niezguła pilnował nad rzeką, czy jaka łódź nie nadpływa. Utrapienie było ze spuszczeniem dębu, żeby padając nadto drzew nie pogniótł, bo połamany gaj zdradzi. Ostatecznie wszystko poszło szczęśliwie. Pnisko ziemią zasypali, konary obcięte sprzątnęli, nie zostawili ani jednego wiórka, ani jednego kłapcia kory. Sam odrąbek pchnęli z wysiłkiem dalej, okrągłaki podłożyli, żeby wilgoci nie ciągnął, na kozłach, z dragów daszek nad nim ze świerczyny upletli, od deszczu i śniegu chroniący.

Leżał tam sobie ścięty dąb dostojnie, niby witeź, czy kneź jaki, i przesychał. Powinien tak schnąć w cieniu ze dwa lata, ale Chromemu pilno było do czółna. Postanowił, że rok starczy. Rok minął. Nowe lato już się panoszyło, kiedy stary z chłopcami wziął się do roboty.

Dąb nieźle przesechł, zasypany pień zarósł do niepoznaki odrostkami dębowymi i trawą. Zbyli się lęku. Jeżeli teraz chwyci ich kto przy robocie, powiedzą: Będzie już dwa roki, jak wyłowilim tego dąbka z wody. Powódź go przyniosła. Par­trajcie, że całkiem suchy...

Wyciągnęli kłodę z gąszczu, zepchnęli ją na wodę przytrzymując bosakami. Chromik na nią skoczył: kiwała się z boku na bok. Niedobrze. Stary kazał chłopcom przewrócić drzewo na drugą stronę. Teraz choć oba chodzili po kłodzie, ugiwała się tylko lekko, nie chybcząc wcale. Hej, czółno to będzie,

czółno! Chłopcy zeszli na brzeg, ujęli bosaki. Stary zadowolony wlaź na ich miejsce, naraz jak się pochyli i jak nie wrzaśnie: – Lelum! Lelum! – Chyba utopca zobaczył? Gorzej niż utopca: Choć korę zdarli przed rokiem, choć drzewo ściemniało, klejmo wypalone, wodą obmyte, dotąd było widoczne na miazdze. Zamachnął się stary toporem, odłupał płat drzewa z tym znakiem obrzydłym, rzucił Niezgułę: – Zniszcz to, a chyżo, żeby śladu nie było.

Teraz toporem naznaczył, dokąd się kłoda zanurza i znów ją wyciągli na brzeg. Pospieszali z pracą, bo złe nie śpi. Chromy przypuszczał, że książęcy dopiero zimą po lodzie przylecą spuszczać nacechowane drzewa.

Już wypalili całe wnętrze kłody, wyskrobali węgle. Stary skublicą suwał, drażąc kształt właściwy. Chromik według wskazówek ojca dziobał boki, a Niezguła był na posługi. Dobrze im szło, oni kuli, dzięcioły na drzewach kuły, kukułki wróżyły... Oj, niedolę wróżyły, bo któregoś ranka wychynęła zza zakrętu łódź, a w niej czterech zbrojnych. Przybili, aż zaszumiało. Jeden, co był w półpancerzu, wyskoczył pierwszy na brzeg, jak nie praśnie Chromego w zęby, poprawił raz i drugi, stary się zatoczył, padł, ten mu z wrzaskiem tka pod nos namokły strzęp drzewa, na którym... klejmo książęce...

To Niezguła, kiedy ojciec rzekł: zniszcz, żeby śladu nie było – miał spalić czy zakopać, cisnął strużynę do wody. Przez to, że dzieckiem z barci zleciał i mózg sobie utrzachnął...

Wojak w blasze krzyczy, znęca się nad starym, pozostali biją chłopców, związali ich jak barany, rzucili na ziemię. Stary zamknął oczy, wcisnął okrwawioną gębę w trawę. Rozumiał, co się stało. Płynął ten opótek, płynął w dół, aż ktoś – zaraza, wyłowił i wiernikom książęcym pokazał... Szukały sprawcy, aż znalazły. Chromik zaciał się i milczy, a może go już ubili. Niezguła jęczy i szlocha. Dzięcioły kuja, wilgi fiukają. Kukułka znów kuka... Umierać to umierać... Wnet ich powiązanych do wody rzuca albo na gałęzi obwieszają... ot dola... Krzyki jakoś przycichły. Stary zezem spoziera ostrożnie z trawy. Drużynnik w blasze ogląda zaczęte czółno.

– Twoja robota? – pyta, kopiąc nogą starego pod żebro.

– Moja – odpowiada Chromy.

Nie zapiera się. Ubiją ich, cokolwiek by powiedział.

– Cieśla jesteś?

– Ano.

– Jednodrewkę wydłubać lada kiep potrafi. Łodzi to byś nie zładował?

– I okręt zładowałbym! – mamle stary przez wybite zęby.

– To czego w boru siedzisz i książece dobro kradniesz?!

Nie wie stary, co odrzec, więc milczy. A niech już raz powiesz nie dręcząc, i zbyte. Wiernik (bo to wiernik był) medytuje, ciągnąc długie wąsy. Potem bardzo srogo rzecze:

– Czólno kończyć chybko. Z książecego drzewa, do księcia należy. Strażnika zostawię, żeby was pilnował i z czółnem przed księcia na sąd przywiódł... Książęce dobro zrabowałeś, psichwoście! – wrzasnął jeszcze i kopnął Chromego, aż w starym wąpiau zagrały. Po czym ruszył do łodzi z dwoma zbrojnymi, a jeden został. Zawrócili w dół rzeki, odpłynęli.

Pobici nie śmieli się ruszyć. Bolała ich każda kość, każde ścięgno, każde włókienko ciała. Ale żyli! Nie utopiono ich, nie obwieszono... Żyli!

– Słyszeliście?! Wstawać i do roboty! – wydzierał się strażnik, od dziś ich dozorca.

Rozwiązał ich. Podźwignęli się z trudem, spuchnięci i posiniaczeni. On usiadł na ziemi i zażądał jeść. Wyciągnęli z krzaka garniec kwaśnego mleka i bochenek chleba. Wojak cmokał wargami, wziął garniec między kolana, chleb rozłupał na dwie części, chlebem wybierał mleko i jadł. Zećpał wszystko, co miało wystarczyć dla trzech na cały dzień. Zjadłszy czknał, uwalil się na trawie i zaraz zachrapał. Muchy laziły mu po wąsach, wysysając resztki twarogu.

Widząc, że na dobre zasnął, Chromy z Chromikiem podsunęli się do Niezguły i wiele mieli sił, zaczęli go prac. Jego szczęście, że tych sił im brakło. Uchyłał łba, jęczał, ale się nie bronił, czując, że jest winien. Kiedy osłabli, kazali mu biec do domu, powiedzieć matce, co zaszło, przynieść chleba, mleka,

piwa, sera, placków, inaczej oni skapieją, a ten gad zbrojny oszczepem ich żgnie... Choć z nich trzech najgorzej pobity, powlókł się Niezguła, chlipiąc i siąkając nosem. Wojak chrapał. Ojciec z synem układli się również i zasnęli, cierpiący i głodni.

Spieszyli z robotą, choć strażnik nie nalegał wcale. Przeciwnie, chwalił sobie pobyt. Jadł za trzech i spał, nic nie robiąc, a to dla żołnierza najmiłsze. Lecz Chromy siebie i syna poganiał, domyślał się, że książe potrzebuje ludzi do obróbki nacechowanego drzewa... Dobremu cieśli daruje winę, kiepskiego obwiesić każe. Przypomniawszy więc sobie wszystko, co umiał, i wycackał, jak mógł, czółno, żeby się księciu udało.

Dnie już były kuse, kiedy spłynęli w dół rzeki: cieśla Chromy, jego syn Chromik i strażnik. Niezguła został przy matce, bo od czasu owego pobicia kwękał i nie mógł wydobrzeć. Nie dopływając do Kołobrzegu, w zakolu rzeczonym ujrzeli mrowie robocze. Dziesięć kadłubów okrętowych w budowie stało na brzegu wsparte podporami, a cieśle kręcą się przy nich. Drugie tyle statków już gotowych, tylko jeszcze bez zaopatrzenia, kołysało się na wodzie kołacząc o siebie bokami, kiedy je fala zetknęła. Czekwały na wykończenie, na maszt jodłowy, na dziób w piękne godło rzeźbiony, na ławy, ster, na osłony dla wiosłarzy w razie bitwy. Opodal kamieniarze obrabiają kotwy. Nie te pospolite z kamienia przebitego otworem na powróż, lecz nowomodne z krzyżaków dębowych obciążonych stożkiem kamiennym, wszystko razem mocno oplątane liną. Robotnicy zwijają się żwawo, bo wiernik książący (ten sam, co przydybał Chromych) stoi na belce i patrzy, czy nikt nie próżnuje. Wokół zakola powstała cała osada, a to kołodzieje wyginający dębinę na wręgi, a to smolarze mieszający smołę z pierzem lub wełną do uszczelniania boków statków, a to powroźnicy, a to tkacze. Całkiem nowe podgrodzie, tyle że od grodu odległe. Są i kowale kujący haki do bosaków. Nic więcej, bo do budowy okrętów nie lza używać żelaza. Woda i drzewo żelazu przeciwne. Do przybijania klepki używa się kołków z miękkiego drzewa, rozklinowanych po wbiciu kawałkiem dębiny.



Strażnik powiódł Chromego z synem do wiernika. Onże poznał ich od razu. Fuknął, że zbyt wiele czasu zmarnowali, zeszedł nad rzekę oglądnać czóino i zaraz posłał obu do roboty przy zaczętych statkach. Na odchodnym pogroził im jeszcze księciem i sądem, ale już nie bali się wcale.

Tak oto cieśla Chromy i syn jego, przezywany po ojcu Chromikiem, zostali wciągnięci bezwolnie w dzieło podjęte przez księcia Racibora na żądanie Bolesława Krzywoustego księcia polskiego, który zapragnął mieć Polskę silną na morzu. Trud mięśni starego i młodego cieśli, zmysłność ich działania, przyczynią się do zrealizowania tej wielkiej sprawy, mającej i dla nich znaczenie, lecz obaj o tym nie wiedzą i nigdy się nie dowiedzą.

Krzywousty nie mówił niczego na wiatr. Pamiętał rozmowę prowadzoną niegdyś z młodym Raciborem, zakładnikiem. Nie zapomniał również uroku, jaki nań rzuciło morze przed laty, gdy pobity odchodził spod Kołobrzegu, przysięgając sobie, że wróci zwycięski. No i dotrzymał. Posiadał Pomorze. Lecz każdy rok utrwał w nim przekonanie, że Polska nie będzie panią na własnych ziemiach, jeśli nie zawładnie morzem, i począł tworzyć armadę. Doskonałe narzędzie znalazł w Raciborze. Ten rzekł kiedyś żartem o sobie, że zostanie królem morskim i przydomek „król morski” przylgnął do niego na stałe.

Pomimo jednak zapału i środków, jakich nie szczędził Bolesław (topi miłościwy księżę skarb, topi... – wzdychał komornik krakowski), praca posuwała się wolno. Spędziwszy siła ludu, można niezły gródek wybudować w kilka miesięcy. Na stworzenie floty trzeba długiego czasu. Nie pośpieszysz, bo drzewo ścięte powinno wyschnąć, cieśle muszą deski parzyć i naginać, a to mozolna robota. Zresztą nie dosyć mieć okręt. Trzeba go obsadzić dobraną załogą. Rolników lub drwali, bojących się wody, wychować na żeglarzy. Toteż, podczas gdy topory stukały równocześnie w pobliżu ujścia Wisły, Parsęty, Dziwnej, Racibor na statkach wziętych od Warcisława ćwiczył

ludzi, uczył ich morza i wszystkich spraw jego, chytryści morskiej i zasadzek. Ochotników zgłaszało się wielu, zwłaszcza zza Piany, gdzie coraz ciężej było ludziom żyć. Racibor wybierał z nich samych najzdarniejszych. Po nauce żeglarsko-wioślarskiej przychodziła kolej na naukę walki. Boć nie do kupieckich wędrowek miały służyć one okręty, ale do boju. I nie minęło parę lat, a Duńczycy, Norwegowie i Szwedzi jęli się uskarżać na zbójckie napaści korsarzy słowiańskich, atakujących ich statki na morzu lub grody nadbrzeżne. Wszyscy kronikarze skandynawscy piszą o tym z oburzeniem, a to Racibor zaprawiał swoich ludzi do morskiego rzemiosła.

Dziesięć lat minęło od czasu, gdy cieśla Chromy został zagnany do budowy okrętów. Bolesław Krzywousty przeżywał w Merseburgu najgłębsze swe upokorzenie, zaś Racibor syn Świętobora, dumny i szczęśliwy, zarządził dla wszystkich swoich pracowników odpoczynek i uctowanie. Dzieło wieloletnie było zakończone. „Król morski” dowodził flotą złożoną z czterystu wyposażonych w sprzęt i ludzi statków i rozglądał się za sposobnością wypróbowania jej zalet bojowych.

Długo nie czekał. Polityka cesarza Lotara owocowała, le-dwo zaszczipiona. Gdy księżęta duńscy, obecni na zjeździe merseburskim, powiedzieli swemu królowi Erykowi Emmune o złożeniu przez Bolesława hołdu z wyspy Rany, Eryka mało zła krew nie zalała. Przysiągł, że nie dopuści do wylądowania Polaków na wyspie, do której on tylko ma prawo. Pieniądze wypłacone przez Bolesława jako danina z Rany (za dwanaście lat! Ha! Ha! Ha!) księżę polski może uważać za stracone.

Oburzenie króla podziela metropolita Asger. Dania, nie kto inny, posieje Słowo Boże na pogańskiej niwie wyspy. Rana dawno jest włączona do ziem metropolii Lund.

Aby okazać Bolesławowi, kto na morzu panem, Emmune postanawia nie mieszkając uderzyć na wyspę.

Powiadomiony o tym Racibor naradza się z bratem, co czynić? Posyłać do Bolesława po rozkazy? Nim goniec wróci, Duńczycy mogą już być tutaj...

– Czyń jak chcesz – odpowiada Warcisław zniechęcony. Zatarg Bolesława z Danią na pewno na nim się skrupi. Król duński i tym razem nie zdobędzie Rany, lecz nie omieszka spustoszyć grodów pomorskich... – Pytasz, co począć? Masz statki, czuwaj na morzu!

Racibor, urodzony dowódca, powiada:

– Morze – szeroki gościniec, łatwo się na nim rozminąć... Będę strzegł Dziwnej, król zaś pójdzie na Kołobrzeg lub Wołogoszcz... Jeżeli wszędzie zostawię część sił, a Eryk uderzy całą mocą w jedno miejsce, moi nie zdzierżą. Utracę okręty i sławę.

– Cóż więc zamierzasz? – pyta Warcisław zaniepokojony, że brat odpłynie z flotą do bezpiecznego Gdańska, zostawiając go samego.

– Po mojemu – odparł Racibor – trzeba ich najazd uprzędzić.

W końcu września 1135 roku „król morski” rozbił duńską flotę, płynącą ku wyspie Ranie, wszedł śmiało w cieśninę między Szwecją a Zelandią i spadł jak jastrząb na niespodziewające się napaści Roskilde. Stolica duńska została doszczętnie zniszczona.

Zuchwały najazd wstrząsnął światem skandynawskim. Dowód tego dają ówczesne kroniki: „Anno 1135 Roskyilde devastata est a Sclavis” – piszą *Annales Ludenses*, „Roskild deuastata a Slauis” – notuje *Chronicon Danici* pod datą 1135; *Annales Waldemariani*, *Annales Nestredienses* i *Annales Sorami* powtarzają: „Roskilde zniszczone zostało przez Słowian. Zburzono również zamek Haralda w Roskilde” (co znaczy, że Pomorzanie zdobyli nie tylko miasto, lecz i gród).

W drodze powrotnej Racibor stoczył parę pomyślnych utarczek z okrętami królewskimi, zdążającymi na odsiecz i powrócił do Kamienia. Bogate łupy zabrane z Roskilde rozdał wojom i załogom na zachętę i dobry początek. Był szczęśliwy. Eryk nierychło pojawi się na naszym wybrzeżu – zapewniał brata, który milczał, jak gdyby odniesione zwycięstwo było dlań rzeczą obojętną. Warcisława trapiły ostat-

nio złe przeczucia, czy ukryte kłopoty, o których nie mówił nikomu. Otoczenie widziało, że książę od jakiegoś czasu chodzi frasośliwy, ale przyczyny zmartwienia nie znano. Nie poznano jej i później, gdy na początku 1136 roku książę pomorski Warcisław, mąż w pełni sił, zginął zamordowany we śnie w gródku Słup (Stołp) nad Pianą. Zabójcy nie udało się odnaleźć. Jedni przypisywali zbrodnię pobudkom politycznym, inni osobistej zemście (Warcisław był jurny, lubił popaśnice i na tym tle miewał nieprzyjaciół), kronikarze domyślali się ręki pogańskiej.

Doznał on niemałego oporu, ze strony tych, co przyjęli Ewangelię z niechęcią i dla pozoru, od nich też został ostatecznie i zdradziecko zamordowany, w czasie snu, we wsi Stołp nad Pianą... (Kantzow, *Pomerania*).

Warcisław pozostawił dwóch nieletnich synków, Bogusława i Kazimierza. Starszyzna pomorska ogłosiła Racibora opiekunem małych książąt, co Bolesław Krzywousty jako suweren zatwierdził. Swobodny dotychczas „król morski” został Wielkim Księciem.

Krzywousty zmianę na tronie pomorskim poczytywał za korzystną. Warcisławowi nie wierzył, twierdząc uparcie, że ten chytrek zdradzi go, gdy tylko zdarzy się ku temu okazja, Raciborowi zaś ufał. Było to szczególnie ważne obecnie, kiedy w związku z zamierzoną wyprawą ruską zachodnie ziemie Polski znajdują się огоłocone z sił wojskowych. Na Raciborze spocznie obowiązek obrony Polski i własnego księstwa.

Bolesław wezwał zięcia-regenta do Gniezna i uradzali nad położeniem. Eryk duński, pałający gniewem za zniszczenie Roskilde, zechce niewątpliwie wykorzystać wojnę ruską, by uderzyć na wybrzeże... Do Eryka dołączy się zapewne Albrecht Niedźwiedz... Albrecht, bestia przekłeta!... – Bolesław zwierzał pięści z pasją, wzburzony wiadomościami, jakie go ostatnio doszły z Niemiec.

Niestrudzony cesarz Lotar motał tam nadal swe dalekosiężne nici. Jako odszkodowanie dla biskupstwa bamber-

skiego za straty poniesione wskutek podróży apostołskich biskupa Ottona, ofiarował tamtejszej kapitule dochody z ziem należących (rzekomo) do margrabiego Albrechta. Odnośny dokument brzmiał:

...za zgodą i odstąpieniem nam swych praw przez naszego wiernego margrabiego Albrechta do ziem, jakie jego marchia (na co posiadamy dowody) obejmuje granicami, mianowicie: Groświn wraz z Rochowem, Leszany, Międzyrzec i Sitne oraz Trzebież – podoba się nam ziemie te przekazać naszemu najdroższemu Ottonowi i przyszłym biskupom bamberskim (Hasselbach, *Codex Pomeraniae*).

Czytelniku, spójrz na mapę, a pojmiesz wzburzenie prostopolinowego księcia polskiego. Wymienione w powyższym akcie grody i obszary, Trzebież, ziemia rochowska, Leszany, Międzyrzec, Groświn, czyli dziedziny Wkrzanów i Wioletów, nie sąsiadowały zgoła z posiadłościami Albrechta Niedźwiedzia! Od czasów wyprawy Krzywoustego na Odrę, w roku 1121, i późniejszego wypadu Warcisława na ziemię wieleckie w roku 1128 (gdy to biskup Otton zdjęty litością wykupywał od niego jeńców) – wchodziły one w skład księstwa pomorskiego. Lotar przyjąwszy od Krzywoustego daninę z Pomorza, uznawał tym samym jego prawa posiadacza. Granicę zachodnią Pomorza stanowiła rzeka Piana. I ten sam cesarz, w niecały rok później, oddawał szereg grodów pomorskich biskupstwu bamberskiemu, zaznaczając, że czyni to za zgodą ich właściciela margrabiego Albrechta! Cóż to znaczyło? Złośliwy żart w rodzaju Zagłobowych Niderlandów? Bynajmniej. To były dalekowzroczne plany. Dla margrabiego i cesarza owładnięcie ujściem Odry stanowiło cel jutrzejszego podboju. Niewiarogodny dokument, pozbawiony na razie wszelkiego praktycznego znaczenia, spocznie w archiwum cesarskim i doczeka chwili, gdy czas nada mu szacowność; gdy, w braku zaprzeczenia, stanie się dowodem, iż ofiarowane Bambergowi ziemie stanowiły iście własność margrabiego... Imię szlachtetnego, bezinteresownego Ottona, wplecione

niby szyderstwo w kłamiwą tkaninę, podkreślało obłudę donacji.

– Nie lza tego ścierpieć! – burzył się Bolesław. – Trza by iść tam i przypomnieć całemu światu, czyje są te ziemie. Albrechtowi odjąć ochotę do łgarstwa! Nie masz pilniejszej nad to sprawy! Cóż pocznę? Kiedyś trzymały mnie Węgry, teraz Ruś... Bodaj niemieckich mataczy piekło pochłonęło!

Racibor uspokajał teścia.

– Niech lżą, wiele chcą, prawdy nie odmienia. A pobijecie Ruś, przyjdzie kolej na Albrechta... Póki, dam sobie radę. Albrecht bez Eryka nie uderzy, okrętów nie mając, a Erykowi gdyby się ruszył, przypomnę Roskilde...

W parę miesięcy później poselstwo Ranów przyniosło Raciborowi wiadomość, że Eryk Emmune gromadzi siły morskie duńskie, norweskie i szwedzkie, by zdobyć wyspę i najechać Pomorze. Ranowie ofiarowywali Wielkiemu Księciu przymierze, co Racibor chętnie przyjął. Cnoty bojowe Ranów były znane, a ich ściśle lekkie statki mogły być cenną pomocą. Wierny swej taktyce wyprzedzania zamysłów nieprzyjaciela, Racibor na czele floty polskiej i rańskiej wyruszył na morze.

Konungahela, wielkie miasto portowe nad ujściem rzeki Götaelf, na pograniczu Szwecji i Norwegii, przypominało Wolin z czasów największej świetności słowiańskiego grodu. Bogałe targowisko międzynarodowe, odwiedzane licznie przez kupców greckich, ruskich, niemieckich, italskich. Przed kilkunastu laty miasto przeżyło okres zabobonnej trwogi. Wściekły wilk, wpadłszy do grodu, pogryzł wiele psów, które wściekły się również, pokąsały swoich panów i ci wściekli się z kolei. Widziano ich biegnących przez miasto z pianą na ustach, krwią w oczach i sztywnym karkiem, rzucających się na każdego spotkanego... Posądzono ich o wilkołactwo i taki strach padł na Konungahelę, że połowa mieszkańców uciekła. Przez dłuższy czas kupcy bali się przyjeżdżać i gród upadł znacznie. Wówczas król norweski Sigurd, zdjęty litością nad tym zubożeniem, wznosił w mieście kościół pod wezwaniem św. Krzyża i obdarzył relikwią, jaką przywiózł z Ziemi Świętej,

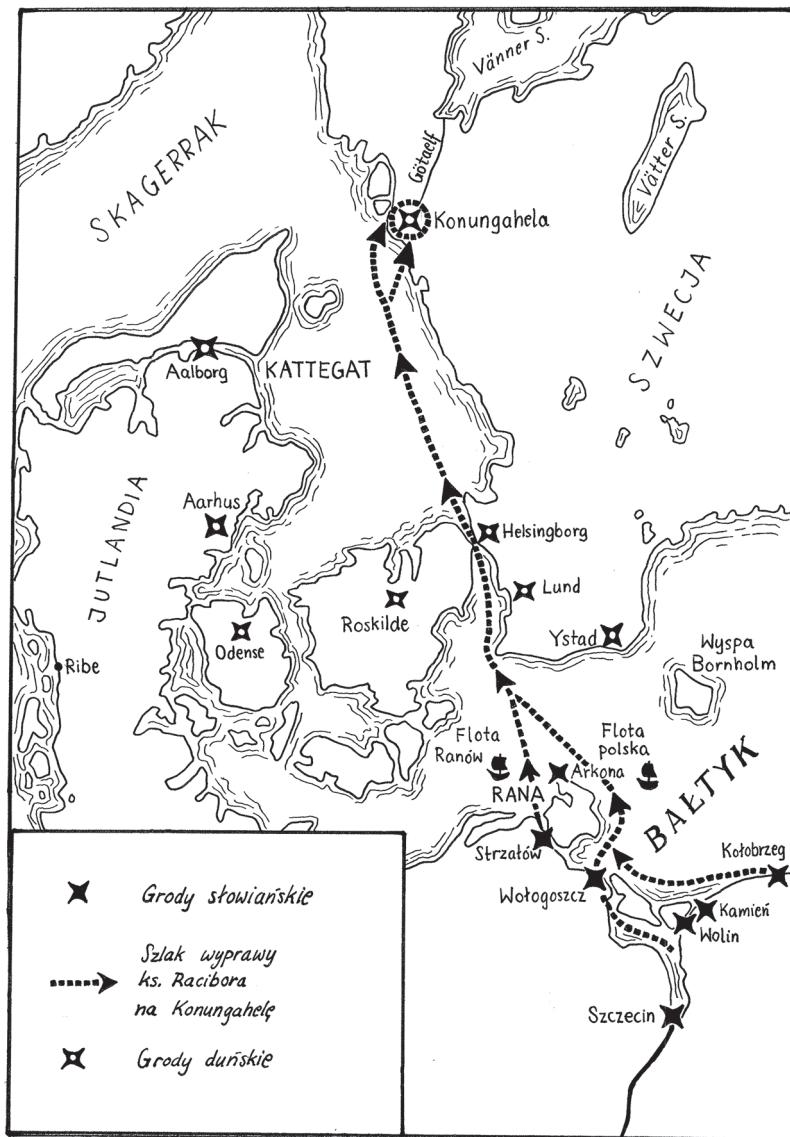
mianowicie drzazgą Prawdziwego Krzyża oprawioną w złoty relikwiarz. Kościołowi darował również płytę spiżową złoczną, wysadzaną drogimi kamieniami, otrzymaną od greckiego cesarza, i księgę „plenarium” pisaną złotem, dar patriarchy bizantyjskiego.

Z przybyciem relikwii ustąpił zły czar, ciężący nad miastem. Wilkołacy przestali straszyć po nocy mieszkańców. Kto uciekł, powracał tłumnie. Przebyte łęki już nie odsuwały, ale przeciwnie, przyciągały obcych, ciekawych tej opowieści. Miasto w krótkim czasie nie tylko odzyskało dawne bogactwo, ale powiększyło je znacznie. Niestety, niedługo to trwało. Współczesny tym wypadkom kronikarz skandynawski, Snorre Sturlason, w dziele zatytułowanym *Heimskringla* [Okrąg świata] pozostawił opis upadku Konungaheli:

Król duński Eryk oraz arcybiskup Asger przysłali wiadomość, że Słowianie są w drodze z wielką wyprawą, bijąc i odnosząc ciągle zwycięstwa. Grodzianie bezmyślnie nie zartoszcyli się o to, zapominając tym więcej, że czas upływał...

Tymczasem w dniu św. Wawrzyńca [10 sierpnia 1136 roku] w czasie sumy podpłynął pod Konungahelę król słowiański Racibor, wiodąc sześć i pół seciny statków. Na każdej łodzi mieściło się czterdziestu czterech zbrojnych i po dwa konie. Dunimysł nazywał się siostrzeniec króla, Unibor był wojewodą. Ten prowadził ze sobą wielu ludzi. Dwaj wojewodowie wpłynęli we wschodnie ramię rzeki [Götaelf]... i podeszli pod samo miasto. Reszta stanęła w zachodnim ramieniu rzeki. Przybili do lądu przy palach portowych i wysadziwszy na ląd konnych, kazali im okrążyć miasto od strony Bratsas... Einar zięć Andrzeja [kanonika, proboszcza od św. Krzyża] wszedł do kościoła, gdzie naród był zebrany na sumie, i oznajmił, że do miasta zbliża się wojsko na wielu łodziach, a liczna jazda pojawiła się od Bratsas. Ludzie orzekli, że konnicę prowadzi król Eryk, który im zapewni pokój. Wielu jednak pobiegło do miasta pilnować swego dobytku, a uzbroiwszy się zeszli na pomost. Tam spostrzegli, że to nadciągnął wróg z nieustraszoną armią. Przy pomocy stało dziewięć statków kupieckich ze wschodu, naładowanych towarami. Słowianie przybili do

## Wyprawa morska księcia Racibora na Konungahela w roku 1136





nich. Kupcy bronili się dzielnie, zanim ulegli... Mieszczanie, patrzący z pomostu, uciekli do miasta, a stamtąd do grodu. Ludzie pobrali swe kosztowności... Solweig [żona proboszcza] z córkami oraz inne kobiety zdołały ująć na wieś... Słowianie wysiedli na ląd. Jedni skoczyli do miasta, drudzy rzucili się na statki kupieckie. Wyciągali wszystko, co mogli zabrać ze sobą. Potem spalili statki i podłożyli ogień w mieście... Po czym wszyscy obiegli gród [cytadelę, zamek].

...Solweig przybyła do Solbjargu i opowiedziała, co się dzieje w mieście... Tedy wycięto wojenną strzałę i posłano do Skurbargi, a tam wielu biesiadników siedziało przy uczcie... Olwer o szerokiej gębie wyskoczył, chwycił tarczę, hełm i wielki topór... – Chodźmy na pomoc – wołał – bo zdałoby się haniebne brzuchy tu piwem napępiać, gdy zacni mężowie są w niebezpieczeństwie... Wielu odpowiedziało, że w ten sposób znajdują śmierć, a mieszczanom nie pomogą... Olwer rzekł: Pójdę sam. Pobiegł do miasta...Otoczyli go poganie. Zabił sześciu, a sam pozostał nieruchomy w fosie. Dwu naczelników, Sigurd syn Gyrda i Sigard, nadeszli z sześciuset ludźmi do Skurbargi. Tutaj Sigurd zawrócił z drogi z czterystu ludźmi (mało go później szanowano i niebawem zmarł), Sigard zaś z dwustu udał się do miasta i walczył tam z nieprzyjacielem i poniósł śmierć ze wszystkimi swoimi ludźmi...

Słowianie, zdobywszy port, obiegli gród, który był bardzo obronny. Całe miasto płonęło, tchnąc na zamek oraz oblegających dymem i żarem. Proboszcz Andrzej zachęcał swoich do mężnej obrony. Przy proboszczu walczył jego wychowanek, Jan Lobston, który następnie, jako naoczny świadek, przekazał kronikarzowi Snorremu przebieg okrutnego najazdu:

Grodzianie bronili się włóczniami, następnie miotali kamieniem... Potem rzucali bierwionami, gdyż nieostrożnie wyżyli się w pierwszej walce strzał i kamieni... zauważywszy, że zmniejsza się zapas bierwion, zaczęli dzielić każde polano na dwoje. Z obu stron wiele było zmęczenia i ran...

Choć walka zacięta trwa, Unibor zwraca uwagę księcia na rozszczępiane polano, dowodząc, że oblężeni nie mają już broni.

...Król [Racibor] ofiarował obleżonym pokój. Mieli oni zatrzymać swoje obleczenie i wszystko, co zdołają unieść.

...gdy padł Semund Matrona [dowódca załogi], pozostali uradzili... przystać na poddanie grodu. Była to bardzo zła rada, gdyż poganie nie dotrzymali słowa. Wzięli w niewolę wielu mężów i kobiet, wielu też zamordowali... Wdarli się do kościoła św. Krzyża i ograbili... Król Racibor oddał proboszczowi Andrzejowi kościół i tabernakulum i Święty Krzyż, płytę carogrodzką z ołtarza i księgę pisaną złotem oraz czterech księży. Poganie mimo to podpalili kościół i domy w grodzie.

Racibor rozgniewany rozkazał pożar ugasić, lecz gdy zeszedł ze starszyzną do portu, poganie:

...przebili dach kościoła, rzucili do środka płomień i spłonął cały gmach.

...gdy jeńcy zastali wykupieni i wrócili do Norwegii do dobra swojego, mniejszego już zażywali dobrobytu. Wielki port handlowy Konungahela nigdy nie wrócił do takiego stanu, jak przedtem...

Flota polsko-rańska powraca do kraju. Fale zmywają krew zaschlą na burtach. „Król morski” Racibor, choć zwycięzca, jest markotny. Nie powinien chrześcijanin sprzymierzać się z poganami przeciw chrześcijanom... Nie powinien! On, wódz, obiecał mieszczanom norweskim życie i mienie, a rozwścieczeni Ranowie rzucili się na bezbronną gromadę, jednych zabili, innych wciągnęli na swe statki jako łup... Wstyd! On sam, książęcem mieczem musiał bronić świętej Drzazgi Krzyża przed poganami, zneconymi złotym relikwiarzem... Zabronił tknąć kościoła, a oni weszli przez dach i podpalili wnętrze. Gdy spostrzeżono dym, za późno było ratować. Kościół spłonął. Racibor czuje się rozdarty między pobratymstwo krwi a pobratymstwo wiary. Które ważniejsze?

Różne myśli snują się po głowie wodza, gdy patrzy w roztocz morską, słuchając gadania fal. Na widnokregu nie pojawiają się żagle niczyje, od majaczących w dali wysp nie odbijają okręty. Na jak długo starczy postrach, wywołany wkroczeniem nowej morskiej siły? Wiele czasu pokoju zapewni?

Postrach niemały. O zniszczeniu Konungaheli głośno będzie w całym świecie. Zdumieją się grody ruskie, greckie, gdy niedobitki załóg korabi kupieckich powrócą do swoich. Pono nigdy jeszcze cudzoziemska flota nie wdarła się w ujście rzeki Götaelf... Miejscowe walki skandynawskie toczono tam nieraz, lecz nie było obcej inwazji... Dania przestała być wyłączną panią na Bałtyku. Czerwone żagle osłabną w swojej bucie... Przeciwstawiają się im nie korsarze z wyspy Wębrzy, lecz mocna książęca flota, która osłoni przed wszelką napaścią słowiańskie wybrzeże...

Mewy, zwiastunki ładu, polatywały, piszcząc nad zmarszczoną tonią. Wioślarze aż kładli się w ławach, radzi dopłynąć co rychlej do brzegu. Racibor cieszy się również. Zobaczy wnet żonę, dzieci... Każdy się cieszy, gdy wraca do domu. Nie powinno się palić domów niczyich. Słowo dom znaczy to samo, co pokój... Pokój? Powiadają, że w lata pokoju przygasa sława rycerska, przeto rycerzowi milsza ma być wojna. Racibor jest rycerzem, a pomimo to nie może się oprzeć myśli, że pokój byłby cenniejszy od sławy... Dziwaczna myśl, naszeptana przez falę, która obmywa okręty...

## ZMIERZCH POKOLENIA

Bolesław szalał na Rusi, uważając za swój obowiązek przykładowo ukarać najeźdźców. Wprawdzie Połowców, którzy srożyli się w Polsce, nie zastał („...złe sumienie mając, ukryli się wraz ze zwierzętami po lasach i kniejach...” [Kadłubek, *Kronika*]), lecz zdobył i spalił Włodzimierz, oraz spustoszył kraj. Jego wojsko odplacało, jak mogło, krzywdy Wiślicy.

...nie szczędzą miast, grodów, wsi, nie przebaczą nikomu... nie tyle nawet we krwi, ile w wyniszczeniu całej trzody [plemienia] szukając chluby... Mściwy miecz z jednej strony rozwartą pochłania paszczą... z drugiej płomień wszystko chłonący zamienia w perzynę... Na próżno tamujesz bieg strumyka, rzucając pierze, a u zacieklego miecza daremnie szukasz przebaczenia... (jw.).

Oczekująca Krzywoustego po powrocie wiadomość o zwycięskiej wyprawie Racibora na Konungahelę ucieszyła jego serce jako zapowiedź odmiany złej doli, co się go ostatnio czepliła. Odzyskał swój dawny zapał i natychmiast jął snuć plany wyprawy za Odrę, przeciw Niedźwiedziowi.

Nauczony doświadczeniem, Bolesław postanowił działać tym razem ostrożnie i przewidująco. Nim ruszy na zachód, musi upewnić się co do stanowiska Czechów. Pojednanie z księciem Sobiesławem, dokonane w Merseburgu, na żądanie cesarza Lotara, nie wydawało mu się dostateczną rękojmią. Wszczęto wzajemne układy, zakończone szczęśliwie porozumieniem. Czesi zrzekli się nareszcie pretensji do Śląska, starej polskiej dzielnicy, krwawiącej nieustannie od ich najazdów. W roku 1137 w Kłodzku zawarty został pomiędzy Sobiesławem czeskim a Bolesławem, księciem polskim, sojusz wieczystej braterskiej przyjaźni. Dość zwad, krwawych

wojen, wzajemnych napaści, krótkich okresów miru i przewlekłych swarów, powstających ilekroć zwada pomiędzy Polakiem a Czechem na rękę jest cesarzowi niemieckiemu. Sojusz, którego potrzeby nie dostrzegłby chyba ślepy, sojusz łączący dwa największe państwa słowiańskie, doniosłe to i wielkie zdarzenie.

Lotar, przebiegły mąciiciel, nie przeszkodzi już porozumieniu. Pociągnął z potężną armią do Italii przeciw „papieżowi z getta” i Rogerowi normandzkiemu. Jak zwykle, ilekroć przychodzi mu walczyć orężem, a nie chytrą ręką, Lotar ponosi porażkę. Antypapież Anaklet włada w dalszym ciągu połową Rzymu.

Roger II król Normanów połączył w jedno drobne księstwo normandzkie i jako wasal antypapieża włada państwem, sięgającym od Sycylii aż do Rzymu. Pod Salerno w bitwie z Rogerem Lotar traci połowę wojsk, a druga połowa szemrze. Cesarz decyduje się wracać do Niemiec, omijając Rzym, w którym Anaklet posiada silne stronnictwo. Już na granicy bawarskiej pochód wojsk zostaje wstrzymany, gdyż siedemdziesięcioletni cesarz czuje, że umiera.

Następcą swym mianował towarzyszącego mu zięcia, Henryka Pysznego, księcia saskiego, lecz zjazd książąt zbrany po jego śmierci nie uznał tego wyboru, podobnie jak niegdyś Lotar nie uznał woli Henryka V. Królem obrano Konrada Hohenstaufa, syna odrzuconego wówczas Fryderyka. Będzie panował jako Konrad III.

Pomiędzy Odrą a Łabą zgon Lotara wywołał zrozumiałą radość. Konsekwentny to był prześladowca. Od czasów Ottona I nie miało cesarstwo władcy, który by równie mocno wierzył, że ziemie słowiańskie są przeznaczone na własność niemiecką i wiarę tę czynem popierał. Radość była krótkotrwała, a nadzieja, że śmierć Sasa zmieni coś w położeniu Słowian – złudna. Lotar, umarł, lecz Albrecht Niedźwiedź żyje, a Henryk Lew, syn Henryka Pysznego, dorasta.

Natomiast wśród stronników prawowitego papieża Innocentego II śmierć Lotara budzi szczere przygnębienie. Któż te-

raz przywróci ład na Stolicy Apostolskiej? Król normandzki i kardynał Pierleoni zdają się być silniejsi niż kiedykolwiek. Nieugięty, płomienny Bernard, opat z Clairvaux, ujmuje sprawę w swoje ręce. On wprowadzi Innocentego II do Rzymu.

Wieczystą przyjaźń polsko-czeską zawartą w Kłodzku przypieczętuje uroczystość rodzinna. Władysław, najstarszy syn Krzywoustego, będzie ojcem chrzestnym syna Sobiesława. Jadą wspaniale do Pragi, Bolesław Włodzisławowic i Władysław Bolesławowic, wioząc bogate dary dla nowo narodzonego i jego rodziców. Władysławowi towarzyszy żona Agnieszka, córka margrabiego Leopolda z Austrii, przyrodnia siostra Konrada Hohenstaufa, świeżo obranego królem. Ta młoda kobieta, dotychczas nijaka, od chwili tego obioru odmieniła się zdumiewająco. Pycha z wywyższenia rodzinnego uderza z każdego jej gestu i mowy. Cedzi słowa wzgardliwie, jak gdyby sama była cesarzową. Polacy są w jej oczach barbarzyńcami, własny los małżonki polskiego księcia godny pożałowania. Wychwała głośno wszystko, co niemieckie, gani wszystko, co słowiańskie. Rycerze polscy i czescy, słuchając, trącają się drwiąco łokciami. Bolesław z trudem hamował gniew, patrząc na potulność Władysława, który ani śmiał poskramiać żonę, ani jej w czymkolwiek zaprzeczyć. – Tfu! mój następca... – wzdychał.

Władysław znakomity przywilejem pierworództwa... dumny, pomijając, że wystawny... tym smutniej postępował, czym rozkoszniej żonie ulegał... Niełatwo bowiem nad żoną utrzymać górę, gdy się jej raz panować pozwoli... (jw.).

Przez parę niedziel hucznie obchodzono chrzciny. Po powrocie Bolesław nie mógł, jak zamierzał, podjąć wyprawy przeciw Albrechtowi, ponieważ obłożnie zachorzał.

Zrazu lekceważył tę pierwszą w swoim życiu niemoc uważając ją za przemijającą, wynikłą z przydługiego biesiadowania i bezczynności. Choroba się przewlekała; przyszła rozdeszczona jesień. – Niech tę zgniłość ściśnie mróz, a zaraz

mnie słabość odejdzie – zapewniał ksiązę swoje otoczenie. Jesienne szarugi minęły, na dziedzińcu usłała się ponowa, mróz iskrzył wybieloną ziemię. Za oknami błyszczały sople lodowe, zwieszające się z dachu. Poprawa w zdrowiu nie nadchodziła. – Byle do wiosny – pocieszał się chory. – I tak bym zimą wyprawy nie czynił. Wiosną, ino mnie mokry wiatr owieje, skoczę na konia jak przódy... – Wiosna nadeszła, pękały lody na rzekach i pąki na drzewach. Powietrze stało się miękkie, wonne i upajające... Wróble wrzeszczały pod okapem. Na kalenicy dworca zasiały w swym zeszłorocznym gnieździe bociany i Krzywousty słyszał ze swojej izby ich klekot. Za oknami dawno znikły sople lodowe, za to jaskółki śmigwały niby czarne strzałki. Poprawy w zdrowiu nie było. Przeciwnie...

Bolesław nigdy nie spoglądał do zwierciadła, co czynią tylko niewiasty lub dworskie chłystki. Po wzroku odwiedzających domyślał się jednak zmian zaszłych w jego obliczu. Zimową porą komnata była mroczna. Obecnie zalewał ją jasny dzień, ujawniając wyniszczenie chorego, jego żółtą cerę, zapadłe oczy i zaostzony nos. Zależnie od swych rzeczywistych uczuć, przybyli po wyjściu z komnaty płakali lub uśmiechali się ze skrytym zadowoleniem.

Jakaż to niemoc powaliła Bolesława? Współcześni powiadali z przekonaniem: urok. Potwierdzały tę diagnozę objawy choroby i próby w rodzaju rzucania węgla na wodę. Urok nie wiadomo kiedy, nie wiadomo przez kogo zadany, a zatem do odczynienia niemożliwy. Bo, gdyby znać gada, co zasionął, przywlec, zmusić do odwołania przekleństwa... Hej, porwałby się ksiązę na nogi, zdrów jak był poprzednio... Każdy podobne wypadki widywał, chętnie o nich opowiadał, cóż, kiedy brakło najlżejszej poszlaki mogącej na trop winowajcy naprowadzić.

Jak nie urok, to trucizna, jad powolnie działający, na chrzcinach praskich przez któregoś z gości niemieckich zadany... Żelazny organizm Piasta zmagął się z trutką, aż uległ. Co mu było w rzeczywistości, nie wiemy.

Czasem chorego, leżącego na łożu niby na tratwie odbijającej od brzegu, porywało dawne życie. Racibor, zieć ulubio-

ny, siedząc przy wezglowiu teścia, opowiadał wesoło o świeżej wyprawie Eryka Emmune na Ranę.

– Zawzięta sztuka – mówił. – Sądziłem, że ze dwa lata będzie cicho siedział. On zasię znowu zebrał wielką siłę. Powiadają, że miał tysiąc sto okrętów... Wiary temu dać trudno, ale tak ludzie prawią. A cichcem to wszystko zebrał, oporządził, nikt nie wiedział kiedy. Ranowie dobrze się strzegą, a tego nie wywąchali. Dali mi znać dopiero, kiedy król już wlaź na wyspę, otoczywszy ją ze wszystkich stron. Ruszyłem zaraz, Dunimysł cieśniną, od Strzałowa, żeby opłynąć Ranę od zachodu, ja z Uniborem od wschodu troszczyłem się, żeby nie umknęli... Aliści suniemy, baczmy, nikogo. Dojeżdżamy do wyspy, Ranowie na brzegu stoją, za brzuchy się ze śmiechu trzymają. Był król, był – powiadają. Statków, jak mrowiec w lecie, ludzi ćma. Otoczyli Korenicę, Arkonę...

– Zdobyli Arkonę? – pytał chory ze zdumieniem. Przygasłe oczy zabłyśły po dawnemu. Tak, to życie wołało nań, silnym, męskim głosem.

– Miasto zdobyli, bo ludziom wodę odjęli. Przekopali przesmyk między Jasmundem a Witowem. Nie było wody, chyba morska. Wzięli miasto. Grodu ze świątynią – nie! Kto by wziął... Arkona! Trza by mieć skrzydła orłowe, żeby ją zdobyć... Nawet tego nie próbowali, śpiesząc się bardzo. Układy z grodzianami toczyli, a strażę tylko na morze patrzyły, czy nie nadpływamy. Powiedzieli ludziom: patrzcie, ilu nas jest. Opór tu daremny. Obiecujcie, że przyjmiecie chrzest św., a wnet odjedziem... Ranowie obiecali, bo ich dręczyło pragnienie i kwapili się do wody. Był z królem duński biskup, który miał zostać i świętej wiary poganów uczyć... Otworzyli bramy, wojsko się rozstało i ciżba skoczyła do wody, a biskup nad nimi wymawiał święte słowa, na brzegu stojąc... Król zadowolony patrzył. Jesteście już chrześcijanie i moi poddani. Jam wasz pan i władca. Po czym spiesznie odpłynął z całą flotą, zostawiając tylko jedną łódź dla biskupa i paru księży, którzy mieli odjechać później, gdy ludzi wiary świętej nauczą i kościół wzniosą. Cóż, kiedy ledwo królewskie statki zniknę-



ły z oczu, Rany jak żaby wyskoczyły z wody (opili się już do syta) i powiedzieli, że wcale nie są ochrzczeni, tylko kąpielili zażywali, a biskup niech precz odjeżdża, bo go zła śmierć może spotkać... Co miał począć nieborak?... odjechał. Na to my przybylim. Tak się skończyła wyprawa na Ranę. Dobrze teraz pilnujem, żeby się nie powtórzyła druga niespodzianka. A Ranów trzeba ochrzcić po ludzku, z ich wolą, bo to wstyd, że poganami wciąż są.

Racibor umilkł, gdyż chory zamknął oczy. Zadrzemał czy osłabł? Udana wesołość znikła z twarzy pomorskiego księcia. Wpatrzył się w lica teścia nieledwie z rozpaczą. Taki człowiek, a widać, że śmierć mu do gardła sięga...

Bolesław podniósł z trudem powieki.

– Gadaj dalej – prosił. – Powiadałeś, że Ranów trza ochrzcić?...

– Jużci co trzeba – podjął książę z ożywieniem... – Ochrzcić i przygarnąć, bo to prawe, dzielne wojaki, tyle że pogany... I nasi są, Słowianie, a nie Duńczyki... Co im do Duńczyków należeć. Ot, gdyby wtedy biskup Otto miał Adcera o zezwolenie pytać, prosto z Dymina na Ranę płynął, pewnie by ich do wiary nakłonił. Trza Ottonowi podobnego męża szukać... Już mówiłem o tym z naszym biskupem, Wojciechem. Ino wyzdrowiejecie, panie teściu, trza to będzie podjąć...

– Ino wyzdrowieję, ino wyzdrowieję...

Rok chorował Krzywousty. Rok – to krótki okres czasu, gdy się jest rycerzem, wodzem; gdy na koniu, z wiernym mieczem, zwanym „Żurawiem” u boku, przemierza się cwałem dziedzinę od granicy do granicy. Czas mija wtedy szybko jak woda w potoku i zawsze go mało, i zawsze go brak, i zawsze człowiek opatruje się ze zdziwieniem, że nie wiedzieć kiedy minęła jedna, a przyszła nowa pora...

Lecz gdy się leży bezsilnie w barłogu, z trudem mogąc unieść głowę, a zarazem umysł pozostaje przytomny, pamięć bystra, jeden rok przedstawia ogrom czasu, rozleglejszy niż pięćdziesiątka przeżyta poprzednio. Czasu, którego było

mało, stało się aż nadto. Możesz teraz, Bolesławie, synu Marsa i wilczycy, wspominać dawną twą sławę; w stu bitwach zwycięski, raz tylko poniosłeś klęskę, w wawozach karpackich. Biłeś Niemców, Duńczyków, Węgrów, Ruś, Czechów, Prusów... Drżeli ludzie na dźwięk twego imienia... Zawsze dumny, raz tylko zostałeś upokorzony...

(Odchodzącemu ze świata obojętne są sława i duma, obojętne jak zwleczona szata...).

Więc wspominaj do woli wszystko, coś uczynił, a czegoś zaniedbał, w czym byłeś praw, a w czym winien... Co się stanie z twoim państwem, dziełem twego życia? Jak twoi synowie pokierują ojcowizną?

...Synowie! Wszak przejmą lada dzień z jego dłoni brzemień spraw, zadań, odpowiedzialności, obowiązków, niebezpieczeństw, trudu, które się władaniem Polską nazywa... Czy temu podołają? Czy wiedzą, że to nie radość być księciem, ale ciężka dola, której nie zechciałby oracz spokojny? On, Bolesław, panował trzydzieści sześć lat, dopiero pod koniec pojmując, na czym rządy polegają... A oni?

Skąd mogą wiedzieć? Nie przyuczał ich zawczasu, uważając wciąż za dzieci. Od czasów gdy biskup Otton ganił obojętną surowość, z jaką książe polski, niegdyś jego wychowanek, traktował synów – w ojcowskim stosunku nic się nie zmieniło, choć dzieci wyrosły na mężów. Po dawnemu Bolesławowi brakło na to czasu. Dopiero teraz, kiedy go powaliła przeklęta choroba, po raz pierwszy przyglądał się im uważnie, usiłował rozpoznać każdego. Przychodzili codziennie złożyć mu winny szacunek i stali przy łożu onieśmieleni, przestępując z nogi na nogę, z przyzwyczajenia zastrachani, jak gdyby leżący zdechłak mógł być jeszcze dla kogokolwiek groźny. Dopiero teraz – nie śmieszneż to? – Bolesław wyrabiał sobie o każdym z nich zdanie. Jednego Władysława poznał wcześniej, czasu nieszczęśliwych chrzcin. Przekonał się wówczas, że ów „wystawny” mąż jest skończonym niedołęgą. Jego uległość żonie maluje człowieka. Tchórz! Niemcy będą rządzili za niego! Wydziedziczyć, przepędzić razem z tą jędzą Agnieszka Leopoldówną! Władysław, naj-

starszy, to jeden. Drugi Bolko także urodziwy. Czupryna mu się kręci niby wełna na baranie, spada na czoło i ramiona, z racji tych kudłów zwą go Kędzierzawym. Pochlebcy, których już nie brak wokoło młodych dziedziców, mówią o „lwiej grzywie” Bolka... Jaki on lew? Spod kędziarów spoglądają tępe, łagodne oczy wołu, przy tym jest pono leniwy i gnuśny. Dopiero na trzecim z kolei Mieszku wzrok ojca spoczywa z zadowoleniem. Ten ci jest prawy Piast. Bystre oczy, sklepione czoło, mocne szczęki, barczyste ramiona... Czemuż urodził się trzecim?! Temu jednemu powierzyłbym księstwo. Co uczynić, aby ten po mnie panował?... Czwarty, Henryk, jeszcze nie stateczny. Rwie go w świat, między obcych. Po co? Bolesław nie pragnął nigdy opuszczać swego kraju. Ostatni, Kazek, dobre, miłe pachole. On jeden, witając ojca, garnie się ku niemu serdecznie. Ależ to dzieciuch, co można wiedzieć, jakim byłby księciem...

Synowie stali posłusznie, czekając, aż ojciec odprawi ich ruchem ręki. Kłonili się wtedy głęboko, całowali tę dłoń prawie trupa i z nie tajoną ulgą opuszczali komnatę. A Bolesław zostawał sam, ze swoimi dumaniami. Póki rok temu myślał: gdy wyzdrowieję, uczynię to i tamto... a nawet w jakiś czas później, kiedy mawiał: jeśli wyzdrowieję... – nie żarła go troska o państwo, dopiero gdy pewność, a potem nadzieja, ustąpiły przekonaniu: już nie wyzdrowieję, obawa o przyszłość Polski stała się paląca. Który z dziedziców zadba należycie o całość granic, o morskie wybrzeże, o Pomorze, o Zaodrze? Czemuż nie zabierał tych odrostków ze sobą na wojenne wyprawy... Czemuż nie poznali i nie pokochali morza? Czy sądził, że będzie żył wiecznie? Którego zostawić dziedzicem?

...Jednego chcesz uczynić księciem – pytało sumienie – a reszta? Cóż oni? W mnichy mają pójść czy na wygnanie, czy ich może oślepić każesz? – Wzdryga się chory. W ciemni nocy przed oczyma staje zjawia: braterska twarz... krwawe jamy miast oczu... Milczy... nie skarży się, nie grozi... Brat...

Tyle lat minęło, tyle pokuty odprawionej, łez wylanych. Zbrodnia odpuszczona, winowajca rozgrzeszony, a przecie zapomnieć nie można.

**Polska za czasów Bolesława Krzywoustego w roku 1138  
(wg prof. St. Arnolda)**



Z ręki Bolesława zginęło niemało ludzi, ale to było w uczciwej rycerskiej walce. Podobnie, gdy skazywał przestępców lub buntowników na śmierć czy ślepotę, jak ukochanego niegdyś Skarbimira, czuł się surowym, ale sprawiedliwym sędzią. Nie o siebie mu wtedy szło, ale o państwo. Zbigniewa dał katom nie jak sędzia lub wojownik, ale jak człowiek zdradziecki i podły... Więc nie dziw, że wszystko inne wydaje się błahe w porównaniu z tą zjawą męczeńską, okaleczoną z woli i rozkazu brata...

...Takież dziedzictwo pozostawia synom?! Już słyszy szept dworaków, kładących w młode uszy: Wasz ojciec tak właśnie postąpił, a przecież wszyscy go chwalą... Wielkim był księciem... Uczcie się! – Jemu, Bolesławowi, podobnie mówiono... Jeżeli on wówczas posłuchał, czemu nie mieliby usłuchać jego potomkowie? Więc znów to samo? Z pięciu jeden wyróżniony, reszta pokrzywdzona, zawistna... Więc znów bratobójcze walki, wzajemna nienawiść. Nie dopuść tego, Boże Wszzechmogący!

Arcybiskup Jakub ze Żnina, z rycerskiego rodu Pałuków, przybywa, wezwany na radę. Codziennie spędza długi czas przy łożu księcia, rozważając wspólnie zawilość spuścizny. Jak połączyć dobro i jedność państwa ze sprawiedliwością względem członków rodu? Jak zapobiec przyszłym walkom między braćmi? Arcybiskup wykladał uczenie, przytaczał różne formy rządu, stosowane jeszcze przez starożytnych lub w czasach obecnych. Bolesław wysiłkiem woli podtrzymywał mdlejącą uwagę, słuchając łacińskich wywodów mądrego prawnika.

Wynikiem tych narad stał się testament Krzywoustego.

Testament ten miał połączyć szczęśliwie potęgę państwa, sprawiedliwe wyposażenie dynastów oraz poszanowanie wiecznie odżywających dzielnicowych odrębności. Pozornie wykluczające się cele rozwiązywał jak następuje:

Każdy z czterech Bolesławowiców otrzymał jedną dzielnicę jako własność dziedziczną, nienaruszalną. Władysław – Śląsk i Ziemię Lubuską, Bolko – Mazowsze, Mieszko – Wielkopolskę, Henryk – Sandomierszczyznę i Lubelskie po rzekę Wieprz. Środkowy obszar Polski, obejmujący ziemię krakowską, sieradzka, łęczycką i część Kujaw, testament wydzielał, uznając tę dzielnicę za podstawę władzy i siły każdorazowego księcia panującego. Tym suwerenem, wielkim księciem, panem feudalnym rządzącym młodszymi braćmi, miał być zawsze najstarszy członek rodu Piastów, czyli senior; stąd cały ustrój nosił nazwę senioratu. Na siedzibę seniora przeznaczono Kraków, który od tej pory stawał się prawną stolicą państwa polskiego. Wobec obcych mocarstw senior występo-

wał jako jedyny, niepodzielny władca. Młodzi książęta, zwani juniorami, nie mieli prawa wszczynać na własną rękę wojny z żadnym z sąsiadów, zawierać sojuszów lub odrębnych układów. Stosunek ich do seniora miał być stosunkiem wasali, zaś seniora do juniorów stosunkiem ojcowskim.

Pracowicie opracowany schemat, acz nazwany w testamencie „nienaruszalnym i wieczyście trwać mającym”, nie ostał się długo. Były w nim błędy rażące, widoczne od razu. Ustrój nie ograniczał dalszego rozdrabniania dziedzicznych księstw pomiędzy spadkobierców juniorów. Uznając seniorem najstarszego członka rodu, bez ustalenia pierwszeństwa tej czy tamtej linii, gotował przyszłe zaciekle rywalizacje. Dziwi pominięcie piątego syna, Kazimierza, prawnie zbyt jeszcze młodego do rządów. Trudno brać poważnie anegdotki kronikarzy (Kadłubek), jakoby Bolesław zapytany, czemu go wydziedziczył, odparł, że czterej starsi to zaprzęg, Kazimierz zaś będzie woźnicą, lub że miał sen proroczy zwiastujący wielką przyszłość najmłodszego.

Równie zadziwiający jest brak starań o koronę ze strony Krzywoustego. Miał wszelkie prawo, by o nią zabiegać, tak pod względem rodu, siły, jak posiadanego obszaru. Lotar sprzeciwiałby się temu wszelkimi środkami, lecz Bolesław nie był człowiekiem ustępującym z góry przed czyjąś intrygą. Nie posiadamy zaś żadnych śladów, aby w ogóle wszczynał staranie w sprawie koronacji. Czy jako realista, obojętny na tytuły, nie doceniał wagi sakry? Czy nie chciał zabiegać o względy hierarchii polskiej, od której aż do ostatnich lat życia trzymał się z daleka? Czy zabobonnie uważał, że korona nie przyniosła szczęścia ani Mieszkowi II, ani Bolesławowi Szczodremu? Jakiegokolwiek były przyczyny – pobił. Korona bowiem stanowiłaby jedyny czynnik, mogący zapewnić trwałość opracowanemu przez niego i uczonego Jakuba ze Żnina ustrojowi. Korona wzmogłaby powagę seniora, wyodrębniając go spośród rzeszy krewniaków.

Podpisawszy przytomnie ostatnią swoją wolę, uroczystie zaprzysiężoną przez wszystkich dostojników polskich, du-

chownych i świeckich, zatwierdzoną przez Ojca Świętego – Bolesław Krzywousty umarł dnia 28 października 1138 roku i pochowany został w ojcowej katedrze w Płocku. Wyborem miejsca wiecznego spoczynku kierowały zapewne wspomnienia spędzonych tu lat dziecinnych i młodzieńczych.

...chcesz wiedzieć, kim był Bolesław? Posłuchaj! Był to drugi Aleksander, drugi Kato, drugi Tulusz. Nie mniejszy od Alcydy, lecz większy Achilles od samego Achillesa... (Kadłubek, *Kronika*).

Naiwna frazeologia budzi uśmiech, lecz wyrażane przez nią uczucia żalu i podziwu były szczere, a dzieliło je całe społeczeństwo. Krzywousty jest ostatnim z szeregu wielkich Piastów Zdobywców, ostatni władca Polski, co rozumiał wagę Pomorza i ujścia Odry dla istnienia Polski, ostatni, co troszczył się o Słowian zaodrzańskich.

Z jego śmiercią nad tymi ludami zawarła się również mogiła.

W poprzedzających rozdziałach czytelnik napotykał często powtarzające się imiona osób odgrywających pierwszoplanowe role w opisywanych zdarzeniach. W okresie 1136–1140 dobiegł końca jeden akt wielowiekowej tragedii i aktorzy zeszli ze sceny. Ustąpili miejsca nowym i młodszemu zespołom, które niezwłocznie podejmą przerwany dialog.

Tak więc w roku 1136 umarł Warcisław, ksiązę pomorski; rok później szczwany kunktator, cesarz Lotar. Również w tym roku, wkrótce po wyprawie na Ranę, o której opowiadał teściowi Racibor, zginął Eryk Emmune, król duński, zamordowany przez rycerza jutlandzkiego w czasie Landestingu (zjazdu) w Ribe. W 1138 roku umarł Bolesław Krzywousty, „większy Achilles od samego Achillesa”. W tymże 1138 roku zmarł w Rzymie posępny antypapież Anaklet II Pierleoni, silny posiadany złotem, pokonany ostatecznie przez ubogiego mnicha Bernarda z Clairvaux. Niebawem poszedł za nimi Innocenty II, nie zdążywszy nacieszyć się odzyskaniem stolicy.

Nie żyli już św. Otton, Dobry Pasterz, ani arcybiskup magdeburski Norbert, kanonizowany przez Kościół za surowe ascetyczne życie. Wszyscy oni, wypełniwszy zlecone im przez Opatrzność role, odeszli, by nigdy na widownię nie powrócić. Rozgłos wywołany przez ich czyny dobre, mądre, szlachetne lub nędzne, niegodziwe i głupie, trwał czas pewien, niby kręgi rozchodzące się na wodzie po wrzuconym w nią kamieniu, aż osłabł, ucichł i zgasł. Równocześnie z nimi zesła ze świata niezliczona rzesza ludzi bezimiennych, ubogich, „nieurodzonych”, rzesza będąca właściwą twórczynią wymienionych poprzednio dokonań i zdarzeń. Uprzywilejowani rozkazywali, rzesze wykonywały. Nic nie powstało bez ich cierpliwego trudu, choć nie im przypadła zasługa.



## ZIEMIA DRŻAŁA NA ICH WIDOK

Statut ułożony przez Bolesława Krzywoustego i uczonego Jakuba ze Żnina, określający prawa dziedziczności Piastów, nazwany „wieczystym”, ostał się nienaruszony... – trzy lata. Wnet potem wybuchła wojna między najstarszym synem, Władysławem, a jego młodszymi braćmi. Wojna, której uniknięcie było celem owego statutu.

Agnieszka Władysławowa, póty wytykała ulegającemu jej mężowi niezupełność jego władzy, póty szydziła nazywając go: „...półmężczyzną, półksięciem, dziedzicem na ćwierci morga” (Kadłubek), aż uwierzył jej słowom i zapragnął panować nad braćmi. Nie bez winy była również jego macocha, matka pozostałych książąt, Salomea, hrabianka bergeńska. Świekra i żona, acz obie Niemki, nienawidziły się wzajem i jątrzyły, jak mogły. Dwie jędze potrafią, gdy zechcą, wywołać zamęt nie lada. Wojna rozgorzała, bezlitosna jak wszystkie wojny domowe. Biskupi i większość rycerstwa opowiedziały się za juniorami; Władysław wezwał na pomoc przeciw nim pogańskich Prusów, po czym zwrócił się o ratunek do cesarza. Mimo interwencji tego ostatniego, Władysław, pobity, musiał uciekać z kraju. Oboje z żoną wierzyli, że cesarz ponownie, a skuteczniej, ujmie się za sprawą swej przyrodniej siostry. Konrad obiecywał pomoc szczerze (jak wszyscy jego poprzednicy chętnie wkraczał w wewnętrzne spory sąsiadów, zaznaczając tym swoje zwierzchnictwo), opóźnił się jednak z wyprawą. Dopiero w sierpniu wojska niemieckie ruszyły na Śląsk, silnie broniony i obwarowany. Bojąc się jesieni, pomny na los Henryka V, Konrad zawrócił, obiecując wygnańcom, że podejmie kroki wojenne następnego roku. Tymczasem jednak wszystkie umysły pochłonęła sprawa większego zasięgu i los

Władysława oraz jego zbyt ambitnej i próżnej żony poszedł w zapomnienie.

Wielkim księciem krakowskim został drugi z kolei syn Krzywoustego, Bolesław, zwany Kędzierzawym, uczciwy, lecz pozbawiony rozumu politycznego i umiejętności władania. Rządzili za niego inni. Naruszony przez Władysława statut ojcowy przestał obowiązywać, władza przeszła w ręce biskupów, wielmożów i młodszych książąt. Powiększające się rozbiacie dzielnicowe sprzyjało niewygasłym tęsknotom plemieniom poszczególnych ziem.

Znaczenie Polski w świecie, jej powaga i moc, podniesione wysoko przez Krzywoustego, runęły, aby nierychło się dźwignąć. Skutki tego stanu rzeczy miały być gorzkie i nieodwracalne.

Przybysław i Niklot... były to dwa straszliwe potwory, chrześcijan prześladowcy. Jeden rządził krajem Wagrów i Polabian, drugi Obodryców

pisał Helmold w roku 1131.

W dwanaście lat później Przybysław już nie żył. Przed śmiercią odstąpił swe ziemie księciu saskiemu Henrykowi Pysznemu. Książę Niekłót trzymał się jeszcze w Zwierzynie, powołując się, jako krewny Kruta, na prawa dynastyczne do księstwa obodrzyckiego.

Pokoju na jego zachodniej granicy nie było.

...z powodu zajęcia Sasów innymi rzeczami [wojna domowa w Saksonii] wściekłość Słowian zapaliła się, jakby zerwawszy wędzidła... Ziemia Falderska [Holzacji] w pustynię zamieniona została wskutek codziennego zabójstwa i rabunku...

Henryk... [Pyszny], zebrawszy tajemnie wojsko Holzatów i Szturmarów, wszedł porą zimową do ziemi słowiańskiej i napadł na tych, co byli jakoby pale w oczy Sasów powbijane, i zadał im wielką klęskę. Mówię tu o ziemi pluńskiej [płońskiej], lutylenburskiej [lucińskiej], i oldenburskiej [starogardzkiej] i o całym kraju, który się poczyna od rzeki Swale

i zamyka się Morzem Bałtyckim i rzeką Trawną [Wagrii] (Helmold, *Kronika Słowian*).

W październiku 1139 roku zmarł Henryk Pyszny, a dziedzictwo po nim objął małoletni jego syn, Henryk Lew. Opiekunowie chłopca sprzedali zniszczoną Wagrię za wielką sumę pieniędzy hrabiemu Adolfowi holsztyńskiemu, zaś kraj Połabian ze stolicą w Radesburgu hrabiemu Henrykowi z Badeswitu.

...Adolf zaczął odbudowywać zamek Sieberg i murem go opasał. Że zaś ziemia była spustoszona, rozesłał gońców do wszystkich krajów, do Flandrii, Holandii, Utrechtu, Fryzji i Westfalii, wzywając wszystkich, którym ziemi do uprawy brakło, żeby przybywali ze swoimi rodzinami. I obiecał dać im ziemię wyborną, rozległą, urodzajną, obfitującą w ryby, mięso i dogodne pastwiska. Holzatom zaś oraz Sturmarom powiedział: – Czyście to nie wy podbili ziemię Słowian i nie kupili jej krwią braci i ojców waszych? Bądźcie więc pierwsi, przesiedlajcie się do tej ziemi pożądaney, zamieszkujcie ją, używajcie jej rozkoszy, wam bowiem należy się to, co jest w niej najlepszego... Na ten głos powstały niezliczone tłumy z różnych narodów i zabrawszy swe rodziny i dobytek, przybyły do kraju Wagrów do hrabiego Adolfa, objąć w posiadanie ziemię obiecaną (jw.).

Głodujące na ubogiej i ciasnej ziemi gromady Walonów i Fryzów śpiewały, wędrując na wschód:

...Naer Oestland wollen wy ryder, naer Oestland wollen wy mee...

Jedynie wybrzeże morskie, mniej urodzajne, narażone na ciągłe napady zbójów morskich z wyspy Wębry (dziś Fehmarn) nie pociągało kolonistów, pozostawiających chętnie ten skrawek ziemi Słowianom. Resztki węgryjskiego ludu, „najmężniejszych niegdyś mężów słowiańskich” (Helmold) miały stanowić dla przybyszów ochronę przed korsarzami.

Alderuburg [Starogard], Lutilenburg [dawny Lucin] oraz inne ziemie do morza przylegające, hrabia [Adolf holsztyński]

zostawił Słowianom na mieszkanie i daniakami ich swoimi uczynił... (jw.).

W latach 1140–1149 tym wąskim paskiem wybrzeża zarządzał z ramienia Holsztyńczyka poganin Rogala (przez kronikarzy niemieckich zwany Rochel), pochodzący z książąt rańskich.

Adolf holsztyński był spokojnym, ostrożnym człowiekiem; Niekłót zawarł z nim przymierze, dogodne dla obu stron. Dzięki temu układowi Adolf miał granice Wagrii zabezpieczone od napadów słowiańskich, Niekłót zyskiwał uznanie swych praw do ziemi obodrzyckiej.

W Italii i Francji sprawował nadal rząd dusz niespożyty opat z Clairvaux, Bernard, zwany światłem Europy. Jego autorytet wciąż wzrastał. Nieustraszony, nie liczący się z nikim prócz Boga, Bernard mówił każdemu w oczy prawdę bez ogródek. Piętnował zbytek, wymyślność stroju, obfitość jadła biskupów i opatów; książętom i królom wypominał ich wykroczenia przeciw Prawom Bożym. „Biada tym, co trzymają w ręku klucze władzy i wiedzy!” – wołał, nie wahając się udzielać ostrych napomnień nawet papieżowi. Papieżem był Eugeniusz III, dawny Bernardowy uczeń i jego korny wyznawca, mnich z zakonu cystersów. Pontyfikat tego papieża był trudny, bolesny. Miasto Rzym ogłosiło się niezależną republiką pod kierownictwem Arnolda z Brescii i nie przyjęło Eugeniusza, który odepchnięty od swojej stolicy rezydował w Viterbo, następnie wyjechał do Francji. Nie to jednak było dla niego najcięższe.

W roku 1144 całym chrześcijaństwem wstrząsnęła wiadomość, że Edessa, klucz do Królestwa Jerozolimskiego, została odebrana krzyżowcom przez muzułmanów.

Od czterdziestu lat ludy chrześcijańskie żyły legendą zwycięskiej wyprawy krzyżowej. Dalekie nazwy: Antiochia, Edessa, Sydon, Akra stały się znajome, uważano je za wrota do Jerozolimy i świętej wioski Nazaret.

W opowieściach pielgrzymów, wracających z Palestyny, w relacjach rycerzy, którzy brali udział w walkach z niewiernymi, krzyżowcy przedstawiali się jako heroje, ich władztwo

jako niewzruszalne, miejsca święte jako cudownie strzeżone. Bogata zdobycz wojenna, świetne zbroje muzułmańskie oraz zwożone do Europy przez kupców italskich przedziwne wyroby Wschodu potwierdzały te mniemania. Piękną baśń rozbiła brutalnie wiadomość o utraceniu Edessy.

Wiadomość przywiózł do Rzymu biskup syryjski i odślonił całą prawdę. Królestwo Jerozolimskie nie jest mocne, jest śmiertelnie zagrożone. Toczą je wewnętrzne spory, rywalizacje, nieład i rozpusta. Muzułmanie ochłonęli z dawnego lęku przed Frankami, lekceważą sobie skłóconych baronów. Muzułmanie pod wodzą Nur-ed Dina są silniejsi, niż kiedykolwiek bywali, Latyńcy zaś słabną z każdym rokiem. Jeżeli w najbliższym czasie nie nadejdą z Europy tęgie posiłki wojskowe, Jerozolima zostanie wzięta. Grób Święty wpadnie znów w ręce pogan.

Papież, kardynałowie, opat z Clairvaux bledną, słuchając tej straszliwej zapowiedzi. Utracić Miejsca Święte! Na toż je odzyskano nadludzkim wysiłkiem narodów, krwią wielu setek tysięcy chrześcijan? Utrata Ziemi Świętej byłaby ciosem dla Kościoła. Wszystkie siły należy wyteńczyć, by zebrać nowe zastępy krzyżowców i na ratunek pośpieszyć!

To uczyni Bernard z Clairvaux. Oto zadanie, jakie na niego czekało. Dla tej misji się urodził. Sam Bóg powołał go do tej roli. Z wizją zagrożonej Jerozolimy przed oczami, płomiennousty rusza w świat. Niestrudzenie przemawia, wzywa, nakazuje, grozi, błaga, modli się, porywa. Jego słowa to lawa, nikt się im nie oprze. On sam to płonąca żagiew. Udział w krucjacie przedstawia słuchaczom jako drogę do Nieba, odmowę udziału jako niezawodne potępienie. Gdzie nie dotrze osobiście, śle listy, memoriały. Każdy postój, izba, komnata, poddasze czy cela stają się kwaterą wodza, z której rozsyłane wici sięgają do odległych krajów chrześcijańskich, do Irlandii, Polski... Pod słowem „poganie” Bernard widzi Saracenów, przebiegłych wojowników zagrażających Jerozolimie, uosabiających w jego pojęciu szatana. Czemuż sam nie może walczyć! Rycerski syn z rozkoszą chwyciłby za miecz. W uniesieniu traci mia-

rę, wpada w akcenty bliższe Koranu niżli Ewangelii. Cóż, jest dzieckiem swej epoki. Pisze:

...zabijanie pogan byłoby godne potępienia, gdyby istniał inny sposób usunięcia ich szkaradzieństwa i odjęcia im możliwości uciskania chrześcijan... w stanie obecnym lepiej wyróżnić to plemię niż widzieć miecz ich zawieszony nad głowami wiernych... Dobry rycerz, wytracając pogan, pracuje dla Chrystusa. Zabijając ich, nie jest mężobójcą, ale „*malicide*”, czyli zabójcą zła... Śmierć pogan jest jego chwałą, będąc Chrystusową chwałą... (*De laude novae militiae ad milites Templi*).

Argumenty Bernarda trafiają do serc słuchaczy. Coraz liczniejsze rzesze składają śluby krzyżowe. Wszyscy żądają, by opat z Clairvaux stanął na ich czele. Stary zakonnik odrzuca kategorycznie tę myśl.

Nie jemu przystoi oręż. Święte zastępy winni poprowadzić królowie.

W Vézelay we Francji, na wielkim zjeździe całego kraju, zdają się odżywać niezapomniane dni, kiedy w Clermont papież Urban II ogłaszał pierwszą krucjatę, a Piotr z Amiens rozpałał swą wymową serca, jak to dzisiaj czyni Bernard. Są obecni: papież Eugeniusz III, francuscy biskupi i kardynałowie, król Ludwik o przydomku Młody, z królową Eleonorą, wszyscy francuscy książęta, diuki i rycerze. „Biada temu, czyj miecz nie opłynie krwią niewiernych!” – woła Bernard. Papież ogłasza odpust zupełny dla krzyżowców. Na żądanie opata z Clairvaux król Ludwik, przyjąwszy wraz z małżonką krzyż, kasuje wszelkie wyroki i kary. Nawet najwięksi zbrodniarze, złodzieje i nierządnicę mogą odkupić swe grzechy, uczestnicząc w wojnie świętej. Płoną głowy i serca. Milczy rozsądek. Atmosfera cudów otacza Bernarda. Cuda rzeczywiste, niewątpliwe tryskają wokół niego, co nie jest dziwne, bo gdzie wiara, tam są cuda. Prądy nieznannej energii przyspieszają procesy przyrody, ożywiają zwiędłe tkanki, budzą, co zda się zamarłe. Przeto widzą ślepi, biegną chromi, odzyskują władzę członków paralitycy. Początek drugiej krucjaty otacza cudowność jak obłok, co wiódł Mojżesza. Pozostać obojętnym

na wezwanie znaczy okazać się złym chrześcijaninem, sługą czarta i nikczemnym tchórzem.

Zapał rośnie, rozsądek nadal milczy. Żaden z przyszłych krzyżowców nie wyciąga nauki z doświadczeń pierwszej krucjaty, mimo że żyją jeszcze ludzie, co brali w niej udział. Nikomu nie przychodzi na myśl zajrzeć do kronik opisujących jej dzieje, zastanowić się bodaj nad wyborem drogi. Bernard, genialny organizator siedemdziesięciu klasztorów, tutaj nie zabiera głosu. Wierzy, że byle wojsko ruszyło, Duch Święty sam je oświeci, co należy czynić.

Z Vézelay natchniony opat udaje się do Niemiec, by w Spirze spotkać cesarza Konrada. Szczęśliwy, że zakończył nareszcie wojnę z przeciwnikami Hohenstaufów, Konrad nie ma najmniejszej ochoty zostawać krzyżowcem. Któż by się jednak oparł wymowie Bernarda! Wraz z cesarzem biorą krzyż Henryk Lew, Albrecht Niedźwiedź, wielu innych książąt, biskupi i arcybiskupi. Król Roger normandzki zgłasza swój udział i ofiaruje okręty, by przewieźć krzyżowców do Ziemi Świętej. Zgłaszają się królewicze duńscy Swen i Kanut, zgłasza się książę czeski Władysław oraz smutny wygnaniec, były książę krakowski i śląski, Władysław Bolesławowic.

(Chce być przy cesarzu, by mu przypominać niespełnione obietnice). Na wieść o tym jego bracia Bolesław i Mieszko (zwany później Starym) ślubują również, by nie okazać się gorszymi od brata. Bernard dziękuje Bogu, płacząc z radości. Dokonał zamierzonego dzieła, poruszył Europę. Przez wszystkie kraje chrześcijańskie grzmi stary okrzyk: – Bóg tak chce!!

Drżj, pogański Wschodzie!

Uniesienie powszechne jeszcze nie opadło, a już szatan, wróg wyprawy, daje znać o sobie. W południowych Niemczech nieznanym zakonnik Rudolf wzywa ludność do mordowania Żydów jako pogan i wrogów Chrystusa. Podniecone tłumy chętnie podchwytyją hasło. Zaczynają się pogromy.

...w Moguncji spalono w domach półtora tysiąca Żydów...  
W Wormacji mieszkańcy getta popełnili zbiorowe samobójstwo z obawy przed chrześcijanami. W Trewirze matki izra-

elskie zabijały własne dzieci, byle je przed przymusowym chrztem uchronić... (Otto Freisingensis, *De gesta imperatoris Frederici*).

Bernard przybiega osobiście na wieść o tych zbrodniach. Potępia publicznie i wygania Rudolfa, broni prześladowanych. Pomimo to:

...w tym okresie zginęło w Bawarii kilkanaście tysięcy Żydów (Wacław Aleksander Maciejowski, *Żydzi w Polsce*).

Duch Święty opóźnia się z radą i między czołowymi krzyżowcami, królem francuskim i cesarzem niemieckim zaczyna się spór o dowodzenie wyprawą. Ponieważ żaden z nich nie podda się pod rozkazy drugiego, postanawiają prowadzić swe wojska osobno i toczyć walkę według własnego uznania. Przyszłość okaże niebawem, co z tego wyniknie.

Cesarz Konrad odrzuca ze wszelch miar dogodną propozycję Rogera, króla normandzkiego, przewiezienia morzem wojsk wprost do Palestyny. Snadż przyjęcie krzyża, choć daje odpust zupełny, nie przekreśla pychy i zadawnionej niechęci.

Książęta sascy, duńscy i westfalscy oraz biskupi ich ziem radzą nad kierunkiem wyprawy. Henryk Lew przedstawia plan bardzo ponętny: chodzi o walkę z pogaństwem, tą zakałą rodzaju ludzkiego. Po co rycerzom niemieckim jechać na kraj świata, mając obrzydlistwo pogańskie pod bokiem? Zamiast do Ziemi Świętej, ruszajmy za Łabę!

Miła zdała się obecnym ta przemowa. Postanawiają jednogłośnie:

...sąsiednie ludy pogańskie [słowiańskie] albo wytepić całkowicie, albo zmusić do przyjęcia wiary świętej (Otto Freisingensis, *De gesta imperatoris Frederici*).

W dni owe przytrafiły się niesłychane i zdumienie całego świata wzbudzające rzeczy. Za papieżstwa bowiem świętego ojca Eugeniusza i za panowania Konrada III cesarza zajął [wielu cudami] Bernard, opat z Clairvaux... Ten święty... zaczął upominać książąt i wiernych, żeby się udawali do Jeruzolimy dla pognębienia i prawom chrześcijańskim pod-



dania barbarzyńskich ludów Wschodu... Na jego słowa... tłumy w liczbie do uwierzenia prawie niepodobnej złożyły śluby odbycia tej podróży, a w liczbie ich byli najprzedniejsi: król Konrad [III], Fryderyk książę szwabski, który potem był cesarzem, książę Welf razem z biskupami i książętami, wojsko zaś ze szlachty i nieszlachty i z ludu prostego złożone było nieprzeliczone... Król paryski Ludwik i wszyscy co najdzielniejsi Francuzi również do tego celu podążyli... Ani w nowszych czasach, ani dawnych od stworzenia świata nie słyszano nigdy, żeby się takie wielkie wojsko zebrało, wojsko, mówię, nader wielkie. Na odzieży i broni wojownicy nosili znak krzyża. Dowódcy wyprawy uznali za rzecz właściwą jedną część wojska przeznaczyć do krajów Wschodu, drugą do Hiszpanii, trzecią do Słowian, którzy w bliskości nas mieszkają (Helmold, *Kronika Słowian*).

W dworcu zwierzyńskim Niekłót z rodu Kruta nasłuchuje głosów nadchodzącej burzy. Podobny puchaczowi, co w dzień mało widząc obraca wkoło uszată głową, wyczuwając, skąd nadlatują jastrzębie, lub wilkowi, co stanawszy na skraju polany, węszy zbliżające się niebezpieczeństwo – tak poganin, Obodrzyec, instynktownie przewiduje zamierzenia wrogów. Ledwo w zeszłym roku zaczęto po świecie mówić o wojnie przeciw poganom, Niekłót spędził wszystką ludność obodrzycką, by odbudowywać a umacniać stary gród Dąbin. Dąbin leżał między północnym krańcem Jeziora Zwierzynieckiego (dziś Schweriner See) a Jeziorem Dąbie (dziś de Döpe). Od grodu Zwierzyn oddzielało Dąbin jezioro oraz liczne rozlewiska, strugi i pomniejsze stawy. Ludzie pracowali przy budowie dniem i nocą na zmianę, nie bacząc na wczesnowiosenne chłody i przymrozki. Z wierzchu roztajało, w głębi ziemia była jeszcze zmarznięta i można było ściągać śniaty drzewa, potrzebne na budowę skrzyń, a raczej klatek z bierwion zbijanych, połączonych między sobą, które wkopano w grunt, wypełniono ziemią i ziemią obsypywano. Po czym wznoszono na nich drugi rząd podobnych skrzyń, budując w ten sposób wał trudny do zdobycia. Gdy coraz głośniejsze mówiono o woj-

nie, a twierdza była skończona, Niekłót posłał gońców do Adolfa holsztyńskiego, z którym go łączyło przymierze, prosząc o spotkanie z hrabią dla omówienia wypadków.

...hrabia odmówił, powiadając, że byłoby z jego strony nierozważną obrażać ksiąząt [niemieckich], na co Niklot odpowiedział przez gońców: – [Miałem strzec], byś przykrości nie doznawał od Słowian, którzy niegdyś ziemię Wagrów posiadali i skarżą się, że ich niesłusznie dziedzictwa ojców pozbawiono... Powstrzymałem ich rękę... lecz teraz wolno mi... ciebie samego zostawić, wzgardziłeś bowiem swym przyjacielem, zapomniałeś o przymierzu i odmówiłeś mi zobaczenia się z tobą w czasach potrzeby. – Posłowie zaś hrabiego powiedzieli do Niklota: – Pan nasz tym razem z tobą nie mówi, bo mu przeszkadzają okoliczności, o których wiesz, [wyprawa krzyżowa], lecz dochowaj przymierza, któreś zawarł, i gdyby Słowianie wojnę przeciw niemu gotowali, to go ostrzeż (jw.).

Uśmiechnął się wzgardliwie poganin i powiedział posłom hrabiego, że owszem, ostrzeże sprzymierzeńca w porę.

Rzekł wtedy hrabia do mieszkańców swego kraju, jako mają pilnować bydła i majątków swoich od zbójców, co zaś do bezpieczeństwa powszechnego, to do niego należy zaradzić, by niespodziewanie nie zaskoczył ich napad nieprzyjacielski. Ten mądry człowiek sądził, że swym rozumem odwrócił klęskę nadchodzącej wojny. Rzeczy jednak inny wzięły obrót (jw.).

Kiedy oczy i uszy, jakie Niekłót miał na dworze saskim, doniosły mu, że książęta sascy posłali do papieża jednego z biskupów, prosząc, by pozwolił krzyżowcom niemieckim, zamiast płynąć za morze, uderzyć na Słowian, książę obodrzycki pojął, że nie ma chwili czasu do stracenia. Cóż sami wiernicy powiadali mu o gromadzącej się sile: książęta bawarscy i sascy, biskupi ze swymi wojskami, królowie duńscy z wielką flotą, nawet pono książęta polscy... Słuchając tego, Niekłót czuł się już nie jak puchacz czy wilk, lecz odyniec osaczony w kniei. Cóż mógł przeciwstawić pancernym, słynnym z bojowej sprawności, rycerzom niemieckim? Dwa oddziały jazdy i ciżbę gołopiersną, uzbrojoną w oszczepy i łuki...

Ku swej obronie Słowianie mieli tylko rozpacz (Michaud, *Histoire des Croisades*).

Nieklót obracał w swej głowie pomysły, rozważał je i do rzeczywistości przymierzał. Wezwał do Zwierzyna na wiec wszystkich książąt plemiennych, nie tylko podległych mu Obodrzyców, Warnów, lecz również Czrezipian, Chyżan, Redarów i Doleńców. Gdy przybyli, zadziwieni, bo dawno nie zwoływał nikt takiego wiecu, Nieklót przedstawił, w czym rzecz. Nie tań grozy położenia, przewagi nieprzyjaciół. Oni, Słowianie, będą otoczeni. Sasi, Duńczycy, Polacy uderzą ze wszystkich stron naraz. Uchodzić nie ma dokąd, chyba na dno morza. Mamyż się poddać? Niewolnikami zostać? Zebrani wzdychają ciężko, przeklinają swoją dolę.

Nieklót przypomina dawne czasy, o których powiadają dziady. Wojenne powstania wszystkich plemion od Odry po Łabę. Palenie niemieckich grodów i klasztorów. Pierzchliwą ucieczkę Sasów... stare przewagi słowiańskie, kiedy cesarstwo bało się Wioletów...

Przestali wzdychać. Podnoszą głowy. Słuchają. Zwierają pięści. Teraz mówca wylicza znane im niemieckie zbrodnie: nieludzkość, wzgardę, wiarołomstwa i rzezie... Poddać się? Po co? By się przed śmiercią pohańbić? Lucice! Zwano was Wilkami! Zginać to zginać, ale wpiery wroga pokąsać! Ktorzy pójda ze mną? Mówcie!

Powstają jak jeden mąż, ocknięci odnajdując w sobie męstwo dziadów. Przysięgają na stare bogi, na wodę, ogień i świętą macierz ziemię, że Nieklót ich wodzem, a żaden własnym umem działać nie będzie, jeno zgodnie z Nieklótowym rozkazem postąpi. Dopiero kiedy przysięgli, Nieklót przedstawił im, co sobie umyślił...

W kwietniu roku 1147 cesarz Konrad wezwał do Frankfurtu nad Menem przywódców wojsk krzyżowych, by omówić ostateczne szczegóły wyprawy. Legat papieski przywiózł książętom saskim zezwolenie zamiany Saracenów na Słowian, równie jakoby dzikich pogan i okrutnych. Rycerzom idącym

za Łabę przysługiwały te same przywileje, odpusty i nagrody niebieskie, jakich udzielono krzyżowcom, pod warunkiem, by „...żaden z walczących nie przyjmował od pogan okupu, co by mogło ostudzić zapał religijny, a niewiernych w ich błędach umocnić...” (Erben, *Regesta*).

Krzyżowcy idący na Słowian otrzymali również odrębną odznakę: tradycyjny krzyż został umieszczony nad krążkiem czerwonego sukna, symbolizującym świat. Oznaczało to obowiązek nie tylko obrony Krzyża, lecz także rozszerzania granic Rzeszy.

Z Frankfurtu cesarz Konrad udał się do Ratzbony, gdzie czekała jego armia, by spłynąć Dunajem ku granicy węgierskiej. Odrzuciwszy okręty Rogera normandzkiego, obrał najdłuższą, najcięższą drogę lądową, tę samą, na której przed pół wiekiem zginęło tylu Latyńców. Drugi człon armii krzyżowej, złożony z Flamandów, Walonów, Fryzów i Lotaryńczyków, miał wyruszyć statkami z Bremy do Anglii, połączyć się tam z rycerstwem brytyjskim i popłynąć dalej. Ta grupa uległa zmniejszeniu, gdyż wielu krzyżowców, posłyszawszy o wyprawie na Słowian, wołało się do niej przyłączyć. Dzięki temu siły księcia saskiego i margrabiego Albrechta zwiększyły się znacznie.

Wojska te mają ruszyć z Magdeburga w dniu św. Piotra i Pawła (29 czerwca). Najlepsza to pora, gdyż konie można już paść zestożonym sianem, nie samą trawą, dosyć zaś wczesna, by zdążyć z powrotem przed jesiennymi chłodami. Zresztą wyprawa ta, w przekonaniu książąt, będzie bardziej paradnym pochodem niżli potrzebą wojenną. Otoczeni z trzech stron poganie nie będą mogli nawet próbować oporu. Hydra słowiańska nareszcie zostanie zgładzona.

Ten pogląd dzielą również Duńczycy. Marzy im się (lecz o tym głośno nie mówią) zagarnięcie wybrzeża Bałtyku. Dwaj królewicze, Swen i Kanut, pogodzeni (chwilowo) ze względu na przedsięwzięcie, przybędą do portu Wyszomir z półtora tysiącem statków. Tam po wylądowaniu spotkają armię saską, ciągnącą na Lubekę.

Niespodzianką dla obradujących książąt jest przybycie opata z Korbei, Wibalda, zgłaszającego udział w wyprawie. Dobroduszny, otyły zakonnik, wyjaśnia zdziwionym, że klasztor w Korbei posiada nadanie samego Karola Wielkiego, dotyczące kraju słowiańskiego, który zowią Rana...

- Rana to wyspa - prosi biskup merseburski, Reinhard.

- Niech będzie wyspa - zgadza się przybyły. - Dzięki obecnej świętej krucjacie mniemam, iż uda się klasztorowi korbejskiemu wejść w posiadanie tego, co mu się prawnie należy...

- Donacja Karola Wielkiego... Czy Wasza Wielebność nie uważa, że pretensje są cokolwiek przedawnione?

- Nadanie Karolowe potwierdził jego wnuk, Lotar I. Mamy dokumenty - zapewnia opat Wibald.

Obecni niezbyt chętnie widzą nowego uczestnika przysyłanych działów, lecz arcybiskup hambursko-bremeński Hartwig uspokaja ich:

- Starczy dla wszystkich słowiańskiego ścierwa.

- A książęta polscy - zapytuje palatyn Fryderyk - co uczynią? Sąż to pewni sojusznicy?

Książę saski uśmiecha się drwiąco:

- Jeśli ku nam nie podejda, pójdziemy do nich, za Odrę... Zagarniem Pomorze. Z tymi książętami - dodaje wzgardliwie - nie potrzebujemy się liczyć...

- Pomorze zostało już pono ochrzczone przez czcigodnego biskupa z Bambergu, Ottona? Zali nam, jako krzyżowcom, przystoi...

Śmiech obecnych przerywa uwagi biskupa merseburskiego. Pomorze chrześcijańskim?! Czcigodny biskup bamburski bawił na Pomorzu dwa razy, po roku... Miałyby w tym czasie trwale nawrócić pogan, nad którymi nasi biskupi pracują usilnie od dwustu lat nie osiągając niczego?... Znamy tych Słowian, dobrze znamy... Ze strachu przed księciem polskim udali, że chrzest przyjmują i natychmiast po odjeździe biskupa bamburskiego wrócili do swoich obrzydliwości...

Margrabia Albrecht Niedźwiedź usuwa się od częstego udziału w krzykliwych naradach. Ma ten milczek własne plany. Równie chciwy i drapieżny jak Henryk Lew (z którym się szczerze nie cierpią), ale sprytniejszy od niego, nie zamierza ciągnąć z Sasami. Niech tamci idą wybrzeżem z Duńczykami, on przejdzie Łabę poniżej ujścia Hoboli (spluwał ze złością, ilekroć przypomniało mu się, że niedaleko tych miejsc leżała Przeclawa) i ruszy prosto na ziemie wieleckie. Henryk Lew niech tryka łbem w Obodrzyców i Warnów, on, Albrecht, przetnie mu drogę, ubieży, skręci na północ wzdłuż Odry, opanuje cały kraj aż po morskie wybrzeże. Co raz zajmie, tego ze swych rąk nie wypuści...

Tak wszyscy razem i każdy z osobna snują swoje plany, dzielą zawczasu skórę na żywym jeszcze niedźwiedziu, ukrytym w borach. Rozprawiają, wysuwają swoje prawa, pewni, że zwierz otoczony nie domyśla się niczego. Zresztą woleliby, żeby stawiał opór. Znakomite rycerstwo mogłoby wtedy pochwalić się przed resztą krzyżowców nie tylko zdobyczą, ale i męstwem.

Nieklót zaś wie wszystko, słucha i naciąga łuk. Plemiona słowiańskie, zespolone jak zwykle w obliczu niebezpieczeństwa, są cięciwą w jego dłoni.

Nieklót widząc więc, że zaprzysiężona wyprawa jest nieodwołalna, skrycie przygotował wojsko morskie i przepłynąwszy zatokę, przybył z okrętami do ujścia Trawny, żeby spustoszyć cały kraj Wagrów pierwej, nimby się wojsko saskie na jego ziemię wylało. Posłał też wieczorem gońca do Siegeberga, obiecał bowiem hrabiemu [Adolfowi] ostrzec go, że nadchodzi, lecz poselstwo to było daremne, hrabiego bowiem nie było... Z brzaskiem więc dnia świętych Jana i Pawła [26 czerwca] morskie siły Słowian spuściły się ujściem Trawny [do Lubeki]. Mieszkańcy podgrodzia... wołali do obywateli grodu: – Słyszeliśmy wielki hałas, jakby nadchodzącego tłumu... Posłali na rynek, by oznajmić o grożącym niebezpieczeństwie. Lecz ludzie, ciężcy od wczorajszego obfitego picia, nie dali się poruszyć z łózek, dopóki nie zostali otoczeni przez nieprzyjaciół... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Spaliwszy miasto i stojące w porcie okręty razem z ładunkiem, Niekłót ruszył dalej.

Dwa oddziały konnicy, przelatując ziemię Wagrów, zburzyły wszystko, co tylko w mieście Siegeberg znalazły. Żupę zaś nazwaną Dargune i wszystko, co tylko poniżej Trawny przez Westfalczyków, Holendrów i inne obce ludy zamieszkane było, pochłonęły płomienie. Pozabijali ludzi męźnych, którzy im opór stawiać chcieli, i uprowadzili żony ich i synów w niewolę. Przepuścili jednak Holzatom, mieszkającym... na zachód od Siegebergu, i zatrzymali się na polach miasta Kauliny, dalej posuwać się nie mając zamiaru (jw.).

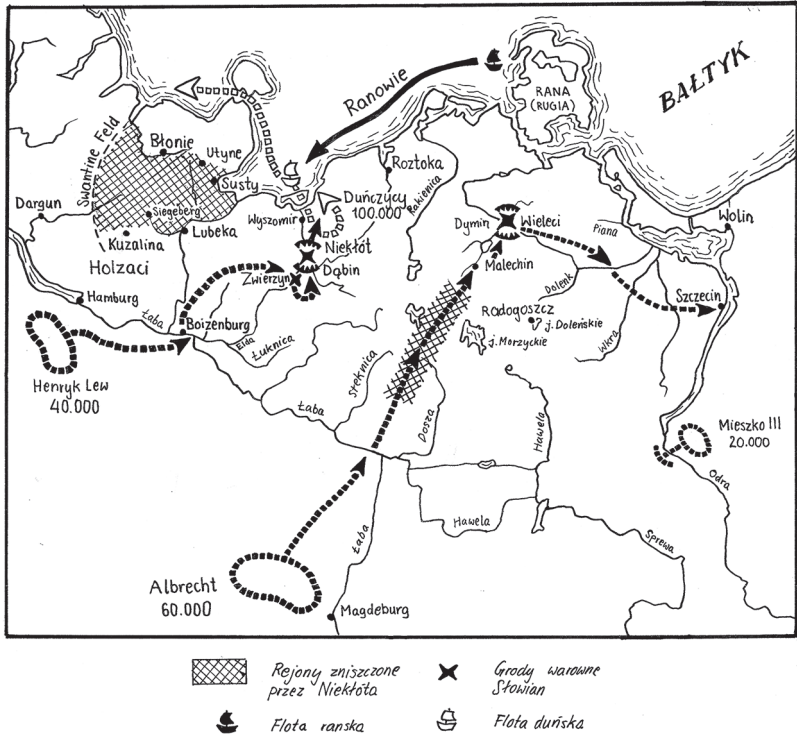
Podczas gdy zawzięty młodzik, Przybysław syn Niekłóta, pustoszył zaludnioną kolonistami Wagrię na czele konnych oddziałów, Niekłót jedzie do swego rodowca Rogali. Na tym pasku nieurodzajnego wybrzeża, zostawionego Słowianom, gdyż koloniści nie chcieli się tu osiedlić, trwa jeszcze żywe pogaństwo i jadący z czułością spogląda na święte dęby szumiące nad morzem. (W kraju Obodrzyców święte gaje zastały wycięte za panowania Henryka Goczałkowica). Oto świątynia poświęcona bogu Prowe, u stóp którego ojcowie składali wraz z ofiarami swoje prośby, nadzieje i smutki. Przy świątyni długowłosa, siwobroda żerca sprawuje wróżby, jak ongi.

...mieszkańcy tej ziemi Prowego jako boga czcili. Imię kapłana będącego naczelnikiem tych zabobonów było Mike [?], ksiązę zaś kraju nazywał się Rochel i ten pochodził z rodu Kruta i był bałwochwalca i wielki rozbójnik (jw.).

Rad by ksiązę obodrzycki zatrzymać się tutaj, przyłożyć spotniałe z upału czoło do chłodnej chropawej kory, zasięgnąć wróżby, lecz czas nagli. Z Rochelem-Rogalą dogadują się w paru słowach. Rodowiec powiadomi Niekłóta o poruszeniach Duńczyków.

Obodrzyce wspomagani przez resztki tutejszych Słowian, szczęśliwych, że mogą się pomścić, wykonują rozkazy wodza skrupulatnie. Koloniści Adolfowi pierzchają z płonących domów z wyciem przerażenia. Najeźdźcy podpalają

## Wyprawa krzyżowa na Słowian w roku 1147



zabudowania, do studni ciskają padlinę. Święta wodziczka wybaczy, że ją plugawia, bo idzie o wolność. Bydło pędzą ze sobą lub na miejscu rzną. Niech gnije na słońcu, niech rodzi się z niego zaraza. Zboże ścinają na pniu, bo zielone jeszcze, palić się nie chce. Dokonawszy dzieła zniszczenia, wracają z Niekłotem, a czekające oddziały piesze przekopują za nimi gościniec głębokimi rowami, w które wnet podchodzi woda, bo w tej okolicy wielka wód obfitość. Spuszczają na drogę co największe drzewa, tworząc nieprzebyte zapory. Ludności słowiańskiej każe książe zabierać dobytek i uciekać natychmiast, jak najdalej od tych miejsc. Starcy, kobiety i dzieci niech siedzą z trzodą zaszczyt w odległych ostępach, czy na



ostrowach, kto zdolny władać toporem, niechaj się zgłasza do niego ma służbę.

(W Magdeburgu rycerze krzyżowi już przywdziali zbroje, piją strzemiennego. Służba posiadła konie...).

Nieklót wszystkie swoje wojska ściągnął do Dąbina. Załogę Zwierzyna wzmocnił. Te dwie twierdze, położone po dwu stronach długiego jeziora, wśród rozlewisk i moczarów, czekają na nieprzyjaciela. Jedną i drugą otacza obóz warowny, w którym zgromadzono żywność i zapasy broni. W borach zostały siły starannie ukryte. Te leśne oddziały mają za zadanie nie ukazywać się nieprzyjacielowi, lecz urywać, szarpać go, dowozy przecinać, na tylne straże napadać, otaczać najeźdźców niewidzialną siecią, nękać nieustannie, a najgorzej nocą. To samo uczynią w swym kraju Wieleci. Jak Nieklót w Dąbinie, tak oni obwarowali się w Dyminie nad Pianą.

Jak wspaniałe jest wojsko krzyżowe! Lśniące zady bachmatów, barwiste kropierze, wypolerowane zbroje odbijają słońce, niby tyleż zwierciadeł. Szumią pióropusze hełmów. Na każdym płaszczu czerwieni się znak krucjaty: krzyż nad kulą ziemską, symbolem władztwa cesarza rzymskiego. Cóż to za piękna wyprawa przez cieniste bory! Henryk Lew zapewnia, że trakt jest wygodny, osiedla gęste i ludne.

...z największą okazałością i świetnym wyposażeniem oraz godnym podziwu zapałem wkroczyli na ziemię pogan w poszczególnych oddziałach, aż ziemia drżała na ich widok... (*Annales Magdeburgenses, Pommerliches Urkundenbuch*).

Razem z Henrykiem Lwem ciągną: księżę burgundzki Konrad z Zähringen, arcybiskup hambursko-bremeński Hartwig, biskup werdeński Dietmar, margrabia z Saltwedele oraz liczna gromada baronów. Każdy z wymienionych wie swoje wojsko. Ogólną liczbę kronikarze podają na czterdzieści tysięcy zbrojnych.

W tym samym czasie, poniżej ujścia Hoboli, przekracza Łabę Albrecht Niedźwiedź z sześćdziesięciu tysiącami. To-

warzyszą mu: Fryderyk Anzelm biskup hoboliński, zarazem legat papieski, arcybiskup magdeburski Fryderyk, biskup halberstadzki Rudolf, biskup monasterski Werner, biskup merseburski Reinhard, biskup brandenburski Wigger, margrabia miśnieński Konrad z Wettinu, palatyni (pfalcgrafy) Fryderyk i Herman, opat Wibald z Korbei i inni.

Armia saska księcia Henryka Lwa przeprowia się pod Boizenburgiem przez Łabę. Tuż za rzeką dobiega ich nieprawdopodobna wieść o spaleniu Lubeki. Półprzytomni z trwogi niemieccy mieszkańcy tego grodu, tudzież węgryjscy pogorzelnicy dopadają jadących bezładnym zrozpaczonym tłumem, płaczą, łają, przeklinają głośno chwilę, w której dali się skusić namowom hrabiego Adolfa, aby rzucili własny, ubogi, lecz bezpieczny kraj...

– Kto się ośmielił? Kto?! No, któż by? Słowianie!  
W szeregach pomruk wściekłości.

...po całej Saksonii i Westfalii rozeszła się wieść, że Słowianie napadem swym pierwi wojnę zaczęli i cała wyprawa godłem krzyża naznaczona pospieszyła do ziemi słowiańskiej, by ich nieprawość ukarać... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Ruszają w skok, bo według relacji pogorzelników napad miał miejsce przed kilku dniami zaledwie. Dościgną maruderów, obciążonych łupem i krwawo ukarzą zuchwalców. Nie ujdzie żaden z nich żywy! Pędzą, aż stękają konie. Krótki ich bieg. Gościniec przecina zaporę zwalonych drzew. Objechać ją? Na prawo i lewo ciągną się zasieki, docierające aż do mokrych łągów, gdzie nie ma przejazdu.

Henryk Lew dygoce z bezsilnej wściekłości. Zasieka została wzniesiona co ino, liście drzew ściętych zaledwie przywieźdły. Nieprzyjaciel musi się znajdować blisko... Na wszystkie moce niebieskie i piekielne, jakże się do niego dostać?

Ciury gorączkowo pracują nad usunięciem przeszkody. Knechci rozbiegli się po lesie, szukając innego przejścia albo śladów wroga. Spotykają tylko zgłiszczca jednej wsi, dalej następnej...

Nareszcie pochód rusza, by wnet stanąć znowu. I tak ciągle. Co mila, co pół mili drogę przegradzają barykady drzew, ciągnące się daleko w obie strony. Nie znający tego kraju Konrad burgundzki doradza zawrócić i pójść inną drogą, na co Henryk z zimną złością cedzi, że sam byłby taki mądry, ale innej drogi nie ma. Jedyne suchy szlak, dzielący wody pojezierza, prowadzi tędy, na Zwierzyn.

Wlecze się wojsko, tracąc czas i siły. Nieprzyjaciela wciąż ani śladu. Ani ludzi, ani bydła, ani trzody. Dymy snują się nad świeżymi zgliszczami osad i grodów. Po kilku dniach takiego marszu krzyżowcy są nie tylko zmęczeni. Zjedli zapasy, jakie każdy miał ze sobą, i zaczynają być głodni.

Rycerze owej epoki są niewrażliwi na zimno, niewczasny i rany, są za to bardzo wrażliwi na głód. Oni oraz ich giermkowie przywykli jeść suto. W obecnej wyprawie (mającej być piękną letnią przechadzką!) panowie i sługi poszczą. Koniom nie brak trawy, ale jeźdźcy mają brzuchy puste.

Bór zdaje się być zieloną pustynią, gdzie nie masz nikogo. Nikogo? Czemuż zatem każdy pacholek czy zbrojny, byle się oddalił od swoich, w nadziei, że ustrzeli z łuku zająca lub koźła, ginie, jakby go ziemia wchłonęła? Wielu tak przepada codziennie. Przeklęty kraj! Na polanach pogorzelska. W opuszczonych studniach cuchnąca zgniła woda. W zaroślach roje komarów i bąków.

Wojsko utrudzone, jakby odbyło drogę co najmniej do Ziemi Świętej, dociera w końcu do twierdzy Dąbin, gdzie zza wału wita ich grad strzał. A więc tu się schronili obmierzli poganie!

Twierdza mocna. Trzeba rozłożyć się obozem i zaczynać regularne oblężenie.

Nie w smak to rycerstwu, którego siłę stanowi zdruzgotanie przeciwnika w uderzeniu na otwartym polu. Cóż jednak począć? Trzeba budować maszyny oblężnicze, których nie przyprowadzono ze sobą, ponieważ miały być zbędne. Kto mógł przypuszczać?

Henryk Lew zagryza wargi. Głośno nazywa Słowian barbarzyńskim bydłem, lecz w duszy czuje podziw dla zmyślno-

ści przeciwnika. Co za wódz, co za ludzie, którzy z determinacją zniszczyli własny kraj, byle wrogowi uniemożliwić pochód!

Grząski grunt nie nadaje się do stawiania machin. Głód doskwiera coraz silniej. Oblężonym za to powodzi się dobrze. Dolatujące zza wałów porykiwania, mecenia, kwiki trzody, dowodzą, że żywności nie brak. A rycerze, wielmoże, panowie biskupi o wybrednym podniebieniu, co mają czynić? Gryźć szczaw, gotować polewkę z lebiody, ssać wielkie dudy rosnące nad wodą, zbierać jagody i grzyby? Przekleństwo prawdziwe! Zwierzyna spłoszona obecnością ludzi wyniosła się głębiej w las, spróbuj zaś iść za nią, oho, już nie wrócisz. Ludzie wciąż giną... Chyba czary.

Henryk Lew posłał do Hamburga po żywność, która niebawem powinna nadjechać. Ostrzegł, by konwojowi dano należytą ochronę. Kilkadziesiąt wozów z zapasami mąki, krup, słoniny, wędzonego mięsiwa, serów nadejdzie łąda dzień. Wyglądają ich wszyscy z utęsknieniem. Niestety! Zamiast wozów pojawiają się wylękłe niedobitki straży. Te pogańskie diabły – powiadają – spuściły się z drzew nam na głowy. Było ich tyle, spadły jak gacki tak nagle, że nie mogliśmy się bronić. Nikogo nie żywili, wykłuli prawie wszystkich, a wozy zabrali...

Siny z gniewu książe saski kazał niefortunnych posłańców powiesić, a głód trwał nadal. Z kiepskiego płonego jądła, ze stojącej wody, z nadmiaru much i komarów, zaczęły się choroby. Biegunka dręczyła wielmożów i sługi. Wielmożów gorzej, bo niezwyczajni nędzy.

Z rosnącą niecierpliwością oczekiwano Duńczyków, którzy się opóźniali.

Armia margrabiego Albrechta znajdowała się w podobnym położeniu. Tak samo ziemia, którą szli, była wymarła i ogołocona. Tak samo gościńce były zniszczone, a brody na rzekach zawalone pniami. Tak samo rycerstwu dokuczwał głód, kąsały ich muchy i baki. Po drodze napotkali opuszczony gród Malechów.

...świętynię z bożkami, stojącą przed miastem Malchin, oraz samo miasto spalili (*Annales Magdeburgenses*, rok 1147).

Stamtąd wojsko ciągnęło na Dymin, daremnie starając się o spotkanie z nieprzyjacielem. Redary i Doleńcy stosownie do rozkazu Niekłóta wycofali się na północ. Zostawili własny kraj na pastwę wroga, uprowadziwszy zeń wszystkich mieszkańców i spaliwszy wszystko, co się dało spalić. Toteż krzyżowcy nie mieli żywności.

...napotykali ziemię bezdrożną i podmokłą, a mieszkańcy jej byli nieobecni i rozproszeni i nie można było ich znaleźć (*Chronicon Petershausen*, rok 1147).

Dymin to warowny gród, otoczony z trzech stron szeroką pętlą bogatej w wodę rzeki Piany, z czwartej jej dopływem, rzeką Dolenką, wypływającą z Jeziora Doleńskiego. Obwarowania grodu wzmocniono bardzo w ciągu ostatnich miesięcy i stanąwszy przed Dyminem Albrecht Niedźwiedź pojął, że bez floty nie ma co marzyć o zdobyciu tego grodu. Flotę posiadają Duńczycy. Kiedyż, do licha, nadpłyną!?

Trzech synów Krzywoustego bierze udział w tej krucjacie. Najstarszy, Władysław Wygnaniec, pozostawił żonę i dzieci w Altenburgu w Saksonii, sam pojechał do Ziemi Świętej z cesarzem.

...wśród krzyżowców przybyłych do Nicei znajdowali się władca Czechów i władca Polaków, narodu scytyjskiego... (Johannes Cinemus, *Epitome*).

Drugi z kolei, Bolesław zwany Kędzierzawym, ślubowawszy przyjęcie krzyża, zebrał znaczne siły i uderzył na Prusów. Kierowała nim zapewne chęć ukarania ich za to, że wspomagali przedtem Władysława. Wyprawa się nie powiodła.

Prowincje Getów [Prusów], choć nie były sztuką obwarowane, ale przyrodzonym położeniem niedostępne. Na wstępie jest gaj zewsząd gęstymi zaroślami zasiany, w którym przepaść

trzęsawicy żywicznej pod zieloną ukrywa się murawą. Przewodnicy powiadali, że gaj można przejść, byli bowiem przez nieprzyjaciół podarkami przekupieni... (Kadłubek, *Kronika*).

...brat zaś księcia polskiego [Mieszko] wyruszył z dwudziestoma tysiącami zbrojnych. Starszy jego brat [Bolesław Kędzierzawy] z licznym wojskiem pociągnął na Prusów, naj-sroższych barbarzyńców, i przebywał w ich kraju czas dłuższy (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Mieszko zebrał rzeczywiście około dwudziestu tysięcy wojów, nie kwapił się jednak prowadzić ich przeciw poganom. Przewidywał, że krzyżowcy sascy w razie powodzenia nie zatrzymają się na Odrze, ale ruszą na Pomorze. Jeżeli księżę pomorski Racibor ulegnie, Wielkopolska mieć będzie Niemców jako bezpośrednich sąsiadów. Uchowaj Boże takiego nie-szczęścia! Mieszko rozbił więc obóz nad Odrą, niby gotując się iść na pomoc Niemcom, niby na coś czekając, w rzeczywistości pilnując granicy. Czy były odnośne umowy między nim a jego dziewierzem Raciborem, dawnym „królem morskim” – nie wiemy. Zważywszy łączące ich powinowactwo, wolno przypuszczać, że działali w porozumieniu.

„Duńczycy płyną na Wyszomir w dwa tysiące okrętów!” – powiadomił Rogala swego rodowca Niekłóta, obleganego w Dąbinie.

„Daj śpiesznie znać o tym Ranom!” – odpowiedział księżę Obodrzyców.

Królewicze duńscy Swen, syn Eryka Emmune, i Kanut, syn Magnusa, wnuk Krzywoustego, chwilowo pogodzeni, płynęli rzeczywiście na pomoc Niemcom z olbrzymią siłą Fionów, Zelandów, Holendrów i Skanów, razem około stu tysięcy zbrojnych. Liczba ta potwierdzona jest przez paru kronikarzy.

...obaj królowie duńscy wyruszyli na Dąbin. Król Kanut ze swą flotą zawinął wcześniej do portu wyszomirskiego. Król Swen nadpłynął za nim z Fionami, Holendrami i Zelandami (*Scripta historica Islandorum*).

Król duński wraz z biskupami, powszechnym wysiłkiem swego narodu zgromadziwszy jak mógł najwięcej oddziałów, zebrał około stutysięczne wojsko (*Chronographia Saxonica*).

...również król duński ze stutysięczną armią swego kraju... (*Chronicon Montis Sereni*, rok 1147).

Duńczycy zakotwiczyli swą flotę w porcie wyszomirskim (dziś Wismar), połowę wojska zostawili na okrętach jako rezerwę i ochronę dla załogi, druga połowa wyruszyła wspomagać krzyżowców, oblegających Zwierzyn i Dąbin. Odległość nie była znaczna, lecz jeziora i rozlewiska nie pozwoliły na połączenie się obu armii. Dopiero teraz okazało się, jak chytrze i przemyślnie wybrał Niekłót miejsce do walki. Sasi i Westfalczycy oblegali twierdzę na południowym krańcu jeziora, Duńczycy zaszli od strony północnej. Widzieli się wzajem, lecz dojść do siebie przez moczary nie mogli. Nieliczni śmiałkowie przechodzili grząskie łągi na szczudłach, lecz co zrobi pojedynczy pacholek, tego nie dokáže wojsko. Myślano obustronnie o rąbaniu drzew i budowaniu pomostu, nim to jednak uczyniono, zaszły wypadki czyniące pomost zbyt cennym. Poganin Rogala wywiązał się z polecenia, a Ranowie na swych lekkich, szybkich statkach otoczyli port Wyszomir.

Ranowie postanowili dać pomoc obleżonym przez atak na flotę nieprzyjacielską. Zaatakowali Skanów pierwszych w szyku, którzy wszyscy prawie uciekli ku uciezce Jutlandczyków, nie uważających Skanów za towarzyszy... Zaś Asger, biskup z Roskilde, któremu król powierzył opiekę nad flotą, opuściwszy z nagłą przez opieszałość swój statek, podwieszony łodzią kupiecką do brzegu, wysiadł... i tych, których miał przykładem walki zagrzewać do męstwa, zastraszył widokiem niegodnej ucieczki... Skanowie opamiętawszy się, silniej statki wiązaniem łączą... Zaraz jednak zostali zwyciężeni... część od żelaza zginęła, część śmierć sobie przyspieszyła, rzucając się w fale... (*Sakso Gramatyk, Gesta Danorum*).

Równocześnie Niekłót, powiadomiony o bitwie, toczącej się w porcie, śmiałym wypadem z twierdzy rozbił oblegające Dąbin wojsko duńskie.

...wiele tysięcy Duńczyków zgładził miecz słowiański... (Anzelm Gemblacensis, rok 1147).

...na pomoc im przyjść nie było można, jezioro bowiem ich rozdzielało (Helmold, *Kronika Słowian*).

...oznajmiono Duńczykom, pilnującym oblężenia, że ich flota jest napadnięta. Odwołani tą wieścią, chwycili resztę statków... Królowi Swenowi zabrano statek, na którym przyjechał... Kanut odstąpił mu swój okręt... (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Marzenia duńskie o zajęciu południowego wybrzeża Bałtyku trzeba było odłożyć na lata późniejsze. Chwilowa zgoda między królewiczami przysła, jako że jeden drugiego czynił odpowiedzialnym za klęskę i ucieczkę z powrotem do Danii.

Po odjeździe Duńczyków położenie wojsk krzyżowych pod Dąbinem uległo dalszemu pogorszeniu. Trzy miesiące mijały, jak obozowano tutaj na mokrych łągach, głodując i klnąc. Nadchodził październik, wczesny mrok, późny świt, zimno i deszcze. Rankiem mgły otulały świat, że tylko uchem można było dawać baczenie, czy z grodu nie skrada się wycieczka oblężonych. Choroby dziesiątkowały zdemoralizowaną armię. Ukrywający się w lasach Słowianie szarpali coraz śmielej krzyżowców, przecinali dowóz żywności z Saksonii. Jakże różna była rzeczywistość od nadziei. W październiku rozpoczęły się nagminne ucieczki z obozu saskiego.

...niepokojeni zewsząd, zaniedbując swoje obowiązki i opuszczając obóz, rozchodzili się z nadmiaru trudów... (Anales Palidenses, rok 1147).

Nie lepiej powodziło się Albrechtowi pod Dyminem. Podobnie jak Sasów, wojsko jego niszczył głód, choroby, trapiła bezcelowość dalszego oblężenia. Opat z Korbei, Wibald, nie ujrzał brzegów upragnionej Rany. Dowiedziawszy się, że dawny opat



klasztoru, korzystając z jego nieobecności, najechał i rozgrabił dobra klasztorne, opuścił spiesznie obóz i już 8 września stanął w Korbei, szczęśliwy, że uchwalił życie „wśród dniem i nocą grożących niebezpieczeństw w kraju pogańskich Luciców”.

Z Korbei też wysłał do swojego przyjaciela, biskupa hildesheimskiego Bernarda, list, w którym pisze:

...powróciliśmy z wyprawy słowiańskiej, do której skłonił nas wzgląd na dobro chrześcijaństwa oraz sprawa dotycząca naszego klasztoru, a mianowicie odzyskanie kraju, który Niemcy zwą Rujana, Słowianie zaś Rana, a którą czcigodny cesarz Lotar I zapisał jako dar monarszy klasztorowi w Korbei, potwierdzając tym nadaniem darowiznę swego dziada, Karola Wielkiego (Hasselbach, *Codex*).

Znużeni bezczynnością, dwaj biskupi sascy oraz biskup morawski Henryk odłączyli się od głównych sił margrabiego, by uderzyć na niespodziewający się napadu Szczecin (Na przeciwnym brzegu Odry stały wytrwale wojska Mieszka Bolesławowica).

Biskup morawski Henryk, przyjąwszy krzyż dla Imienia Chrystusa, ruszył na Pomorze z biskupami saskimi i licznym wojskiem, aby nawrócić Pomorzanie na wiarę chrześcijańską... Przybywszy do ich stolicy, zwanej Szczecin, otoczyli ją zbrojnymi zastępami... (Wincenty z Pragi, *Kronika*).

Wówczas przed oczyma oblegających błysnęły krzyże, licznie wyniesione na wały przez ludność szczecińską, z bram zaś grodu w uroczystej procesji, w stroju liturgicznym wyszedł biskup pomorski Wojciech, niegdyś kapelan Bolesława Krzywoustego, towarzysz św. Ottona, z którym wspólnie dokonywał chrztu Pomorza, i udał się do obozu nieprzyjacielskiego. Zebranych biskupom saskim oświadczył:

...że Pomorze jest od dwudziestu lat chrześcijańskie, książętom wyrzucał ich gwałty i grabież, powiadając, że jeśli przyszli nawracać, to na próżno, bo nawracanie jest sprawą pokoju, a nie oręża i krwi rozlewu... Jeżeli zaś przyszli dla wojny, otrzymają należytą odprawę (jw.).

(Wojska polskie stróżowały wciąż nad Odrą, zważając pilnie, co się po tej stronie dzieje).

Ponieważ Sasi przywiedli tak liczne wojsko raczej dla zdobycia Pomorza niż dla wiary chrześcijańskiej, biskupi sascy, posłyszawszy mowę Wojciecha, po odbyciu narady z tymi, którzy byli za pokojem, oraz po stracie wielu ludzi, przystąpili wraz ze swoimi książętami do rozmów z księciem Raciborem i biskupem tego kraju, Wojciechem. Trudno było bardzo załatwić pomyślnie sprawę, w której nie zważano na Boga... (jw.).

Skończyło się złożeniem przez miasto Szczecin znacznego okupu. Wprawdzie papież Eugeniusz III zabronił pod klątwą przyjmować od Słowian pieniędzy, w tym jednak wypadku zakaz – zdaniem biskupów – nie obowiązywał, dotyczył bowiem pogan, tu zaś byli chrześcijanie...

Suma otrzymana stanowiła jedyny, jakże nikły zysk krucjaty!

W cennej relacji Wincentego, kronikarza praskiego, uderza zdanie: „po stracie wielu ludzi”. Dowodziłoby ono, że szczecinianie nie ograniczyli się do wyniesienia krzyży na wały, lecz, nie czekając na skutek, przystąpili do energicznej obrony, lub że nastąpiło starcie z oddziałami polskimi.

Margrabia Albrecht miał w obozie gościa. Był nimi baron Hermann von Waldeck, który jako krzyżowiec ruszył na wiosnę z cesarzem Konradem. Obecnie wraz z paru towarzyszami wrócił z Konstantynopola, przywożąc listy cesarskie do wszystkich książąt i biskupów Rzeszy. Wiadomości, jakie podawał, źle świadczyły o rozpoczętej krucjacie.

Grzejąc zziębnięte dłonie nad kotłem z żarem ustawionym pośrodku namiotu, baron opowiadał zebranym o uciążliwej lądowej drodze, o wrogości chytrego basileusa Manuela Komnena, o łajdactwach greckich... Płacili krzyżowcom fałszywymi pieniędzmi, których potem nie chcieli przyjmować, dodawali wapna do mąki, z czego wielu ludzi pomarło... Nie

puszczali krzyżowców do grodu... Słusznie rozeźlone wojsko jeło swawolić, a gdy zdarzyło się, że jednego z rycerzy zamordowano we śnie na kwaterze, nasi spalili całe przedmieście i mieszkańców wyrznęli... Nasz pan Konrad – ciągnął von Waldeck – musiał te szkody zapłacić... Dlatego nas wysłał z listami... Chcielibyśmy co rychlej pieniądze zebrać i do naszego cesarza wracać... Zastaniemy go chyba pod Jerozolimą, da Bóg w Jerozolimie, bo w początku września wojsko nareszcie miało się przez Bosfor przeprawiać...

– Ode mnie w każdym razie nie dostaniecie ani grosza – oświadczył margrabia. – Po diabła staliście tyle czasu pod tym przeklętym Konstantynopolem?

– Statków mam nie dali do przewozu.

– Mogliście palić przedmieścia, lepiej było brać zbrojną ręką łodzie...

– Wielu z nas myślało podobnie – przyznał wysłaniec. – Jeno, że tamto była swawola żołnierska. Nasz pan Konrad tłumaczył się przed Manuelem, że o niej nie wiedział...

– Głupiec! – syknął Albrecht przez zęby. – A co z Brytyjkami i Flamandami?

– O, tamtym się poszczęściło – westchnął zazdrośnie von Waldeck. – Wy płynęli z Bremy w niecałe dwieście okrętów, w Anglii dołączyło do nich drugie tyle... O płynąwszy Francję wjechali po wodę i żywność w ujście rzeki Tag, tam zaś czekali na nich posłowie księcia Alfonsa burgundzkiego, powiadający, jako od pół roku oblegają Maurów w nadmorskim grodzie Lacedbona (Lizbona), lecz wskórać niczego nie mogą, i błagali o pomoc. Obiecali w imieniu swojego księcia wielkie i bogate łupy, byle im dać tę pomoc... Powiadali, że przecież Maurowie a Saraceni to jedno, oręż zaś mają najpiękniejszy w świecie... Krzyżowcy, słysząc to, chętnie przystali, podpłynęli pod ów gród, a Burgundczyk ze swoimi uderzył silnie od lądu. Po czterech miesiącach zdobyli Lacedbonę i Maurów wyrznęli, a bogactwa były tam prawdziwie wielkie, bo niewierni kochają się w zbytku... Zgodnie z umową, gród dostał się księciu burgundzkiemu, a krzyżowcy zabrali zdobycz i wrócili. Już są pono doma...

– Do diabła! Do diabła! – powtarzał ze złością margrabia. Jego gniew był zrozumiały: Fryzy, Flamandy, Brytyjczyki obłowiły się bez trudu, on zaś poniósł same straty! Wypadnie powracać z niczym. Parokrotnie już, zarówno do niego, jak do Henryka Lwa pod Dąbinem, zwracali się własni wasale, protestując przeciw dalszemu niszczeniu kraju, który miał być ich własnością.

...czyż ziemia, którą pustoszymy, nie jest nasza, a lud, z którym walczymy, nie jest naszym poddanym? Dlaczegoż sami swoimi nieprzyjaciółmi jesteśmy i dochody nasze marnujemy? Czyż ta klęska nie odbije się i na panach naszych?... Od owego też dnia zaczęły się w wojsku robić przewłoki i oblężenie... zelżało... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Ostrożny Adolf holsztyński już nawiązywał dawne stosunki z Niekłótem, udając, że nie był winien niczemu, co zaszło.

Hrabia zaś nasz [Adolf], chcąc wznowić naruszoną przyjaźń, zawarł pokój z Nikłótem i innymi Słowianami... Niezupełnie im jednak dowierzał, pierwsi bowiem przymierze zgwałcili i po ziemi jego straszne rozsieli zniszczenie. Pocięszął swój lud [kolonistów], spustoszeniem nieprzyjacielskim dotknięty, prosząc, by się nie poddawał nieszczęściu, lecz miał przekonanie wewnętrzne, że ludzie nadgraniczni wielką mieć winni cierpliwość i krwi swej nie żałować... (jw.).

Kończyła się wczesna jesień, nadchodziła pora szarugi, błota, przenikliwych wichrów morskich... Oblegające Dąbin wojska saskie, stojące daremnie pod Dyminem wojska margrabiego, musiały odstąpić, by wracać do kraju. Były wyniszczone, zdziesiątkowane chorobami i podjazdami słowiańskimi. Wodzowie pragnęli ratować pozory, by nie wracać z piętnem haniebnej porażki. Niekłót zbyt mądry, by się upajać zwycięstwem, ułatwił im to, ofiarowując pokój, przy czym Słowianie obiecali przyjąć chrzest i wypuścić jeńców duńskich. Warunki te zostały z pośpiechem przyjęte i wojska krzyżowe opuściły ziemię słowiańskie, wracając za Łabę.

Wielu z nich pozornie chrzest przyjęło, a z zabranych do niewoli [Duńczyków] wypuścili wszystkich starych i niedołągów, zatrzymując młodszych i do pracy zdatnych. Tak się zakończyła z małym skutkiem ta wielka i szumna wyprawa. Wkrótce bowiem Słowianie stali się jeszcze gorsi, niż przedtem byli (jw.).

W ciągu zimy nadeszły do Europy dalsze relacje o losach krucjaty. Krzyżowcy opuścili Konstantynopol z zapasem żywności obliczonym tylko na trzy dni, gdyż przewodnicy zapewniali, że to aż nadto wystarczy... Z tą szczupłą ilością wywieziono ich w głąb pustyni, gdzie już czekali niewierni „wyjąc jak wilki i ujadając jak psy”. Pozbawieni żywności i wody, otoczeni przez nieprzyjaciela, krzyżowcy usiłovali się bronić. Muzułmanie zasypywali ich rojem strzał nie dając chwili odpoczynku... Głód i pragnienie odbierały chrześcijanom siły do walki. Wspaniała armia cesarza Konrada wyginęła na tej pustyni... Podobny los spotkał w górach laodycejskich korpus księcia szwabskiego Fryderyka...

Nie lepiej się powiodło królowi francuskiemu ciągnącemu osobno (żaden z obu władców nie chciał przejść pod komendę drugiego). Francuzi z głodu zjedli wszystkie konie, tłukli końskie gnaty między kamieniami i żuli tę miazgę. Potem w górach Kadmus bili się z Saracenami. Przez niedbalstwo dowódcy straży przedniej, rycerza de Rancon, armia francuska trafiła w zasadzkę, z której prawie nikt nie uszedł.

W tych wiadomościach nie było przesady. W jakiś czas później cesarz niemiecki Konrad III i król francuski Ludwik VII wrócili do Europy „bez wojsk i bez sławy”.

Druga krucjata była zakończona. Poczęta w glorii uniesienia, zostawiła w dziejach pamięć najhaniebniejszego epizodu swego wieku.

Co czynią dwaj jedyni prawdziwie wielcy ludzie tego okresu, Bernard opat z Clairvaux i Nieklót książę obodrzycki? Upokorzony Święty i triumfujący poganin. Słyszeli wzajemnie wiele o sobie, lecz nie zetknęli się nigdy osobiście, obecnie

zaś zarówno jeden, jak drugi przeżywa bolesny dramat. Ile przedtem Bernard był uwielbiany i czczony, tyle go teraz spotyka wyrzutów. On winien klęsce, bo on spowodował wyprawę krzyżową. On do niej ludzi zachęcał, namawiał, gorącym słowem przymuszał. On więc ponosi odpowiedzialność za nieudolność wodzów, za pychę, chciwość i kłótniwość baronów, za rozpustnice towarzyszące wojskom, siejące zarazę w obozie francuskim, za perfidię Greków, za trzy tysiące znikczemniałych chrześcijan, co wyrzekli się Chrystusa, przyjmując wiarę Mahometa... On, Bernard.

...wywiódł chrześcijan na pustynię Wschodu, by tam pomarli, jak gdyby w ich ojczyźnie brakło miejsca na pochówek... (Odon de Deuil, *Bibliothèque des Croisades*).

Wielbiciele, którzy dawniej rozgłaszali jego rzeczywiste lub zmyślane przez nich cuda, dziś osłupieni, zawiedzeni stają w pierwszym szeregu prześladowców. Nikt nie broni Świętego. Wprawdzie chłosta opinii nie byłaby zbyt bolesna dla wiernego miłośnika ubiczowanego Chrystusa, lecz ciężką udrękę stanowi niepokój wewnętrzny. Pierwszą reakcją Bożego rycerza na obrót wypadków jest uczucie podobne do buntu:

Co za wstyd dla nas! Czyż nie spełnialiśmy rozkazów Kościoła? Dlaczego Pan nie wejrzał na nasze umartwienia i modlitwy? Dlaczego słucha cierpliwie bluźnierczych głosów pogan, radujących się, że pozwolił zginąć swoim sługom? Zna chrześcijanin, że wyroki Pana są sprawiedliwe, lecz to, co zaszło, jest taką otchłanią, że szczęśliwy, kto się nią nie zgorszy! (*Apologia św. Bernarda*, Joseph-François Michaud, *Histoire des Croisades*).

Daleki od wszelkiej działalności publicznej, zamknięty w swej celi Płomiennousty rozważa po raz tysięczny sens zdarzeń ostatnich trzech lat. Na jakim zakręcie drogi rozminął się z wolą Bożą? W którym momencie przeoczył głos Pana? Gdy wspomni miesiące poprzedzające krucjatę, rozpierające go wówczas uczucia dumy i pokory – dumy, że takiemu Panu służy, pokory, bo czuje się niegodnym posłem – dziejące się

wokół cuda, ryk entuzjastycznych tłumów, widome działanie łaski, przejmująca boleść ściska serce starego opata. Byłoby to wszystko złudą i omamem?

Ach, wiemy, że w niekończących się dialogach Bernardowej duszy z Bogiem, wypełniających ostatnie lata życia wielkiego opata z Clairvaux, zrozumiał on, w czym popełnił błąd, dlaczego osunął się wznoszony przezeń gmach. „Miłuj bliźniego swego...” A któż jest mój bliźni? „Bernardzie, synu wybrany, zaliś miłował pogan? Głosiłeś: – Wyróżnić, jeśli się nie chcą nawrócić! Gdybym pragnął ich zagłady, czyż nie zesłałbym jej na nich? Nie miłowałeś pogan, Bernardzie, zapominając, że Ja ich miłuję...”

W Zwierzynie, na zamku o nadkruszonych wałach i dziedzińcu zasłanym śladami niedawnej walki, siedzi zwycięski książę Obodryców. Dokonał dzieła pozornie niemożliwego. Przeciw niebronnej krainie słowiańskiej wystąpiły wojska więcej niż dwusettyśieczne, zakute w zbroje, zadufane w swoją moc. Ziemia drżała na ich widok. On je pokonał. On sprawił, że po kilku miesiącach odeszły niesławnie. Prawda, że wyniszczył swój kraj, doprowadził ludność do ruiny, to prawda, że spłonęły osady i grody, ale nieprzyjaciel odszedł. Wszystkie plemiona wynoszą pod niebo sławę Niekłóta. Wszyscy składają mu hołd, wyrażają zaufanie i miłość. Powinien czuć się szczęśliwy.

Mrok gęsty listopadowy pokrywa ziemię. Na dziedzińcu przy ogniskach bezdomni nędzarze weselą się, bo są wolni, bo Sasi odeszli. Krzyczą, hukają na cześć swego wodza, gędźce na poczekaniu układają o nim pieśni. Z dworcowego ganku Niekłót spogląda na nich, nie widząc. Słucha okrzyków i pieśni, nie słysząc. Patrzy na radujących się, niby na dzieci, nieznające swego losu. Z wolna ognie przygasają i milkną okrzyki. Każdy otulił się, w co miał, grzbietem przylgnął do sąsiada, nogami ku ciepłu tlejącemu z resztek ogniska i śpi. Wiatr łomocze o dach dworca, aż skrzypią krokwie. Noc już późna, a książę nie śpi. Chodzi po swej izbie tam i z powro-

tem i rozmyśla. Myśli zwycięzcy podobniejsze są, o dziwo, do rozpaczy niż do triumfu, a dadzą się streścić w tym jednym słowie: Co dalej? Tego roku się udało. Na przyszły rok nieprzyjacieli wróci. Może i wówczas uda się go odepchnąć, lecz on wróci po trzeci i czwarty, i dziesiąty raz, coraz potężniejszy... Książę obodrzycki zostawi po sobie dwóch Niekłótowiców, walecznych, tęgich chłopów (po prawdzie trzech, lecz o trzecim ojciec nie chce wiedzieć), cóż oni jednak poradzą przeciw nawale? Nikt im nie przyjdzie z pomocą, nikt nie pośpieszy z ratunkiem.

Polacy, Czesi w najlepszym wypadku zostaną jak teraz, bezczynni. Powraca uczucie, jakie miewał Krut syn Gryna, że wraz ze swym ludem znalazł się na krze lodowej, rwanej bystrym prądem, topniejącej pod stopami...

Słowianom obce jest pismo, lecz znają dobrze swe dzieje, przekazywane ustnie z pokolenia w pokolenie. Niekłót wie, iż dziadowie obrali kiedyś złą drogę, nie weszli dobrowolnie do wielkiej wspólnoty, a obecnie czas już minął...

Minąłże istotnie? Nie da się zawrócić ze złej drogi? Krut przemyślał nad tym. Bał się, że go lud nie posłucha. Ta przeszkoda dziś odpada, bowiem on, Niekłót, stanął tak wysoko, posiadał wśród swoich posłuch tak ogromny, że cokolwiek by kazał uczynić, uczynią. A zatem?

Chodzi książę po swej izbie, myśli kołaczą mu się w głowie jak gałęzie bezlistnych drzew o ściany dworca. Mógłby... Więc czemu nie czyni? Bo wielki jest wstręt, jakiego prosty, prawy Niekłót nabrał do chrześcijańskiej obłudy, chrześcijańskiej pychy i chciwości. Nie zna Prawdziwego Boga, zna Jego wyznawców. W głębokiej rozterce, zdając sobie sprawę, że odsunął tylko na pewien czas zatonięcie kry; powtarza, co stary żerca rzekł do Ottona biskupa: „Lepsza jest wiara, jaką wyznajemy. Nie chcemy wiary waszej”.

Opata z Clairvaux umiłował Kościół, uniósł wysoko i imię jego zostanie czczone na wieki. Zakotwiczone jest w Panu. Poganina Niekłóta wchłonęła niepamięć. Któż wie o jednym z ostatnich bohaterów Słowiańszczyzny?



Po upływie siedmiu wieków zniemczeni potomkowie Nieklóta, książęta meklemburscy, wzniesli w dawnej jego stolicy Zwierzynie [dziś Schwerin] na frontonie nowego zamku, konny posąg swego przodka, jako wojewody... (Karol Sieniawski, *Pogląd na dzieje Słowian*).

Ten hołd niemiecki jest jedynym śladem po Nieklócie.

## GASNĄCY PŁOMIEŃ

Najmłodszy syn Niekłóta, Przeclaw, którego ojciec nie chciał znać, odmienny był od reszty rodziny, rozmiłowany we wszystkim, co obce. Inaczej myślał, czego innego pragnął niż ojciec i bracia. W tym też różny, że ciągnęło go do niemieckiej wiary. Kiedyś, wyrostkiem będąc, znalazł się w kościele w Lubece. Świątynia ozdobna, nabożeństwo uroczyste, jarzące świece, woń kadzidła, śpiewy łacińskie, stroje celebransa i akolitów sprawiły wielkie na Przeclawie wrażenie. Cóż dopiero, gdy mu któryś z kleryków powiedział, że Lubeka to ubóstwo w porównaniu z kamiennymi katedrami niemieckimi albo z Rzymem. Tam dopiero dostojność i piękno! Tam filary w kamieniu rzeźbione stoją jak chojary w lesie, tam procesje biało odzianych dziewic i pacholąt, tam purpura i złoto... Dodał też, że tam nauka i wiedza, i życie zgoła inne niż puszczańskie... Utkwiły te wspomnienia wyrostkowi w głowie, wciąż o tych rzeczach gadał, aż ojciec zgniewał się i kazał mu milczeć. Przeclaw przycichł; ale nie na długo. Wciąż do swojego powracał. Różgi nie pomagały. Mały zawzięty był, postawił się raz hardo ojcu. Ojcu! Niekłót rozgniewany zagroził, że go z domu wypędzi. Otrok na to, że sam sobie pójdzie. I poszedł. Niekłót wściekł się i nieposłusznego wyrodkiem ogłosił.

Bracia boleli, gdyż nawidzili młodszego, nakłaniali go, jak mogli, żeby ojca nie drażnił, uległość okazał, lecz on ani słyszeć nie chciał. Poszedł w świat, a oni nie śmieli wbrew woli ojca dowiadywać się, dokąd. Przeclaw stał się dla nich bardziej niż umarły. Bo zmarłego można wspominać, o tym zaś ani napomknąć nie było wolno. Przeclaw zaś tułał się czas jakiś, biedy zaznał, potem z kupcami holenderskimi dostał się do Danii, na dwór biskupa Absalona z Roskilde.

Biskup Absalon należał do tych, o których mówiono, że przez omyłkę wdział suknię duchowną. Rycerz to był znamienity, którego żywioł stanowiła wojna, bój ulubioną rozrywkę, a rozszerzanie granic Danii najprzedniejszy cel. Przeclawa zatrzymał chętnie, żeby dopiec Niekłótowi, spodobał mu się przy tym ten śmiały wyrostek. Ochrzcili chłopca, dali mu naukę. Absalon opiekował się szczególnie królewiczem Waldemarem, synem Kanuta Lawarda, dobrał mu teraz do towarzystwa Przeclawa. Chłopiec pomocny był nieraz ze względu na język słowiański.

Nie tylko sztuki stawiania liter uczono Niekłótowica. Wpajano weń również pogardę dla ciemnoty i barbarzyństwa pogańskiego świata. O jego ojcu mówiono lekceważąco. (Właśnie w owym czasie Niekłót z pomocą Ranów pobił flotę duńską pod Dąbinem). Głupi otrok nie rozumiał, że udana wzgarda pokrywa podziw i lęk, wstydził się swego rodu, wstydził się pogańskiej wiary. Mimo protekcji biskupa rówieśnicy szydzili zeń w zabawie, że czci drzewa. (O posągach milczeli, bo sami je chwalili w kościołach, a różnicy dzielącej wyobrażenie od uosobienia nie rozumieli). – Patrz, jaki wielki dąb – wołali – pewnie święty... Padaj przed nim!... – Albo: – Jonatan wyrwał twojemu źrebcowi włosie z ogona na wędkę!... Zabij świętokradcę! – Od takich żartów Przeclaw nabierał wstrętu do własnej przeszłości. Całą duszą pragnął upodobnić się do Duńczyków czy Niemców, być człowiekiem światłym, któremu nikt nie wypomni barbarzyństwa.

Młodość Przeclawa mijała pośród zamętu. Po nieudanej wyprawie Swena z Kanutem przeciw Niekłótowi chwilowa zgoda między trzema kandydatami do tronu duńskiego ustąpiła miejsca zawziętej walce. Wojna domowa przenosiła się z wyspy na wyspę. Nareszcie:

    Za pośrednictwem biskupa ribeńskiego Eliasza i panów z obu stronnictw ustalono pokój, a królestwo na trzy części podzielone zostało: Waldemar otrzymał Jutlandię, Kanut – Zelandię, Swen – Skonię, która, jak wiadomo, była najprzedniejszą częścią kraju, a to z powodu liczby ludzi orężnych.

Innymi wyspami podzielili się stosownie do dogodności dla każdego i przymierze stwierdzili przysięgą. Potem Kanut i Waldemar wyprawili znakomitą ucztę na wyspie Zelandii w mieście, które się Roskilde nazywa, i zaprosili Swena dla okazania mu czci, a razem dla pocieszenia go po wszystkich nieszczęściach, jakich doznał za dni niezgody i wojny.

(Nie należy się dziwić Szekspirowi, iż w *Hamlecie* wymościł scenę trupami. Źle się działo w państwie duńskim).

Trzeciego dnia ucztę, gdy ciemności nocy już się rozpostarły, na znak Swena przyniesiono miecze i mordercy wpadli na królewiczów, którzy się tego nie spodziewali. Kanuta przebili mieczem. Jeden z nich wymierzył cios w głowę Waldemara, lecz ten gwałtownie porwał się z miejsca, zrzucił światło i... zemknął w ciemnościach, jedną tylko otrzymawszy ranę. Uciekwszy do Jutlandii, poruszył całą Danię. Wtedy Swen zebrawszy wojsko, przepłynął do Jutlandii, by pokonać Waldemara. Ten zaś wyszedł mu na spotkanie z silnym oddziałem. [W bitwie] zabity został Swen i wszyscy jego wojownicy. Waldemar otrzymał królestwo duńskie... Ustały wojny domowe, od których przez wiele lat cierpiała Dania (Helmold, *Kronika Słowian*).

Racibor był wtedy bardzo starym księciem i wypadało mu już myśleć o innym życiu... (Kantzow, *Kronika pomorska*).

Ulubiony zięć Bolesława Krzywoustego, niegdyś „król morski”, pogromca Konungaheli, czuł się już istotnie stary, nie przestawał jednak myśleć o sprawach związanych z życiem doczesnym i z przyszłością swego kraju. Mimo pomyślnego odparcia przed kilku laty najazdu wojsk sasko-niemiecko-duńskich, zowiących się wojskami krzyżowymi, nie przewidywał spokoju. Przywykły od młodości szukać oparcia w Polsce, w związku z Polską budować przyszły rozrost i siłę Pomorza, patrzył z rosnącym niepokojem, jak polska potęga kruszy się niby zwietrzała wapienna skała.

W roku 1151 miało miejsce poświęcenie klasztoru benedyktynów w grodzie Stołb nad Pianą (dziś Stolpe), ufundowanym przez Racibora na pamiątkę brata Warcisława, któ-

ry w tym właśnie Stolbie zginął zdradziecko zamordowany. Klasztor ten miał odegrać znaczną rolę w rozwoju kulturalnym Pomorza. Biskup Wojciech nazywał benedyktynów, choć Niemców, swymi pomocnikami.

Na poświęcenie, które odprawiono bardzo uroczyście, przyjechał z Krakowa książę Bolesław Kędzierzawy. Grzywę włosów miał po dawnemu obfitą, choć dobrze już szpakowała. Nie uległo też zmianie usposobienie tego księcia, unikającego starannie wszelkich kłopotów.

Osiem dni trwało przyjęcie, wymiana kosztownych podarków i zapewnienia przyjaźni (jw.).

W przerwach między uctowaniem Racibor usiłował przejąć szwagra losem polskiej floty. Wspaniałe dzieło jego, Racibora, i Bolesława Krzywoustego, zapewniające wybrzeżu bezpieczeństwo od najazdów duńskich, ostatnio niszczało, stojąc bezczynnie w porcie gdańskim. Niektóre statki gwałtownie wymagały naprawy, zwisały podarte żagle, reje były połamane... Wstyd patrzeć. Część floty stojąca w Kamieniu, Wologoszczy, Kołobrzegu pod bezpośrednią pieczę Racibora zachowywała swą sprawność, lecz czyż mają przepaść tamte?... Utrzymanie okrętów bojowych to ciężar nie lada. Tak wielki koszt ponieść może Polska, samo księstwo pomorskie nie da temu rady żadną, a żadną miarą. Prócz pieniędzy, brakło nad flotą gdańską opieki. Chodziły słuchy, że załogi niektórych statków odpłynęły samowolnie z portu i lotrują po morzu, napadając na galery kupieckie. Niebawem wszyscy tak uczynią – burzył się Racibor – lub zejda na ląd. Potem lada kiep ogień zaprószy albo je rozbiorą na budowę chałup i wybrzeże zostanie bez żadnej obrony...

Rozmyślnie stary żeglarz przedstawiał w najczarniejszych barwach przyszłość polskiej siły morskiej, by wstrząsnąć Kudłatym, ale nadaremnie.

– Cóż ja poradzę? – powtarzał Bolesław markotnie. – Skarbiec mam pusty, a zewsząd mnie szarpia... Nastarczyć nie mogę...

– Dajesz na odczepne każdemu, co cię nachodzi, potem na konieczne brak. Twój ojciec inaczej poczynał...

– Ba, ojciec... – wzdychał Bolesław, dając w tym westchnieniu miarę różnicy, dzielącej go od Krzywoustego, i Racibor zniechęcony milkł.

Próbował jeszcze poruszyć dziewierza groźbą rychłego niebezpieczeństwa. Margrabia Albrecht Niedźwiedź, równie chciwy i okrutny jak Henryk Lew, ale mądrzejszy, nie ukrywał swych planów zawładnięcia Odrą. Zająwszy ziemię Wkrzańców, przejdzie na nasz brzeg... Zginiem, jeżeli się przedtem wspólnie nie wzmocnim...

Bolesław przerwał te wywody nieoczekiwanym wyznaniem:

– Bo też ja sobie nieraz myślę, że najlepsza rzecz cesarskim lennikiem zostać i nareszcie mieć spokój...

Twój rodzic w grobie się przewraca! – wybuchał Racibor, na co Kędzierzawy niezmaczenie odpowiadał, że rodzic miał całą Polskę, a on ćwierć.

Lepsze zrozumienie znajdował Racibor u Mieszka, księcia Wielkopolski, bezpośredniego sąsiada. Ten był twardy i bojowy, gotowy raczej zginąć niż się poddać. Przegadali razem wiele, zjechawszy się na zaślubiny córki Mieszka, Anastazji, z Bogusławem, Raciborowym bratankiem. Cóż stąd jednak, że Mieszko podobny był ojcu, skoro sił nie miał ani miru wśród swoich? Nieszczęsne bunty Władysława, potem miękkie rządy, a raczej bezrządy, Kędzierzawego, przyzwyczyły polską społeczność rycerską i duchowieństwo do nieliczenia się z władzą książęcą. Żądający posłuchu Mieszko wydawał się im tyranem, a wiadomo, że bez poparcia poddanych żaden książę nic nie zdziała.

Racibor przekonywał się z żalem, że Polska nie da obrony, a księstwo pomorskie jest zdane samo na siebie. Z tym gorzkim przekonaniem umarł w roku 1156. Jego żona, Przybysława, córka Krzywoustego, zeszła wnet po nim.

...przykładne to było i kochające się małżeństwo (jw.).

Racibor rządził Pomorzem w zastępstwie Bogusława i Kazimierza, małoletnich synów swego brata. Sam zostawił również dwu synów, Warcisława i Świętopełka.

W kilka lat później zginął książę obodrzycki Niekłót w następujących okolicznościach:

Książę Henryk [Lew] wszedł do ziemi słowiańskiej z silnym wojskiem i spustoszył ją ogniem i mieczem. Niekłót... spalił wszystkie swe zamki, Iłowo, Mikilinburg, Zwierzyn i Dąbin... Jeden tylko zamek sobie zachował, Wurle [Orle] nad rzeką Warnawą, na granicy ziemi Chyżan leżący... Pewnego dnia, kiedy wojsko saskie stało pod Mikilinburgiem, synowie Niekłóta, Przybysław i Warcisław, wyszli dla zrządzenia szkody... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Wobec nadejścia przeważających sił Słowianie cofnęli się do obozu.

Niekłót rzekł do synów: – Myślałem, że m mężów wychowałem, a oni są pierzchliwsi od niewiast. Wyjdę i spróbuje, czy też sam większych nie dokonam rzeczy... – Wszedł więc z małą liczbą rycerzy (jw.).

Wówczas Sasi użyli podstępu: zbrojni naciągnęli na pancerze odzież pachołków od koni i wyszli, pozorując, że zbierają paszę.

Tego Niekłót nie spostrzegł. Wpadłszy pomiędzy nich na rączym koniu, zmierzył się kopią do jednego z nich, ale kopia uderzywszy o pancerz chybiła ciosu i odskoczyła. Inni zaś otoczyli go i zabili... Poznano jego głowę i przyniesiono do obozu nie bez podziwienia wielu, że taki człowiek z dopuszczenia Bożego zginął sam jeden za swoich. Synowie posłyszawszy o śmierci ojca, spalili Wurle [Orle], a sami ukryli się w lasach. Rodziny swoje wprowadzili na okręty... (jw.).

A cóż trzeci syn?

Wiadomość o zgonie Niekłóta Przeclaw otrzymał podczas wieczerzy. Zadumał się chwilę, lecz wnet rzekł spokojnie: –

Tak ginąć powinien, kto Bogiem wzgardził... – i dalej spożywał posiłek (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Przybysław i Warcisław, załadowawszy żony i dzieci na statek, wyprawili je do Ranów. Na wyspie będą bezpieczne od nieprzyjaciela. Ranowie zgotowali przybyłym serdeczne przyjęcie i zapewnili opiekę, co zrozumiało, ponieważ:

...nie ma ludu bardziej gościnnego jak słowiański. W przyjmowaniu gości wszyscy oni są jednego ducha i zarówno gotowi, tak że o gościnność nikogo prosić nie trzeba. Cokolwiek mają z roli, rybołówstwa lub polowania, wszystko hojnie ofiarują... Jeśli o kim, co zresztą bardzo rzadko się przytrafia, posłyszano, że gościnności obcemu człowiekowi odmówił, tego dom i majątek ogniem spalić jest dozwolono i wszyscy na to jednomyślnie się zgadzają, uważając tego, który by chleba pożałował gościowi, za bezecnego, nikczemnego i na wzgardę zasługującego człowieka (Helmold, *Kronika Słowian*).

Śmierć wielkiego Obodrzyca była ciosem dla Słowian, a szczęśliwym zdarzeniem dla Sasów. Zaraz też Henryk Lew ze znacznymi siłami ruszył na Niekłótowców, gromadzących w puszczy swe wojska. Do współdziałania wezwał króla duńskiego Waldemara, który przybył na czele floty do Wyszomiru z biskupem Absalonem z Roskilde i dziewierzem Przeclawem.

Stary stryj Niekłótowców, Lubomir, rzekł do Przybysława: „Ludzie, co uciekli z Wyszomiru, powiadają, że na królewskim okręcie przyплыли razem rycerz Bernard, jeden z tych, co zdradą pokonali twego ojca, i twój brat Przeclaw. Siadają przy jednym stole”.

W parę dni później nowi zbiegowie donieśli, że król duński polecił Przeclawowi przeprowadzić biskupa Absalona do kwatery księcia saskiego. Gdy Przybysław dziwił się, że posyłają królewskiego szwagra tam, gdzie wystarczyłby lada pacholek znający okolicę, objaśniali, że Przeclaw się chełpi, iż jako na syna Niekłóta nikt na niego w tym kraju ręki nie podniesie, więc biskupa przeprowadzi bezpiecznie. Przybysław posłał zdrajcy przez gońca swój pierścień jako rękojmię, że mu włos



z głowy nie spadnie i wezwał na rozmowę ze sobą. Przeclaw kazał powiedzieć, że przyjdzie.

Dziwaczne było spotkanie braci, co nie widzieli się od wielu lat, a wzrosli razem, w serdecznej przyjaźni. Starszy Przybysław uczył niegdyś tego najmłodszego trzymać łuk, układał mu dłoń na cięciwie. Pamiętał szczupłe, chude palce niedorostka, chwytające łąpczywie strunę. Kiedy brał go przed siebie na konia i ruszał cwałem, mały dzierżył się oburącz chmyza i pokrzykiwał z radości. Jego grzywa chłopięca, jeszcze nie strzyżona, uniesiona pędem, biła starszego po brodzie. ...Dziś ten sam dzieciuch... Zgiń, przepadnij maro! Stoi przed nim odmieniec, obcy sługa, przeniewierca, wróg... Tfu! I choć Przybysław, uczuciowy jak każdy Słowianin, przyszedł na spotkanie z sercem pełnym tamtych wspomnień – odpycha je, by groźnie i twardo patrzeć na przewodnika biskupa z Roskilde, który przybył na tę ziemię, by pomóc w zgnębieniu Słowian.

...A Przeclaw? I jego, kiedy szedł tutaj, kołysały rzewne dumki. Przybysław był dla niego w dzieciennych latach wzorem i opiekunem. Ojca bał się, brata najstarszego miłował. Nauczono go gardzić nim jako ciemnym barbarzyńcą, poganinem, lecz gdyby teraz ten posępny wojak uśmiechnął się, zagadał dawnym przyjacielskim głosem, nie zdzierżyłby Przeclaw i rzucił mu się w ramiona. Lecz Przybysław zachowuje pogardliwy wyraz twarzy, zacięte gniewnie wargi. Tego duma Przeclawa nie zniesie. Podnosi hardo głowę, zimnym głosem pyta:

– Czego chcesz ode mnie?

Czego Przybysław chciał? Całą noc nie spał, układając w myśli, co powie. Przedstawi szczerze bratu obecne położenie Słowian, ich niedolę i śmiertelne zagrożenie. Nie będzie się wstydził wyjawić mu ruinę kraju, zniszczenie, spalone grody, ludność głodującą po lasach. Niech on, Przeclaw, wpłynie na króla duńskiego, by nie przykładął ręki do ich ostatecznej zguby. Nikt Duńczykom nie zabiera prawa do duńskiego kraju. Czemuż oni sprzysięgają się z Niemcami, by wyprzeć Słowian z ziemi słowiańskiej? To chciał powiedzieć, a nawet więcej jeszcze: że może prawda, iż taki czas nadszedł, że każ-

dy naród musi przyjąć wiarę chrześcijańską. Oni obaj, Przybysław z Warcisławem, przyjmą chrzest, byle król duński na nich nie nacierał. Bo z samymi Sasami Słowianie dadzą sobie radę, jako już tylekroć bywało, ale dwom wrogom naraz nie podolają...

Tyle chciał rzec, ale nic nie powie. Patrzy z nienawiścią na stojącego przed nim rycerza. „Czego chcesz ode mnie?” – powiedział to niby po słowiańsku, lecz wymawiając słowa z cudzoziemska. Obcy! Z trudem hamując ogarniający go gniew, Przybysław rzecze:

– Dobrego woja obowiązuje pomsta za rodzica. Podobno na jednym statku z tobą przebywa zabójca ojca naszego, a ty zadajesz się z nim?

Wystarczyło tonu tych słów, by w Przeclawie zagotowała się krew. Odparł jeszcze pogardliwiej:

Pomsta mnie nie obowiązuje. Owszem, za dobrodzieja pożyczuję tego, co uwolnił świat od bluźniercy (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Zbladł Przybysław i warknął:

– Rozejdźmy się, a skoro, bo nie strzymam i mieczem cię przeszyję!

– Rozejdźmy się – przystał młodszy, lecz nie ruszył się i patrzył wyzywająco. Starszy brat odszedł. Dopieroż odszedł i on.

Nie minęło wiele czasu, a Sasi oblegli gród Orle, znajdujący się znowu w rękach słowiańskich. Książę Warcisław, syn Nieklóta, bronił obleganej warowni, brat jego Przybysław z jazdą stał w puszczy, by stamtąd podjazdami nękać nieprzyjaciela, jak to kazał czynić ojciec Nieklót pod Dąbinem. Henryk Lew, zaprawiony w zdobywaniu obronnych miast italskich, rozpoczął energiczne oblężenie:

Natychmiast rozkazał z gęstego lasu sprowadzić drzewo i budować maszyny wojenne, jakie widział pod Cremoną i Mediolanem... Jedna do łamania murów była piętrowa, druga

wyższa, urządzona w kształt wieży, górowała nad zamkiem i przeznaczona była do puszczania strzał i odpędzania tych, którzy na wałach stali. Od dnia, kiedy maszyny te postawiono, nikt ze Słowian nie śmiał pokazywać się na wałach. W tymże czasie Warcisław został ciężko strzałą raniony. Doniesiono księciu, że Przybysław z oddziałem jazdy jest niedaleko obozu. Książę wysłał... przeciw niemu hrabiego Adolfa z wyborowym oddziałem, lecz ci przez cały dzień, błakając się po lasach i bagnach, nikogo nie znaleźli zwiedzeni przez przewodnika, który więcej nieprzyjacielowi niż naszym sprzyjał. Książę polecił czeladzi nigdzie tego dnia nie wychodzić, by na nieprzyjaciela nie wpadli. Niektórzy Holzaci jako uparci wyszli, nie dbając o zakaz i Przybysław wpadł na niebacznych. Do stu ludzi trupem położył, inni zaś do obozu uciekli. Książę, gniewem silniejszym zapalony, gorliwiej poprowadził oblężenie i wstrząsły się warownie zamku, grożąc zawaleniem się wskutek podkopów. Wtedy Warcisław utracił nadzieję lepszego losu... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Ranny, zdruzgotany techniczną przewagą nieprzyjaciela, postanowił poddać twierdzę. O pośrednictwo w układach prosił Adolfa holsztyńskiego, człowieka rozważnego i spokojnego, z którym Niekłót przed laty trzymał przymierze.

...hrabia udał się do księcia [Henryka Lwa] i objawił tę rzecz tym, co należeli do rady... Oni zapewnili [w imieniu księcia], że ktokolwiek ze Słowian podda się władzy książęcej, będzie miał zachowane życie i członki, pod tym wszakże warunkiem, by i Przybysław broń złożył. Wtedy pod przewodnictwem hrabiego [Adolfa] wyszli z twierdzy Warcisław i wszyscy panowie słowiańscy i rzucili się do stóp księcia, a każdy miał miecz na karku swoim. I przyjął ich książę i do więzienia wtrącił... Warcisława, księcia słowiańskiego, zabrał ze sobą do Brunświku, na ręce mu pęta żelazne założył, innych po różnych więzieniach porozsadzał... Takim sposobem upokorzeni zostali Słowianie, aby poznali, że „Lew jest najmocniejszy...” (jw.).

Zaskoczony losem brata i poddaniem twierdzy, Przybysław rad nierad zaczyna układy.

Póki się to przez posłów odbywało i Przybysławowi dawało lepsze nadzieje, upłynął czas jakiś bez wojny i był pokój w Słowiańszczyźnie od marca aż do lutego następnego [1164] roku... (jw.).

W tym czasie Przybysław za namową swej żony Wojsławy, księżniczki ruskiej, przyjął chrzest św. w Dobraniu, gdzie na miejscu świątyni pogańskiej zbudował kaplicę. Wraz z Przybysławem ochrzcił się jego bratanek Niekłót II, syn uwięzionego Warcisława. Działo się to 29 kwietnia 1163 roku (Kantzow, *Kronika pomorska*).

Henryk Lew, książę saski i bawarski, zdobywca ziem obodrzyckich, rośnie w siłę. Jego pycha nie zna granic, toteż nie cierpią go pozostali książęta Rzeszy. Zbyt potężny wasal drażni również cesarza, którym od śmierci Konrada, niefortunnego krzyżowca, jest niepospolity wojownik, Fryderyk Rudobrody. Arcybiskup magdeburski Wichman, biskup hildesheimski Hermann, landgraf turyngski i inni, zawiązują koalicję przeciwko księciu saskiemu. Uprzedzony o tym Henryk stawia przed swym zamkiem w Brunświku pomnik, przedstawiający rozżartego lwa, co się niczego nie złęknie – niemniej ma się na baczości. Na rękę mu spokój na granicy wschodniej, toteż przeciąga rokowania, łudząc Przybysława obietnicami.

Temu ostatniemu zwłoka dogadza również. Ukryty w puszczy, zbroi się po cichu. Gromady Obodrzyców, Warnów, Chyżan, wypędzonych ze swych siedzib na rzecz sprowadzanych licznie kolonistów niemieckich, schodzą się do swego księcia, szukając u niego ratunku. Te tłumy zgłodniałe, zropaczzone, z konieczności łączące się w bandy łupieżcze, Przybysław zamienia w zorganizowane oddziały, które bić się będą nieustraszenie. Lecz oczekiwanie trudne jest do zniesienia uwięzionemu choremu Warcisławowi, który śle do brata rozpaczliwe wezwania:

Otom w kajdany zakuty, a ty tak oziębłe postępujesz?...  
Czego nie możesz osiągnąć drogą układów, wydrzyj z bronią w rękę! Czy nie pamiętasz, że ojciec nasz, Niekłót, w więzie-

niu w Luneburgu był trzymany, nie mogąc wykupić się prośbą ani pieniędzmi, lecz gdy... roznieśliśmy po grodach pożary i zniszczenie, został uwolniony? – Usłyszawszy te słowa Przybysław zebrał skrycie wojsko i nagle zjawił się przed Mikilinburgiem. Henryk ze Skaten, rządcą zamku, był właśnie nieobecny... (Helmold, *Kronika Słowian*).

Dzień wybuchu ostatniego słowiańskiego powstania niebo upamiętniło groźnym kataklizmem:

...w miesiącu lutym dnia 16 [1164] wszczęła się straszliwa burza z okropnym wichrem i piorunami, które wiele zabudowań zapaliły. Prócz tego było wezbranie morza, o jakim nigdy nie słyszano. Zalało ono cały nadbrzeżny kraj Fryzji, okolice Elby i Wezery i wszystkich rzek do oceanu wpadających, i pochłonęło wiele tysięcy ludzi, a bydła tyle, że i zliczyć niepodobna. Wielu bogatych i możnych panów wieczorem jeszcze siedziało opływając w rozkoszach, bez żadnej nieszczęść obawy, a tu przyszła nagle klęska i w głąb fal ich porwała (jw.).

Nieubłaganie i nagle jak piorun, gwałtownie jak fale morskie wzdęte huraganem, oddziały powstańcze opuszczają swe leśne schronienie. Nie straszny im wichur, bo niesie ich burza zemsty. Otaczają żelaznym pierścieniem gród Mikilinburg (stąd niegdyś, niegdyś książe obodrzycki Mściwój uprowadził swą siostrę Hodykę). Przybysław na siwym żrebcu podjeżdża pod wały. Cudzoziemska załoga grodu patrzy ze zdumieniem na nieznanego męża, urągającego burzy. On osłoniwszy dłońmi usta krzyczy, przeciągając nawałnicę:

– Czy słyszycie, co powiadam, ja, książe tej ziemi?

Odpowiadają strwożeni:

– Słyszemy.

– Moim jest ten gród, dziedzictwem ojcowym, własnością mojego narodu... Zabrano go nam, wy dopełniliście krzywdy nachodząc ten kraj, zajmując miejsce prawych właścicieli... Daję wam do wyboru: życie albo śmierć... Słuchajcie mej mowy uważnie! Jeśli dobrowolnie oddacie mi twierdzę, nie spadnie nikomu włos z głowy... Wyprowadzę was z żonami, dziećmi i dobytkiem aż poza granice kraju. Jeżeliby kto ze Słowian za-

brał wam cokolwiek, oddam skrzywdzonemu w dwójnasób...  
Lecz jeżeli grodu nie zdacie, przysięgam na Imię Boga, że sam  
go zdobędę i wszystkich was mieczem wytracę...

Gromy głośną słowa, wichur huczy, ulewa dudni po dachach, z załogi jedni chcą się poddawać natychmiast, inni radzą czekać powrotu dowódcy, Henryka ze Skaten. Piorun uderza blisko z przeraźliwym trzaskiem. Sądząc, że to runęła brama, Flamandowie trzymający straż na wałach miotają na oślep pociski.

Wtedy wojsko słowiańskie... wśród straszliwej walki wpadło do warowni i pozabijało w niej wszystkich mężczyzn, nie zostawiając z przybyszów ani jednej duszy żywej, żony ich i dzieci w niewolę uprowadziło i zamek ogniem spaliło (jw.).

Z Mikilinburga przyszli pod Iłowę. Lecz obecny w zamku Guncelin, zaufany Henryka Lwa, kasztelan Zwierzyna, nie dopuścił do kapitulacji. Powstańcy nie chcąc stracić czasu, niechali więc Iłowy, spiesząc pod Kucin i Małachowo. Gdy odeszli, Guncelin „jak głównia z ognia wyrwana” (Helmold) pognął z powrotem do Zwierzyna. Pod Małachowem Przybysław znów wołał (burza przycichła):

Wydajcie mi zamek, który do ojca mego należał, a teraz dziedzictwem mnie przypada. Każę was cało przeprowadzić aż na brzegi Łaby. Gdyby wam co zrabowano, zwrócę podwójnie. Jeśli moją radę odrzucicie, będę walczył z wami. Wspomnicie wtedy na los mieszkańców Mikilinburga, którzy wzgardzili moimi warunkami i na własną zgubę mnie wyzwali... Wtedy żołnierze stanowiący załogę, widząc, że walka była niepodobna, zażądali przeprowadzenia ich za granicę ziemi słowiańskiej. Przybysław zaś zajął zamek (jw.).

Trudno opisać wściekłość Henryka Lwa, gdy się o tych wypadkach dowiedział. Zawarłszy pośpieszny rozejm z nastającymi nań niemieckimi sąsiadami, zbiera ogromne siły, wzywa nienawistnego krewniaka Albrechta Niedźwiedzia oraz

...wszystkich najmężniejszych rycerzy z całej Saksonii, chcąc odplacić Słowianom za zło, jakie wyrządzili. Waldema-

ra króla duńskiego przywołał także dla niepokojenia ich ze strony morza. Hrabia Adolf pośpieszył z całym ludem Nordalbinigów, żeby się połączyć z księciem blisko Małachowy (jw.).

Przybywszy tutaj, rozwścieczony książę saski kazał przed murami grodu powiesić nieszczęsnego Warcisława, syna Nieklótowego, nie pomnąc, że zawarował mu życie i całość członków. Zawisł na szubienicy, wraz z rycerzami słowiańskimi Gębą i Przyborem, Warcisław, mąż prawy a dzielny, i straszne oburzenie wstrząsnęło całym ludem słowiańskim. Myślał Henryk Lew, że ich zastraszy, lecz słuszność miał grabia Adolf nazywając ten postępek „nieszczęsnym pomysłem” (Helmold). Chęć zemsty i nienawiść ludów uciśnionych wzrosła jeszcze, jeśli to było możliwe.

Książę saski nie mógł się już teraz zasłonić pozorem dbałości o szerzenie wiary chrześcijańskiej, skoro Przybysław był chrześcijaninem. Nie dbał jednak o to, głośno obwieszczając, że wraz z Albrechtem i Waldemarem ujarzmi całą ziemię obodrzycką i wielecką aż po ujście Odry.

Księżna Wojsława dobrze radziła mężowi. Dotychczas oporni przymierzu z poganinem, stanęli teraz: po stronie Przybysława, książęta pomorscy, Bogusław i Kazimierz. Nie oddadzą Sasom ziem leżących pomiędzy Pianą a Odrą, zdobytych niegdyś przez Bolesława Krzywoustego oraz ojca ich Warcisława, stanowiących całość z Pomorzem! Złączeni wspólną sprawą trzech książęta, Przybysław (obodrzycki), Bogusław i Kazimierz (pomorscy), zalegli w pobliżu Dymina, obwarowawszy swój obóz sprzęgniętymi wozami.

Pomimo potężnych sił Henryk Lew nie spieszy z natarciem, przeciwnie, chętnie wszcząłby układy z Przybysławem i Pomorzanami. Ochłonął z pierwszej pasji i żałuje teraz, że wezwał Albrechta oraz Waldemara. Będzie musiał dzielić się z nimi zdobyczą... Stąd udana chęć pokoju.

(Rycerze krzyżowi, co byli na wschodzie, opowiadają o szpetnych zwierzach pustynnych, które zowią hienami. Włóczą się one za wojskiem, by nocą na pobojowisku objadać trupy. Gryzą się wtedy o łup. Henryk Lew, Albrecht Niedź-

wieść, Waldemar duński podobni są owym hienom, żerującym zawistnie na trupie słowiańskim).

Adolf holsztyński, jedyny człowiek, z którym Słowianie zechcą rozmawiać, otrzymuje od księcia saskiego poufną misję wstrzymania kroków wojennych. Niechaj nie szczędzi obietnic. Dla poparcia słów widokiem siły Adolfowi towarzyszą oddziały Guncelina ze Zwierzyna, Reinholda, grabiego Tetmarszów, i Chrystiana, grabiego Oldenburga.

Lecz Słowianie nie chcą słyszeć o układach. Zbyt wielkie ich oburzenie i gniew. Szydzą z pośrednika. Na urągowisko ofiarowują mu niewielki okup, który nazajutrz obcinają o połowę.

Te słowa nie do pokoju zdążają, ale do wojny (jw.).

Nie wiedząc, co począć, Adolf umacnia swój obóz i powiadamia Henryka Lwa o niepowodzeniu misji. Oba wojska, powstańcy i Niemcy, stoją w niewielkiej odległości od siebie, w pobliżu miasta Wierchy (dziś Verchen), dwie mile na południowy zachód od Dymina.

Niebawem w obozie niemieckim zaczyna brakować żywności. Słowianie pilnie strzegą, by nieprzyjaciel nie uczynił żadnego wypadu na zewnątrz. Holsztyńczyk czuje się obłączony. Wysyła silny oddział jazdy, by przedarł się do księcia saskiego, żądając spiesznej pomocy i nadesłania żywności, gdyż dyscyplina poczyna się rozluźniać. Słowianie przecinają drogę jeździe, zmuszają ją do odwrotu, na karkach żołnierzy wpadają do obozu.

...w sztuce wojennej biegli, Adolf i Reinhold z Holzatami i Tetmarszami, którzy ze snu zbudzeni wcześniej [od innych] nadbiegli, spotkali nieprzyjaciela na pochyłości góry i pokonali pierwszy oddział Słowian i na bagna ich wpędzili. Lecz w ślad za nimi podążył drugi oddział Słowian i spadł jak góra i wtedy pobici zostali hrabia Adolf i hrabia Reinhold i wszyscy mężni zginęli. Słowianie opanowali obóz Sasów... Guncelin i Chrystian i z nimi przeszło trzystu wojowników zebrani w kupę... nie wiedzieli, co czynić mają. Straszne było potykać



się z takim nieprzyjacielem, kiedy wszyscy towarzysze byli zabici lub w ucieczce szukali ocalenia... (jw.).

Nadejście Henryka Lwa z wielkimi siłami zmienia całkowicie losy bitwy:

Książę spiesznie przybył na obronę swoich i widział klęskę ludu swego i śmierć hrabiemu Adolfowi i wielu najmężniejszym zadaną... Boleść jego złagodziło zwycięstwo i śmierć Słowian, których zabitych dwa i pół tysiąca naliczono. Polecił książę ciało hrabiego Adolfa pociąć w kawałki, ogniem zasuszyć i nabalsamować, by go stamtąd zabrać i w grobach przodków pochować...

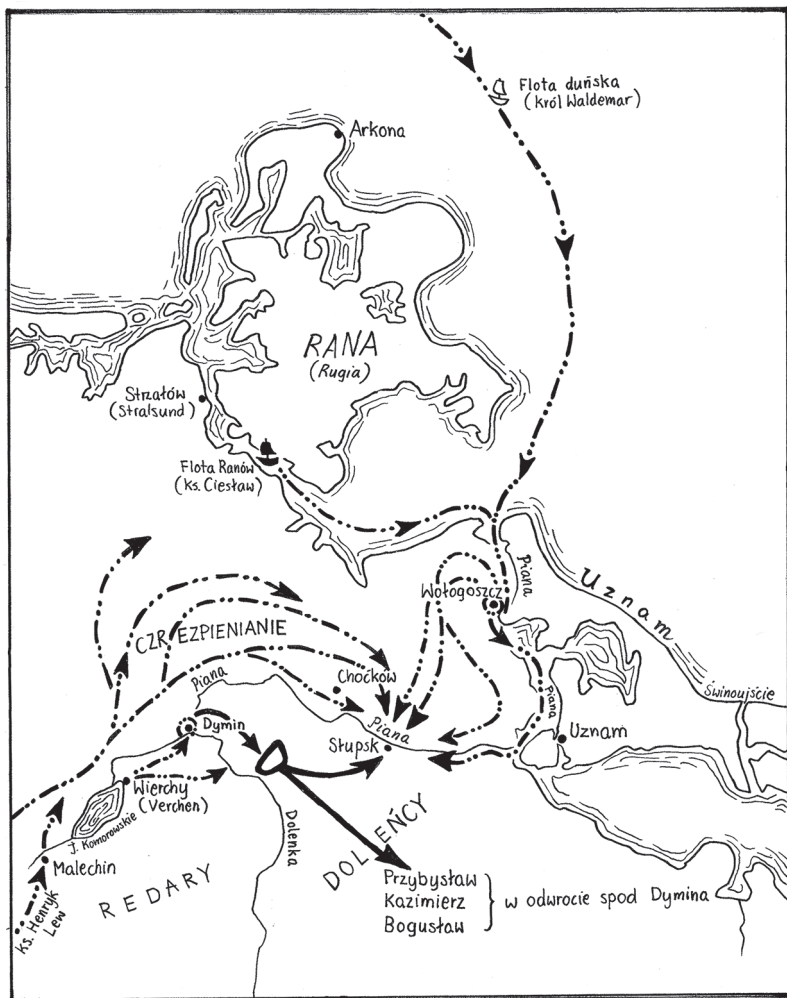
Słowianie, którzy uszli miecza, przeszli do Dymina i spalili ten najwarowniejszy zamek, cofnęli się w głąb ziemi pomorskiej [za Pianę]... Następnego dnia książę z wojskiem przyszedł tam, a zastawszy Dymin spalonym, pozostawił załogę, by wał zburzyła i z ziemią zrównała... Sam z resztą wojska poszedł na spotkanie króla Waldemara... (jw.).

Tymczasem Waldemar zajął warownię pomorską, Wołogoszcz. Usadził się już więc u ujścia Odry. Dwie armie, niemiecka i duńska, suną teraz ku sobie, niszcząc po drodze wszystko, co spotkają.

Ponieważ Pomorzanie nie stawiali do walki w otwartym polu, wydało się królowi duńskiemu i księciu saskiemu hańbiące, że nie mogą wroga zmusić do układów... i że mając tak wielką przewagę, nie zdziałają nic w stanie. Stratę bowiem słomianych bud i zawszonych nędznych kozuchów niewiele sobie Pomorzanie cenili (Kantzow, *Kronika pomorska*).

Te pogardliwe słowa malują dosadnie wyniszczenie kraju. Wszyscy dawni kronikarze, od Ibn Jakuba poczynając, unoszą się nad zamożnością i schludnością wsi słowiańskiej. Łażnie, barcie, liczne trzody, dostatek... Dziś, na wpół zdziczali, lecz wciąż domagający się prawa do wolności ludzie, nie mają nic swojego, prócz „słomianych bud i zawszonych kozuchów”.

## Wyprawa duńsko-sasko-rańska na Wieleń w roku 1164



Król [Waldemar] i książę [Henryk Lew] postanowili zatem przekroczyć rzekę Piana, wejść w ziemię wieleckie i posunąć się aż na Pomorze. Aby przeprowadzić sprzęt wojenny na wschodni brzeg Piana, król kazał opróżnić swoje okręty, ustawić w poprzek rzeki, powiązać i most na nich położyć.

Dowiedziawszy się o tym, książęta pomorscy zrozumieli, iż muszą próbować układów, porzucając dalszą walkę. Wysłali posłańców do króla i księcia, którzy zażądali przede wszystkim wydania im Przybysława... Lecz na to książęta nie chcieli się zgodzić, powiadając, że Przybysław jest ich przyjacielem, który im zaufał. Oni udzielali mu zawsze wsparcia i pomocy jako przyjacielowi swojemu, którego szanują i cenią...

Widząc nieustępliwość książąt, Henryk i Waldemar zażądali, aby Pomorzanie odsunęli się od Przybysława. Lecz i na to Kazimierz i Bogusław przystać nie chcieli. Nie będziemy mu udzielać pomocy wojennej – obiecali – gdziekolwiek jednak w naszym kraju Przybysław zechce pozostać, tam otrzyma gościnę i ochronę przed napaścią. I musieli przystać na to król i książę saski, gdyż im samym dokuczyla przeciągająca się wojna. Miasto Wołogoszcz zagarnięte przez króla duńskiego podzielono na trzy części. Duńską, saską i pomorską... Zarządzającym duńską częścią grodu został Przeclaw syn Niekłota... dziewierz Waldemara (Helmold, *Kronika Słowian*).

W owym czasie Przybysław z Przeclawem spotkali się po raz drugi. I znów na widok brata sercem Przybysława targnęło wzruszenie, w licach jego bowiem niby w odbiciu odnajdywał rysy zmarłych: ojca i Warcisława. Przemógł się jednak i obojętnie rzekł:

– Jestem chrześcijaninem jako i ty. Nie masz już powodu gardzić mną i nazywać barbarzyńcą. Przyjąłem chrzest myśląc, że może Duńczykom i Sasom prawdziwie chodzi o wyłączenie pogaństwa. Wiem teraz, jak ich prawda wygląda... Ani na krok nie wstrzymali swojego pochodu, posłyszawszy, że chrzest przyjął. Owszem, z jeszcze większą zaciekleścią nacierają. Ziemi chcą naszej, niczego innego... Powiada wiara chrześcijańska, że ludzie mają się wzajem miłować... Miłować!... Wszystko to kłamstwo, a ty kłamcom służysz i sam kłamcą jesteś. To tylko ci chciałem rzec...

Zawrócił Przybysław, a Przeclaw, zawsze taki hardy, nie podniósł tym razem głowy. Milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć, bo prawda słów Przybysława była oczywista.

Do Brunświku, rezydencji księcia Henryka Lwa, ujednolitego z cesarzem, przybyło poselstwo basileusa greckiego, co sprawiło, że książę opuścił ziemię słowiańską, by gości powitać. Przybysław pozostawał u książąt pomorskich, uczciwych i wiernych w przyjaźni, czynił jednak nieraz zbrojne wypadki na ziemi obodrzyckiej w obronie uciskanej przez Guncelina i innych zarządców ludności słowiańskiej. Nie mogło bowiem serce Przybysława znieść skargi dawnych poddanych, szukających u niego pomocy.

Guncelin i książę Bernard (syn Henryka Lwa) czynili przeciw niemu zasadzki i staczali częste boje... aż na koniec Przybysław, straciwszy najdzielniejszych ludzi i konie, nie mógł już dalej prowadzić wojny. Naciskani zaś przez księcia saskiego książęta pomorscy rzekli do Przybysława:

– Jeśli ci miło żyć z nami i w naszym towarzystwie przebywać, nam jest to równie miłe. Strzeż się jednak zapominać, że jesteśmy wasalami księcia saskiego, któremu sam także obiecałeś posłuszeństwo. Jeżeli nie zaniechasz wypraw przeciw Sasom, odmówimy ci gościny w granicach naszych.  
– Wówczas Przybysław zaprzestał najazdów (jw.).

Książę saski i król duński cieszyli się, że kwestia słowiańska nareszcie została uporządkowana. W roku 1168 nad rzeką Ejdorą zawarli między sobą układ przyjaźni. Waldemar zapłacił Henrykowi tysiąc funtów srebra w zamian za obietnicę powstrzymywania Słowian od najazdów na wyspy duńskie. W związku z tym Henryk wydał rozkaz:

...by wszystkie okręty rozbójnicze Słowian przyprowadzone zostały do Lubeki... Lecz Słowianie ze zwykłej zuchwałości swojej... przyprowadzili kilka tylko okrętów i to bardzo starych, te zaś, które były do wojny przydatne, podstępnie ukryli...

Ci niespokojni ludzie [Słowianie] do morskich wycieczek zawsze gotowe wyciągali ręce, jedyną swoją nadzieję i największe bogactwo pokładając w okrętach... Napady Duńczyków za nic sobie wazą, za rozkosz uważając mierzyć się z nimi... (jw.).

...Niespokojni, nieujarzmieni, ustąpić muszą przemocy:

Teraz gdy Bóg hojnie księcia naszego [Henryka Lwa] i innych książąt zwycięstwami obdarza, Słowianie wszędzie zostali wytępieni lub wypędzeni, a od granic oceanu [Morza Północnego] sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone, które ziemię Słowian posiadły, pobudowały miasta i kościoły, i urosły w niezmierne bogactwa...

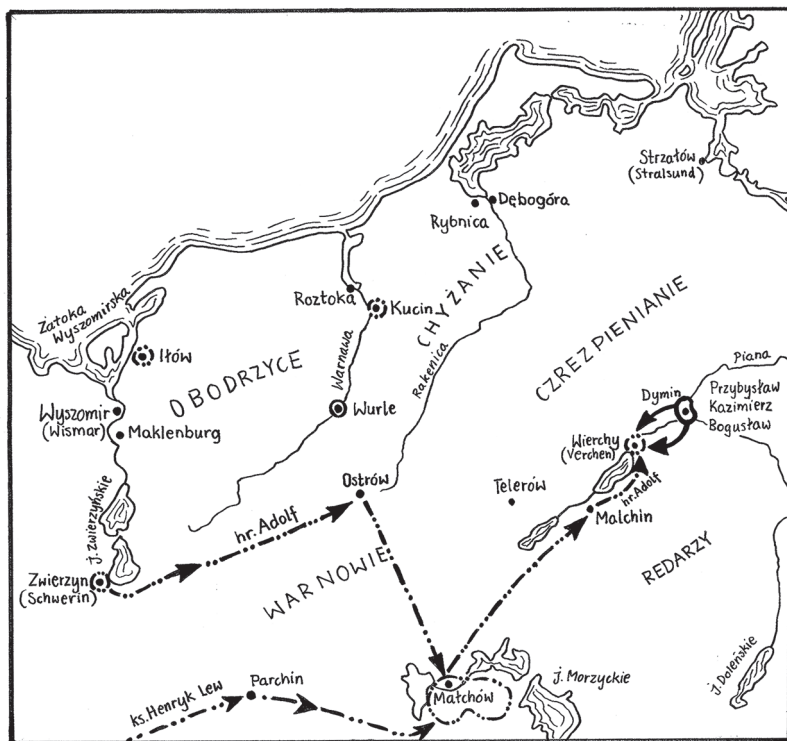
Cały kraj Obodrzyków i ziemie przyległe... przez ciągłe wojny, najbardziej przez tę ostatnią, w zupełną pustynię zamienione zostały, a to za łaską Boga, który prawicy księcia dał moc. Resztki Słowian, jeżeli gdzie ocalały, z powodu braku żywności i spustoszenia pól tak silnie głodem dotknięte były, że tłumami uciekały do Pomorzan albo do Duńczyków, którzy bez żadnej litości sprzedawali ich Polakom, Serbom lub Czechom...

Na prośbę swoją otrzymał książę [Henryk Lew] od cesarza pozwolenie zakładania biskupstw, nadawania ich i zatwierdzania w całej ziemi słowiańskiej, którą sam lub jego przodkowie prawem wojennym zdobyli. ...otrzymawszy, przywołał biskupów, aldenburskiego Gerolda, racesburskiego Ewermoda, meklemburskiego Bernona, by godności swe z rąk jego przyjęli i złożyli mu przysięgę jako wasalowie, tak jak się to zwykle cesarzowi czyniło... Biskupi, chociaż nakaz ten uważali za uciążliwy, ustąpili dla miłości Tego, który się sam za nas upokorzył, a zarazem, że bali się, by nowy kościół nie doznał jakiego uszczerbku... I dał im książę przywileje na posiadłości i na odbywanie sądów...

I powiększyły się dziesięciny w ziemi słowiańskiej. Dlatego też z krajów swoich zbiegać się zaczęli Niemcy, by uprawiać ziemię rozległą, urodzajną, dogodną z powodu obfitości pastwisk...

Książę saski w tym czasie urósł w potęgę więcej niż kto inny i stał się księciem książąt. Podeptał karki buntowników, poburzył ich twierdze. Wytępił zbójców, uczynił pokój na ziemi słowiańskiej... (jw.).

**Klęska hr. Adolfa holsztyńskiego pod Wierchami (Verchen)  
 zadana przez księcia obodrzyckiego Przybysława oraz  
 książąt pomorskich Kazimierza i Bogusława w roku 1164**



- ⊙ Grody obodrzyckie obsadzone załogami
- ⊗ Gród Wurlie w rękach ks. Przybysława
- ➔ Koncentracja wojsk saskich w rejonie Malchowa i marsz na Dymin

Wrogowie „księcia książąt” wystąpili jednak przeciw niemu znowu. Są to: arcybiskup magdeburski Wichman, Ludwik landgraf turyngski, Albrecht Niedźwiedź z synem Ottonem i inni. By przed tą rozprawą zapewnić sobie spokój na granicy wschodniej, Henryk Lew zawarł pokój z Przybysławem. Za cenę złożenia lennej przysięgi, zwrócił synowi Niekłóta ziemię

Obodrzyców z wyjątkiem ojcowej stolicy Zwierzyna, oddanej już na zawsze Guncelinowi.

Przybysław przyrzekł księciu dochować wiary i być mu posłusznym (jw.).

W roku 1168 król duński Waldemar zażądał od Sasów pomocy w zamierzonej wyprawie na Ranę. Henryk Lew nie może wziąć w niej udziału, pochłoniętym będąc walką z koalicją przeciwników. Bojąc się jednak utracić korzyści podboju, rozkazuje swym lennikom, księżętom pomorskim i Przybysławowi, by w jego zastępstwie wspomagali Waldemara „w świętej wojnie przeciwko poganom”.

Hasło walki z poganami odżywa znowu, uprzykrzone, z czci odarte. Nie wierzą w nie, ani ci, którzy je głoszą, ani tamci, co ponoszą jego skutki. Każdy wie, że nie ma podziału na chrześcijan i pogan. Istnieje podział na silnych i słabych, których ojcowiznę silni chcą zagarnąć.

Przybysław wiedział zawczasu, że prawo pozostawiania na ziemi ojcowskiej, możliwość otoczenia opieką resztek swego ludu, opłaci ceną wielkich upokorzeń. Nie przewidział jednak tego, co go obecnie spotyka. Po śmierci ojca, bojąc się o życie rodziny, posłał żonę i dzieci do Ranów. To samo uczynił ze swoimi jego brat Warcisław. Obie niewiasty wraz z potomstwem pozostawały na wyspie czas dłuższy, darzone powszednią życzliwością i opieką. Ranowie dopomogli Niekłótowi do odniesienia zwycięstwa nad krzyżowcami pod Dąbinem. W każdej potrzebie mogłeś liczyć na Ranów. Rana to ostatnia pięćdziesiątka wolnej ziemi słowiańskiej. Przybysław jest nie tylko pobratymcem Ranów jako Słowianin. Przybysław pochodzi z rodu książąt rańskich. Krut syn Gryna przybył z Rany wezwany przez lud, by objąć księstwo obodrzyckie. Teraz on ma iść przeciw Ranie w zastępstwie znienawidzonego zaborcy, księcia saskiego... Czy chce, czy nie chce, musi tak uczynić, ponieważ stał się wasalem niemieckim i sługą.

## JACZO Z KOPANIKA

Na trzysta pięćdziesiąt lat przed opisywanymi niżej wypadkami Karol Wielki, monarcha potężny, dotarł w zwycięskim pochodzie do brzegów Łaby, obozował przy ujściu do niej rzeki Ory, podburzał Obodryców przeciwko Sasom i wyznaczył sławną swoją *Limes Saxonicus*, dalej na południe zwaną *Limes Sorabicus*, mającą na wieczne czasy oddzielać dziedziny słowiańskie od dziedzin niemiecko-frankońskich. Jak wiadomo, linia odcinała od słowiańskiego obszaru plemiona osiadłe na zachodnim brzegu Łaby, były zaś one liczne: Drzewianie, Brdanie, Chełmianie, Lipianie i inne. Do dziś dnia ziemia leżąca pomiędzy Łabą, jej zachodnimi dopływami Ilmen i Jeetze, nosi nazwę Wendland – kraj Słowian.

Następcy Karola Wielkiego troskliwie umacniali ziemię graniczną, ciążącą naturalnie ku swojakom zza rzeki. Na wyniosłym brzegu Łaby, naprzeciwko nisko położonego Łączyna, w miejscowości Wysokie Buki wzniesiono silną twierdzę zwaną Hochbuki. Zachodnie pobrzeże Łaby, nazywane przez Słowian Białą Ziemią, otrzymało później nazwę Starej Marchii – Altmark. Marchia ta miała się stać bastionem akcji zaborczej, bramą wypadową na Wschód. W roku 1134 cesarz Lotariusz dał Altmark margrabiemu Albrechtowi Niedźwiedziowi, udzielając mu zarazem dziedzicznych praw na wszystkie ziemie słowiańskie, jakie by w przyszłości zagarnął. Lotar, zaprzysiężony wróg Słowian, wyczuł w Albrechcie dobrego wykonawcę swych planów i nie zawiódł się.

W roku 1136 margrabia dwukrotnie przekroczył Łabę, zagarnął ziemię Brzeżan i Doszan, leżącą pomiędzy Łabą, Steknicą a Doszą, zdobył gród Hobolin, posunął się aż do Jeziora Morzyckiego i źródeł Hoboli. Z tych ziem utworzył nową



marchię, którą nazwał Prignitz Mark lub Vormark (Przednią Marchią) uzyskując w niej silną bazę na wciąż jeszcze słowiańskim, wschodnim brzegu Łaby.

Albrecht był nie tylko zuchwałym zaborcą, lecz przewidyującym politykiem. Posuwał się etapami, baczny na to, by szybkim wzrostem nie obudzić niechęci cesarza ani zawiści saskiego Henryka Lwa. Po każdym zaborze oddawał się spokojnie organizowaniu i kolonizowaniu zajętego świeżo obszaru, jak gdyby nie zamierzał posuwać się dalej.

Kłęski żywiołowe, jakie między latami 1150–1170 nawiedzały licznie Holandię i Fryzję, sprzyjały wysiłkom kolonizacyjnym Albrechta.

Potężne wichry jesienne spowodowały wielki zalew morski, sięgający aż pod mury grodów... (*Magna Chronicon Belgiae*); Rzeki wezbrane zagroziły ludziom i zwierzętom wielkim niebezpieczeństwem (*Chronicon Montis Sereni*, rok 1163).

Wybryki przyrody powtarzające się sporadycznie w ciągu kilkudziesięciu lat wywołały ucieczkę ludności z niskich wybrzeży Morza Północnego. Liczbę uciekinierów wędrujących na wschód powiększały gromady pierzchające przed groźbą równą powodzi: zniszczeniem wojennym.

...na skutek wielkiej wojny między książętami łowańskimi [dzisiejsza Belgia] rolnicy byli огоłoceni ze swego mienia i zmuszeni do ucieczki. Ziemia opuszczona, nieuprawiona, nawiedzana pożarami, pozostawała tak przez dwadzieścia lat... (*Anselm Gemblacensis*, rok 1159).

Na te bezdomne rzesze czekał Albrecht Niedźwiedź. By zachęcić przybyłych i ułatwić im osiedlenie, margrabia odbierał Słowianom ich własne osiedla, rozdając je Holendrom, Zelandom, Flamandom. Gdzie zabudowania były licze, Słowianie musieli stawiać dla przybyłych nowe porządne domostwa. Dawni właściciele niech idą w puszcze, niech tam sobie kleką szalały. Niech żyją z barci lub połowu ryb. Gdziekolwiek osiądą, znajdzie ich poborca ściągający daninę na rzecz księcia i Kościoła. Biskupi zapewniali Słowian, że kto przyjmie chrze-

ścijaństwo, pozostanie na swej ziemi – w co wielu uwierzyło i chrzest przyjęło. Lecz margrabia nie liczył się z obietnicami biskupów. Dla Słowian, jakiegokolwiek byliby wiary, brakło już miejsca na ziemi słowiańskiej.

W owym czasie wschodnią Słowiańszczyzną władał margrabia Albrecht z przydomkiem Niedźwiedź, któremu z łaski Bożej poszczęściło się opanować bardzo rozległą przestrzeń ziemi. Ujarzmił on bowiem całą ziemię Brzeżanów, Hobolanów i wielu innych ludów mieszkających nad Hobolą i Łabą, i uśmierzył tych, którzy bunty podnosili. Gdy na koniec Słowianie stopniowo znikać zaczęli, posłał do Utrechtu i w kraje nadreńskie i dalej, do tych, którzy nad oceanem [Morzem Północnym] mieszkali i od gwałtowności morza wiele cierpieć musieli, a mianowicie do Holendrów, Zelandczyków, Flandrów, i sprowadził spośród nich wiele ludu i osadził go w miastach i wsiach słowiańskich. Z tego osiedlenia się przybyszów bardzo się wzmocniło biskupstwo brandenburskie i hawelberskie, liczba bowiem kościołów powiększyła się i dziesięciny nader urosły. Lecz i południowy [zachodni] brzeg Łaby w tymże czasie zamieszkali Holendrzy i posiadli całą ziemię... która się nazywa Belsemerland [Bele-Ziem lub Biała Ziemia]... z wielu bardzo miastami i wsiami, aż do Czeskiego Lasu... (Helmold, *Kronika Słowian*).

W tym samym czasie książę polski Bolesław Kędzierzawy zabiegał o sojusz z Albrechtem Niedźwiedziem. Przymierze zawarto, a syn Albrechtowy Otto pojął za żonę księżniczkę polską Judytę. Tak w baśniach oddawano smokowi na pożarcie młode dziewczęta, by okupić spokój i bezpieczeństwo kraju. Chodziły pogłoski o zamierzonej wyprawie cesarza na Polskę dla restytuowania praw Władysława Wygnańca i tępawy Bolko sądził naiwnie, że sojusz z margrabią osłoni go przed cesarzem.

Niebezpieczeństwo zbrojnej cesarskiej interwencji było rzeczywiście bliskie. Wprawdzie ambitna Agnieszka, Władysława żona, już nie żyła. Umarł również jej przyrodni brat, cesarz Konrad III. Sam Władysław postarzał i zniedołężniał. Pozostawali jednak jego synowie, Bolesław Wysoki

i Mieczysław, chciwi odzyskania ojcowego dziedzictwa, oraz siostra ich Ryksa, wydana za Alfonsa VII króla Kastylii, świeżo owdowiała. Według kronikarzy niemieckich ta inteligentna i piękna wnuczka Krzywoustego posiadała znaczne wpływy na cesarskim dworze. Niezależnie zaś od nalegań Władysławowiców Fryderykowi Rudobrodemu podobała się myśl wkroczenia w charakterze rozjemcy do Polski.

Lecz chociaż Polska w ostatnim dziesięcioleciu była obrazem niedołęstwa i chaosu, nimb, jaki roztoczył nad nią Krzywousty, zachowywał tyle blasku, że Rudobrody, sam świetny wojownik, traktował zamierzoną wyprawę poważnie. Pamiętano w Niemczech dzieje Henryka V, „wywożącego z Polski, jako jedyny haracz, zabalsamowane ciała najprzedniejszych rycerzy”. Niezależnie od przysłowiowego już polskiego męstwa, przeszkodę stanowiła również topografia kraju:

Polska tak jest obwarowana przyrodzeniem i sztuką, że poprzednicy nasi, królowie i cesarze, ledwie do brzegów Odry dochodzili... Odra opasuje Polskę niby wałem, a wszystkich przestrasza głębokością swych nurtów... (List Fryderyka I do Wibalda, opata z Korbei).

Biorąc te względy pod uwagę, Rudobrody odkłada uderzenie na wschód do chwili zakończenia wojny toczonej przezeń w Italii z energicznym Brytyjczykiem, Mikołajem Breakspear, noszącym jako papież imię Adriana IV.

Zająwszy Prignitz Mark, margrabia Albrecht stał się bezpośrednim sąsiadem ziemi Hobolan. Stolicą tego kraju była stara Brenna (od „breń” – błoto), przez kronikarzy niemieckich zwana Brennaburg.

...za czasów arcybiskupa Ewigerana panował w Brennej pewien król, którego po słowiańsku zwano Przybysławem, a który po nawróceniu i przyjęciu chrztu otrzymał imię Henryk (*Chronicon Lunenburgensis Eccardi*, rok 1149–1150).

(Wyżej wymienionego księcia nie należy mylić z Przybysławem synem Niekłóta ani z trzecim jeszcze Przybysławem,

księciem węgryjskim. Imię Przybysław było wówczas często używane).

Przybysław-Henryk z Brennej miał żonę Pietruszę (Petrusse), chrześcijankę, prawdopodobnie Niemkę, był bezpotomny. Kraj Hobolan po jego śmierci przypadła prawem rodowego dziedzictwa siostrzeńcowi księcia, Jaczy z Kopanika.

Jaczo panuje nad ziemią teltowską, leżącą na wschód od Brennej. Gród Kopanik (dziś Köpenick) wzniesiono nad rzeką Sprewą, naprzeciwko barmińskiego grodu Barlin (dziś Berlin). Okolica niska, podmokła dała tę nazwę oznaczającą bagniska, bażyny. Prócz wód stojących, potężne bory tworzyły skuteczny szaniec wokół księstwa. Choć wąski smug ziemi lużyckiej oddziela ziemię teltowską od Odry, państwo Jaczy jest ważnym punktem strategicznym, tędy bowiem wiedzie dogodny szlak niemieckich wypraw na Polskę.

Toteż Mieszko III wielkopolski, mniej ufny od brata w siłę powinowactwa z margrabią Albrechtem, utrzymuje z Jaczą przyjazne stosunki. Wprawdzie książę Kopaniku jest jakoby poganinem, ale przeprawa na Odrze ważniejsza od względów wyznaniowych. Niech wierzy w co chce, byle Niemców nie przepuścił do brodu! W razie potrzeby Mieszko zobowiązuje się dostarczyć Jaczy broni i ćwiczonych wojów.

Jaczo, energiczny władca, posiada w Kopaniku mennicę. Bije w niej własną monetę. Zachowały się srebrne pieniążki z wyobrażeniem męża dzierżącego w jednym ręku miecz, a w drugiej palmę, symbol sprawiedliwości, z napisem w otoku „Iaczo de Copnik”.

Na razie panuje w tych dziedzinach pokój. Albrecht, wierny swej taktyce, kolonizuje zdobyte obszary. Cesarz wojuje w Italii z papieżem i Mediolanem. Jaczo mógłby oddawać się spokojnie łowom, gdyby nie obawa o to, co się dzieje w Brennej.

Wspomniany władca Przybysław-Henryk, który przyjął już wiarę chrześcijańską i nie mógł ścierpieć pogańskiego ducha swego ludu, nie mając bliskiego dziedzica, a nie chcąc po śmierci pozostawić księstwa w stanie pogańskim, naznaczył

swoim spadkobiercą margrabiego Albrechta, zwanego Niedźwiedziem... Ponadto podarował jego pierworodnemu synowi, Ottonowi, którego trzymał do chrztu, całą ziemię zwaną Suchą, [dziś Sauche] stanowiącą południową część kraju Hobolan... (Pulkava, *Chronicon*).

O tajnym układzie, czyniącym Albrechta dziedzicem kraju Hobolan, Jaczo nie wiedział, natomiast darowizna Suchej rozpełtała jego gniew. Ta piękna ziemia, oddzielona od ziemi teltońskiej rzeką Nutą (południowy dopływ Hoboli), w przeciwieństwie do otaczających ją nizin, nie była nigdy zalewana (stąd nazwa). Przednio plonowało na niej zboże. Taką ziemię oddać Niemcom na przepadłe! Wielka była rozpacz ludzi suskich, gdy się dowiedzieli, że idą pod srogą rękę margrabiego, wielka była wściekłość Jaczy, któremu uszczuplono dziedzictwo.

Wściekłość i żal kierowały się przeciw Pietruszy. Wiedzianno bowiem powszechnie, że książe Przybysław nie posiada własnej woli i idzie we wszystkim za żoną, jak cielę za krową. Zadawniona nieprzyjaźń między siostrzanem a wujenką zamieniła się w nienawiść. Jaczo obawiał się zjechać w gościnę do wuja, by go ta gadzina nie struła.

Toteż gdy roku Pańskiego 1150 rozeszła się po okolicy pogłoska, że książe Przybysław zachorzał, Jaczo miast pojechać sam, posłał zmyślnego pachołka Dobka, by się księciu panu w jego imieniu pokłonił i o zdrowie zapytał.

Ciężka była droga z Kopanika do Brennej z powodu grząskich grobli. Nawet w lipcu błoto nie wysychało na tym szlaku, bo cień nawisłych drzew słońca nie dopuszczało. Objechać bajora też trudno ze względu na gęsto leżące wykroty. Bodaj to jechać gościńcem książeńcem, wiodącym do Hobolina! Właśnie kiedy pachołek dobijał do celu, z bramy dworca wypadło trzech konnych. Spięli konie i cwałem pognali suchą, pylną drogą. Spojrzawszy za nimi z zazdrością, Dąbek pytał bramnego, co za jedni i dokąd tak śpieszą?

– Księżna kajś wysłała swego kapelana – mruknął strażnik.

– Powiadają, że książe pan chory?

– Ano, gadają, że słaby.

Pacholek wjechał, pomógł strażnikowi opuścić ciężką bramę, uwiązał konia, przetarł wiechciem jego zdrożone boki, sam oskrobał się z błota i poszedł do dworu. W kuchni zamkowej natknął się na samą księżnę. Zdała się zafrasowana, trzymała w dłoniach miskę z dymiącą polewką i mięsem.

Pokłonił się jej do stóp, powiadając, skąd jest i z czym przyjechał. Spojrzała nań nieżyczliwie.

– Książę pan – rzekła – słabował, ale już zdrowieje. Za parę dni wstanie, wtenczas sam przyśle po swego siostrzana.

– Mój pan – tłumaczył Dobek – przykazywał, cobym lico w lico księciu panu jego pozdrowienia przekazał...

Zaczerwieniła się z gniewu.

– Nie może to być, bo książę pan nikogo rad nie widzi krom mnie. Sama mu jadło, jako widzisz, noszę. Wracaj doma i powtórz panu, com rzekła!

Widząc wahanie na twarzy chłopca, syknęła:

– Ostawać nie próbuj, bo oćwiczyć każe! Darmozjadów tu nie trzeba! Wracaj!

Odeszła, zostawiając smugę unoszącego się z miski miłego zapachu. Dobek wciągnął go zazdrością w nozdrza i drapał się w głowę. Sam nie wiedział, co teraz robić? Pan mu przykazał kilkakrotnie, żeby z samym księciem rozmawiał... a tu do księcia nie wolno... Tyle drogi zrobił i miałby z niczym powracać?

W kuchni wszyscy byli jacyś osowiali. Dziewki nie mełły ozorami, jak to zwykle bywa, gdy skądś posłaniec przyjedzie. Jeść Dobkowi dali, owszem, nie mógł narzekać, ale radzić nie umieli.

– Książę pan – powiadali – zachorzał jeszcze, kiedy nów był... Co mu jest, nie wiadomo, bo księżna nikomu dostępu nie dawała... Na zmianę, albo ona, albo ksiądz, ten Niemiec, przy łożu siedzieli. Ksiądz dziś pojechał. Dokąd i po co, nie wiemy... Teraz ona sama koło księcia pana straż trzyma, sama go obsługuje, powiada, że to on tak chce... Może prawda, a może łgarstwo? Jadło nosi, pomóc sobie nie daje, ciągiem prawi, że księciu panu lepiej, a lepiej... a taka czegoś zazdrosna, że

klucz od komnaty przy sobie trzyma... Pytała wczoraj gospodynia, czy wody nie nanieść albo pościel przetrzepać... fuknęła jak kocica, że nie trzeba. Czary tam chyba nad księciem odprawia? Nic innego, tylko czary...

Księżna Pietrusza szła wolno po schodach, krokiem człowieka, któremu ciężko na sercu. Z niedbale trzymanej miski ściekała na stopnie polewka. Nie zważała na to. Stanąwszy pod drzwiami, postawiła miskę, wyjęła klucz z jałmużniczki wiszącej u pasa, przekręciła zgrzytający zamek. Ruchy miała tak wolne, jak gdyby pragnęła przeciągać każdą z tych czynności możliwie najdłużej. Wyciągnęła klucz z zamku, schowała do woreczka, podniosła miskę, pchnęła nogą drzwi. Wszedłszy do izby, miotnęła jadło w popielisko wielkiego komina, drzwi zaryglowała. W półmrocznej komnacie panowała cisza, muchy brzęczały. Powietrze było duszne, przesiąknięte zapachem pleśniącego jądła rzucanego w popiół snadź od dłuższego już czasu. W głębi izby szczelnie zasunięte opony ze skóry wzorzysto barwionej zakrywały alkowę z łożnicą książęcą. Pietrusza uchyliła okiennicy i wysunąwszy głowę na zewnątrz zapatrzyła się w bielejący trakt hoboliński takim wzrokiem, jakim skazaniec wygląda ratunku. Gościniec był pusty. Odeszła od okna. Liczyła coś na palcach, wstrząsnęła głową z rozpaczą. Najwcześniej za dwa... trzy dni... Nie wydzierzę, nie wydzierzę!...

Stała teraz plecami do okna, twarzą do zamkniętej alkowy. Musiała tak stać, nie spuszczać oczu, bo byle się odwróciła, już słyszała szelest rozsuwanych opon, wyczuwała zbliżające się kroki... To on, jej mąż... jest tuż... Rzucała się wtedy do drzwi oszalała z trwogi, chcąc ludzi zwołać, uciekać i zastygała w pół kroku, wspomniawszy, co obiecała... Wytrzymać, trzeba wytrzymać... Obiecała... Zali wiedziała, co obiecuje? Przeczowała ciekawość ludzką i powszechne zgorzzenie, i własną samotność... Nie przewidziała tego, co najgorsze: strachu. Gdybyż mogła się modlić! Ale nie mogła. Bóg odszedł. Zostały tylko lęk i zasunięta alkowa...

Dwa dni kopanicki pachołek pozostawał w Brennej, pilnie zważając, by go pani nie zoczyła, lecz nic nowego nie zaszło. Księżna nadal powtarzała służbie, że mąż ma się lepiej. Jeszcze dzień, jeszcze dwa, a wstanie i dwór do siebie dopuści. Jądlę nosiła, klucz od komnaty przy sobie trzymała. Sama wyglądała na obłożnie chorą, twarz blada, usta spieczone, ręce drżące niby w zimnicy... Na schodach trwał przykry zaduch jak gdyby padliny. Ludzie bali się, sami nie wiedzieli czego. Służba gadała, że w zamku pojawia się upiór. Strażnicy znów dowodzili, że księżna Pietrusza jest strzygą. Dobek, posłyszawszy to, czmychnął z powrotem do Kopanika. Tam jego pan, wysłuchawszy niecierpliwie relacji, wrzepił pachołkowi siarczysty pogębek i sponiewierał go dotkliwie, że tyle czasu zmitrężył daremnie. Jaczo bowiem domyślił się zaraz, w czym rzecz i na czele swej drużyny popędził do Brennej. Lecz choć pośpieszał, jak mógł, przyjechał za późno.

...książę Henryk zmarł na skutek starości i został pochowany uroczyście w mieście Brandenburgu. Żona jego Petrusa, czyniąc bardzo rozumnie, ukrywała przez trzy dni nie pochowane ciało męża, wołała bowiem przekazać księstwo niemieckim chrześcijanom aniżeli wyznawcom bożków pogańskich. Powiadomiła więc księcia Albrechta, by przybył i objął księstwo jej męża (Pulkava, *Chronicon*).

Jaczo nie dawał łatwo za wygraną. Odrażony od bram Brennej, zowiącej się już odtąd nie Brennaburg, lecz Brandenburg, wrócił do siebie i ściągał posiłki... Niegodziwy postępek Pietruszy, zdradzieckie opanowanie Brennej przez Albrechta oburzyły wszystkie wolne plemiona słowiańskie. Stawili się gromadnie mieszkańcy ziemi barnimskiej, plemiona Sosen i Dębów. Mieszko III dotrzymał obietnicy i przysłał drużyny bojowe tak liczne, że kronikarze nazywają odtąd wojska Jaczy, wojskami polskimi. (Hojność zrozumiała, gdyż cesarz Fryderyk gotuje się już do uderzenia na Polskę). Dzięki tej pomocy:

...Jaczo, książę polski, siostrzeniec króla Henryka [Przybysława], zebrawszy silne wojsko i przekupiwszy załogę, zdo-



był gród Brandenburg [Brennę] będący już w posiadaniu Albrechta, który zdążył wypędzić stamtąd pogan i powierzył był obronę załodze, złożonej z bitnych Słowian i Sasów... (jw.).

Ten sam autor (Pulkava) podaje inny wariant tego zdarzenia, zaczerpnięty z dawnej kroniki brandenburskiej:

...wkrótce po przekupieniu mieszkańców pieniędzmi i wydaniu przez nich miasta, wkroczył doń Jaczo w ciszy nocnej z licznym wojskiem polskim.

Mniejsza o to czy załoga, czy mieszkańcy otworzyli bramy grodu, jedno pozostaje pewne, że Jaczo miał sprzymierzeńców w mieście. Kronikarze niemieccy upierają się przy przekupstwie. Wiemy jednak, że Słowianie byli raczej obojętni na złoto. O wiele silniejszym bodźcem niż chciwość musiała być nienawiść i obawa przed rządami niemieckimi.

Zajęta przez Jaczę i silnie umocniona Brenna niełatwa jest do zdobycia. Darmo Albrecht wyteęza wszystkie siły, by odebrać gród. Oblężenie przeciąga się z miesiąca na miesiąc. Cesarz Fryderyk jest zniecierpliwiony. Nieoczekiwana strata czasu krzyżuje mu plany.

Wojna z papieżem została tylko chwilowo zawieszona; z wiosną przyszłego roku rozgorzeje niechybnie na nowo. Ostatnio Fryderyk zażądał od Stolicy Apostolskiej przyznania mu takich praw zwierzchniczych (z mianowaniem papieża włącznie), jakie posiadał Karol Wielki. Przekłęty Anglik, Adrian IV, śmiało odmówił! Równocześnie zuchwały Mediolan ogłasza swą niezawisłość! Gorze Italii! Lecz w międzyczasie sejm w Bambergu uchwalił wojnę Polsce. W obozie cesarskim w Halle już zbrali się ze swymi wojskami dostojnicy: arcybiskup magdeburgski Wichman, bremeński Hartwig, księżę saski Henryk Lew, palatyn Otto z Wittelsbachu, łuzycy margrabia Dytrych oraz wielu innych. Wszyscy oni krzywo patrzą na bezużyteczne cesarskie zachcianki italskie, a palą się do marszu za Odrę. To cel właściwy dla oręża niemieckiego! W obozie znajduje się również polski Władysław Wygnaniec, rzekomy powód wyprawy, a od południa ciągnie z silnym

wojskiem księżę czeski, by się dołączyć po drodze. Nie, tej ekspedycji już cofnąć nie można, a tymczasem czas ucieka... Niecierpliwość cesarza rośnie z każdym dniem. Chce przed jesienią zwycięsko powrócić, by spokojnie przygotować wiosenną wyprawę za Alpy... I w takiej chwili jakiś Jaczo, Jaczo z Kopanika, ośmiela się stawać na drodze mocarza, przeszkadzać w jego ogromnych zamysłach! Albrecht Niedźwiedź nie upora się sam z przebiegłym Słowianinem, przeto cesarz wysłał posiłki:

Albrecht zwany Niedźwiedź, wsparty pomocą Wichmana arcybiskupa magdeburckiego, oraz innych książąt i panów, zdobył gród, otoczywszy go z trzech stron [z czwartej podplynięto na korabiach]. Jest pewne, że miało to miejsce w roku 1157 w III Idy czerwca... [11 czerwca] (jw.).

Nareszcie droga dla cesarza wolna. Jaczo pobity ucieka w niedostępne puszcze, chroniące ziemię teltowską. Podanie miejscowe mówi, że ścigany, przyparty do brzegów Hoboli, ślubował przyjąć chrzest w razie ocalenia. Skoczył do rzeki i wydostał się na przeciwną stronę szczęśliwie. Wówczas ślub wykonał. Od tego czasu pono kronikarze nie piszą Jaczo, ale Jaksa (słowiańska wersja imienia Jakub), pieniądze zaś ukazujące się w mennicy kopanickiej mają wyobrażenie męża z chorągwią w prawej ręce, krzyżem w lewej, napis zaś w otoku brzmi: Jakza Kopnik kneź.

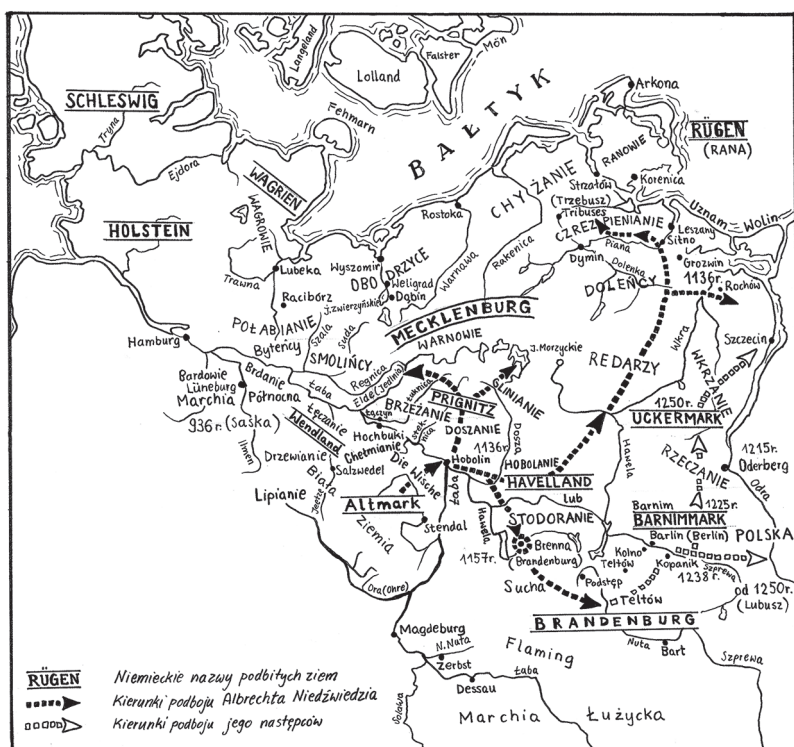
Puszcza stanowi najpewniejszą twierdzę. Pod osłoną rodzinnych borów Jaczo-Jaksa zbiera niedobitki i czeka na pomoc z Polski. Lecz ta pomoc nie nadejdzie. Żuraw, miecz Krzywoustego, nie załśni już nad granicami ojczystego kraju.

Wojska cesarskie załazy Wielkopolskę. Wbrew zapewnieniom Mistrza Wincentego Kadłubka, że Kędzierzawy jest „mąż chytry, przebiegły”, „walczy bez wojny” itp., potomność daje temu księciu ocenę niedostateczną. Jedyne, na co umiał się zdobyć (pomimo posiłków ruskich, a nawet podobno pruskich), to spalić własne twierdze, Bytom i pamiętny bohaterką obroną Głogów, zniszczyć swój kraj, zamieniając go w pu-

stynię i cofać się przed nieprzyjacielem. W końcu sierpnia tegoż roku pod Poznaniem we wsi Krzyszkowie dochodzi do haniebnego pokoju. Bolesław Kędzierzawy staje przed cesarzem, bosy, w śmiertelnej koszuli, z mieczem zwieszonym nad głową (miecz symbolizuje, że życie księcia polskiego zależy od łaski cesarskiej). W tej postawie syn Krzywoustego uznaje się wasalem i hołdownikiem niemieckim.

Polska jest to wielki kraj słowiański... Kiedyś miała królów, dziś rządzą nią księżęta i kraj, równie jak Czechy, podlega władzy cesarskiej (Helmold, *Kronika Słowian*).

### Podbój ziem Słowian połabskich przez Niemców w XII wieku



Zwycięski powrót wojsk cesarskich zza Odry zostaje zakłócony wojną między Albrechtem Niedźwiedziem i arcybiskupem magdeburskim Wichmanem o posiadanie Brennej. Walczą ze sobą o zdobycz, jak wilki o ścierwo jelenie. Albrecht jest górą i zostaje ostatecznie panem Brandenburga, którego stara nazwa Brenna już nigdy nie wróci.

Zdobytym ziemiom, Mokrej (dziś Havelland) i Suchej (dziś Sauche), margrabia nadał z początku miano Marchii Nowej, lecz niebawem połączywszy je w jedno z Prignitz Mark, nazwał cały ten obszar Marchią Brandenburską, ze stolicą w Brandeburgu.

Odtąd tytuł Albrechta Niedźwiedzia, jego następców i potomków tych następców, brzmieć będzie: margrabiowie brandenburscy, książęta Rzeszy Niemieckiej. Rozprzestrzenią swe władztwo na wschód od Odry, utworzą Nową Marchię na ziemiach polskich, wraz z Krzyżakami urosną w złowrogą dla Polski potęgę. Wówczas ziemie między Łabą a Odrą otrzymają nazwę Średniej Marchii.

Wpływy pięknej Ryksy, wdowy po królu Kastylii a wnuczki Bolesława Krzywoustego, nie były snadź mocne, gdyż Fryderyk Barbarossa, zadowolony z łatwego zwycięstwa, a pragnący wracać co rychlej do Niemiec – zapomniał o sprawie będącej rzekomo przyczyną wojny, o sprawie Władysława Wygnańca! Dopiero w parę lat po śmierci tego ostatniego, w roku 1183, Rudobrody przypomni sobie niespełnione obietnice i wyprawi do Polski Bolesława Wysokiego, Władysławowica, przy czym:

...już nie groźbą, lecz prośbą, nie bronią, lecz łagodnością, wstawiał się za dziećmi Władysława i nie wymagał dla nich osobnej dzielnicy, a tylko cząstkę jaką ziemi na utrzymanie (Kadłubek, *Kronika*).

Bolesław Kędzierzawy, posłuszny wasal cesarski, odstąpi wtedy synowcom część Śląska.

Jaczo-Jaksa, twardy, nieugięty chłop tkwi nadal na ziemi teltowskiej obronnej bagnami.

Prócz Kopanika posiada dwa grody: Ostrów (dziś Wusterhausen), na pograniczu plemienia Dębów, i Chudowinę (dziś Mittelwalde), u skraju ziemi Sosnów (Czossen). Albrecht Niedźwiedź pozwala (do czasu) istnieć kopanickiemu państewku zgodnie ze swoją zasadą powolnego działania. Zresztą wie, że Kopanik nigdzie nie ucieknie, nikt go przed brandenburską łapą nie obroni, margrabia zaś ma chwilowo pilniejszą sprawę na głowie.

Tą pilną sprawą jest dokument wystawiony niegdyś przez cesarza Lotara, dokument, co taki gniew wzbudził w Bolesławie Krzywoustym, a w którym to akcie wymieniono jako własność Albrechta miejscowości leżące między Odrą a Piana: Groswin, Leszany, Międzyrzec, Sitne, Trzebież i ziemię rochowską. Zdaniem margrabiego nadszedł czas, by zrobić z cennego zapisu użytek i „prawnie” zająć ujście Odry, uprzedzając dążącego ku tej rzece saskiego Henryka Lwa. Niedźwiedź okaże się mędrszy niż Lew. Na myśl o wściekłości stałego antagonisty Albrecht wpada w świetny humor. Książę saski będzie skarżył margrabiego przed cesarzem? Niech skarży! Cesarz nie przekreśli aktu swego poprzednika. Zostaje Polska, która uważa te ziemie za własne, lecz Polska nie jest już groźna. Liczyć się z nią nie potrzeba.

Rzeczywiście, nie jest groźna.

Tylko zaszyty w swych borach Jaczo-Jaksa wierzy, że jego straż nad Odrą posiada jeszcze znaczenie. To przekonanie przekaże swemu synowi i wnukom. I dopiero około roku 1230 potomkowie Albrechta Niedźwiedzia zagarną ostatecznie ziemię teltowską. W roku 1245 rządzić będzie tym krajem ustanowiony przez margrabiów brandenburskich, niewymieniony z imienia, *advocatus de Copnik*.

## I BEZPIECZNĄ STAŁA SIĘ DROGA...

„Książę książąt”, Henryk Lew, zmagał się z nie mniej od niego silną koalicją przeciwników. Cesarz Fryderyk Rudobrody oblegał w Italii Mediolan. W Rzymie po śmierci Adriana IV było znów dwóch papieży: Wiktor IV, mianowany przez cesarza, i Aleksander III, obrany przez kolegium kardynalskie. Za Aleksandrem opowiadali się zwolennicy słuszności i prawa, między innymi zakon cystersów

...na który składają się arcybiskupi, wielu biskupów, przeszło siedmiuset opatów i niezliczona ilość zakonników... Rozgniewany cesarz wydał edykt, by wszyscy cystersi... albo papieża Wiktora uznali, albo uchodzili precz z kraju. Trudno wypowiedzieć, jakie tłumy duchownych... uciekły wtedy do Francji. Mnóstwo też biskupów świętością znakomitych... przemocą... wygnano... (Helmold, *Kronika Słowian*).

O tych gorszących i godnych pożałowania zdarzeniach rozmawiali, siedząc przed ogniem płonącym na kominie, gospodarz domu Helmold, proboszcz bożowski, i Gerold, świeżo biskupem aldenburskim (starogardzkim) mianowany, odbywający pierwszą wizytację swej diecezji w kraju Wagrów.

...kapłan imieniem Gerold, rodem ze Szwabii, wysokiego rodu, kapelan księcia [saskiego], był do tego stopnia w Piśmie św. ćwiczony, że nie było mu równego w Saksonii. W wątłym ciele miał wielką duszę. Był nauczycielem szkoły w Brunświku i kanonikiem... bardzo poważanym... za swe życie wstrzeмиężliwe... (jw.).

Na dworze dał mroźny wiatr. Bożowo, położone na ostrowiu pośrodku Jeziora Płońskiego, było szczególnie narażone na jego podmuchy. Śnieg pokrył świat na dwa łokcie grubo, mimo to izba, w której rozmawiający siedzieli, była ciepła

i zaciszna. Słowiański pacholek o lnianej czuprynie dokładał drew do komina. Blask ognia ukazywał w głębi izby stół założony księgami i kartami pergaminu, rzecz niespotykana w innym wnętrzu niż klasztorne, lecz proboszcz bożowski słyszał z wiedzy i umiłowania dziejów, sam będąc niepoślednim kronikarzem.

W przeciwieństwie do czerstwej, zażywej postaci Helmolda, niewiele odeń starszy biskup Gerold, o wątlym istotnie ciele, miał fraszobliwe lica. Dotychczasowe jego wrażenia z odbywanego objazdu były przygnębiające.

Proboszcz opowiadał z ożywieniem:

– Podjąłem trud zbyt śmiały w stosunku do moich mizerynych sił – opisać wszystkie zdarzenia, jakie się na tej ziemi od starodawnych czasów działy... „W ciemnościach bowiem świata tego, jeżeli pochodnia pisma nie przyświeca, wszystko jest nocą pokryte. Godna nagany zdaje mi się opieszałość wielu dzisiaj żyjących, którzy... zatkali źródła swej wymowy... Postanowiłem przeto... wiernie przy pomocy Boskiej opisać te rzeczy, o których się od starych ludzi czy z ksiąg dowiedziałem, lub sam naocznym świadkiem byłem...”

– Piękne przedsięwzięcie, któremu błogosławić należy – przyznawał biskup. – Co do ksiąg, korzystasz zapewne, mój synu, z *Dziejów kościoła Hammenburskiego* Adama z Bremy?

– Tak jest, Wasza Dostojność. Także z cennych zapisków benedyktyna Widukinda z Korbei. Najtrudniej przychodzi podawać czasy obecne, gdzie z mnóstwa zdarzeń wybrać należy ważniejsze...

– Nie zawsze łatwo rozpoznać, co ważne...

– Prawdę przyjąłem za jedyny wskaźnik. Inaczej, przy trudnych warunkach i skażonych obyczajach książy, mógłbym łatwo zbłądzić, kierując się obawą... Ach, Wasza Dostojność! Jakże wielkiego doświadczenia i biegłości trzeba, by piórem sterować pośród groźnych skał! W sądy się żadne nie wdaję, rozumiejąc, że sąd do mnie nie należy... Krzepię się pewnością, że prawda sama w sobie jest niewzruszona i zmienić się nie da, a kto by ją przeinaczał, okaże się później oszustem...

– Ludzie na ogół unikają prawdy – rzekł z żalem gość.

– „Gdy chorym oczom światło zda się nienawistne, wiadomo, że w tym nie ma winy światła, tylko chorych oczu” – odparł sentencjonalnie gospodarz. Nalał wina z cynowego dzbanka i podał z szacunkiem przełożonemu napełniony kubek. Przez chwilę popijali w milczeniu. Pacholik przyniósł nowe naręcze smolnych szczap i żywszy blask rozświetlił izbę.

– Jak dawne jest to biskupstwo? – przerwał Gerold ciszę.

– „Biskupstwo aldenburskie, jedno z sześciu ufundowanych przez chwalebnej pamięci cesarza Ottona I Wielkiego, założone zostało roku Pańskiego 952” – odparł Helmold, rad, że może się popisać wiedzą historyczną.

– Dwieście lat temu! – westchnął biskup. – Dwieście lat! I pomimo to pogaństwo trwa nadal...

– Przyczyna tego – objaśniał kronikarz – leży w niezwykajnym wstręcie, jaki ten lud żywi do przyjęcia wiary świętej. Ani prośba, ani groźba, nic nie przełamie ich szatańskiego uporu. Snadź Panu naszemu spodobało się pozostawić ich w pogaństwie. Nie brak potwierdzających to znaków... Wasza Dostojność czytałeś zapewne, co żywotopisarz św. Kolumbana podaje, że ów wielki święty chciał nawracać Słowian, lecz przed wyruszeniem w podróż miał widzenie. W widzeniu posłyszał, że szkoda jego fatygi, gdyż ci Słowianie nigdy się nie ochrzczą. Natenczas św. Kolumban, zamiast iść za Łabę, zawrócił ku Italii, gdzie założył klasztor znakomity, Bobbio...

– Dwieście lat! – powtarzał Gerold. Przed oczyma stanęła mu wczorajsza droga. Nie opodal Starogardu napotkał dębowy gaj, święty pogański gaj! Wielowiekowe drzewa opasywał rzeźbiony parkan mający dwie bramy. Śnieg zaścielił grubą warstwą ziemię, świadcząc, że nikt dawno tych bram nie otwierał. Widok siedliska pogańskich bożków zagrzał Gerolda niezwykłą energią. Zeskoczył z konia i zwołując służbę, która usłuchała niechętnie, pobrnął przez kopny śnieg ku ogrodzeniu. Przewrócili parkan, co nie było trudne, okazał się bowiem spróchniały, lecz o ścięciu dębów nie mogło być mowy. Siła by do tego trzeba ludzi i z tęgimi toporami. Zadowolwszy się



więc ściągnięciem płotu na kupę i spalaniem, biskup dosiadł z powrotem podjezdka, co służba przyjęła z ulgą. Cały czas bowiem oglądali się niespokojnie na boki, czy tłum uzbrojonych pogan nie naciera...

- Pierwszym biskupem starogardzkim – opowiadał dalej Helmold – był Markon, a cesarz Otton poddał jego władzy cały kraj Obodrzyców, aż do rzeki Piany i grodu Dymin...

- Nie wiedziałem, że już wtedy cesarstwo tak daleko sięgało – przyznał uczony.

- Sięgać, nie sięgało, ale miało sięgnąć w przyszłości, o czym wielki cesarz nie wątpił... Po Markonie na stolicy oldenburskiej zasiadał Ekward, po nim Wagon... O tym powiadają, że miał piękną siostrę, którą pojął za żonę Billug księżę Obodrzyców, pierwszy, który chrzest przyjął. Córka tegoż Billuga była ksienią klasztoru Panien w Mikilinburgu. Wszystko zdało się pomyślnie układać dla nowej winnicy Pańskiej, lecz w roku 983 przyszło straszne zaburzenie... Słowianie powstali jak tyleż diabłów wyjących, spalili wszystko, przeszli za Łabę i tam szerzyli zniszczenie. Krew świętych sownie skropiła ziemię, a ciała męczenników użyźniły pola... Niewiele czasu minęło, a w roku Pańskim 1018 było drugie zaburzenie, jeszcze sroższe, a w niecałe pięćdziesiąt lat później trzecie, straszliwsze od poprzednich. Jako mówi Pismo św. o nawiedzonym przez czarta: i będą ostateczne rzeczy tego człowieka gorsze niż pierwsze... W całej Wagrii nie pozostał ślad wiary świętej. Leżała odłogiem ta ziemia przez osiemdziesiąt cztery lata, aż świątobliwy Wicelin zapragnął obsiać ją na nowo... Czy Wasza Dostojność znasz dzieje świątobliwego Wicelina, poprzednika swego na aldenburskiej stolicy?

- Znam niedokładnie i chętnie posłucham – zapewnił uprzejmie biskup.

Helmold rozpromienił się.

- W takim razie ośmielę się przeczytać Waszej Dostojności rozdział mojej skromnej kroniki, opisujący czyny tego kapłana – rzekł i przysunawszy się bliżej do ognia otworzył okazały foliał:

– ...Księga pierwsza, rozdział pięćdziesiąty trzeci – oznajmił uroczyście:

„Przed znakomitym cesarzem Lotarem... stanął kapłan Wicelin i podał środki do zbawienia dusz ludu słowiańskiego. Uwiadomił go też, że w kraju Wagrów znajduje się góra, na której można by zamek obronny wybudować...”

– Na cóż mu był zamek obronny? – zadziwił się słuchacz.

– Konieczny, Wasza Dostojność, konieczny, ze względu na zażartość pogaństwa. Dość tu mężów pobożnych zginęło, by jeszcze nowych narażać. Tylko silne mury i tęga załoga mogą powstrzymać ten naród...

– Być może... Czytaj więc dalej.

Cesarz, usłuchawszy rady roztropnego kapłana, posłał zdolnych ludzi dla zbadania, czy góra była do tego dogodna. A gdy oni potwierdzili... polecił całemu ludowi Nordalbingów, by się schodzili dla wybudowania warowni. I książęta słowiańscy okazali się posłuszni cesarzowi i musieli się przyłożyć do tego dzieła, choć z wielkim smutkiem, czuli bowiem, że to się tajemnie dla ich uciemienienia gotuje. Powiedział jeden z tych książąt do drugiego: – Czy widzisz oną silną budowlę?... ta twierdza będzie służyła ku obróceniu w niewolnictwo kraju naszego... Całą ziemię Połabian opanują. Ani kraj Obodrzyców ręki ich nie ujdzie. Na to drugi: – Któż nam tę biedę zgotował? A pierwszy: – Popatrz na tego łysego człowieka stojącego przy królu. On na nas to nieszczęście sprowadził. – I zbudowana została potężna twierdza i liczną załogą obsadzona, i nazwano ją Siegeberg...

– Czy zmiana w usposobieniu ludności nastąpiła szybko? – pytał Gerold.

– Gdzie tam! – odparł szczerze Helmold, nie spostrzegłszy w pytaniu ironii. – Gdzie tam! Niedługo się ta twierdza ostała... Wieleż razy była przez Słowian burzona i przez naszych książąt znów odbudowywana! Świątobliwy Wicelin mieszkał w Falderze przez trzydzieści lat, żadnych owoców swej pracy nie uzyskując... Srogi jest upór tych pogan! Tak było aż do czasów, kiedy arcybiskup hammenburski Hartwig przedsię-

wziął odbudować stolice biskupie, które wściekłość barbarzyńców pogańskich niegdyś zburzyła...

Proboszcz poślinił palce, przewrócił parę kart drobno zapisanej księgi i czytał dalej:

...arcybiskup wyświęcił czcigodnego Wicelina na biskupa aldenburskiego, choć ten był już w wieku podeszłym... Na biskupstwo mikilenburskie przeznaczył Emmerharda i... wysłał obu do tej ziemi nędzy i głodu, gdzie jest siedlisko szatana i wszelkiego ducha nieczystego. To się stało bez pytania o zezwolenie księcia naszego [Henryka Lwa] ani naszego hrabiego [Adolfa holsztyńskiego].

– Pozwól, synu – przerwał z niepokojem biskup. – Powiadali mi w Brunświku, że tu kraj żyzny, bogaty, a ty nazywasz go ziemią nędzy i głodu?! Jakże to jest prawdziwie?

– W Brunświku mówili słusznie – przytwardził kronikarz. – Kraj to piękny, urodzajny, obfitujący z natury swojej we wszystko. Doszedł teraz do stanu takiego zdziczenia z winy samych Słowian, ich zapalczywości w walce...

– Z kimże walczą, na Boga?! – zakrzyknął biskup.

– No... z księciem... z hrabią... ze wszystkimi, co nad nimi górują...

– O cóż walczą?

– O wolność – przyznał proboszcz i nierad rozvodzić się dłużej, wrócił śpiesznie do przerwanej lektury:

Hrabia ściągnął całą dziesięcinę z tego roku i nie pozostawił dla biskupa ani cząsteczki. Biskup Wicelin udał się do księcia, prosząc go o przebaczenie... Książę wtedy rzekł do niego: – Warto, bym cię ani przywitał, ani przyjął, boś godność otrzymał bez mojego zezwolenia. Ja sam tylko w tej rzeczy rozporządzać winienem... Znając twoją wierność... zapomnę tej winy, jeżeli inwestyturę z rąk moich przyjmiesz. Pod tym jedynie warunkiem sprawy twoje mogą się obrócić na dobre.

Proboszcz czytał dalej opis wędrówki Wicelina do arcybiskupa Hartwiga, który pod surową karą zabronił mu przyj-

mować laski (pastorału) od księcia. Nie wiedząc, co począć, nieszczęsny misjonarz zachorzał. Gdy mu się zdrowie nieco poprawiło, powrócił zrezygnowany do Henryka Lwa.

...Książę rzekł: – Uczynię, co chcesz, jeżeli mi cześć oddasz. – Wicelin uczynił, co konieczność nakazywała, i przyjął laskę (pastorał) z rąk księcia. Dał wtedy książę biskupowi wieś Dulkanicę i tę wyspę Bożowo, by sobie na niej wybudował dom... I mieszkał Wicelin tu na wyspie pod bukiem, dopóki domu tego nie postawiono... Wiele trosk i udręczeń doznał czcigodny Wicelin.

...arcybiskup bowiem i książę, do których najwyższa władza w tym kraju należała, pobudzani razem nienawiścią i zazdrością, spierali się ze sobą o to, do kogo władza stawiania biskupów ma należeć, a najpilniej się strzegli, żeby jeden drugiemu w niczym nie ustąpił... Ze zgryzoty Wicelin umarł niebawem, wyjechawszy z Bożowa do Faldery. Zgon jego nastąpił dnia 12 grudnia 1154 roku...

Proboszcz odłożył księgę i popił wina, gdyż zachrypl. Biskup zamyślił się niewesoło. Jego własne losy zapowiadały się podobnie do Wicelinowych. Krewki arcybiskup Hartwig przystąpił do koalicji książąt przeciw Henrykowi Lwu, w odpowiedzi na co wojska saskie nie puściły go z powrotem do Hamburga i musiał przesiedzieć cały rok we wschodniej Saksonii. Henryk Lew, by mu dokuczyć, zabrał swojego kapelana do Rzymu na koronację cesarza i tam od samego Ojca Świętego Gerolda otrzymał sakrę. Hartwig jej nie uznał i teraz mąż uczonej sam nie wiedział, czy jest biskupem, czy nie. Przeklinał chwilę, w której uległ namowom pobożnej Klemencji, małżonki księcia Henryka, i rzucił spokojne życie, swe księgi, swą szkołę, by przyjąć uciążliwą godność. Do tego kraj pogański! Uczonemu nie mieściło się w głowie, by w ciągu dwustu lat nie można było zjednać sobie tego ludu. Spojrzał na lnianowłosego chłopca stróżującego przy palenisku. Jego twarz, choć młoda, zdawała się nie znać uśmiechu, a niebieskie oczy patrzyły w ogień z takim wyrazem, jak gdyby płasające płomie-

nie były pacholęciu jedyną rzeczą w tej izbie znajomą i przyjazną. Na rozmowę panów nie zwracał żadnej uwagi.

– W jakim języku świątobliwy Wicelin nauczał pogan? – zapytał biskup nagle.

Proboszcz zdziwił się pytaniem.

– W jedynej właściwej mowie – odparł. – Łacińskiej, tudzież niemieckiej.

– Pojmują ją?

– Gdzie tam! Ani słowa! Przez złą wolę i ociężałość duchową... Gdyby zechcieli, dawno by ją posiadli, gdyż poza tym wcale okazują się bystrzy. Jak zawsze, złośliwość pogańska i upór!

Gerold spojrział znów na chłopca, szukając w jego rysach złośliwości i uporów. Zobaczył tylko zadawniony smutek i zwrócił się do proboszcza.

– Ty, mój synu, mieszkając wiele lat w tym kraju, poznałeś mowę słowiańską?

– Ja? – zdziwił się Helmold ponownie. – Nie! Na nic mi ona potrzebna... Tyle słów niemieckich, by pojąć moje rozkazy, służba rozumie...

– Łatwiejsze byłoby duszpasterzowanie przy znajomości języka.

– Ależ ja nie jestem duszpasterzem! – zaproponował gospodarz. – Ani mam na to czas, kroniką będąc zajęty, ani chętnych do słuchania... Do kogo miałbym mówić kazania? Do wilków, jeleni, borsuków? Toć tu pustka wkoło! Okolica wydłupiona...

– Mór przeszedł? – domyślił się gość.

– Uchowaj Boże! Nie było moru. Przez swój wrodzony upór i złość tutejsi ludzie woleli zbiec w puszcze albo na morzu łotrować niż wiarę świętą przyjąć i daninę księciu oraz mnie, proboszczowi, płacić. W Aldenburgu zostało tylko dwóch znaczniejszych Słowian... obaj z dawnych książąt węgryjskich plemiennych... Jeden, Cieszymir, poganin, osiadły człek. Hrabia go nie rusza na razie, bo daniny płaci, przy tym kolonistów łasych na ziemię brak. Jak ich swojego czasu przekłety

Nieklót, ostatni księżę obodrzycki, przegnał, nie kwapią się wracać, zwłaszcza że margrabia Albrecht wszystkich do siebie zwołuje... Więc póki co, Cieszymir siedzi... Drugi, Przybysław, ochrzczony, ale od Kościoła stroni... Obaj żadnego znaczenia ani władzy nie posiadają... Ludzie zowią ich kneziami przez pamięć na to, że ojce onych książąt rządziły tym krajem. Wasza Dostojność pragnie ich poznać? Zajedziem do Cieszymira.

– Przyjąłby nas? Poganin?!

– Wasza Dostojność nie znasz Słowian! U nich gościnność pierwsza cnota, a osoba gościa święta... Bardzo to oni obserwują... Przyjmie na pewno... A Przybysława obaczmy w kaplicy na nabożeństwie z racji uroczystości Trzech Króli.

W niedługi czas później proboszcz bożowski Helmold zapisał w swojej kronice:

Miasto [Starogard] było zupełnie puste, bez mieszkańców i murów, i miało tylko małą kaplicę przez Wicelina wzniesioną. Tam wśród najostrejszego zimna, na kupie śniegu odprawiliśmy nabożeństwo. Ze Słowian żadnego słuchacza prócz Przybysława i kilku [jego sług] nie było... Po ukończeniu Świętych Tajemnic Przybysław zaprosił nas [biskupa Gerolda i Helmolda] do swego domu, który się w odległym miejscu znajdował... i ucztę walną wyprawił. Stół zastawiono dwudziestoma potrawami...

U księcia tego pozostaliśmy przez tę noc i jeszcze dzień, i noc następną, a potem udaliśmy się dalej w gościnę... do niejakiego... Thessemara [Cieszymira], który [choć poganin] nas do siebie zaprosił.

Nocując u Cieszymira, na łożu świeżą słomą wymoszczonym, rozważał biskup zawikłane sprawy. Zdało mu się dziwne, że gdy nieraz w chrześcijańskim kraju obawiał się nocą napaści zbójeckiej, tu zasnąć może spokojnie. Znający ten lud proboszcz bożowski zapewnił go, iż w domu Słowianina włos z głowy gościowi nie spadnie... Słowianie brzydzą się kłamstwem i zdradą, a kto im zaufał, nie zawiedzie się na ich wierności... Nie mogą to zatem być źli ludzie – myślał

Gerold. – Czemuż się przy pogaństwie upierają? Czym więcej myślał, tym mocniej dochodził do przekonania, że w stosunku do tych ludzi zachodziła jakaś zasadnicza omyłka, pierwotny błąd, który zagradzał pogańskim duszom drogę do Boga. I bolał nad tym, i chciałby przeszkodę usunąć, a jak to uczynić – nie wiedział.

Nazajutrz wszczął o tym rozmowę z Helmoldem. Pełne go-ryczy i powagi słowa biskupa przebiły zwykły optymizm kronikarza. Zastanowił się i rzekł:

– „Jeszcze Adam, biskup z Bremy, pisał, iż Słowianie dawno by wiarę przyjęli, gdyby nie chciwość książąt...”

– Nasi biskupi nie lepsi – sarknął Gerold.

– Nie przystoi mi nawet myśleć o tym – zastrzegł się ostrożnie Helmold.

W następną niedzielę lud okoliczny zebrał się na targ do Lubeki i biskup [Gerold] przybywszy tam nauczał ich, by porzuciwszy bałwany, oddali cześć Bogu Jedynemu, a przyjmąwszy łaskę chrztu, wyrzekli się złych spraw tj. łupiestwa i mordowania chrześcijan. Gdy skończył przemowę, książę wagryjski Przybysław rzekł w imieniu swoich: – Słowa twoje, czcigodny biskupie, są to słowa Boże i prowadzą nas ku zbawieniu. Lecz jakże wstąpimy na drogę, jaką wskazujesz, skoro tyle złego nas otacza? Chcąc zrozumieć smutne położenie nasze, cierpliwie słów moich wysłuchaj... Słuszną jest rzeczą, byśmy ci nasz stan przedłożyli, a zapłaczesz nad losem naszym. Książęta nasi [sascy] z taką surowością obchodzą się z nami, że uciemiężeni podatkami i niewolą wolimy śmierć niż takie życie. Oto w tym roku my, mieszkańcy tego biednego zakątka, zapłaciliśmy księciu [Henrykowi Lwu] tysiąc funtów srebra, potem hrabiemu [Adolfowi holsztyńskiemu] drugie tyleż. Jeszcze tego nie dość, codziennie krzywdzą nas i łupią aż do zupełnego zniszczenia. Czyż możemy poświęcić się twojej wierze, budować kościoły i chrzest przyjąć, kiedy nam codziennie przed oczami ucieczka staje? O, gdybyśmy przynajmniej mieli dokąd uciekać! Przejdziemy za Trawnę – i tam podobne nieszczęście, pójdziemy aż nad rzekę Pianę – i tam znajdziemy to samo. Cóż więc nam pozostaje, jeżeli nie

porzucić naszą ziemię, przenieść się nad morze i zamieszkać w chatach rybackich?... Będzie to naszą winą, gdy pozbawieni ojczyzny zaniepokoiemy morze i zabierzemy od Duńczyków lub kupców żeglujących to, co nam do utrzymania życia jest konieczne? Nie będzie to winą książąt, którzy nas do tego przymuszają?

Biskup odpowiedział na to: – Że książęta nasi źle się z waszym ludem obchodzą, to w tym nie masz nic dziwnego, nie uważają bowiem za grzech takie postępowanie z bałwochwalcami nie wyznającymi Boga. Czemuż nie uciekacie się do chrześcijaństwa i nie poddacie się Stwórcy waszemu, przed którym schylają karki i ci, którzy świat dźwigają? Czyliż Sasi i inne ludy chrześcijańskie nie pędzą żywota w spokoju, zadowoleni ze swych praw i podatków? Wy jedni tylko, różniąc się od wszystkich wiarą, od wszystkich też cierpicie rabunek.

Przybysław na to powiedział: – Jeżeli książęta i ty chcecie, abyśmy wyznawali waszą religię, niechże nam nadadzą prawa Sasów co do dóbr i podatków, a chętnie zostaniemy chrześcijanami, pobudujemy kościoły i zapłacimy przynależną dziesięcinę (Helmold, *Kronika Słowian*).

Potem Przybysław przetłumaczył ludowi, co biskup rzekł, i swoją odpowiedź, a wszyscy zebrani przytwierdzili, że chrzest przyjmą, jeżeli zostaną zrównani z Sasami w daniach i obowiązkach. Wówczas biskup, który miał serce sprawiedliwe, poruszony mocno wszystkim, co widział i słyszał, obiecał, że będzie prosił księcia o folgę nad nimi.

Okazją do tego mógł być sejm w Etenenburgu, dokąd na wezwanie księcia przybyli także niektórzy dawni książęta słowiańscy.

Na prośbę Gerolda książę miał do nich przemowę o religii chrześcijańskiej, religii miłosierdzia i dobroci, którą czcić należy i szanować. Wówczas spośród Słowian wstał jeden książę i rzekł, śmiejąc się szyderczo: Niechże ten Bóg miłosierny, który jest w Niebiesiech, będzie twoim Bogiem. Nam wystarczy, że ty jesteś bogiem naszym. Oddawaj ty cześć Jemu, a my ją oddamy tobie (jw.).



Zapalił się książe wielkim gniewem na takie słowa bluźniercze.

Nie powiodło się też Geroldowi. Książe mniej dbał teraz o swojego dawnego kapelana, zamierzał bowiem rozwieść się z żoną Klemencją i poślubić Matyldę, córkę Henryka II króla angielskiego. Świetny ten ożenek zależał od otrzymania rozvodu. Za pretekst miało służyć pokrewieństwo, rzekomo do tąd nie zauważane. Henryk Lew, znając sumiennosc i ścislosc Gerolda, obawiał się, że ten nie ułatwi mu zadania, przeciwnie gotów utrudnić. Szczególnie, że kanonik godnosć biskupią otrzymał za poparciem księżnej Klemencji, której był szczerze oddany.

To wszystko sprawiało, że Henryk Lew kwaśno przyjął wagyjskiego biskupa, a na jego prośbę, by zmniejszył daniny Słowianom, parsknął z wściekloscią jak kot.

– Dorzucę jeszcze ciężaru tym ścierwom, żebrakom, próżniakom! – krzyczał. – Dorzucę, a nie zmniejszę!

...co do spraw biskupstwa i kościoła, nic w owym czasie więcej nie zrobiono, książe nasz bowiem tylko co wróciwszy z Italii, cały był zajęty szukaniem pieniędzy, bo skarb był zupełnie próżny (jw.).

Strapiony Gerold usiłował przynajmniej uzyskać coś dla siebie.

Po cóż wkładaliście na mnie ciężar tytułu i urzędu? – narzekał. – Przyszedłszy do Wagrii, nie mam z czego żyć. Było mi o wiele lepiej przedtem niż teraz (jw.).

By się pozbyć uciążliwego petenta, książe kazał hrabiemu Adolfowi wydzielić z dóbr holsztyńskich przypadające na Kościół trzysta łanów (włók) ziemi, co hrabia obiecał natychmiast uczynić. Lecz kiedy biskup przyjechał i nową posiadlosć zobaczył, stwierdził, że wynosi ona najwyżej sto łanów.

...hrabia bowiem zmierzył ziemię krótkim sznurem nie używanym w tym kraju. Sznurem też zmierzył błota i lasy. Takim sposobem naliczył bardzo wielką ilość pól... Wiele pra-

cy kosztowało dochodzenie tych posiadłości i nie dało się ich uzyskać aż do dnia dzisiejszego... (jw.).

Tak więc biskup Gerold był przygnębiony podwójnie.

Nie zdołałem uczynić dla moich pogańskich diecezjan nic z tego, co obiecałem – myślał. – To jedno zrobię, czego mi zabronić nie mogą... I posłał do Starogardu księdza Brunona z Faldery:

...ksiądz Bruno z żarliwością opowiadał ludowi słowo Boże, wykładając je zrozumiale w języku słowiańskim (jw.).

Grzeszny rozłam w Kościele trwał i przybierał na sile. Rozszerzył się na Anglię, gdzie król Henryk II, wbrew opinii swego dawnego kanclerza, obecnie arcybiskupa, Tomasza Becketta, zawarł z Fryderykiem sojusz przeciw prawowitemu papieżowi. W Akwizgranie na rozkaz cesarza arcybiskup koloński ogłosił Karola Wielkiego świętym. Przyjaciel Fryderyka, Rajmund z Dassel, rozgłaszał wszędzie, że nowy Karol Wielki (Fryderyk) posiada prawo mianowania papieży, tak jak mianuje biskupów.

W Italii oręż niemiecki odnosił zwycięstwa.

Po długim oblężeniu cesarz zdobył Mediolan, wypędził z niego mieszkańców, zburzył wieże, kościoły, mury z ziemią zrównał i całe miasto spustoszył. Wtedy urosło serce cesarza, a wszystkie królestwa ziemi zlekły się sławy jego imienia... (jw.).

Fryderyk Rudobrody przymusił niekarnych książąt niemieckich do zaprzestania wojny domowej. Skorzystał z tego Henryk Lew, by zająć się organizowaniem zajętych obszarów słowiańskich. W Holandii i Flandrii trwały klęski żywiołowe, powodując dalsze emigrowanie mieszkańców z zagrożonego wybrzeża.

...za owych dni... warownie, jakie książę [Henryk Lew] prawem wojennym posiadał w ziemi Obodryców, zaczęły zaludniać się przybyszami, którzy ściągnęli do kraju, aby go posiadać. Rządcą tej ziemi był Guncelin... Henryk z Racesbur-

gu sprowadził tłumy Westfalczyków, by ci osiedlili się w kraju Połabian i rozdzielił pomiędzy nich ziemię podług wymiaru (jw.).

Napływ kolonistów spowodował zasadnicze zmiany w strukturze społecznej ziemi obodrzyckiej. Dotychczas pomimo twardego jarzma najeźdźcy, pomimo załóg niemieckich trzymających twierdze i grody, ludność słowiańska rządziła się swoim prastarym obyczajem rodowym, gromadzkim. Przybyśże z zachodu ułatwili rozsądzenie tych ram, stając się pełnoprawnym i wyróżnianym elementem. Zanikły wiec gminne, na których decydowała starszyzna. Zamiast dawnych księząt plemiennych, w imieniu księcia rządzili grafowie niemieccy. Zgodnie z obyczajem feudalnym, dotychczas na tych ziemiach nieznanym, grafowie składali księciu hołd jako wasale, po czym, stając się absolutnymi panami danego terenu, ściągali z ludności podatki, daniny oraz kontyngenty wojskowe.

Czy ksiązę plemienny, słowiański, chrześcijanin mógł być wasalem i w ten sposób pozostać na swej ziemi? Teoretycznie – mógł. W praktyce nigdy się to nie zdarzało. Składanie hołdu bowiem łączyło się ze złożeniem suzerenowi ogromnej daniny, na którą zniszczeni Słowianie nie mogli się zdobyć.

Wprowadzone rządy saskie były twarde. Obok ciężaru podatków Słowianin płacił osobną daninę, jeżeli chciał się ożenić. Słowianka płaciła księciu karę pieniężną, jeżeli jej dziecko umarło. Dawne sądy słowiańskie oparte były na prawdomówności oskarżonego i świadków, gdyż Słowianie nie znali krzywoprzysięstwa. Lecz Niemcy wprowadzili „ordalia”, próby ognia, wody i lemiesza, przerażające lud słowiański swoim okrucieństwem.

Przeobrażenia społeczności nie można dokonać od razu. Toteż dopóki tereny słowiańskie nie były jeszcze całkowicie skolonizowane, cierpiano Słowian jako siłę roboczą i niewolniczą. Jeśli wówczas, tak dumni niegdyś, Obodrzyci próbowali stawiać opór, Henryk Lew stosował najostrejsze środki, wieszał i zabijał masowo.

...książę [Henryk Lew] wyjął Słowian spod prawa i rozkazał swoim być gotowymi do wojennej wyprawy czasu żniw... (jw.).

...Wyjął spod prawa i kazał uderzyć na nich czasu żniw, by ci, którzy ujdą miecza, wyginęli z głodu!

Żniwa... Święto urodzaju! Uroczysta pora, gdy zawieszona bywa wszelka waśń, woje odkładają włócznie, a ujmują sierpy. Pokój panuje nad światem, by nic nie przeszkodziło zebraniu nowego plonu. Czym byłby człowiek, gdyby przepadł chleb? Każdy w swej wierze modli się w żniwa o pomoc. Chrześcijańskie wzywają Aniołów i Świętych, poganie boginię Łagodę i duchy opiekuńcze pól. W tym momencie książę saski ogłasza na Słowian proskrypcję! Kto chce, może zabić bezkarnie męża, niewiastę czy dziecię... Może podpalić zboże dojrzałe na pniu i ze śmiechem patrzeć, jak chleb płonie. Może kopnięciem zabić bezsilną staruchę lub rozciąć brzuch zgwałconej dziewczynie... Proskrypcja!... Wyjęci spod prawa!

Biskup Gerold w Lubece (dokąd przeniósł swą siedzibę ze Starogardu) nie mógł obecnie narzekać na brak wiernych. Koloniści byli chrześcijanami, uczęszczali pilnie do kościoła i brali pobożnie udział w uroczystych procesjach. Biskup i jego pomocnicy mieli pełne ręce roboty. Budowano w kilku miejscach kaplice, rozszerzała się Służba Boża. Pomimo tego biskup źle wyglądał, jakby go żarła nieznana zgryzota. Cieszył się, owszem, obecną owczarnią, lecz nie mógł zapomnieć tamtych, prawych dziedziców tej ziemi, którym światła wiary nie umiał pokazać. Odepchniętych, skazanych nędzarzy. Jawili mu się nocą w postaci lnianowłosego pacholka o twarzy nie znającej uśmiechu. Świadomość ich krzywdy, poczucie własnej bezsilności (ludziom tak okrutnie dręczonym jakże by mógł głosić Ewangelię, nie budząc szyderczego śmiechu szatana?) truły go, że nikł w oczach i wkrótce życie zakończył.

W przeciwieństwie do zwierzchnika proboszcz bożowski patrzył pogodnie na toczące się wypadki. W ostatnim rozdziale jego nieocenionej kroniki czytamy:

I bezpieczną stała się droga wiodąca z Danii do ziemi słowiańskiej... Ziemia słowiańska, rozciągająca się od Ejdory pomiędzy Morzem Bałtyckim a rzeką Łabą, przez bardzo długie przestrzenie ciągnąca się aż do Zwierzyna (dziś Schwerin), niegdyś straszna... i pusta, z łaski Boskiej cała prawie w jedną osadę saską zmieniona została. Budują się tam miasta i wsie, powstają kościoły... Przybysław [syn Nieklóta, wytrwały bojownik] – porzuciwszy swe długie i uporczywe bunty, widząc, że nic mu nie pomoże „przeciw ościeniowi wierzgać”, pozostał w spokoju, zadowolając się przyznaną mu częścią, mianowicie grodami Mikilenburg, Hłowo i Roztok. W obrębie tych grodów niedobitki swoich Słowian osadził. Że zaś zbójcy słowiańscy niepokoiłi Niemców, którzy w Zwierzynie i jego okolicy mieszkali, Guncelin, rządca zamku, mąż dobry i przyjaciel księcia [Henryka Lwa], polecił swoim, by skoro tylko spostrzegą kogo ze Słowian, idących boczną drogą bez usprawiedliwionej przyczyny, aby takich chwyтали i natychmiast wieszali. Takim sposobem Słowianie cokolwiek od kradzieży i rozbojów powstrzymani zostali.

## TROJA PÓŁNOCY

Tłum wysypujący się z bram świątyni arkońskiej nie był tak liczny jak dawniej, gdy to przed każdym świętem cieśnina między Strzałowem a Raną pokrywała się łodziami wiozącymi z ładu na wyspę czcicieli Świętowita. Bóg czworolicy posiadał obecnie tylko swych wyspiarzy.

Wróżby wiosenne dzisiaj odprawiane wypadły nader pomyślnie, przeto ludzie opuszczający świątynię byli spokojni i zadowoleni. Kołacz ofiarny wyrósł nad podziw, nie ujrzano zza niego nawet czubka głowy starego Dobiegniewa, kapłana. Rok obecny, według liczby chrześcijańskiej 1168, powinien być dobrym rokiem.

Pogadując o tych sprawach, ludzie siadali na skałkach, rozwijali tobołki z żywnością, pozierali w górę na strome wały, na wieżę zębatą górującą nad otwartą na oścież bramą. Mewy przelatywały nad głowami z piskiem, chciwie rzucanych im w górę okruchów. Słońce grzało, jakby to był koniec kwietnia, a nie marca. Kredowe skały, na których wznosiła się twierdza, zdawały się olśniewająco białe, a woda przy nich czarna. Za cieśniną, oddzielającą świątynny przylądek Witów od całości wyspy, na płaskiej, wystającej z morza mieliźnie paru młodych rybaków zakładało sidła na dzikie gęsi, wracające o tej porze z powrotem na północ. Rozłożyli płasko niewód, spuszczać końce do wody, całą sieć przysypali piaskiem i wrócili na brzeg, by przyjść na zasiadkę wieczorem.

Syn Kanuta Lawarda, Waldemar król duński, i jego prawa ręka biskup z Roskilde, Absalon, postanowili zgodnie uderzyć w tym roku na Ranę. Kieruje nimi chęć ubieżenia Sasów, dawno planujących podbój wyspy, oraz ukaranie zuchwalstwa pogan rańskich. Stare przysłowie powiada „wszy-

szy wypiarze są źli”, lecz Ranowie spośród nich na pewno najgorsi. Przed kilku laty Waldemar najechał wybrzeże pomorskie, spustoszył je, naładował okręty zdobyczą, powracał do domu.

...Ranowie, zebrawszy w pośpiechu niewiele statków, zagrodzili Duńczykom drogę na morzu, zatopili część ich okrętów, rozpędzili resztę, tak że król i Absalon zaledwie z siedmioma statkami zdołali uciec... (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Ta porażka dotąd nie została pomszczona, rok zaś bieżący tym był sposobniejszy, że książę saski Henryk Lew (z którym król duński pozostawał w przymierzu), pochłonięty wojną na zachodzie, nie będzie mógł uczestniczyć w zamierzonej wyprawie, a zatem żądać połowy zdobyczy.

Król duński i biskup z Roskilde starannie omawiają przedsięwzięcie. Gra idzie o wielką stawkę, choć powierzchnia wyspy jest mała. Ileż razy królowie duńscy usiłowali ją zdobyć! Eryk Ejegod, Eryk Emmune, Swen Graathed i on sam, Waldemar! Gromadzili, bywało, do tysiąca statków dobrze obsadzonych, lądowali na wyspie i odpływali, nie mogąc utrzymać się na niej dłużej. Arkona, dusza i serce Rany, Arkona stercząca z morza niby biały kieł, nigdy nie została wzięta.

Absalon znakomity wódz, o którym kronikarz pisze: „był nie mniej korsarzem niż kapłanem” (Sakso Gramatyk), radzi całą siłę pierwszego uderzenia skupić na przylądku Witów. – Jeżeli zdobędziemy Arkonę – powiada – wyspa i tak będzie nasza. – Waldemar przyznaje mu słusność. Ale jak zdobyć Arkonę?

...gród ten leży na wysokim wzgórzu, wznoszącym się bezpośrednio z morza, i umocniony jest od wschodu, południa i północy przez samą naturę. Wzgórze to sterczy prostopadle, a tak wyniosłe, że strzała wypuszczona nie dosięgnie wierzchu murów warowni (Sakso Gramatyk).

Świętujące gromady, syte śpiewów i płasów, rozeszły się już do domów. Noc jest późna. Czuwają tylko strażnicy na

wieży. Czuwa najstarszy kapłan Dobięgniew, stojący na ganku świątyni.

Choć Waldemar utrzymuje swe plany w tajemnicy, wieść o zamierzonym najeździe dotarła już na wyspę. Przyniesli nowinę rybacy, którym zwierzyli ją kupcy śledzi, niespokojni, czy da się w tym roku łowić pomiędzy Raną a Chyciną. Zbytniego wrażenia wiadomość jednak nie wywołała. Lud ufa w opiekę swego boga Świętowita, który nie pierwszy raz przegoni precz nieprzyjaciół. Świeżo odprawione szczęśliwe wróżby utwierdziły te nadzieje. Skoro stary Dobięgniew powiada, że rok będzie dobry, nie ma czego się lękać.

Stary Dobięgniew tak mówi, lecz myśli zgoła inaczej. Od tylu lat kieruje zakopywaniem losów, wodzeniem świętego żrebca przez włócznie, że przestał mniemać, jakoby te obrzędy miały szczególne znaczenie. Czy wierzy w Świętowita? Oczywiście, wierzy, tak często jednak uprzedzał jego wypowiedź, że zwątpił, by kiedykolwiek bóstwo przemawiało samo z siebie. Nie wie nawet stary żerca czy zdarzają się prawdziwe znaki, po których można poznać przyszłe losy, jak się poznaje jutrzejszą pogodę po barwie zachodniej zorzy.

W przeciwieństwie do uspokajanych przezeń wiernych Dobięgniew lęka się nadchodzącej wojny. Razem z Duńczykami uderzyć mają na Ranę książęta pomorscy, Bogusław i Kazimierz. Tak mówili kupcy śledzi. Wprawdzie ostatnia rozprawa Ranów z Duńczykami podjęta była w obronie Pomorzan, ale Waldemar znęcił ich obietnicą, że otrzymają z powrotem Wołogoszcz... Stary wróż kiwa głową z goryczą. Jest wraz ze swym ludem samotny w obliczu nieba i morza.

Dawniej, patrząc z tego ganku, wyczuwał za wodą bliskość współplemieńców. Byli liczni, silni, hardzi... Jedna mowa, jedna wiara... Dziś nie ma ich... Odmienił się świat. Swoi albo zginęli, albo odstąpili wiary. Rana pozostała sama jedna. Ostatni przybytek bogów...

Ciszę przerywa nagle wrzask ptasi, trzepotanie skrzydeł, łomot razów, krzyki, wołania i pluski. Wzdryga się stary, a to tylko łowcy dzikich gęsi podpełzli cicho pod stado przelotne,



śpiące na mieliźnie. Poderwali z nagłą sieć z czterech stron, zbiegli się ku sobie, więżąc ptaki w matni. Dobijają je teraz kijami.

Gród Świętowita z trzech stron oblewa morze.

...czwarta strona, jedynie dostępna, umocniona jest szerokim wałem, wysokim na więcej niż pięćdziesiąt łokci. Dolną część wału usypano z ziemi i ubitej gliny, górną stanowiły skrzynie połączone między sobą, zbite z belek i śniatów. Skrzynie były wypełnione torfem, a wszystko razem starannie obłożone murawą. Z górnego wału sterczały wykusze, zwane ostrogami. Wewnątrz, wśród skał otaczających świątynię, było obfite źródło tworzące strumień. Strumień przepływał dziedziniec i uchodził pod wałem na zewnątrz... W wale była potężna brama, zwieńczona stołbem, czyli czworokątną wieżą (Sakso Gramatyk).

Załogę twierdzy powiększono do sześciuset ludzi, dobierając co najlepszych wojów. Zgromadzono wewnątrz żywności na rok. Podobnież zapas strzał, bierwion, oszczepów, w ilości wystarczającej na długie oblężenie. Woda była na miejscu, podobnie kamienie.

Za radą Dambora, dowódcy załogi, po zgromadzeniu zapasów i broni, bramę wejściową zawalono od zewnątrz potężnym kopcem ziemi, przypartym do wrót. Kopiec a raczej odkos wysoki, pokryty darnią. Odtąd jedynym wejściem w obręb twierdzy był kamienny przepust wody pod wałem. Jeżeli na dziedzińcu zastawiono strumień, przepust był suchy i pojedynczy człowiek mógł się przezeń z łatwością przeczołgać. Gdy woda płynęła, przedrzeć się pod prąd, nurkując, nie było łatwo. Dwóch ludzi strażujących na dziedzińcu wystarczy, by nie puścić nikogo.

– Skrzydła orłowe musiały mieć nieprzyjacieli, żeby sięgnąć tutaj – powiada Dambor do starego żercy, obchodząc razem z nim wały. – Mogą przywieźć maszyny, mogą taranami trykać w kopiec. Do bramy się nie dostaną, wału nie rozbiorą.

Dambor był wojem doświadczonym i bywałym. Przed paru laty w duńskich oddziałach Jutów wybuchł bunt i zagrożony wojną domową Waldemar chciał zawrzeć pokój z Ranami. Z ramienia księcia rańskiego Ciesława posłował wtedy Dambor. Zresztą układ nie doszedł do skutku:

Dambor żądał zawarcia przymierza według starodawnego zwyczaju Ranów. Obie strony rzucają kamienie do morza, mówiąc zaklęcie: – Kto złamie pokój, niech zginie, jak ginie w morzu kamień. – Biskup Absalon nie chciał pogańskiej formuły, domagał się zakładników... Dambor rzekł: – Rzeczą mądrą pamiętać czasy przeszłe, rozważyć terażniejsze i widzieć przyszłe. Niemądrą opierać się tylko na jednym. Mówią, żeś rozumny, a mniemasz, że powodzenie zawsze ci będzie służyło? Cóż, jeżeli w przyszłości Duńczycy poczytaliby za dobry pokój, jaki dziś odrzucasz? – Nie podobała się Absalonowi ta dumna mowa i układu nie zawarto (według Kantzow, *Kronika pomorska*).

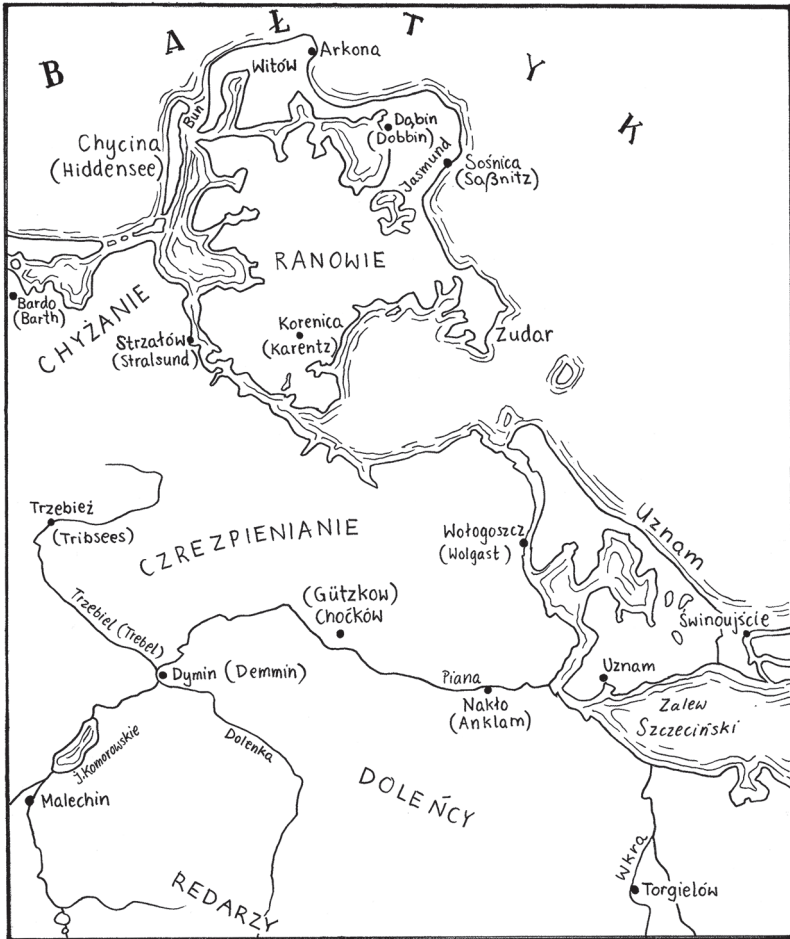
– Czerwone żagle widać! – krzyczeli strażnicy. Wnet ukryte w zatokach i cieśninach statki rańskie ruszyły naprzeciw. Od zamachu wioseł spieniło się morze.

Potężne siły przywiódł ze sobą Waldemar. Z licznym wojskiem przyłynęli książęta pomorscy. Z rozkazu Henryka Lwa nadciągnął również Przybysław, niegdyś książę obodrzycki, obecnie wasal niemiecki, zwany teraz od grodu Mikilinburga księciem meklemburskim. Jak słusznie przewidywał Waldemar, Henryk Lew zajęty wojną na swej zachodniej granicy nie może wziąć udziału w najeździe na Ranę, nie znaczy to jednak, by rezygnował z ewentualnych korzyści. Toteż oprócz Nieklótowica, przybył pod Arkonę biskup ze Zwierzyna, Berno, mający być okiem i uchem księcia saskiego.

Po zażartej bitwie morskiej sprzymierzeni wylądowali na przylądku Witów 19 maja, w dzień Zielonych Świątek 1168 roku. Dowództwo objął Absalon.

Na jego rozkaz przekopano smugę lądu, łączącą Witów z Jasnowem. Arkona została odcięta od reszty wyspy. Załoga

## Ranowie i ich sąsiedzi wieleccy



twierdzy nie może już liczyć na posiłki z Korenicy, gdzie stoją książęta rańscy. Flota duńska stróżuje pilnie, by odsiecz nie przysła od morza.

Toteż do innej odsieczy odwołują się oblężeni: uroczysta procesja wychodzi na wały. Na przedzie kroczy stary żerca Dobiegniew, wyróżniający się z dala siwą grzywą, siwą brodą. Za nim kapłani i woje. Dmą w krzywe rogi, śpiewają. Procesja

dochodzi do wieży, kapłani znikają w jej wnętrzu. Chrześcija-  
nie gapią się z dołu, ciekawi, co nastąpi. Widzą, jak ze szczytu  
wieży wyrasta maszt, na maszcie wiatr rozwija mieniącą się  
chorągiew. Rogi milkną. Tłum zebrany na wałach z okrzykiem  
czci upada na twarze. Bo ten sztandar wielobarwny, grający  
w słońcu połyskiem, to w rzadkich tylko razach wyjmowany  
ze skarbca, wszechmocny znak Świątowita.

Zatknęli wysoko na drewnianej wieży wznoszącej się po-  
nad wrotami chorągiew boga, którą poczytywali za tak potęż-  
ną i władną, że miała osłonić gród. Wierzyli, że ta chorągiew,  
którą nazywali „stanicą” [to słowo użyte jest u Kantzowa i in-  
nych kronikarzy w brzmieniu słowiańskim], może sprawić,  
że cały kraj w jedno oka mgnienie przeminie... Wierzyli, że  
pod osłoną świętej chorągwi wolno im popełniać wszystko,  
czego chce żądza zniszczenia, jak gdyby z rozkazu bogów i na  
ich oczach spełniali zadanie złych duchów.

(Tak mało wiemy o pogańskiej wierze naszych przodków,  
że powyższe objaśnienie brzmi zdumiewająco. Jeśli obecność  
stancji dawała śmiertelnym uprawnienia duchów złych, ja-  
kich sam posąg Świątowita nie posiadał, znaczyłoby to, że  
chorągiew była czymś większym od niego?)

Ani Sakso Gramatyk, ani korzystający z niego Kantzow,  
nie podają, niestety, szczegółowego opisu stancji. Piszą tylko:  
„wielobarwna”. Czy nosiła wyobrażenie bóstwa? Czy była ze-  
szyta z pasów materii odmiennych kolorów? Od najdawniej-  
szych czasów wybrzeża Bałtyku nawiedzali kupcy rzymscy,  
greccy, arabscy, wymieniający cenności Wschodu na bursz-  
tyn – mógł to więc być zdobyty orężnie, wzorzysty płat złoto-  
lity).

Regularne oblężenie trwa przy zwykłej wrzawie, złożo-  
nej z przekleństw, okrzyków zapału, bólu czy gniewu, skrzy-  
pieniu drabin, hurkotu lecących w dół gładów. Jak słusznie  
przewidywał Dambor, maszyny oblężnicze okazują się nie-  
użyteczne, drabiny za krótkie. Oblegający wiążą po dwie,  
lecz obrońcy z łatwością odtrącają je z powrotem lub dru-

zgotczą, spuszczać z nagła ciężkie belki. Ze szczytu odciągniętych na bok machin łuczniczy duńscy szyją strzałami w stojących na wale, lecz ci tarczami osłaniają się skutecznie. Z obrońców mało kto ranny, gdy oblegający ponieśli już znaczne straty.

Tydzień za tygodniem mija, nie przynosząc żadnej zmiany. Pogoda słoneczna trwa. Święta chorągiew płynie z wiatrem ponad grodem, niby kosa dziwożony. Waldemar żałuje, że uległ namowom biskupa, uderzając naprzód na Arkonę. Należało pokonać książąt Jaromira i Ciesława w Korenicy, zmusić ich do przyjęcia chrztu, a Witów osaczyć i otoczony trzymać, aźby załódze żywności zabrakło. Teraz odstąpić tej przeklętej twierdzy – wstyd. Klóćą się biskup z królem. Ich gniewne głosy dolatują od obozu.

Tak stoją sprawy, gdy pod koniec czerwca zachodzi nieprzewidziane zdarzenie:

Chrześcijanie oblegający zajęci byli kopaniem dołów i stawianiem chat, a król z powodu gorąca schronił się w namiocie stojącym w cieniu... Pacholcy i swawolni giermkowie podbiegłszy bezpiecznie pod wały, zaczęli rzucać długie liny zakończone pętlą, sądząc, że dosięgną tych, co stali na wale... Ci nie zwracali na to uwagi albo śmieli się z ich wysiłków przdrzeźniając (według Kantzow, *Kronika pomorska*).

Pomorski wyrostek Czuba, księcia Bogusława stajenny, silny i zręczny, zapalił się do tej gry. Sądził, że byle parę cali wyżej rzucił, poganina za szyję ucapie. Okręcając linę, nabierał rozpędu i wbiegał na zbocze przykopca usypanego pod bramą. Spadał natychmiast z powrotem, ale nie ustawał. Raz zarzucił tak wysoko, że strażnik rański wychylił się z ganku wieży, uchwycił bosakiem pętlę, szarpnął chłopca w górę... Wrzasnął przerażony Czuba, linę puścił, spadł na ziemię, nic sobie nie zrobił, bo go koledzy chwycili, ale snadź stracił ochotę do ćwiczeń, bo uciekł. Śmiano się z jego przygody i na górze, i na dole.

W namiocie księcia Bogusława Czuba opowiada gorączkowo, co zobaczył:

Ziemia i darń na kopcu przywalającym bramę zapadły się w samym wierzchu, tworząc szczelinę dostatecznie wielką, żeby się w niej ukrył człowiek... Przez tę szczelinę widać deski wrót... Strażnicy na wieży ani obrońcy na wale nie mogli tego zobaczyć, bo ganek stołbu zasłania... (jw.).

Teraz wypadki pędzą szybciej, niż to opowiedzą słowa. Bogusław wysłuchawszy Czuby przerywa królowi drzemkę. Narada krótka. Skończone swawole giermków i pachołków. Trąby wzywają wojów do szturm. Wzdłuż całego wału rusza gwałtownie natarcie, drabina koło drabiny, tarcza koło tarczy. Gwałtownik Absalon nie może wytrzymać. W hełmie na głowie i puklerzu na czerwonej sukni pnie się z innymi, zagrzewając swym przykładem. Obrońcy mają pełne ręce roboty; zajęci spychaniem atakujących, nie zważają na jedyne miejsce pozornie niezagrażone, na skarpe pod wieżą... Nikt nie widzi, że Pomorzanie podrzucili tam wysoko pachołka, i że ten chłopiec gdzieś znikł...

Na włóczniech rzucono mu słomy i wypełnił nią zagłębienie, a krzesiwo, hubkę i knot siarkowany miał ze sobą. Nikt też nie widzi, jak i kiedy wyszedł później z zapadliny. Duńczycy, Pomorzanie, wdrapują się na wały niczym koty. Prześcigają jeden drugiego w zręczności, by zyskać pochwałę królewską. Lecz Waldemar stojący opodal z książętami nie patrzy na nich, patrzy uparcie na zbocze pod wieżą...

...Długo, długo nic nie widać... Sący się dymek błękitny, niegroźny. Wiatr go zwał. Zgasło, przepadło?... Nie! Dym pojawił się znowu. A deski obsuszone wytrwały pogodą, a wszyscy ma wałach pochłonięci odpieraniem szturm...

...Dym gęstnieje, drzewo trzeszczy, chwycił ogień...

Krzyk strażników: – Gore! Gore! – ginie w głosie duńskich trąb, co grzmia na rozkaz króla jak trąby Jerycha. Dopiero gdy płomień ogarnąwszy bramę sięgnął podłogi wieży i buchnął słupem dymu w górę – obrońcy twierdzy spostrzegają nieszcześnie.

Ranowie zbiegli się wokół pożaru, usiłując gasić... Chrzescijanie korzystając z tego wdarli się na wał, miotali kamie-

niami na gaszących ogień... Książęta pomorscy nie dawali poganom wytchnienia, zabijając obrońców lub spychając ich w płomienie... Ranowie z takim zuchwalstwem stawiali opór, że chwilami walczyli z chrześcijanami jak potępieńcy wśród ognia... Inni tak wytrwale bronili wieży i masztu, że spłonęli razem z nimi... (Kantzow, *Kronika pomorska*).

...Stanica!... Stanica!... Na wyprzódki z wojami kapłani rzucają się w ogień, aby ją ratować. Bieleje siwa grzywa Dobiegniewa. Leczą ogień chybniejszy od ludzi, wspina się po słupie...

...Świętowicie, obudź się! Gdzie twój chmurny, wlokący na powrozach obłoki!? Niech lunie deszcz i zagasi płomień! Gdzie wichry, poświsty, niosące piasek z mielizny? Niech nadlecą i zasypią żar! Gdzie mory i strzygi, którym nieprzezwyciężony ogień?!

Uniesiona gorącym prądem powietrza, chorągiew rwie się w górę, jak gdyby chciała uciec do nieba. Płomień ją ściga, dopada, pożera...

Ogień przerzucił się z wieży na wały, zbudowane ze skrzyń drewnianych, wypełnionych torfem. Szturmy zdarły z nich osłonę ziemi i murawy. Dosuszyło słońce. Torf i drzewo to dobre paliwo. Wprędce pas żaru wieńczy wały, zatrzymując napastników.

Ranowie mogliby to wykorzystać, podjąć na nowo walkę i obronę. O, na pewno tak by uczynili, gdyby nie spłonęła chorągiew. Wobec jej straty przestali być sobą. Jedyne, do czego obecnie są zdolni, to zawodzić, niby w „pusty wieczór” po umarłych.

Gdy przed stu laty spłonął w Radogoszczy czczony posąg Swaróżyca, okrutnie cierpieli Redary, lecz klęska ich nie była tak druzgocąca. Padł bóg plemienny, zostawały inne. Trzygłów królował w Szczecinie, Świętowit w Arkonie... Mieli gdzie pójść ze swym żalem. Ranom nie zostaje nic.

Noc nadchodzi, rozświetlona blaskiem ognia bijącego ze szczytu Arkony. Podobnej Sobótki nie oglądały jeszcze bałtyckie wybrzeża! Tylko bogowie mogliby przesadzić ten stos. Ludność wyspy, odcięta obozem nieprzyjacielskim od twierdzy, powychodziła na dachy i wzgórza, patrzy ze ściśniętym

sercem, nie pojmując, co się stało... Załogi rozproszonych po morzu statków rańskich widzą krwawy odbłask ognia ścielący się czerwono na wodzie i chcą płynąć na ratunek. Zderzają się ze statkami duńskimi. Flota królewska stróżuje pilnie wybrzeży. Za murem ognia, zaczadzeni torfowym dymem, pogrążeni w najcięższej żałobie, obrońcy twierdzy usiłują ratować przed zagładą świątynię. Zlewają wyniosły dach wodą, gdy wody nie dostaje, mlekiem, którego cebry stoją na dole przygotowane dla ofiar.

Zaskoczeni nadspodziewanie szczęśliwym obrotem zdarzeń, król, biskupi, książęta zastanawiają się, co dalej zrobić?... Syn zelandzkiego chłopca, Absalon, mąż stanu, nie tylko wojownik, doradza wejść z oblężonymi w układy i to natychmiast, nim ochłona z żalu. – Jeśli pozwolimy płomieniom szaleć – powiada – świątynia spłonie wraz ze skarbcem, zawierającym podobno wielkie bogactwa. Spłonie posąg Świętowita, przez co jego cześć ujdzie pohańbieniu... Zażądajmy wydania posągu, skarbcza, przyjęcia chrześcijaństwa, złożenia królowi daniny i hołdu... Weźmiemy zakładników...

Waldemar uznaje tę radę za słuszną.

Lecz kiedy wojsko posłyszało, że dowództwo chce ofiarować Arkończykom pokój, powstało zbiegowisko i wielkie szemranie przeciw królowi i książętom. Twierdzili, że nigdy nie przystaną, by ich pozbawiono łupów... (jw.).

Absalon wyszedł i przemówił do nich:

...Ranowie wprędce ochłona z żalości, która im odbiera siły, i będą bronić się dalej. Ogień powstał z zrządzenia Bózego, nie z ludzkiej mądrości, czy męstwa, więc chełpić się nie ma czym. Górny wał płonie, ale dolny, z dobrej twardej gliny, jest dość wysoki, by poganie mogli za nim skutecznie się opierać. Słuszne rady bywają poczytywane za złe przez prostaków, ale nie mogą zamilczeć tego, co byłoby najlepsze w tej sprawie...

Książę pomorski Bogusław także zabrał głos, mówiąc:

– Wojna ta ma na celu zmuszenie Ranów do przyjęcia chrześcijaństwa. Bóg pozwolił, że teraz można to będzie osią-



gnąć nie tylko w Arkonie, lecz na całej wyspie... Natomiast jeśli wojsko zacznie hulać i mordować, oddamy tę ludność nie Bogu, lecz diabłu w rękę, bo pozostali Ranowie wezmą z okrucieństwa przykład (jw.).

Tak mówił książę pomorski, Bogusław, dobry chrześcijanin, a przy tym w sercu Ranom sprzyjający. Niełatwo jednak przyszło uspokoić tumult wzniecony ludzką chciwością. Ostatecznie wojsko ucichło, nie z rozsądku, lecz że sądziło, iż Ranowie postawionych im warunków nie przyjmą. Były bowiem bardzo twarde.

Ale Ranowie warunki przyjęli.

Zażądano wtedy, by załoga ugasiła płonące wciąż skrzynie torfowe i odwaliła kopiec sprzed bramy, by siły duńskie mogły wejść do grodu.

Nocą... rozległo się głośnie wołanie z murów miasta. Ktoś wzywał biskupa Absalona na rozmowę, na co Absalon wyraził zgodę. Był to delegat Arkończyków, Grząca, który prosił, by mu pozwolono iść do Korenicy, skąd jest rodem, powiadomić książąt rańskich o tym, co się stało... Biskup zbudził króla, który dał Grzący jeden dzień czasu na drogę tam i z powrotem. Grząca zastał w Korenicy książąt Ciesława i Jaromira stojących z wojskiem w pogotowiu, czekających na wiadomości... Posłyszawszy, że Arkona padła, a święta stacja spłonęła, zsiadli z koni i w wielkiej rozpaczyci rzekli, że nie zostaje im nic innego, jak poddać się również... (jw.).

Duńczycy weszli do świątyni boga Ranów. Wnętrze jest pełne dymu nawianego przez otwory okienne. W dymie posąg zda się jeszcze większy i straszliwszy. Każda z czterech głów patrzy na wchodzących surowo. Waldemar rozkazuje posąg obalić, lecz nikt rozkazu nie słucha. Ranowie – gdyż boga swojego czczą, Duńczycy i Pomorzanie – bo się boją. Po wtóre i po trzecie król daje rozkaz, coraz gniewniej – daremnie. Biskup przemawia do chrześcijan, wyrzucając im małoduszność i tchórzostwo. Niech mówi, co chce. Nikt nie śmie dotknąć olbrzyma, górującego wysoko ponad głowami. Na próżno złości się król. Nareszcie przywiedziono jeń-

ców trzymanyh przez Ranów w więzach dla okupu. Różne to były obieżyświaty, kupcy ruscy, żeglarze greccy i inni. Nie dbali o bogów słowiańskich, a cieszyli się, że przed odejściem na wolność mogą dokuczyć Ranom. Wyjęli z garści posąg drogocenny róg, chlapnęli napój na ziemię – ostatnia ofiara złożona Świętowitowi – zdarli z boga złoty pancerz, odpasali miecz. Ranowie łkali, reszta milczała strwożona. Próbowali teraz ci obcy obalić giganta. Nie drgnął, bo choć stopy miał na ziemi, wkopany był głęboko w grunt. Podano jeńcom topory i jęli rąbać posąg po goleniach. Zastygli wszyscy czekając, co teraz nastąpi, ale nic nie nastąpiło i na koniec posąg runął na ziemię z łoskotem.

...złożono potworowi łańcuch na szyję, król kazał arkończykom wywlec go za wały. Odmówili. Niewolnicy kupcy musieli wyciągnąć posąg... W obozie dziwiono się bardzo wielkiemu i szpetnemu bóstwu. Zbiegowisko było takie, że ani król, ani księżęta nie mogli się docisnąć... Gdy wszyscy nasycili ciekawość, kucharze przełupali posąg, porąbali na szczapy i ugotowali na nim tego dnia strawę... (jw.).

Bogactwa znajdujące się w skarbcu arkońskiej świątyni przeszły świetnością oczekiwania zdobywcy.

Posąg ten [Świętowita], datkami całej Słowiańszczyzny wzbogacany, również sąsiedni królowie nie bez świętokradztwa obdarzali (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Waldemar ze zdziwieniem znalazł wśród klejnotów dar swojego poprzednika:

...także król duński Sweno uczcił bóstwo pucharem, większą gorliwością okazując dla obcej religii niż dla własnej (jw.).

– Czas było skończyć z tą jaskinią bałwochwalstwa – stwierdził zgorszony odkryciem Absalon.

Waldemar postępuje inaczej niż Henryk Lew. Nie zakuł książąt rańskich Jaromira i Ciesława w kajdany, nie powiesił żadnego z nich, nie wypędził mieszkańców wyspy z ich

siedzib... Kazał im przyjąć chrześcijaństwo, oddać dobra kapłanów Kościołowi, ściągnąć daninę, odebrał przysięgę lenną, kazał płacić sobie corocznie czterdzieści szelągów od jarzma wołów i nazaczył Jaromira wielkorządcą wyspy. Sprowadzeni przez króla księża wezmą się zaraz do pouczenia ludu rańskiego o prawdach wiary chrześcijańskiej. Świątynia arkońska będzie rozebrana, a na jej miejscu zbudowany zostanie kościół.

Książęta pomorscy, Bogusław i Kazimierz, a także Przybysław, niegdyś obodrzycki, dziś meklemburski, bo księstwa obodrzyckiego już nie ma, patrzą ze zdumieniem: na dokonany w ciągu doby upadek dumnej wyspy. Gdy biskup Absalon z trzydziestu statkami popłynął do Korenicy, czekali z niepokojem, co nastąpi, pewni, że wojna dopiero teraz rozgorzeje. Wszak książęta rańscy mieli siedem tysięcy zbrojnych, gotowych do walki! Siedem tysięcy Ranów, słynących z odwagi i zaciekłości! Mogli pomścić spalenie chorągwi! Lecz oni się poddali, powiadając, że teraz już im wszystko jedno. Arkony nie ma, więc oni są jak umarli. Zmarły nie ma swojej woli i gdzie go położą, tam leży i gdzie go rzuca tam zostanie i nie opiera się ani dochodzi swojego...

Trzej książęta rozważają te dziwne wypadki. Figle chłopięce sprawiły, że wieloletnie państwo, ostatnia siedziba starodawnych bogów runęła... Tak błaha przyczyna, tak doniosły skutek. Z czyjej woli ludzka trwałość zmieniła się w dym i popiół?...

Czy Ranowie postąpili, jak przystoi dobrym wojom? Książęta zgodnie uznają, że tak. Wierność stanowi najpiękniejszą cechę męża. Ranowie pozostali wierni swemu bogu, przeto gdy zginął, nadszedł kres i dla nich.

Mimo woli trzem Słowianom, z których jeden przyjął chrzest niedawno, dwaj zaś są synami nowochrzczeńca Warcisława – błyska krzepiąca świadomość, że dobrze jest złożyć wierność swoją w dłonie Boga Prawdziwego, Który nie zawiedzie, Którego zniszczyć nie mogą ludzie, żywioły, ni czas...

## OSACZONY

Bogusław ksiązę pomorski przygotowywał zamierzony wyjazd starannie. Chciał przedstawić się przyszłemu teściowi z należąną godnością a nie uszczuplać zbytnio liczby zbrojnych pozostających na zamku. Orszak zatem miał być niewielki, ale starannie dobrany.

Cel podróży stanowiło Gniezno, dokąd ksiązę senior, Mieszko nazywany Starym, tytułujący się od niedawna *dux totius Poloniae*, zwołał na uroczystość św. Wojciecha zjazd powinowatych, krewnych i przedniejszych wasali. W czasie zjazdu u trumny świętego Męczennika odbyć się miały zaślubiny Bogusława pomorskiego z Anastazją córką Mieszka.

Obłubieniec pośpieszał więc, choć ciężkawym będąc, nie lubił podróżować w tej wczesnowiosennej porze, gdy drogi trudne, a brody niepewne. Tym razem jednak nie zwracał na to uwagi. Nie gnęła go miłość do leciwej już dziewczyny o upartych rysach ojca i wysuniętej w przód brodzie, ale nadzieja ratunku. Położenie bowiem księstwa pomorskiego stało się coraz groźniejsze. Ziemie zaodrzańskie należące do Kazimierza, Bogusławowego brata, były celem nieustających najazdów margrabiego brandenburskiego Ottona, syna Albrechta Niedźwiedzia. Całe zaś wybrzeże pomorskie stanowiło obiekt wytrwałych ataków Kanuta, króla duńskiego, syna Waldemara. Kanut był młody i niedoświadczony, ale przy jego boku stał żelazny biskup z Roskilde, Absalon. Ten pozostawał wierny pragnieniu zdobycia dla Danii południowych wybrzeży Bałtyku i uważał, że przyszła ku temu odpowiednia pora. Wypadki sprzyjały Danom. Gwiazda ich konkurenta, Henryka Lwa, gasła. „Ksiązę książąt” miał dotychczas przeciw sobie tylko pozostałych książąt niemieckich. Ostatnio do jego wrogów przyłączył się cesarz, któremu Henryk Lew odmó-

wił pomocy w chwili, kiedy Barbarossa był obleżony w Pawii przez wojska lombardzkie, a potem pokonany przez nie pod Legnano. Nieużyta pycha nie opłacała się księciu saskiemu. Rudobrody wyszedł cało z opalów italskich i z furją natarł na nielojalnego wasala. Zmuszony do rozpaczliwej walki o życie, Henryk Lew nie stanowił już przeszkody dla podbojów duńskich. Nie stawi im również oporu rozbita na części Polska. Upragnione ziemie pomorskie są zdatne same na siebie. Ponieważ na horyzoncie pojawił się nowy groźny rywal: margrabia brandenburski ciągnący z południa, Absalon spieszył się z zajęciem wybrzeża.

Jak od wieków, tak i teraz nie brakło na Bałtyku korsarzy łotrzących na morzu, kryjących się w zatokach im tylko znanych. Zazwyczaj Pomorze i Dania tępiły ich zgodnie. Ostatnio ilekroć zbóje morscy zagrabili łódź duńską czy korab, Danowie podnosili krzyk, że to Pomorzanie szukają zaczepki i że ta napaść wymaga odwetu. Ot, już powód do najazdu. Rok w rok, a nieraz dwa razy do roku, czerwone żagle pojawiały się w portach pomorskich. Doprawdy życie stawało się nielube między tymi dwoma wrogami. Oganiaj się nieustannie od jednego i drugiego, a obaj coraz silniejsi. Brandenburczycy oblegali Dymin. Mocna warownia broniła się jeszcze, lecz Kazimierz zamiast pieczętować się jak dawniej *Casimirus Diminensimus et Pomeranorum princeps* używał już tylko tytułu *Pomeranorum princeps*. Jasne było dla każdego, że w tej sytuacji dni księstwa pomorskiego są policzone. Jedyne ratunek i nadzieja leżały w Polsce.

Jeżeli Mieszko III, od niedawna wielki książę krakowski, piszący się *dux totius Poloniae*, udzieli Bogusławowi pomocy, do jakiej był zobowiązany wobec pomorskiego lennika, a zarazem zięcia, pomocy bodaj takiej, jaką otrzymał swego czasu Jaksa z Kopanika – Pomorze da sobie radę. Jeżeli odmówi, trzeba nieuchronnie ginąć. Bogusławowi mieli towarzyszyć: kasztelan kołobrzeski Bars, rycerze: Sulisław z Przemysławia i Przybysław z Pazdawilka. Czekano tylko na przyjazd Kazimierza.

Kazimierz Warcisławowic (imię Kazimierz, ulubione w rodzie Piastów na równi z Bolkiem i Mieszkiem, stanowiło żywy dowód łączności dynastii pomorskiej z tym domem) był dziwakiem, miłowanym przez całą ludność, postępującym odmiennie niż inni książęta. Nie brakło na to dowodów. By uczcić pamięć Ottona bamberskiego, który chrzcił niegdyś Pomorze, Kazimierz ofiarował się składać Bambergowi corocznie parę kamieni wosku na świece, mające dzień i noc płonąć przy grobie pomorskiego apostoła. Co roku zatem wysłańcy kapituły bamberskiej zgłaszali się po odbiór tej darowizny. Kiedyś jeden z takich posłów, Krammer, został ostrzeżony, że w drodze powrotnej napadną nań grabieżcy, woje pomorscy, wielce Niemcom nieżyczliwi.

...przestraszony Krammer pojechał do Wołoszczy do księcia Kazimierza, powiadając, co mu grozi i prosząc o eskortę. Książę powiedział: – Sam z tobą pojedę. – Wsiadł z nim na wóz, nałożył kaptur na głowę, a kilku zbrojnym kazał jechać w oddaleniu za wozem. Rzeczywiście rycerze pomorscy czekali na drodze. Na widok jadących wyskoczyli, stracili z koźła woźnicę. Przywódca krzyknął do księcia: – Coś ty za jeden? Zrzuć kaptur! – Książę to uczynił i zapytał: – Nie znasz mnie? – Poznali go od razu i przerażeni uciekli. Książę nie powiedział Krammerowi, którzy to byli, lecz nałożył na nich surowe kary... (Kantzow, *Kronika pomorska*).

(Autor, z którego dzieła powyższy cytat został zaczerpnięty, podaje słowa księcia w następującym brzmieniu: „Nie znasz murum?” i wnet objaśnia: *Das ist: Kennst du mich nicht?*).

Z pięciu synów Bolesława Krzywoustego dwóch już tylko pozostawało przy życiu: Mieszko III i najmłodszy Kazimierz, do niedawna nazywany urągliwie „księciem bez ziemi”, nie posiadał bowiem na własność żadnej dzielnicy. Dopiero brat, Henryk sandomierski, krzyżowiec, zapisał Kazimierzowi przed śmiercią część swojego księstwa, mianowicie ziemię wiślicką, z pięknym starodawnym grodem Wiślicą. Kazimierz, traktowany stale przez braci jako niedorostek, liczył już czter-

dzieści parę lat. Był łagodny, uprzejmy dla wszystkich, istne przeciwieństwo twardego i dumnego Mieszka. W Gnieźnie przypadli sobie do serca z Kazimierzem pomorskim od razu.

Na zjazd przybyła liczna i dostojna gromada książąt piastowskich. Brakło wprawdzie pierworodnego syna Mieszko-wego, Odon (nieobecność wywołująca chmurę na czole rodzica), obecni byli natomiast Mieszko Junior, Władysław, dla bocianiej budowy zwany Laskonogim, Leszek Mazowiecki i bratankowie po Władysławie Wygnańcu: Bolesław Wysoki oraz Mieczysław, książęta śląscy. Ostatniemu, że miał stopy do środka, dano przydomek Płatonogi. Zjazd uświetniała obecność biskupów, gnieźnieńskiego Zdziszka, wrocławskiego Żyrośława, płockiego Lupusa. Oczekiwano też krakowskiego Gedeona, lecz z niewiadomych powodów nie przybył. Może go wstrzymały wiosenne roztopy.

Mieszko wspaniale przyjmował swych gości. Był władcą w każdym calu, pełnym godności monarszej. Od poddanych wymagał posłuchu i moresu. Rządził nieubłaganie. W całym kraju istnieć mogła tylko jego wola. Wyrażoną przy ucztach weselnej nieśmiałą prośbę Bogusława przyjął z pełnym zrozumieniem.

- Nie lza Polsce dopuścić do straty Pomorza - mówił. - Pomorze, Wielkopolska a Śląsk to najprzedniejsze dzielnice... Z nimi Polska jest wielka i władna, bez nich jakoby za częstokołem zamkniona... Zapomnieli Danowie o Konungaheli, przypomnimy im to wnet! Za dużo sobie pozwala książdz biskup z Roskilde... Lepiej by mówił pacierze... Przyślę ci pieniądze na nowe statki, przyślę wojska dobrego, moich Wielkopolan parę tysięcy... Przed żniwami powinni już być u was. Nie damy się tym drapieżcom odgonić od morza!

Klepał przyjacielsko Bogusława po ramionach. Pomorzanie promieniali. Radości ich niezdolne były zamącić ostrzegawcze głosy dochodzące z boku.

Kazimierz wiślicki zwierzył się Kazimierzowi pomorskiemu, że zeszłego roku panowie wielkopolscy, z rodem Nałęczów na czele, chcieli obalić Mieszka i jego, Kazimierza, obwołać

panem. – Odmówilem – powiedział – nie wierząc w powodzenie szalonego zamiaru, więc przycichli, ale znam Nałęczów, oni się swoich zamysłów nie wyrzekli. Mieszko ani się domyśla, że grunt się pod nim zapada. Nieluby się stał narodowi, bo przy Bolku zakosztowali ludzie swobody, Mieszko zaś panuje, jakby był stryjecznym naszym dziadem Szczodrym. Co uszło wtedy, nie ujdzie dzisiaj... Mieszko płynie pod prąd, a czy długo poradzi tak płynąć?... Mieszko chce wielkiej Polski, takiej jak za ojca była, przecie gdy cały naród przeciw niemu stanie, nic nie uzyska i siebie zatraci...

Podobne obawy wyrażała Anna, księżna gdańska, Anasztazi ulubiona siostra. Mówiła: – Póki ojciec trzymał w garści tylko Wielkopolskę, nadto się nie buntowano, chociaż po tyrańsku rządzi. Teraz, mając Mazowsze i Krakowskie, nie da sobie rady... A przedłożyć mu nic nie można. Samego arcybiskupa nie posłucha, owszem zamilczeć mu każe...

Nikomu nie jest miło porzucać dobrej nadziei, przeto książęta pomorscy wracając, pocieszali się, że Kazimierz i Anna nadto czarno widzą. Bogusław fuknął nawet na kasztelana kołobrzесьkiego, żeby nie krakał, gdy ten takie same wróżby powtarzał, zasłyszane od gnieźnieńskiego rycerstwa.

Żniwa nadeszły, przeszły przy pięknej pogodzie. Posiłki polskie nie nadchodziły, lecz Bogusław daleki był od niepokoju. Wzmacniał obwarowania Dziwnowa, Wyspy Chrząszczewskiej, Kamienia, zagroził głazami wjazd do Świny, sprawdzał stan sławnych wałów szczecińskich. Wprawdzie termin Mieszkowy dawno minął, ale był doprawdy bardzo krótki. Nie dziw, że dotrzymać się go nie dało. Jesień nadchodzi, a zimą tylko Krzywousty poradził wojować. Niechby Mieszkowe wojska przyszły wczesną wiosną i tak będzie dobrze.

W tym usposobieniu podtrzymywała Bogusława żona. Ojciec nie zawiedzie – twierdziła. – Co obieca, to zawsze dotrzyma. Opóźnia się, widno ma trudności, o jakich mówiła Anna, ale upora się z nimi... Czekajmy!

Czekali zatem.



Zima minęła, z Polski ni wojska, ni żadnej wieści nie było. Natomiast, gdy wiosenny przybór Odry opadł, pojawili się na wybrzeżu Dunowie. Król Kanut z Absalonem uderzyli szeroko na wszystkie porty pomorskie. Z największym wysiłkiem, po zażartych walkach, Pomorzanom udało się ich odeprzeć, ponosząc przy tym znaczne straty w ludziach i okrętach. Duńscy odpłynęli, zapowiadając, że następną wiosną wrócą.

Bogusław posłał rycerza Przybysława z Pazdawilka do Mieszka III z listem przedstawiającym groźne położenie księstwa, prosząc o przyspieszenie pomocy.

Rycerz z Pazdawilka pojechał i nie powracał. Księżna Anastazja wychodziła codziennie na wały patrzeć, czy nikt z tamtej strony nie nadjeżdża. Wargi jej były jeszcze mocniej zaciśnięte, broda bardziej wystająca. Powtarzała po dawnemu z uporem: Ojciec nie zawiedzie.

Ledwo Pomorze zdołało jako tako odetchnąć po najeździe duńskim, z wielką siłą uderzył na Zaodrze margrabia Otto brandenburski, podobny swemu ojcu Niedźwiedziowi, równie zmyślny i na cudze ziemie pazerny. Zajęli mimo rozpaczliwej obrony Dymin, ziemię Wkrzanów, ziemię rochowską, Groswin, Leszany i Trzebież. Szczecin zagrożony gotuje się do odparcia napastnika. Jest lato 1180 roku.

Bogusław w ślad za zaginionym Przybysławem z Pazdawilka posyła kasztelana Unima z Kamienia. Na miłosierdzie Boskie! Pomoc przybędzie czy nie?

Kasztelan Unim pognał i nie wraca. Anastazja gorączkowo chodzi tam i z powrotem po wałach. Już nie mówi nic. Na przemian modli się, to gryzie ręce z gniewu i niecierpliwości.

Posel przybywa, ale nie ten, którego oczekiwano. Zza Odry dawny kasztelan dymiński, Jarogniew. Przywozi bardzo złą wieść. Książę Kazimierz zginął...

– Poległ?!

– Nie wiadomo... Zginął, przepadł... Wojsko i ludność szukają go wszędzie. Nie natrafili na żaden ślad...

– W niewolę popadł – domyśla się Bogusław, przygnębiony okrutną wiadomością.

– My też zrazu tak mniemali, ale gdyby go były złapały brandenburczyki, toby się pochwały, że księcia trzymają... Oni zaś dotąd nie wiedzą wcale, że go wśród nas nie ma.

I płacząc, bo zaginionego księcia miłował, stary kasztelan powiada:

– Nasz książe rzadko oznaki książece na siebie kładł. Tylko gdy posłów przyjmował czy na wielkie nabożeństwo paradnie szedł... Zwyczajnie się nosił, po wojacku... Niepotrzebne mu były oznaki, boć go każde dziecko znało. Gdzie ruszył, to wszyscy wołali za nim: – Nasz książe! Nasz Kazimierz! – To się boimy, że go gdzie knechty zdybały jadącego samojeden i zabiły, ani wiedząc kogo... Konia i oręż zabrały, a ciało... – głos mu się załamał – ...cisnęły do wody albo je wilki rozwlekły...

Może tak było, może inaczej... – myślał Bogusław. Jedno pewne, że Kazimierza, brata kochanego, wiernego sojusznika, nie ma. Jego strata, sroga dla serca, przyszła w chwili najcięższej dla kraju.

Złe wieści chodzą stadem – powiada przysłowie. Nim zdążono opłakać Kazimierza, powrócili spóźnieni wysłańcy, Przybysław z Pazdawilka i kasztelan Unim z Kamienia. ...Już pół roku, jak książe Mieszko został obalony i precz wygnany...

– Jezusie, Maryjo! Przez kogo?!

– Przez swoich. Własny syn Odo i biskup krakowski Gedko bunt wszczęli. Pono się już za onego zjazdu zmawiali... Rycerstwo przystało do nich, grody też... Odwrócił się naród od księcia... Pomocy nijakiej nie będzie...

– Trza było bez zwłoki wracać! – wybuchnął Bogusław.

– Nie moglim wrócić, bo nas panowie wielkopolscy zamknęli, bojąc się, że Mieszkowi pomoc sprowadzimy. My... pomoc!... – roześmiał się Unim gorzko. – Dopieroż od jakichś kupców posłyszały, że Pomorze w opałach, to nas puścili, prosząc, żeby urazy nie chować. Tośmy jeszcze do Gdańska do starego księcia doskoczyli, bo on tam u zięcia Sobiesława siedzi. Widzieliśmy go. Gadaliśmy z nim. Twardy jest, taki jak zawsze. – Ano wygnali mnie – powiada – księża i wielmoże, bom chciał ład zaprowadzić. Ale ja jeszcze powrócę... Rzeknij-

cie waszemu księciu i mojej córce, że wrócę... – Tak powiadał, ale jakże nieborak powróci, skoro cały a cały kraj przeciwko niemu? Teraz wielkim księciem jest Kazimierz... Bardzo podobno dla wszystkich łaskawy, już go Sprawiedliwym nazywają...

Nazajutrz Bogusław powiedział do milczącej żony:

– Pojadę podjąc pod nogi Kazimierza. Jeśli go słusznie zowią Sprawiedliwym, to musi pomoc okazać, bo jest suzerenem moim.

Pojechał z małym pocztem dla pośpiechu. Bars, kasztelan kołobrzeski, dowodził w jego zastępstwie obroną. Aby doczekać powrotu księcia z krakowskimi posiłkami! Aby doczekać! Ze wspaniałej niegdyś floty zostało jeszcze pół tysiąca statków, starych, lecz do boju zdatnych. Mało przeciw Kanutowi, zwłaszcza że Absalon naciera równocześnie na Uznam, Dziwnów, Kołobrzeg...

Bars pędza pomorską flotę tam i nazad, jak psa na łańcuchu, żeby nie zdradzić szczupłości sił... Zagnał do szeregów wszystkich mężczyzn, nawet niedolatków. Niewiasty same żną i sprzątają zboże. Aby doczekać!...

Bogusław wraca. Niepotrzebnie spieszył, zajeżdżając dwa konie po drodze. Kazimierz przyjął go serdecznie, zapłakał nad zaginięciem Kazimierza pomorskiego i rzekł otwarcie, iż pomocy nie da...

– Nie da, bo wojska za mało, zaledwie tyle co trzeba do walki z Jadźwingami.

– Co zacz Jadźwingi? – pyta Anastazja.

– Czarniawe, dzikie pogany, na Podlasiu siedzące – odrzucił mąż i prawi dalej: – Syn ojca lepiej nie przyjąłby jak on mnie. Dwór szumny, księcia wszyscy lubią, łąszą się do niego jak kocury. To prawda, że wołają go Sprawiedliwy, bo od razu trzy ćwierci podatków i danin, co Mieszko z narodu ściągał, darował całkiem. Puścizny po zmarłych biskupach się zrzekł. Kościół go forytuje, pod niebiosa Sprawiedliwego wynosi... A co zostanie w skarbcu? Z czego książe utrzyma wojsko? Na pasku wielmożów chodzi, oni go obrali i wynieśli. Miarkuję,

że za cel sobie wziął wszystko inaczej czynić niż twój, żono, ojciec czynił. Mieszko był surowy, to on nad miarę łagodny... Mieszko twardy, to on ustępliwy... Też miarkuję, że niedługo kołki mu na głowie ciosać będą! W gębę mu dadzą – nic nie powie! Mniejsza o to... Najgorsze, że on wcale Pomorza nie potrzebuje, że o Pomorze nie stoi!

– Jakże to...? – nie rozumieli.

– Nie stoi! Nie stoi! – krzyczał Bogusław, waląc pięścią w stół. – Psi chwost dla niego Pomorze! Sam mi powiedział, że ma dość z Gdańskiem kłopotu! Starczy mu... Czyli, że niech nas Niemcy a Duńczycy zeżrą... Prosiłem wojewodę Żyronia, który tam wszystkim rządzi, prosiłem innych krakowskich panów, żeby księcia nakłonili. Jakbym do głuchych gadał... Jakbym groch o deskę rzucał... Żaden z nich Pomorza nie zna. Powiadają, że to gdzieś bardzo daleko...

Zaległa cisza. Słychać było przyspieszone oddechy obecnych. A więc tak. Polska się od nich odwraca. Polska Pomorza nie potrzebuje! Za cóż Chrobry poświęcił tej ziemi pół życia? Za cóż tyle krwi przelał Krzywousty? Czemuż Niemcy dobijają się o tę ziemię jak o skarb? Polsce on niepotrzebny?...

– Gdyby mój biedny brat żył – westchnął Bogusław – może by się z imiennikiem dogadał. Nawidzili się bardzo... Mnie taki gniew zbierał, żem się bał za wiele rzec...

Nie ludź się, Bogusławie! I Kazimierz nic by nie działał. I nie oskarżaj zanadto księcia krakowskiego. To nie on winien, cały naród winien. Wielkopolska parła wytrwale ku morzu. Odkąd stolicą jest Kraków, okoliczności pchają kraj na wschód... Pomyślnie boje z Jadźwingami otworzyły przed Polską żyzną lubelszczyznę... Jadźwingowie są słabi, Niemcy i Duńczycy mocni. Naród, jeżeli nie ma jasnej myśli politycznej, idzie zawsze tam, gdzie trafia na mniejszy opór. Mieszko III myśl taką miał. Chciał ją realizować wbrew wszystkim. Nikt go nie poparł. Ani Kościół, ani wielmoże... I mądra myśl z Mieszkiem odeszła.

Kasztelani wyszli. Małżeństwo zostało samo.

– Co pocniemy teraz? – zapytała Anastazja.

– Już obmyśliłem po drodze. Pojadę do cesarza uznać się jego lennikiem...

– Do cesarza?! – powtórzyła ze zgrozą.

– A cóż mi innego zostaje?...

– Nie zrobisz tego! Nie śmiesz tego zrobić!

– Myślisz, że mi lekko przyjdzie? Pokaż inne wyjście! Co poczniesz...? Nóż nam przyłożono do gardła... Nie obronim się przeciw złączonym Brandenburczykom i Danom. Musieli oni wcześniej od nas wiedzieć o wygnaniu twego ojca, dlatego tak śmiało nastają. A może sami rum w kraju czynili, przeciw Mieszce podjudzali... Hej, nie moja wina, że Polski odstąpię... To Polska się nas wyrzekła...

Ze ściśniętym sercem patrzy Bogusław, jak jego żona, uparta, zawzięta Anastazja, co nie wydała jęku przy porodzie, zanosi się teraz płaczem.

Księciu pomorskiemu udało się przemknąć między siłami Brandenburczyków i Danów. Cesarza nie musiał szukać w Niemczech, Fryderyk był pod Lubeką. W Lubece broniły się główne siły Henryka Lwa. Samego „księcia książąt” oblegano w położonej na lewym brzegu Łaby twierdzy Stade.

Cesarz przyjął Bogusława i jego prośbę życzliwie, gdyż duńskie podboje drażniły go od dłuższego czasu. Obiecał, że margrabiemu brandenburskiemu każe cofnąć się na swoją granicę i tam pozostać. (Z przykrym zdziwieniem Bogusław posłyszał, że ta granica, na podstawie niegdysiejszego aktu Lotarowego obejmuje ziemie Wkrzanów, rochowską, Groswin i Trzebież). Co do Duńczyków, król Kanut, będący sprzymierzeńcem cesarza, zatrzyma dla siebie Wołogoszcz, lecz dalszych napaści zaniecha. Nikt nie będzie śmiał więcej najeżdżać lennika cesarskiego.

Ceremonia hołdu odbyła się uroczyście. Bogusław klęcząc przysięgał wierność cesarzowi i cesarstwu. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło, lecz krzepił się poczuciem, że ratuje swój kraj od zagłady. Barbarossa własnoręcznie podał mu chorągiew z wyobrażeniem gryfa pomorskiego i nadał ty-

tuł hercoga. Od tej chwili Bogusław liczył się księciem Rzeszy równym (teoretycznie) w prawach książeństwom saskim czy margrabiom brandenburskim.

Po ceremonii obtarł pot z czoła, odetchnął głęboko jak człowiek wyratowany z topieli. Powtarzał sobie w duchu, że rozumnie postąpił. Powtarzał tak często, jak gdyby potrzebował co do tego pewnienia. Był to rok 1181.

Gońce ponieśli chyżo do Brandenburgii i Danii wiadomość o przyjęciu hołdu nowego lennika i związaną z tym wolą cesarską. Po raz pierwszy od dłuższego czasu Bogusław mógł odpocząć spokojnie. Że nielekkko mu było wracać do domu, zatrzymał się po drodze u Przybysława, syna Niekłóta, księcia meklemburskiego, z którym łączyła go dawna przyjaźń i podobne losy.

Obaj książęta nie widzieli się od czasu wspólnego oblężenia Arkony przed trzynastu laty. – Ależ postarzał! – pomyślał jeden o drugim. Arkońską wyprawę wspominali źle, szczególnie Bogusław. Przybysław musiał iść na nią, czy chciał, czy nie chciał. Bogusław zaś z Kazimierzem poszli z własnej ochoty, złakomieni obietnicą nieboszczyka Waldemara, że w zamian za pomoc zwróci im Wołogoszcz.

Nie oddał. Ani myślał oddać. Tylko Henrykowi Lwu udało się wydrzeć królowi duńskiemu część Świętowitowych skarbów. Dla Bogusława jedynym skutkiem wyprawy (a przecież gdyby nie mój stajenny Czuba, mogli stać pod Arkoną do sądnego dnia! – żalił się książę pomorski przyjacielowi) była nienawiść, jaką powziął do Pomorzan Jaromir, lennik duński, książę Rany.

Dobrze się gadało ze starym druhem, popijając w cieniu piwo. Mogli zapomnieć o dręczącym ich całe życie niepokoju. Przybysław miał syna Borzywoja (Niemcy zwali go Borwinem albo Boreviusem), któremu już wcześniej zdał zarząd swego małego księstwa, istnej oazy słowiańskiej pośród skolonizowanych, niegdyś obodrzyckich, obszarów. Borzywój-Borwin był dzielnym młodzianem o bystrym, Niekłótowym,

spojrzeniu, lecz Bogusław ze zdziwieniem zauważył, że mową niemiecką posługiwał się chętniej niż ojcową, słowiańską.

– To dlatego, że pobierał nauki u biskupa zwierzyńskiego – objaśnił przyjaciela Przybysław. – Spędził tam wiele lat i jeszcze niemieczyzny nie odwykł...

Borzywój przysiadł się chętnie do starych. Opowiadał z zapalem o zamierzonych przezeń budowlach, o zbliżającym się niechybnie końcu Henryka Lwa. Gdy przyjdzie do podziału jego ziem, będzie można wyprosić u cesarza zwrócenie Meklemburgowi Zwierzyna oraz paru innych grodów...

– Nie chcę Zwierzyna – warknął jego ojciec. – Musielibyśmy z tym grodem wziąć wszystkich Niemców, których tam Guncelin osadził...

Borzywój nic nie odpowiedział. Milczenie przerwał Bogusław, pytając o zbiory.

Jakby wywołany rozmową, przyjechał w gości biskup ze Zwierzyna, Berno. I tego Bogusław nie widział od czasu wyprawy na Ranę, gdzie Berno był okiem i uchem nieobecnego księcia saskiego. Słyszał tylko później, że Waldemar uzyskał w Rzymie poddanie Rany biskupstwu Roskilde, lecz obrotny Berno postarał się wcześniej, by w odnośnej bulli papież Aleksander III zaznaczył, że zwierzchność duńska nie narusza w niczym praw innych kościołów, jeśliby takie w stosunku do Rany istniały... Nie wiemy, czy opat z Korbei Wibald żył jeszcze i czy wysunął pretensje datujące rzekomo z czasów Karola Wielkiego. Natomiast z realnymi żądaniem wystąpił biskup Berno ze Zwierzyna. W jego interpretacji Zwierzyn miał prawa do Rany. Cesarz Fryderyk poparł gorąco u Stolicy Apostolskiej odnośną prośbę Henryka Lwa, a że to było po świeżo zawartej zgodzie z papieżem, sprawa została załatwiona przychylnie.

– Patrz, bracie – rzekł do Bogusława Przybysław. – Między cesarzem a Henrykiem była już wtedy nienawiść. Za łby się brali... Pomimo to cesarz gardłował u papieża za sprawą księcia saskiego... Jeśli idzie o korzyść Germanii, Niemcy zapominają o kłótniach...

Biskup Berno był towarzyski i rozmowny. Oświadczył, że posłyszawszy o pobycie Bogusława w Meklemburgu, przyjechał przypomnieć się jego pamięci. Wiedział też, że ksiązę pomorski ma dwóch małych synków, i usilnie namawiał, by mu ich oddał do Zwierzyna na wychowanie i naukę.

– „...nauczę ich bojaźni Bożej i języka niemieckiego. To, żeby mieli u Niemców większe poważanie niż przedtem” (Kantow). Przyślesz mi ich, ksiązę, gdy ukończą siedem lat – mówił, jak gdyby Bogusław już wyraził zgodę. – Cesarzowi wielce na tym zależy – dodał z naciskiem. – Księciu meklemburskiemu wychowałem syna w sposób, który, jak mi nie mam, przyczynia mu dumy?

Przybysław milczał. Borzywój-Borwin uśmiechał się zagadkowo. Bogusław obiecywał miękko, że będzie pamiętał o łaskawej propozycji... Że jeszcze dość czasu... W duszy czuł, że wypadnie ustąpić, i z trwogą myślał o oporze Anastazji.

W roku 1182 Mieszko III ujednał się z ustępliwym Kazimierzem, uznał jego władzę i wrócił z wygnania na dawną swoją dzielnicę wielkopolską. Wszelkie stosunki pomiędzy nim a Bogusławem, obecnym księciem Rzeszy, były zerwane. Mieszko poczytywał zięcia za wiarołomcę i zdrajcę.

Henryk Lew na kolanach, bosy, wybłagał u cesarza przebaczenie. Zamiast na śmierć, skazany został na wygnanie. Wraz z żoną Matyldą, królową angielską, osiadł w Normandii, w jednym z zamków swego teścia Henryka II, i czekał odmiany losu.

Z Ziemi Świętej dochodziły złe wieści, budzące żywy niepokój w świecie chrześcijańskim. Sułtan Saladyn zagrażał Jerozolimie. Lada miesiąc Grób Święty dostanie się znów w ręce pogan. Mówiono powszechnie o konieczności trzeciej wyprawy krzyżowej.

W roku 1185 przyjazne stosunki pomiędzy cesarzem Fryderykiem a Kanutem VI królem duńskim uległy pogorszeniu. Cesarz postanowił dać dotkliwą nauczkę sprzymierzeńcowi. Zaledwie jednak rozpoczął wojenne przygotowania, nowy



bunt nieugiętych miast lombardzkich odwołał go wraz z wojskiem do Italii. Przewidując, że zabawi tam dłuższy czas, Fryderyk kazał swemu wasalowi, księciu pomorskiemu, uderzyć w jego zastępstwie na Danię.

Niemili był ten rozkaz Bogusławowi. Cieszył się panującym od czterech lat pokojem, odbudowywał zniszczony kraj i nie miał najmniejszej ochoty wszczynać nowej wojny z kimkolwiek. Zresztą wojska miał mało, statki stare, bez należytej obsady.

– Nie idź na Danów! Niech cesarz idzie sam! Zwróć się do mego ojca! Na pewno przebaczy! Ja sama do niego pojedę... Ojciec tym razem nie zawiedzie... – błagała Anastazja, lecz Bogusław nie chce o tym słyszeć.

– Przysięgałem – odpowiada. – Książęce słowo nie wiatr.

I, acz niechętnie, zbiera swych wojów. Nie głupi uderzać na Danię. Kanut posiada najlepszą flotę świata. Mierzyć się z nim byłoby śmieszne. Bogusław postanawia zaatakować flotę rańską Jaromira. Zaskoczy ją, zniszczy, czym boleśnie dotknie Danię. To cesarza zadowoli.

Ludząc się tą nadzieją, Bogusław gromadzi swoje statki w pobliżu wysepki Kos (dziś Koos) leżącej blisko brzegów, nieopodal Gryfii (dziś Greifswald), skąd wygodny skok na Ranę. Bogusław sądzi, że jego zamiary są nieprzyjacielowi nieznanne. Wyruszyć mają przed świtem.

W nocy spada na morze gęsta, mleczna mgła. Wobec tego statki stoją nadal na kotwicach, czekając, aż ją wiatr i słońce rozproszą.

Niestety, zarówno Ranowie jak i Duńczycy wiedzą o Bogusławowych planach. Nie darmo król duński ma swoich ludzi na dworze cesarskim.

Biskup Absalon zebrał w ciągu sześciu dni wszystkie korabie wysp duńskich i ruszył przeciw księciu pomorskiemu. Mgła była bardzo gęsta i nieprzyjaciel nie zobaczył nadpływających. Książę pomorski usłyszał we mgle dobrze mu znaną bojową pieśń Danów, którzy wpłynęli od zachodu do cieśniny dzielącej Ranę od łądu. Towarzyszyła im flota rańska księcia

Jaromira... Uderzyli na nieogłędnego przeciwnika, a ponieważ jego statki stały na kotwicach, uczynili wielki pogrom... Z całej floty ocalało tylko trzydzieści pięć okrętów, które zdołały schronić się do ujścia Piany, lecz załogi ich, wylądowawszy na przeciwny brzeg, zginęły po większej części z głodu wśród bagnistej i pustej okolicy (Sakso Gramatyk, *Gesta Danorum*).

Barbarossa wyjeżdżając do Italii mianował w Niemczech swoim zastępcą syna, późniejszego Henryka VI. Do niego Bogusław śle błaganie o ratunek. Wszak nie z własnej woli, lecz z cesarskiego rozkazu podjął walkę z Danami! Jako lennikowi należy mu się pomoc suzerena!

Syn cesarski odpowiada, że nic księciu pomorskiemu pomóc nie może.

Zwycięzcy Danowie zajmują całe wybrzeże, palą osady i grody, pustoszą kraj. Król duński rozłożył obóz w miejscu, gdzie przedtem leżało miasto Wolin. Z okien kamieńskiego zamku widać łuny i obozowe ognie. Kamień jest otoczony. Zrozpaczony Bogusław posyła kasztelana Barsa do Kanuta, błagając o pokój.

Kanut żąda przysięgi lenniczej, takiej, jaką składali przed laty książęta rańscy, stałego rocznego trybutu i zakładników.

Co począć? O Boże wielki! Co począć!? Dokąd się udać? Gdzie wzywać pomocy!

W grobowym milczeniu siadają do łodzi Bogusław, Anastazja, ich synkowie, Bogusław i Kazimierz, kasztelani Bars i Unim. Obecności całej rodziny książęcej zażądał król duński. On przysłał po hołdownika tę piękną łódź i liczną straż honorową. Bogusław nie śmie spojrzeć na żonę. Przerażają go jej skamieniałe rysy. Dzieci cieszą się przejażdżką. Woda chlupocze łagodnie. Słowiańska, rodzona rzeka... Słowiańska, swoja Dziwna... Dlaczego innym narodom nikt nie wdziera ich ziemi, tylko Słowianom?

Kiedy dobiegnie kresu ta Kalwaria? Co zrobi cesarz, posłyszawszy, że jego wasal został lennikiem duńskim? Poczyta

ten postępek za zdradę, podobnie jak teść Mieszko, i odpowiednio ukarze... W głowie się mąci. Szczęśliwy, po stokroć szczęśliwy Kazimierz, że zginął... Oto już statek królewski. Już przycumowano łódź. Trzeba się podnieść, wejść na pomost, choć nogi są ołowiane...

- Anastazjo... żono... - szepce Bogusław w trwodze, co uczyni ta szalona. Ona spogląda nań z bezlitosną pogardą. Kasztelan kołobrzesci Bars podtrzymuje księcia, który się chwije („widocznie nadużył wina” – szydzić będzie Sakso Gramatyk, wierny swej niechęci do Słowian).

Król Kanut czeka rozparty w poręczowym krześle. Za nim stoi Absalon, autor jego triumfów. Jakże i ten postarzał! Tylko oczy ma płonące po dawnemu. Dworzanie kładą na deskach pokładu kobiercyk. Księżę pomorski ma tutaj ukłęknać i wypowiedzieć przysięgę... Szczęśliwy Kazimierz! Klękał tylko w kościele. Klękać przed Bogiem to zaszczyt... Klękać przed obcymi a silniejszymi – to hańba... Bogusław klęczał już przed cesarzem niemieckim... teraz ukłęknie przed królem duńskim...

Kanut widzi mękę na twarzy zwycięzonego i czuje wstyd. On młody, a to stary człowiek... Sam go podnosi. Bogusław na stojąco recytuje formułę przysięgi.

Barbarossa nie wyciągnął konsekwencji z czynu Bogusława, zbyt wiele bowiem spraw zaprzętało go w Italii, potem pochłonięty był zbieraniem stutysięcznej armii na wyprawę krzyżową (w której przypadkową śmierć znalazł). Zresztą Bogusław nie dożył ani śmierci cesarza, ani triumfalnego powrotu z wygnania Henryka Lwa i jego bojów z Danami. Potrójny lennik, polski, niemiecki, duński, nie mógł znieść nadmiernego upokorzenia. Żona gardziła nim; od czasu zaś, gdy oddał synków na naukę do biskupa ze Zwierzyna, przestała się do niego odzywać w ogóle. Niewesołą była dola księcia pomorskiego. By sprostać czasom, w jakich żył, należało urodzić się orłem lub gromem, on zaś był tylko rozsądnym, uczciwym człowiekiem, miłującym swój kraj i swój naród. Zaprzepaścił

jedno i drugie wraz z własną rycerską sławą. Znękany i chory umarł w marcu 1187 roku, w Sośnicy. Szczegóły śmierci nieznane. Sakso Gramatyk wspomina, że Bogusław uległ wypadkowi na łowach, lecz współcześni półgębkiem szeptali, że Pomorzanie spotkała zemsta księcia Jaromira za przyspieszenie swego czasu upadku Arkony.

Na Bogusławie nie kończą się dramatyczne dzieje Pomorza Zachodniego, lecz dobiega już kresu polski epos tych ziem. Zagrzmią tu jeszcze bohaterskie boje, upamiętnią się obrony, po których wały Szczecina zdadzą się porośłe trzcina od mnóstwa tkwiących w nich strzał (Kantzow) – będą walczyć ze sobą Pomorzanie, Brandenburczycy, Danowie, Szwedzi... Nie będzie to już jednak walka o przynależność do Polski, a samo słowo Polska stanie się dalekie.

Taka jest jednak siła, łącząca glebę z wyrosłym na nim plemieniem, że polskość wygnana z tych ziem powróci na nie w siedemset pięćdziesiąt lat później, ożywiając zmarłe przed wiekami prochy.

## Rozdział XXVIII

# „PUSTY WIECZÓR”

Przed tysiącem lat z okładem, nad brzegami Łaby, stały naprzeciw siebie dwa wrogie obozy: od zachodu Sasi, od wschodu plemiona słowiańskie.

Sasi mieli lepsze uzbrojenie i organizację. Słowianie górowali liczbą i sprawnością bojową. Sasi byli zaborcami, Słowianie bronili własnego kraju.

Plemiona te, nawykłe do wolności, nie dają się w żaden sposób ujarzmić, ani opanować, szczególnie na swojej ziemi... (cesarz bizantyjski Maurycy).

Słowianie byli poganami, Sasi już uprzednio zostali przymocą ochrzczeni z rozkazu Karola Wielkiego.

Sasi narzuconą sobie religię obrócili w pretekst podboju pogan, wskutek czego wiara chrześcijańska stała się przez Słowian zniechęcona. Słusznie doradca Karola Wielkiego, mądry mnich Alkuin, ostrzegął:

„Jak można zmusić człowieka, aby uwierzył, jeżeli nie wierzy?”

W ciągu kilkowiekowych zmagania, których koleje znane są już czytelnikom, szczęście sprzyjało to jednej, to drugiej stronie.

Słowianie woleli wojnę niż pokój, nad wszystko ceniąc drogą wolność. Jest to bowiem rodzaj ludzi twardy, wytrwały w trudzie... Minęło wiele dni, jak wzajemnie walczyli, nasi o wielkie i szerokie państwo, owi o wolność lub podłą zależność... (Widukind).

Słowianie... ścigali naszych, uciekających niby pierzchliwe jelenie. Nasze bowiem grzechy dodawały im męstwa, a nam strachu” (Thietmar). „Te ludy z powodu męstwa zwano Luciami albo Wilkami (Adam z Bremy).

...w tym czasie Lucice, zawsze w złych poczynaniach jednomyślni, natarli z wielką potęgą... (Thietmar).

Długotrwałe boje zakończyły się ostatecznie zwycięstwem niemieckim i zagładą ludów połabskich oraz nadodrzańskich.

Słowianie wszędzie zostali wytępieni lub wypędzeni, a od granic oceanu sprowadzone zostały ludy silne i niezliczone, które ziemię Słowian posiadały... (Helmold).

...niewiarygodnym przemianom uległy religia, mowa i obyczaje tych ludów, jako też ziemi przez nie zamieszkaney... Wszystkie sprawy przyjęły inną postać, odkąd na miejsce Słowian, którzy po większej części wyginęli, nadpłynęli Niemcy i Sasi, którzy stali się od tego czasu bogobojnym i spokojnym ludem...

I chociaż teraz nazwa i samo plemię słowiańskie są przez nas tak pogardzane, że nazwanie kogoś Wendem albo Słowianinem poczytywane jest za obelgę, mniemam, że nie powinniśmy się wstydić tego pochodzenia. Na całym świecie bowiem nie masz narodu, który by się rozprzestrzenił tak szeroko i dokonał równie wielkich czynów.

...dlatego pragniemy poświęcić jeszcze parę słów starym Wendom, czyli Słowianom, ukazać ich sztukę i obyczaje w okresie pogaństwa, aby czytając te dzieje, można było łatwiej je zrozumieć... (Kantzow).

Tak pisał na początku XVI wieku kronikarz niemiecki, którego dziadowie zwali się zapewne Kończyce lub Konicze. Z jego słów przebijają dumą i nostalgią. „Nie powinniśmy wstydić się tego pochodzenia...” Równocześnie jednak lojalność w stosunku do nowej ojczyzny dyktuje mu zaskakującą konkluzję:

Słowianie byli tak niespokojni i wojowniczy, że dokuczali wszystkim sąsiadom i kiedy nie było temu kresu ani miary, stało się, że całkowicie wyginęli, a kraj ich obcy posiadli...

Po czym z patosem dodaje:

...przeto niech żaden naród nie polega na własnej sile, lecz niech miłuje pokój i sprawiedliwość, gdyż nawet mimo tego napotka wielkie trudności...

Na wypadek gdyby ktoś uważał obraz stosunków germańsko-słowiańskich, pozostawiony przez starych pisarzy, za przesadzony, sięgnijmy do bliższych nam ocen:

Poczynając od Karola Wielkiego trwa przez cały okres średniowiecza walka Niemców o chrystianizację i germanizację Słowian. Zdarzają się od czasu do czasu przerwy w tej walce, lecz to wielkie historyczne zadanie podejmowane bywa znowu i pozostaje jednym z najdonioślejszych działań, wynikających z wrodzonej naszemu narodowi mocy. Równocześnie z chrystianizacją niemiecka kultura przenika coraz głębiej na wschód, by wreszcie w XIII w. osiągnąć dzięki niemieckiemu Zakonowi najdalej wysunięte granice północno-wschodnie...

Wszystkie plemiona niemieckie wzięły udział w tej wielkiej pracy kulturalnej i wszystkie środki mogące dopomóc w osiągnięciu celu znalazły zastosowanie.

...różnymi drogami chrześcijaństwo i niemiecka kultura wdzierały się w ziemie słowiańskie... W zachodniej części olbrzymiego obszaru słowiańskiego, pomiędzy Łabą a Odrą, walka pogaństwa z chrześcijaństwem, tj. Słowian z Germanami, rozstrzygnięta została ostatecznie siłą orężną, w ciągle powtarzających się zmaganiach prowadzonych z zawziętym uporem... (Dr Hans Prutz, Przedmowa do *Żywota św. Ottona*, Herborda, wydane w roku 1868).

Chryścianizacja i germanizacja!... Dr Prutz szczerze wyjawia, że te dwie akcje stanowiły jedno.

„Pusty wieczór” oznaczał u Słowian czuwanie przy zmarłym rodowcu, rozpamiętywanie jego cnót, trudów i bojów. To samo pragnienie oddania czci zmarłym wyraża się dziś w Apelu Poległych.

Gdy na ziemiach Słowiańszczyzny Zachodniej po kilkowiekowej walce zalega śmiertelne milczenie, godzi się odprawić podobne wspominki, wskrzesić zapomniane postacie i oddać im cześć. Godzi się to uczynić tym bardziej, że gdyby nie ich bohaterski opór, nie byłoby dzisiaj Polski.

Te „powtarzające się ciągle zmagania, prowadzone z zawziętym uporem” (Dr H. Prutz) dały czas plemionom Polan, Mazowszan, Kujawian, Sieradzan, Łęczycan, Ślęzan i innym na osiągnięcie świadomości narodowej. To za murem ich walczących ramion powstawał gmach państwowości polskiej. Nie wiedząc o tym, oni budowali Ojczyznę, której progę nie było im dane przestąpić.

Cisza cmentarna ogarnęła obszary, na których do niedawna żyły wolne ludy. Gdzie siedzieli Obodrzyce, leży należące do cesarstwa księstwo meklemburskie. Ziemie walecznych Luciców-Wioletów, których Ptolemeusz wyróżniał spośród innych plemion, zowią się Brandenburgią. Na miejscu Wagrów znajduje się Holsztyn. Podobnie jak Meklemburgia i te prowincje zaludnione są całkowicie przez kolonistów niemieckich i holenderskich. W XIII wieku prawnuk Przybysława, syna Niekłóta, księcia obodrzyckiego, Jan I, o przydomku Teolog – studiował bowiem w Paryżu – był jeszcze przez prosty lud nazywany „kneziem Janikiem”, lecz sam już mowy słowiańskiej nie rozumiał. Podobny proces zachodził u książąt zachodniopomorskich od czasów księcia Barnima I (XIII wiek).

Tylko ubodzy, zaszczy w puszczech Łużyczanie zachowują nadal swój język i swój obyczaj. To najtrwalsze z plemion przechowa się po dziś dzień, jak owad zamknięty w bursztynie.

Niby nagrobki, widnieją w dorzeczu Łaby słowiańskie nazwy miejscowości. Ważniejszym grodom zwycięzcy nadali nowe imiona, bądź przerobili dawne. Zwierzyn – Schwerin, Dymin – Demmin, Wyszomir – Wismar itp. Natomiast wielu drobnym przysiółkom i wsiom pozostawiono ich rdzenne nazwania. Tak więc na dawnych ziemiach Obodrzyców, Glinian, Doszan, Morzyczan, znajdujemy na obecnych mapach niemieckich Mirow, Gadow, Wackow, Krakow am Krakower See, Gnojnen, Rakow, Rawe, Kurow, Grabow, Gniewkow, Kruczkow, Borzow, Kloskow, Borkow, Tarnow i wiele innych zapisanych prawidłowo poza brakiem „ó”, którego nie zna alfabet niemiecki. Te osady, rozsiane gęsto jak kamienie na dnie rzeki Czasu, świadczą o narodowości swych założycieli. Jakiż Polak wąt-



piłby, że granice Rakowa, Rawy, Kurowa, Krakowa, Tarnowa, zakreślał kto inny niż jego rodzony brat?

„Pusty wieczór” oprócz wspomnień nasuwa palące pytanie:

Dlaczego, skoro siły i odwaga były równe, Słowianie ulegli Niemcom?

Dlaczego?...

Jak zaznaczono poprzednio, wojownicy, stojący przed tysiącem lat naprzeciw siebie nad Łabą, przedstawiali dwa odmiennie światy. Słowianie nie mieli żądzzy zaboru, nie byli „imperialistami”. Gdy Henryk IV zachęcał parokrotnie Wietłów, by uderzyli na zbuntowanych przeciw niemu Sasów, odmówili, powiadając, że mając dość własnej ziemi, nie pragną cudzej. Marzenia o wielkim państwie słowiańskim żywione przez wybitne jednostki, jak Rościsław i Świętopełk wielkomorawscy, polski Bolesław Chrobry, czeski Brzetysław, nawiedzające Krutów i Niekłótów obodrzyckich – dotyczyły scalenia ludów mówiących tą samą mową. Nie zamierzały podbijać obcych narodów.

Zarazem jednak te plemiona, uczciwe i prawdopodobne, przywiązane gorąco do swej tradycji i wiary, posiadały cechy noszące w sobie zarodek upadku: kłótność, niechęć do uznania cudzej słuszności, niestałość w poczynaniach, zawziętość w sporach.

...gdyby nie ich niezgoda, żaden naród nie sprostałby im w sile (Ibrahim ibn Jakub).

Przeciwnicy Słowian, Germanie, to szczep zdobywców, karnych, posłusznych wodzowi, konsekwentnych w dążeniu do raz obranego celu. Żyzne obszary słowiańskie, podzielone między niezależne od siebie plemiona, kuszą ich. Nie zawaha- ją się przed niczym, byle je osiąść.

...wszystkie środki mogące pomóc w uzyskaniu celu znalazły zastosowanie (Dr H. Prutz).

W początku X wieku Henryk Ptasznik rozpoczął planowy podbój ziem słowiańskich. Jego następca Otton I Wielki opracował koncepcję zaboru, ustalił granice biskupstw mających w przyszłości sięgać aż do Wisły i dalej. Tym wskazaniem Niemcy pozostaną wierni. Zatrzymają je jako wytyczne na całe tysiąclecie.

Gdy niektórzy cesarze, pochłonięci wojnami w Italii, zaniedbują problem słowiański, inicjatywę na odcinku Łaby przejmują książęta sascy: Hermann Billing, Bernard, Henryk Lew; margrabiowie: Gero, Hodo, Teodoryk, Albrecht Niedźwiedz. Zależnie od sytuacji ogólnoeuropejskiej niemieckie parcie na wschód wzмага się lub słabnie, lecz nigdy nie ustaje.

Panowanie Duńczyków na Pomorzu było krótkotrwałe. Niemcy w XIII wieku znów zajęli te ziemie. Od tej chwili państwo niemieckie graniczy bezpośrednio z Polską. Już nie ma zapory Wioletów, Pomorzan. Agresja germańska szarpie żywe ciało polskiego narodu. Równocześnie na scenie ukazuje się nowa złowroga potęga: Krzyżacy – uosobienie chciwości, obłudy i zbrodni. Rośnie, niebawem staje się silniejsza od rozbitej dzielnicowej Polski, zagraża jej istnieniu. Miecz Łokietka zahamuje nieco tę ekspansję.

W polityce polskiej owych lat i dalszych widzimy te same błędy, które zgubiły Obodryców i Wioletów. Oto Grunwald, druzgoczące zwycięstwo, politycznie nie wykorzystane, bo zapal walczących ostygł po wygranej bitwie. Dopiero po pięćdziesięciu latach Kazimierz Jagiellończyk zbierze owoce Grunwaldu, Wielki Mistrz Konrad Ehrlichhausen będzie się ratował skokiem do łodzi z okna malborskiego zamku, a Gdańsk i wschodnie Pomorze powrócą do Polski. Lecz już syn Jagiellończyka, Zygmunt Stary pozostawi w rękę Niemców ześwieczzone państwo krzyżackie, przyjmując w Krakowie na Rynku hołd byłego Wielkiego Mistrza Albrechta Hohenzollerna.

...Hołd pruski! Kilka pokoleń trwało w przekonaniu, że dzień ten był dniem triumfu, apogeum jagiellońskiej wiel-

kości. Sztuka i literatura, krzepiąc serca polskich bezpaństwowców widokiem minionej potęgi, utwierdzały je w tym upojeniu. W rzeczywistości nieszczęsna to była data. Według legendy tylko błazen królewski Stańczyk określił ją należycie. Niezawodnie zaś osądził zdarzenie późniejszy historyk pruski, z ironią wytykając Polsce, że sama zadała sobie cios śmiertelny, *den Todesstoss*.

Wszak – powiada – wzajemny stosunek między Hohenzollernami a Polakami może wyrażać się tylko w słowach: *Vita mea – mors tua!* Życie moje – śmierć twoja (Gustav Stenzel, *Geschichte des preussischen Staates*, Hamburg 1837).

Jak gdyby tego było mało, w trzydzieści siedem lat później Zygmunt August, prawnuk zwycięzcy spod Grunwaldu, rozszerzył na wypadek bezpotomności hołdownika Albrechta prawa do Prus na jego krewnych Hohenzollernów, margrabiów brandenburskich.

Kto wie, w jakich warunkach i na czyich mogiłach rodziło się państwo brandenburskie, tego dreszcz przejmie na to posunięcie królewskie. Dążenia Albrechta Niedźwiedzia zostają zrealizowane.

Uprzykrzone wady słowiańskie nie giną w narodzie polskim, przeciwnie, rozrastają się jak pasożyty, a zdeterminowane pojęciami ludzkimi wypadki, pchają nieuchronnie potężną Rzeczpospolitą ku końcowej katastrofie w wieku XVIII.

Kto z tego odniesie korzyść? Przede wszystkim Niemcy. Niebawem znane porzekadło określi, że cokolwiek czyni Polska, czyni *pour le roi de Prusse*. Dawna Brandenburgia jest już królestwem. Fryderyk Wielki, wiarołomny sojusznik, sugeruje innym państwom rozbiór Polski.

W książce *Historia mojego czasu*, wydanej po francusku w roku 1779, władca ten przyznaje otwarcie, że:

Prusy nie posiadały tytułu do zaboru polskiego Pomorza. Nie chciałbym udowadniać tęgości praw do tej ziemi

– dodaje z właściwym sobie cynizmem.

Idźmy dalej śladem „złoty myśli” przywódców niemieckiego narodu:

Otto von Bismarck pisze w liście do Schleinitza w marcu 1861 roku:

Jasne jest, że Polska, nawet ograniczona do czysto polskiego żywiołu, byłaby zawsze sąsiadem nie do zniesienia, dążącym do odzyskania dawnych granic...

Tego samego miesiąca w liście do siostry:

...Bijcie w Polaków jak w bęben, by ich ochota do życia odeszła. Osobiście współczuję ich położeniu, lecz jeśli pragniemy istnieć, nie pozostaje nam nic innego jak ich wytępić. Wilk też nie odpowiada za to, że Bóg go stworzył takim, jaki jest, dlatego też zabija się go, gdzie się tylko może...

W listopadzie 1861 roku w liście do pruskiego ministra spraw zagranicznych Bernsdorfa (w Warszawie grunt drży, wszyscy oczekują powstania, rządy zachodnioeuropejskie zwracają baczna uwagę na to, co się dzieje w Polsce):

...każdy sukces ruchu narodowego polskiego jest klęską dla Prus. Walkę przeciw temu żywiołowi prowadzić musimy nie według zasad obywatelskiej sprawiedliwości, lecz według prawideł wojny. Polska nie może być osądzana z perspektywy bezstronnego humanizmu, ale jako wróg. Nie istnieje możliwość pokoju między nami a jakkolwiek próbą wskrzeszenia Polski.

W roku 1904 z okazji uchwały o wywłaszczeniu ziem polskich, następca Bismarcka, kanclerz von Bülow, mówi otwarcie:

Nie żyjemy w obłokach, ale chodzimy po ziemi, gdzie każdy jest młotem lub kowadłem. Będziemy młotem. Nie dopuścimy, by uschły korzenie potęgi niemieckiej, by ludzie naszej rasy zostali zalani i zepchnięci... Dziedzictwo historyczne przywiodło nas w te strony. Stoimy tu i pozostaniemy.

Po I wojnie światowej marszałek Manstein w swym dziele *Stracone zwycięstwo* cytuje z uznaniem powiedzenie generała von Seeckt:

Samo istnienie Polski jest sprzeczne z warunkami bytu Niemiec. Polska musi zniknąć.

W roku 1927 Walther Recke nawiązuje do słów poprzedników pisząc:

Słaba Polska sąsiadująca z silną Rosją musi zniknąć. Szlachta polska nie dopuściła, by Polska stała się młotem. Będzie więc teraz kowadłem.

Adolf Hitler po dojściu do władzy rzuca 7 kwietnia 1933 roku następującą zapowiedź:

Naszym głównym celem jest rewizja granic wschodnich. Myślę o rozwiązaniu totalnym. Rozwiązania częściowe czy odraczające będą odrzucone. Jakiegokolwiek porozumienie z Polską jest niemożliwe i niepożądane.

Jeszcze wyraźniej Führer powiada w *Mein Kampf*:

Asymilować Polaków? Psuć rasę? O nie! Polaków trzeba zetrzeć (*ausradieren*) z ziemi...

Tak mało znamy własną historię, że to oświadczenie wydało się społeczeństwu polskiemu historycznym wyskokiem, na który nie warto zwracać uwagi. Gdyby pamiętano lepiej dzieje walk toczonych niegdyś za Odrą, pojęto by, iż rzekomy wyskok jest tylko logicznym ciągiem gniewnego okrzyku arcybiskupa mogunckiego Hatto (r. 900): „Książęta słowiańscy czy chcą, czy nie chcą, karku ugiąć muszą!”, dalszym ciągiem „legionu lotrów” Henryka Ptasznika, trucicielskiej uczty Geronona. Nie zmieniła się zasada, usprawnione zostały metody. Proskrypcję Słowian, ogłoszoną w czasie żniw przez księcia saskiego, zastąpią skuteczniej komory gazowe.

Kilkaset lat zajęło Niemcom wytopienie Obodryczyków, Wielętów i Ranów. Pięć lat okupacji w czasie II wojny światowej wystarczyło dla wymordowania sześciu milionów ludności pol-

skiej. Sześć milionów, nie żołnierzy, lecz cywilnych mieszkańców, mężczyzn, kobiet, dzieci...

...*Vita mea – mors tua!*...

Sprawcy ludobójstwa żyją, sądy zachodnoniemieckie ich uniewinniają. Tłumaczą masowe rzezie stanem wojny. Wszak wojna jest zawsze okrutna. Więc zamiast przypominać obozy śmierci, przytoczmy raczej dokument tym wymowniejszy, że spokojny, pisany bez uniesienia, niemal łagodnie. Akt ten, podpisany przez Himmlera, datowany z 28 maja 1940 roku nosi tytuł: *Einige Gedanken über die Behandlung der Fremdvölkischer in Osten*. W roku 1957 (nr 2) ogłosił go kwartalnik „Vierteljahreshefte für Zeitgeschichte”, skąd za upoważnieniem wydawców przedrukował dokument periodyk „Cahiers Pologne-Allemagne”, nr 1, rok 1959. Cytujemy zeń kilka zdań:

...musimy zająć się możliwie największą ilością grup narodowościowych. Nie tylko Polaków i Żydów, lecz również Białorusinów, Ukraińców, Górali, Kaszubów i Łemków... Ważnym jest dla nas nie mieć do czynienia z jednym zespolonym narodem, lecz przeciwnie, w naszym interesie leży, aby składał się on z mnóstwa poszczególnych części.

Wewnątrz tych grup nie wolno dopuścić do konsolidacji kultury narodowej, gdyż celem naszym jest rozproszkowanie ich na niezliczone odłamki... Musimy rozłożyć na miazgę piętnaście milionów ludności Generalnej Guberni i osiem milionów w naszych prowincjach wschodnich...

(Społeczeństwo polskie nie zajmowało się procesem wytępienia Słowiańszczyzny zachodniej, lecz Reichsführer SS Himmler znał te dzieje na pewno. Uczył się z nich, jak należy postępować i wiedział, jakie znaczenie ma kultura narodowa, czynnik nieodzowny zespolenia społeczeństwa).

...za kilka lat, nie dłużej niż cztery lub pięć, nie powinna istnieć kwestia np. kaszubska, nie pozostanie już bowiem śladu Kaszubów... To samo dotyczy Mazurów... Spodziewam się, że słowo Żyd zniknie zupełnie, dzięki wywiezieniu wszystkich Żydów do Afryki... W nieco dłuższym czasie powinniśmy

również usunąć całkowicie z naszego terytorium wspomnienie nazw takich szczepów jak Ukraińcy czy Górale... To samo w szerszych granicach dotyczyć będzie Polaków.

...Dla ludności innej niż niemiecka nie powinna na ziemiach wschodnich istnieć żadna szkoła wyższa od czteroklasowej. Program takiej szkółki komunalnej zawierałby znajomość liczenia do 500, nie wyżej. Wpajałby również dzieciom zasady nakazane przez Boga(!): posłuszeństwo Niemcom, konieczność pozostawiania uczciwym, pracowitym i odważnym. Nie uważam za potrzebne uczenie ich czytania...

...Poza tym typem szkółek żadne inne nie mogą istnieć na wschodzie. Rodzice pragnący większego wykształcenia dla swych dzieci będą obowiązani złożyć odpowiednią petycję władzom SS lub policji. Jeżeli dziecko wykaże pożądany typ rasowy, zostanie wywiezione na naukę do Niemiec, otrzyma nowe nazwisko i tam pozostanie na zawsze... Rodzice takich dzieci albo muszą się ich zrzec – prawdopodobnie zrezygnują w następstwie z dalszego potomstwa, co usunie niebezpieczeństwo, aby ten naród podludzi mógł sam wytworzyć typy wodzowskie – albo wyjechać do Rzeszy, by, zmieniając nazwisko, wejść w życie niemieckie, nie wykluczając zresztą ostrożności w stosunku do nich i kontroli...

...po systematycznym działaniu w Generalnej Guberni pozostanie ludność złożona wyłącznie z elementów podrzędnych. Ta masa stanie się surowcem ludzkim przeznaczonym jako pracownicy fizyczni dla robót przedsięwziętych w Rzeszy.

Projektodawca staje się wzniosły i kończy swoje wywody słowami:

...pozbawieni kultury, pod surowym, konsekwentnym i sprawiedliwym kierownictwem narodu niemieckiego, Polacy będą pomagać przy stwarzaniu wieczystych wartości kulturalnych, mianowicie przy wznoszeniu pomników i wielkich budowli. Co do tych ostatnich, niejednokrotnie umożliwią ich powstanie, dostarczając konieczną ilość siły roboczej...

Plan przeobrażenia narodu polskiego w stado niewolników analfabetów Himmler zaopatrzył wstępem:

...w sobotę dn. 25 bm. złożyłem Führerowi mój projekt dotyczący postępowania z elementami obcymi na wschodzie. Führer przeczytawszy uznał go za słuszny i rozsądny... Führer polecił mi wezwać do Berlina Gen. Gubernatora Francka, by mu pokazać mój projekt i powiedzieć, że Führer go aprobuje...

Wiosna 1940 roku to wczesny okres II wojny światowej. Jeszcze nie ma pewności, jak się potoczą jej koleje. Dalsze powodzenia ośmieliły władców III Rzeszy i program uległ uproszczeniu. Żydów nie wywieziono do Afryki, ale bliżej, do obozów śmierci w Treblince, Oświęcimiu i Majdanku. Miast zawracać sobie głowę tworzeniem specjalnych szkółek, przeinaczaniem dzieci i rodziców na Niemców, obrano drogę łatwiejszą, tę, którą wskazywał Hitler: Polaków – *ausradieren!*

Widmo zagłady stanęło przed narodem polskim, jak niegdyś stało przed Wioletami i Obodrzycami. Klęska Hitlera udaremniła realizację ludobójczego programu, lecz społeczeństwo polskie odniosło ciężkie rany i nie dające się opisać straty.

„Polska jako wał biologiczny przestała istnieć” – brzmiało orzeczenie delegacji brytyjskiego Czerwonego Krzyża, zwiedzającej latem 1945 roku kraj pogorzeliisk i mogił. Tak wielkie są jednak siły żywotne i dynamizm narodu polskiego, że w krótkim stosunkowo czasie zielona ruń pokryła popioły.

Pozostały pamięć doznanych przeżyć i czujność, tym żywsze im natrętniej powstają upiory pogrzebanego zda się hitleryzmu. Rozlegają się znów stare hasła nienawiści do wszystkiego, co ośmiela się żyć na ziemi pożądanej przez zaborców germańskich i bronić dostępu do niej.

Żyjemy w epoce, gdy cała ludzkość wzdycha do pokoju. Nikt go nie pragnie równie gorąco jak Polska. Trudno jednak zamykać oczy na rzeczywistość.

Ze strony rewizjonistów niemieckich padają pod adresem Polaków zarzuty zawziętości i nieprzejednania, upartego wypominania doznanych krzywd jakoby już wyrównanych. Mylne to zarzuty. Krzywd wyrządzonych Polsce przez III Rzeszę



w okresie 1939–1945 nic nie wyrówna. Można by je tylko wybaczyć. Polskie serca są łaskawe i trudno sobie wyobrazić, by Polak odepchnął winowajcę przychodzącego do niego ze sławami: – Przebac, bracie! Nawet Kościół uzależnia rozgrzeszenie od spełnienia koniecznych warunków żalu, skruchy, zadośćuczynienia i chęci poprawy życia. Jakże więc mówić o pojednaniu, skoro w miejsce żalu słyszy się pogrożki, zamiast skruchy zaprzeczanie faktom i pomniejszanie popełnionych zbrodni, a chęć poprawy zmieniła się w dążność do powtórzenia agresji?

Z obowiązku czujności, z osobistych tragicznych doświadczeń, z pragnienia pokoju, powstała niniejsza praca będąca oskarżeniem i udowodnieniem. Oskarżenie wypowiedane ustami kronikarzy niemieckich dotyczy nie tylko cesarzy i książąt chełpiących się przydomkiem Słowianobójców, lecz również Kościoła niemieckiego będącego w ciągu wieków bardziej nacjonalistycznym niż katolickim. To wzgardliwi i zaborczy biskupi sprawili, że ludy słowiańskie mieszkające pomiędzy Odrą a Łabą zeszyły ze świata w pogaństwie, zło-rzeczac Imieniu Chrystusa. Do wyjątków należały szlachetne jednostki w rodzaju Brunona z Querfurtu, Ottona z Bambergu, Gerolda ze Starogardu, pracujących bezinteresownie nad zbawieniem dusz pogańskich, nie kładąc znaku równania między chrystianizacją a germanizacją.

Ze smutkiem należy stwierdzić, że akcenty nacjonalistyczne zdarzają się nadal w Kościele niemieckim. Przed kilku laty cała Polska doznała bolesnego wstrząsu posłyszawszy, że niemiecki Episkopat błogosławił emblematy Zakonu Krzyżackiego i wspominał z uznaniem misję tegoż Zakonu na wschodzie. Wiemy, jaki był charakter i owoc tej „misji”. Z tym samym brakiem krytycyzmu można by błogosławić godła SS albo komory gazowe.

Złowrogą siłę posiada tysiącletnia tradycja, tysiącletnie karmienie narodu jadem nienawiści i żądzy ziem cudzych. Trzeba mocnego charakteru i męstwa, by się tej tradycji przeciwstawić. Są tacy śmiałkowie wśród duchownych, wśród po-

lityków, działaczy, pisarzy czy publicystów niemieckich. Są oni nawet dość liczni. Zaslugują, by ich wysoko cenić, darczyń sympatią i zaufaniem. Bo tylko oni, cierpliwym działaniem, mogą zmienić wypaczone złą propagandą nastawienie społeczeństwa niemieckiego, przekonać je, że skutki własnej zbrodniczej agresji nie są poniesioną krzywdą, lecz zasłużoną ekspiacją.

Naród polski ma dzisiaj mniej niż poprzednio powodów obawy przed niemieckim rewizjonizmem. Nie jest osamotniony, posiada i za Odrą przyjaciół. Nie powtórzy starych błędów, rozumiejąc, że najlepszą gwarancją bezpieczeństwa granic jest zwarty blok narodów słowiańskich (i innych równie szczerze pragnących pokoju). Braterski sojusz suwerennych, niezależnych państw, wsparty o wzajemne poszanowanie swych praw, swych odrębności narodowych, kulturalnych i światopoglądowych.

Istnienie obronnego bloku słowiańskiego zadecyduje o pokoju i dalszych losach środkowej Europy. Rozbicie go stałoby się katastrofą równie zgubną w skutkach jak wojna domowa toczona niegdyś przez Redarów i Obodrzyców nazajutrz po zwycięstwie przeclawskim.

## POSŁOWIE

*Troja Północy* to oficjalnie pierwsze wspólne dzieło Zygmunta Szatkowskiego i Zofii Kossak, choć małżonkowie od wielu lat, ramię w ramię, pracowali przy powstawaniu kolejnych powieści: „Współpraca z Zygmuntem nie zaczęła się od *Troi*. Datuje się od wczesnych lat naszego małżeństwa. Dzielimy te same zamiłowania historyczne, tę samą pasję bibliofilską. Do tego mój mąż posiada dobrą znajomość łaciny i kilku języków. Siłą rzeczy z pierwszego czytelnika stał się doradcą i współautorem”<sup>1</sup>. Zygmunt Szatkowski służył pisarce ogromną pomocą, wykonując niewidoczną dla czytelników benedyktyńską pracę: wziął na siebie przygotowanie całego warsztatu historycznego, gromadzenie materiałów źródłowych, tłumaczenie obcych tekstów. Słynne były jego „Zeszyty” zawierające chronologię wypadków historycznych do każdej książki: „miesiąc po miesiącu, tydzień po tygodniu, a w chwilach decydujących – dzień po dniu wynotowane są wszelkie zdarzenia, które pod tą datą zaszły w Polsce i poza jej granicami, a mają związek z treścią powieści będącej w tej chwili na warsztacie. [...] Tu nie może obejść się bez Zygmunta, bez jego sumiennosci i ścisłości”<sup>2</sup>. Dlatego dla Zofii publikacja *Troi Północy* była szczególnie ważna: „Gorąco pragnę, żeby ta książka zyskała życzliwy oddźwięk u odbiorców. Nie tylko ze względu na jej zasadniczy problem narodowy, lecz ze względu na Zygmunta, który po raz pierwszy «ujawnił się», opuszczając incognito, w którym tkwił całe życie. Bóg jeden wie, ile mnie trudu kosztowało, by go do tego «ujawnienia» nakłonić”<sup>3</sup>.

---

<sup>1</sup> Wywiad z Z. Kossak, „Kierunki” 26 III 1967.

<sup>2</sup> J. Lasocka, *Urlop w Górkach. O życiu i twórczości Zofii Kossak-Szczuckiej, sekundo voto Szatkowskiej (1963-69)*, rękopis w zbiorach Ossolineum, s. 9.

<sup>3</sup> Z. Kossak, *Listy*, Lublin 2017.

W *Troi Północy* Autorzy zmierzili się z dwoma problemami, tak żywymi po zakończeniu II wojny światowej. Pierwszym była wojenna trauma, która odcisnęła swe piętno na całym narodzie poddanym niewyobrażalnym cierpieniom i zaważyła na losach każdej polskiej rodziny, w tym też rodziny Szatkowskich. Zygmunt Szatkowski po wrześniowej kampanii został więźniem Murnau, wojenne dzieje Zofii Kossak-Szatkowskiej (działalność konspiracyjna, Żegota, Pawiak, Auschwitz) to temat na osobną książkę.

Doświadczenie realnego zła, po raz kolejny wyrządzonego przez germańskiego sąsiada, znalazło swój wyraz w dziele będącym niejako rozliczeniem tamtego okresu, swoistą „racjonalizacją” tragicznych doświadczeń. W *Troi Północy* w imieniu całego narodu Autorzy pytają o źródło tych nieszczęść, o przyczynę odwiecznego germańskiego *Drang nach Osten*, o powód, dla którego „krzyżują w imię krzyża, w imię cywilizacji deprawują, a w imię wolności ujarzmiają”<sup>4</sup>, jak wyraził się o Niemcach w 1848 r. Julian Klaczko.

Nie uciekając się do prostych uogólnień skomplikowanych stosunków polsko-niemieckich, trzeba zauważyć, że niemieccy myśliciele często nie zaprzeczali tej prawdzie, a jedynie poszukiwali jej uzasadnienia: „Nasze prawo nie jest niczym innym jak prawem silniejszego, prawem podboju. Tak, my podbijaliśmy, ale te podboje zostały dokonane na takiej drodze i w ten sposób, że nie można ich cofnąć. [...] Przewaga plemienia niemieckiego nad większością plemion słowiańskich, być może z wyjątkiem rosyjskiego, jest faktem, który musi narzucać się każdemu bezstronnemu obserwatorowi i przeciwko takim [...] historycznym i biologicznym faktom nie można niczego dokonać jakimkolwiek dekretem motywowanym ko-

---

<sup>4</sup> M. Imhof, *Polen 1772 bis 1945*, Frankfurt a. M. 1996, cyt za: M. Wojtczak, *Drang nach Osten* [online], [dostęp: 20 IX 2017], dostępny w Internecie: <<http://www.polska-niemcy-interakcje.pl/articles/show/49>>.

smopolityczną sprawiedliwością”<sup>5</sup>. W *Troi Północy* odnajdziemy potwierdzenie i podobne uzasadnienie tej idei ekspansji, której ostatnim wyrazem stała się zbrodnicza doktryna III Rzeszy Niemieckiej.

Drugą kwestią, ważną dla Autorów książki, było „unarodowienie” Ziemi Odzyskanych, ukazanie ich piastowskich, słowiańskich korzeni i reintegracja z resztą kraju. To było pierwotnym celem, dla którego Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich zainicjowało cykl wydawniczy mający ukazać historyczne prawa do ziem przyznanych Polsce w czasie konferencji jałtańskiej. Do współpracy zaproszono także Zofię Kossak: „W zamierzeniach TRZZ [Towarzystwo Rozwoju Ziemi Zachodnich] książka miała być historyczną antologią Pomorza Szczecińskiego, pomyślaną jako uczczenie Tysiąclecia chrztu Polski. Temat olbrzymi, toteż oboje rozpoczęli studia, zaczęli zbierać materiały. Robotę podzielili w ten sposób, że Zygmunt miał przygotować i opracować materiały historyczne a Zofia TYLKO napisać. Miała to być książka o Pomorzu, ale trudno pisać o Pomorzu z pominięciem Słowian załabskich i nadodrzańskich, więc materiał jał się rozrastać, rozprze-strzeniać, puchnąć w rękach twórców i tak powstała *Troja Północy*, czyli zupełnie co innego, niż miało być. Zygmunt uległ tutaj swej pasji historyka, zamiast powieści narzucił Zofii naukowe dzieje Słowiańszczyzny i początków Kościoła w Polsce”<sup>6</sup>. Dzieje zagłady Słowian Zachodnich to pierwszy z epizodów, w którym objawia się tendencja Germanów do wykorzystywania religii dla realizacji dążeń politycznych. Niestety – utożsamienie chrystianizacji z germanizacją zaprzepaściło szansę wielu plemion słowiańskich na wejście w krąg cywilizacji łacińskiej.

---

<sup>5</sup> W. Jordan, w: A. Lawaty, *Das Ende Preußens in polnischer Sicht. Zur Kontinuität negativer Wirkungen der preußischen Geschichte auf die deutsch-polnischen Beziehungen*, Berlin 1986, cyt. za: M. Wojtczak, *Drang nach Osten* [online].

<sup>6</sup> J. Lasocka, *Urlop w Górkach*, s. 50.

Pierwotnie książka miała nosić tytuł *Podzwonne* – zapomniane dziś słowo oznaczało bicie w kościelne dzwony w czasie pogrzebu jako hołd składany zmarłemu lub wspomnienie o nim, pełne szacunku. Tragiczną historię Zachodniej Słowiańszczyzny odtwarzają Autorzy na podstawie starych kronik niemieckich, polskich, czeskich, ruskich, a także sag skandynawskich. Są to dzieje na ogół bardzo mało znane – któż wie, że jeszcze w XI wieku ziemie Słowian ciągnęły się po Hamburg, a obecna stolica Niemiec leży na terenie dawnej słowiańskiej Kopenicy?

Gdyby nie bohaterski opór Pomorzan i plemion zaodrzańskich, ukazany na kartach *Troja Północy*, losy młodego lechickiego państwa potoczyłyby się zupełnie inaczej. Prowadzone przez kilka stuleci dramatyczne zmagania Słowian Połabskich z germańskim naporem dały plemionom położonym pomiędzy Odrą a Bugiem konieczny czas na zbudowanie własnej państwowości i okrzepnięcie świadomości narodowej. Dzięki nim granica niemiecko-słowiańska ustaliła się na Odrze – nie na Wiśle czy Bugu.

Walka z żywiołem napierającym od Zachodu dzięki formie powieści nabiera barwności i siły wyrazu, dzięki przytaczaniu źródłowych kronik – zyskuje historyczną głębię i wiarygodność. Naukowa rzetelność i literacki geniusz sprawiają, że *Troja Północy* pozostaje nie tylko fascynującą opowieścią, barwnym, pełnym życia freskiem niemal homeryckich bojów Zachodnich Słowian, ale i cennym spojrzeniem na siły kształtujące oblicze Europy po dziś dzień.

Wydawca

# SPIS MAP

Rozmieszczenie plemion Wielkiego Księstwa Obodrzyckiego i Świętego Związku Wieleckiego .....	7
Rozmieszczenie ważniejszych plemion Słowiańszczyzny Zachodniej VIII-XII wieku (wg Wachowskiego, Bogusławskiego i Kowalenki) .....	16
Państwo Wielkomorawskie księcia Świętopelka (870-894) .....	38
Kierunki ekspansji Mieszka I na Pomorze Zachodnie i przeciwdziałanie Wioletów, Wolinian i Niemców w latach 963-972.....	63
Bitwa pod Cedzyną (Sidziną) w roku 972 (wg W. Filipowiaka) ....	65
Polska za czasów Mieszka I (wg St. Arnolda) .....	86
Polska za czasów Bolesława Chrobrego, 1025 r. (wg prof. St. Arnolda) .....	96
Wyprawy Henryka II przeciw Bolesławowi Chrobremu (wg Thietmara).....	104
Wypad floty obodrzyckiej na Aarhus i Helgenös w roku 1043 i rejs wokół Jutlandii do przewłoki pod Hadeby .....	132
Kłęska Obodrzyców na przewłoce pod Hadeby w walce z Duńczykami w roku 1043 (schemat bitwy) .....	144
Bitwa pod Przeclawą w roku 1056. I wojna domowa Wioletów w latach 1057-1060 przy udziale koalicji sasko-duńsko- -obodrzyckiej .....	152
Wypad biskupa halberstadzkiego na Radogoszcz w roku 1067 ..	170
Wyprawy Bolesława Krzywoustego na Szczecin i ziemie Wioletów w roku 1121.....	230
Dynastia Ulfingów, królów duńskich (wykaz niepełny). Swen III Estrtdson (1047-1076).....	300

Wyprawa morska księcia Racibora na Konungahelę w roku 1136 .....	328
Polska za czasów Bolesława Krzywoustego w roku 1138 (wg prof. St. Arnolda) .....	340
Wyprawa krzyżowa na Słowian w roku 1147 .....	360
Wyprawa duńsko-sasko-rańska na Wioletów w roku 1164 .....	394
Klęska hr. Adolfa holsztyńskiego pod Wierchami (Verchen) zadana przez księcia obodrzyckiego Przybysława oraz książąt pomorskich Kazimierza i Bogusława w roku 1164 ..	398
Podbój ziem Słowian połabskich przez Niemców w XII wieku ....	411
Ranowie i ich sąsiedzi wieleccy .....	435



# SPIS ROZDZIAŁÓW

Od Autorów <i>Wstęp. Śladem kronikarzy</i> .....	5
I. Spuścizna Karola Wielkiego .....	13
II. Karku ugiąć muszą .....	22
III. Na śmierć i życie .....	43
IV. Data, którą żyjemy .....	52
V. Słowiańska ksieni .....	67
VI. Wielkie zamysły .....	79
VII. Zły wybór .....	91
VIII. Pod znakami Jerowita .....	99
IX. I było u nich zaburzenie .....	113
X. Na lądzie i morzu .....	127
XI. Samobójstwo .....	147
XII. Oko za oko .....	158
XIII. Krut syn Gryna .....	173
XIV. W służbie saskiej .....	196
XV. Dziecię Marsa i wilczycy .....	208
XVI. Apostoł Pomorza .....	239
XVII. Wtóra podróż biskupa Ottona .....	263
XVIII. <i>Rex Obodritorum</i> .....	289
XIX. Dzwony magdeburские .....	302
XX. Fala obmywa okręty .....	315
XXI. Zmierzch pokolenia .....	332
XXII. Ziemia drżała na ich widok .....	345
XXIII. Gasnący płomień .....	378
XXIV. Jaczo z Kopanika .....	400
XXV. I bezpieczną stała się droga .....	414
XXVI. Troja Północy .....	430
XXVII. Osaczony .....	444
XXVIII. „Pusty wieczór” .....	461
Od Wydawcy <i>Posłowie</i> .....	475

